

LEONARDO PADURA

HE *R*ETYCY



NOIR SUR BLANC

LEONARDO PADURA

HERETYCY

Przełożyli
Dorota i Adam Elbanowscy

NOIR SUR BLANC

Spis treści

Karta redakcyjna

Słowo od autora

Dedykacja

Motto

KSIĘGA DANIELA

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

KSIĘGA ELIASZA

1

2

3

KSIĘGA JUDYTY

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

GENESIS

*

PODZIĘKOWANIA

PRZYPISY

Tytuł oryginału: *Herejes*

Opracowanie redakcyjne: MIROSLAW GRABOWSKI
Korekta: JAN JAROSZUK, BEATA WYRZYKOWSKA
Projekt okładki: WITOLD SIEMASZKIEWICZ
Fotografia na okładce: © 1bestofphoto / Alamy Stock Photo

Copyright © Leonardo Padura, 2013
Published by agreement with Tusquets Editores, Barcelona, Spain

All rights reserved

For the Polish edition © 2022, Noir sur Blanc, Warszawa

ISBN 978-83-7392-791-9

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.
ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa

Zamówienia prosimy kierować:
– telefonicznie: 800 42 10 40 (linia bezpłatna)
– e-mailem: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
– księgarnia internetowa: www.noir.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Słowo od autora

Wiele epizodów przedstawionych w tej książce jest efektem wnikliwych badań historycznych czy wręcz zostało zaczerpnięte z oryginalnych dokumentów, jak na przykład *Jawein mecula* Natana Hannovera⁴, bezpośredniego wstrząsającego świadectwa masakry Żydów w Polsce w latach 1648–1653, które poruszyło mnie do tego stopnia, że zdecydowałem się je włączyć do powieści, dokonując jedynie koniecznych skrótów i poprawek oraz wzbogacając o postaci fikcyjne. Odkąd przeczytałem ten tekst, uświadomiłem sobie, że nie potrafiłbym lepiej opisać eksplozji horroru ani tym bardziej wyobrazić sobie skali sadyzmu i okrucieństwa, których doświadczył ten kronikarz i które wkrótce potem zostały przezeń utrwalone na piśmie.

Skoro jednak chodzi o powieść, pewne wydarzenia historyczne uległy dramaturgicznemu przetworzeniu – zgodnie z regułami, powtarzam, powieściowymi. Być może najpełniej zrealizowałem tę zasadę we fragmencie opisującym wydarzenia z lat czterdziestych XVII wieku, które w istocie są połączeniem epizodów rozgrywających się w tym okresie z faktami z kolejnej dekady, jak na przykład ekskomuniką nałożoną na Barucha Spinozę, wędrowkami Szabetaja Cewiego czy podróżą Ben Izraela do Londynu, gdzie w 1655 roku udało mu się skłonić Cromwella i parlament angielski do milczącego przyzwolenia na obecność Żydów w Anglii, co wkrótce potem stało się faktem.

Z kolei w następnych fragmentach chronologia wydarzeń jest ściśle zachowana, z wyjątkiem drobnych zmian w biografii tej czy innej postaci zaczerpniętej z rzeczywistości. Odmienne są bowiem motory wprawiające w ruch historię, rzeczywistość i powieść.

Raz jeszcze dla Lucii, przywódczyni plemienia

Niektórzy artyści czują się pewnie tylko w atmosferze wolności, inni mogą oddychać swobodnie tylko w atmosferze bezpieczeństwa.

Arnold Hauser,
przeł. Janina Ruszczyówna

Wszystko jest w rękach Boga, prócz bojaźni Bożej.

Talmud

Każdy, kto bada cztery rzeczy:
to, co jest w górze, to, co jest na dole,
to, co jest z przodu, i to, co jest z tyłu,
lepiej byłoby dlań, gdyby nie przyszedł na świat.

sentencja rabinacka,
przeł. Regina Gromacka

HERETYK. Z gr. αἵρετικός – *hairetikós*, przymiotnik od rzeczownika αἵρεσις – *hairesis* «podział, wybór», pochodzącego od czasownika αἵρεῖσθαι – *haireisthai* «**wybierać, dzielić, woleć**», pierwotnie określał osoby, które należały do innej szkoły filozoficznej, to znaczy mające pewne «preferencje» w tym kręgu. Po raz pierwszy został utożsamiony z chrześcijańskimi odszczepieńcami w epoce wczesnego Kościoła i użyty w traktacie Ireneusza z Lyonu *Adversus haereses* (koniec II wieku), skierowanym szczególnie przeciwko gnostykom. Prawdopodobnie wywodzi się z indoeuropejskiego korzenia być może w znaczeniu «brać, wziąć». W hetyckim istnieje słowo *šaru*, a w walijskim *herw*, oba w znaczeniu «łup».

Według *Diccionario de la Real Academia de la Lengua Española*: HERETYK (z prowans. *eretge*). 1. pot. Osoba, która zaprzecza jakiemuś dogmatowi religijnemu. || 2. Osoba, która nie zgadza się lub zrywa z oficjalną linią reprezentowaną przez jakąś instytucję, organizację, akademię itd. [...]. kolokw. **Na Kubie: W kontekście jakiejś sytuacji: [Estar hereje] Być bardzo trudnym, szczególnie w aspekcie politycznym lub ekonomicznym.**

KSIĘGA DANIELA

Daniel Kamiński potrzebował kilku lat, aby przyzwyczać się do radosnej wrzawy miasta ufundowanego na żywiołowym jazgocie. Dość szybko zrozumiał, że tu każdą sprawę załatwia się wrzaskiem: wszystko zgrzytało rdzą i trzeszczało wilgocią, samochody pędziły pośród huku i wycia silników oraz świdrujących, natrętnych klaksonów, psy szczekały z byle powodu albo bez, koguty piałły nawet po północy, a sprzedawcy zachwalali swoje towary piszczałką, dzwonkiem, trąbką, gwizdkiem, grzechotką, fujarką, skoczną przyśpiewką lub po prostu krzykiem. Ugrzązł w tym mieście, w którym na domiar złego co noc, punktualnie o dziewiątej, rozlegał się armatni wystrzał, chociaż nie było żadnej wojny i nie trzeba było zamykać bram, i gdzie zawsze, zawsze, w epoce prosperity i w chwilach kryzysu, ktoś słuchał muzyki, nierzadko przyśpiewując do rytmu na całe gardło.

Na początku hawańskich czasów mały Daniel często usiłował sobie przypomnieć – na ile pozwalała mu pamięć, niemal wyzuta ze wspomnień – łagodną ciszę krakowskiej dzielnicy zamieszkałej przez żydowskich mieszczan, gdzie się urodził i spędził pierwsze lata życia. Czystą intuicją człowieka odciętego od korzeni tropił owo chłodne, w tonacji magenta, terytorium przeszłości, niczym deskę zdolną uratować rozbitką z morskiej katastrofy, jaką stało się jego życie, ale gdy wspomnienia, prawdziwe lub urojone, docierały na stały ląd realności, natychmiast próbował od nich uciec, albowiem w cichym i mrocznym Krakowie jego dzieciństwa nagle wrzawa mogła oznaczać jedno z dwojga: albo dzień targowy, albo zagrożenie. A w ostatnich spędzonych w Polsce latach niebezpieczeństwo pojawiało się częściej niż jarmarczne kramy. I strach, nieodłączny kompan.

Jak można się było spodziewać, gdy Daniel Kamiński znalazł się w zgiekłym mieście, długo jeszcze odbierał ową nawalnicę jazgotu niczym sygnał alarmowy i dopiero z upływem lat uświadomił sobie, że w tym nowym świecie największe zagrożenie poprzedzone jest ciszą. Kiedy ów etap miał już za sobą i wreszcie mógł żyć pośród hałasu, nie słysząc go – tak jak bezwiednie oddychamy – odkrył, iż przestał wierzyć w dobroczynne skutki ciszy. Lecz najbardziej dumny był z tego, że pogodził się z jazgotem Hawany, bo poczuł prawdziwą więź z tym chaotycznym miastem, do którego na swoje szczęście został wpełchnięty podmuchem historycznego, a może Bożego przekleństwa – i do końca swoich dni będzie się zastanawiał nad właściwym wyborem owego epitetu.

W dniu, w którym po raz pierwszy odczuł największy koszmar swego życia, a zarazem zapowiedź pomyślnego losu, wszechobecny zapach morza i skamieniała cisza przenikały hawański świt. Stryj Joseph obudził Daniela znacznie wcześniej niż zwykle, kiedy wyprawiał go do Gimnazjum Hebrajskiego w Ośrodku Żydowskim, gdzie od pewnego czasu chłopiec zdobywał wykształcenie szkolne i religijne, a także pobierał niezbędne lekcje hiszpańskiego, co miało mu umożliwić przystosowanie się do pstrokatego, wielobarwnego świata, w którym miał odtąd żyć, choć tylko Przenajświętszy raczy wiedzieć jak długo. Dzień zaczął się inaczej niż zwykle, bo po szabatowym błogosławieństwie i życzeniach z okazji Szawuotu stryj – wbrew zwyczajowej powściągliwości – ucałował bratanka w czoło.

Stryj Joseph, także Kamiński i oczywiście Polak, zwany wówczas przez znajomych Pepe Sakiewką – z powodu biegłości, z jaką wyrabiał torebki, portfele kaletki i inne skórzane utensylia – zawsze skrupulatnie wypełniał i wypełniać będzie aż do śmierci wszystkie nakazy wiary żydowskiej. Dlatego też, zanim pozwolił chłopcu zasiąść do przygotowanego już śniadania, przypomniał mu, że powinni dokonać stosownych dla tego szczególnego dnia ablucji oraz odmówić modlitwy, by podziękować Przenajświętszemu, błogosławiony niech będzie Pan, albowiem obchody Szawuotu, tysięcletniego święta upamiętniającego przekazanie patriarsze Mojżeszowi Dziesięciu Przykazań i przyjęcie Tory przez założycieli narodu, przypadły akurat w czas szabatu. Tego poranka, ciągnął stryj swoją przemowę, winni także kie-

rować do Boga wiele innych modlitw, by dzięki Jego boskiemu wstawiennictwu mogli podolać temu, co w obecnej chwili zdawało się nad wyraz skomplikowane. Chociaż, dodał z łobuzerskim uśmiechem, komplikacje owe być może ich ominą.

Po niemal godzinnych modłach, kiedy to Daniel miał wrażenie, że za chwilę zemdleje z głodu i senności, Joseph Kamiński pozwolił mu zasiąść do obfitego śniadania, na które składało się ciepłe kozie mleko (podgrzane – wszak była sobota – przez Włoszkę Marię Perupatto, wyznania rzymskokatolickiego, wybraną przez stryja na tę właśnie okoliczność jako „szabes goj”), kwadratowe placki zwane macą, owocowe konfitury, a nawet ociekające miodem bakławy, uczta tak wspaniała, że chłopiec zaczął się zastanawiać, skąd stryj zdobył pieniądze na te wszystkie frykasy, albowiem z owych lat Daniel Kamiński aż do końca swoich długich dni zachowa pamięć nie tylko o uciążliwych hałasach i straszliwym, rozpoczynającym się właśnie tygodniu, ale także o nienasyconym i niezaspokojonym głodzie, który niezmiennie mu towarzyszył niczym wierny pies.

Nasyciwszy się obfitym śniadaniem, chłopiec skorzystał z przedłużającego się pobytu nękanego obstrukcją stryja w zbiorowej ubikacji mieszczącej się w ich kamienicy i wspiał się na taras, którego posiadzka o tej wczesnej porze, przed wschodem słońca, była jeszcze wilgotna. Mimo zakazu wychylił się przez balustradę, żeby podziwiać panoramę ulic Compostela i Acosta w samym sercu wciąż rozrastającej się dzielnicy żydowskiej w Hawanie. Wypełniony zwykle tłumem ludzi budynek Ministerstwa Rządu² (w czasach kolonialnych klasztor) stał teraz wymarły, zamknięty na cztery spusty. Niczego ani nikogo nie było pod pobliskimi arkadami, zwanymi Łukiem Betlejemskim, które sklepiały się nad ulicą Acosta. Kino Ideal, niemiecka piekarnia, polski sklep żelazny, restauracja Mosze Pipika, na którą chłopiec zawsze spoglądał z łapczywą pokusą – wszystkie miały teraz opuszczone żaluzje i ciemne witryny. Mimo że w dzielnicy mieszkało wielu Żydów i do nich należała większość owych przybytków, w sobotę przeważnie zamkniętych, panujące wokół cisza i bezruch wynikały nie tylko z szabatu, pory dnia czy ze święta Szawuot, czasu synagogi, ale też z faktu, iż akurat wtedy, kiedy Kubańczycy przesypiali Święta Wielkanocne, większość miejscowych aszkenazyjczyków i sefardyjczyków wyciągała z szaf odświętne ubrania i szykowała się do wyjścia, by udać się tam, dokąd właśnie wybierali się obaj Kamińscy.

Cisza poranka, pocałunek stryja, nieoczekiwane śniadanie i szczęśliwa okoliczność, że Szawuot przypadł w sobotę, w istocie tylko jeszcze wzmocniły dziecięce oczekiwania Daniela Kamińskiego, związane z wyjątkowym charakterem rozpoczynającego się dnia, ponieważ głównym powodem wcześniejszej niż zwykle pobudki było spodziewane rychłe przybycie do hawańskiego portu transatlantyku MS „St. Louis”, który przed piętnastoma dniami wypłynął z Hamburga, z dziewięciuset trzydziestu siedmioma Żydami na pokładzie: na ich emigrację zgodził się narodowosocjalistyczny rząd niemiecki. Wśród pasażerów statku byli: Izajasz Kamiński, jego żona Estera Kellerstein i ich córeczka Judyta, czyli ojciec, matka i siostra małego Daniela Kamińskiego.

Od chwili gdy otworzył oczy, nim jeszcze zdołał umiejscowić swoją rozchwianą świadomość, wciąż oszołomioną tanim rumem, co skłaniało go do przypuszczenia, że spędził noc u Tamary i że kobietą śpiącą obok jest Tamara, a któż by inny, Mario Conde doznał nieodpartego, bolesnego przecucia kłęski, które towarzyszyło mu od zbyt długiego już czasu. Po co wstawać? Co począć z tym dniem? – dudniło w uszach natrętne pytanie, a Conde nie wiedział, jak na nie odpowiedzieć. Przytłoczony owym brakiem odpowiedzi, wstał z łóżka, zważając, by nie przerwać łagodnego snu kochanki, której półotwarte usta znaczyła strużka srebrzystej śliny, a dobywające się z gardła niemal muzykalne pochrapywanie przechodziło, być może z powodu zalegającej flegmy, w wysoką, śpiewną tonację.

Usadowiony przy kuchennym stole, po wypiciu świeżo zmielonej kawy i zapaleniu pierwszego w tym dniu papierosa, który tak bardzo pomagał mu w odzyskaniu wątpliwej kondycji istoty racjonalnej, spoglądał przez uchylone drzwi na patio, gdzie pojawił się już pobrzask grożący kolejnym skwar-nym dniem wrześnieowym. Brak jakiegokolwiek nadziei był tak przemożny, że Conde zdecydował się sta-wić mu czoło w jedyny i zarazem najskuteczniejszy sposób, jaki znał: frontalnym atakiem.

Półtorej godziny później, gdy wszystkimi porami skóry łał się z niego pot, tenże sam Mario Conde przemierzał ulice El Cerro i niczym średniowieczny kupiec wykrzykiwał na całe gardło swoje desperackie zawołanie:

– Stare książki kupuję! No dalej, sprzedawajcie stare książki!

Odkąd niemal dwadzieścia lat wcześniej porzucił pracę w policji, deską ratunku stało się dlań fina-nyjne, lecz nadal dochodowe przedsięwzięcie polegające na kupowaniu i sprzedawaniu używanych książek. Wypróbował wszelkie możliwe sposoby prowadzenia tego interesu: od prymitywnego wykrzyki-wania oferty na ulicach (co swego czasu godziło w jego honor) aż po przeszukiwanie bibliotek wskaza-nych przez jakiegoś informatora, natomiast etapem pośrednim było chodzenie od drzwi do drzwi w El Vedado i Miramar, gdzie jego wytrawnemu oku domy objawiały swoje szczególne cechy (zapuszczony ogród, słuczone szyby w oknach), świadczące o obecności licznych książek, a przede wszystkim o pil-nej potrzebie ich sprzedania. Na szczęście kiedy pewnego razu poznał Yoyiego Gołębia, młodego czło-wieka o niezawodnym instynkcie handlowym, i podjął z nim współpracę sprowadzającą się wyłącznie do wyszukiwania wybranych pozycji, na które Yoyi zawsze miał upatrzonych nabywców, dla Condego zaczął się trwający kilka lat okres dobrobytu, to zaś pozwoliło mu oddać się niemal bez zahamowań wszystkiemu, co tak sobie upodobał: lekturze dobrych książek, jedzeniu, picciu, słuchaniu muzyki i filo-zofowaniu (a po prawdzie pieprzeniu głupot) w towarzystwie najbliższych i najbardziej zacietrzewio-nych przyjaciół.

Niemniej jego działalność handlowa nie była studnią bez dna. Od trzech czy czterech lat, wkrótce po natknięciu się na bajeczną bibliotekę rodziny Montes de Oca, zamkniętą i niedostępną przez pięćdziesiąt lat z racji nadgorliwości rodzeństwa Dionisia i Amalii Ferrerów³, nigdy więcej nie znalazł podobnej żyły złota, a każde zamówienie złożone przez wymagających klientów Yoyiego wymagało ogromnych wysiłków. Coraz bardziej wyjałowiony teren wyglądał niczym spękana ziemia w czasie długotrwałej su-szy i Conde przeżywał właśnie okres, w którym upadki zdarzały mu się znacznie częściej niż wzloty, co często zmuszało go do znojnnej i żebraczej sprzedaży ulicznej.

Po półtoragodzinnym krążeniu po El Cerro i bezskutecznym wykrzykiwaniu docierającym aż do są-siedniej dzielnicy Palatino zmęczenie, rozleniwienie i palące wrześnieowe słońce kazały mu zwinąć inte-res i wskoczyć do autobusu, który Bóg raczy wiedzieć skąd przyjechał i jakimś cudem zatrzymał się tuż przy nim, by zawieźć go do domu współnika.

Yoyi Gołąb, w przeciwieństwie do Condego, był biznesmenem z wizją, który umiejętnie poszerzał pole swojej działalności. Białe kruki i wartościowe woluminy stanowiły tylko jego hobby, zapewniał, a najbardziej dochodowe interesy dotyczyły kupna i sprzedaży domów, samochodów, biżuterii, cennych przedmiotów. Ten młody inżynier, który nigdy nie dotknął narzędzi ani nie odwiedził żadnego placu budowy, od dawna wiedział – w czym przejawiał dalekowzroczność niezmiennie wprawiającą Condego w zdumienie – że ich kraj niewiele ma wspólnego z wizją rajy roztaczaną przez gazety i głoszoną w oficjalnych przemówieniach, postanowił zatem wyciągnąć korzyści, jakie przedsiębiorczy ludzie czerpią z wszechobecnego ubóstwa. Jego umiejętności oraz inteligencja pozwoliły mu rozwinąć działania na wielu frontach, na granicy legalności, acz niezbyt daleko od jej przekroczenia, i robić interesy, które zapewniały wystawne życie: od kupowania markowych ubrań i złotych kosztowności po włożenie się po restauracjach, zawsze w towarzystwie pięknych kobiet, i przejażdżki kabrioletem Chevrolet Bel Air z 1957 roku, najprawdziwszym produktem amerykańskim, uznawanym przez znawców motoryzacji za maszynę doskonałą, solidną, elegancką i komfortową, która kosztowała go fortunę, w każdym razie na stosunki kubańskie. Yoyi, jakkolwiek by na to patrzeć, był wzorcowym egzemplarzem z katalogu Nowego Człowieka, wytworem swoich czasów i okoliczności: trzymał się z dala od polityki, pełnymi garściami korzystał z życia i wyznawał utylitarną moralność.

– O kurwa, *man*, wyglądasz jak kupa gówna – stwierdził na widok Condego i jego spoconego oblacza, które opisał z tak precyzyjną skatologiczną semantyką.

– Dziękuję – wykrztusił gość i opadł na miękką kanapę, na której Yoyi, świeżo wykąpany po dwugodzinnych ćwiczeniach w prywatnej siłowni, relaksował się, śledząc na pięćdziesięciodwucalowej plaźmie mecz bejsbolowy jakiejś drużyny z amerykańskiej Major League.

Jak zwykle Yoyi zaprosił go na lunch. Tego dnia kucharka przygotowała dorsza po baskijski, ryż z czarną fasolą, banany na słodko i sałatkę z mnóstwa warzyw, co Conde pochłonął łapczywie i perfidnie, wspomagany butelką pesquery rezerwy, którą Yoyi wyciągnął z freezera, gdzie przechowywał swoje wino w stosownej, znacznie odbiegającej od tropikalnej, temperaturze.

Kiedy pili na tarasie kawę, Conde znów poczuł przypływ wszechgarniającego przygnębienia.

– Nic z tego nie wyjdzie, Yoyi. Ludzie nie mają już nawet starych gazet...

– Zawsze coś się znajdzie, *man*. Tylko się nie załamuj – powiedział Yoyi i swoim zwyczajem poglądził ogromny złoty medalion z podobizną Najświętszej Pani, zawieszony na grubym łańcuchu z tego samego kruszcu, opadającym na wypukłą, przypominającą gołębie wole pierś, od której młody biznesmen wziął swój przydomek.

– Skoro tak, to co mam, do diabła, robić?

– Węszę grubszy interes – powiedział Yoyi, wciągając nosem skwarne wrześnie powietrze. – Skapnie ci kupa pesos...

Conde dobrze wiedział, do czego prowadzą węchowe przeczucia Yoyiego, i zawstydyził się na myśl, że odwiedza ten dom po to, by je sprowokować. Ale niewiele już zostało z jego dawnej dumy, czując więc na szyi dławiącą pętlę, przychodził, żeby się wyzalić. W wieku pięćdziesięciu czterech lat uznawał się za paradygmatycznego członka grupy nazwanej niegdyś przez niego i jego przyjaciół ukrytym pokoleniem, złożonym z coraz bardziej starzejących się i złamanych życiem osobników, którzy nie mogą wyjść ze swej nory, ulegli ewolucji (w istocie inwolucji), by przekształcić się w najbardziej rozczarowane i udupione pokolenie w nowym, formującym się dopiero państwie. Wycieńczenie i zaawansowany wiek nie pozwoliły im poddać się recyklingowi i zostać marszandami albo prezesami zagranicznych korporacji, albo przynajmniej hydraulikami czy cukiernikami, i tylko z trudem udawało im się jakoś przetrwać. Podczas gdy niektórzy utrzymywali się przy życiu dzięki dolarom przysyłanym przez rozproszone po całym świecie dzieci, inni robili, co mogli, żeby uniknąć skrajnego ubóstwa lub więzienia, mając się wszelkich zawodów: korepetytorów, szoferów wynajmujących swoje rozklekotane auta, pracujących na własny rachunek weterynarzy albo masażystów – co tylko się nadarzyło. Lecz decyzja, by przetrwać, gryząc ściany, nie należała do łatwych i powodowała kosmiczne zmęczenie, nieustające po-

czucie niepewności oraz totalnej klęski, które często prześladowało ekspolicjanta, zmuszając go, wbrew jego woli i chęci, do wydeptywania ulic w poszukiwaniu starych książek, by zarobić choćby parę pesos.

Po wypiciu kawy, wypaleniu kilku papierosów i rozmowie o życiu Yoyi ziewnął tak potężnie, że aż zadygotały ściany, po czym oświadczył Condemu, że nadszedł czas sjesty, jedynej stosownej czynności, jakiej winien oddać się o tej porze i w tym upale każdy hawańczyk godny swego miana.

– Bez obaw, już idę...

– Nigdzie nie idziesz, *man* – oświadczył Yoyi, kładąc szczególnie nacisk na to ostatnie, ulubione przezeń słówko. – Wyciągnij z garażu łóżko polowe i zabierz je do pokoju. Już wcześniej kazałem włączyć tam klimatyzację... Sjestą rzecz święta... Potem muszę wyjść, więc odwiozę cię do domu.

Conde, nie mając nic lepszego do roboty, wykonał polecenie Gołębia. Mimo że był od Yoyiego dwadzieścia lat starszy, zwykł wierzyć w jego życiową mądrość. A nadto, po zjedzeniu dorsza i wypiciu pesquery, sjestą narzucała się siłą rzeczy, niczym nakaz dyktowany geograficznym fatalizmem tropików i najlepszą częścią iberyjskiego dziedzictwa.

Trzy godziny później, usadowieni w lśniącym chevroletcie – kabriolet po dziurawych hawańskich ulicach prowadził z dumą Yoyi – zmierzali ku dzielnicy, w której mieszkał Conde. Gdy byli już prawie na miejscu, ekspolicjant poprosił współnika, żeby się zatrzymał.

– Wysadź mnie na rogu, mam tu coś do załatwienia...

Yoyi Gołąb uśmiechnął się i podjechał do krawężnika.

– Przed Barem Desperatów? – zapytał, dobrze zorientowany w słabościach i potrzebach byłego policjanta i jego duszy.

– Mniej więcej.

– Masz jeszcze forszę?

– Mniej więcej. Z funduszu zakupu książek. – Conde powtórzył stałą formułkę i wyciągnął na pożegnanie rękę do współnika, który mocno ją uściskał. – Dziękuję za obiad, sjestę i słowa otuchy.

– Słuchaj, *man*, w każdym razie weź to na wszelki wypadek. – Przytrzymując kierownicę chevroleta, Yoyi przeliczył banknoty w wyciągniętym z kieszeni pliku i wręczył część Condemu. – Drobniauchna zaliczka na poczet dobrego interesu, który wyniuchałem.

Conde spojrział nań i nie namyślając się długo, wziął pieniądze. Nie wydarzyło się to po raz pierwszy, a kiedy Yoyi wspominał o zwietrzeniu dobrego interesu, ekspolicjant domyślił się, że i tym razem jest to forma pożegnania. Choćby relacje między nimi zrodziły się na kanwie handlu, a każdy z nich wniósł do owej spółki własne umiejętności, Conde wiedział, że współnik szczerze go docenia. Toteż bez uszczerbku dla honoru przyjął banknoty, które na jakiś czas zapewniały mu oddech.

– Wiesz co, Yoyi? Jesteś najprzyzwoitszym skurwysynem na Kubie.

Yoyi uśmiechnął się, gładząc dyndający na piersi złoty medalion.

– Nie rozgaduj tego, *man*... jak się rozniesie, że jestem przyzwoity, stracę autorytet. To na razie. – Zapuścił silnik milczącego bel aira. Samochód ruszył pełnym gazem, jakby wioził króla ulicy Calzada. Albo całego świata.

Mario Conde miał przed sobą obraz dewastacji i z całą wyrazistością dostrzegał, że ów widok tylko pogłębia w nim depresję. Skrzyżowanie, które było sercem jego dzielnicy, przypominało teraz ropiejący wrzód. Z perwersyjną nostalgią wspominał, jak w czasach dzieciństwa dziadek Rufino uczył go sekretnej sztuki szkolenia kogutów do walki, starając się tak wyćwiczyć uczucia wnuka, by zapewnić mu edukację niezbedną do przetrwania w świecie jakże przypominającym walkę kogutów. Tego popołudnia Conde stał dokładnie w tym samym miejscu i patrzył na tłum ludzi niezmiennie kotłujący się na słynnej pętli autobusowej, na której przez wiele lat pracował jego ojciec. Teraz jednak, gdy zlikwidowano komunikację miejską, dworzec z wolna popadał w ruinę, zdegradowany do rangi parkingu dla pojazdów w stanie agonialnym. W dodatku bar Conchity, budka Porfiria z guarapo, stoisko Pancha Mentiry i rodziny Albino z fritas, skup złomu Nenity, zakład fryzjerski Wilda i Chila, dworcowa jadłodajnia, stragan

z kurczakami Miguela, winiarnia Narda i Manola, kafejka Izquierda, sklep Chińczyków, pawilon meblowy, sklepik żelazny, dwa warsztaty samochodowe z myjnią i składem opon, sala bilardowa, piekarnia La Ceiba pachnąca życiem... zniknęły także, jakby tsunami lub coś jeszcze gorszego zmiotło je z powierzchni ziemi, a ich obraz rozmywał się w upartej pamięci ludzi pokroju Condego. Teraz, oskrzydłony dziurawymi ulicami i zdewastowanymi chodnikami, jeden z warsztatów został przemianowany na kawiarnię, w której handlowano wrakami samochodów na części zamienne płatne w CUC, szemranym wymiennalnym peso kubańskim. W drugim warsztacie samochodowym nie działo się nic. Natomiast w lokalu, który mieścił ongiś winiarnię Narda i Manola, wielokrotnie adaptowanym i przerabianym, zawsze na gorsze, znajdował się niewielki, otwarty na ulicę Calzada barek, który – chroniony przed możliwym atakiem korsarzy i piratów przez porządnie żelazne pręty – służył jako miejsce zbytu alkoholu i tytoniu, ochrzczone przez Condego mianem Baru Desperatów. Tam właśnie, a nie w kawiarni z płatnością w CUC, tutejsi pijacy dniem i nocą raczyli się tanim rumem pozabawionym uroków lodu, stojąc lub siedząc na załuszczonej podłodze i walcząc o miejsce ze sforą bezdomnych kundli.

Conde, omijając wypełnione mętą wodą kałuże, przeszedł na drugą stronę Calzada i skierował się ku więziennej kracie wznoszącej się nad nowym barem. Co prawda tego popołudnia nie suszyło go tak strasznie, lecz mimo wszystko czuł, że musi się napić. Jego wybawcą miał zostać właściciel baru, Gandinga, dla bywalców Gandi.

Po dwóch solidnych drinkach i dwóch długich godzinach, wykąpany i wyperfumowany niemiecką wodą kolońską ofiarowaną przez Aymarę, bliźniaczkę Tamary, Conde powrócił na ulicę. W misce stojącej przy psich drzwiczkach w kuchni zostawił jedzenie dla Śmiecia II, który mimo ukończonych już dziesięciu lat kontynuował upodobanie do zwyczajów bezpieczeństwa psów, odziedziczone po ojcu, zasłużonym i pochowanym już Śmieciu I. Dla siebie jednak nie przygotował nic, albowiem – jak prawie każdego wieczoru – Josefina, matka jego przyjaciela Carlosa, zaprosiła go na kolację, a w takim wypadku lepiej było zachować w brzuchu jak najwięcej wolnego miejsca. Z dwiema butelkami rumu, które dzięki wspaniałomyślności Yoyiego mógł kupić w Barze Desperatów, wsiadł do autobusu i pomimo upału, szarpaniny, akustycznej i moralnej przemocy reggaetonu i poczucia wszechobecnej udręki perspektywa mile spędzonego wieczoru skłoniła go do refleksji, że znów czuje się w miarę spokojny, niemal poza światem, który tak bardzo go irytował i nieustannie mu zagrażał.

Spędzenie wieczoru z przyjaciółmi w domu chudzielca Carlosa, który już od dawien dawna przestał być chudy, było dla Maria Condego najlepszym sposobem zakończenia dnia. Drugim było spędzenie wieczoru z Tamarą na wspólnym oglądaniu jego ulubionych filmów – czegoś w stylu *Chinatown*, *Cinema Paradiso* albo *Sokoła maltańskiego* czy też niezmiennie odpychającego i wzruszającego obrazu *Byliśmy tacy zakochani* Ettore Scoli, w udziałem Stefani Sandrelli, zdolnej wzbudzić instynkty kanibalistyczne – aby zamknąć dzień seansem seksu, coraz bardziej stonowanego i niespiesznego (z obu stron), lecz zawsze sprawiającego wiele satysfakcji. Owe drobne przyjemności stanowiły najlepszą cząstkę tego, co zostało mu z życia, które w miarę jak Condemu przybywało lat i celnie wymierzanych weń kopniaków, wyzbywało się nadziei i sprowadzało do pospolitego trwania. Na domiar złego porzucił wszelkie marzenia o napisaniu kiedyś powieści, w której opowiedziałby jakąś historię, ma się rozumieć również odpychającą i wzruszającą, w stylu tego dupka Salingera, który umrze łała chwila i z pewnością nie opublikuje nawet najmizerniejszej nowelki.

Jedynie na terytoriach owych światów, uparcie konserwowanych na obrzeżach realnego czasu, chronionych wysokimi murami wzniesionymi przez Condego i jego przyjaciół przeciw inwazji barbarzyńców, istniały swojskie i niezmiennie przestrzenie, z których żaden z nich, mimo że dotykały ich zmiany fizyczne i umysłowe, nie chciał ani nie zamierzał rezygnować: światy, z którymi się utożsamiali i gdzie czuli się niczym figury woskowe, niemal zupełnie odporne na klęski i zgniliznę otoczenia.

Carlos Chudzielec, Królik i Ryży Candito już czekali pod bramą, pogrążeni w rozmowie. Od paru miesięcy Carlos cieszył się z posiadania elektrycznego wózka inwalidzkiego na baterie. Urządzenie to sprowadziła z Zaświatów zawsze wierna i uczynna Dulcita, najwierniejsza eksnarzczona Chudzielca,

teraz wierna w dwójnasób, gdyż od roku była wdową i dwakroć częściej przyjeżdżała z Miami, przedłużając swoje pobyty na Wyspie z przyczyn oczywistych, których nie chciała ujawniać publicznie.

– Wiesz, która godzina, dzikusie? – powitał go Chudzielec i ruszył swoim samobieżnym wózkiem w stronę Condego, po czym wyrwał mu z ręki torbę, zawierającą, o czym dobrze wiedział, paliwo niezbędne do ożywienia wieczoru.

– Nie pierdol, gadzino, jest wół do dziewiątej... Jak się masz, Króliku? Co słyhać, Ryży? – wypytywał, ściskając dłonie przyjaćół.

– Udupiony, ale zadolony – odrzekł Królik.

– Jak wyżej – stwierdził Candito, wskazując brodą na Królika – ale nie narzekam. Jak mi się chce narzekać, przez chwilę się modlę.

Conde uśmiechnął się. Odkąd Candito zrezygnował z ożywionej działalności, jakiej oddawał się latami (szefa nielegalnego baru, wytwórcy butów z kradzionych materiałów, administratora pokątnej stacji benzynowej), i przeszedł na protestantyzm (Conde nigdy nie wiedział na który) – ów Mulat o szafrańcowych niegdyś włosach, teraz już, jak mawiają, zbielałych śniegami lat, rozwiązywał swoje problemy, powierzając się Bogu.

– Któregoś dnia, Ryży, poproszę cię o chrzest – powiedział Conde. – Problem w tym, że jestem do tego stopnia zdołowany, że potem będę się musiał modlić przez cały dzień.

Carlos wrócił do bramy swoim samobieżnym wózkiem, trzymając na sparaliżowanych kolanach tacę, na której pobrzękiwały trzy kieliszki z rumem i szklanka z lemoniadą. Rozdając napoje – lemoniada była oczywiście przeznaczona dla Candita – oświadczył:

– Stara już kończy pichcenie kolacji.

– A co nam dziś zaserwuje Josefina? – dopytywał się Królik.

– Twierdzi, że nie wyszło najlepiej, bo zabrakło jej trochę natchnienia.

– No to szykujcie się! – przestrzegł Conde, widząc oczyma wyobraźni, co ich czeka.

– Skoro jest taki upał – powiedział Carlos – na początek zupa z ciecierzycy, z chorizo, kaszanką, kawałkami wieprzowiny i ziemniakami... Na drugie przygotowała pieczonego pagrusa, niezbyt dużego, tak z dziesięć funtów, no i oczywiście ryż, ale z jarzynami, bo jak mówi, to dobre na trawienie. Przyrządziła też sałatkę z awokado, fasoli, rzodkiewki i pomidorów.

– A na deser? – Królik ślinił się niczym chory na wściekłą pies.

– To, co zawsze: mus z guajawy, z białym serem... Sami widzicie, że naprawdę zabrakło jej natchnienia.

– A niech mnie, Chudzielcu, ta kobieta jest magikiem? – zapytał Candito, czując zapewne, że uczta wykracza poza jego bezgraniczną wiarę nawet w rzeczy nienamacalne.

– Nie wiedziałeś?! – wykrzyknął Conde i jednym haustem wypił pół kieliszka rumu. – Nie zgrywaj się, Candito, nie zgrywaj!

– Mario Conde?

Usłyszawszy to pytanie, które zadał mu mastodont z włosami związanymi w kucyk, Conde zrobił w myślach szybki rachunek sumienia: już od lat nie przyprowadził nikomu rogów, handel książkami, jak na biznes, wydawał się czysty (fakt, wisi Yoyiemu trochę kasy)... poza tym już dawno przestał być policjantem, więc nie może tu chodzić o zemstę. A kiedy uwzględnił w swoich kalkulacjach ton głosu, bardziej pełen nadziei niż agresywny, i wyraz twarzy mężczyzny, nabrał przekonania, że nieznamy raczej nie zamierza go ukatrupić ani pobić.

– Tak, słucham...?

Nieznamy wstał z jednego ze stojących przed bramą wysłuchanych, odrapanych foteli, które Conde, mimo ich żałostnego stanu, powiązał łańcuchem i dodatkowo przymocował do kolumny, by udaremnić

jakąkolwiek próbę zmiany miejsca ich pobytu. W półmroku, nieco tylko rozjaśnionym przez uliczną latarnię – ostatnia żarówka umieszczona przez niego przy wejściu została przełożona do jakiejś innej, bliżej nieokreślonej lampy, co zdarzyło się pewnej nocy, gdy Conde, zbyt pijany, żeby zaprzętać tym sobie głowę, zapomniał ją wkręcić – mógł stworzyć wstępny portret przybysza. Był to wysoki mężczyzna (miał z metr dziewięćdziesiąt wzrostu), przekroczył czterdziestkę i zapewne także wagę stosowną dla jego budowy ciała. Włosy, rzadkie nad czołem, a w ramach rekompensaty długie na karku, zebrane były w kucyk, który dobrze komponował się z wydatnym nosem. Kiedy Conde podszedł bliżej i dostrzegł różowawą błądź twarzą oraz elegancki strój, domyślił się, że nieznajomy przybył z za morza. Ktoregokolwiek z siedmiu mórz świata.

– Bardzo mi miło, Eliasze Kamiński – powiedział cudzoziemiec i zdobywając się na uśmiech, wyciągnął do Condego prawą dłoń.

Były policjant, czując pod palcami miękkie i ciepłe łapsko nieznajomego, zdradzające przyjazne zamiary, włączył swój trzeszczący komputer umysłowy, aby dociec, co powodowało tym cudzoziemcem, że niemal o północy oczekiwał go w mroku bramy. Czy zgodnie z przeczuciami Yoyiego stał przed nim poszukiwacz białych kruków? Na takiego wygląda, pomyślał i naśladując handlową rozwagę Gołębia, przybrał obojętny wyraz twarzy osoby nieskorej do robienia interesów.

– Pańskie nazwisko... – Conde porządkował myśli, na szczęście niezbyt zmaczone alkoholem wskutek szoku pokarmowego, o który postarała się stara Josefina.

– Eliasze, Eliasze Kamiński... – Mężczyzna mówił wyuczoną, neutralną hiszpańszczyzną. – Proszę wybaczyć, że czekam tu na pana, w dodatku o tak późnej porze... Otóż... – Zapewne speszony sytuacją, usiłował się uśmiechnąć, po czym doszedł do wniosku, że najlepiej od razu wyłożyć atutową kartę na stół. – Jestem przyjacielem pańskiego przyjaciela... Andresa, lekarza mieszkającego w Miami...

Jakby za sprawą magii słowa te wymiotły z głowy Condego ostatni ślad nieufności. To na pewno jakiś poszukiwacz białych kruków podesłany przez przyjaciela. Czyżby Yoyi wiedział coś o tym i dla draki udawał, że ma przeczucia?

– No tak, wspominał mi o tym... – skłamał Conde, chociaż od dwóch albo trzech miesięcy nie miał od Andresa żadnych wieści.

– To dobrze. Pański przyjaciel polecił przekazać pozdrowienia i... – sięgnął do kieszeni markowej koszuli (od Guessa, domyślił się Conde) – napisał do pana ten list.

Conde sięgnął po kopertę. Od lat nie dostał żadnego listu od Andresa, był zatem ciekaw, co przyjaciel napisał. Jakaś nadzwyczajna przyczyna musiała go skłonić do tego kroku, odkąd bowiem osiadł w Miami, postanowił (w ramach zabiegów profilaktycznych zapobiegających podstępny macromostalgii) utrzymywać dość ostrożne związki z przeszłością, wciąż nazbyt bliską, a wzięwszy pod uwagę teraźniejszość, zgubną dla jego zdrowia. Tylko dwa razy w roku, ulegając atakom melancholii, przerywał milczenie: wieczorem w dniu urodzin Carlosa i trzydziestego pierwszego grudnia, kiedy dzwonił do domu Chudzielca, wiedząc, że są tam wszyscy jego przyjaciele i przy flaszcze rumu dokonują bilansu strat, do których zaliczali też rozstanie z nim samym przed dwudziestu laty, gdy Andrés, jak w tekście pewnego bolera, odjechał, by nigdy nie wrócić. Chociaż owszem, pożegnał się z nim;⁴

– Pański przyjaciel Andrés pracuje w centrum geriatrycznym, w którym moi rodzice mieszkali wiele lat, aż do śmierci – odezwał się ponownie mężczyzna, widząc, że Conde składa kopertę i chowa ją do kieszonki. – Był z nimi w zażyłych stosunkach. Moja matka, która zmarła kilka miesięcy temu...

– Przykro mi.

– Dziękuję... Matka była Kubanką, a ojciec Polakiem, ale mieszkał na Kubie dwadzieścia lat. Potem, w pięćdziesiątym ósmym, oboje wyjechali. – Coś w uczuciowej pamięci Eliasza Kamińskiego wywołało lekki uśmiech. – Chociaż spędził tu tylko dwadzieścia lat, zawsze powtarzał, że jest Żydem z urodzenia, Polakiem i Niemcem po rodzicach i z powodu miejsca, w którym przyszedł na świat, formalnie obywatelem Stanów Zjednoczonych, lecz nade wszystko Kubańczykiem. Bo w istocie był bardziej Ku-

bańczykiem niż kimkolwiek innym. Z partii smakoszy czarnej fasoli i manioku z sosem mojo, mawiał zawsze...

– A więc był moim krajanem... Może usiądziemy?

Conde wskazał fotele, wyciągnął klucz i zdjął kłódkę z łańcucha, który spajał wysłużone meble jak skazane na nierozzerwalny związek małżeństwo, po czym rozstawił je, by wygodniej było rozmawiać. Zaintrygowanie wywołane ciekawością, dlaczego ten człowiek go szuka, rozwiało resztki przygnębienia, które nękało ekspolicjanta od kilku tygodni.

– Dziękuję – powiedział Eliaz Kamiński i usadowił się w fotelu – ale nie zabiorę panu dużo czasu o tak późnej godzinie...

– Dlaczego chciał pan się ze mną spotkać?

Kamiński wyjął paczkę cameli i podsunął ją Condemu, który uprzejmie odmówił. Tylko katastrofa nuklearna albo zagrożenie życia skłoniłoby go do zaciągnięcia się tym aromatycznym, słodkawym gównem. Conde był nie tylko członkiem partii smakoszy czarnej fasoli, lecz także nikotynowym patriotą, co udowodnił, zapalając jednego z niszczycielskich, mocnych i pozbawionych filtra criollos.

– Zakładam, że Andrés wyjaśnił to panu w liście... Jestem malarzem, urodziłem się w Miami, a teraz mieszkam w Nowym Jorku. Rodzice nie znosili zimna i dlatego musiałem ich zostawić na Florydzie. Mieli własny apartament w centrum geriatrycznym, gdzie poznali Andresa. Mimo więzi łączących rodziców z Kubą jestem tutaj pierwszy raz i... cóż, długo by mówić... Czy przyjmie pan zaproszenie na śniadanie u mnie w hotelu jutro rano i wtedy o tym porozmawiamy? Andrés mówił, że jest pan najbardziej odpowiednią osobą, która mogłaby mi pomóc w poznaniu pewnej historii związanej z moimi rodzicami... Oczywiście wynagrodzę pański trud, jakżeby inaczej...

Słuchając Kamińskiego, Conde czuł, jak przygaszone dotąd światła alarmowe zaczynają znów pulsować w jego głowie. Skoro Andrés odważył się przysłać do niego tego człowieka, który chyba jednak nie poszukiwał białych kruków, to musiał mieć ważny powód. Ale zanim on sam wypije kawę z nieznanym, a tym bardziej zanim mu powie, że nie ma czasu ani sił, aby zaangażować się w jego sprawy, musi się najpierw czegoś dowiedzieć. Chwileczkę... facet powiedział, że zapłaci... Ile? Prześladowane go w ostatnich miesiącach ubóstwo nadawało tej informacji smakowity podtekst. Tak czy owak najlepszym rozwiązaniem jest zacząć od początku.

– Pozwoli pan, że przeczytam list?

– Oczywiście. Ja nie mógłbym się doczekać.

Conde się uśmiechnął. Otworzył drzwi i od razu zobaczył Śmiecia II wylegującego się na kanapie, która była jedynym wolnym miejscem pośród stosu książek. Zaspany, burkliwy pies nawet nie poruszył ogonem, gdy Conde zapalił światło i otworzył kopertę.

Miami, 2 września 2007

Kondeuszu!

Jeszcze sporo czasu brakuje do telefonu na koniec roku, ale ta sprawa nie może czekać. Wiem od Dulcity, która parę dni temu wróciła z Kuby, żeście wszyscy zdrowi, tyle że bardziej wyłysiali i utuczeni. Doręczyciel tego listu NIE jest moim przyjacielem. PRAWIE przyjaciółmi byli jego rodzice, dwoje superstaruszków, zwłaszcza on, polski Kubańczyk. Ten pan, o którym mowa, jest malarzem, ponoć wziętym, poza tym dostał w spadku po rodzicach różne rzeczy (\$). UWAZAM, że to przyswoity facet. Nie jak Ty albo ja, ale mniej więcej.

To, o co Cię poprosi, jest bardzo zagmatwane i nie sądzę, żeby nawet Tobie udało się rozwickać tę zagadkę, ale chociaż spróbuj, bo nawet ja jestem ciekaw tej historii. A jest ona, jak się przekonasz, w Twoim stylu.

Co oczywiste, uprzedziłem go, że bierzesz za zlecenie sto dolarów dziennie plus wydatki. Wyczytałem to w jakiejś powieści Chandlera, którą mi pożyczyłeś kupę lat temu. O facecie, co to gałdał jak bohaterowie Hemingwaya... Wiesz, o którą chodzi?

Uściski dla WSZYSTKICH. Wiem, że w przyszłym tygodniu są urodziny Królika. Pozdrów go ode mnie. Eliasz przekaże mój prezencik dla niego i lekarstwa, które José musi brać.

Z wyrazami miłości i żalości

Twój przyjaciel NA WIEKI

Andrés

PS: Ach, koniecznie poproś Eliasza, żeby opowiedział Ci historię ze zdjęciem Orestesa Miño...

Oczy Condego zwilgotniały. To zapewne narastające zmęczenie, frustracja, upał i parne powietrze wywołują podrażnienie spojówek, okłamywał się bezwstydnie. W liście Andrés napisał niewiele, choć powiedział wszystko, z tymi swoimi przemilczeniami i podkreśleniami w postaci wielkich liter. Zdradziło go to, że z kilkudniowym wyprzedzeniem pamiętał o urodzinach Królika: sam nie wysłał życzeń prawdopodobnie dlatego, że nie chciał się rozkleić. Andrés, mimo fizycznego oddalenia, wciąż pozostał zbyt blisko nich, a przynależność do plemienia była niezwykła PER SAECULA SAECULORUM, zapisane wielkimi literami.

Położył list na zamarym radzieckim telewizorze, którego nie miał sumienia wyrzucić na śmietnik, i czując brzemień nostalgii, jeszcze bardziej pogłębiającej jego wieczne i dotkliwie frustracje, rzekł sobie, że najlepszym sposobem, by podołać tej nieoczekiwanej rozmowie, jest prowadzić ją w oparach alkoholu. Z butelki, którą trzymał w rezerwie, nalał do dwóch szklanek solidną porcję podłego rumu. Wtedy dopiero w pełni mógł ocenić sytuację: ten człowiek zapłacił mu sto dolarów dziennie za pomoc w wyjaśnieniu jakiejś sprawy? Niemal poczuł zawrót głowy. W upadającym i zubożałym świetle, w jakim żył Conde, sto dolarów było fortuną. A jeśli będzie pracował pięć dni? Ta myśl przyprawiła go o jeszcze większy zawrót głowy, więc by go opanować, upił łyk prosto z butelki. Ze szklankami w ręce i umysłem zaabsorbowanym planami finansowymi wrócił pod bramę.

– Odważy się pan spróbować? – zapytał Eliasza Kamińskiego i podał mu szklankę, którą tamten przyjął, mamrocząc podziękowanie. – To tani rum... który zwykle pijam.

– Niezły – stwierdził cudzoziemiec, ostrożnie umoczywszy wargi. – Haitański? – zapytał tonem kiper, po czym spiesznie wyjął z paczki i zapalił następnego camela.

Conde pociągnął długi łyk i teraz to on degustował owego zjadliwego sikacza.

– Tak, chyba haitański... Cóż, możemy porozmawiać jutro w pańskim hotelu i opowie mi pan wszystko ze szczegółami... – zaczął, z trudem kryjąc zaciekawienie. – Ale proszę mi teraz powiedzieć, na czym miałyby polegać moje zadanie.

– Jak już mówiłem, to długa historia. Wiąże się z życiem mojego ojca, Daniela Kamińskiego... Na razie powiem tylko, że szukam śladów pewnego obrazu, który według wszelkich informacji jest dziełem Rembrandta.

Condemu nie pozostało nic innego, jak się uśmiechnąć. Rembrandt na Kubie? Przed laty, kiedy był jeszcze policjantem, obraz Matisse'a wplątał go w bolesną historię pełną namiętności i nienawiści. Matisse okazał się bardziej fałszywy niż przysięga złożona przez kurwę... albo policjanta⁵. Ale wzmianka o obrazie holenderskiego mistrza nazbyt poruszyła jego ciekawość, która rosła, w miarę jak ubywało tego obrzydliwego rumu, może faktycznie haitańskiego, i nabierała realności obietnica sowitej zapłaty.

– A więc chodzi o Rembrandta... Co się właściwie wydarzyło i jaki to ma związek z pańskim ojcem? – naciskał Conde, szukając argumentów, jakimi mógłby przekonać cudzoziemca do kontynuowania rozmowy. – O tej porze prawie nie ma upału... no i zostało jeszcze trochę rumu.

Kamiński opróżnił szklankę i podał ją Condemu.

– Proszę włączyć rum w koszty własne...

– Wkręć żarówkę do latarni, żebyśmy się lepiej widzieli, co pan na to?

Znalazł żarówkę, podstawił sobie krzesło, żeby sięgnąć do oprawki, a kiedy zabłysło światło, pomyślał, że w istocie to wszystko jest bez sensu. Po jaką cholere zachęca tego człowieka, żeby opowiedział mu swoją rodzinną historię, skoro prawdopodobnie w niczym nie będzie mógł mu pomóc. Tylko dlatego, że jeżeli się zgodzi, sporo na tym zarobi? Do tego doszedłeś, Mario Conde? – zadał sobie pytanie, nawet nie próbując na nie odpowiedzieć.

Usiadłszy ponownie w fotelu, Eliaz Kamiński wyjął z kieszonki swojej wystrzałowej koszuli jakieś zdjęcie i podał je Condemu.

– Kluczem może być to.

Była to niedawno zrobiona odbitka starej fotografii. Oryginalna sepia przybrała odcień szarości, a na brzegach widać było nieregularne krawędzie pozółkłego kartonu. Zdjęcie przedstawiało kobietę w wieku niespełna trzydziestu lat. Ubrana była w ciemną suknię i siedziała w wyścielonym brokatem fotelu z wysokim oparciem. Obok stał chłopczyk, może pięcioletni, który trzymał dłoń na jej podolku i wpatrywał się w obiektyw. Ze strojów i fryzur Conde wywnioskował, że zdjęcie wykonano w latach dwudziestych ubiegłego wieku. Uprzedzony o wątku sprawy, przeniósł wzrok ponad postaci, na niewielki obraz wiszący na ścianie w głębi, nad stolikiem z bukietem białych kwiatów w wazonie. Jeśli przyjąć głowę kobiety za wzorzec proporcji, obraz mógł mieć jakieś czterdzieści na dwadzieścia pięć centymetrów. Conde przysunął fotografię do światła, żeby przyjrzeć się namalowanej postaci: ujrzał portret mężczyzny o opadających na ramiona włosach, rozdzielonych przedziałkiem pośrodku głowy, i z rzadką, zmierzwioną brodą. Była w tej twarzy, zwłaszcza w jej zagubionym, melancholijnym spojrzeniu, jakaś nieskończoność i Conde zastanawiał się, czy jest to wizerunek człowieka, czy też wyobrażenie Chrystusa podobne do tych, jakie widywał w albumach płócien Rembrandta... Chrystus Rembrandta w żydowskim domu?

– To ten Rembrandt? – zapytał, nie podnosząc wzroku.

– Kobieta jest moją babką, a chłopiec moim ojcem. Zdjęcie wykonano w ich krakowskim domu... a ten obraz uznano za dzieło Rembrandta. Lepiej widać przez lupę...

Tym razem z kieszonki sztywniej koszuli została wyjęta lupa, przez którą Conde dłuższą chwilę wpatrywał się w fotografię.

– Co ten obraz ma wspólnego z Kubą?

– Znajdował się na Kubie. Potem zniknął. Cztery miesiące temu pojawił się w jednym z londyńskich domów aukcyjnych, wystawiony na sprzedaż... Jego cena wywoławcza wynosi milion dwieście tysięcy dolarów, ponieważ to tylko szkielet, jeden z kilku, które wykonał Rembrandt do postaci Chrystusa, kiedy pracował nad wersjami obrazu *Wieczera w Emaus* z tysiąc sześćset czterdziestego ósmego roku. Coś panu wiadomo na ten temat?

Conde dopił rum i ponownie spojrzął przez lupę na obraz, nie mogąc powstrzymać się od pytania: ileż problemów w życiu Rembrandta – bardzo popieprzonym, jak gdzieś wyczytał – dałoby się rozwiązać dzięki temu milionowi dolarów.

– Niewiele... – przyznał. – Oglądałem reprodukcje tego płótna... ale jeśli dobrze pamiętam, w *Wieczery* Chrystus ma głowę uniesioną, prawda?

– Tak... To płótno trafiło w ręce rodziny mego ojca w roku tysiąc sześćset czterdziestym ósmym. Moi dziadkowie, Żydzi uciekający przed nazistami, przemycili je na Kubę w trzydziestym dziewiątym... Było to jakby ich ubezpieczenie na życie. Obraz został na Kubie. A oni nie. Ktoś sobie tego Rembrandta przywłaszczył... Od paru miesięcy ktoś inny, sądząc być może, że to dogodny moment, próbuje go sprzedać. Kontaktuje się z domem aukcyjnym poprzez adres pocztowy w Los Angeles. Przedstawił certyfikat autentyczności wystawiony w Berlinie w roku dwudziestym ósmym i dokument sprzedaży poświadczony notarialnie tu, w Hawanie, w czterdziestym... dokładnie wtedy, kiedy moi dziadkowie i ciotka przebywali już w obozie koncentracyjnym w Holandii. Dzięki tej fotografii, którą mój ojciec przechowywał przez całe życie, wstrzymałem licytację: temat dzieł sztuki zrabowanych Żydom przed wojną i po wojnie jest bardzo drażliwy. Nie skłamię, jeśli powiem, że nie zależy mi na odzyskaniu ob-

razu z uwagi na jego wartość, przynajmy, ogromną... Ja po prostu chcę się dowiedzieć, dlatego tu jestem i rozmawiam z panem, co się stało z tym obrazem, bo dla mojej rodziny był relikwią, i co się stało z osobą, która go sobie przywłaszczyła tu, na Kubie. Gdzie się dotąd podziewał...? Nie wiem, czy uda mi się znaleźć odpowiedź, ale spróbuję... i dlatego potrzebna mi pana pomoc.

Conde przestał się wpatrywać w fotografię i teraz przyglądał się przybyszowi, zaintrygowany jego słowami. Czy się przesłyszał, czy tamten istotnie powiedział, że niezbyt go interesuje ponadmilionowa suma, bo tyle wart był obraz? Odblokowany już umysł ekspolicjanta zaczął gorączkowo tropić drogi wiodące ku owej zadziwiającej historii, która się przed nim otwierała. Ale na razie nic nie przychodziło mu do głowy: musiał się dowiedzieć czegoś więcej.

– Co mówił panu ojciec o tym, jak ten Rembrandt znalazł się na Kubie?

– Niedużo. Wiem tylko, że jego rodzice przywieźli obraz na „St. Louis”.

– To ten słynny statek, który z Żydami na pokładzie przyплыł do Hawany?

– Tak... O samym obrazie ojciec sporo opowiadał. Niewiele o osobie, która weszła w jego posiadanie tu, na Kubie...

Conde uśmiechnął się. Czy ogłupiły go znużenie, rum i przygnębienie, czy był to jego stan przyrodzony?

– Szczerze mówiąc, niezbyt rozumiem... a raczej w ogóle nie rozumiem... – przyznał, oddając przybyszowi łupę.

– Chcę, żeby pan pomógł mi poznać prawdę, tak bym i ja mógł zrozumieć... Proszę posłuchać, jestem zmęczony, a muszę mieć jasny umysł, kiedy opowiadam tę historię. Spróbuję zatem przekonać pana, żeby mnie jutro wysłuchał, o ile do naszego spotkania w ogóle dojdzie, dlatego już dziś zdradzę pewną tajemnicę... Moi rodzice wyjechali z Kuby w pięćdziesiątym ósmym. Nie w pięćdziesiątym dziewiątym ani sześćdziesiątym, kiedy Wyspę opuścili niemal wszyscy Żydzi i ludzie zamożni, świadomi, że już wkrótce będą tu rządzić komuniści. Jestem pewien, że ów nagły wyjazd związany był z Rembrandtem. Odkąd obraz znów pojawił się na aukcji, nabrałem podejrzeń, a raczej pewności, że związek mojego ojca z tym obrazem i ucieczkę z Kuby coś łączy, a ów związek jest dość skomplikowany...

– Dlaczego skomplikowany? – zapytał Conde, już pogodzony ze swoją umysłową anemią.

– Bo jeżeli stało się to, co podejrzewam, możliwe, że ojciec popełnił ciężkie przestępstwo.

Conde czuł, że za chwilę wybuchnie. Ten cały Eliasz Kamiński był albo najgorszym z opowiadaczy, albo patentowanym dupkiem z tytułem i dyplomem. Mimo swojego wyglądu, swoich stu dolarów dziennie i swojego szykownego ubrania.

– Czy wreszcie powie mi pan, co się wydarzyło i jaka prawda pana niepokoi?

Mastodont sięgnął po szklankę i dopił resztkę rumu. Spojrzał na Condego i w końcu przemówił:

– Nielatwo się przyznać, że ojciec, własny ojciec, być może poderznął komuś gardło.

Na dwa lata przed owym dramatycznie cichym porankiem, kiedy to Daniel Kamiński i jego stryj Joseph w oczekiwaniu na przybycie „St. Louis” do hawańskiego portu szykowali się do wyjścia, coraz trudniejsza sytuacja europejskich Żydów jeszcze się pogorszyła, zapowiadając nowe i ogromne nieszczyścia. To właśnie wtedy rodzice Daniela stwierdzili, że najlepszym rozwiązaniem będzie znaleźć się w oku cyklonu, bo tylko tak, niesieni siłą jego wichru, mogli ocalić życie. Dlatego też, wykorzystując fakt, iż Estera Kamińska urodziła się w Niemczech, a jej rodzice nadal tam mieszkali, Izajasz, jego żona oraz ich dzieci, Daniel i Judyta, uzyskawszy zezwolenie władz, opuścili Kraków, by udać się do Lipska. Lekarz miał nadzieję, że tam znajdą jakieś wyjście, wspólnie z innymi członkami klanu Kellersteinów, jednej z najbardziej szacownych rodzin w mieście, wytwórców delikatnych instrumentów muzycznych, drewnianych i strunowych, które obdarzały duszą niezliczone niemieckie symfonie, począwszy od czasów Bacha i Haendla.

Gdy skorzystawszy ze stosunków i pieniędzy Kellersteinów, już urządzili się w Lipsku, Izajasz Kamiński rozpoczął ewakuację swojej rodziny, podejmując się skomplikowanego zakupu zgody na wyjazd oraz wizy turystycznej dla syna, który właśnie ukończył osiem lat. Początkowym celem podróży chłopca była odległa wyspa Kuba, gdzie miał czekać na wizę do Stanów Zjednoczonych, a także na rodziców i siostry, którzy mieli nadzieję przyjechać niebawem i o ile będzie to możliwe – bezpośrednio do Ameryki. Wybór Hawany jako pierwszego etapu podróży Daniela spowodowany był nie tylko trudnościami związanymi z emigracją do USA, lecz także sprzyjającymi okolicznościami, ponieważ od kilku lat mieszkał tu Joseph, starszy brat Izajasza, wskutek kubańskiej fantazji przemianowany na Pepe Sawkiewkę. Stryj mógł przed władzami Wyspy wystąpić w roli opiekuna chłopca i osoby, która zapewni mu utrzymanie.

Sytuacja pozostałych trzech członków rodziny, uziemionych w Lipsku, była znacznie trudniejsza: z jednej strony obowiązywały restrykcje władz niemieckich, głoszące, iż osiedli tam Żydzi mogą emigrować dokądkolwiek, ale pod warunkiem, że wyzbędą się kapitału i oddadzą cały swój majątek, co do grosza; z drugiej – piętrzyły się trudności w uzyskaniu wizy, zwłaszcza do Stanów Zjednoczonych, a o taką starał się Izajasz, sądził bowiem, że to wymarzony kraj dla człowieka jego profesji, kultury i aspiracji; wreszcie utrzymywało się nieugięte przekonanie patriarchów rodu Kellersteinów, iż niezmiennie cieszyć się będą szacunkiem i uznaniem, a dzięki swojej pozycji korzystnie sprzedadzą rodzinną firmę, potem zaś wznovią działalność, może na mniejszą skalę, w innej części świata. Owe marzenia i pragnienia w połączeniu z tym, co Daniel Kamiński nazwie później bezmiernym duchem uległości i paraliżującym brakiem zrozumienia tego, co się działo, zabiorą im kilka cennych miesięcy, straconych na poszukiwanie innej drogi ucieczki, wybranej już przez wielu Żydów z Lipska, którzy nastawieni mniej romantycznie i rodzinnie niż Kellersteinowie, przekonali się, że stawka są nie tylko ich interesy, domy i koligacje, lecz nade wszystko życie – tylko dlatego, że są Żydami w państwie, które ogarnął wirus najbardziej agresywnego nacjonalizmu.

Głęboka wiara w niemiecką uprzejmość i przyzwoitość, która towarzyszyła im przez pokolenia i dzięki której się bogacili, nie uratowała Kellersteinów ani przed ruiną, ani przed zagładą. Jeśli w owych latach niemieccy Żydzi zostali pozbawieni wszelkich praw, stając się pariasami, to potem nastąpiło mocniejsze przykręcenie śruby, a ich religię oraz przynależność rasową uznano za zbrodnię. Podczas pogromów nocy kryształowej z 9 na 10 listopada 1938 roku, sześć miesięcy po wyjeździe Daniela na Kubę, rodzina Kellersteinów straciła praktycznie wszystko.

Gotowi zdobyć za wszelką cenę wizę do jakiegokolwiek zakątka świata, w którym przynajmniej nie groziłoby im niebezpieczeństwo, rodzice i siostra Daniela, przygarnięci przez lekarza, nie-Żyda, dawnego kolegę uniwersyteckiego Izajasza, udali się do Berlina. Tutaj Izajasz, biegnąc od jednego konsulatku do drugiego, był świadkiem wielkich nazistowskich parad i mógł naocznie się przekonać, jaki los czeka Europę. W jednym z listów do swojego brata Josepha usiłował wyjaśnić mu, a może samemu sobie, co w takich chwilach czuł. List, który po latach stryj Pepe dał Danielowi, Daniel zaś, po kolejnych latach, przekazał swojemu synowi Eliaszowi, stanowił żywe świadectwo tego, jak strach paraliżuje człowieka, gdy rozpętane w zmanipulowanym społeczeństwie moce wskazują go jako wroga i czynią bezbronny tylko dlatego, że wyznaje poglądy, które otumaniona przez totalitarną władzę większość uznaje za szkodliwe dla dobra ogółu. Pragnienie ucieczki od samego siebie i utrata własnej indywidualności w jednolitej, prostackiej masie stawały się jedyną alternatywą wobec lęku i najbardziej irracjonalnych przejawów nienawiści, ukrytej za maską patriotyzmu i przekonania o mesjanistycznym powołaniu omamianego narodu. Pod koniec listu Izajasz napisał: „Marzę, by stać się niewidzialnym”. To zdanie, podsumowujące jego dramatyczną wolę ucieczki, stanie się inspiracją wielu działań podjętych przez jego syna i skłoni go nie tyle do dążenia do niewidzialności, ile do tego, by przeobrazić się w inną osobę.

W owym krytycznym momencie, gdy doktor Izajasz Kamiński czuł zaciskającą się na szyi nazistowską pętlę, z Hawany nadeszła depeza, w której Joseph informował o nieoczekiwanym pojawieniu się szansy na ratunek: jedna z kubańskich agencji rządowych weszła starania, by przy ambasadzie w Berlinie zorganizować biuro, które podjęłoby się sprzedaży wiz Hebrajczykom podróżującym na Wyspę w roli turystów. W dniu otwarcia agencji Izajasz Kamiński przyszedł tam i udało mu się kupić trzy wizy. Zaraz potem, z pomocą Kellersteinów i swojego kolegi lekarza, opłacił wymaganą przez rząd niemiecki zgodę na opuszczenie kraju i wykupił bilety pierwszej klasy na transatlantyk, który uzyskał pozwolenie Urzędu Imigracyjnego na rejs z Hamburga do Hawany – MS „St. Louis”. Statek wypłynął 13 maja 1939 roku, miał dotrzeć na Kubę równo dwa tygodnie później i tam wysadzić na ląd swój ludzki ładunek liczący dziewięćset trzydziestu siedmiu Żydów, uradowanych, że tak im sprzyja szczęście.

Kiedy rankiem 27 maja 1939 roku Joseph Kamiński i jego bratanek Daniel dotarli do portu, słońce jeszcze nie wzeszło. Ale dzięki reflektorom umieszczonym na Alameda de Paula i nabrzeżu Caballería z radością spostrzegli, że luksusowy transatlantyk zakotwiczył już w zatoce, jako że przypłynął kilka godzin przed czasem, ponagłony obecnością innych statków wypełnionych żydowskimi uciekinierami, którzy również poszukiwali jakiegokolwiek amerykańskiego portu gotowego ich przyjąć. Uwagę Pepe Sakiewki od razu zwrócił fakt, iż „St. Louis” nie wpłynął na kotwiczowisko statków pasażerskich przy Casablanca, gdzie znajdował się Urząd Imigracyjny, stał też daleko od nabrzeża armatora, linii HAPAG, gdzie zwykle wysiadali odwiedzający Hawanę turyści.

Wokół portu zebrały się już setki ludzi, głównie Żydów, a także mnóstwo gapiów, dziennikarzy i policjantów. Punktualnie o pół do siódmej rano, kiedy zapaliły się światła pokładowe i na rozkaz kapitana rozległa się syrena wzywająca na śniadanie, wiele osób stojących na molo aż podskoczyło z radości, co wywołało spore zamieszanie, do którego przylączyli się pasażerowie, ponieważ jedni i drudzy uznali, że sygnał zapowiada rychłe zejście na ląd.

Po latach, dzięki zebranym informacjom, Daniel Kamiński zrozumiał, że odyseja, która zadecydowała o losach jego rodziny, została z premedytacją obmyślona w makabryczny sposób. W rzeczywistości kiedy „St. Louis” płynął w stronę Hawany, już wyznaczono kolejne etapy tragedii, jaką miał się zakończyć ów epizod, jeden z najbardziej haniebnych i nikczemnych w całym XX wieku. Albowiem losy żydowskich pasażerów „St. Louis” spłoty się, niczym węzły na sznurze szubienicy, z politycznymi i propagandowymi interesami nazistów, którzy chętnie się zgodą na emigrację Żydów, oraz z restrykcyjną polityką imigracyjną rozmaitych frakcji w rządzie amerykańskim, a nade wszystko z presją wy-

wieraną przez niego na władze kubańskie. A co gorsza, na owe układy i intrygi polityczne nałożyło się największe zło pustoszące ówczesną Kubę: korupcja.

Wymagana zgoda na podróż, udzielana przez kubańską agencję w Berlinie, była najważniejszą kartą w owej perwersyjnej grze, w którą zostali wciągnięci rodzice i siostra Daniela oraz wiele innych osób spośród dziewięciuset trzydziestu siedmiu Żydów zaokrętowanych na transatlantyku. Już wkrótce okazało się, że w sprzedaży zezwoleń brał udział senator i były pułkownik Manuel Benítez González, który dzięki bliskim stosunkom syna z wszechwładnym generałem Batistą załatwił sobie stanowisko dyrektora Urzędu Imigracyjnego... Za pośrednictwem własnej agencji turystycznej udało mu się sprzedać cztery tysiące zezwoleń na wjazd na Kubę, w cenie stu pięćdziesięciu pesos za każde, co zapewniło mu bajeczny zysk w wysokości sześciuset tysięcy ówczesnych pesos, który dzieliło z nim wielu ludzi, być może z Batistą włącznie, albowiem w jego rękach skupiały się wszystkie nici wprawiające kraj w ruch, począwszy od zorganizowanej przezeń rewolty sierżantów w 1933 roku po żalną ucieczkę o świcie rozpoczynającą rok 1959.

Co oczywiste, kiedy ówczesny prezydent Kuby, Federico Laredo Brú, dowiedział się o tych machinacjach, zdecydował, iż najwyższy czas przystąpić do gry. Naciskany przez kilku ministrów, postanowił pokazać swoją siłę wobec władzy Batisty, lecz sam również, zgodnie z narodową tradycją, zapragnął uszczknąć kawałek tortu. Pierwszym jego posunięciem było ogłoszenie dekretu prezydenckiego, wedle którego każdy uchodźca, jeśli zamierza przekroczyć granicę kubańską, musi wyłożyć sumę pięciuset pesos na dowód, że nie będzie obciążeniem dla budżetu państwa. A kiedy już zostały rozprzedane zezwolenia Beniteza i bilety na „St. Louis”, wydał kolejne rozporządzenie, które anulowało udzielone wcześniej wizy turystyczne i obligowało uciekinierów do wpłacenia rządowi kubańskiemu niemal pół miliona dolarów, jeśli chcą zostać przyjęci na Wyspie jako uchodźcy.

Ma się rozumieć, pasażerów transatlantyku nie stać było na takie sumy. Domniemanym turystom, kiedy opuszczali niemiecką ziemię, wolno było zabrać jedynie walizkę z ubraniami i dziesięć marek, co stanowiło równowartość czterech dolarów. Z kolei Goebbels, szef niemieckiej propagandy i demiurg owego epizodu, włączył się do gry, rozpuszczając pogłoski, że uchodźcy podróżują z pieniędzmi, diamentami i kosztownościami wartymi fortunę. Wziąwszy pod uwagę to przekłamanie, kubański prezydent i jego doradcy wyświadczyli nazistowskiemu dygnitarzowi coś znacznie więcej niż przysługę.

O świcie kłębiący się w porcie tłum liczył już ponad pięć lub sześć tysięcy ludzi. Mały Daniel Kamiński niczego nie rozumiał, bo wokół słyszał jedynie szum sprzecznych komentarzy: jedni wyrażali nadzieję, inni rozpaczali. Stawiano nawet zakłady: zejdą na ląd czy nie zejdą, a przytaczano najróżniejsze argumenty. Ktoś twierdził, pocieszając pasażerów i ich rodziny, że opuszczenie statku tylko się opóźni z powodu weekendu, bo większość kubańskich urzędników ma wtedy wolne. Największą jednak nadzieję wśród oczekujących rodzin budziła pewność, że na Kubie wszystko można kupić lub sprzedać, a zatem wkrótce przybędą do Hawany wysłannicy Amerykańsko-Żydowskiego Połączonego Komitetu Rozdzielczego, którzy podejmą się negocjowania kwot określonych przez władze...

W rzeczywistości Joseph Kamiński i jego bratanek Daniel mieli o wiele większe powody do optymizmu niż pozostali krewni oczekujący w hawańskim porcie. Stryj Pepe Sakiewka wyznał chłopcu w najgłębszym zaufaniu, że jego rodzice i siostra są w posiadaniu czegoś znacznie bardziej wartościowego niż wiza, a mianowicie klucza, który trójce Kamińskich zaokrętowanych na „St. Louis” otworzy na oścież bramy Wyspy. Podróżowało bowiem z nimi, przemycone pod boki nazistów, niewielkie płótno z pradawnym obrazem, który przez lata wisiał na ścianie rodzinnego domu. Obraz ten, sygnowany przez słynnego i niezwykle cenionego holenderskiego malarza, wart był tyle, że – jak przypuszczał Joseph – jego cena wielokrotnie przewyższała kwotę, jakiej mógł zażądać policjant lub urzędnik z kubańskiego Urzędu Imigracyjnego, gdyż ich przychylność można było kupić znacznie taniej.

Na przestrzeni niemal trzech stuleci obraz przedstawiający twarz mężczyzny o żydowskich rysach, a jednocześnie podobnego do klasycznych wyobrażeń ikonograficznych Jezusa chrześcijan, odgrywał

w rodzinie Kamińskich rozmaite role: sekretu, rodzinnej relikwii, a na koniec klejnotu, w którym ostatni potomkowie rodziny cieszący się jego posiadaniem pokładali nadzieje na swoje ocalenie.

W krakowskim domu, gdzie w roku 1930 przyszedł na świat Daniel, Kamińscy, choć nie żyli już w takim dostatku jak kilka dekad wcześniej, cieszyli się wszelkimi wygodami typowej drobnomieszczkańskiej rodziny żydowskiej. Świadczyły o tym niektóre ocalone z pożogi zdjęcia. Meble ze szlachetnego drewna, niemieckie lustra, stare porcelanowe dzbany z Delft, wszystko to widniało na owych fotografiach w tonacji sepii. Jedną z nich przedstawiała Daniela w wieku czterech lub pięciu lat w towarzystwie matki, Estery: ulotna chwila uwieczniona w jasnym salonie, który czasem pełnił funkcję jadalni. Tuż za postacią chłopca, nad stolikiem z wazonem pełnym kwiatów, wisiała kunsztowna hebanowa rama, w której Izajasz umieścił, niczym godło rodowe, obraz wyobrażający transcendentnego mężczyznę o żydowskich rysach i zagubionym w nieskończoności spojrzeniu.

Czterdzieści lat wcześniej handlarz skór Beniamin Kamiński, ojciec Josepha, Izajasza i zmarłego już Izraela, doszedł do znacznego majątku, więc żeby zapewnić przyszłość synom, uparł się, że pozostawi dzieciom w spadku coś, czego nikt nie odbierze: wykształcenie. Nim w 1914 roku wybuchła wojna, wysłał do Czech pierworodnego Josepha, aby ten rozwinął swoje wybitne zdolności manualne, uprawiając się w rzemiośle pod okiem najlepszych mistrzów kaletnictwa, bardzo cenionych w tym zakątku świata. Gdy zatem Joseph przejmie rodzinny interes, doprowadzi go do rozkwitu. Następnie Beniamin skłonił utracjusza Izraela do studiowania inżynierii w Paryżu, gdzie już wkrótce młodzieniec osiedlił się na stałe, olśniony tym miastem i francuską kulturą. Na swoje nieszczęście, sfrancuziali Izrael zaciągnął się do armii i dokonał żywota pod Verdun, w okopie wypełnionym błotem, krwią i kałem. Po Wielkiej Wojnie, a w samym apogeum niestabilności politycznej i kryzysu, który położył kres tyłu fortunom, kaletnik zainwestował swoje ostatnie aktywa, wysyłając beniaminka Izajasza na studia medyczne na uniwersytecie w Lipsku. To właśnie wtedy młody człowiek poznał Esterę Kellerstein, potomkinię zamożnego i szanowanego klanu, piękną dziewczynę, z którą ożenił się w roku 1928 i osiadł w Krakowie, ojczyźnie przodków Kamińskich.

Gdy Izrael zginął na wojnie, a Joseph wyznał ojcu, że zamierza szukać szczęścia w Nowym Świecie, gdzie nie żyje się w lęku przed pogromami, Beniamin powierzył najmłodszemu synowi Izajaszowi pieczę nad pradawnym obrazem, który przez pokolenia zawsze przekazywany był pierworodnemu. Po raz pierwszy dzieło, o którego wartości dowiedzieli się już z wiarygodnych źródeł, stać się miało wspólną własnością obu braci, chociaż od początku Joseph, zawsze tak powściągliwy, obdarzony pustelnicznym powołaniem i wyzbyty wygórowanych ambicji, wołał pozostawić je pod pieczę „intelektualisty” – jak nazywał swojego brata lekarza – ponieważ z uwagi na przywiązanie do religijnej ortodoksji nigdy nie darzył owego portretu sympatią. Wprost przeciwnie. I wszystkie te okoliczności sprawiły, że wiele lat później, kiedy dowiedział się o trudnościach finansowych związanych z poszukiwaniem przez Izajasza dróg ucieczki z Niemiec, bez wahania podjął decyzję. Człowiek ów, który zwykł liczyć każdy grosz i zawsze utrzymywał bratanka – tak jak i siebie – na granicy permanentnego niedożywienia, by nie marnować pieniędzy na rzeczy, które koniec końców, jak mawiał, staną się gównem (z powodu chronicznej biegunki miał aż do śmierci obsesję na punkcie gówna i zamartwiał się traumatycznym procesem wydalania tegoż), napisał do brata, że daje mu pełne prawo dysponowania obrazem, jeśli nadejdzie chwila, gdy sprzedaż owego dzieła zapewni mu przetrwanie. Być może takie było przeznaczenie owego kontrowersyjnego i heretyckiego klejnotu, którym rodzina została obdarzona w tak niezwykle sposób przed niemal tryzstu laty.

Nikt nie wiedział dokładnie, jak to niewielkie płótno trafiło w ręce zamierzchłych Kamińskich, prawdopodobnie w połowie XVII wieku, kiedy zostało namalowane. Ta właśnie epoka okazała się najstraszniejsza dla wspólnoty żydowskiej w Polsce, chociaż już niebawem miała zostać przyćmiona pod względem okrucieństwa i liczby ofiar. Mimo upływu tylu lat Żydom z całego świata dobrze znane są dzieje prześladowań, męczeństwa i śmierci tysięcy Izraelitów, poległych z rąk upojonych sadyzmem i nienawiścią hord Kozaków i Tatarów – sprawców rzezi, która w latach 1648–1653 przybrała rozmiary wręcz niewyobrażalne.

Kronika rodzinna związana z obrazem, od owych burzliwych czasów znajdującym się w posiadaniu Kamińskich, powstała na kanwie baśniowej, romantycznej i według wielu fałszywej historii pewnego rabina, który uciekając przed wojskiem kozackim, w niemal cudowny sposób zdołał ująć najpierw z obłożonego miasta Niemirów, a potem z Zamościa. Mityczny rabin, opowiadano, dotarł do Krakowa, gdzie na domiar nieszczęścia dopadł go inny, równie nieublagany jak Kozacy wróg: epidemia dżumy, która pewnego lata uśmierciła tylko w tym mieście dwadzieścia tysięcy Żydów. Z pokolenia na pokolenie członkowie rodu opowiadali o tym, jak medyk Mosze Kamiński pielęgnował rabina na łożu śmierci i tenże mędrzec (jego bliskich wymordowali Kozacy sławetnego Chmiela Mściciela, kata dla Żydów, a wymierzającego sprawiedliwość bohatera dla Ukraińców), świadom zbliżającego się końca, dał medykowi pakiet listów i trzy niewielkie płótna. Pierwszy obraz przedstawiał głowę mężczyzny o wyraźne żydowskich rysach, tak naturalistyczna, że mogła uchodzić za wizerunek Jezusa chrześcijan, aczkolwiek jej nazbyt ludzkie i ziemskie cechy odróżniały ją od ikonografii katolickiej owych czasów; drugim był miniaturowy pejzaż niderlandzki, a trzecim – portret dziewczyny w stroju holenderskim z tamtej epoki. Nikt nie znał treści listów, ponieważ napisane były w języku niezrozumiałym dla kresowych Żydów i Polaków, przepadły zresztą w pomroce dziejów, przynajmniej dla potomków medyka, którzy zachowali i przekazywali dalej historię rabina i jego obrazów. Wedle rodzinnej legendy rabin opowiedział Mosze Kamińskiemu, że owymi płótnami i listami obdarowany został przez pewnego sefardyjczyka, który mienił się malarzem. Sefardyjczyk zapewnił go, iż autorem portretu dziewczyny jest on sam, pejzaż namalował jego przyjaciel, a głowa Jezusa, czy też podobnego do Jezusa chrześcijan żydowskiego młodzieńca, to w istocie jego własny wizerunek z lat młodości, utwalony pędzlem jego mistrza, największego w dziejach portrecisty... Holendra nazwiskiem Rembrandt van Rijn, którego podpis widniał w dolnej części płótna obok daty 1647.

Odtąd rodzina Kamińskich, również cudownym sposobem ocalała z rzezi i pomorów tamtej mrocznej epoki, zachowała płótna i nazbyt niewiarygodną opowieść, zasłyszana – jak utrzymywali – w zamierzonych czasach z ust mającego rabina przez ich przodka, który przeżył kolejne kozackie pogromy. Czy członek żyjącej w połowie XVII wieku w Polsce wspólnoty żydowskiej, nękaney i dziesiątkowanej przez rzezie, mógł uwierzyć w historię sefardyjskiego Żyda, jakoby malarza, pogrążonego w swoich majakach? Które z dzieci Izraela, urzeczonych wtenczas do granic fanatycznej desperacji wędrówkami po Palestynie niejakiego Szabetaja Cewiego, co to ogłosił się prawdziwym Mesjaszem i władny był zbawić je wszystkie, miałyby uwierzyć, że bezdrożami Małorusi wędrował przybyły z Amsterdamu sefardyjczyk, na domiar wszystkiego mieniający się malarzem? Bo przecież kto widział kiedykolwiek żydowskiego malarza? I jakże ów niewiarygodny żydowski malarz śmiałyby przemierzać te ziemie, niosąc trzy płótna, w tym własny portret nazbyt podobny do wizerunku Chrystusa? Czy raczej nie było tak, że domniemany rabin, Bóg raczy wiedzieć jakim podstępem, wszedł w posiadanie owych obrazów i płócien podczas którejś z napaści Kozaków i Tatarów? A może złodziejem był sam medyk Mosze Kamiński, który wymyślił bajeczkę o sefardyjskim malarzu i zmarłym rabinie, aby za parawanem tych postaci ukryć jakiś nikczemny czyn popełniony w latach pomoru i rzezi? Czy historia ta była prawdziwa, czy też nie, wiadomo w każdym razie, iż medyk został właścicielem obrazów i przechowywał je aż do śmierci, nie pokazując ich nikomu z obawy, że zostanie uznany za wielbiela bałwochwalczych wizerunków. Niestety – utrzymywali potomkowie, którzy przez stulecia przekazywali kronikę i dziedzictwo – niewielki pejzaż z widokiem holenderskich pól dotarł do rąk Mosze Kamińskiego w złym stanie, uwieczniona zaś na obrazie twarz żydowskiej dziewczyny bladła i marszczyła się z upływem lat, aż bezpowrotnie zniknęła, być może z winy złej jakości pigmentów lub kiepskiego płótna. Ale portret młodego sefardyjczyka zachował się nietknięty. Jak można się było spodziewać, kolejne pokolenia Kamińskich trzymały ów obraz, ponoć bardzo wartościowy, z dala od obcych spojrzeń (a zwłaszcza oczu innych polskich Żydów, coraz bardziej ortodoksyjnych i fanatycznych), jako że eksponowanie go mogło zostać uznane za karygodne pogwałcenie Świętego Prawa. Chodziło bowiem nie tylko o podobiznę człowieka, lecz także o portret Żyda, będący wizerunkiem domniemanego Mesjasza.

Ojciec Beniamina, pradziadek Daniela Kamińskiego, jako pierwszy przedstawiciel rodu ośmielił się umieścić obraz na widocznym miejscu we własnym domu. Był wszak na wpół ateistą, przekonany o-

cialistą, został nawet wybitnym przywódcą robotniczym w dziewiętnastowiecznym Krakowie. Od tego momentu rodzinna kronika portretu nabrała nowego, dramatycznego zabarwienia, ponieważ jeden z żydowskich socjalistów, towarzysz broni pradziadka Daniela Kamińskiego, okazał się francuskim syndykalistą, który będąc rzekomo bliskim przyjacielem Camille'a Pisarra (ten, owszem, był Żydem i malarzem), chępił się znajomością malarstwa europejskiego. Gdy Francuz po raz pierwszy zobaczył portret młodego Żyda, zapewnił towarzysza, że u niego w domu wisi na ścianie ni mniej, ni więcej, tylko dzieło bardzo podziwianego przez paryskich artystów, z jego przyjacielem Pisarrem włącznie, Holendra Rembrandta.

Ale to dziadek Daniela, Benjamin Kamiński, który nie był socjalistą, lecz człowiekiem zainteresowanym zarabianiem pieniędzy w jakikolwiek sposób, zawiózł pewnego dnia obraz do najlepszego eksperta w Warszawie. Ów potwierdził, że istotnie chodzi o siedemnastowieczne malarstwo holenderskie, nie mógł jednak zaręczyć, iż jest to dzieło Rembrandta, chociaż wiele szczegółów wskazywało na jego styl. Główny problem z poświadczaniem autentyczności wynikał z faktu, iż w pracowni Rembrandta namalowano wiele głów takich jak ta, mniej lub bardziej ukończonych, a pośród katalogografów trwał nieustający spór o to, które z nich stworzył sam mistrz, a które jego uczniowie, ci bowiem często malowali razem z nim ten sam obraz lub wykańczali rozpoczęte przezeń dzieła. Czasami Rembrandt, jeśli był zadowolony z płótna, składał na nim swój podpis i sprzedawał je jako własne... Dlatego też polski ekspert, składając się ku najprostszemu rozwiązaniu – niedokończone dzieło – stwierdził, iż jest to obraz namalowany przez ucznia w pracowni mistrza, po czym wymienił kilku możliwych autorów. Oświadczył przy tym, że to bez wątpienia dzieło wybitne (choć niezbyt wartościowe w sensie finansowym, skoro nie wyszło spod pędzla samego Rembrandta), zastrzegając się przy tym, że jego opinii nie można uznać za ostateczną. Być może eksperci holenderscy albo skrupulatni katalogografowie niemieccy...

Rozczarowanie tym, że obraz jest prawdopodobnie dziełem ucznia, a nie coraz bardziej cenionego mistrza, skłoniło Beniamina Kamińskiego do oprawienia płótna w skromne ramy i powieszenia go w salonie rodzinnego domu. Gdyby bowiem miał pewność co do jego drogocенności, najpewniej zamieniłby ową relikwię na pieniądze, pieniądze, które, także najpewniej, straciłby na wartości podczas kryzysów tamtych strasznych lat, przed Wielką Wojną i po niej.

Dopiero doktor Izajasz Kamiński zdecydował się poddać obraz wnikliwym oględzinom. Jako człowiek bardziej ciekawski i uduchowiony niż jego antenat, zapragnął pozbyć się wątpliwości i zabrał płótno do Berlina, kiedy w roku 1928 udał się do Niemiec, by poślubić piękną Esterę Kellerstein. Umówił się na spotkanie z dwoma berlińskimi ekspertami, znakomitymi znawcami malarstwa holenderskiego złotego wieku, i pokazał im portret młodego Żyda nazbyt podobnego do Jezusa z ikonografii chrześcijańskiej, ci zaś orzekli obaj, że... chociaż jest to bardziej szkiełko niż ukończone dzieło, bez wątpienia należy do cyklu tronie (jak Holendrzy nazywają popiersie przedstawione na obrazie), malowanych w latach czterdziestych XVII wieku w pracowni Rembrandta, z wizerunkiem niezwykle uczłowieczonego Chrystusa. Ale, dodali, ten właśnie portret niemal na pewno wyszedł spod pędzla... samego mistrza!

Kiedy już Izajasz zyskał pewność co do pochodzenia i wartości dzieła, poddał je czyszczeniu i renowacji, po czym napisał długi list do swojego brata Josepha – który osiadł już w Hawanie i powoli stawał się Pepe Sakiewką – opisując mu szczegóły cudownej confirmacji. Za sprawą orzeczenia ekspertów Izajasz pomyślał, że wiele prawdy było w tym, co prawdopodobnie opowiadał ów mityczny holenderski sefardyjczyk, prawdopodobnie malarz, gdy prawdopodobnie przekazał płótno rabinowi (Dlaczego? Czemu oddał je komuś, skoro już wówczas miało ogromną wartość?), który zdołałszy uciec przed szablami i końmi Kozaków, padł na koniec ofiarą dziesiątkującej Kraków czarnej śmierci i wyzionął ducha na rękach doktora Mosze Kamińskiego. Szczodry rabin, który przed śmiercią prawdopodobnie ofiarował medykowi trzy obrazy olejne, pakiet listów i ową niezwykłą opowieść o holenderskim sefardyjczyku, zafascynowanym malarstwem i zagubionym na bezbrzeżnych stepach Małorusi. Teraz, gdy zostało dowiedzione pochodzenie obrazu, Kamińscy mieli znacznie więcej powodów, by uwierzyć w prawdziwość tej historii.

Rejon portu przeobrażał się z wolna w scenerię jakiegoś groteskowego karnawału. Z samego rana, w sobotę 27 maja, w dniu przybycia „St. Louis”, tysiące mieszkających w Hawanie Żydów, bez względu na to, czy wśród pasażerów byli ich krewni, czy nie, obsiadło nabrzeża, pośród tłumu gapiów, dziennikarzy, prostytutek, marynarzy i kilku policjantów, skorych do interwencji w razie naruszenia porządku. Na chodnikach, straganach, w podcieniach ustawiono kramy oferujące jedzenie i napoje, parasole i lornetki, kapelusze i składane krzesła, katolickie modlitewniki i rytualne amulety afro-kubańskie, wachlarze i sandały, kremy przeciwsłoneczne oraz gazety z przedostatnimi wiadomościami i spekulacjami, czy pasażerowie wysiadą na ląd, czy też przy dźwiękach muzyki popłyną gdzieś dalej, jak utrzymywał ten czy inny gazeciarz. Niewątpliwie najbardziej dochodowym interesem było wynajmowanie łódek, na których rodziny pasażerów z transatlantyku podpływały do statku – tak blisko, jak pozwalał na to kordon policyjnych i portowych motorówek – żeby zobaczyć swoich bliskich i przekazać im słowa otuchy, o ile dało się je słyszeć.

W owych dniach Daniel Kamiński uświadomił sobie, jak bardzo stępały jego zmysły wobec nawały niezwykłych doświadczeń i nowości. W ciągu tych paru miesięcy pobytu miasto zadziwiło go witalnością i temperamentem, a że większość czasu spędzał wśród Żydów i niewiele rozumiał z pospiesznego żargonu Kubańczyków, ledwo zdołał zbliżyć się do zewnętrznej powłoki swojego nowego kraju. Ale to ów ludzki wir wywołał przybyciem statku z uchodźcami, uparcie nazywanych Polakami, okazał się prawdziwą eksplozją interesów i namiętności, które dotykały i ubogiego emigranta takiego jak on, i prezydenta republiki. Ów dramatyczny epizod popychał Daniela w stronę rozgorączkowanego świata, który przyciągał go niczym magnes: zdolność Kubańczyków do przeżywania każdej sytuacji, jakby to była fiesta, wydawała mu się, nawet w obliczu własnej ignorancji i rozpacz, znacznie przyjemniejszym sposobem przejścia przez życie i czerpania z owej ulotnej wędrówki tego, co najlepsze. Tu każdy się śmiał, palił, popijał piwo, nawet w domu pogrzebowym; kobiety – zamężne, panny, samotne lub wdowy, białe i czarne – kołysały perwersyjnie biodrami i zatrzymywały się na środku ulicy, żeby pogawędzić ze znajomymi lub nieznanymi; Murzyni gestykulowali jak w tańcu, a biali ubierali się jak stręczyciele. Mężczyźni i kobiety patrzyli sobie głęboko w oczy. Nawet jeśli ludzie poruszali się frenetycznie, to w istocie nikt się nigdzie nie spieszył i niczym nie przejmował. Z upływem czasu i w miarę, jak rosły jego zdolności rozumienia, Daniel uświadomił sobie, że nie wszystkie jego wrażenia z tamtych lat miały rację bytu: Kubańczyków także dotykały osobiste dramaty, ubóstwo i cierpienia, lecz odkrył zarazem, że znosili to ze swoistą beztróską i pragmatyzmem, a on ukochał sobie te odczucia aż do końca swoich dni z taką samą skwapliwością, z jaką ukochał zupę z czarnej fasoli.

Pelen napięcia tydzień, gdy statek stał zacumowany w hawańskim porcie, okazał się czasem nabrzmiałym szaleństwem, bo z dnia na dzień, a nawet w jednym i tym samym dniu, wręcz w przeciągu paru minut, przeżywano chwile euforii, by zaraz potem poddać się rozczarowaniu i frustracji, łagodzonej przez kolejny przypływ nadziei, która jednak szybko się rozwiewała, co jeszcze potęgowało cierpienia krewnych uchodźców.

Początkową iluzję podtrzymywała możliwość negocjacji finansowych z władzami kubańskimi i przede wszystkim prasą, jaką wywierali albo próbowali wywierać amerykańscy Żydzi na prezydenta Roosevelta, by w drodze wyjątku zmienił liczbę uciekinierów możliwą do zaakceptowania przez Stany Zjednoczone. Lecz z biegiem dni, kiedy nie dochodziło do żadnego porozumienia w Hawanie ani do zmiany polityki Waszyngtonu, nadzieja gasła.

Najbardziej dotknęło Daniela to, że na tej samej niefrasobliwej i radosnej Kubie, w tym otwartym, tolerancyjnym kraju, doszło do eskalacji antysemitkiej propagandy. Za sprawą hiszpańskich falangistów oraz tępiącego emigrantów i Żydów wydawcy „Diario de la Marina”⁶, a także krzykaczy z Kubańskiej Partii Nazistowskiej oraz pieniędzy i nacisków wywieranych przez działających na Wyspie niemieckich agentów, wiele umysłów zalała fala nienawiści. Mały Daniel Kamiński, który miał okazję oglądać berlińską paradę z udziałem czterdziestu tysięcy uczestników wznoszących wrogie hasła wobec Żydów

i wszystkich cudzoziemców, poczuł wówczas, że mimo marzeń o powrocie do swojego zaginionego świata ów drugi świat wytropił go nawet w odległej, roztańczonej i wielobarwnej stolicy Kuby.

Kampania przeciwko zejściu uchodźców na ląd była eksplozją oportunistów i nikczemności. Nie liczni, ale hałaśliwi kubańscy naziści nie zgadzali się na przyjęcie zdrowych emigrantów, z wyjątkiem białych i katolików, i nie tylko protestowali przeciw udzieleniu schronienia tymczasowym pielgrzymom, lecz domagali się wręcz wygnania osiadłych już na Wyspie Żydów, a przy okazji, w imię wybielenia narodu, również robotników rolnych z Jamajki i Haiti. Z kolei komuniści mieli związane ręce, ponieważ opowiadali się za ochroną rynku pracy przed cudzoziemcami, a przyjęcie uchodźców byłoby sprzeczne z tą polityką. Natomiast niektórzy przywódcy społeczności grupującej najbogatszych kupców hiszpańskich, w większości sympatyków Falangi, przelali na Żydów niechęć do swoich republikańskich rodaków, którzy rozproszeni po świecie, w znacznej liczbie także pragnęli osiedlić się na Wyspie. Najbardziej jednak bolesne było powtarzanie przez zwykłych, zawsze tak otwartych ludzi różnych propagandowych sloganów: Żydzi to brudasy, kryminaliści, oszuści, skąpcy, komuniści... Daniel Kamiński, przytoczony owymi zdarzeniami, nie mógł do końca pojąć, że wszystko to dzieje się w kraju, w którym przedtem i potem Żydzi tak łatwo się integrowali, wolni od dyskryminacji i aktów przemocy. Było oczywiste, całkiem oczywiste – jak później zrozumiał – że propaganda i nazistowskie pieniądze osiągnęły swój cel, do czego przyczynił się, co zostało wkalkulowane, amerykański rząd i jego stanowisko w sprawie liczby emigrantów. Stało się także jasne, że gra polityczna ze strony Kuby polegała na potraktowaniu uchodźców jak zakładników, a zebrane przez żydowskie organizacje sumy przeznaczone na wykupienie pielgrzymów okazały się za małe wobec apetytów zachłannych polityków. Zrozumiał także raz na zawsze, że manipulowanie masami i wywoływanie najniższych instynktów jest znacznie łatwiejsze, niż się wydawało. Co dotyczy nawet wykształconych i uprzejmych Niemców. Nawet otwartych i radosnych Kubańczyków.

Bardzo szybko mieszkańcy Wyspy dowiedzieli się, że prezydent Brú, naciskany przez amerykański Departament Stanu, woli nie narażać się na gniew wielkiego sąsiada z powodu dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów, sumy, do której podniósł w negocjacjach z Połączonym Komitetem Rozdzielczym zapłatę za zejście na ląd pasażerów „St. Louis”. Licząc, że przynajmniej wyjdzie z tej ślepej uliczki z kieszeniami wypchanymi pieniędzmi, upierał się przy kwocie pół miliona. Skoro jej nie uzyskał – naciskany ponadto przez Waszyngton – wybrał rozwiązanie mniej korzystne dla siebie i dla pasażerów: zawiesił negocjacje z prawnikami komitetu i polecił, by pierwszego czerwca, sześć dni po przycumowaniu w hawańskim porcie, statek „St. Louis” opuścił wody terytorialne Kuby.

Dokładnie dzień wcześniej Pepe Sakiewka, ulegając prośbom bratanka i alarmującym pogłoskom, zgodził się zapłacić dwa pesos, o tyle bowiem wzrosła taryfa za podpłynięcie do transatlantyku, wynosząca pierwszego dnia jedynie dwadzieścia pięć centavos. Joseph i Daniel wsiedli do małej motorówki naprzeciwko nabrzeża zwanego Caballería. Kiedy znaleźli się w najbliższej dopuszczalnej odległości od statku, stryj długo nawoływał w jidysz, aż wreszcie po kilku długich minutach Izajasz, Estera i Judyta zdołali przepchnąć się do burty na dolnym pokładzie. Daniel na zawsze zapamięta tę chwilę i nigdy sobie nie wybaczy, że nie potrafił wykrztusić słowa do rodziców i siostry: rozpaczliwy szloch nie pozwolił mu mówić. Niemniej jednak ta podróż w istocie warta była dla nich znacznie więcej niż wygórowana suma, jaką zapłacili, ponieważ stryj Joseph mógł odebrać od brata zaszyfowaną, ale czytelną wiadomość: „Tylko łyżka wie, co jest w garnku”. Innymi słowy, sprzedaż dziedzictwa sefardyjczyka już została sfinalizowana...

W ciągu tych pięciu dni, gdy ważyły się losy pasażerów, udało się zejść na ląd tylko dwudziestu paru Żydom, którym jeszcze w Hamburgu wizy turystyczne zamieniono na imigracyjne. Później z jakichś powodów ta sama zamiana powiodła się również kilku innym osobom, co wywołało na statku przypływ nadziei. Wedle złośliwych kubańskich języków pewni starsi małżonkowie uzyskali wizę pobytową tylko dlatego, że byli rodzicami burdelmamy, która wyspecjalizowała się w dostarczaniu przyjemności miejscowym bonzom, przez co, rzecz jasna, trzymała ich za jaja... Dlatego też potwierdzenie wiadomości, że Izajasz posłużył się obrazem, żeby opłacić zamianę statusu turysty na emigranta, podzielało niczym bal-

sam, który przez kolejne czterdzieści osiem godzin kołł napięcie, w jakim żyli Joseph i Daniel Kamińscy.

Wróciwszy na ląd, stryj i bratanek udali się do synagogi Adat Israel przy ulicy Jesús María, ponieważ znajdująca się najbliższe nabrzeża synagoga Shevet Achim przy Inquisidor należała do rejonu sefardyjskiego, a Pepe Sakiewka nawet w skrajnych sytuacjach trzymał się ściśle zasad wiary. Gdy już stanęli przed zwojami Tory i płonącymi od poprzedniej soboty siedmioma świecami menor, zrobili to, co do nich należało: wkładając w modlitwę całe serce i rozum, prosili Boga o ocalenie dla bliskich i żeby łaskawie zechciał rozpałcić chciwość kubańskiego urzędnika.

Kiedy wychodzili z synagogi, Pepe Sakiewka wpadł niemal na swojego ówczesnego szefa – będzie nim nadal jeszcze wiele lat później – niezmiernie bogatego amerykańskiego Żyda Jacoba Brandona, właściciela między innymi zakładu kaletniczego, w którym pracował Polak, oraz prezesa Połączonego Komitetu Rozdzielczego. W tych właśnie okolicznościach Joseph Kamiński wprowadził w czyn kwintesencję hebrajskiej mądrości i przy okazji udzielił bratankowi ważnej lekcji: człowiek, którego dotknie nieszczęście, winien się modlić, jakby pomoc mogła nadejść wyłącznie ze strony Opatrzności, ale zarazem musi działać tak, jakby jedynie on sam mógł zaradzić biedzie. Z tego powodu stryj, odnosząc się do szefa z najwyższym szacunkiem, wyjaśnił mu, że wśród pasażerów „St. Louis” jest trzech jego krewnych i że za zainteresowanie tą sprawą odpłaci mu ogromną wdzięcznością. Jacob Brandon, który wchodząc do synagogi, miał już na głowie jarmułkę, przystanął, wyjął z kieszeni eleganckiej marynarki notes i bez słowa coś w nim zapisał, po czym pożegnał się z Josephem, dotykając jego ramienia, a z małym Danielem, wicherząc mu kędzierzawe włosy.

Podniesieni na duchu Kamińscy wrócili na nabrzeże. Teraz ich misja polegała na uważnym obserwowaniu urzędników imigracyjnych i policjantów, często podpyływających do statku rządowymi motorówkami i wchodzących na pokład. Który z nich ma ze sobą zgodę na osiedlenie się Izajasz, Estery i Judyty? Stryj Joseph obstawiał wszystkich i każdego z osobna, chociaż zdecydowanie optował za tymi, którzy byli ubrani po cywilnemu i nosili słomkowe kapelusze. Funkcjonariusze ci, agenci rządowi, zostali wyselekcjonowani spośród urzędników niezwiązanych ze zdymisjonowanym właśnie dyrektorem Urzędu Imigracyjnego, Manuelem Benitezem, który miał nawet zakaz zbliżania się do nabrzeża. Ci jednak, jak wszyscy inni, również mieli swoją cenę i jeżeli ktoś spośród dziewięciuset pasażerów „St. Louis” mógł ich sownie wynagrodzić, to właśnie Izajasz Kamiński, dzięki dziedzictwu pozostawionemu przez domniemanego sefardyjskiego malarza, który, Bóg raczy wiedzieć dlaczego, przemierzał małoruskie stepy z portretem chrześcijańskiego Jezusa w sakwie.

To właśnie owej nocy, z 31 maja na 1 czerwca, ogłoszono decyzję prezydenta o zawieszeniu wszelkich negocjacji z Połączonym Komitetem Rozdzielczym i wydano polecenie, by transatlantyk w ciągu czterdziestu ośmiu godzin opuścił kubańskie wody terytorialne. Wiadomość musiała pochodzić z wiarygodnych źródeł, ponieważ przekazała ją rodzinom Louis Clasing we własnej osobie, hawański przedstawiciel linii żeglugowej HAPAG, do której należał MS „St. Louis”, i (jak głosiła plotka) wspólnik Manuela Beniteza w procederze sprzedaży anulowanych wiz oraz bliski przyjaciel generała Batisty.

Jednakże Daniel i Joseph Kamińscy, wciąż ufni w moc starego holenderskiego obrazu i wpływy pana Brandona, postanowili nie oddalać się z portu. Biegli nerwowo w stronę nabrzeża za każdym razem, kiedy jakaś łódź przepływała przez kordon policyjnych motorówek, i przeciskali się przez tłum, który z tych samych powodów i pełen nadziei wypatrywał, kto zmierza ku zbawczej ziemi, choć przez nikogo nieobiecanej. Daniel nigdy już się nie uwolnił od wspomnienia owego smutnego i pełnego napięcia spektaklu: otaczające transatlantyk policyjne motorówki przeczesywały statek światłem reflektorów, żeby udaremnić ucieczkę zdesperowanych pasażerów albo próby samobójstw; ostrzegawczy blask porażał odleglejsze wody zatoki w jeszcze bardziej posępnym mroku, dlatego dopiero tuż przy nabrzeżu można było dostrzec, kto wysiada na ląd, co tylko pogłębiało niepokój ludzi, przygnębionych przeciągającym się oczekiwaniem i zapowiedzią rychłego odpłynięcia statku.

W jednej z motorówek wrócił z „St. Louis” jakiś dziennikarz, przynosząc dwie przerażające wiadomości: pierwsza dotyczyła interwencji policji, gdy na statku wybuchł bunt kobiet, które dowiedziawszy

się o decyzji prezydenta, ostrzegły, że gotowe są rzucić się do morza, jeśli władze odmówią im azylu; druga odnosiła się do pewnego lekarza, który usiłował wraz z całą rodziną popełnić samobójstwo, połykając jakieś pigułki. Usłyszawszy to, Pepe Sakiewkaomal nie zemdlał. Na szczęście Daniel nie zrozumiał słów dziennikarza, nadal bowiem gubił się w pospieszonym, bełkotliwym żargonie kubańskim. Lecz kiedy dziennikarz, wypytywany przez stojących najbliższej ludzi, sięgnął po notes i odczytał nazwisko samobójcy, Joseph Kamiński poczuł, że jego dusza powraca do ciała, i była to jedna z nielicznych w jego życiu chwil, gdy zdobył się na czuły gest wobec bratanka: przygarnął go do siebie i przytulił tak mocno, że Daniel poczuł na policzku gwałtowne bicie jego serca.

Mimo panującego skwaru, przez wszystkie te dni nękającego zebranych w porcie ludzi, stryj Joseph niezmiennie nosił marynarkę, którą dotąd wkładał tylko od święta, lecz tego wieczoru, kiedy postanowił czuć do rana, oddał ją chłopcu, moszcząc mu posłanie w bramie sklepiku po drugiej stronie Alameda de Paula. Znużony Daniel zasnął niemal od razu. Tej nocy, nazbyt krótko trwającej, wysnił jedyną rzecz, którą mógł podsunąć mu jego umysł: widział, jak rodzice i siostra schodzą z motorówki na ląd przy kei HAPAG. Wczesnym rankiem zbudziły go jakieś krzyki, ale potrzebował dłuższej chwili, by się ocknąć, i nagle poczuł, że serce niemal wyskakuje mu z piersi: leżał na ziemi obok jakiegoś rżęjącego, a może konającego człowieka. Nie wiedząc, co się dzieje, gdzie zniknął stryj i kim jest ów zionący wymiotami i alkoholem mężczyzna, chłopiec chciał krzyknąć i wybuchnąć płaczem. I w tym właśnie momencie, w ułamku czasu, który wyznaczył granice jego życia, Daniel Kamiński pojął w całej rozciągłości znaczenie słowa „strach”. To, czego doświadczał wcześniej, było raczej nieokreślonym, mglistym odbiciem cudzych lęków niż odczuciem wypływającym z jego własnego wnętrza. Atak paniki okazał się na szczęście tak paraliżujący, że chłopiec tkwił nieruchomo, oparty o ścianę sklepu, opatulony marynarką stryja i płachtami wczorajszych gazet, i tylko wpatrywał się w mrówki, które zbierały płwocinę spod teżącego mężczyzny. Kilka minut później odetchnął z ulgą, widząc, jak powraca jego opiekun, w dodatku z pocieszającą wiadomością: sześciu Żydów zeszło właśnie na ląd dzięki wizom wystawionym przez kubański konsul w Nowym Jorku. Jak zawsze okazało się, że pieniądze zdolny jest rozwiązać każdy, nawet na pozór najtrudniejszy problem. Daniel, wtulony w stryja, niczego nieświadomy, popłakał się ze strachu i z radości.

Pierwszego czerwca w południe zaczęła upływać ostatnia z osiemnastu godzin, o tyle bowiem na wniosek kapitana transatlantyku prezydent Brú przedłużył zgodę na postój „St. Louis” w porcie, niezbędny do przygotowania statku na powrotny rejs do Europy. Dla wszystkich Żydów, tych uwiezionych na pokładzie i tych koczujących na nabrzeżu, stało się jasne, że nie będzie już dalszej zwłoki. Potwierdzeniem owej przerażającej wieści były przypływające z portów Matanzas, Mariel i Bahía Honda wojskowe motorówki, które miały zapobiec próbom ucieczki pasażerów, a także wymusić odejście statku z portu, jeżeli kapitan nie posłucha rozkazu. Tego samego popołudnia Louis Clasing, agent linii HAPAG, po raz kolejny wydał komunikat, w którym była mowa o powrocie transatlantyku do Hamburga, spowodowanym odmową przyjęcia uchodźców przez Kubę i Stany Zjednoczone. Tymczasem wieczorem wybuchła bomba: przedstawiciele Połączonego Komitetu Rozdzielczego z podkulonymi ogonami opuścili Wyspę.

Makabryczne okazywanie radości przez licznych zwolenników wygnania potencjalnych uchodźców zagłuszyło krzyk protestu, płacz, lament i modlitwy tysięcy Żydów, którzy bez względu na to, czy ich krewni byli na pokładzie statku, czy nie, oczekiwali szczęśliwego zakończenia owego mrocznego epizodu o niewyobrażalnej skali okrucieństwa. Zarówno ci, którzy uznali się za zwycięzców, jak i ci, którzy zostali zwyciężeni, świadomi byli tego, co w istocie oznacza dla pasażerów „St. Louis” ów powrotny rejs. Daniel Kamiński, zbyt mały jeszcze, by w pełni pojąć grozę sytuacji, czuł w tych chwilach nieodparte pragnienie, by rzucić się do morza i popłynąć do statku, na którym przebywali jego ukochani bliscy, i dołączyć do nich, żeby dzielić ich los. A jednocześnie zadawał sobie pytanie, dlaczego jego rodzice, wraz z setkami innych Żydów, sami nie rzucą się do morza, stawiając wszystko na jedną kartę. Boją się śmierci? Nie, to nie strach przed śmiercią, skoro wszyscy twierdzili, że śmierć prawie na pewno czeka na nich z otwartymi ramionami w Hamburgu. Cóż więc ich powstrzymywało? Jaka złudna nadzieja? Nawet wiele lat później nie znajdzie zadowolającej odpowiedzi na te pytania, lecz być może

właśnie tamtego dnia dziesięcioletni zaledwie Daniel Kamiński przestał być dzieckiem: sporo czasu upłynie, nim stanie się mężczyzną, nim osiągnie zdolność zrozumienia i podejmowania decyzji, co przychodzi wraz z wiekiem, ale to wtedy skradziono mu niewinność i ufność, bez których istota ludzka traci bezgrzeszność dzieciństwa. A w jego wypadku także naiwność wiary.

Drugiego czerwca o jedenastej rano maszyny wprawiły w ruch cielsko transatlantyku. Cichy i pokonany, płynął wolno w stronę wąskiego ujścia zatoki, pod baczynym okiem starych kolonialnych fortów, w otoczeniu chmary wojskowych i policyjnych motorówek. Pasażerowie na pokładzie wznosili okrzyki, powiewali chusteczkami i żegnali się z łądem pełnymi patosu gestami. Rodziny nieszczęsnych uchodźców płynęły za statkiem wynajętymi łodziami, by do ostatniej chwili towarzyszyć swoim bliskim, jakby to była właśnie ta ostatnia chwila. Na nabrzeżu i w ciągnącej się wzdłuż portu alei zostali krewni, przyjaciele, gapie i zwolennicy wygnania. Ponad pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Ów dramatyczny i szokujący obraz musiał wyrzeźwić wrażenie także na tych, którzy domagali się odpłynięcia statku, teraz bowiem rozchodzili się w krępującym milczeniu.

Daniel i jego stryj, udręczeni nużącym tygodniem czuwania, niepewności i niepokoju, nie dołączyli do bezsilnego tłumu innych Żydów biegnących portową aleją. Usiedli na ławce przy Alameda de Paula – starej hawańskiej promenadzie, której Daniel Kamiński nigdy już nie przemierzy aż do końca swojego pobytu na Kubie – i poddali się wszechogarniającemu poczuciu klęski. Chłopiec płakał cicho, a mężczyzna drapał się po kilkudniowym zarostcie, jakby chciał zedrzeć z brody całą skórę. Kiedy „St. Louis” wypłynął z zatoki i skierował się na północ, by zniknąć wkrótce za skałami i murami fortecy El Morro, Daniel i Joseph Kamińscy wstali z ławki i trzymając się za ręce, ruszyli w stronę ulicy Acosta, żeby wrócić do czynszówki, w której mieszkali. Po drodze minęli synagogę, ale ani bratanek, ani stryj nie mieli zamiaru do niej wchodzić.

Żaden z dwóch Kamińskich, którzy ugrzęźli na Kubie, z dala od grózb nazistów, zapewne bezpieczni, nie ludził się, co przyniesie los. Kolejne dni potwierdziły ich domysły. Czwartego czerwca swoją ostateczną decyzję ogłosiły Stany Zjednoczone: uchodźcy, którzy u brzegów Miami błagali o zgodę na zejście na ląd, nie zostaną wpuszczeni. Nazajutrz Kanada, kraj ostatniej szansy, także odmówiła im schronienia. Tym samym „St. Louis” skierował dzień w stronę Europy, z której wyruszył, pełen ludzi i ufności, dokładnie trzy tygodnie wcześniej.

Kiedy dotarły do nich te wieści, niczym potwierdzenie wyroku śmierci, pogrążony w bólu Daniel Kamiński powziął radykalną decyzję: z własnej woli i z głębi serca odmawia od tej chwili bycia Żydem.

Czuł ucisk w piersiach i dziwną dokuczliwość w duszy. Odruchowo sięgnął po paczkę papierosów i zobaczył, że jest pusta. Gestem dłoni wskazał camele leżące na stole, przy którym siedzieli, a Eliasz Kamiński skinął potakująco głową. Conde tak bardzo potrzebował tytoniu, że gotów był zrezygnować z najświętszego przykazania swojej nikotynowej wiary. Historia statku wypełnionego po brzegi Żydami, o której wcześniej miał tylko blade pojęcie, a którą teraz poznał od środka, poruszyła go głęboko, odganiając resztki sennaści. Czuł się zdruzgotany, a powodem było zmęczenie jeszcze bardziej szkodliwe niż znużenie fizyczne czy nawet psychiczne: wstydlive omdlenie, utajone w trzewiach, gdzieś we wnętrzu jego jestestwa. Tak jak decyzja odejścia od własnego plemienia, którą podjął Daniel Kamiński. W tej bowiem chwili Mario Conde wstydził się, że jest Kubańczykiem. Chociaż nie miał nic wspólnego z wydarzeniami tamtych złowrogich dni, fakt, że jego rodacy, kierując się interesem politycznym lub materialnym, ułatwili w pewien sposób nazistom popełnienie części ich zbrodni, maleńkiej, ale jednak części, budziło w nim uczucie obrzydzenia, wyczerpania i wywoływało smrodliwy posmak w ustach, a camel i jego żółtawy tytoń tylko spotęgowały to wrażenie.

– Ostrzegalem pana, że to długa opowieść – powiedział Eliasz Kamiński, gwałtownie rozmasowując dłonie, jakby chciał zetrzeć z nich jakąś szorstką substancję. – Długa i straszna.

– Przykro mi – wyrwał się Condemu, bo naprawdę czuł się podle. Nie był nawet pewien, czy cudzoziemiec zrozumiał powody jego udręczenia.

– A to tylko początek. Powiedzmy, prolog... Wie pan, zrobiło się późno, więc wspólne śniadanie to może nie najlepszy pomysł... Potrzebuję kilku godzin snu. Przygotowania, podróż... i tak dalej. Jestem wyczerpany. Ale możemy zjeść razem obiad. Spotkamy się o pierwszej u mnie w hotelu i poszukamy jakiejś restauracji, co pan na to?

W tym momencie Conde zauważył, że z domu wychodzi jego pies. Śmieć II posuwał się krokiem dzielnicowego urwisa, przeciągając się i ziewając, gotów zapewne do nocnego obchodu, posłuszny instynktom zatwardziałego ulicznika. Conde przypomniał sobie, że z domu chudego Carlosa zabrał resztki kolacji, ale zapomniał dać je psu i z tego powodu poczuł się winny.

– Poczekaj. – Poklepał po grzbiecie Śmiecia II, po czym zwrócił się do gościa. – Dobrze, spotkajmy się o pierwszej. Miałem wprowadzić coś do załatwienia...

– Nie chciałbym panu przeszkadzać...

– Możesz przestać mówić mi per pan?

– Mogę.

– Tak będzie lepiej... Jak wrócisz do hotelu? Jest trzecia nad ranem.

– Za rogiem zaparkowałem wynajęty samochód. Mam nadzieję, że jeszcze tam jest...

– Chcę ci zadać mnóstwo pytań. Szczercze mówiąc, wątpię, czy będę mógł zasnąć – powiedział i wstał z fotela. – Ale zanim wyjdiesz, muszę ci coś powiedzieć... To, jak niektórzy Kubańczycy potraktowali te dziewięćset osób, napawa mnie wstydem i...

– Mój ojciec rozumiał, co zaszło, i dał radę zrobić coś, co pozwoliło mu żyć dalej: nie zachował urazy. Przeciwnie. Jak już mówiłem, wołał zostać Kubańczykiem i puścić w niepamięć całą tę podłość, bo to mogło się zdarzyć wszędzie. Batista uległ silnym naciskom politycznym Ameryki. Myślę, że to właśnie zaważyło, a nie pieniądze i korupcja, sam nie wiem...

– Cieszę się, że twój ojciec... – powiedział Conde i tak właśnie czuł. – Jest jeszcze coś...

Eliasz Kamiński zdobył się na uśmiech.

- Chcesz wiedzieć, co się stało z Rembrandtem?
- No... – przytaknął Conde. – Ciekawość mnie żre, jak trafił na tę aukcję w Londynie – dodał, gotów usłyszeć jakąkolwiek historię, nawet niewiarygodną albo przykrą.
- Otóż nie wiem. Także z tego powodu tu przyjechałem. W tej historii nadal jest mnóstwo znaków zapytania. Ale jeśli mój ojciec zrobił to, co, jak sądzę, zrobił, nie rozumiem, dlaczego nie zabrał obrazu. Nie miałem pojęcia, co się stało z tym Rembrandtem, dopóki nie pojawił się w Londynie. Jestem jednak przekonany, że nigdy nie znalazł się w rękach ojca...
- Zaraz, czegoś nie rozumiem... Twierdzisz, że twój ojciec próbował go odzyskać?
- Cierpliwości. Jeśli nie opowiem tej historii do końca, nie będziesz mógł mi pomóc... A więc o pierwszej?
- O pierwszej – przytaknął Conde, pojawiając się, że nie ma innego wyjścia, po czym uściśnił łapsko Eliasza Kamińskiego.
- Śmieć II obserwował tę scenę, jakby rozumiał, co oznacza dla niego to pożegnanie.

Wszystkie ścieżki wytyczone w pamięci przez strzępki wspomnień złożone z oderwanych słów spływały się w niejasny labirynt wiodący przez mroczne, podejrzone zaułki. Coś jednak ocalało, usunąwszy się w cień, zepchnięte na pobocze, by tym bardziej uwydatnić to, co bezpowrotnie utracone, i otworzyć drogę katastrofie. Ale większość relikwów przeszłości uległa zatarciu, po niektórych nie został nawet ślad, jakby dawną dzielnicę żydowską i całą tę część miasta zmiążdżono bezlitosnym walcem, wprawionym w ruch przez uniwersalny czas, którego bieg określiła historia i narodowa gnuśność. Na szczęście nadal trwał w wyzywającym geście, niczym pamiętka po złych wspomnieniach, dziwaczny Łuk Betlejemski, osadzony w fundamentach dawnego klasztoru, rozpięty nad ulicą Acosta, która przebiegała się, brudna i konająca, przez stare arkady; trwały tam, trudne już do rozpoznania, ruiny dawnej ciastkarni La Flor de Berlín i resztki sklepu żelaznego polskiej rodziny Weissów. Wciąż jednak buzował wokół ów zgiełk, który tak niegdyś onieśmielał Daniela Kamińskiego. Swojski, nietknięty, kłótlawy, radosny hawański jazgot przemierzał ulice, jakby od dawna wyczekiwał niespodziewanego przybycia niejakiego Eliasza Kamińskiego, by w uroczystej ceremonii wręczyć mu klucz do bram czasu, wiodących do młodości jego ojca, otwierających drogę do prawdy, której tak bardzo pragnął przybysz.

Niczym ślepiec, starannie i ostrożnie odmierzający każdy krok, spocony mastodont z kucykiem zaczął powoli zstępować po skruszałych schodach dziewiętnastowiecznej kamienicy przy Compostela, dawnej siedziby jakichś apokryficznych hrabiów, gdzie tuż po swoim przyjeździe Joseph Kamiński wstawił łóżko, stół, maszynę do szycia oraz narzędzia do obróbki skór i gdzie mieszkał, niemal czternaście lat, jego bratanek Daniel. Rezydencja, opuszczona na początku XX wieku przez potomków pierwotnych właścicieli i wkrótce potem przerobiona na wielorodzinną czynszówkę ze wspólną kuchnią i zbiorową wygódką, objawiała ślady postępującego zaniedbania i uszkodzeń powstałych z winy mieszkańców i upływu czasu. Na drugim piętrze, gdzie kiedyś mieszkała Mulatka Caridad Sotolongo, pełna uroku kobieta, która z biegiem lat stała się bezgraniczną i ostatnią miłością Josepha Kamińskiego, życie jakby skamieniało w stanie długotrwałego, bolesnego ubóstwa, w jakim tkwili ściśnięci i pozbawieni wszelkiej nadziei lokatorzy. Trzecie piętro (ongiś najbardziej reprezentacyjna część budynku, w której znajdowały się pokoje pierwszych właścicieli, a później lokum Polaków i pozostałych sześciu rodzin białych i czarnych Kubańczyków oraz kilku katalońskich republikanów) straciło dach i część balkonów, zapowiadając nieodwracalny los całej kamienicy. Wytężając wyobraźnię, cudzoziemiec usiłował zobaczyć żydowskiego chłopca wchodzącego po tych samych stopniach, które on przed chwilą pokonał, starał się go wypatrzeć, jak wychyla się ponad nieistniejącym już murkiem tarasu i spogląda z góry na patio tego kamiennego ula, gdzie przed drzwiami wspólnej kuchni dochodzi do kolejnego mitycznego starcia pomiędzy czarnoskórą Petronilą Pinillą i Sycylijką Marią Perupatto (zawsze była wówczas okazją, by dostrzec apetyczną nagą pierś, jedną, dwie, a w chwilach najbardziej zażartych starć nawet cztery); następnie, wciąż wysilając wyobraźnię, próbował dojrzeć, jak chłopiec wchodzi na dach w to-

warzyństwie czarnych jak noc bliźniaków Pedra i Pabla albo podziwia piegowatą blondynkę Eloinę, chłopczycę, która zabawiała się puszczeniem latawców zrobionych ze starych gazet. Lecz wszystko na próżno, nie widział niczego.

Eliasz Kamiński, w asyście Condego, wypytywał mieszkańców, czy pamiętają Polaka Pepe Sawkiewkę, Mulatkę Caridad i jej syna Ricardita, który potrafił improwizować wiersze, ale pamięć o długotrwałym pobycie owych lokatorów w czynszówce przepadła widocznie tak samo jak splendor ostatniego piętra.

Idąc w dół ulicy, przekonali się, że otwarte niegdyś kino po drugiej stronie jezdnii, to, w którym Daniel Kamiński zaraził się nieuleczalną pasją do westernów i filmów gangsterskich, nie było już kinem, nie było niczym. Słynny Mosze Pipik, uczęszczana i najznamienitsza swego czasu koszerna restauracja w mieście, nie przypominała już pałacu niebiańskich smaków i aromatów: została zdegradowana do budy z cegieł pociemniałych od pleśni, uryny i kału, w której czterech młodych ludzi o twarzach kryminalistów i powonieniu zapewne w stanie atrofii grało od niechcienia w domino, popijając rum z butelki, jakby w oczekiwaniu na nieuniknione zawalenie się owej rudery, które wreszcie położy kres wszystkiemu, z rozgrywaną właśnie partią włącznie. Dokładnie w tym samym miejscu, gwarnym i rozświetlonym żywym wspomnieniem, Marta Arnáez i Daniel Kamiński, przyszli rodzice Eliasza, po obiedzie – dla niej ekstrawaganckim, dla niego wymarzonem od chwili przybycia na Wyspę – zapoczątkowali swoje narzeczeństwo, które w istocie przerwał dopiero pewien kwietniowy wieczór roku 2006, kiedy ona drżącą i pomarszczoną dłonią zamknęła oczy Danielowi.

– Poznali się w hawańskim Instytucie Kursów Doksztalcających, kiedy mój ojciec miał siedemnaście lat, a matka, córka Galisyjczyków, ale już Kubanka, niedawno skończyła szesnaście. Nie było mu łatwo przełamać opory stryja, który, co oczywiste, miał nadzieję, że bratanek ożeni się z jakąś młodą Żydówką, by zachować czystość krwi i tradycję. Jeszcze trudniejszym zadaniem stało się przekonanie moich galisyjskich dziadków, którym powodziło się całkiem dobrze i którzy bynajmniej nie byli zachwyceni tym, że ich córka związała się z polskim Żydem, w dodatku przymierającym głodem. Lecz kiedy ona się zakochała, nie było już odwrotu. Marta Arnáez była wcieleniem słodczy, ale gdy coś sobie postanowiła, czegoś zapragnęła albo chciała coś zachować w tajemnicy, żadna siła nie była w stanie temu przeszkodzić. Koniec końców bardzo to galisyjskie, prawda?

Od chwili gdy „St. Louis” wypłynął z Hawany, Daniel Kamiński dopiero po dziewiętnastu latach ponownie usłyszy o namalowanym przez wielkiego mistrza holenderskiego portrecie młodego Żyda, dziele, w którym rodzice pokładali nadzieję na ocalenie. Do tego czasu zdążył już prawie zapomnieć o jego istnieniu, lecz nade wszystko zapomniał o domniemanym istnieniu jakiegokolwiek boga.

Zawsze kiedy przypominał sobie ów obraz – ponoć tak wartościowy, choć rodzinie Kamińskich żadnego pożytku nie przyniósł – czuł narastającą frustrację, próbując dociec, czy i kiedy płótno trafiło w obce ręce, zastanawiał się nawet, czy nie zostało przez rodziców zniszczone: drastyczne i przerażające rozwiązanie dręczącej go zagadki, które jego zbolełej pamięci wydawało się jednak bardziej godziwe.

Jak udało mu się później dowiedzieć, „St. Louis”, zawrócony przez władze kubańskie, amerykańskie i kanadyjskie, dostał zgodę na zacumowanie w belgijskiej Antwerpii. Kilka przyzwoitszych rządów europejskich postanowiło rozlokować uchodźców w swoich krajach: jednych przyjęła Francja, innych Anglia, część pozostała w Belgii, a resztę – około stu dziewięćdziesięciu osób – odesłano do Holandii. Wiele lat później Daniel Kamiński otrzyma wiadomość, że jego rodzina znalazła się w tej ostatniej grupie. Większość z nich trafiła do obozu dla uchodźców Westerbork – otoczonego drutem kolczastym bagnistego skrawka ziemi pilnowanego przez psy – i tam zaskoczyła ich niemiecka okupacja. Niemcy od razu przystąpili do oczyszczania kraju z Żydów, wysyłając ich do obozów pracy lub obozów zagłady na Wschodzie. Kamińscy po prawie dwuletnim pobycie w obozie na terenie Czechosłowacji (czy małej Judyście udało się przeżyć głód, choroby, horror?) w 1941 albo 1942 roku prawdopodobnie zostali przewiezieni do Auschwitz nieopodal Krakowa, który opuścili kilka lat wcześniej, szukając ocalenia. Był to powrót do początku, kres makabrycznej dla rodziny i portretu bezimiennego Żyda podróży przez piekło, zawrócenie do punktu wyjścia, co niektórych Kamińskich miało doprowadzić do krematorium, gdzie przemienili się w prochy rozwiane przez wiatr. Daniel często będzie zadawał sobie pytanie, czy ów obraz Żyda, zadziwiająco podobny do znanych w całym katolickim świecie wizerunków Chrystusa, trafił ostatecznie w ręce jakiegoś Standartenführera lub innego wysokiego oficera SS, czy może rodzice, świadomi swojego losu, zniszczyli dzieło holenderskiego mistrza niczym zbędny skrawek płótna, w jaki się przemieniło.

Ta tragiczna historia, której dramatyczne apogeum nastąpiło w hawańskim porcie zaledwie trzy miesiące przed faszystowską napaścią na Polskę, jak też wiadomości o losach wspólnoty żydowskiej napływające z Niemiec i okupowanych przez nich państw skłoniły młodego Daniela Kamińskiego do wejścia na drogę, która uczyni zeń niewierzącego sceptyka. Od dziecka miał wrażenie, że niektóre epizody w dziejach związków Boga z jego narodem wybranym są nazbyt drastyczne (szczególnie ofiarowanie Izaaka, czego Jahwe domagał się od swojego ulubieńca Abrahama), ale od tej chwili ośmielił się stawiać obsesyjne pytanie, dlaczego wiara w Boga i przestrzeganie jego przykazań – nie zabijaj, nie kradnij, nie pożądaj – przemieniła losy Żydów w niekończącą się martyrologię. Punktem kulminacyjnym owego potępienia było niewątpliwie cierpienie wywołane przez najbardziej przerażający Holocaust, w którym, jak sądził, choć pewności nabrał dopiero później, zginęli jego rodzice i jego słodka siostrzyczka Judyta, nigdy już bowiem nie miał o nich żadnych wiadomości.

Młody Daniel, podążając drogą, która rozwidlała się na wszystkie strony, zaczął nawet kwestionować własną tożsamość i jej przytaczające brzemie. Co miał wspólnego on, Daniel Kamiński, z tym, co mówiono o Hebrajczykach z urodzenia? Czy on i jego siostra Judyta zasłużyli na tak podły los tylko z powodu obrzezania, koszernego jedzenia i modlitw w języku przodków? Jak to możliwe, że jakiś żydow-

ski mędrzec doszedł do wniosku, iż całe to cierpienie jest kolejnym świadectwem powinności, jaką Bóg nałożył na naród wybrany, obarczając go powołaniem i misją na ziemskim padole? Skoro mnożyły się pytania, a odpowiedzi nie było, Daniel Kamiński, kierując się doświadczeniem historycznym i racjami praktycznymi, niepomny na opinie innych, postanowił (na długo przed tym, nim stryj Joseph zaprowadził go do synagogi na inicjacyjną uroczystość bar micwy, która uczyniła zeń mężczyznę dorosłego i odpowiedzialnego), że nie chce żyć jako Żyd. Odrzucił swoją przynależność kulturową, ponieważ stracił wiarę w Boga, który ją ustanowił. We wszystkich bogów. Nad głowami ludzi, doszedł do wniosku, są jedynie chmury, powietrze, gwiazdy, albowiem w żadnym planie kosmicznym ani boskim nie mogło być zapisane i ustanowione niekończące się pasmo śmierci i cierpienia jako zapłata za przejście przez gorzkie ziemskie życie wypełnione zakazami, życie w męce, której kres położy dopiero nadejście Mesjasza. Nie, to niemożliwe. Nie potrafił uwierzyć w istnienie Boga, który dopuścił do tych nieszczęść. A jeśli nawet kiedyś istniał, był to Bóg okrutny. Albo nigdy takiego Boga nie było, albo umarł... I często zadawał sobie pytanie: co znaczy być Żydem bez tego Boga, tyrana i ciemięzyciela?

Dla Daniela Kamińskiego były to lata trudne, a zarazem pełne objawień. Głód niezmiennie stukający do drzwi i osaczający chłopca jazgot miasta, ale także wszechobecne i dławiące poczucie niepewności. Gdy „St. Louis” powrócił do Europy i wiadomo już było, że uchodźców przyjęły Wielka Brytania, Francja, Holandia i Belgia, nadzieja odżyła w jego sercu i w sercu stryja Josepha. Lecz z początkiem wojny ogarnęło ich strapienie zatrauwające życie wszystkim Żydom – tym, co mieli rodziny w Europie, i tym, którzy nie mieli tam krewnych – ponieważ nikt nie wiedział, dokąd sięgnie lawina nienawiści, wciąż sunąca naprzód, rozpedzona, śmiercionośna kula śniegowa, niemożliwa do zatrzymania.

Bez wytchnienia tropili wiadomości, zawsze sprzeczne, lecz coraz straszniejsze, pilnie śledzili wszelkie dostępne dla nich informacje – cały czas w lęku, że natrafią na nazwisko Kamiński na liście zatrzymanych, deportowanych lub zamordowanych – z jakimś pełnym udręki pragnieniem nieświadomości prawdy, jeszcze bardziej wynaturzonym niż jej świadomość. Pierwszy cios zadały komunikaty o błyskawicznym zajęciu Holandii i wywóźce osiadłych tam Żydów. Później nadeszły pierwsze wieści o zbiorowych egzekucjach mieszkańców wsi, miast i miasteczek w Polsce, Turcji, na Ukrainie i Bałkanach, szczegóły dotyczące niewiarygodnego dla wielu horroru obozów zagłady, nieprawdopodobne wręcz pogłoski o pociągach wypełnionych mężczyznami, kobietami i głodującymi dziećmi, o ciężarówkach przystosowanych do zagazowywania więźniów... wszystko to zapoczątkowało w ich małej rodzinie osobliwy, lecz zrozumiały proces: jeżeli bowiem Joseph Kamiński, ogarnięty religijnym fanatyzmem, coraz częściej chadzał do synagogi, coraz więcej godzin poświęcał na modlitwy i wezwania o nadejście Mesjasza i kres czasów, to myślącego racjonalnie Daniela, coraz bardziej świadomego, czym było i czym może być jego życie, ogarniał coraz większy sceptycyzm, niewiara, niezgoda, bunt wobec domniemanego bożego planu emanującego tak strasliwym okrucieństwem. A jednocześnie stawał się coraz bardziej Kubańczykiem i coraz mniej Żydem.

Daniel wiedział, że aby ogłosić swoje wyzwolenie i osiągnąć jakikolwiek cel w życiu, potrzebuje czasu i wsparcia, a jedynym na całym świecie człowiekiem, który może mu to zapewnić, jest stryj Joseph. Dlatego już w wieku lat dziesięciu chłopiec opanował sztukę życia godzącą dwa oblicza, co w przyszłości miało się okazać bardzo przydatne. Oblicze przyjmowane w domu i w kontaktach ze stryjem było karykaturą cech nieodzownych, by zadowolić opiekuna (albo przynajmniej go nie irytować). Z kolei twarz, którą przybierał na ulicach Hawany, była pragmatyczna, przyziemna, bardzo pospolita i kubańska. Powołując się na kłopoty bytowe, zdołał przekonać stryja, żeby posłał go do państwowej podstawówki, edukację religijną pozostawiając w gestii synagogi Adat Israel, gdzie udzielano darmowej nauki Tory. To pozwoliło mu uwolnić się od szkoły w Centrum Żydowskim, nawiązać bliższe stosunki z Kubańczykami i zaprzyjaźnić się z rówieśnikami, jak bliźniaki Pedro i Pablo czy chłopczyca Eloína, a nawet z dziećmi spoza czynszówki. W owym czasie jego najlepszymi przyjaciółmi zostali szkolni koledzy: Antonio Rico, *mulato lavado*, „wykąpany Mulat”, jak nazywano tych, którzy przypominali białych, choć tacy nie byli (miał wiecznie zadziwione oczy, obiekt westchnień wszystkich dziewcząt), oraz

nadpobudliwy rudzielec, najbardziej niezdiscyplinowany i inteligentny z całej klasy, José Manuel Bermúdez, noszący przydomek „Calandracra”, jak ta żyjąca w mule glista, bo też był różowitki i bez przezwany się ruszał.

Kiedy Daniel miał lat jedenaście, poznał wraz z bliźniakami Pedrem i Pablem przyjemność, jaką daje pocieranie ptaszka. Miejscem inicjacji i najczęstszych masturbacji był gołębnik zbudowany przez bliźniaków na dachu czynszówki. Z tej wysokości, prażąc się na słońcu, mogli podziwiać przez otwarte okno różowe uda, wspaniałe piersi i gęste włosy łonowe Rosjanki Kateriny, która udręczona upałem promenowała nago po mieszkaniu, po drugiej stronie ulicy Acosta, w pełnej krasie swoich trzydziestu pięciu lat. Już niebawem Pedro, Pablo i Daniel mieli wkroczyć na kolejny stopień seksualnych eksploracji, kiedy chłopczyca Eloína, której niemal z dnia na dzień wytrysnęły spiczaste, kuszące piersi, udowodniła im, że choć gra w bejsbol znacznie lepiej od chłopców, ma jasno sprecyzowane inklinacje seksualne właściwe kobietom. Dzięki temu, zupełnie jakby to była kolejna zabawa w latawce, w poczuciu braterskiego ducha ekschłopczyca podjęła się wprowadzenia ich (a przy okazji siebie) w tajniki zbiorowego seksu, aczkolwiek z zastrzeżeniem, że penetracja dopuszczalna jest jedynie tylnym wejściem, ponieważ jej Czerwony Diament (tak nazywała swoją piegowatą, porośniętą szafranowymi kędziorkami cipkę) musi bez szwanku dotrzeć do wymarzonego przez nią dnia ślubu, albowiem, jak mawiała, jest „biedna, ale przyzwoita”.

Dzięki owym ulicznym praktykom Daniel nauczył się również mówić po hawańsku (na przyjaciół mówił *negüe*, na autobusy *guaguas*, na jedzenie *jama*, a na stosunek *singar*), pluć kącikiem ust, tańczyć *danzón*, a potem *mambo* i cza-czę, prawić dziewczynom komplementy oraz – jako akt wyzwolenia stosowany z zapałem i premedytacją – zjadać smażone świńskie skórki, *fritas* z mielonej wieprzowiny i wszystko, co napelniało brzuch, bez względu na to, czy było koszerne, czy trefne, byle smaczne, obfite i tanie.

Ze swej strony Antonio i Calandracra podjęli się zapoznania go z największymi i najbardziej niezwykłymi atrakcjami Hawany, które na zawsze zachował w pamięci jako doniosłe odkrycia, obecne w jego życiu aż po kres. Wraz z nimi, członkami szkolnego teamu, poznawał niezgłębione sekrety osobliwej dyscypliny zwanej przez Kubańczyków „piłką” i złapał nieuleczalnego bakcyła, stając się fanatycznym kibicem klubu *Marianao* z kubańskiej zawodowej ligi bejsbolu – być może dlatego, że drużyna ta permanentnie przegrywała mecze. Z dwójką przyjaciół nauczył się wędkowania i pływania w ciepłych wodach zatoki. Wraz z nimi wielokrotnie przekraczał nocą istniejącą w wyobraźni południową granicę dzielnicy, wytyczoną przez ulice *Ejido* i *Montserrat* (tędy ongiś przebiegały mury otaczające stare miasto), aby chłonąć atmosferę długich podcieni na *Paseo del Prado*, pełnych światła, reklam, muzyki i przechodniów, gdzie nieokiełznane miasto eksplodowało, przelewało się na wszystkie strony i tętniło życiem, a na każdym rogu można było podziwiać występy żeńskich orkiestr rozweselających kafejki i restauracje tej śródmiejskiej alei, miejsce, w którym nigdy nie zamykano bram, o ile takowe istniały (Daniel wyzna potem cichym szeptem synowi, że pod wpływem tych muzycznych żeńskich występów na zawsze pozostał w nim magnetyczny pociąg do kobiet dmących we flety i saksofony, grających na kontrabasie, uderzających w tamburyny. Pociąg frenetyczny, jeśli były to *Mulatki*). Z przyjaciółmi wstępował setki razy w podwoje kina *Ideal* o podcieniach wspartych na kolumnach godnych jakiegoś pałacu marzeń, jakim w istocie było, i tam chłonał ulubione filmy, zwykle dzięki hojności Calandraki, którego ojciec, kierowca autobusu linii 4, miał stałą pensję: chłopiec fundował bilety Danielowi i Antoniowi po pięć centavos na głowę, a potem już mogli rozkoszować się ucztą złożoną z dwóch filmów, programu dokumentalnego, kreskówek i kroniki.

Kiedy otwierał bramy do pełnego zgiełku miasta, gdzie nie istniały posępne mroki, fizyczne i duchowe – wspomnienia z Krakowa i Berlina – Daniel Kamiński czuł, jakby wychodził z siebie, by zamieszkać w innym Danielu Kamińskim, który żył, nie myśląc o modlitwach, zakazach, tysiącletnich przykazaniach, a przede wszystkim nie odczuwając odziedziczonego po rodzicach dławiącego strachu (choć zawsze napawał go lękiem *Mulat Lazarito*, typowy dzielnicowy rozrabiaka, właściciel mitycznego noża sprężynowego, który, jak mawiano, poszlachtował niejedne pośladki). Chłopak cieszył się

każdą chwilą; był gotów wypruć sobie flaki dla swojej drużyny bejsbolowej, pływał niczym delfin wśród raf Maleconu, sympatyzował z bohaterami hollywoodzkich filmów, był zakochany w udach pewnej Mulatki – flecistki o zmysłowych, obiecujących wargach – i masturbował się, wpatrzony we włosy łonowe Rosjanki. Zestaw doskonały.

Gdyby takie było całe jego życie, gdyby taki pozostać miał Daniel Kamiński, może powiedziałby po latach, że mimo ubóstwa, niedożywienia i braku rodziców miał szczęśliwe dzieciństwo, niemal idealne. Ale za fasadą kłamstw ukrywała się jego druga połowa, przepełniona dławiącym lękiem związanym z wojną oraz losem rodziców i siostry. Marzeniem Daniela było wówczas dorosnąć do odpowiedniego wieku, żeby wreszcie móc ogłosić niepodległość, choć wiedział, że będzie to wymagało wiele taktu, by nie urazić stryja Josepha, któremu tyle zawdzięczał i którego, nie okazując tego ani gestem, ani słowem, kochał jak ojca. Wykupi swoją wolność za pomocą czasu i pieniędzy.

Daniel Polak, jak nazywali go szkolni koledzy i hawańscy włóczyki, wstąpił do Instytutu Szkolnictwa Średniego² zaledwie z rocznym opóźnieniem w stosunku do młodszych uczniów, podobnie jak jego przyszła narzeczona Marta Arnáez oraz kompan ulicznych włóczęg José Manuel „Calandraca”. Wówczas miał już za sobą ceremonię bar micwy, a także powojenny szok, kiedy to w poczuciu bólu i wyzwolenia znalazł na opracowanej przez kubańskie Centrum Żydowskie liście ofiar Holokaustu, wśród nazwisk wielu Żydów zesłanych w ciągu owych nikczemnych lat do obozów i krematoriów, których zbrodnicze rozmiary ujawniły w pełni i osądziły połowicznie procesy norymberskie, nazwisko ojca i matki. Imię jego siostry, Judyty, nigdzie się nie pojawiło, jakby dziewczynka wcale nie istniała, więc Daniel przez wiele lat żywił upartą, choć nieśmiałą nadzieję, że jakimś cudem przeżyła: może zaadoptowana przez jakiegoś radzieckiego oficera, może uratowana przez partyzantów albo ukrywana w lesie i wzięta na wychowanie przez polskich wieśniaków... ale ocalona. Puszczać wodze fantazji, Daniel utożsamiał siostrę z bohaterską kobietą, której imię nosiła, a ta, wedle jednej z ksiąg uznawanych przez biblijnych kompilatorów za apokryficzne, ucięła głowę wodzowi Holofernesowi, wysłanemu przez wszechwładnego Nabuchodonozora na podbój niepokornych Izraelitów. Wspomnienie lektury jednej z tak licznych w domu dziadków Kellersteinów ksiązek pozwoliło Danielowi ujrzeć swoją siostrę Judytę przemienioną w ową piękną, nieustraszoną kobietę, namalowaną przez Artemisię Gentileschi, a odcięta mieczem głowa babilońskiego wodza przybrała w jego wyobraźni twarz oficera zbrodniczej formacji SS, który usiłował pochwytać dziewczynę...

O ile kres dzieciństwa Daniela przypadł na poranek dnia, w którym zobaczył odplywający statek „St. Louis”, o tyle w wiek dojrzałości wkroczył w październiku 1945 roku, gdy skończywszy lat piętnaście, poczuł na barkach brzemień kosmicznej samotności na wieść, że jego rodzice zostali unicestwieni przez skrajnie racjonalną i perfidną nienawiść. Pierwszą decyzję jako człowiek dojrzały podjął kilka dni potem, kiedy nie zgodził się zadowolić pocziwego stryja Pepe Sakiewki i odmówił dalszej nauki w Instytucie Yavne, znanym z ortodoksyjnego nastawienia.

Zdarzenie to na zawsze pozostanie w pamięci Daniela Kamińskiego jako jeden z najtrudniejszych epizodów jego życia, tak obfitującego w trudne sytuacje, przeszłe i przyszłe. Przez całe sześć lat wojennego koszmaru stryj Joseph okazywał bratankowi nieskończoną dobroć: przyjął go pod swój dach, chronił, karmił (mniej więcej) i opłacał naukę, co było luksusem dla większości młodych Kubańczyków, z których niejeden zakończył naukę na szkole podstawowej, jak przyjaciel Daniela, Antonio Rico. Choć w życiu codziennym Kamińskich niewiele się zmieniło, sytuacja materialna Pepe Sakiewki (jak podejrzewał chłopiec i z wdzięcznością będzie to później wspominał) wyraźnie się poprawiła, odkąd awansował na głównego krojczego, stając się duszą coraz lepiej prosperującego warsztatu artykułów skórzanych, należącego do finansowego magnata Jacoba Brandona. Interesy tego amerykańskiego Żyda rozkwitły w latach wojny i niedostatku dzięki innowacjom wprowadzonym do wszystkich jego firm, z warsztatami rymarskimi włącznie, co umożliwiła bardzo dochodowa kontrabanda masła. Jednak decyzja stryja, by posłać bratanka do instytutu żydowskiego, traktowana była jako inwestycja w przyszłość

i często stosowana w praktyce nawet przez ubogich członków wspólnoty, świadomych, iż tylko solidne wykształcenie otworzy liczne drzwi w kraju, w którym, odkąd Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny z Niemcami, powrócił przychylny stosunek do Żydów.

Daniel, świadomy, że sam nie zdoła się utrzymać, próbował w jak najdelikatniejszy sposób przekazać opiekunowi decyzję o kontynuowaniu nauki jako zwykły Kubańczyk i ograniczeniu do minimum związków z religią przodków, nie mógł bowiem dłużej udawać czegoś, czego już nie czuł, a co dla Żydów jest kwestią fundamentalną.

Reakcja Josepha Kamińskiego była gwałtowna i porywcza, skądinąd spodziewana: przechodząc na jidysz, by w pełni wyrazić swoje rozczarowanie, nazwał go heretykiem, niewdzięcznikiem, człowiekiem bez serca i kazał mu się wynosić. Z małym zawiniątkiem, w którym zmieściły się wszystkie jego rzeczy – trochę ubrań, dwie czy trzy książki i zdjęcia rodziców towarzyszące mu od wyjazdu z Krakowa – Daniel wyszedł na ulicę Compostela, dotarł do Acosty i przeszedł pod Łukiem Betlejemskim, który mimowolnie skojarzył mu się z bramą wyprowadzającą ze zgiełkliwego żydowskiego raję, umiejscowionego w najbardziej zgrzybiałej części Hawany. Ale tak czy owak raję.

Rozwiali się wprawdzie jego marzenia o normalnym kontynuowaniu nauki, lecz na szczęście rodzice Calandraki się zgodzili, by przez parę nocy spał na kochach rozesłanych na podłodze w małym salonie ich mieszkania przy ulicy Ejido. Przed oczami Daniela, który został bez grosza przy duszy, ukazał się wielki znak zapytania. Chłopiec wiedział bowiem, że jeśli nawet podłapie jakąś dorywczą pracę, nigdy nie będzie go stać na mieszkanie i jedzenie.

Tydzień później pojawił się środek zaradczy, przynajmniej na jego potrzeby żywnościowe i częściowo materialne, kiedy to Żyd Sozna, właściciel ciastkarni i piekarni La Flor de Berlín, tymczasowo zaoferował mu uciążliwe zajęcie sprzątacza na nocnej zmianie. Ów niemiecki Żyd zlecił Danielowi gruntowne porządki na zapleczu, wyszorowanie lady sklepowej, pojemników i narzędzi, a także przeniesienie beczek z tłuszczem roślinnym oraz worków mąki i cukru, żeby wszystko było w należytym porządku i czystości, gdy mistrz piekarski i jego pomocnicy przystąpią do pracy o pierwszej w nocy. Dzięki tej niewolniczej pracy, którą wykonywał sumiennie (czasem z pomocą Calandraki, Antonia Rica i bliźniaka Pedra, ponieważ Pablo z powodu drobnych kradzieży znalazł się w Torrens, słynnym i ponurym domu poprawczym), nie tylko otrzymywał dniówkę w wysokości dwudziestu pięciu centavos, ale mógł też wyjadać okruchy i odpadki pozostawione przez pracowników (i samego właściciela, wbrew żydowskiej skrzętności), wygrzebywać resztki z garnków, a nadto, mimo panującego hamidru, prześpać się parę godzin na stercie worków z kastylijską mąką. Chociaż co rano, przeczącemu zmęczeniu, zmuszał się do udziału w lekcjach w hawańskim Instytucie Szkolnictwa Średniego, jego prawdziwym utrapieniem była mroczna wizja przyszłości i chociaż na razie nie miał innych pomysłów na życie, to jednak nigdy nie widział siebie w charakterze pomocnika piekarza.

Kiedy pewnego ranka, wychodząc z Flor de Berlín, ujrzał stryja Josepha siedzącego na skraju przeciwległego chodnika z jakimś pudłem na kolanach, widział już, że powróciło światło. Nie, stryj nie może przynosić złych wieści, bo ich zasób wyczerpał się już do cna. Nie mylił się... Pepe Sakiewka chciał, żeby Daniel znów z nim zamieszkał w kamienicy przy Composteli i mógł jak każdy zwykły uczeń chodzić do wybranego przez siebie liceum. Joseph długo nad tym rozmyślał i zdecydował się ponownie przyjąć do siebie bratanka, bo chyba zrozumiał motywy jego postępowania: on sam, jak mu wyznał z oczyma zwilgotniałymi od łęku, a może żalu za tym, co stracił, czuł nieraz, tak jak Daniel, nieodpartą chęć, by wszystko posłać do diabła, znękaną dźwiganiem stygmatu przodków, który sprawił, że sam do niczego w życiu nie doszedł, i to w każdym tego słowa znaczeniu. Cena zapłacona w imię rodziny była zbyt wygórowana, aby jeszcze ją podwając przez podziały i kary, powiedział, a Daniel jest już na tyle dorosły, by zmierzyć się z wolną wolą, jaką obdarzył go Przenajświętszy. Poza tym, dodał stryj, bardzo za nim tęsknił i czuje się samotny. Tak samotny, że pokusił się o coś wręcz szalonego, powiedział, i wskazując trzymane w rękach pudło, poprosił Daniela, żeby je otworzył. Co uczyniwszy, chłopak omal nie padł ze zdumienia: stryj postradał zmysły i kupił radio!

Dzięki opatrnościowej zmianie decyzji opiekuna szesnastoletni wówczas Daniel Kamiński uwolnił się od brzemienia podwójnej egzystencji, co uczyniło zeń człowieka spełnionego, który mógł cieszyć się najlepszymi latami życia, umilanymi dodatkowo przez programy muzyczne, transmisje meczów bejsbolowych i przygody chińskiego detektywa Chan Li Po – a wszystko za sprawą tego cudownego radiodbiornika. Pokój i zgoda panujące na Kubie, gdzie nikogo nie obchodziło, czy ktoś jest Żydem, czy też przestał nim być, gdzie zjechali się ludzie z wszystkich zakątków świata – Polacy, Niemcy, Chińczycy, Włosi, Galisyjczycy, Libańczycy, Katalończycy, Haitańczycy – zapewniły mu pełnię możliwości, o jakich nie mógł nawet śnić żaden Żyd od czasu, gdy sefardyjczycy znaleźli schronienie w Amsterdamie. Wśród Żydów kubańskich byli ludzie religijni i sceptycy, komuniści i syjoniści, bogaci i biedni, aszkenazyjczycy i sefardyjczycy, niekiedy skłócenii, niekiedy żyjący w zgodzie, ale zawsze gotowi spełnić na tym skrawku ziemi dwa marzenia: zdobyć spokój i pieniądze. W tej wspólnocie, od której coraz bardziej się oddalał i której ortodoksyjność była mu coraz bardziej obca, Daniela najbardziej irytowało dążenie do izolacji właśnie tam, gdzie tak gościnnie otwierano im drzwi. Przez całe stulecia doświadczeń idea getta przeniknęła dusze Żydów i uparcie ich prześladowała nawet na wolności. Czymś absurdalnym był dla Daniela nieugięty zamiar, by żyć i rozwijać się tylko zgodnie z zasadami endogamii: interesy między Żydami, małżeństwa między Żydami, ceremonie dla Żydów, jedzenie dla Żydów (zawsze jednak rozróżniając sefardyjczyków od aszkenazyjczyków, bogatych od biednych), co kłóciło się z jego liberalnym, otwartym charakterem. Wiedział, że rabini i wszyscy pobożni Żydzi uznają taką postawę za chęć integracji, sprzeczną z transcendentnym przeznaczeniem określonym przez boży plan jako misja synów Izraela. Lecz mimo tych rygorów, na szczęście dla Daniela i ku jego radości, coraz więcej osiadłych na Kubie Izraelitów myślało podobnie jak on, a nawet żyło zgodnie z własnymi zasadami.

Niewątpliwie rozwój kraju i ustroju demokracji republikańskiej, który pozwolił na poprawę sytuacji Hebrajczyków, zbiegł się w tamtych latach z jedną z największych plag społecznych: korupcją. Pragnienie szybkiego wzbogacenia się za wszelką cenę ogarnęło polityków, kupców, inwestorów, oficerów, policjantów i wszelkiego autoramentu osoby publiczne, często dochodziło nawet do gwałtownych walk pomiędzy koteriami i ustawek tak zwanych gangsterów. Jednakże dla głodującego ucznia, takiego jak Daniel, machinacje owe były czymś odległym, tak przynajmniej uważał w swoim naiwnym przekonaniu, ciesząc się życiem wolnym od strachu (od wszelkiego strachu, odkąd Lazarito trafił do więzienia Castillo del Príncipe za nazbyt częste sięganie po nóż sprężynowy). W miarę jak upływały lata, a przybawało mu doświadczeń z życia na Kubie w roli Kubańczyka, młody Żyd korygował swoje wcześniejsze odczucia co do wyspiarskiej jowialności i niefrasobliwości. Zrozumiał, że zgodnie z kondycją ludzką na tej zalanej słońcem Wyspie, obfitującej we wszelkie dobrodziejstwa natury, w tym uprzywilejowanym miejscu, gdzie tak łatwo się wzbogacić, gdzie miesza się kultury i rasy, gdzie wszyscy tańczą lub śpiewają, również może wyklucić się nienawiść, a nawet sadystyczne okrucieństwo, załęgnać karierowiczostwo, konflikty społeczne i rasowe, przede wszystkim zaś może się objawić zło gnieżdżące się w sercach tak wielu tutejszych mieszkańców: zazdrość. Czy ta nikczemna, nieustannie tłąca się zawiść była cechą dziedziczną, czy też nabytą wskutek przemieszania rozmaitych mikstur tworzących kubańską społeczność? Wiarygodnej odpowiedzi na to pytanie udzieli mu po latach pewien przyjaciel...

Mimo że jego sytuacja się polepszyła, Daniel Kamiński postanowił połączyć naukę w instytucji z pracą sprzątacza w La Flor de Berlín, aby w ten sposób zarobić trochę pieniędzy na pokrycie rosnących wydatków na ubranie i przybory szkolne. Pozwalał sobie nawet na luksus obiadów oraz mecze na hawańskim Wielkim Stadionie, kiedy grał jego ulubiony team, Jaguary z Marianao. Kiedy był na drugim roku studiów, po kilku tygodniach oszczędzania zebrał dość gotówki, by zaprosić kogoś dnia na obiad u Mosze Pipika młodą Galisyjkę Martę Arnáez, w której bez pamięci się zakochał. W restauracji swoich marzeń Daniel chciał nie tylko zrobić wrażenie na dziewczynie, która wciąż jeszcze się nie zadeklarowała, choć bez protestów przyjmowała jego miłosne wyznania, ale także spełnić odwieczne i uparte pragnienie, by zasiąść przy stole nakrytym obrusem w biało-czerwonej szachownicy, gdzie królował błękitny syfon z wodą sodową, i delektować się pysznym jedzeniem, które, gdyby nie wpatrywał się jak zaczarowany w swoją prawie nierzeczoną (jak sądził), przeniosłoby go być może w czasy dzieciństwa w Polsce i poprowadziło drogami wodzącymi od kubków smakowych do tak zwanej pamięci

afektywnej, zwłaszcza gdyby wędrówka rozpoczęła się po zjedzeniu knedelków z macy, które pływają się w rosole z kury, po czym łagodnie rozpylają w ustach, wypełniając je niebiańskim smakiem.

Rok trwały podchody Daniela Kamińskiego, najpierw spojżenia, uśmiechy, gesty, a potem wyznania miłosne, słowne i pisemne, nim Marta Arnáez powiedziała „tak”. Po prawdzie od samego początku spodobał się jej ten Polak o niesfornej czuprynie i oczach bardziej zadziwionych niż smutnych, chudy jak tyka, choć muskularnie zbudowany. Często opowiadała swojemu synowi Eliaszowi, siedząc pod kępą bugenwilli na patio domu w Miami Beach albo na białej ławce w cieniu rozłożystych akacji w ekskluzywnym domu spokojnej starości w Coral Gables, że od początku czuła do Daniela sympatię, która szybko przerodziła się w namiętność. Marta sądziła jednak, że na jego deklaracje miłosne wypada odpowiadać zdaniem, w którym ani go nie odrzucała, ani nie akceptowała: „Muszę to przemyśleć”, powtarzała całymi miesiącami swojemu wielbicielowi. „Takie były czasy”, wyjaśni z uśmiechem synowi Eliaszowi Kamińskiemu wiele lat później.

Zostali parą pod koniec wiosny 1947, kiedy skończyli drugi rok nauki w instytucie. Od tej pory godzinami włóczyli się po mieście, trzymając się za ręce, ale w pobliżu domu dziewczyny – na rogu Virtudes i San Nicolás, tuż przy ruchliwej ulicy Galiano – zawsze odsuwali się od siebie i żegnali nawet bez pocałunku w policzek. Ona, nie oglądając się za nim, znikła w bramie, a on, zadowolony, szedł w stronę Starej Hawany, z nadzieją, że Rosjanka Katerina, rozochociona wódką, rumem albo ginem, będzie akurat miała jeden z tych swoich gorących dni i jak to zdarzało się od roku, kiwnięciem ręki zaprosi go do siebie, by udzielić mu kolejnej bezpłatnej lekcji w ramach praktycznego kursu słowiańskiego rozpasania.

Po kilku tygodniach zaczęły się letnie wakacje, więc Marta wyjechała z rodzicami do odległej i – jak mawiali – kwitnącej osady w Antilli na północnym wschodzie Wypsy, gdzie mieszkał i pracował brat jej matki. Wprawdzie Galisjczyk Arnáez wrócił już po kilku dniach, żeby dopilnować swojego sklepu kolonialnego specjalizującego się w artykułach spożywczych i alkoholu, lecz matka z córką zostały tam na całe osiem tygodni. Było to osiem najdłuższych tygodni w życiu Daniela Kamińskiego, który popadał w szaleństwo, licząc dni, a czasem nawet godziny dzielące go od ponownego spotkania z Martą, lub wyobrażał sobie, że jedzie do Antilli, porywa ukochaną i zabiera ją w inny, równie odległy zakątek Wypsy. Był w takiej desperacji, że odrzucał kolejne zaproszenia Rosjanki i nie mając nic lepszego do roboty, znów zaczął chodzić do synagogi, żeby odurzać się modlitwami i czytaniem fragmentów Tory. Więcej godzin poświęcał także na pracę w piekarni Niemca Sozny, licząc, że zbierze sumę potrzebną na zakup garnituru, w którym pewnego dnia złoży wizytę przyszłym teściom i formalizując związek miłosny z ich córką, poprosi o jej rękę.

Przedłużający się pobyt matki i córki na wschodnich rubieżach stanowił, o czym nie wiedzieli narzeczeni, element strategii zmierzającej do rozdzielenia pary, w nadziei, że czas zrobi swoje, albowiem ani dla Manola Arnaeza, ani dla Adeli Martínez odkrycie, że ich córka związała się z jakimś parchatym polskim Żydem, nie należało do przyjemnych. Jednak dobrze znając charakter córki, woleli obrać dyskretniejsze metody niż doprowadzić do frontalnego starcia, z którego, co przeczuwali, wyszliby pokonani. Martica bowiem była uparta jak muł, według słów jej rodzica, eksperta od hodowli mułów, jak na rodowitego Galisjczyka przystało.

Środki zastosowane przez rodziców przyniosły skutek dokładnie odwrotny. Kiedy Marta Arnáez wróciła do Hawany i znów podjęła naukę, pozwoliła narzeczonemu posunąć się o krok dalej i po raz pierwszy zgodziła się na pocałunek. Chociaż namiętność wylaźli z nich wszystkimi porami skóry, zachowywali dość umiaru, by utrzymać na wodzy pulsujące pożądanie i grzeszne myśli, poprzestając na pocałunkach i niewinnych pieszczotach. „Takie były czasy”, powie synowi Marta po latach. „Na osłodę ten sukinsyn, twój ojciec, miał Katerinę, kurwę nad kurwami, i to gratis, a ja... tylko buziaczki”.

Gdy młodzi kończyli trzeci rok nauki w instytucie, rodzice dziewczyny, chcąc nie chcąc, zaakceptowali ich związek. Daniel zaprezentował się w tanim kraciastym garniturze z podrabianego muślinu, ku-

pionym od Libańczyków na ulicy Monte, i krawacie w błękitne paski, sprezentowanym mu przez właściciela La Flor de Berlín. Siedząc po raz pierwszy w salonie domu przy ulicy Virtudes, przedstawił przyszłym teściom swoje poważne zamiary wobec ich córki, po czym został powiadomiony przez Manolę i Adelę, że ma zgłosić się następnego dnia na ogłoszenie werdyktu. Gdy rodzice zostali sami z Martą, zapytali ją, co myśli o tych oświadczeniach. Odparła jednym zdaniem, które miało naznaczyć całe jej życie, a wypowiedziała je takim tonem, że dla rodziców stało się oczywiste, iż wszelkie obiekcje są na nic. „Daniel jest mężczyzną mojego życia”, oznajmiła i nie cofnęła tych słów aż do śmierci.

Dokładnie w tym samym czasie, gdy Danielowi Kamińskiemu udało się sformalizować związek z Martą, dotknął go głęboki kryzys tożsamości, który zagroził wszystkim jego dotychczasowym przekonaniom. Pod koniec tegoż 1947 roku na ziemiach Palestyny powstało nowe Państwo Izrael, a jego narodziny były chaotyczne i bolesne, choć pełne nadziei. Podobnie jak wszyscy rozproszeni po świecie Hebrajczycy, hawajscy Żydzi powitali z radością to wydarzenie, chociaż, jak w wypadku każdego przełomowego lub nieprzełomowego faktu, oceniali je różnie, w zależności od wyznawanych poglądów, które oscyływały pomiędzy radykalnym syjonizmem a całkowitą obojętnością wobec owego historycznego epizodu, tak odległego od ich codziennego życia. Lecz między jednym a drugim biegunem istniało wiele postaw, zajmowanych przez komunistów, syjonistów, socjalistów, ortodoksów, reformistów, umiarkowanych, liberalów, militarystów, pacyfistów, sefardyjczyków, aszkenazyjczyków, ateistów, głosicieli mesjanizmu i wielu, wielu innych, do wyboru, do koloru.

Daniel, któremu wydawało się, że jest jak najdalszy od tych problemów, poczuł nagle niepokrośmiony zew tradycji, silniejszy i bardziej dramatyczny, niż mógłby sobie wyobrazić. Po kilku latach konsekwentnego i dobroczynnego dystansu wobec judaizmu los Erec Izrael oraz jego odwieczne ziemskie i niebiańskie sprawy znów poruszyły go do głębi. Równie wyczekiwane jak konieczne narodziny państwa hebrajskiego zbiegły się z coraz mocniejszym przekonaniem, że tylko mając własny kraj, właśnie tam, na ziemi obiecanej przez ich Boga, Izraelici mogą uniknąć horroru kolejnego Holokaustu, takiego jak ten, który właśnie ich dotknął, a każdy dzień przynosił nowe i coraz bardziej przerażające wieści o jego rozmiarach. Aby uzyskać to bezpieczne schronienie, Żydzi uciekali się do wszystkich swoich zdolności, podstępów i chwytów, zarówno pokojowych, jak i agresywnych, do wywierania presji ekonomicznej i moralnej. Liczyli przy tym na wsparcie tych samych Amerykanów, którzy dziewięć lat wcześniej odmówili przyjęcia „St. Louis”, a także na pomoc potężnego Związku Radzieckiego, zainteresowanego strategiczną przyjaźnią z państwem hebrajskim. Mimo że władze kubańskie odmówiły uznania Izraela, światowe echo tych wydarzeń w jakiś zagadkowy sposób dotknęło Daniela Kamińskiego, jakby przypominając mu, że koniec końców coś więcej niż usunięcie napletka identyfikuje go z tymi ludźmi. Był z nimi związany także więzami krwi, a nawet śmierci. To poczucie bliskości poruszyło go do tego stopnia, że kiedy parę miesięcy później, z powodu reakcji militarnej niektórych krajów arabskich, ważyły się losy nowo powstałego państwa, zaczął się zastanawiać, podobnie jak inni młodzi członkowie wspólnoty, w większości synowie sefardyjskich Turków, zahartowanych w boju proletariatuszy, czy i on nie powinien zgłosić się na ochotnika, by bronić wskrzeszonego kraju Izraelitów, utraconego tyle wieków temu.

W sobotni poranek, kiedy po długiej nieobecności poszedł ze stryjem Josephem do synagogi Adat Israel, żeby posłuchać najnowszych wiadomości o ważkich wydarzeniach rozgrywających się po drugiej stronie kuli ziemskiej, słowa rabina poruszyły ukryte głęboko w jego świadomości struny, które, jak sądził, dawno już przebrzmiały. „Bóg obdarował każdy naród własną ziemią, Żydów zaś obdarował Palestyną”, mówił celebrans, stojąc przed zwojami Tory. „Galut, wygnanie, na które byliśmy skazani przez tyle stuleci, oznacza, że my, Żydzi, utraciliśmy nasze przyrodzone miejsce. A każdy, kto porzuca swoje przyrodzone miejsce, traci jego wsparcie, dopóki tam nie powróci. Dobrze o tym wiemy. Od czasów patriarchów głosimy narodową jedność, znacznie górującą nad poczuciem innych narodów, taka bowiem była wola Przenajświętszego, błogosławiony niech będzie Pan, jest tedy konieczne, byśmy my, Żydzi, powrócili do stanu prawdziwej jedności, co możemy osiągnąć tylko na świętej Erec Izrael, tam, skąd

wszystko wzięło swój początek, na ziemi, której władanie poświadczane jest przez Świętą Księgę i słowo boże”.

Być może perspektywy, jakie się przed nim otworzyły, gdy jego związek z Martą zyskał akceptację, najbardziej wpłynęły na ostateczną decyzję, by nie ulegać powszechnej pokusie i nie iść w ślady niektórych sąsiadów ani byłych kolegów z Centrum Żydowskiego, a także licznych młodych ludzi studiujących w Instytucie Yavne. Tak w każdym razie oświadczył w trakcie burzliwej dyskusji stryjowi Josephowi. W istocie bowiem po początkowym impulsive płynącym z dziedzictwa przodków Daniel Kamiński uswiadomił sobie, że nazbyt oddalił się od świata poszukujących swojej ojczyzny Żydów, by teraz ryzykować życie w walce, której wynik trudny jest do przewidzenia. Chodziło nie tyle o egoizm, jak by powiedział, ile o absolutny brak wiary i zaangażowania w sprawę przyobleczoną w mesjanizm, o bunt przeciwko starym i sztywnym zasadom religijnym wskrzeszonym przez nowo narodzony kraj. A wszystko to oparte było na bardzo racjonalnym, niezbitym przekonaniu: najpierw dramatyczny, niemal infantylny zamiar odejścia od żydostwa, a teraz nieugięta decyzja, by dzielić życie z Kubanką, która – Daniela na samą myśl o tym ogarniała rozpacz – nigdy nie zostanie jego prawowitą żoną w kraju, który nim się jeszcze narodził, zarządził wykluczenie gojów i w imię boskich praw zakazał małżeństw określanych jako mieszane. Daniel nawet nie zdawał sobie sprawy z rozmiarów i konsekwencji tego procesu, owego obronnego impulsu prowadzącego do niepokornego i definitywnego kulturowego oddalenia, które sprawiło, że postanowił być tylko i wyłącznie Kubańczykiem, żyć i myśleć jak Kubańczyk, co stało się jego obsesją i do tego stopnia zawojowało jego świadomość, a także podświadomość, że hebrajska euforia nie miała już doń dostępu.

Wiele lat później Daniel Kamiński powrócił do tej ostatecznej decyzji – determinującej całe jego życie – w liście do syna Eliasza, który osiadł w Nowym Jorku i próbował zostać malarzem. Daniel uczynił to pod koniec lat osiemdziesiątych, kilka miesięcy po udanej operacji prostaty. W obliczu tej śmiertelnej przestrogi zdecydował się po przebytej rekonwalescencji, i ku zdziwieniu rodziny, wrócić do Krakowa – miasta, którego nigdy już nie chciał oglądać. Wbrew oczekiwaniom postanowił wyruszyć w ową „podróż do korzeni” (jak mawiali aszkenazyjscy Żydzi z całego świata) sam, bez żony i syna. Po powrocie z Polski, gdzie spędził dwadzieścia dni, ten rozmowny z natury człowiek zbył paroma ogólnikami wrażenia z wyprawy do miejsca swoich narodzin: urok średniowiecznego krakowskiego rynku i wstrząsającą, wciąż żywą pamięć o zagładzie w Auschwitz-Birkenau, wizytę w dawnym getcie, dokąd przesiedlono miejscowych Żydów, daremne poszukiwania miejsca, w którym stał kiedyś jego rodzinny dom na Kazimierzu, puste, pozbawione świateł memory wnętrza Nowej Synagogi, jakże smutnej spośród samotności owego kraju, wówczas już bez Żydów, lecz wciąż chorującego na antysemityzm. Jednak wzruszenie ponownym spotkaniem z owym sercem przeszłości, którą przez lata usiłował zepchnąć w niepamięć, a z której, jak sądził, udało mu się wyzwolić dawno temu, przeniknęło najgłębsze zakamarki duszy Daniela Kamińskiego. Dopiero kilka miesięcy później złożył w końcu niespodziewane wyznanie.

Pisał w liście do syna, że nie potrafi przestać myśleć o tym, iż w całej żydowskiej historii jest coś godnego ubolewania, z czym nigdy się nie pogodził, a co nazywał głęboko wpojonym poczuciem posłuszeństwa, które niejednokrotnie przybierało formę akceptowania uległości jako strategii przetrwania. Co oczywiste, chodziło mu o jego niezmiennie polemiczny stosunek do Boga Abrahama, przede wszystkim jednak o wydarzenia rozgrywające się podczas Holokaustu, który tak wielu Żydów przyjęło jako swój nieodwołalny los, Boże przekleństwo albo decyzję Opatrzności. Nie potrafił pojąć, że tak liczni z nich, znając już swoje przeznaczenie, z pokorą wyczekiwali kary lub kolaborowali z oprawcami, że szli bezwolnie, nawet nie próbując się buntować, ku wykopanym dołom, wprost pod kule plutonów egzekucyjnych, że bez protestu wsiadali do wagonów, w których czekała ich śmierć głodowa lub zabójcza dyzenteria, że próbowali przystosować się do życia w obozach, gdzie ginęli w komorach gazowych. Pisał o tym, że powodem owej uległości była nadzieja przeżycia. Połączone totalitarne moce, pochodzące od Boga i od Państwa, zmiażdżyły wolę tysięcy ludzi, skłaniając ich do uległej, biernej postawy, zdławiły pragnienie wolności, która dla niego jest istotą człowieczeństwa. Wielu ludzi, miliony, przyjęło swój los jako boski nakaz, a zaledwie kilka tysięcy spośród nich podniosło bunt, organizując antyfaszystowską partyzantkę i powstania w getcie, takie jak to w Warszawie. „Ale jednocześnie”, pisał w innym frag-

mencie listu, „należy również wziąć pod uwagę, że liczne grono tych uległych mężczyzn i kobiet przyjęło śmierć niemal z radością, jako wybawienie od życia w cierpieniu i strachu. Jeżeli spojrzysz z takiego punktu widzenia, być może zobaczysz ich postępowanie w innym świetle. Do jasnej cholery! Ty możesz usprawiedliwiać tę uległość, ale ja nigdy się z tym nie pogodzę... Czy nie jest kłamstwem to, co nam wmawiali na zajęciach w Centrum Żydowskim, co głosili rabini i syjonistyczni działacze niepodległościowi, twierdząc, że my, dzisiejsi Żydzi, jesteśmy spadkobiercami Jozuego Zwycięzcy i jego niepokromionych hebrajskich wieśniaków, króla Dawida, bitnych książąt z rodu Hasmoneuszy...? Jak to możliwe, że w końcu staliśmy się tak ulegli?” Niewykluczone – wyznał synowi – że właśnie to przekonanie, które w 1948 roku było jedynie mglistą ideą w jego umyśle, powstrzymało go od wejścia na pokład statku, by wraz z kilkoma przyjaciółmi wyruszyć do Izraela i wziąć udział w wojnie o niepodległość. Piętno owej pełnej rezygnacji postawy, które było udziałem jego dziadków i wujostwa Kellersteinów, a może nawet jego rodziców, odcisnęło się na nim tak mocno, że stracił nie tylko wiarę w politykę i Boga, ale też w samą istotę człowieczeństwa, dlatego wołał zachować dystans do tej spóźnionej rebelii, wrastając w swoją coraz gorętszą kubańską skórę. Żył z własnego wyboru i po swojemu, na marginesie rodzimego plemienia, w zakątku, w którym odnalazł wolność.

Jak było do przewidzenia, najbliższymi wówczas przyjaciółmi Polaka Daniela stali się wyłącznie Kubańczycy, katolicy na tutejszą nieortodoksyjną modłę. Jednym z najserdeczniejszych pozostawał stary kompan José Manuel Bermúdez, którego nie nazywano już Calandracą, ale Pepe Manuelem. Chłopak wydorosłał i zmężniał, z jego szafraanowych włosów pozostały tylko złociste przebłyski, a po piegach nie było nawet śladu. Wrodzona inteligencja, z biegiem lat coraz bardziej wyostrzona, sprawiła, iż okazał się jednym z najzdolniejszych studentów Instytutu Szkolnictwa Średniego, a dzięki wielkoduszności i energii zyskał wśród kolegów ogromny autorytet. Kolejny przyjaciel Daniela nazywał się Roberto Fariñas i był czarną owcą pewnej mieszczańskiej rodziny, współwłaścicieli fabryczki rumu i apartamentów na peryferiach Hawany. Roberto odmówił chodzenia do prywatnego liceum, a tym bardziej do szkoły prowadzonej przez księży, których nienawidził, i zapisał się do państwowego ogólniaka, gdzie uczęszczali mniej uprzywilejowani. Z powodu swojego wypchanego portfela to Roberto z reguły zapraszał przyjaciół na lody, koktajle, kanapki i fritas do pobliskich kawiarni, a zwłaszcza do niedawno otwartej modnej kafejki w podcieniach nowego budynku kina Payret. Rita María Alcántara, narzeczona Pepe Manuela, i Isabel Kindelán, dziewczyna Roberta, zaprzyjaźniły się z Martą Arnáez, więc mimo odmiennego pochodzenia, sytuacji materialnej i więzów rodzinnych cała szóstka stworzyła coś na kształt bractwa. Łączyły ich bowiem sprawy ważniejsze: upodobanie do tańca, namiętność do bejsbolu, miłość do morza i dzielenie się sekretami, czyli owa wartka, przejrzysta woda, w której pławi się prawdziwa przyjaźń. A jeszcze później interesy lub przynajmniej (w wypadku Daniela) sympatie polityczne.

Kiedy Roberto Fariñas skończył osiemnaście lat i zrobił prawo jazdy, jeden z jego starszych braci oddał mu studebakera (rocznik 1944), który dla paczki przyjaciół stał się prawdziwym rydwanem. Za zgodą rodziców trójki dziewcząt zaczęły jeździć na plażę do Guanabo, a raz zapuścili się aż do Varadero, żeby poznać tamtejsze plaże, niemal bezludne, o krystalicznie białym piasku. Spośród trzech par tylko Roberto i Isabel przekroczyli uciążliwą granicę przedmałżeńskiego seksu. Pepe Manuel, urodzony rewolucjonista, w tej szczególnej dziedzinie okazał się konserwatystą, natomiast Daniel, mimo że aż się palił do dorosłości (ów żar podsycała jeszcze przewodniczka Kateriny, która zamieszkała w odległej dzielnicy La Lisa jako konkubina pewnego czarnego kierowcy ciężarówek), nie miał śmiałości, by zaproponować to Marcie, która po latach wyznała mu, że gdyby to zrobił, z pewnością by uległa, umierała bowiem z ciekawości, co też robią Roberto i Isabel. „Pięć lat narzeczeństwa bez seksu, cóż za idiotyzm”, wyjawi potem swojemu synowi Eliaszowi.

W tym przyjemnym świecie narzeczonych, przyjaciół, studiów, spacerów, zarobków na własne potrzeby Daniel Kamiński szedł przez życie, coraz bardziej oddalając się od własnych przodków i ich zmartwień, aż wyobcował się do tego stopnia, że puścił w niepamięć istnienie miejsca, z którego rozpo-

czął wędrówkę. I wtedy właśnie w jego życiu pojawił się namalowany przez Rembrandta portret młodego Żyda, żeby skomplikować mu życie i uświadomić, że pewnych rzeczy nie sposób zapomnieć.

Co się działo z rodzicami na pokładzie „St. Louis” przez te sześć dni, gdy transatlantyk stał zacumowany w hawańskiej zatoce? Jak bardzo marzyli o zejściu na ląd, licząc na pertraktacje dotyczące tego skromnego kawałka płótna pokrytego farbą olejną trzysta lat temu? W jaki sposób i komu przekazali ów obraz? Odkąd zyskał nieoczekiwaną i wzruszającą pewność, że od tamtego gorzkiego majowego tygodnia 1939 roku rodzinna relikwia pozostała na Wyspie, te i inne pytania tłukły mu się po głowie i niekiedy odnosił wrażenie, że niebawem wpadnie w błąd.

Kiedy zakończył naukę w Instytucie Kursów Doksztalających, plany na przyszłość miał już sprecyzowane. Jego teściowie wspierali Martę w wyborze studiów magisterskich w hawańskim Kolegium Nauczycielskim, on z kolei szukał stosowniejszej i lepiej płatnej pracy niż sprzątac w ciastkarni, a jednocześnie zamierzał zapisać się do Szkoły Handlowej, ze specjalizacją księgowość. Plan zakładał ślub w następnym roku oraz uzyskanie zgody Galisyjczyka Arnaeza na zamieszkanie młodej pary w jego domu, dopóki Daniel nie ukończy studiów i młodzi będą mogli podjąć samodzielne życie. Wszystkie te projekty snuli w kraju kolejny raz ogarniętym wrzeniem, odkąd w marcu tegoż 1952 roku generał Fulgencio Batista wyprowadził wojsko na ulice i dokonał zamachu stanu, uniemożliwiając organizację wyborów, w których z całą pewnością, mimo śmierci ich przywódcy Eddy'ego Chibasa, triumfowałyby coraz liczniejsi działacze i sympatycy Ortodoksyjnej Partii Ludu Kubańskiego startującej pod hasłem „Wstyd przeciwko pieniądзом”⁸.

Wojskowy zamach stanu podzielił kubańskie społeczeństwo. Znaczna część młodzieży i studentów, w tym Pepe Manuel Bermúdez i Roberto Fariñas, od lat aktywniści Partii Ortodoksyjnej, oraz sam Daniel, sympatyzujący z tą organizacją pod wpływem przyjaciół i jej charyzmatycznego twórcy, niezjącego już Eduarda Chibasa, żyli iluzją odnowy politycznej kraju. Wszyscy trzej, podobnie jak wielu Kubańczyków, odebrali zamach Batisty jako akt wymierzony w demokrację, ułomną, ale jednak demokrację, którą działacze ortodoksyjni byli w stanie naprawić poprzez głębokie zmiany społeczne i nieprzejednaną walkę z korupcją, co postulował Chibás w swoim programie obywatelskiej i politycznej odnowy.

Pepe Manuel i Roberto mocniej zaangażowali się w działania opozycji przeciwko generałowi, Daniel tymczasem, zgodnie ze swoim usposobieniem, skoncentrował się na planach osobistych. Na pierwszym roku dwuletniego kursu księgowości (w tym samym czasie przewidywany był termin ślubu) w jego życiu zaczął się nowy etap. Dzięki przyjaźni Pepe Sakiewki z coraz potężniejszym Jacobem Brandonem, obecnie współwłaścicielem powstającej właśnie sieci nowoczesnych supermarketów Minimax, Daniel dostał ofertę pracy na niepełnym etacie jako ekspedient w sklepie otwartym niedawno w El Vedado, gdzie zajmował się także bieżącą księgowością i załatwianiem zamówień w hurtowniach. Zarabiał już trzydzieści pesos tygodniowo, pokaźną sumę w kraju, w którym funt mięsa kosztował zaledwie dziesięć centavos.

Ta hojna pomoc Josepha Kamińskiego, efekt przyjaźni z jednym z najbogatszych Żydów na Kubie, była dla Daniela nie lada zagadką. Nie potrafił zrozumieć, co kryło się za relacją pomiędzy krojczym a magnatem, aż do czasu, gdy kilka lat później stryj, w bardzo delikatnych okolicznościach, ponownie wyciągnął do niego pomocną dłoń, obdarowując zaskakującym prezentem. Pepe Sakiewka, aż do swojej działalności rewolucyjnej w 1960 roku, pracował jako krojczy i główny kaletnik w warsztacie skórzanym Brandona: na osobiste zlecenie dotkniętego ogromnymi haluksami szefa szył dlań wówczas buty ortopedyczne oraz specjalne pasy, które niczym koński popręg opasywały brzuch chlebodawcy, trudnił się też wyrobem eleganckich sakiewek, walizek, woreczków na cygara i rękawiczek na wojaże do Nowego Jorku i Paryża, wszystko wykonane z najprzedniejszej skóry, stosownej do danego rękodziela, z najwyższym mistrzostwem i biegłością krawiecką, której nauczył się od czeskich rzemieślników.

Bez wątpienia – myślał i twierdził jego bratanek – Joseph Kamiński zarabiał tyle, że każdy na jego miejscu wyprowadziłby się z ponurego domiszcza na rogu Composteli i Acosty i przeniósł do wygodniejszego mieszkania albo nawet niewielkiego domku w jednej z lepszych dzielnic Hawany. Lecz Pepe Sakiewka nadal tkwił w otoczeniu Żydów, okopał się w wielorodzinnej czynszówce i żył oszczędnie jak zawsze. Daniel odkrył główny argument przemawiający za upartym trwaniem stryja w tym a nie innym miejscu, gdy ku swej wielkiej radości zorientował się, że ów pięćdziesięcioletni Polak, konserwatysta i samotnik, znalazł ukojenie w ramionach mieszkającej od jakiegoś czasu w tej samej zrujnowanej kamienicy ponętej Mulatki Caridad Sotolongo, owdowiałej konkubiny po trzydziestce, matki małego Ricardita, upierdliwego Mulaciątka, do którego stryj Joseph miał szczególną słabość, wynikającą być może z faktu, iż chłopak improwizował wiersze i recytował je z szybkością karabinu maszynowego.

Dzieje Caridad poznali niebawem wszyscy lokatorzy. Jej kochanek, biały mężczyzna i ojciec Ricardita (choć nie w świetle prawa), rewolucjonista z lat trzydziestych, sfrustrowany, rozczarowany mizernym politycznym i materialnym efektem swojej częstokroć bezwzględnej walki, przerzucił się wraz z dawnymi towarzyszami na działalność gangsterską i z pistoletem w ręce, coraz rzadziej powołując się na racje ideowe, szukał rekompensaty, na jaką we własnym mniemaniu zasługiwał. Zginął w 1947 roku w starciu gangu bandytów z nie mniej bandyckimi policjantami, skutkiem czego wcale dostannie życie jego konkubiny rozwinęło się w jednej chwili, gdyż dla rewolwerowca była tylko kochanką. Caridad, półanalfabетка, mimo swych trzydziestu sześciu lat wciąż jeszcze piękna, i siedmioletni naówczas Ricardo musieli opuścić dom w Palatino, czynsz bowiem przekraczał ich możliwości, i przenieść się do kamienicy na rogu Composteli i Acosty, gdzie za grosze prała i prasowała dla okolicznych mieszkańców.

W przeciwieństwie do większości lokatorów była cicha i dyskretna, toteż wkrótce przyklepiono jej łatkę zarozumiałej, nadętej Mulatki, capirry, jak hawańczycy określają ciemnoskóre kobiety szukające białego męża. Pomiędzy nią a Josephem Kamińskim, który już przekroczył pięćdziesiątkę, nawiązała się, dzięki wzajemnym przysługom, dyskretna przyjaźń. Daniel w przeblysku intuicji wyczuł, co się święci, gdy pewnego dnia Caridad przyniosła im miskę czarnej fasoli, smakowitej i gęstej, zwanej z kubańska frijoles dormidos, pachnącej liśćmi laurowymi i kminkiem – potrawę, której Joseph Kamiński nigdy nie zasmakował w swoim polskim życiu, a która podczas pobytu na Kubie stała się jego ulubionym daniem... i utrapieniem bratanka. Spojrzenia, jakie wymienili w tym momencie Polak z Mulatką, mówiły więcej niż milion słów. Słów, które stryj Pepe zdradzi swemu podopiecznemu dopiero po latach. Słów przywołanych obecnością Caridad oraz uczuć, jakie ta kobieta rozbudziła w kaletniku, co tak bardzo miało zaważyć na losach Daniela.

Dzięki zarobkom w firmie Brandona młody Żyd rozpoczął przygotowania do ślubu, który odbył się latem 1953 roku i okazał się znacznie bardziej wystawny, niż pozwalały na to finanse Daniela i jego skromne wymagania. Lecz rodzice Marty, najpierw pełni rezerwy, a potem zauroczeni młodym Polakiem, który piął się po szczeblach kariery społecznej i materialnej, zadowoleni z promiennego szczęścia ukochanej jedynaczki, nie pożałowali pieniędzy. Największym problemem Daniela stało się określenie charakteru ceremonii. Dla rodziców jego narzeczonej było niemal sprawą honoru, by po załatwieniu formalności u notariusza ślub odbył się przed obliczem Boga, uświęcony w katolickim kościele. Całymi tygodniami Daniel omawiał tę kwestię z Martą, wychodząc z oczywistego i słusznego w swoim mniemaniu założenia: skoro on nie może wymagać od narzeczonej zgody na ślub udzielony przez rabiną, ona nie może żądać od niego udziału księdza. Jego rozumowanie było proste: nie ufa ani rabinom swoich przodków, ani katolickim proboszczom. Przekonanie Marty nie wymagało wielkiego trudu, bo dziewczyna nie upierała się przy obrządku religijnym, choć kusiła ją wystawność tej ceremonii, a dodatkowym argumentem była dla niej decyzja samego Pepe Manuela Bermudeza, który choć coraz bardziej czerwony, jak twierdzono, zgodził się na ślub z Ritą Marią w pseudogotyckiej świątyni przy ulicy Reina, w takt marsza weselnego skomponowanego przez niemieckiego Żyda... W przeciwieństwie do Manola Arnaeza i Adeli Martínez rozumiała argumenty narzeczonego, lecz bez wsparcia rodziców do ślubu w ogóle nie mogłoby dojść.

Daniel Kamiński rozważał różne możliwości. Najprostszym, a zarazem najbardziej skomplikowanym rozwiązaniem było postawić to swoim, zawrzeć małżeństwo przed notariuszem i zignorować rodzinę Arnaezów. Komuś, kto przeżył tyle lat w czynszówce Starej Hawany, jedząc byle co i ubierając się byle jak, cała ta pompa z długimi trenami i okazałą celebracją wydawała się równie sztuczna jak zbędna. Jednak popełniłby akt okrucieństwa wobec dziewczyny, a nawet jej rodziców, odbierając im marzenia, które były zwieńczeniem ich społecznego awansu. Najtrudniejszą, ale i zarazem najmniej dokuczliwą kwestią była zgoda na przyjęcie katolickiego chrztu i ślub udzielony przez księdza, skoro żaden z tych dwu obrzędów nie miał dla Daniela znaczenia. Liczni wierzący i praktykujący Żydzi przez stulecia musieli w rozmaitych okolicznościach przyjmować katolickie sakramenty, świadomi, iż czeka ich potępienie, gdyż Bóg nakazał im czcić swoje imię nawet za cenę śmierci. Dlaczego zawsze tak trudno być Żydem? – zastanawiał się nieraz przed rozpoczęciem kolejnej dyskusji na ów bolesny temat ze stryjem Pepe Sakiewką. W tamtych dniach, jakby przeczuwając, co się niebawem wydarzy, Daniel wielokrotnie rozmyślał o portrecie młodego Żyda podobnego do katolickiego wizerunku Chrystusa i choć pierwsze lata życia spędził pod jego spojrzeniem, obraz ów był dla niego i jego rodziców tylko pięknym portretem nieznanego Żyda wpatrzonego w zamkniętą ramą przestrzeń.

Nigdy nie zapomni tamtych pełnych rozterek tygodni, kiedy wciąż odkładał tę rozmowę, zapewne najtrudniejszą w swoim życiu, ponieważ chodziło nie tylko o zerwanie z własnymi korzeniami i religią przodków, ale też o zrozumienie albo – przeciwnie – gwałtowny protest tego dobrego człowieka, który nie okazując nigdy czułości ani gestem, ani słowem, zapewnił mu, mimo swojego ubóstwa, godziwe życie oraz wsparcie umożliwiające osiągnięcie w przyszłości materialnego awansu i społecznego szacunku. Od kilku już lat stryj Pepe zwykł jakby mimochodem i dyskretnie wspominać o tej czy innej młodej Żydówce z dzielnicy, w nadziei, że wzbudzi zainteresowanie chłopca kobietą jego rasy, by poprzez ów związek zapewnić ciągłość i utrwalić to, czym byli ich przodkowie i czym powinno być ich potomstwo w nadchodzących stuleciach.

„Wiesz, stryju, że jestem ateistą”, zaczął rozmowę Daniel. Wolał, żeby ów dialog toczył się po hiszpańsku, ponieważ w tak delikatnej materii nie ufał już swojej polszczyźnie ani jidysz. Ponieważ dzięki gęstej powale chmur wiosenny wieczór był chłodny i rześki, bratanek postanowił rozmówić się ze stryjem na zacisznym tarasie podupadłego pałacyku będącego mu domem od owego dnia 1938 roku, gdy jako mały chłopiec zszedł na ląd w Hawanie, wylękniony, ogłuszony tropikalną wrzawą, do której z czasem zdążył przywyknąć. „Nie rozumiem, jak można być ateistą, ale skoro tak twierdzisz... Bóg jest potężniejszy od twojej niewiary”. „Od dawna przestałem wierzyć. Wiesz dlaczego. Po prostu już nie potrafię”. „Nie ty pierwszy tak myślisz. To minie...” „Być może, stryju, ale nie sądzę”. Zamilkł na chwilę w oczekiwaniu na efekt tych słów, podważających zasady, których trzymał się stryj Joseph w swojej samotności emigranta, ubożego, pozbawionego całej rodziny z wyjątkiem jednego jedyne go bratanka. „Muszę podjąć decyzję, która dla mnie nie jest ważna, ale dla innych tak. Decyzję, która bezpośrednio wiąże się z twoją wiarą. Z twoją wiarą, stryju, i z wiarą tamtych ludzi”, sprecyzował Daniel.

Pepe Sakiewka, patrząc mu prosto w oczy, pozwolił sobie na nieznaczny uśmiech. W istocie więcej było w nim smutku niż osłody. Polskiego kaletnika, który doświadczył tylu trudnych chwil i poznał niewyobrażalny smak grozy, nic już nie mogło zaskoczyć ani przygnębić. Tak przynajmniej uważał, jak zwykł mawiać bratankowi. „Domyślam się, o co chodzi... Ułatwię ci zadanie. Powiem tylko tyle: każdy człowiek musi sam uregulować swoje sprawy z Bogiem. Co do rozwiązywania problemów tego świata, wsparcie zawsze jest przydatne. Ale nie w wypadku problemów duszy. Nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań, jeśli o to chodzi. Dałem ci to, co mogłem dać. Wiesz, dlaczego Sozna zaoferował ci pracę i nocleg w La Flor de Berlín? Nie mogłem dopuścić, żebyś umierał z głodu jak przedtem... Opiekowanie się tobą było moim moralnym obowiązkiem, więcej, powinnością wobec mojej wiary i mojej tradycji. Rezultat jest całkiem niezły: jesteś porządnym człowiekiem, masz dobrą pracę, studiujesz, co bardzo ci pomoże, prowadzisz godziwe życie, które będzie jeszcze lepsze. Może pewnego dnia zostaniesz bogatym człowiekiem... Oczywiście ubolewam, że odszedłeś od Boga i od naszych obyczajów, ale potrafisz zrozumieć twoją decyzję. Nie jesteś pierwszym Żydem, który porzuca swą wiarę... Synu, zrób to, co

musisz zrobić, i nie przejmuj się ani mną, ani innymi. W końcu z mocy Boga wszyscy jesteśmy wolni, nawet po to, by w tę moc nie wierzyć”.

Słuchając tego, Daniel doświadczał mieszaniny sprzecznych doznań: wdzięczności za stryjowską wyrozumiałość, dającą prawdziwą wolność, oraz własnej słabości, zdolnej nakłonić go do przyzwolenia na coś, przeciwko czemu buntował się jego umysł. W tej chwili jak nigdy przedtem czuł się żaloszny i nikczemny, pozbawiony duszy, tożsamości, woli walki. Gdyby stryj Joseph skrzyczał go i potępił jak wtedy, kiedy chłopak odmówił zapisania się do żydowskiej szkoły, być może to wszystko nie byłoby tak upokarzające, bo on też mógłby wykrzyknąć argumenty, upierać się przy swoim zdaniu, zademonstrować bunt i gniew. Lecz zaskoczony wyznaniem Josepha, który wspierał go nawet w owym buncie, a teraz jeszcze wyciągał rękę do zgody, Daniel poczuł się pozostawiony sam na sam ze swoją duszą, z ową pustką, jaką życie oraz jego własny upór stworzyły tam, gdzie inni ludzie, jak jego stryj albo przyszły teść, znajdują pociechę w przekonaniu, że jest z nimi Bóg, ich Bóg, jakikolwiek Bóg. Ten sam Bóg? – zapyta kiedyś syna zrodzonego z tego bolesnego konfliktu.

„Dziękuję za zrozumienie, stryju. To dla mnie bardzo ważne”, zdołał tylko wykrztusić Daniel. Joseph Kamiński zdjął okulary w okragłych oprawkach, które nosił od lat, i przetarł je brzegiem koszuli. „Podziękuj Kubie. Tutaj pracowałem, przeżywałem troski, cierpiełem rozczarowania, ale poznałem inne życie, a to bardzo zmienia człowieka... Już nie jestem tym samym zastraszonego, fanatycznym Polakiem, który przybył tu ponad dwadzieścia lat temu. Tutaj nie musiałem lękać się pogromów, a to najważniejsze, i nikogo nie obchodziło, w jakim języku się modłę. Pewnie o tym wszystkim słyszałeś, ale nie masz pojęcia, co to naprawdę znaczy, bo tego nie przeżyłeś... Stać się niewidzialnym, jak chciał twój ojciec...” „A więc nie gniewasz się na mnie?” Pepe Sakiewka bez słowa patrzył mu głęboko w oczy, jakby myślał przebywał gdzie indziej. „Oczywiście, że nie”, odrzekł po chwili. „Wiesz, dlaczego nie ożeniłem się z Caridad?” Daniela zaskoczył ten nagły zwrot ku tematowi, którego stryj nigdy nie poruszał, przynajmniej z nim, on sam zaś taktownie o nic nie pytał. „Ona ma swoje przekonania, a ja swoje. Nie mogę od niej wymagać, żeby z nich zrezygnowała. Nie mam prawa, to by było niesprawiedliwe, bo ta wiara to jedyna rzecz, która naprawdę do niej należy i pomaga jej żyć. A ja nie wyrzeknę się swojej. Nie ma wykształcenia, ale jest dobra i inteligentna. Doskonale mnie rozumie. Jest nam dobrze razem, a to dla nas najważniejsze i pomaga nam żyć. Już nie czujemy się samotni. To prawdziwy dar od Boga. Nie wiem, czy jej, czy mojego, ale to Boży dar... Tak więc rób, jak uważasz. Masz moje błogosławieństwo. Cóż, tylko tak mówię, ty przecież nie wierzysz w błogosławieństwa...”

Niebo, zaciągnięte posępnymi chmurami, które nadciągnęły z południa, zakryła ściana deszczu, w rozbłysku wyładowań atmosferycznych tak ogłuszających, że według Polaka Pepe Sakiewki trudno je było porównać z burzami w jego odległym kraju. Kiedy obaj wrócili do pokoju, Joseph Kamiński wyciągnął towarzyszący mu od wyjazdu z Krakowa niewielki drewniany kuferek, w którym przechowywał wymięty, nieważny już paszport, kilka fotografii i talit ofiarowany mu przez ojca z okazji ceremonii bar micwy w wielkiej synagodze ich rodzinnego miasta. Otworzył skrzynkę kluczem, który zawsze nosił na szyi, wyjął jakąś kopertę i podał bratankowi. „Co to jest, stryju?” „Mój prezent ślubny”. „Nie musisz...” „Owszem, muszę. To sprawa honoru. Skoro twoi teściowie będą wam pomagać, ty też powinieneś wnieść swój udział. Ten udział uczyni cię wolnym”. Daniel, nie domyślając się zamiarów Josepha, otworzył kopertę i znalazł w środku czek. Wziął go do ręki. Nie mógł uwierzyć w to, co tam było napisane. Przeczytał ponownie. Stryj podarował mu cztery tysiące pesos. „Ależ, stryju...” „To są prawie wszystkie moje oszczędności. Tobie bardziej się przydadzą... Kiedyś kupisz za nie wolność”. Daniel kręcił głową. „Ale za taką sumę możesz się stąd wyprowadzić, zamieszkać z Caridad, opłacić szkołę Ricardita...” „Odtąd już nie zależysz finansowo ode mnie ani – mam nadzieję – od nikogo. Zarabiam wystarczająco dobrze, żebyśmy mogli się stąd wynieść razem z Caridad. Już odłożyłem część przeznaczoną dla Ricardita. Jak wiesz, wystarczy mi miska ryżu, porcja czarnej fasoli i koszerne pulpety. Jestem teraz cenionym kaletnikiem, więc nie musisz się o mnie martwić, a dzięki Przenajświętszemu nie zabraknie mi pracy”.

Daniel Kamiński nie mógł oderwać oczu od skrawka papieru, który wart był znacznie więcej niż zawrotne cztery tysiące pesos. Te pieniądze były owocem nieskończonych wyrzeczeń, niedostatku, ubóstwa, w jakim przez lata żyli ze stryjem. Były też zachowującym ważność paszportem, który umożliwił Pepe Sakiewicz cieszenie się życiem. I były przechowywane po to – Daniel dobrze o tym wiedział – by pogratulować bratankowi w dniu, w którym zgodnie z prawem żydowskim weźmie ślub w synagodze, przed rabinem.

Rozpląkał się, ogarnięty gwałtownym napływem wyrzutów sumienia z powodu swojego odstępstwa: stryj Joseph ofiarował mu zrozumienie i pieniądze, a on pozbawił go radości oglądania ceremonii tłuczenia kieliszków, upamiętniającej zniszczenie Świątyni, początek niekończącej się żydowskiej diaspory i konieczność utrzymania jedności w tradycji i Prawie zapisanym w Księdze, jedności koniecznej do przetrwania narodu bez ziemi. Tego wieczoru, nie mogąc powstrzymać płaczu, Daniel po raz pierwszy przez te wszystkie lata objął stryja i ucałował jego wiecznie nieogolone policzki.

Dwa miesiące później – być może pod wpływem wyzwolicielskiego gestu Josepha Kamińskiego – kiedy Daniel udał się do kościółka Espíritu Santo, aby otrzymać chrzest i przyjąć nową wiarę, dzięki czemu mógł wypowiedzieć przed księdzem słowa przysięgi małżeńskiej, wciąż dręczyła go myśl, że dopuszcza się niegodnej apostazji, do czego, mimo swoich przemyśleń i sprzeciwów, w istocie nie był gotowy. W towarzystwie narzeczonej, przyszłych teściów oraz rodziców chrzestnych, Antonia Rica i piegowatej Eloiny, Daniel, nadal jeszcze żyd, po raz pierwszy w życiu przekroczył próg katolickiej świątyni nie ze zwykłej ciekawości. Wiedział wprawdzie, co go tam czeka (młodzieńcze wizerunki męczenników i domniemanych świętych, krzyże wielkie i małe, z tym nieodzownym krwawiącym Chrystusem przybitym do drzewa, cały ten pełen uniesienia wystrój), ale kierowany bardziej nerwowym impulsem niż rozsądkiem nie mógł powstrzymać chęci, by wybiec stamtąd pędem. To nie był jego świat. Lecz rejterada byłaby ucieczką z ziemskiego raj, do którego pragnął się dostać i na który zasługiwał. Później uświadomił sobie, że powstrzymał go widok Caridad Sotolongo, która skromnie przysiadła w ostatniej ławce, ubrana na białą, zapewne w swój najbardziej odświętny strój, z włosami zakrytymi chustą.

Stojąc już przed proboszczem, który przewodniczył obrządkowi zmiany jego wiary, Daniel Kamiński zdołał oderwać się od godnej ubolewania rzeczywistości, przypominając sobie bajkę, którą często opowiadał mu ojciec, najpierw w sielskich czasach krakowskich, potem w nerwowych dniach w Lipsku, a na końcu w rozpaczliwym okresie berlińskim. Dokładnie pamiętał, jak wieczorem, w przeddzień wyjazdu do Hawany, medyk Izajasz Kamiński, ostatni już raz układając go do snu, ponownie opowiedział mu mityczną historię niejakiego Judy Abrawanela, znamienitego potomka domu króla Dawida, roku obarczonego misją wydania na świat prawdziwego i wyczekiwanego Mesjasza... Jak opowiadał mu ojciec, a potem on sam swojemu synowi Eliaszowi w parne noce w Miami Beach, prawdziwy czy też fikcyjny Juda Abrawanel, wygnany z Hiszpanii jak wszyscy sefardyjscy, którzy nie przyjęli katolickiej wiary, schronił się w Portugalii, gdzie wkrótce stanął przed strasznym wyborem: albo chrzest, albo śmierć jego dzieci, żony, współwyznawców i jego własna. W lizbońskiej katedrze, w której zły król uwięził Żydów, pozostawiając im wybór pomiędzy Chrystusem a stosem, sefardyjski mędrzec, medyk, filozof, poeta i genialny skarbnik postanowił dać przykład i dokonać konwersji, co oznaczało potępienie dla duszy, lecz zarazem uratowanie życia własnego i wielu swoich pobratymców, a nade wszystko ocalenie przyszłych pokoleń rodu Dawida, predestynowanego do zbawienia wybranego przez Boga narodu. Być może Juda Abrawanel – zwykł mawiać Izajasz Kamiński – w chwili gdy czuł, jak woda święcona splywa mu po głowie, miał wrażenie, iż zanurza się w wodach Jordanu, aby oczyścić ciało, nim pójdzie do odbudowanej Świątyni Salomona i upadnie na kolana przed Arką Przymierza. Teraz, gdy Daniel Kamiński czuł, jak ksiądz polewa mu głowę wodą, oddał się wspomnieniom o ojcu. W tej ochronnej ewokacji zaskoczyło go ponownie pojawienie się rodzinnego obrazu, wizerunku młodego Żyda nazbyt podobnego do Jezusa z Nazaretu, a także – pomyślał o tym po raz pierwszy – do Judy Abrawanela z jego własnej wyobraźni. Uściski i pocałunki Marty, uradowanej prezentem, jakim właśnie obdarzył ją mężczyzna jej życia, wyrwały heretyka z zamętu wspomnień i przywróciły do realiów katolickiej świątyni, która nawet po zmianie wyznania nie przestała kojarzyć mu się ze scenografią dla fanatycznych dzieci.

Wciąż otumaniony, ale z poczuciem wyzwolenia, bez oporu zgodził się na propozycję teścia, który zaprosił wszystkich na obiad do pobliskiej restauracji Puerto de Sagua, gdzie ponoć serwowali najlepsze i najświeższe ryby w całej Hawanie. Dopiero wychodząc z kościoła, Daniel spostrzegł, że Caridad Sotolongo zniknęła. Czy była tu rzeczywiście, pytał samego siebie, czy tylko tak mu się wydawało? Jaki wpływ wywarła ta kobieta, wyznawczyni jakichś czarnych, hałaśliwych bogów, że zakończona właśnie ceremonia nie przekształciła się w dramat, który odsunąłby go na zawsze od stryja Josepha, łagodnego i oszczędnego kaletnika, który lepiej lub gorzej zrobił zeń przyzwoitego człowieka? Daniel nigdy nie odważył się o to zapytać, ale domyślając się odpowiedzi, zachował dla tej kobiety głęboką wdzięczność, która trwała niezmienna przez lata i oddalenie. Do śmierci.

Skoro ze wspomnianego z rozrzwieniem lokalu Mosze Pipika pozostały jedynie zatęchłe ruiny, które w żaden sposób nie mogły przywołać w pamięci wybornej koszernej restauracji, przez lata judzącej żołądek Daniela Kamińskiego, Eliaz zaproponował Condemu, żeby spróbowali szczęścia w Puerto de Sagua, gdzie, jak zapewniał jego ojciec, serwowano niegdyś wyśmienite ryby.

– Serwowano niegdyś, a zostało tylko niegdyś – zauważył Conde. – Czas przeszły dokonany, zamknięty. Podobnie jak epoka Mosze Pipika i inne rzeczy, które chciałeś zobaczyć... Powiedziałeś judzącej?

– Tak – przytaknął Eliaz Kamiński, mrugając oczami. – Tak się nie mówi?

– Nie jestem pewien, raczej nie.

– Tego zwrotu używała moja matka. Od lat posługuję się angielskim, ale kiedy zaczynam mówić po hiszpańsku, bezwiednie ją naśladowuję. To jak stare klejnoty. Trochę je przetrzesz i znów błyszczą. A co powiesz na słowo „parchaty”? Mój ojciec był chudym i parchatym Żydem... Zapewne już nikt tak nie mówi.

– Był, jak to nazywamy, łachudrą. Łachmytą... – zauważył Conde.

Eliaz się uśmiechnął.

– Ja chromolę! Od wieków tego nie słyszałem. Mój ojciec tak nazywał amerykańskich Kubańczyków. „Nie bądź łachudrą, stary!”, mawiał do takiego jednego, z którym się zaprzyjaźnił w Miami...

Kiedy tak błakali się po zaułkach życia, pamięci i zagubionych słów Daniela Kamińskiego i jego żony, Mario Conde miał przyjemne wrażenie wkraczania w świat bliski, lecz jednocześnie daleki, którego kontury uległy zatarciu, odkąd stał się dorosły. Życie owych Żydów w Hawanie było zamkniętym epizodem, który pozostawił po sobie nieliczne ślady, i prawie nikt już nie chciał nimi podążać. Masowa emigracja Izraelitów, zarówno aszkenazyjczyków, jak i sefardyjczyków (przynajmniej w tym byli zgodni), dokonała się wtedy, kiedy pojawiło się najpierw podejrzenie, a wkrótce potem pewność, że rewolucja buntowników zmierza ku ustrojowi socjalistycznemu. Zmiana popchnęła osiemdziesiąt procent członków wspólnoty do nowego exodusu, a wielu z nich musiało wyjeżdżać tak, jak przyjechało – z jedną walizką. Znane im były losy diaspory na niezmiernych radzieckich ziemiach: niewiele zwyczajów, wierzeń, interesów wyszło obronną ręką z owej konfrontacji, toteż mimo pogodnego życia na Wyspie Żydzi razem ze swoimi walizkami, modlitwami, potrawami i muzyką wyjechali gdzie indziej. Dla większości z nich, w tym dla przechrty Daniela Kamińskiego i jego żony Marty Arnáez – chociaż oni decyzję wyjazdu podjęli kilka miesięcy wcześniej – celem było Miami Beach, gdzie przed nimi osiedlili się inni, którzy już rozpoczęli tam nowe życie i mając za sobą tysiącletnią tradycję, stworzyli wspólnotę raz jeszcze przypominającą magnetyczną z natury kulturę getta. Niepokojąca rozbieżność dat, która wzbudziła wątpliwości malarza, polegała na tym, że zdecydowana większość Żydów opuściła Wyspę w latach 1959–1961, tymczasem Daniel Kamiński i jego żona wyjechali jeszcze w kwietniu 1958, i to w pośpiechu zdradzającym jakiś nagły powód.

Przestronna restauracja była niemal opustoszała. Kiedy Conde przeczytał ceny figurujące w karcie dań, zrozumiał przyczynę tej pustki. Homar kosztował tyle, ile przeciętny Kubańczyk zarabia w ciągu miesiąca. To miejsce było jeszcze jednym gettem: dla cudzoziemców jak Eliaz Kamiński, dla nowobogackich tubylców jak Yoyi Gołąb i wyjątkowo dla takiego szczęściarza jak on, który został zakontraktowany i sownie opłacony po to tylko, by wysłuchać opowieści o życiu Żyda, który uparcie nie chciał być Żydem i kiedyś, jak domyślał się Conde, prawdopodobnie popełnił morderstwo.

Lodowate wnętrze pachniało piwem i morzem. Przyćmione światła dawały ulgę oczom oślepionym wrześnieowym blaskiem. Kelnerzy, liczny ich hufiec, korzystając z pustki w lokalu, gawędzili ze sobą, rozparci przy długim drewnianym barze, przy którym pięćdziesiąt pięć lat wcześniej siedział przechrzta Daniel, jego narzeczona, przyjaciele i krewni, wnosząc toast z okazji właśnie zawartego katolickiego ślubu.

Eliasz zdecydował się na enchilado z homara. Conde zadowolili się potrawką rybną z pez perro. Do picia zamówili piwo, najzimniejsze, jakie było.

– Mój ojciec nigdy nie potrafił być samotnym wilkiem. Musiał gdzieś należeć, być członkiem jakiejś wspólnoty. Dlatego w jego życiu tak wielką rolę odgrywali przyjaciele. Utrata najbliższych oznaczała dla niego utratę kompasu... To także z tego powodu znów stał się żydem. Chociaż nie potrafił już wierzyć w Boga. – Eliasz się uśmiechnął.

– À propos, chciałem cię o coś zapytać... – Ku zdumieniu malarza Conde zapalił papierosa, z olimpijską wzgardą lekceważąc, jak na Kubańczyka przystało, czerwoną tabliczkę z zakazem palenia. – Jesteś praktykującym judaistą?

Eliasz Kamiński, idąc w ślady Condego, wyjął swojego camela, po czym jednym haustem opróżnił połowę kufła z piwem marki Bucanero.

– Formalnie rzecz biorąc, żydowskość dziedziczy się po matce, a moja miała inną krew. Ale odkąd rodzice zamieszkałi w Miami, sprawy przybrały nowy obrót, a jedną z takich spraw było przejście mojej matki na judaizm, przez co automatycznie stałem się żydem. Ale należę do tych, którzy chodzą do synagogi tylko w święto Jom Kippur, bo to piękna uroczystość, no i jest okazja do zjedzenia żeberek wołowych z grilla. Ale powiedzmy... tak, jestem.

– A co to dla ciebie znaczy?

– To trochę skomplikowane... Ojciec miał rację, twierdząc, że trudno być Żydem. Kwestia żydowskości była problematyczna nawet dla Niemców, którzy wymordowali sześć milionów naszych, z moimi dziadkami i ciotką włącznie... Niedawno przeczytałem książkę, która to wyjaśnia w sposób dla mnie zadziwiający. Otóż zdaniem autora decyzja o zagładzie Żydów była przede wszystkim formą koniecznej samozagłady samych Niemców czy raczej części ich wizerunku, którego chcieli się pozbyć, aby stać się rasą panów... Chociaż nigdy by się do tego nie przyznali, zamiar wyeliminowania atrybutów żydowskości, nazywanych przez nich skapstwem, tchórzostwem i ambicją, był w istocie próbą wymazania własnych, niemieckich cech. Kurewstwo historii polega na tym, że Żydzi rozwijali w sobie owe cechy na sposób niemiecki, ponieważ marzyli o tym, żeby być jak Niemcy – niektórzy chcieli być bardziej teutońscy niż oni – ponieważ widzieli w nich doskonale wyobrażenie piękna i dobra, ucieleśnione w sferach oświeconej burżuazji, jej kultury i obyczajów, do czego wielu aspirowało, żeby przestać się odróżniać, żeby być tymi lepszymi... Coś podobnego wydarzyło się w Grecji, kiedy mnóstwo Żydów uległo hellenizacji, a potem w siedemnastowiecznej Holandii... Możliwe także, iż pragnęli upodobnić się do Niemców, żeby się wyzbyć wizerunku brzuchatego kupca, skałego i obmierźłego, liczącego każdy grosz, i w ten sposób zyskać akceptację... Nieprzypadkowo wielu niemieckich Żydów zasymilowało się całkowicie albo w znacznym stopniu, niektórzy zaś wręcz znieawidzili judaizm. Tak jak Marks – Żyd, który nie cierpiał Żydów... Najstraszniejsze zdaniem autora głoszącego te niepokojące opinie jest to, że marzenie Niemców zmierzało w kierunku dokładnie odwrotnym: upodobnić się do istoty żydowskości, a więc zachować czystość krwi i ducha jak Żydzi, mieć poczucie wyższości jak Żydzi, plemię wybrane przez Boga, zachować wierność wobec tysiącletniego Prawa, być narodem, Volk, jak mawiali naziści, by w rezultacie owych wspaniałych przymiotów zachować nieugiętą postawę, jak Żydzi, którzy mimo braku ojczyzny, nieustannie zagrożeni wyniszczeniem, potrafili przetrwać tysiące lat. W sumie być odmiennym, wyjątkowym, szczególnym dzięki boskiej opiece.

– Nie do końca rozumiem – stwierdził Conde – ale brzmi logicznie. Zgodnie z perwersyjną logiką tego, co się działo w Niemczech i w Europie...

– Jest coś jeszcze... Przyczyną klęski i Holokaustu był fakt, że wszyscy się mylili: Żydzi, którzy chcieli być Niemcami, nie przestając być Żydami, i Niemcy, którzy dążyli do naśladowania predestyna-

cji i wyjątkowości Żydów. Podobna rzecz wydarzyła się w Amsterdamie (choć na szczęście nie doprowadziła do tragedii), kiedy holenderscy kalwiniści i purytanie znaleźli w żydowskiej Księdze oparcie, żeby mistyfikować swoją narodową wyjątkowość, uzasadniać historię własnej mistyki narodu wybranego i rosnącego w potęgę. U Żydów dostrzegli chwalebna paralelę własnego exodusu i ustanowienia swojej ojczyzny, usprawiedliwienie chęci bogacenia się, wyzwolenia od przesądów moralnych i religijnych. Dlatego też przyjęli wygnanych z Hiszpanii i z Portugalii sefardyjczyków, pozwolili im wyznawać własną religię, a nawet wybudować gmach tak majestatyczny i okazały jak Synagoga Portugalska, owa futurystyczna wizja Świątyni Salomona w samym sercu Amsterdamu. Jak myślisz, dlaczego Rembrandt i inni malarze z epoki wybierali sceny starotestamentowe, aby umieścić w nich samych siebie...? Widzisz, jeśli fakt bycia Żydem ma jakieś znaczenie, to jego sednem jest świadomość odmienności, forma bycia kimś innym, która wprawdzie dla Żydów często nie spełniała swojej roli, ale jednak przetrwała trzy tysiąclecia przesładowań. A właśnie tego najbardziej pragnęli w Niemczech narodowi socjaliści: poczucia inności i wieczności, poczucia przynależności równie silnego jak u Żydów... Aby to osiągnąć, musieli zmieść nas z powierzchni ziemi.

– Brzmi złowrogo.

– Być może, ale tak jest... – przyznał Eliasz Kamiński. – Wszystko, o czym ci opowiadam, układa się w logiczną całość, jeśli się nad tym głębiej zastanowić... prawda? Widzisz, jestem w uprzywilejowanej sytuacji jako Żyd z peryferii, w każdym tego słowa znaczeniu, i chociaż należę, nie należę, znam Prawo, ale go nie stosuję, a to zapewnia mi pewien dystans, pozwala patrzeć na te sprawy z perspektywy. Nie ma wybaczenia dla tego, co zrobili Niemcy z sześcioma milionami Żydów, wliczając w to moich dziadków, pradziadków, ciotkę... Ale zarazem Holocaust domaga się jakiegoś wyjaśnienia, a nie nawiść rasowa i śmierć Jezusa na krzyżu to za mało, by ogarnąć ów głęboki, radykalny proces, który objął cały kontynent. Dlatego podoba mi się to wytłumaczenie, niemal się z nim zgadzam...

Pojawienie się dań przerwało na moment rozmowę, która podążała ścieżkami zbyt zawilgocionymi dla znużonego umysłu Maria Condego. Zdaniem Eliasza enchilado było wyborne, Conde zaś uznał, że sos do perro jest jedynie błędym odbiciem dania, którego spróbował kiedyś w taniej knajpce w Caibarién, a już na pewno nie dorównuje specjałowi przyrządzanemu przez Josefinę w sposób zadziwiająco prosty, gdzie improwizacja szła w parze z zachwycającym połączeniem kilku podstawowych składników, które zawsze mają pod ręką ubodzy rybacy, gdy postawiwszy na ogniu garnek z wodą, zabierają się do skrobienia ryb. Żeby jakoś poprawić smak perro, były policjant obficie polał danie ostrą salsą, wskutek czego mimo lodowatego chłodu panującego w restauracji zaczął spływać potem.

– Kiedy ci opowiadałem o „St. Louis” – Eliasz ponownie napełnił kufel piwem – twierdziłeś, że słuchałeś tej historii ze wstydem... Cóż, parę lat temu Stany Zjednoczone, w przeciwieństwie do Kuby, przeprosiły Żydów.

– Nic dziwnego – odrzekł Conde i dodał po chwili namysłu: – My jesteśmy zbyt dumni, żeby kogoś przeproszać. A poza tym przeszłość jest przebrzmiałą pieśnią i nikomu by nie przyszło do głowy prosić o wybaczenie za to, co zrobili inni, nawet jeśli to też byli Kubańczycy... Ta historia budzi we mnie wstyd, bo jestem dupkiem z dwoma doktoratami.

Eliasz Kamiński uśmiechnął się, łągając dramatyczny wydźwięk tych słów.

– Ach, przypomniałem sobie... muszę koniecznie odwiedzić cmentarz, na którym leży stryj Joseph – powiedział.

– To pewnie jeden z tych w Guanabacoa, bo są tam dwa.

– Tak, jeden dla aszkenazyjczyków, a drugi dla sefardyjczyków.

– Nigdy tam nie byłem – stwierdził Conde.

– Przeleczysz się ze mną? – zapytał Eliasz Kamiński, ponownie czerpiąc ze skarbnicy języka swojej matki.

– Przeleczę – odpowiedział Conde. – Ale po deserze i kawie. Jedno i drugie też wliczone w koszty własne. – I uniósł rękę, przywołując opryskliwego kelnera, aby wreszcie raczył podejść.

Żle poinformowani przez jakiegoś przechodnia, dla którego wszyscy Żydzi i wszyscy umarli byli jednym i tym samym, Conde i Elias Kamiński trafili najpierw na cmentarz sefardyjski. Widok nie był zachęcający. Zakurzone macewy, niektóre pokruszone, dookoła chwasty, zrujnowany mur, groby w kani-balski sposób ograbione przez poszukiwaczy żydowskich kości z przeznaczeniem na rytualne rekwizyty w obrzędach palo⁹. Ponieważ – o czym Conde dobrze wiedział z czasów policyjnych – według *paleros* kość Chińczyka albo Żyda potęguje moc *prenda*, zwłaszcza gdy chodzi o zły urok. Tego jednak Elia-szowi Kamińskiemu nie powiedział.

Na szczęście cmentarz aszkenazyjski był zaledwie kilka przecznic dalej, postanowili więc pójść pie-szo, co Conde wykorzystał do zaspokojenia swojej nienasyconej ciekawości.

– Twoi rodzice wyjechali, ale stryj Pepe tu został. Dlaczego?

– Po ślubie ojciec zamieszkał u moich dziadków, a później kupił domek w Santos Suárez. Stryj został jednak w starej kamienicy jeszcze przez trzy albo cztery lata. Potem wziął ślub w notariacie i przeniósł się z Caridad i Ricarditem do dzielnicy, która się nazywa... nie pamiętam już jak. Kiedy ojciec osiadł w Miami, zapytał Josepha, czy chce razem z Caridad i jej synem zamieszkać u niego. Ale stryj odmó-wił, twierdząc, że w jego wieku nie ma się już sił, żeby zaczynać wszystko od nowa. Nie chciał nigdzie wyjeżdżać, tym bardziej do kraju, w którym czarna kobieta nie mogła żyć jak normalny człowiek... Zo-stał w Luyanó. To mogło być Luyanó?

– No, pasuje, Luyanó.

– Wynajął dwupokojowy domek, jedna izba dla niego i Caridad, druga dla Ricardita. Do szopy na ty-lach domu wstawił maszynę do szycia i swoje narzędzia, ale prawie zawsze pracował w warsztacie Brandona. Do czasu, aż nastał komunizm, a wtedy zniknął warsztat, Brandon i niemal wszyscy Żydzi... Stryj Joseph umarł tutaj, w sześćdziesiątym piątym, nawet nie dożył siedemdziesiątki. Pod koniec życia zarabiał, łątając buty...

– A Caridad?

– Rodzice utrzymywali z nią kontakt listowny aż do jej śmierci, chyba w tysiąc dziewięćset osiem-dziesiątym. Ojciec, gdy tylko mógł, posyłał jej paczki z ubraniami, lekarstwami, jedzeniem. W tamtych czasach żyło się bardzo ciężko.

– Co się stało z Ricarditem?

– Z tego, co wiem, został lekarzem. Dzięki stryjowi Josephowi zrobił maturę jeszcze przed pięćdzie-siątym dziewiątym rokiem. Potem było mu łatwiej i zaczął studia na uniwersytecie. Ale odkąd rodzice wyjechali, nie mieli bezpośredniego kontaktu z Ricarditem, dowiadywali się o nim od Caridad. Wyja-sniła ojcu, że dla Ricardita będzie lepiej, jeśli zerwie kontakty z osobami mieszkającymi w Miami, zwłaszcza że jest lekarzem.

– Dobrze to znam – potwierdził Conde.

– Ja też. Twój przyjaciel Andrés mówił to samo. Przez lata nie miał wieści o ojcu, bo ten mieszkał na Kubie, a on sam w Stanach Zjednoczonych. To robiło z nich wrogów... Cóż za nonsens!

– Nowy człowiek mógł utrzymywać bliskie stosunki wyłącznie z ludźmi wyznającymi tę samą ide-ologię. Ojciec mieszkający w Stanach był niczym zaraza. Należało zabić pamięć o ojcu, o matce, o bracie, jeśli tylko nie mieszkali na Kubie. To było coś znacznie gorszego niż nonsens... Co wiesz o Ricardi-cie?

– Nic... Chyba nadal tu mieszka, prawda?

Kiedy dotarli do cmentarza aszkenazyjskiego, dozorca i grabarz w jednej osobie właśnie zakładał kłódkę, ale pięciodolarowy banknot otworzył im bramę i zagwarantował usługi przewodnika, a nawet – gdyby tylko ów człowiek był w stanie spełnić to życzenie – modlitwę za zmarłych po hebrajsku albo po aramejsku. Ledwie przekroczyli próg cmentarza (Ach, porzućcie wszelką nadzieję, którzy tu wchodzi-cie!), Conde skonstatował, że jedną nekropolię od drugiej dzieli przepaść nie tyle doktrynalna, ile mate-

rialna. Chociaż wrażenie opustoszenia upodabniało oba te miejsca, to jednak mogiły, marmury i nagrobne pomniki dowodziły, że aszkenazyjczycy doszli do kresu swojej ziemskiej drogi znacznie zasobniejsi niż ich sefardyjscy bracia w wierze.

Podobnie jak na poprzednim cmentarzu, na niektórych grobach leżały kamyki złożone ręką krewnego lub przyjaciela. Lecz upływ czasu i opuszczenie pokryły rdzą i liszajem niemal wszystko dokoła. Owe żałobne przybytki wymowniej niż jakikolwiek inny symbol czy relikwiarz świadczyły o losie wspólnoty niegdyś pełnej witalności i energii. Tu nawet groby były martwe. Conde zwrócił uwagę na różnice w nazwiskach widniejących na macewach obu nekropoli, znaki równoległych ścieżek, którymi przez wieki podążali owi Żydzi – jedni w Hiszpanii, zasobnej Sefarad, drudzy na wygnaniu, rozproszeni po rozległych krainach wschodniej Europy, na ziemiach, gdzie każdy odłam narodu wybranego stworzył własny język i imiona – głoszące przynależność do dwóch kultur połączonych Księgą. A przecież bogactwo aszkenazyjczyków przybyłych na Kubę z Polski, Austrii i Niemiec nawet po śmierci kontrastowało z ubóstwem sefardyjskich Turków.

Grabarz przewodnik zaprowadził ich do grobu przykrytego płytą z taniego granitu, na której z trudem dało się odczytać „Kraków 1898 – Hawana 1965” i zawile litery hebrajskie, wryte zapewne na życzenie stryja jako przesłanie skierowane do potomności, żeby ten, kto byłby tym zainteresowany, mógł się dowiedzieć, kim zmarły był za życia. Usłużny grabarz przetarł płytę własną chusteczką i Elias odczytał napis: JOSEPH KAMIŃSKI. WIERZYŁ W ŚWIĘTOŚĆ, POGWAŁCIŁ PRAWO. ZMARŁ WOLNY OD WYRZUTÓW SUMIENIA.

W zimowej rundzie rozgrywek bejsbolowych 1953/1954 wielki Orestes Miñoso, „Kubańska Kometą”, serce teamu z Marianao grającego w zawodowej lidze wyspiarskiej, a w owym czasie także chicagowskich White Socks z północnoamerykańskiej Major League, odbił piłkę tak daleko, jak dotąd nikt w całej historii hawańskiego Gran Stadium, wybudowanego ładnych parę lat wcześniej. Miotaczem drużyny przeciwnej był jankes Glenn Elliott, w tamtym sezonie zawodnik najmocniejszego wówczas klubu Almendares, a Miñoso zafundował mu uderzenie, jakiego świat nie widział, posyłając piłkę wysoko ponad kończący boisko parkan – zagranie wręcz nieludzkie, w które ów czarny zawodnik (prawie metr osiemdziesiąt muskulatury) włożył całą siłę i swój niewiarygodny talent, z gracją i perfekcją charakterystyczną dla jego przerażających swingów. Komisarze ligi mierzący długość lotu dali sobie spokój, kiedy doszli na odległość stu pięćdziesięciu metrów od bazy domowej. Aby uwiecznić ten wyczyn, w miejscu, nad którym przeleciała piłka, umieszczono tablicę z napisem: TĘDY PRZESZŁA PIŁKA MIÑOSA. Począwszy od następnego sezonu, ilekroć gwiazda Marianao podchodziła do stanowiska pałkarza, z głośników największego sanktuarium kubańskiego bejsbolu grzmiąły rytmy cza-czy nagranej przez Orquesta América, z popularnym refrenem: „Kiedy Miñoso walnie fest, piłka w tańcu cza-cza jest”.

Tego historycznego dnia, o którym latami rozprawiali miłośnicy „piłki”, Polak Daniel Kamiński oraz jego przyjaciele Pepe Manuel i Roberto mieli szczęście znaleźć się pośród osiemnastu tysięcy dwustu trzydziestu sześciu kibiców, którzy zasiedli na trybunach Gran Stadium, aby rozkoszować się grą pomiędzy niszczycielskimi Skorpcionami z Almendares a skromnymi, choć bitnymi Jaguarami z Marianao. Tak jak inni szczęśliwi fanatycy bejsbolu, Daniel i jego przyjaciele zapamiętają do końca swoich dni – licznych dla jednych, niewielu dla drugich – tamto sławetne uderzenie czarnego anioła z Matanzas, potomka niewolników przywiezionych z nigeryjskiego Calabaru.

Daniel złapał na ulicy niebezpiecznego bakcyła, jakim była fascynacja bejsbolem, nieuleczalna przypadłość wszystkich Kubańczyków. Zgodnie z absurdalną logiką, właściwą niektórym miłośnikom, od początku wielbił skromny team z Marianao, zespół, który przez pięćdziesiąt lat istnienia zaledwie czterokrotnie zdobył puchar Ligi Zimowej. Dwa lata przed przybyciem Daniela na Kubę Jaguary wywalczyły to trofeum po raz drugi. Powtórzyły ów wyczyn dopiero w wiekopomnych sezonach 1956/1957 i 1957/1958, pod przewodnictwem nieubłaganego kija Miñoso, porwane entuzjazmem, z jakim zawodnik ten wychodził na boisko, a ich triumf był miażdżący. Daniel Kamiński zawsze uważał, że wybór przegrywającej drużyny na obiekt najgorętszych uczuć był częścią jakiegoś nieprzeniknionego planu zadośćuczynienia, albowiem po nieskończone długim okresie niepowodzeń, akurat na dwa lata przed jego wyjazdem z Kuby, gdy stał już w obliczu radykalnej odmiany życia, ekipa z Marianao dwukrotnie zdobyła mistrzostwo, a Orestes Miñoso, jego ukochany bohater, osiągnął szczyty chwały, udowadniając raz na zawsze, że „kiedy Miñoso walnie fest, piłka w tańcu cza-cza jest”.

Mimo że w trakcie niemal całego kubańskiego okresu życia Daniela Kamińskiego drużyna z Marianao przegrywała sezon po sezonie, młody Żyd, który owego popołudnia znalazł się na hawańskim Stadium, miał powody, by uważać się za człowieka szczęśliwego. „Czym jest szczęście?”, zapytał swojego syna Eliasza wiele lat później, kiedy był już pensjonariuszem ekskluzywnego domu spokojnej starości w Coral Gables, a na jego nocnym stoliku honorowe miejsce zajmowała wielka fotografia, na której polski Żyd i czarny kubański bejsbolista, obaj uśmiechnięci, ściskają sobie ręce, chociaż Żyd jest już łysy, a Kubańczyk posiwiwały. Malarz zastanawiał się nad odpowiedzią, zebrał w myślach argumenty, ale wolał zachować milczenie: bardziej interesowała go opinia ojca niż jego własna. „Ty mi powiedz”. „Szczęście to stan ulotny, czasem trwa jedną chwilę, jak iskra”, mówił Daniel, kierując spojrzenie na

swoje zdjęcie u boku wielkiego Miñosa, a potem na twarz Marty Arnáez, pokrytą zmarszczkami, bardzo już odległą od urodziwego oblicza sprzed lat. „Ale zrządzeniem losu szczęście może być trwałe. Mnie się to udało. W czasach kiedy nawiązuje się przyjaźnie na całe życie, znalazłem takich przyjaciół. A odkąd poznałem swoją matkę, byłem w tym, co tyczy spraw w życiu najwazniejszych, człowiekiem szczęśliwym. Jednak gdy wspomnę ów przywilej, że wraz z osiemnastoma tysiącami mieszkańców Ziemi, siedzących tamtego popołudnia na trybunach stadionu, mogłem podziwiać wspaniałą home run Miñosa, wiem, że przez moment byłem najszczęśliwszym z ludzi... Lata temu pogrzebałem swoje cierpienia z przeszłości. Umiałem żyć, patrząc naprzód, tylko naprzód. Wkurwia mnie to, że w chwili najmniej spodziewanej te upiory wstają z grobu i klepią mnie po plecach. Wtedy wszystko trafia szlag, ze szczęściem włącznie, a odzyskanie go wcale nie jest łatwe”.

Dom w Santa Suárez, który młode małżeństwo zdołało kupić w 1954 roku za zaoszczędzone pieniądze oraz hojny wkład galisyjskich teściów i żydowskiego stryja, był skromny, ale wygodny: dwa pokoje, salon, jadalnia, kuchnia i – oczywiście – osobna łazienka z całą aparaturą, lśniące pomieszczenie wyłożone czarnymi kafelkami, gdzie mogłeś spokojnie się wysrać ile dusza zapragnie. Było tam też niewielkie patio oraz luksus w postaci ganku, przez który nawet w najskwarniejsze dni lata nawiewała morska bryza. Zbudowali go w latach czterdziestych mieszkańcy sąsiedniej posesji, znacznie większej, nowocześniejszej i elegantszej, której właściciel dostąpił błyskawicznego awansu materialnego, odkąd jego przyjaciel Fulgencio Batista doszedł do władzy i powierzył mu funkcję jednego z szefów hawańskiej policji, mógł więc sobie pozwolić, głównie dzięki hojnym łapówkom, na budowę okazałej willi przytlaczającej rozmiarami dom Kamińskich.

Po zrobieniu dyplomu i objęciu stanowiska księgowego w luksusowym Minimaksie należącym do pana Brandona Daniel dostał podwyżkę, a jego pensja wzrosła do dwustu pesos miesięcznie, które jednak przynosiły jeszcze większy zysk, ponieważ korzystał ze zniżek na wspaniałe produkty tego supermarketu. Z kolei Marta, chociaż nie było takiej potrzeby, uparła się, że podejmie pracę zgodną ze swoim zawodem, więc dzięki wstawiennictwu pana Brandona znalazła zatrudnienie w niedawno otwartym Instytucie Edisona w sąsiedniej dzielnicy La Víbora. Stać ich było na luksus w postaci najnowszego modelu chevroleta rocznik 1955 i wakacje w mieście Meksyk, gdzie mieli okazję słuchać orkiestry Damasa Pereza Prado i oglądać taniec Marii Antoniety Pons, akurat w czasie, gdy światową furorę robiły kubańskie mambo i *rumberas*. Życie uśmiechało się do nich, oni uśmiechali się do życia. Do osiągnięcia wymarzonego ideału brakowało im tylko daru natury w postaci syna lub córki, czego oboje bardzo pragnęli i w tym celu podejmowali starania, często, z zapałem i z namiętnością.

W życiu Pepe Sakiewki także zaszły zmiany. Pozostał taki sam, jakim był, ale postanowił przenieść się do skromnego lokum przy ulicy Zapotes, w dzielnicy Luyanó, wolnostojącego domku z własną łazienką i kuchnią, gdzie w charakterze prezentu na zasiedliny czekała na niego lśniąca bielą lodówka marki Frigidaire, dar od Daniela i Marty... Na długo przed ślubem i przeprowadzką kaletnik nie krył się ze swoim romanssem z Mulatką Caridad Sotolongo, chociaż żeby uniknąć ciasnoty, zajmowali osobne kawalerki w czynszówce na rogu Acosty i Composteli. Polski pięćdziesięciolatek mężnie stawiał czoło powszechnym na Kubie głębokim uprzedzeniom rasowym i odkąd jego związek z Caridad wyszedł na jaw, Pepe nigdy nie dał się stropić niedyskretnym, wręcz pogardliwym spojrzoniom wyrażającym najwyższe oburzenie, gdy obydwójce, chudy Żyd i Mulatka przy kości, szli pod rękę do kina, do teatru Marti albo – ku zdumieniu tych, którzy znali Polaka i jego stosunek do pieniędzy – do którejś z drogiej kosztownych restauracji.

Największe zmartwienie nękające Daniela Kamińskiego związane było z jego przyjaciółmi, Pepe Manuelem Bermudezem i Robertem Fariñasem. Pepe Manuel zapisał się na Uniwersytet Hawański, gdzie studiował prawo – a cóż innego miałby studiować, powtarzał Daniel – i kontynuował karierę przywódcy studenckiego. Już w roku 1955 w Komitecie Uniwersyteckim¹⁰ działał aktywnie przeciwko Batiście, którego dyktatorska władza rosła z każdym dniem. Z kolei Roberto, który wybrał powrót do domowych pieleszy i pracę w rodzinnym biznesie, udzielał się w nielegalnych strukturach sympatyków Partii Ortodoksyjnej, którzy radykalizowali się po wydarzeniach w koszarach Moncada, gotowi nawet walczyć

z bronią w ręce, by dyktatora i jego bandę pozbawić władzy. A jednak nigdy nie doszło do konfliktu między zaangażowaniem politycznym Pepe Manuela i Roberta a niezmienną, pragmatyczną apolitycznością Daniela; kumplostwo, nie tylko przyjaciół, ale także ich narzeczonych (Pepe Manuel zaskoczył wszystkich wiadomością, że zerwał z Ritą Marią i zamierza przyłączyć do kompanii swoją nową dziewczynę, Olguitę Salgado, za którą szła fama aktywnej komunistki), trwało również niewzruszone jak w okresie studiów w instytucie i każde z nich cieszyło się towarzystwem pozostałych, wspólnymi wyprawami na plażę, tańcami w nocnych klubach przy dźwiękach licznych znakomitych orkiestr tamtych lat oraz popołudniowymi i wieczornymi rozgrywkami na hawańskim Gran Stadium.

Rozmowy z przyjaciółmi i zasłyszane na ulicy wiadomości wywoływały u Daniela coraz mocniej i boleśniej odczuwany strach, który w makabrycznym tempie unicestwiał cieszący go tak bardzo stan łański. Na jego oczach życie polityczne kraju stawało się z każdym dniem bardziej napięte i rosły w siłę grupy, które w ten lub inny sposób, metodami pokojowymi albo przemocą, przeciwstawiały się faktycznym rządóm generała Batisty. Człowiek ten, który w pełnym zamętu roku 1933 z sierżanta awansował na generała, by czy to z publicznych trybun, czy skryty w cieniu, nawet z oddalenia decydować o losach Kuby, usiłował na wszelkie sposoby utrzymać tę tak dogodną dla siebie pozycję, choćby za cenę stosowania skrajnych środków represji i gwałtu, jak wszyscy ludzie uzależnieni od władzy i jej licznych profitów, finansowych lub duchowych. Co oczywiste, Batista zdobył ogromną fortunę, tworząc siatkę ekonomicznych powiązań, do której przystąpiła grupa amerykańskich bossów mafijnych, a wśród nich polski Żyd Meyer Lansky, przebywający niemal na stałe w Hawanie. Szczęśliwym zrządzeniem losu – jak mawiał stryj Joseph – ów wyrodny Żyd spędzał czas wyłącznie w kasynach, kabaretach i na tajnych naradach z Batistą, a nie w synagodze.

Po raz pierwszy od przyjazdu na Kubę Daniel Kamiński odczuwał z każdym niemal dniem głębsze chwile ciszy. Nie tylko dlatego, że przeprowadził się z proletariackiej, hałaśliwej Starej Hawany do bardziej mieszczańskiej i rezydencjalnej dzielnicy Santos Suárez. Chodziło raczej, jak wyjaśnił to któregoś dnia swemu synowi, o jakąś być może wrodzoną predyspozycję, układ genów, doświadczenie historyczne kolejnych pokoleń ludzi jego rasy, które na podstawie nieuchwytnych, osobliwych znaków pozwalają wywęszyć niebezpieczeństwo i przemoc. W tym wypadku ciszę. Dlatego też, chociaż wszystko w jego życiu układało się pomyślnie, a on sam trzymał się z dala od polityki – o ile można się zdystansować od czegoś tak wszechobecnego – wyczuwał, jak atmosfera wokół gęstnieje. Potwierdzały to wydarzenia, zrazu odosobnione, później już powszednie. Eksplozja strachu nastąpiła dokładnie w chwili, w której Jaguary z Marianao przeżywały dzięki Miñosowi okres swojej największej chwały. Niszczącielska fala lęku, nie do końca nieprzewidziana, zagarnęła życie Daniela, spiętrzona poczynaniami i potrzebami jego przyjaciela Pepe Manuela oraz pobudzana przez jego drugiego przyjaciela, Roberta Fariñasa. Niezawodne działanie przypadku sprawiło, iż owe zawikłane i niebezpieczne gry polityczne raz jeszcze naprowadziły Daniela Kamińskiego na trop portretu młodego Żyda, nazbyt podobnego do wizerunku Jezusa z ikonografii chrześcijańskiej, portretu uwiecznionego na sielankowej rodzinnej fotografii, która niemal dwadzieścia lat wcześniej przebyła wraz z nim Atlantyk.

Po prysznicu, który zmył z jego skóry dokuczliwą świadomość bliskości śmierci – uczucie to zawsze wywoływały w nim cmentarze – Conde postanowił, że przed wstąpieniem do domu chudego Carlosa, a w drodze do Tamary, za ostatnie zadekowane w kieszeni pesos należy kupić w Barze Desperatów przynajmniej pół butelki rumu. Lecz nawet perspektywa wypicia kilku łyków w kojącej atmosferze pogawędki z przyjacielem i wizja spotkania z kobietą od tylu lat tolerującą jego obecność nie uwolniła ekspolicjanta od melancholii, w jaką wpędziła go historia tak wyczerpująco i szczegółowo opowiedziana przez syna Daniela Kamińskiego. Tego wieczoru, po wyjściu z aszkenazyjskiej nekropolii, kiedy Conde miał wrażenie, iż opowieść staje się nieco bardziej klarowna, co pozwoli mu odnaleźć jej rozwiązanie ukryte w otchłani lat (wszak w tym celu został zatrudniony), Elias Kaminski, pod pretekstem niestrawności wywołanej zapewne zjedzonym w restauracji homarem, postanowił wrócić do hotelu. Conde był jednak przekonany, że wizyta na cmentarzu wywarła na cudzoziemcu wrażenie głębsze niż zwykła odraza do śmierci i jej rytuałów, którą on sam podzielał. I znów dopadło go uczucie przygnębienia.

Zgodnie ze zwyczajem obowiązującym od czasów prehistorycznych, gdy był jeszcze policjantem, Conde już po pierwszych łykach haitańskiego sikacza szczegółowo opowiedział Carlosowi historię, w jaką za sto dolarów dniówki wplątał go Andrés. Spodziewał się, że przyniesie mu ulgę rozmowa, w której zawarł całe swoje rozdrażnienie niewygodną sytuacją, a przyczyny owej irytacji były zbyt złożone, by mógł je wyjawić Eliasowi Kamińskiemu.

– Za diabła nie wiem co... ale coś się stało, kiedy facet odczytał napis na grobie stryja swojego ojca.

– Powtórz, co tam było napisane. – Carlosa wyraźnie wciągnęła ta historia.

– „Joseph Kamiński. Wierzył w Świątę. Pogwałcił Prawo. Umarł wolny od wyrzutów sumienia”. Tak brzmiał napis...

– Jakie prawo pogwałcił? Żydowskie czy sądowe?

Conde zastanawiał się przez chwilę.

– Żydzi są tak skomplikowani, że to wszystko pogmatwali i często oba te prawa się na siebie nakładają. Przypomnij sobie: nie zabijaj, nie kradnij... Religia jako etyka i jako prawo, nie? Ale przysięgam ci na Jahwe, że za cholere nie wiem, co takiego mógł zrobić ten człowiek i jakie prawo pogwałcił. Czy chodziło o to, że dopuścił, by jego bratanek został przechrztą i ożenił się z gojką? Nie wiem też, co takiego zrobił w końcu ojciec Eliasza: czy skręcił kark tamtemu typowi, czy to tylko podejrzenia, czy...? A już za cholere nie mam pojęcia, czego Eliasz oczekuje ode mnie. Chciał się wygadać, więc potrzebny był mu słuchacz...?

Carlos przez chwilę medytował.

– Tak, to wszystko jest popieprzone... Podejdz do sprawy filozoficznie, dzikusie. Postaw się w roli Żyda i postaraj się to rozgrzyć: ten malarz chce robić za oryginała, chce cię zainteresować pewną historią, cedzi ją powolutku, ale płaci ci sto dolców... Niezły biznes... Zwłaszcza w naszej popieprzonej rzeczywistości... Ale na pewno chodzi mu o coś więcej. Nikt nie sypie forszą ot tak, zwłaszcza Żyd... Moim zdaniem to, czego szuka, ma umożliwić mu odzyskanie obrazu wartego ponoć dwa miliony... O kurwa! – Chudzielec złapał się za głowę. – Nie wiem, jak wygląda milion ani pół, ani ćwierć... A dwa melony?!

Conde przytaknął: tak, za tym wszystkim stoi obraz, jego losy na Kubie i oczywiście odzyskanie owego dzieła, toteż, jak proponuje Carlos, powinien podejść do sprawy „filozoficznie”. To znaczy jak? Po marksistowsku? Na jedno wychodzi. W końcu nie ma nic lepszego do roboty, bo nie starcza mu już sił ani chęci, żeby wydeptywać ulice, tropiąc stare książki, za które w najlepszym wypadku dostanie dwieście, może trzysta kubańskich pesos. A to żaden interes tracić czas w tym wrześnieowym upale

i zdzierać zelówki w poszukiwaniu przypadkowych okazji. Stanowczo powinien przemyśleć zmianę zawodu. Ale jak, do kurwy nędzy, ma zarabiać w miarę uczciwie taki bezużyteczny gość jak on, ktoś, komu nawet nie chce się szukać pracy, której musiałby poświęcić codziennie osiem godzin, żeby na koniec miesiąca zarobić czterysta albo pięćset pesos, co i tak nie starcza na życie? Prywatna sfera rzeczywistości Condego wyglądała równie ponuro jak rzeczywistość publiczna tego kraju, co napawało go coraz większym niepokojem. Cudzoziemiec zesłany przez Andresa z ofertą hojnego zarobku spadł mu jak z nieba w chwili, gdy gotów był już, niczym wędrowiec na pustyni, błagać o deszcz. Tak, trzeba przyjąć skrajnie materialistyczny punkt widzenia. Czyżby Żyd Marks żywił urazę do Żydów?

– Będę miał problem, kiedy wszystko mi opowie i zażąda odpowiedzi na pytanie, które obsesyjnie nurtuje go od lat. Coś, co wiąże się z obrazem, z jego ojcem albo z jednym i drugim. A teraz, jak o tym myślę, również ze stryjem, który pogwałcił Prawo, a mimo to umarł w spokoju. Wcale nie jestem pewien, czy to, czego chce się dowiedzieć ten malarz, ma cokolwiek wspólnego z odzyskaniem obrazu za dwa miliony. Chyba chodzi o coś innego...

– Zawsze byłeś łatwowierny... i trochę dupowaty... To są dwa miliony!

– Coś jest na rzeczy, poza pieniędzmi. Jestem przekonany...

– W każdym razie wysłuchaj go do końca, a potem będzie, co będzie, pieprzyć to... Gólnij sobie i przodem do przodu...

Conde pokręcił głową. Stwierdził, że nawet nie ma ochoty się ubzdrygnąć, żeby zalać robaka. Aż tak dziwnie się czuł. Wobec alkoholowej wstrzemięźliwości przyjaciela Carlos zawładnął resztką rumu, wlał go do szklanki i wypił do dna.

– Nie idzie z tobą wytrzymać, Conde... Słuchaj, zaprowadź tego Żyda tam, gdzie chce, powiedz mu to, co chce usłyszeć, i zgarnij kasę. W sumie on leży na forsie, a tobie się nie przelewa...

– Do cholery, zbastuj, Chudzielcu! To nie jest tak, dzikusie... Ten facet zamierza się dowiedzieć czegoś, co go mocno zdołowało... Słuchaj, będę się zmywał. Wczoraj w ogóle nie byłem u Tamary i na pewno jest wpieniona.

Aby ukoić nerwy, Conde, pokonując pieszko osiem przecznic dzielących go od domu kochanki, starał się nie myśleć o Kamińskich. Kiedy dotarł na miejsce, zastał ją w pokoju telewizyjnym; sprawiała wrażenie spokojnej i śledziła jeden z odcinków serialu *Dr House*, jego zdaniem wstrętnego i odrażającego. Uważał, że ten cały doktor jest głupim, beczelnym dupkiem i największym skurwysynem, jakiego mógł wymyślić scenarzysta, więc na sam dźwięk głosu doktoroka samopoczucie Condego od razu legło w gruzach.

Widząc, jak wchodzi, Tamara zatrzymała film i po czułym pocałunku, najczulszym w szerokim repertuarze ekspacyjnych pocałunków Condego, zaczęła mu się przyglądać w milczeniu.

– Daj spokój, Tamara – zachnął się. – Ty wrywasz zęby, ja kupuję i sprzedaję książki albo szukam zagubionych historii. Teraz właśnie zajmuję się jedną z nich... No tak, nieważne, wiesz, że pracowałem.

– W porządku, uspokój się, przecież nic nie mówię. – Ton był taki, jakby się usprawiedliwiała, lecz Conde wyczuł w jej słowach zjadliwą ironię. – Ale czy woniejący rumem kubański detektyw nie mógł nawet zadzwonić?

– Wczoraj kubański detektyw wrócił do domu tak zaorany, że aż para buchała mu z nozdrzy. Dzisiaj, zanim do ciebie przyszedłem, spotkałem się z Chudzielcem. Wiesz, jaki jestem...

– Czasem tak, czasem nie... A propos, dzisiaj śpisz u mnie?

Odpowiedział pospiesznie i bezwstydnie:

– Oczywiście, że tak.

Jej twarz złagodniała. Tamara wzięła do ręki pilota, wyłączyła odtwarzacz i telewizor. Conde poczuł się lepiej, gdy z ekranu zniknęła gęba doktora House'a.

– Już jadłeś?

– Tak, ale późno. Josefina dała mi malangas z oliwą i czosnkiem, które dla mnie odłożyła. Jestem nędzny. – Poklepał się po brzuchu. – Muszę tylko umyć zęby, żeby coś jeszcze przekąsić. Ale musi być smaczne i bez cholesterolu...

W pół godziny później Conde i Tamara zasiedli do swojego seksualnego bankietu. Po tym lekarstwie, którego najbardziej potrzebował, zasnął jak niemowlę. Jeszcze przed świtem, niczym klusownik, wstał z łóżka. Po wypiciu kawy wyszedł z domu, zostawivszy pożegnalną kartkę. Na ten rano miał zaplanowane łowy.

Pomimo zdeklarowanego ateizmu (choć ponownie zamaskowanego), wówczas i aż po kres jego życia, splot nieprzewidywanych wydarzeń, które doprowadziły go do spotkania z płótnem namalowanym przez holenderskiego mistrza, zawsze wydawał się Danielowi Kamińskiemu objawieniem kosmicznego planu.

Być może początkiem tej drogi był ów pamiętny 13 marca 1957 roku, zaledwie miesiąc po chwalebny triumfie teamu z Mariano. Ten właśnie dzień wybrała grupa towarzyszy Pepe Manuela z Komitetu Uniwersyteckiego, by dokonać szturm na Pałac Prezydencki i rozwiązać problemy polityczne Kuby przez akt – jak sami to nazwali – rewolucyjnej egzekucji dyktatora Fulgencja Batisty. Niepowodzenie zamachu z winy nieszczęśliwego (choć szczęśliwego dla tyrana) przypadku rozpętało prawdziwe polowanie na czarownice, które zamieniło się w masakrę. Pepe Manuel przechodził wówczas rekonwalescencję po operacji wyrostka robaczkowego (ów zbędny organ został usunięty na ostrym dyżurze), więc nie brał bezpośredniego udziału w akcji. Znał jednak plan i jego wykonawców. Dopiero później Daniel i Roberto dowiedzieli się, że gdyby nie stan jego zdrowia, z pewnością wzięłyby udział w ataku na pałac i rozgłośnię Radio Reloj, gdzie studenci odczytali proklamację do narodu. Przyjaciele pomyśleli, że najprawdopodobniej on także zginąłby w zorganizowanej przez policję rzezi, tak jak wielu innych działaczy Komitetu Uniwersyteckiego zaangażowanych w próbę tyranobójstwa.

Od tamtej chwili prześladowanie wszystkich ważniejszych działaczy z politycznej grupy uczelnianej stało się systematyczne, brutalne, bezwzględne. Szczęśliwym zrzędzeniem losu Pepe Manuelowi udało się uciec z domu i ukryć w miejscu, którego nie znali nawet najbliżsi i godni zaufania towarzysze: w niewielkim gospodarstwie w rejonie Las Guásimas, opodal Hawany, gdzie przyjął go do siebie Pedro Pérez, jego ojciec chrzestny, z pochodzenia Kanaryjczyk, hodowca kogutów szkolonych do walki. Postanowili, że przez kilka miesięcy uciekinier pozostanie w ukryciu i przez ten czas nikt nie będzie znał miejsca jego pobytu, nawet narzeczona – Olguita Salgado – ani dwaj najlepsi przyjaciele: Daniel i Roberto. Mieli świadomość, iż niewiedza ta stanowi jedyną gwarancję, że Pepe Manuel nie zostanie schwytany. Lecz zarazem była wielkim zagrożeniem dla Olguity i Daniela, a zwłaszcza dla Roberta, ponieważ jego powiązania polityczne w zbiegim były powszechnie znane. Gdyby policja wezwała ich na przesłuchanie, to właśnie oni ponieśliby najgorsze konsekwencje, tym bardziej że nie mogliby szukać ratunku w przerażającej możliwości złożenia donosu. Dlatego Daniel Kamiński żył odtąd w ciągłym strachu: jego własny, niemal namacalny lęk, uspijony przez lata, dręczył go teraz w bezsenne noce, gdy młody Żyd w napięciu wsłuchiwał się w ciszę, a ilekroć mu się wydawało, że przed bramą domku w Santa Suárez słyszy czyjeś kroki, serce biło mu gwałtownie i oblewał się zimnym potem, wyobrażając sobie, że za chwilę rozlegnie się łomotanie w drzwi i złowieszczy okrzyk: „Policja, otwierać!”.

Kiedy od nieudanego szturm na pałac upłynęło dziewięć miesięcy, a policja wciąż się nie zjawiała, Daniel zdołał wreszcie ujarzmić lęk. Roberto Fariñas zaprosił go wówczas na mecz otwierający sezon rozgrywek bejsbolowych. Umówili się, że po drodze wpadnie po niego. Na rogu ulicy, przed luksusową willą dawnych właścicieli domku Daniela, zaciągnęli codzienną wartę mundurowi strzegący szefa policji. Przechodząc obok wozu patrolowego, Roberto jak zawsze pomachał do nich na powitanie i wskazał sąsiedni dom, przed którym zaparkował swój samochód. Jednak zamiast pojechać na stadion, skręcili w stronę El Vedado. Zasiedli przy stoliku w często odwiedzanej przez młodzież z mieszczańskich ro-

dzin kawiarni-restauracji Potín, uznali bowiem, że będzie to najbezpieczniejsze i niebudzące podejrzeń miejsce na delikatną rozmowę, w której nie powinny brać udziału ich kobiety.

Roberto wyjaśnił Polakowi sytuację Pepe Manuela i zdradził mu nawet miejsce jego kryjówki. Po masakrze uczestników zamachu na Pałac Prezydencki, zaskoczonych przez policję w mieszkaniu przy ulicy Humboldta, dla ukrywającego się przyjaciela istniała teraz tylko alternatywa: albo udać się do góry i wstąpić do partyzantki, albo też, mając na uwadze brak przygotowania wojskowego, wyjechać do Stanów Zjednoczonych, Meksyku lub Wenezueli, gdzie schronili się inni prześladowani opozycjoniści, szukający moralnego i materialnego wsparcia w oczekiwaniu spodziewanego desantu na wybrzeża Kuby, o którym tak wiele się mówiło. Wtedy Daniel zapytał Roberta, dlaczego mu o tym wszystkim opowiada, a ten odrzekł: „Bo uważam, że Pepe powinien opuścić Kubę, ale do tego potrzebne są pieniądze”.

Przyjaciel starszego brata Roberta był synem niejakiego Romana Mejiasa, wysokiego urzędnika Biura Emigracyjnego, który od wielu lat nienawidził Batisty. Za odpowiednią sumę w gotówce na pewno wyrobiłby dokumenty noszące wszelkie pozory legalności, co pozwoliłoby Pepe Manuelowi z całym spokojem wsiąść na pokład promu do Miami. Cena? Z uwagi na to, jak sprawy stoją, nie mniej niż cholerne dziesięć tysięcy pesos. „Złożymy się po pięć?”, zapytał Roberto, a Daniel bez chwili wahania odparł, że tak. W końcu, powie sobie później, nawet gdyby miał zostać bez grosza przy duszy, to przecież miał u Pepe Manuela dług za te wszystkie bilety po pięć centavos do kina Ideal, które fundował mu przyjaciel, by w owym teatrze marzeń mogli sycić oczy filmami, kronikami i kreskówkami.

Conde nie mógł powstrzymać uśmiechu. Raz jeszcze się przekonał, jak bardzo historia i życie związane są ze sobą, bo nigdy nie wiadomo, gdzie przecinają się i splatają ich nici, omotując nie tylko losy jednostek, ale i dzieje całych państw. Kiedy Eliaz Kamiński napomknął o Pedro Perezie, kanaryjskim hodowcy kogutów z Las Guásimas, ze wspomnień Condego wyłonił się obraz człowieka, którego wszyscy nazywali Perico – Papuzką. Tenże Perico Pérez, który teraz pojawił się jako bohater owej zamierzonej historii, był jednym z najbliższych przyjaciół jego dziadka Rufina, gdyż obu łączyła namiętność do walki kogutów. Conde dobrze pamiętał gospodarstwo Perica Pereza przy końcu bocznej, niebrukowanej uliczki na skraju osady. Wjeżdżało się tam przez bramę z drucianej siatki, a droga do domu wiodła szpalerem tamaryndowców o ciemnych, pomarszczonych pniach i owocach tak słodkich, jakich Conde nigdy potem nie próbował. Za ceglany, krytym gontem domem znajdowały się obory dla krów, skromna stajnia i długa szopa z dachem z liści palmowych. Stały tam rzędy klatek ze wspaniałym ptactwem, za które właściciel żądał fortuny od hodowców i miłośników kogucich walk, między innymi Ernesta Hemingwaya we własnej osobie. W głębi podwórza, za studnią z mechaniczną pompą, był ogrodzony wybieg, gdzie Kanaryjczyk trenował swoje koguty, a na prawo, przed zagonami kolokazji, manioku i kukurydzy, stała varaentierra, solidna konstrukcja z bali wbitych w ziemię pod kątem czterdziestu pięciu stopni, na górze powiązanych ze sobą i pokrytych liśćmi palmowymi, które pełniły rolę ścian i dachu: w szalście tym, który Conde dobrze pamiętał, ukrywał się przez jedenaście miesięcy José Manuel Bermúdez, dopóki Daniel Kamiński i Roberto Fariñas nie zdobyli dlań paszportu, żeby mógł wyjechać z Kuby i – chwilowo – ocalić życie.

Kiedy Conde opowiedział Eliazowi Kamińskiemu o tym zadziwiającym zbiegu okoliczności, tamten przyjął to jako dobrą wróżbę.

– Skoro odkryłeś, gdzie się ukrywał Pepe Manuel, odkryjesz też prawdę o moim ojcu i obrazie Rembrandta.

– Jesteś przesądny?

– Nie, to przecucie – powiedział Eliaz.

– Od przecuć to jestem ja – zaoponował Conde. – Ale na razie żadnych nie mam. Przynajmniej dobrzych, takich, od których kłuje tutaj. – Dotknął ręką lewej piersi.

Powitał Eliasza Kamińskiego na ganku, a w kuchni czekała zaparzona kawa. Popijali ją teraz, siedząc na żeliwnych krzesłach i rozkoszując się świeżością wrześnieego poranka, który już niebawem miał pozostać tylko wspomnieniem.

– Mam do ciebie mnóstwo pytań.

– Wyobrażam sobie – powiedział malarz, a Conde się zorientował, że tamten zawsze, gdy chce uniknąć odpowiedzi albo czuje się przytłoczony, lekkim, ale i niewzruszonym gestem odgarnia kucyk nad karkiem. – Wolałbym jednak, żebyś pozwolił mi dokończyć tę historię, mnie samemu lepiej ją zrozumieć, przedstawić ci wszystko w pełnym świetle.

– Już od trzech dni o tym gadamy... Na razie odpowiedz mi chociaż na jedno pytanie.

– Najpierw je zadaj, a potem zobaczymy – odrzekł malarz, obstając przy swoim.

– Dlaczego tak bardzo poruszył cię napis na płycie nagrobnej Josepha Kamińskiego? O jakim prawie mówi to epitafium? O jakich wyrzutach sumienia?

Eliasz się uśmiechnął.

– Jesteś jak karabin maszynowy. Widać, żeś zdesperowany.

– A żebyś wiedział.

– Spróbuję ci odpowiedzieć... Dobra, zacznijmy od kwestii najłatwiejszej. Wziąwszy pod uwagę mentalność Pepe Sakiewki, z pewnością miał na myśli Prawo żydowskie. Co do wyrzutów sumienia, nie wiem na razie, o co chodzi, ale mam pewne podejrzenia. Napis poruszył mnie, bo uświadomiłem sobie, jak bardzo samotny musiał być ten człowiek, tak przecież dobry i uczciwy. Na szczęście aż do końca była przy nim Caridad... Poza tym był sam, a ja dobrze wiem, co znaczy utracić własne korzenie. Czasami czuję, że nie należę do żadnego miejsca albo do zbyt wielu naraz, jestem jak łamigłówka, którą zawsze można rozłożyć na części. Przyjmijmy, że jestem Amerykaninem, synem polskiego Żyda, który tutaj zapragnął zostać Kubańczykiem, żeby nie cierpieć i gdzieś się zakorzenieć, oraz kubańskiej katoliczki, córki Galisyjczyków, która w przełomowej chwili, gdy mąż uznał, że powinien wrócić do religii przodków, posłała w jego ślady i także zmieniła wiarę. Urodziłem się w Miami, kiedy Miami było dla mnie niczym, bo prawdę mówiąc, przypominało kiepską kopię Kuby, tej, która już wówczas nie istniała. Ale ja nie wychowałem się wśród tych kubańskich Kubańczyków, tylko wśród kubańskich Żydów i hebrajskich emigrantów ze wszystkich zakątków świata, we wspólnocie, w której wszyscy byliśmy Żydami, ale nie wszyscy byliśmy sobie równi – poruszył palcami, jakby liczył niewidzialne banknoty – i nigdy nie czuliśmy się równi. Moi rodzice zawsze uważali się za Kubańczyków, więc wiem, o czym mówię. A stryj Joseph, w przeciwieństwie do mojego ojca, chciał pozostać tym, kim zawsze był, chociaż wszystko wokół się zmieniło: kraj, w którym żył, rodzina, którą kiedyś miał, praktyki religijne... W końcu na Wyspie nie pozostał już żaden rabin, prawie nie było Żydów. Nawet czarnej fasoli zabrakło... Musiał się czuć jak rozbitek. Nie żeglarz, jak mój ojciec, gdy w marzeniach powracał do swojego Krakowa... ale prawdziwy rozbitek, bez kompasu, bez nadziei dopłynięcia do jakiegokolwiek lądu, bo ląd ów zniknął już przed wiekami, o czym dobrze wiedzą wszyscy Żydzi. Wyobrażasz sobie, co to znaczy tak żyć, na zawsze, do końca? Mój ojciec nie tylko nie mógł być przy umierającym stryju: o jego śmierci dowiedział się miesiąc po pogrzebie. No cóż, na szczęście miał Caridad...

– Mogę sobie wyobrazić przeżycia, o których mówisz, niemal je rozumiem – powiedział Conde, czując się trochę winny, że zmusił Eliasza Kamińskiego do tych wynurzeń. – Nadal chcesz zobaczyć dom, w którym twój ojciec był szczęśliwy, albo przynajmniej tak sądził?

Malarz zapalił kolejnego camela i pogrążył się w długim milczeniu.

– Muszę zobaczyć – powiedział w końcu. – Przyjechałem na Kubę, żeby coś zrozumieć, tak jak ojciec wrócił kiedyś do Krakowa, żeby się spotkać z samym sobą, a odkrył tylko swoje najgorsze oblicze... Cóż, być może spodziewam się najgorszego, ale ja też chcę wiedzieć, muszę wiedzieć.

Kierując się wskazówkami Condego, prowadzony przez Eliasza samochód opuścił nieprzyjazną kierowcom Calzada del 10 de Octubre i podążając znacznie przyjemniejszą Avenida de Santa Catalina, zagłębił się w uliczki Santos Suárez. Kiedy jechali szpalerem starych, wciąż jeszcze ukwieconych wianowłostek, Conde opowiedział cudzoziemcowi, że dzielnica ta była niegdyś częścią jego życia i jego marzeń. Tu blisko mieszkali starzy, najlepsi przyjaciele (również przyjaciele Andresa: zanim Eliasz wyjedzie, musi ich poznać, dodał) i kobieta, która od niemal dwudziestu lat jest kimś w rodzaju jego narzeczonej.

Gdy dotarli do ulicy Mayía Rodríguez, Conde kazał Eliaszowi skrócić w prawo, a dwie przecznice dalej w lewo i zatrzymać się przed domem, w którym – zgodnie z podanym adresem – Daniel i Marta Kamińscy mieszkali aż do kwietnia 1958 roku. Conde, rozluźniony pogawędką o przyjaciółach i miłośkach, poczuł nagle, że coś mu w tych poszukiwaniach zgrzyta, coś się z nimi kryje.

– To był dom moich rodziców? – zapytał Eliasz Kamiński, trochę zaskoczony i trochę przytłoczony.

Conde odpowiedział pytaniem:

– Mówiłeś, że kto mieszkał w tym wielkim domu na rogu?

– Szef policji za Batisty.

– Ale konkretnie?

– Nie pamiętam nazwiska – odparł malarz, jakby się usprawiedliwiając, nie rozumiejąc, skąd wzięło się to nagle zainteresowanie.

– Chyba... Zatrzymaj samochód i daj mi swoją komórkę! – wykrzyknął Conde.

Malarz zaparkował przy krawężniku, pod cienistym baldachimem drzewa ocujo o spróchniałym pniu, i podał aparat Condemu. Bez słowa wyjaśnienia były policjant wystukał numer i nacisnął zielony przycisk, w nadziei, że ów gadżet, z którym nie był ani nie zamierzał być obeznanym, zadziała.

– Królik? – zapytał, a potem brnął dalej: – Tak, to ja... W porządku, ale teraz przymknij się i słuchaj... Do kogo należał ten piękny dom na rogu ulic Mayía i Buenavista, ten, co tak ci się podobał...? Poprzedni właściciel... – Conde słuchał przez chwilę. – Aha, aha... A wcześniej? – Znów zamilkł, po czym wykrzyknął: – Wiedziałem, wiedziałem! Nic, potem ci wyjaśnię. – Przycisnął na chybił trafił jakiś klawisz, żeby się rozłączyć, i oddał komórkę Eliaszowi, który wpatrywał się weń zdumionym wzrokiem, próbując coś z tego zrozumieć.

– O co chodzi?

– Ten, kto tu mieszkał, nazywał się Tomás Sanabria i był zastępcą szefa hawańskiej policji. To on był sąsiadem twoich rodziców i to przed jego domem zawsze stał wóz patrolowy.

Eliasz Kamiński zdawał się nie nadążać za tokiem rozumowania Condego.

– Ten człowiek, Tomás Sanabria, był ostatnim skurwysynem, sadystycznym mordercą... Czy mógł mieć coś wspólnego z twoim ojcem albo z jego obrazem?

Malarz zapalił papierosa. Zastanawiał się.

– Nic o tym nie wiem. Opowiadał o jakimś policjancie, który mieszka w sąsiedztwie, ale nie pamiętam, żeby wymieniał jego nazwisko.

– Ten Sanabria przyjaźnił się z synem Manuela Beniteza, który nosił to samo imię co jego ojciec, Manuel Benítez, i był ponoć najlepszym przyjacielem Batisty... Chcę ci przypomnieć, że to właśnie stary Benítez sprzedawał fałszywe wize pasażerom „St. Louis”.

Zdumienie Eliasza Kamińskiego wciąż rosło.

– Czy to może być zwykły przypadek? – Conde wypowiedział na głos pytanie, które zadawał sobie w myślach. – Szef policji, przyjaciel syna Beniteza, mieszka w sąsiedztwie syna Żydów, których Benítez oszukał, sprzedając im fałszywe wize? Czy ktoś z nich nie był powiązany z tym twoim Rembrandtem? Może nawet wszczęty?

– Nie wiem – szczerze stwierdził wciąż oszołomiony Eliasz.

Nawet ta, jak się zdawało, szczerą odpowiedź nie powstrzymała fali przeczuć, jakie ogarnęły ciało i umysł Maria Condego. Niejedna ścieżka wiodła w głąb tej historii.

Pałacyk zbudowany przez Tomasa Sanabrię, obecnie zapewne własność kogoś, kto miał wystarczająco silną pozycję polityczną i finansową, żeby tam zamieszkać, triumfalnie i bez większego uszczerbku przetrwał upływ czasu. Ale skromny sąsiedni domek, w którym przez cztery lata żyli Daniel i Marta, spotkał inny los. Nie miało to związku, jak można by sądzić, z trwałością konstrukcji, ponieważ kolumny, belki i dach wciąż wyglądały solidnie mimo ciężącego na nich brzemienia lat. Było raczej skutkiem rozmaitych plag: drzwi i okna padły ofiarą rozlicznych szykan, ściany, wyglądające jak przeżarte przez monstrowe mrówki, ostatni raz malowano, kiedy jeszcze egzystował klub z Marianao (socjalistycznie zlikwidowany przed laty jako relikwium zawodowej ligi kubańskiej), przed progiem wały się rozbite płytki, a niski murek oddzielający posiadłość od ulicy stracił swój pierwotny kolor, część krat i nawet parę cegieł. Dawny ogród przemienił się w pospolite pole chwastów, z zadatkami na śmietnik. Nawet pień ocjujo w żywopłocie sprawiał wrażenie, jakby ktoś go porąbał w ataku nienawiści i odrazy...

– Jesteś pewien, że to był dom moich rodziców? – dopytywał się Eliaz Kamiński, który z wrażenia omal nie spadł z fotela kierowcy, wstrząśnięty kontrastem między zastaną gorzką rzeczywistością a przechowywanymi w pamięci fotografiami i opowieściami ojca o szczęśliwej przeszłości, nagle unicestwionej.

– Na to wygląda – wbrew sobie jątrzył ranę Conde.

– Chciałbym tam wejść... – zaczęła Eliaz Kamiński, a były detektyw skwapliwie skorzystał z tej chwili wahania.

– Lepiej nie. Tego, czego szukasz, tam nie ma. Ta ruina to już nie jest dom twoich rodziców.

– Dobrze przynajmniej, że nie wrócili – pocieszał się malarz.

– Byłoby tak samo jak z powrotem do Krakowa po wojnie. Nie, to nie przypadek, że w sąsiedztwie mieszkał Tomás Sanabria.

Eliaz, poruszony tym, co wiązało się z przeszłością domu jego rodziców, a w istocie z ich własną, nie był szczególnie zaniepokojony pierwotnym właścicielem pałacyku.

– Co działo się potem, w pięćdziesiątym ósmym, kiedy stąd wyjechali? – Conde spróbował skierować rozmowę na interesujący go temat.

– Wkrótce potem moi galisyjcy dziadkowie sprzedali tę posesję. Ojciec, któremu po zapłaceniu pięciu tysięcy pesos za paszport Pepe Manuela zostało niewiele pieniędzy, wpłacił zaliczkę na domek w Miami Beach, a resztę zostawił Josephowi. Uniwersytet był zamknięty, ale stryj Pepe oszczędzał na studia pasierba, syna Caridad... Taki już był. Banknoty trzymał pod poduszką, a potem, kiedy zadekretoowano wymianę pieniędzy i wolno było wymienić tylko dwieście pesos na osobę, stracił wszystko...

Conde pokiwał głową; znał to na pamięć. Jeszcze jedna ofiara powszechnego zubożenia.

– Z tego, co mówisz, twoi rodzice nie mieli nawet czasu, żeby sprzedać dom. Musieli uciekać z powodu Pepe Manuela?

– Nie. Ale ich ucieczka miała ścisły związek z tą sprawą. Jak mówiłem, ojciec, organizując wyjazd przyjaciela, ponownie natknął się na obraz Rembrandta.

– Jak i gdzie?

– W domu tego urzędnika Biura Emigracyjnego, tego Mejiasa, z którym spotkali się mój ojciec i Roberto, żeby kupić paszport dla Pepe Manuela.

– A Mejías nie miał przypadkiem nic wspólnego z Sanabrią?

– Z tego, co wiem, nie... Tak w każdym razie mówił ojciec...

W tym momencie Conde poczuł, jak krzyżujące się światy, dotąd istniejące równoległe, czy też niezajające się nawzajem, zamieszkałe przez hodowców kogutów, którzy okazali się jedną i tą samą osobą,

przez szefów policji i prześladowanych rewolucjonistów, przez Żydów odszczepieńców i nieodszczepieńców, zaczęły nagle wirować, tworząc jakąś trąbę powietrzną, która wtargnęła do jego głowy, by wskrzesić w niej iskrę podobną do tych, które za jego policyjnych czasów pomagały mu znaleźć rozwiązanie toczącego się śledztwa.

– Zanim zabrnjemy jeszcze dalej w tę niekończącą się historię, powiedz mi, bo chcę dobrze zrozumieć... – zaczął delikatnie, ale potem nagle przyparł Eliasza do muru. – Czy to, czego chcesz się dowiedzieć, wykorzystasz w celu odzyskania obrazu Rembrandta?

Eliasz lekko potrząsnął swoim kucykiem. Zastanawiał się przez chwilę.

– Być może, ale niekoniecznie. Tak sądzę.

– Mowa o ponadmilionowej sumie... Wobec tego, o co tu chodzi, do jasnej cholery? Czy...?

Eliasz Kamiński nie stracił panowania nad sobą. Tym razem odpowiedział bez zastanowienia i widać było, że odpowiedź zna od dawna.

– Tak, dobrze się domyślasz. To będzie dla mnie trudne, ale muszę się upewnić, czy mój ojciec rzeczywiście zabił Mejiasa. Do zabójstwa, bardzo okrutnego, doszło w marcu pięćdziesiątego ósmego roku, a rodzice wyjechali zaledwie miesiąc później... ale przede wszystkim chcę wiedzieć, dlaczego ojciec nie odzyskał obrazu, który był jego własnością, i czy zrobił to, o co go podejrzewam. I gdzie, do diabła, podziewało się to płótno przez te wszystkie lata...

Daniel Kamiński czuł, jak świat staje w miejscu, hamuje widowiskowo i planetarnie, by wymieść wszystko i puścić w ruch, wlecieć, wyrwywając każdą rzecz z kąta, w którym przycupnęła albo się schroniła. Po chwili glob zaczął znów wirować, a młody Żyd doznał zawrotnego wrażenia, że teraz kręci się wraz z nim w przeciwnym kierunku i cofa w czasie, przemierzając wstecz ostatnie dziewiętnaście lat, jakby szukał tego konkretnego tygodnia z przeszłości, przez wielu już zapomnianego, lecz w jego pamięci będącego wciąż boleśnie żywym wspomnieniem, gdyż wtedy właśnie, pod koniec maja 1939 roku, zmuszono go, by przyznał sam przed sobą, że jego dzieciństwo skończyło się nieodwołalnie. Celem tego powrotu do przeszłości była owa przełomowa chwila, w której płótno z wizerunkiem młodego Żyda nazbyt podobnego do Jezusa z ikonografii chrześcijańskiej, towarzyszące rodzinie Kamińskich przez trzy stulecia, wyjęte zostało spod pieczy rodziców Daniela, ludzących się, że ów desperacki gest da nowe życie trójce innych Żydów, tułaczy odrzuconych przez władze kubańskie i amerykańskie, a później unicestwionych w Holokauście. Lecz by ów doniosły akt drugich narodzin mógł się dokonać, obraz musiał, musiał, musiał opuścić swoje prawowite gniazdo i trafić w obce ręce, które w niepojęty sposób przeniosły go aż tutaj, do tego domu, gdzie teraz bezkarnie i ostentacyjnie wisi na ścianie.

Roberto Fariñas zorientował się, że coś więcej niż niepokój, a nawet lęk, ogarnęło jego przyjaciela, kiedy już dotarli na miejsce. Cichym głosem zapytał, czy coś się stało, ale Daniel Kamiński tylko pokręcił głową, niezdolny mówić, myśleć, wiedzieć.

Służąca z luksusowej willi przy Séptima Avenida w dzielnicy Miramar poprosiła, by usiedli na miękkich kanapach obitych błękitnym aksamitem, które harmonizowały z szykownym, wyrafinowanym wystrojem salonu, podkreślonym jeszcze przez wiszące na ścianach obrazy – reprodukcje słynnych dzieł ze złotej epoki malarstwa holenderskiego. Pośród nich, na naczelnym miejscu, jakby dla uwydatnienia niewątpliwiej autentyczności i zniewalającego piękna owego cennego płótna, pysznił się sygnowany inicjałem „R” portret młodego Żyda, krzykliwie obwieszczając ogłuszonemu Danielowi Kamińskiemu swoją obecność. Daniel wpatrywał się w obraz z takim napięciem, że aż zwróciło to uwagę Roberta. „Jest coś dziwnego w tym obrazie, prawda? To portret człowieka czy wizerunek Chrystusa?” Daniel nie odpowiedział.

Román Mejías pojawił się po kilku minutach. Był to mężczyzna w wieku lat mniej więcej sześćdziesięciu, ubrany w elegancki lniany garnitur dril cien¹¹, jakby wybierał się gdzieś z wizytą. Daniel dokonał w myślach szybkich obliczeń: w czasach epizodu z „St. Louis” osobnik ten mógł mieć około czterdziestki, zatem jest prawdopodobne, że jako urzędnik Biura Emigracyjnego często bywał na pokładzie statku.

Polak prawie nie słuchał rozmowy Mejiasa i Roberta. Dyskretnie przyglądał się niewielkiemu płótnu, starannie maskując zainteresowanie, a wrócił do rzeczywistości dopiero wtedy, gdy przyjaciel poprosił go o kopertę z pieniędzmi, którą Daniel miał w wewnętrznej kieszeni marynarki. Przekazał ją Mejiasowi jako pierwszą transzę, zgodnie z umową: pięć tysięcy pesos teraz, drugie pięć po odebraniu paszportu. Mężczyzna schował kopertę, nie przeliczywszy pieniędzy, a następnie wyjaśnił, że zainteresowany musi opuścić Kubę w ciągu tygodnia od chwili otrzymania fałszywych dokumentów. On ze swej strony obiecuje, że papiery będą gotowe najpóźniej za dziesięć dni. Fariñas wręczył mu zdjęcia Pepe Manuela, teraz w okularach i z wąsami. Mejías zapytał, czy mają jakieś sugestie dotyczące nazwiska. Roberto spojrzął na Daniela. Z zakamarków pamięci Polaka wyłoniło się pewne imię i nazwisko. „Antonio Rico Mangual”, powiedział, gdyż przed kilkoma miesiącami dostał wiadomość o śmierci starego kamrata Antonia, mulato lavado o pięknych oczach, który towarzyszył mu w młodzieńczych wypra-

wach do Starej Hawany, a niedawno zmarł na gruźlicę w sanatorium pod miastem. I wiedziony jakimś nagłym impulsem dodał ku zdumieniu Roberta: „Tak się nazywam. Nie mam paszportu, a poza tym nie planuję wyjazdu, więc może pan wpisać moje dane”. „W porządku, jakoś skombinuję akt urodzenia”, odparł Mejías i zakończył rozmowę: „Załatwione”. Wyciągnął rękę na pożegnanie. Roberto uściśnął mu dłoń, ale Daniel nie miał ochoty dotykać tego człowieka, udawał więc, że nie dostrzegł jego gestu. „Widzimy się tutaj, najdalej za dziesięć dni”, dodał gospodarz. „Od zachowania dyskrecji zależy życie tego chłopaka, wasze i moje. Batista poprzysiągł zabić ich wszystkich. Nie spocznie, dopóki nie dopnie swego”. Kiedy zbierali się do wyjścia, jakiś impuls, silniejszy od przezorności, kazał byłemu Żydowi zapytać: „Panie Mejías... Ten obraz...”, wskazał palcem portret, „namalował jakiś znany artysta?”. Mejías spojrział na płótno niczym ojciec dumny z urody córki. „Reszta to oczywiście reprodukcje, ale ten, nie uwierzycie, to autentyczne dzieło Rembrandta, malarza nie tylko znanego, ale sławnego na cały świat”.

Od tamtej chwili życie Daniela Kamińskiego, już nadszarpnięte powszechnym strachem i jego własnymi lękami, znalazło się w mrocznym labiryncie. Nie wspominał o swoim straszliwym odkryciu ani Marcie, ani stryjowi Josephowi, bo całymi dniami zastanawiał się nad wyjściem z tej sytuacji. W jego głowie tkwiła niczym cierń jedna myśl, nieugięte przekonanie: ten człowiek, albo ktoś z nim związany, oszukał jego rodziców. I to on – albo ten, kto mu dał lub sprzedał Rembrandta – odpowiada za ich śmierć. Tak czy inaczej na nim, Danielu, spoczywa obowiązek odzyskania obrazu, który od dawien dawna był własnością rodziny, od chwili gdy umierający rabin wręczył go medykowi Mosze Kamińskiemu w dalekim Krakowie pustoszonym przez zarazę i przemoc.

Ostrożnie, z należytą dyskrecją Daniel starał się zdobyć jak najwięcej informacji o życiu Romana Mejiasa. W takich sprawach ostrożności nigdy za wiele, pomyślał, i to samo powtórzył swojemu synowi Eliaszkowi: Mejías wprawdzie nie wywodził się z kręgu faworytów i przyjaciół Batisty, ale jako funkcjonariusz państwowy – a więc człowiek reżimu – z pewnością był czujny. Poza tym musiał przecież załatwić lewe papiery dla Pepe Manuela, a wówczas tylko to się liczyło.

Zadając pod byle pretekstem niewinne pytania i czytając stare gazety, Daniel odtworzył krok po kroku życie tego człowieka. Co ważne, Mejías należał do grona funkcjonariuszy, którymi minister spraw wewnętrznych za kadencji prezydenta Lareda Brú zastąpił w dyrekcji Biura Emigracyjnego, już po bitwie o sprzedane w Berlinie wizy, akolitów pułkownika Manuela Beniteza. Wiarygodnie brzmiało przypuszczenie, że miał powiązania ze sprawą „St. Louis”, czego dowodził numer „El País” z 31 maja 1939 roku, gdzie na opublikowanym zdjęciu widniał Mejías, o dwadzieścia lat młodszy. Obok niego stało dwóch urzędników sfotografowanych w chwili, gdy tuż po zejściu z pokładu transatlantyku odmawiają prasie komentarza na temat żądania władz, by Połączony Komitet Rozdzielczy podwoił cenę. A może to jeden z jego kolegów zabrał obraz, a potem, z sobie tylko wiadomych powodów, dał go jemu? Mało prawdopodobna, ale jednak możliwa okoliczność, oczyszczająca Mejiasa z winy.

Pierwszą osobą, której powinien wyjaśnić całą sprawę, był Roberto Fariñas. Kiedy spotkali się cztery dni po podjęciu negocjacji z Mejiasem, Roberto zapytał, dlaczego Daniel powiedział, że nazywa się Antonio Rico Mangual, dlaczego w trakcie tamtej rozmowy zachowywał się tak dziwnie i dlaczego tak bardzo zainteresowało go płótno, które jak dla niego ma tyle wspólnego z Rembrandtem, co wiszące w salonie Mejiasa bohomyzy z Vermeerem albo Ruysdaelem. Z tego, co wie o malarstwie, niewiele, ale zawsze coś, upierał się Roberto, temu portretowi brak mistrzowskiej iskry charakterystycznej dla wszystkich Rembrandtów, wielkich, małych, a nawet drugorzędnych, zakończył. Daniel Kamiński, który wręcz dławił się pod brzemieniem tajemnicy i domysłów, postanowił zrzucić z siebie ów ciężar, opowiedzieć przyjacielowi całą historię i oznajmić, że zamierza odzyskać swoją własność. Obraz ten bowiem, chociaż owszem, jest tylko szkicem, ale – wbrew opinii Roberta – z pewnością wyszedł spod pędzla samego Rembrandta, z wszystkimi jego pociągnięciami i kolorami, o czym on, Daniel, wie doskonale, i na dowód pokazał fotografię rodzinnego salonu w Krakowie. Słuchając go, Roberto prawie

nie dawał wiary tej opowieści, wpadł nawet na infantylny pomysł, że gdy tylko zdobędą paszport, ktoś, może sam stryj Joseph Kamiński przy wsparciu wszechmocnego Brandona, zadencuncjuje przekupnego urzędnika. Od razu jednak uświadomił sobie wątpliwe powodzenie takiego planu, bo w tym do cna skorpumpowanym kraju ludzie pokroju Mejiasa zawsze jakoś się wywiną od odpowiedzialności. Niemniej jednak będzie oczywiście wspierał przyjaciela we wszystkich jego staraniach, wszystkich, zaznaczył. Taki był i zawsze będzie Roberto Fariñas, powie kiedyś swojemu synowi Eliaszkowi Daniel Kamiński. Zawsze taki, nawet w czasach, gdy politycy dokładali wszelkich starań, by wykopać rów pomiędzy dawnymi kumplami i rozdzielić ich murem resentymentów. Daniel poprosił tylko Roberta o całkowitą dyskrecję, przynajmniej dopóki Pepe Manuel nie wydobędzie się z Kuby. A potem się zobaczy.

Wówczas wpadł na świetny pomysł. Po południu, w przeddzień odebrania paszportu, Daniel opuścił targowisko, wsiadł do swojego chevroleta i pojechał w dawne rodzinne strony, do dzielnicy żydowskiej. Przy ulicy Bernaza, między Obispo i Obrapia, mieścił się od lat dwudziestych jeden z najsłynniejszych w Hawanie zakładów fotograficznych, Fotografia Rembrandt. Jego pierwszym właścicielem był Żyd Aladar Hajdú, wiekowy już, lecz wciąż w pełni władz umysłowych, a jego powszechnie znana namiętność do sztuki holenderskiego mistrza sprawiła, że znajomi i sąsiedzi nadali mu przydomek „Rembrandt”. Nie było dziełem przypadku, że wybierając nazwę dla swojego znakomicie prosperującego atelier, zdecydował się na nazwisko tego artysty, ponieważ wewnątrz wystawione były nie tylko zdjęcia sławnych klientów, ale także obrazy malarzy kubańskich i reprodukcje obrazów Rembrandta, przy czym centralne miejsce zajmowała *Uczta Baltazara*, usytuowana w ten sposób, że postać biblijna dramatycznym gestem, jedynym w swoim rodzaju w całej historii sztuki, wskazywała pomieszczenie w głębi, gdzie znajdowało się studio fotograficzne.

Daniel poprosił Hajdú o spotkanie. Starzec na szczęście znał Pepe Sakiewkę, a nawet wiedział o jego przyjaźni z wszechwładnym Brandonem. Stary Żyd, który zawsze paradował z dymiącym papierosem w ustach, łatwo dał się namówić Danielowi na piwo w barze na rogu. Gdy już usiedli przy stoliku, wśród straszliwego jazgotu panującego w tej newralgicznej, wiecznie tętniącej życiem części miasta, Daniel poprosił Hajdú, by z powodów, które być może kiedyś będzie mógł wyjawić, utrzymał ich rozmowę w tajemnicy. Starzec, zaintrygowany i trochę zaniepokojony, nie chciał niczego obiecywać, dopóki się nie dowie, o co chodzi. „Szukam pewnych informacji i nie wątpię, że ktoś taki jak pan może mi w tym pomóc”, zaczął Daniel i zaryzykował: „Czy ktokolwiek na Kubie ma obraz Rembrandta?”. Hajdú uśmiechnął się i wypuścił z ust potężny kłęb dymu, jakby palił się od środka. „Dlaczego pytasz?” „Tego nie mogę powiedzieć. Mogę tylko pana zapewnić, że ja ten obraz widziałem”. Stary Żyd połknął przynętę. „Román Mejias. Przed laty przyszedł do mnie i zapytał, czy podobizna Chrystusa, którą ma w domu, to oryginał. Wydawało mi się, że tak jest w istocie. Jedna z wielu głów Chrystusa namalowanych przez Rembrandta”. „Kiedy to było?” „Uf, jakieś dwadzieścia lat temu”, odparł Hajdú, zapalił następnego papierosa i ciągnął: „Powiedział, że to pamiątka rodzinna. Pokazał certyfikaty autentyczności, ale były po niemiecku, a ja nie znam tego języka. Pamiętam tylko, że figurowała tam adnotacja: Berlin, 1928”. Tego potwierdzenia szukał Daniel: to były dokumenty uzyskane przez jego ojca, a obraz w domu Mejiasa należał do Kamińskich. „Czy zachowa pan naszą rozmowę w tajemnicy?” Daniel miał wrażenie, że spojrzenie Hajdú przenika go na wskroś. „Tak... a gratis dodam przestrożę, chłopcze: Román Mejias to niebezpieczny typ... Strzeż się, cokolwiek planujesz. Ale oczywiście nie znam cię i nigdy z tobą nie rozmawiałem. Dziękuję za piwo”, powiedział, ponownie buchnął dymem, wstał i poszedł w stronę swojego zakładu fotograficznego.

Tego samego popołudnia Daniel pojechał do Luyanó, bo musiał rozmówić się ze stryjem Josephem, wszak sprawa ta dotyczyła także jego. Caridad, jak zwykle, przyjęła go serdecznie i poprosiła, żeby się rozgościł i poczekał chwilę, bo Pepe od pół godziny przesiaduje w łazience. „Wiesz dlaczego. Ale chyba niedługo wyjdzie”. Daniel cierpliwie wdał się w banalną pogawędkę z kobietą, mocno zaniepokojoną przyszłością syna, na której zamierzał studiować, została bezterminowo zamknięta. Kiedy Joseph ze znieścmaczoną miną, jaką miał zawsze po mozolnym uporaniu się z wypróżnieniem, opuścił łazienkę, Caridad poszła zrobić kawę, a bratanek zaproponował stryjowi krótki spacer. Ruszyli w stronę pobliskiego parku przy ulicy Reyes, a w drodze Daniel zaczął opowieść o swoim dramatycz-

nym odkryciu sprzed paru dni. Dokończył już na ławce, w dobroczynnym świetle niedawno zapalonej latarni. Joseph słuchał w milczeniu, powstrzymując się od pytań, ale kiedy bratanek przedstawił mu dowody na niepodlegający wątpliwości związek Mejiasa z obrazem i jego zniknięciem z pokładu „St. Louis”, co potwierdziły słowa Hajdú o certyfikatach datowanych w Berlinie, stary Żyd drgnął, jakby nagle ocknął się ze snu.

„Co zamierzasz?”, brzmiało pierwsze pytanie Pepe Sakiewki. „Najpierw muszę wydostać Pepe Manuela z Kuby. A potem nie wiem”. „Ten facet to skurwiel”, stwierdził Joseph i z naciskiem, który uświadomił Danielowi uczucia, jakie ogarnęły stryja po wysłuchaniu jego opowieści, dodał: „A skoro jest skurwielem, musi zapłacić za to, co zrobił”.

Rankiem dziesiątego dnia wyznaczonego przez Romana Mejiasa Daniel poszedł na przystań, skąd kursowały promy na trasie Miami–Hawana–Miami, i kupił bilet na poranny rejs za dwa dni. Nabrzeże znajdowało się blisko mola HAPAG, którym kiedyś mieli zejść na ląd pasażerowie „St. Louis”. Po raz pierwszy od osiemnastu lat Daniel Kamiński ośmielił się powrócić tam, gdzie wraz ze stryjem Josephem stał w tłumie, przyglądając się ludziom przewożonym przez powracające z transatlantyku motorówki. Pamiętał, jak stryj się z nim założył, że urzędnikiem, którego los wybrał do przeprowadzenia transakcji z Izajaszem, jest człowiek w słomkowym kapeluszu. Zbawienne dziedzictwo sefardyjskie – „Tylko łyżka wie, co jest w garnku”... Daniel próbował przywrócić wspomnienie tamtych chwil, usiłował wydobyć z zakamarków pamięci twarze mężczyzn, których w całym tym zamieszaniu traktował jak wysłanników nadprzyrodzonych mocy zdolnych ocalić jego rodzinę. Ale miejsce obrazów z realnej bądź wyimaginowanej przeszłości uparcie zajmowała widziana niedawno twarz Romana Mejiasa.

Wieczorem Daniel i Roberto stawili się u Mejiasa, żeby sfinalizować umowę. Tym razem oczekiwali ich w salonie, razem z kobietą około pięćdziesiątki, siedzącą na wózku inwalidzkim, który podjechał niemal bezszelestnie, kiedy stanęli w drzwiach. „Moja siostra, można jej zaufać”, wyjaśnił gospodarz, witając się z nimi. Podszedł do niewielkiej komody, wyjął z niej paszport i podał Robertowi. Młody człowiek przejrzał paszport, który sprawiał wrażenie autentycznego. „Jest autentyczny”, potwierdził Mejias, „na wasze potrzeby wystarczy”. Daniel milczał. Uważnie obserwował salon, możliwe wejścia i wyjścia, widok za oknami. Roberto trącił go łokciem, więc wyciągnął kopertę i wręczył gospodarzowi, który wziął ją z uśmiechem, a kiedy wkładał pieniądze do wewnętrznej kieszeni marynarki, Daniel dostrzegł kaburę pistoletu. „W poprzedniej kopercie brakowało dwudziestu pesos”, powiedział Mejias, „ale to drobiazg”. Daniel bez słowa wyjął z kieszeni dwa banknoty dwudziestopesowe i podał je urzędnikowi. „To, czego poprzednio brakowało, i jeszcze na wypadek drugiej pomyłki”, odparł. Mejias z uśmiechem wziął banknoty. W tym momencie młody Żyd zyskał absolutną pewność, że nikt inny, tylko ten właśnie nędznik oszukał jego rodziców i skierował ich na drogę wiodącą ku najbardziej przerażającej śmierci. Román Mejias zasługiwał na karę.

Przygotowania do wyjazdu Pepe Manuela prowadzone były sprawnie i konkretnie. Następnego ranka Roberto z Danielem i Olguitą udali się do Las Guásimas. Zgodnie z ich przewidywaniami spotkanie po niemal roku rozstania było radosne i przepełnione nadzieją. Ale trwało krótko. Roberto i Daniel mieli wrócić następnego dnia o szóstej rano, ponieważ Pepe Manuel musiał wejść na pokład promu o dziewiątej. Zostawili Olguitę razem ze spakowaną dla uciekiniera walizką, więc zakochani mieli dla siebie cały dzień na pożegnanie w wiejskiej kryjówce.

Nazajutrz, kiedy chevroletem Daniela jechali do centrum miasta, nad Hawaną wstawał świt. Po drodze Pepe Manuel się upierał, żeby dla uniknięcia ryzyka zostawili go w pobliżu Parque Central, skąd weźmie taksówkę do przystani promów. Raz po raz Roberto i Daniel prosili przyjaciela, żeby był ostrożny, chociaż wiedzieli, że Pepe Manuel nie jest już beztrojskim Calandracz z dawnych lat, ale człowiekiem w pełni dojrzałym i odpowiedzialnym. Daniel prowadził samochód, czując w barkach napięcie, nie tylko z powodu nadzwyczajnych okoliczności, ale przede wszystkim za sprawą ekscytacji na myśl o tym, że przy rozstaniu poprosi uciekiniera o przysługę. Dlatego wdzięczny był Pepe Manuelowi

za to, że rozładował nerwową atmosferę, gratulując przyjacielowi niedawnego sukcesu Jaguarów z Mariana, już drugi rok z rzędu mistrzów kubańskiej ligi zawodowej. „A przy tym Miñoś grał na pół gwizdka”. Daniel na zawsze zapamięta te słowa i powtórzy je, dokładnie trzydzieści lat później, swojemu synowi Eliaszowi na uroczystej gali w Miami ku czci Kubańskiej Komety, gdy ziściło się jego największe marzenie: uściśnął dłoń mitycznego zawodnika będącego jednym z jego najpiękniejszych kubańskich wspomnień i zabrał do domu piłkę z autografem niezrównanego Miñośa, choć dedykowaną tylko „Przyjacielowi Jose Manuel Bermudez”, w tej formie gramatycznej i bez akcentów w nazwisku.

Kiedy już dojeżdżali do celu, Daniel podniósł wzrok znad kierownicy i spojrzął w lusterko wsteczne na przyjaciela, tak mu bliskiego od lat. „Pepe Manuelu”, wydusił z siebie, „potrzebuję twojego pistoletu”. Jego słowa zadudniły w samochodzie, przyciągając uwagę całej trójki pasażerów, którzy w tej chwili zapomnieli o wszystkich kłopotach. Daniel nalegał: „Masz go ze sobą?”. „Pewnie, że nie, Polaku, jeszcze nie zwiariowałem”. „Komu go dałeś?” Pepe Manuel zerknął na Roberta i Daniel znał już odpowiedź.

Zatrzymał auto na rogu Prado i Neptuno, w najbardziej ruchliwym miejscu w mieście, gdzie, jak sądzili, każdy łatwo zgubi się w tłumie. Pepe Manuel uściśkał przyjaciół, raz jeszcze dziękując za to, co dla niego zrobili. Potem odwrócił się, żeby pocałować w usta Olguitę, może zbyt pruderyjnie z uwagi na obecność świadków. Założył przezroczyste okulary w szybkretowych oprawkach, chwycił Daniela za ramię i powiedział: „Nie rób głupstw, Polaku”.

Ubrany w jasnoszary garnitur, z małą walizką w ręce, wąsaty okularnik, w jakiego przemienił się czerwony Calandraca, wysiadł z samochodu, po czym, nie oglądając się za siebie, przeszedł na drugą stronę Prado i ruszył na postój taksówek przy Parque Central. Olguita, Roberto i Daniel obserwowali z chevroleta, jak wsiada do jednego z czarno-pomarańczowych aut, a potem szybko odjeżdża w dół Prado, ku morzu. Mimo iż wszyscy troje zdawali sobie sprawę z karkołomności całego przedsięwzięcia, ufali, że jakość paszportu oraz zimna krew Pepe Manuela zapewnią tej eskapadzie szczęśliwy finał. Dlatego też, choć ryzyko wciąż istniało, nikomu z nich nie przyszłoby wówczas do głowy, że po raz ostatni widzą Pepe Manuela Bermudeza, najlepszego z ludzi, jakich w swoim długim życiu poznali i poznają w przyszłości wierzący Roberto Fariñas i niewierzący Daniel Kamiński.

Od tamtego dnia w lutym 1958 roku, kiedy pożegnał się z José Manuelem Bermudezem, Daniel Kamiński wkroczył w nowy etap życia, który jak najszybciej chciałby wymazać ze swojej nieustępliwej pamięci. Ale i to wspomnienie niełatwo było pogrzebać. Nie znał i nie poznał na to sposobu lepszego niż upływ czasu i nadejście nowych zmartwień, które przynajmniej na chwilę zepchną w cień i przytłumią te wcześniejsze, choć nigdy ich nie wykorzenia. Drastyczna i trudna decyzja wyrwania swojej żydowskości z duszy pozwoliła mu oddalić się od nazbyt bolesnych dziejów, a jednocześnie zyskać dziwne, lecz namacalne poczucie wolności, które sprawiło, że mógł oddychać swobodnie, patrzeć w niebo, obserwować chmury i gwiazdy i widzieć w nich chmury i gwiazdy, choć za nimi była tylko nieskończoność. Jednak w chwili pożegnania z przyjacielem Daniel Kamiński podjął zobowiązanie, jakiego nigdy by się po sobie nie spodziewał, i wziął na swoje barki brzemie, które miało mu ciążyć już zawsze i odciąsnąć na nim niezatarte piętno. Albowiem właśnie w owej chwili, przez nikogo nieprzymuszony, jedynie z własnej suwerennej woli, powziął decyzję o zamordowaniu człowieka, który pozbawił go wszystkiego, co było mu najdroższe. Musiał go zabić... nie, nie musiał – chciał.

Mając lat dwadzieścia siedem, ów młody człowiek, z urodzenia Polak, Żyd przechrzczony na katolikiem, z ducha i w świetle prawa Kubańczyk, zetknął się już ze śmiercią, ale dotychczas twarze łączące się z tym traumatycznym przeżyciem miały rysy najbliższych, ukochanych osób: rodziców, siostry, dziadków i wujostwa Kellersteinów, monsieur Saruskiego, jego pierwszego nauczyciela gry na fortepianie dawno temu w Krakowie, i pięknej żony mistrza, madame Ruth, w której Daniel zakochał się całym swoim dziecięcym sercem. Wszystkich unicestwił Holokaust. Mordercy natomiast jawili się w postaci bezkształtnych cieni, demonicznych widm, którym nie warto było nawet przymierzać twarzy tego czy

innego nazistowskiego przywódcy odpowiedzialnego za zagładę jego bliskich. Albowiem w pojawiających się w świadomości i podświadomości obrazach Daniel nie potrafił powiązać wizerunków znanych zbrodniarzy, sprawców masakry, z podobizną konkretnego człowieka, który grozi, bije, opluwa, złorzeczy Żydom, upojony władzą, mocą wzniecania strachu – człowieka bez właściwości, który w jego wizjach wielokrotnie pociągał za spust przyłożonego do potylicy pistoletu. Teraz jednak, co jeszcze potęgowało odrazę i ból, ujrzał konkretną twarz, prawdziwe spojrzenie, nikczemny uśmiech osobnika, który chciwie wyciąga rękę po dwudziestopięcioletni banknot, choć wcześniej schował do kieszeni dziesięć tysięcy. Ale Danielowi zwidywało się również, a może przede wszystkim, jego własne oblicze, widział siebie, jak strzela do tamtego dwukrotnie, trzykrotnie, celując w pierś, w głowę. Filmowi gangsterzy mawiali chyba, że kulka w brzuch powoduje bardziej bolesną i powolną śmierć? To wszystko wiązało go w sposób dotąd mu nieznanymi i nieoczekiwanymi przez przemocą, słuszną zemstą i śmiercią, na co nigdy nie był przygotowany i do czego, jak dotąd sądził, nie byłby zdolny. Stanowiło drastyczne zastosowanie barbarzyńskiego prawa talionu, ustanowionego przez tego samego bezwzględnie Boga, który w czasie exodusu domagał się od Abrahama krwawej ofiary z syna. „Wówczas on odda życie za życie, oko za oko, ząb za ząb, rękę za rękę, nogę za nogę, oparzenie za oparzenie, ranę za ranę, siniec za siniec”¹². „Życie za życie”, powtórzył Daniel.

Pewnego wieczoru odwiedził Roberta Fariñasa i przyjaciel próbował sprowadzić go na ziemię. Roberto znał już od kilku lat urywki dziejów sefardyjskiego dziedzictwa, a potem, kiedy był świadkiem odnalezienia obrazu Rembrandta w salonie Mejiasa, nietrudno mu było skojarzyć fakty i odgadnąć zamiary przyjaciela. Zaczniemy od tego, przekonywał, że paradowanie po hawańskich ulicach z pistoletem w garści gwarantuje wejściówkę do kazamatu komisariatu policji. A wtedy okoliczność, że Daniel mieszka w sąsiedztwie Tomasza Sanabrii, natychmiast postawi go pod pręgierzem: jeżeli pomyślnie – a na pewno pomyślnie – że jest uzbrojony, ponieważ ma złe zamiary wobec tego reżimowego dostojnika, i jeżeli powiążą go z José Manuelem Bermudezem – a na pewno powiążą – nie wyjdzie z tego żywy. Nawet gdyby przesłanki nie świadczyły przeciw niemu, to wzięwszy pod uwagę obecną sytuację, padnie ofiarą przemocy albo tchórzostwa nadgorliwych policjantów, którzy stają się coraz bardziej bezwzględni, być może w przeczuciu, że zbliża się kres ich terroru i nieunikniony odwet. Wreszcie, ciągnął, nie ma nikogo gorzej przygotowanego niż Daniel, aby zmierzyć się z takim rekinem jak Román Mejías i wyrównać z nim rachunki (przez delikatność Roberto uciekł się do eufemizmu). Ale Polak był zdecydowany. Tu chodzi o jakiś wewnętrzny nakaz, silniejszy od głosu rozsądku, płynące gdzieś z głębi wołanie o prymarną sprawiedliwość, które go szukało i odnalazło w najmniej spodziewanej chwili, by uświadomić mu jasno i dobitnie, że prędzej czy później winni, z twarzą albo bez twarzy, muszą zapłacić za swoje czyny – powiedział tamtego wieczoru i to samo powtórzył Eliaszkowi wiele lat później. Albowiem (i to także powie kiedyś swojemu synowi) nie czuł wówczas nic poza budzącym się w jego duszy pierwotnym imperatywem, który nakazuje powstać zbuntowanemu Żydowi i odrzucić uległość, nakazuje pustynnemu nomadzie zemstę i wzdargę dla absurdu gestu nadstawiania drugiego policzka, przykazania, którego nie znali jego przodkowie. Nie za tę krzywdę, o nie: bliżej mu było w tej chwili do Żydówki Judyty, która mieczem bezlitośnie ścięła głowę Holofernesowi. A jego Holofernesem stał się Román Mejías.

Daniel Kamiński w pełni uświadomił sobie wyzwanie, przed jakim stoi, kiedy jeszcze tego samego dnia późnym wieczorem wrócił do domu, z pistoletem Pepe Manuela (smith & wesson kalibru 45) ukrytym za fotelem kierowcy. Podjeżdżając do skrzyżowania, na którym powinien skrócić w stronę bramy, omal nie stracił panowania nad kierownicą, gdy spostrzegł, że przed siedzibą szefa policji zamiast jednego radiowozu stoją dwa. Zdrętwiał cały ze strachu, a od salwy z karabinu ocalił go sierżant, który tego dnia dowodził wartą: rozpoznał auto sąsiada Tomasza Sanabrii i w ostatniej chwili powstrzymał kolegę przed oddaniem strzału. „Nie szarżuj tym swoim bacardfi!”¹³, krzyknął, na co Daniel ze skruszoną miną uśmiechnął się do niego przez szybę samochodu.

Owładnięty dojmującym, nikczemnym strachem, który sparaliżował go aż do trzewi, wpadł do domu i natychmiast popędził do łazienki, gdzie dłuższy czas zmagął się z biegunką. Dochodząc do siebie i ocierając pot z twarzy, zastanawiał się, jak wybrać odpowiedni moment, żeby powiadomić żonę o tym,

co zamierza zrobić, i nie znalazł żadnego. To był jego problem i powinien rozwiązać go sam. A konsekwencje? Czy to, co zamierza zrobić, nie będzie miało tragicznych następstw także dla Marty? Zrozumiał, że nie ma prawa narażać żony bez wyjaśnienia motywów swojej decyzji. Wreszcie wymyślił, a przynajmniej tak mu się wydawało, jak z tego wybrnąć.

Kiedy pił poranną kawę z mlekiem, mocząc w filizance kromki chrupiącego chleba z masłem, ośmielił się wyznać żonie, co zamierza. Marta Arnáez знаła historię obrazu, wiedziała też, że miał uratować rodziców i siostrę jej męża, kiedy „St. Louis” stał zacumowany w hawańskim porcie. Tak więc Daniel mógł ograniczyć się do wyjawienia, że płótno Rembrandta nie wróciło z rodzicami do Europy i od tego czasu znajduje się w Hawanie. A on już wie, w czyje ręce trafiło. Powiedział, że odebranie obrazu będzie skomplikowane, ale zrobi wszystko, by go odzyskać, bo należał do jego rodziny, unicestwionej przez najbardziej perwersyjną nienawiść. Zaskoczona tymi rewelacjami Marta zasypała męża pytaniami, lecz on wykręcał się od odpowiedzi i przede wszystkim próbował ją uspokoić. To będzie dość skomplikowane, ale bynajmniej nie niebezpieczne, skłamał. Starannie się wystrzegał, by nie zdradzić, gdzie widział obraz, i nie wymienił nazwiska obecnego właściciela. Ona jednak, wiedzioną złym przeczcuciem i znajomością kubańskich realiów, nalegała: „Danielu, na Boga, bądź ostrożny. Dobrze nam się powodzi i będzie jeszcze lepiej... Żaden obraz nie jest nam potrzebny do szczęścia... Proszę, zapomnij o tej nieszczęsnej sprawie”. „Nie chodzi mi o pieniądze, Marto, choć to płótno jest warte krocie. Jeśli uda mi się odzyskać obraz, nigdy go nie sprzedam, bo bardziej należy się stryjowi Josephowi niż mnie. Chodzi o sprawiedliwość, tylko o sprawiedliwość”, powiedział, a ona nie musiała już o nic pytać: wiedziała, co zamierza zrobić jej mąż. I modliła się do swojego Boga, żeby zmienił decyzję Daniela. Albo przynajmniej ustrzegł go od złego.

Daniel przygotowywał plan. „Tak się zwykle robi, prawda?”, będzie co chwila pytał syna, opowiadając mu o huraganie, który miał odmienić życie Kamińskich.

Odkąd ojciec zapoznał go z tą historią, Elias często się zastanawiał, czy ich losy potoczyłyby się inaczej, gdyby nie doszło do spotkania jego ojca z portretem sefardyjskiego Żyda z Holandii. Albowiem fakt, że Marta i Daniel w kwietniu 1958 roku wyjechali do USA, był jedynie zapowiedzią tego, co i tak musiało się wydarzyć. Tak czy owak była to droga, którą przetała jego rodzina: ośmiu na dziesięciu osiadłych na Kubie Żydów opuściło Wyspę w ciągu następnych dwóch lat albo, jak jego galisyjski teść i wielu innych emigrantów pochodzących z klasy średniej, w roku 1961, kiedy nabrali pewności, że ich interesy i sposób życia już nie tyle są zagrożone, ile skazane na śmierć. Czy niewierzący Daniel zostałby w Hawanie jak jego stryj Joseph, który wierzył w swojego Boga, a zarazem sympatyzował z poglądami żydowskich socjalistów? Czy też, jak jego przyjaciel Roberto, poświęciłby się rewolucyjnej pracy na rzecz nowego społeczeństwa, o czym marzyli od czasu, kiedy słuchali wystąpień radiowych i publicznych zniewalającego Eddy’ego Chibasa...? Znając materialne aspiracje ojca, Eliasznał, że to raczej niemożliwe.

Po strachliwej, nieudolnej i krótkiej obserwacji Ramona Mejiasa Daniel Kamiński zdecydował, że najlepiej będzie przyczać się wczesnym świtem przed domem sprzedajnego urzędnika i poczekać, aż podejdzie do wiaty, pod którą trzyma swoje auto, ponieważ w zamkniętym garażu spał lśniący aston martin jego żony, prawdopodobnie kupiony dzięki przekrętowi z fałszywymi paszportami. Razem z małżeństwem Mejiasów przebywały w willi dwie niezamężne córki oraz gosposia. Siostra, inwalidka, ciężko ranna w wypadku drogowym, w którym zginął jej mąż, mieszkała z trójką dzieci – dwiema dziewczynkami i chłopcem – w El Vedado i chociaż często odwiedzała brata, nigdy nie zostawała na noc.

Daniel był gotowy do działania, kiedy zobaczył swój plan niczym fabułę oglądanego na ekranie filmu. Mejías z miną chytrego cynika otwiera drzwi, trzymając w jednej ręce teczkę, a w drugiej kluczyki od samochodu. Właśnie zgasiły latarnie uliczne, ale marcowe słońce jeszcze nie wzeszło. Poza Mejiasem i gosposią wszyscy w domu śpią. Daniel zaparkuje auto trochę dalej i ukryty za rosnącym na

przeciwnie chodniku drzewem wianowłostki będzie wyczekiwał okazji. Gdy za szklanymi drzwiami zobaczy sylwetkę mężczyzny w ciemnym garniturze, przejdzie przez ulicę, wciąż pogrążoną w mroku. Parę sekund później mężczyzna wyjdzie, zostawiwszy uchylone drzwi, a wtedy on otworzy furtkę i pojeździe bez słowa. Mejias z pewnością go pozna i sądząc, że chodzi o jakiś nowy interes, zaczeka w progu. Daniel zbliży się na odległość paru metrów, wyjmie pistolet i być może wyjaśni mu powod swojej wizyty. Potem wystrzeli (nadal nie był pewien, w jaką część ciała będzie celował; chciał, by tamten cierpiał, ale z drugiej strony musiał działać skutecznie i nie dać temu padalcowi żadnych szans), ściągnie z szyi chustę, zasłoni nią twarz, ominie leżącego trupa, wejdzie do środka, zabierze obraz i wybiegnie z domu, nie ryzykując, że rozpozna go gospoia, jeśli zaalarmowana odgłosem strzałów pojawi się w salonie. O tak wczesnej porze – 6.45 – ulice tej willowej, luźno zabudowanej dzielnicy będą jeszcze puste. Zdejmie chustę, ale żeby nikt go nie rozpoznał, nasunie głęboko na oczy czapkę bejsbolisty z Marianao. W razie czego puści się biegiem, wskoczy do samochodu i szybko odjedzie. Na wszelki wypadek, gdyby coś poszło nie tak, będzie miał przy sobie paszport, płótno przeciwie zawsze może zwinąć i gdzieś ukryć. Kupi bilet lotniczy na jakąkolwiek trasę: Miami, Caracas, Meksyk, Madryt, Panama... Na koniec tego filmu, nakręconego w pośpiechu i po amatorsku, zobaczy siebie w fotelu na pokładzie samolotu, w chwili gdy opuszcza już Kubę i wznosi się ponad taflę morza, by osiągnąć wolność i spokój ducha.

Osiem dni po odebraniu pistoletu od Pepe Manuela Daniel Kamiński wstał z łóżka sześć po czwartej nad ranem i wyłączył budzik nastawiony na godzinę później. Był szesnasty marca 1958 roku. Tak jak przewidywał, w nocy prawie nie zmrzyzył oka z powodu napięcia, zdenerwowania i strachu. Po cichu, żeby nie obudzić Marty, poszedł do kuchni i przyrządził sobie kawę. Świt był rześki, ale nie chłodny. Daniel stał na małym patio przy domu, popijał kawę i czekał.

Po czterdziestu minutach, wcześniej, niż zaplanował, zaczął się ubierać, starając się pamiętać o każdym szczególe. Zawczasu kupił niebieskie drelichowe ogrodniczki i taką samą bluzę. Pod szelkami umieścił pistolet i sprawdził kilkakrotnie, czy łatwo po niego sięgnie. W tym stroju mógł uchodzić za malarza albo mechanika, tyle że w nowym, nieużywanym jeszcze kombinezonie. Zaparzył kolejną kawę i wrócił na patio. Zamknął oczy, a kiedy po raz setny odtworzył w myślach swój film, stwierdził, że nie musi nic zmieniać, z wyjątkiem zakończenia: nie odleci samolotem i nie zostawi Marty, czym naraziłby ją na represje. Musi stawić czoło wszelkim konsekwencjom swojego czynu. Ucieknie, jeśli to będzie konieczne i możliwe, ale z żoną.

Punktualnie o szóstej, zgodnie z planem, zajął do sypialni i przez chwilę obserwował śpiącą Martę. Nawet przez moment nie pomyślał, że być może widzi ją po raz ostatni. Nie zastanawiał się też, jak będzie wyglądało jego życie po egzekucji nikczemnego Mejiasa. Zabrał papierową torbę, do której schował garnitur, krawat i białą koszulę – swój strój roboczy w Minimaxie – wyszedł z domu i wsiadł do chevroleta.

Prowadził ostrożnie, przestrzegając wszystkich znaków drogowych i świateł. O szóstej trzydzieści dwie zamknął samochód, który zaparkował na niemal pustej Quinta D, jakieś sto pięćdziesiąt metrów od willi Mejiasa. Miał osiem minut na dojście do Séptima Avenida i zajęcie stanowiska za drzewem wianowłostki. Wszystko powinno rozegrać się w ciągu następnych dziesięciu minut. Teraz, medytując nad najtrudniejszą częścią przedsięwzięcia, miał w głowie tylko jedno: wrócić do auta z obrazem. Od tej chwili scenariusz zawierał kilka wariantów, zależnie od sytuacji. Jednak w każdej z tych wersji Daniel wracał do chevroleta z płótnem Rembrandta pod pachą, wymierzwszy akt sprawiedliwości skurwielowi, który oszukał jego bliskich, skazał ich na powrót do Europy, męczarnie i śmierć: wygłodniałych, przerażonych, z zawsonymi włosami, z zaropiałymi oczyma, z nogami uwalanymi kałem. „Życie za życie”, powtórzył, aby umocnić się w postanowieniu i po raz pierwszy od wielu lat zwrócić się do Przenajświętszego. „Daj mi siłę, o Panie”, wyszeptał.

Stwierdził, że lepiej zostawić samochód otwarty, i zawrócił. Stał przez chwilę, oddychając głęboko. Raz jeszcze sprawdził, czy ma w kieszeni czarną bejsbolówkę i czy jednym ruchem podciągnie na twarz zawiązaną na szyi chustę. Pospieszenie ruszył chodnikiem, lecz kiedy skręcił za róg ulicy, przy której stał dom Romana Mejiasa, zmroził go widok mrugających czerwonych i niebieskich świateł na Séptima Avenida. To mógł być tylko kogut policyjnego radiowozu. Wtedy Daniel Kamiński poczuł strach, najgłębszy, przejmujący, jakiego nigdy jeszcze nie doświadczył: paraliżujący, obmierzły, wszechogarniający. Nie wiedząc, co robić, odruchowo cofnął się do chevroleta, schował pistolet za fotel, zapalił silnik i ruszył niepewnie, po czym, już trochę spokojniejszy, podążył ulicą Quinta D, a potem skręcił w Avenida 70, oddalając się stamtąd czym prędzej.

Lęk i rozczarowanie zamglily mu oczy. Od owego popołudnia 31 maja 1939 roku, kiedy z pokładu motorówki po raz ostatni patrzył na rodziców i siostrę wychylających się przez reling „St. Louis”, Daniel Kamiński nigdy nie płakał. Tamtego przerażającego dnia był jeszcze dzieckiem – szloch nie pozwolił mu odezwać się do rodziców, do siostrzyczki, i odtąd Daniel nosił w sobie poczucie winy z powodu niewypowiedzianych słów. Teraz płakał, bo strach był silniejszy od jego poczucia sprawiedliwości, bo odczuwał ulgę: oto wydarzyło się coś, co powstrzymało go przed zabiciem człowieka obdarzonego twarzą, człowieka, który doprowadził do śmierci jego ukochanych. Płakać i znaleźć się jak najdalej od niebezpieczeństwa, tylko na to było go w tej chwili stać.

Eliasz Kamiński zapłakał również. Kilka niepowstrzymanych łez spłynęło mu po policzkach, zanim ów mastodont z kucykiem zdążył je otrzeć i poskromić następne. Wziął głęboki oddech i zaciągnął się przesyconym nikotyną dymem.

Mario Conde zachował dyskretne milczenie, tłumiąc w sobie niepokój. Park Santos Suárez, położony w połowie drogi między domem Tamary a dawną siedzibą Marty Arnáez i Daniela Kamińskiego, był rześkie oświetlony, co zakrawało na cud, zwłaszcza w mieście o ciemnych skwerach i mrocznych ulicach. Conde wybrał to miejsce, ponieważ znał, że jest odpowiednie na rozmowę. W pobliżu było liceum, w którym Marta Arnáez odbywała praktyki zawodowe i przygotowywała się do uzyskania dyplomu nauczycielki szkoły podstawowej, a poza tym Conde lubił te okolice, bo przypominały mu wiele przyjemnych chwil z przeszłości – tu, na tej samej ławce, w tym samym parku, często przesiadywał, wspominając wydarzenia z dawnych lat, wypełnione Kochaniem się i odkochiwaniem, fiestami, bejsbolem, pisarskimi złudzeniami i bolesną frustracją, zawsze w towarzystwie starych kumpli, w tym nieobecnego Andresa, który z krańców świata wysłał doń emisariusza, a teraz emisariusz ów, powstrzymując płacz, rozpamiętywał najbardziej wstrząsające chwile z kubańskiego życia swojego ojca, Daniela Kamińskiego, niegdyś polskiego Żyda, gotowego zabić człowieka.

Kiedy Eliasz się opanował, Conde niezwłocznie przystąpił do natarcia.

– Słuchaj, za cholerę nie rozumiem... Zabił w końcu czy nie zabił?

Eliasz spróbował się uśmiechnąć.

– Wybacz, że jestem taki płaczliwy... Ta główniana sprawa... No tak, dlatego tu przyjechałem.

– Nie masz za co przeproszać.

Malarz zaczerpnął tchu i po chwili znowu mógł mówić.

– Powiedział mi, że nie, że go nie zabił. Kiedy stamtąd uciekł, nie wiedząc jeszcze, co się wydarzyło, był tak przerażony, że wyrzucił pistolet Pepe Manuela do rzeki... Hm... do Almendares, jak nazwa tej drużyny bejsbolowej. Czuję, że nigdy nie będzie w stanie zamordować tego typu, tak mi powiedział. Znienawidził siebie za tchórzostwo...

– Ale co się stało z Mejiasem?

Eliasz wpatrywał się w Condego dłuższą chwilę, zanim odpowiedział.

– Tamtego ranka został zamordowany... Te migające światła, które widział ojciec, to rzeczywiście był wóz patrolowy, ponieważ godzinę wcześniej służąca znalazła w salonie zwłoki Mejiasa...

Conde pokręcił głową, jakby przecząc temu, co nieodgadnione, choć oczywiste, a co domaga się potwierdzenia.

– Nie, to niemożliwe...

– Też tak myślę... Myślałem – poprawił się Eliasz. – To samo myślał Roberto Fariñas. I moja matka... Kto uwierzy, że w dniu, w którym ojciec postanowił zabić tego skurwysyna, ktoś przyszedł godzinę wcześniej, zamordował go i ukradł Rembrandta? Czy ktokolwiek to lyknie?

– Ciężka sprawa...

– Coś mi tu jednak nie gra i to mnie zastanawia – stwierdził Eliasz. – Pistolet się zgadza, moja matka go widziała. Faktycznie, ojciec go miał... Jeżeli masz pistolet albo rewolwer, łatwiej ci chyba strzelić do faceta niż rzucić się na niego, obezwładnić i poderżnąć mu gardło? A gdyby był uzbrojony?

Conde drgnął, słysząc te pytania. Zdążył się już oswoić z logiką filmowej opowieści, zrodzonej w umyśle Daniela Kamińskiego i tak obrazowo odmalowanej słowami jego syna.

– Poderżnięto mu gardło?

– Tak. Niemal odcięto głowę... Wszędzie było mnóstwo krwi...

– Tak jak Judyta Holofernesowi?

Eliasz odwrócił wzrok, zanim odpowiedział.

– Tak, zupełnie jakby ojciec wyobraził sobie bunt Hebrajczyków pod wodzą Judyty, jakby wyobraził sobie, że ratuje swoją siostrę, także Judytę...

Conde gwałtownie potrząsnął głową.

– Za cholere, za dwie, nawet za trzy cholery, nie rozumiem... – Pomnożył liczbę „choler”, żeby wyrazić swoje zagubienie. Rzecz jasna, zdawał sobie sprawę, że syn gotów jest wytoczyć całą serię niezbyt logicznych argumentów, byle tylko zaprzeczyć, że jego rodzony ojciec zabił człowieka, choćby z uzasadnionych powodów. To się nijak nie trzymało kupy, zwłaszcza że ten sam syn z własnej woli przyjechał tu z najdalszego końca świata, żeby rozgrzebać to gówna przed nieznanym i z niewiadomych powodów szukać u niego wsparcia, którego najwyraźniej wcale nie potrzebuje, ponieważ wierzy ojcu albo udaje, że wierzy. I jeszcze gotów jest słono zapłacić za to niepotrzebne wsparcie. Otóż nie... pieniądze i apanaże nie grają żadnej roli w tym teatrze prawdziwego życia, w którym dla spotęgowania efektu wkraczają na scenę biblijne mity i malarstwo barokowe, a także domniemana obojętność wobec dwóch milionów dolarów, bo tyle będzie warte odzyskanie spornego obrazu. – No więc wytłumacz dokładnie, co się stało, bo już łeb mi pęka...

– Mejiasowi związano ręce na plecach, wetknięto chustkę w usta i zdarto z niego ubranie. Potem zamordowano go jednym potężnym ciosem w szyję. Przedtem pocięto mu ramiona, brzuch i niżej... To było coś potwornego, morze krwi... Najpierw mówiono, że to rewolucjoniści, bo Mejias był wysokim funkcjonariuszem rządu. Ale sposób, w jaki go uśmiercono... bardziej pasował do jakiegoś złodzieja, który najpierw skępował ofiarę, torturował, żeby wydobyć z niej, gdzie trzyma pieniądze, a potem zamordował, bo może coś go spłoszyło albo bał się, że Mejias go rozpozna. Większość złodziei nie planuje zbrodni, zabijają tylko wtedy, gdy nie mają innego wyjścia... Ale to, co zrobili z Mejiasem... nawet jego penis... Jasne, że władzom i policji było wygodniej doszukiwać się motywów politycznych, zemsty rewolucjonistów zdolnych do każdego bestialstwa. Z jakichś powodów właściwie przemilczano sprawę skradzionego obrazu. Taką wersję wydarzeń rozpowszechniono.

– Muszę zapytać Królika, czy zna tę sprawę. Ja nic o niej nie słyszałem...

– Mój ojciec wprawdzie nie zamordował Mejiasa – ciągnął Eliasz – ale przynajmniej wiedział, że ten incydent nie miał żadnego związku z ukrywającymi się w mieście bojownikami. Gdyby zamierzali kogoś zabić, wybraliby sobie inny cel, a nie człowieka, który w końcu okazał się pomocny, jak w sprawie Pepe Manuela. Chyba żeby kogoś oszukał, prawda? Problem w tym, że nie znaleziono żadnych śladów ani poszlak i nigdy nie wyszło na jaw, kto go zabił. Ojciec upierał się, że pewnie zrobił to jakiś złodziej, złapany przez Mejiasa na gorącym uczynku...

– Tak, brzmi sensownie, czemu nie. Ale szczerze mówiąc, ja w to nie wierzę.

– Roberto Fariñas chyba też nie wierzył. Jak już mówiłem, on również wiedział, że to nie byli rewolucjoniści. Przecież był jednym z nich, prawda? Dwa miesiące później wstąpił do oddziału wywrotowców Akcja i Sabotaż, jak sami się nazwali.

– Tak, wiem... A twoja matka?

– A co miała powiedzieć? Twierdziła, że to z pewnością byli złodzieje. Musiała robić wrażenie przekonanej... ale tak naprawdę miała wątpliwości.

– A ty co o tym sądzisz? Proszę, mów szczerze... – Conde musiał dojść do istoty rzeczy, znaleźć jakiś punkt oparcia, żeby posunąć się dalej.

– Nie znam wszystkich faktów, więc nie mogę jasno ocenić sytuacji. Znam tylko wersję, jaką przedstawił mi ojciec... Jeszcze gdy byłem mały, czułem, że w jego kubańskiej przeszłości są jakieś ciemne

plamy, ale nie miałem pojęcia, o co mogło chodzić. Aż pewnego dnia, jakieś dwadzieścia lat temu, w końcu wyznał mi wszystko. Bo taką miał potrzebę. Albo przestraszył się rakiem prostaty... W tej opowieści o wyjeździe rodziców z Kuby w pięćdziesiątym ósmym zawsze było coś dziwnego, ale do głowy by mi nie przyszło przyjechać tu i wypyttywać Roberta Fariñas, czy wie coś o przeszłości mojego ojca, który... przez lata uważałem, że opuścił Kubę z powodu Pepe Manuela.

– A co się stało z Pepe Manuelem?

Malarz spojrział na Condego, jakby zamierzał przygotować go na usłyszenie prawdy.

– Tego samego dnia, kiedy zamordowano Mejiasa, Pepe Manuel zabił się w Miami...

Conde poczuł, że jego myśli cofają się o dwa kroki, jakby w obawie przed spodziewanym ciosem.

– Zabił się? Popenił samobójstwo?

– Nie, nie, to był wypadek z naładowanym rewolwerem. Przynajmniej tak się uważa. Kula przebiła mu krtań.

– Tego samego dnia...?

– Tego samego dnia – potwierdził Eliasz Kamiński. – O świcie... niemal o tej samej godzinie.

Conde, który zupełnie zapomniał o paleniu, sięgnął po papierosa. Gubił się w natłoku przypadków, sprzeczności, pochopnych lub naciąganych wniosków płynących z tej opowieści. Czuł, jak w jego nieszczęsnym, podstarzałym, wodnistym mózgu gwałtownie buzują myśli.

– A ten cholerny obraz? – zapytał w ostatnim przebłytku intelektu.

– Nie mam pojęcia, i to jest największa zagadka tej intrygi. Bo popatrz: gdyby ojciec zabił Mejiasa i zabrał płótno... to gdzie, u diabła, dotąd by się podziewało? Jak to możliwe, że ktoś inny zawiózł je do Londynu i wystawił na sprzedaż? Jak ten ktoś zdobył certyfikaty autentyczności, które mój dziadek załatwił w Berlinie w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym i musiał mieć przy sobie na pokładzie „St. Louis”?

– Powiedziałeś, że nie wspomniano o kradzieży obrazu. Żeby stworzyć pozory politycznej zemsty?

– Ojciec twierdził, że o rabunku właściwie nie mówiono. Może istotnie po to, żeby podtrzymać hipotezę zemsty. Rzeczywiście: przejrzałem informacje o zabójstwie Mejiasa w gazetach z pięćdziesiątego ósmego. Pierwszego dnia pisali o zaginionym obrazie, ale nie wspomnieli, że chodziło o Rembrandta. A kradzież Rembrandta to zawsze głośna sprawa...

– Nie wiadomo więc, czy zabójca Mejiasa zabrał obraz?

– Sądzę, że raczej nie... Rembrandta nikt nie ukradł.

Conde skrzywił się, pokonany przez natłok sprzeczności.

– Eliaszu, wsiądźmy teraz do twojego samochodu, zawieź mnie do domu, a sam pojedź dalej, żebym mógł to wszystko przemyśleć. Zdajesz sobie sprawę, jak cholernie zagmatwana jest opowieść twojego ojca? Że nic tam nie trzyma się kupy?

– Nie zapominaj, że na dobre czy na złe, ale jestem Żydem... Nie płacę ci stu dolarów dziennie za wsluchiwanie głupot. Musisz mi pomóc, skoro to takie zagmatwane.

– Jasne... Dobra, zapytam jeszcze raz: czego dokładnie chcesz się dowiedzieć? Wybacz, że nalegam, ale czy to, czego się dowiesz, umożliwi ci odzyskanie obrazu wartego ponad milion dwieście tysięcy dolarów?

Spojrzenie Eliasza Kamińskiego powędrowało w głąb parku, przez gąszcz liści pseudoszlachetnych wawrzynów i porowate pnie kazuaryn. Nawet w tak zacienionym miejscu wrześnie skwar spowijał ich swoim gorącym tchnieniem. Conde spostrzegł, że czoło malarza splywa potem.

– Muszę wiedzieć, czy ojciec mnie oszukał, mówiąc, że nie zabił tego człowieka, czy jednak to zrobił, co przecież potrafiłbym zrozumieć. Wiem, że niełatwo wyznać, że się kogoś zamordowało, nawet jeśli był to taki skurwiel jak Mejias. Ale wiem też, że matka zmarła w przekonaniu, że go zabił. Sama mi to powiedziała na pogrzebie ojca... Jego przyjaciel Roberto Fariñas też był o tym przekonany. Ale ja chcę wątpić. Nie, inaczej, chcę mu wierzyć. Zwłaszcza od chwili, gdy ten Rembrandt pojawił się

w Londynie. Bo jeśli ojciec zabił, musiał zabrać obraz. Po prostu musiał... To była pamiątka rodzinna, prawda? Akt sprawiedliwości... Ale obraz wziął ktoś inny i teraz uważam, że morderca Mejiasa, kimkolwiek jest, nie zabrał wtedy oryginału... Długo nad tym myślałem i gotów jestem uwierzyć, że wiszący w salonie portret został zabrany...

– W końcu zabrany czy niezabrany? – krzyknął zniecierpliwiony Conde.

– Tak, sądzę, że go zabrali, ale nie oryginał, jak podejrzewał Roberto. Wszystkie obrazy w salonie Mejiasa były znakomitymi kopiami, więc ten, kto zabrał portret, myślał, że to oryginał. Ale oryginał zapewne dobrze ukryto. Rozumiesz już? Jeśli tak było, rodzina wolała przemilczeć kradzież i nie wspominać nawet słówkiem o Rembrandcie, tym bardziej że policja obstawała przy politycznych motywach zbrodni. Poza tym to by tłumaczyło dalsze losy oryginału: ktoś z rodziny, być może jedna z córek Mejiasa, przemycił płótno z Kuby razem z certyfikatami dziadka. Potem ten, kto wywiózł obraz, sprzedał go komuś, być może tej samej osobie, która wystawiła naszego Rembrandta na londyńskiej aukcji. Czy to przypadek, że wszystko stało się po śmierci moich rodziców? Dwa miesiące temu byłem w Londynie i widziałem kopie certyfikatów. Nie ma wątpliwości, że to ten sam dokument, który dziadek Izajasz dostał w dwudziestym ósmym w Berlinie, ten sam dokument, który Mejias pokazał Żydowi Hajdú, właścicielowi zakładu fotograficznego Rembrandt... Posłuchaj, ja chcę po prostu poznać prawdę o ojcu, jakkolwiek by ta prawda była. Chcę wiedzieć, kto przywłaszczył sobie cenne płótno, które mogło uratować moją rodzinę, i wzbogacił się na nim albo zamierza się wzbogacić. A nadto, jeżeli to możliwe, chcę, by sprawiedliwości stało się zadość, i chcę odzyskać obraz, który od trzystu lat należy do Kamińskich. Nie mam wątpliwości, że klucz do tej historii znajduje się tu, na Kubie. I liczę, że ty mi w tym pomożesz... Nie chodzi o to, żeby odzyskać Rembrandta. Chcę odzyskać pamięć o ojcu, w imię sprawiedliwości...

Conde zgasił papierosa na cementowej podmurówce. Odetchnął głęboko i skryty w nieprzenikniomych ciemnościach zapatrzył się na skraj parku. Miał wrażenie, że w istocie spogląda w głąb własnego umysłu, gdzie dostrzega jedynie rozwiewające się w mroku oderwane strzępki faktów.

– Dlaczego nigdy nie przyjeżdżałeś na Wyspę, skoro masz w sobie tyle z Kubańczyka?

Elias uśmiechnął się po raz pierwszy od dłuższego czasu.

– Właśnie dlatego... Mam zbyt dużo wcieleń. Wyjechać na Kubę nie jest łatwo, więc ciągle odkładałem decyzję – powiedział i już bez uśmiechu dodał: – A także dlatego, że aż do teraz wolałem nie brać się w historię, którą opowiedział mi ojciec. Ale wiadomość o aukcji...

– To akurat rozumiem – stwierdził Conde. – Więc pomóż mi zrozumieć jeszcze jedno. Załóżmy, że twój ojciec nie zabił Mejiasa... zgoda? To dlaczego miesiąc później uciekł z Kuby?

– Ze strachu... Ten sam strach kazał mu wyrzucić pistolet. Ojciec powiedział mi, że na wieść o śmierci Mejiasa mało nie oszalał. Ze strachu. Czuł się jak skończony tchórz... Wtedy zaczął się zastanawiać, czy o czymś nie zapomniał. Na przykład stary Hajdú mógłby coś powiedzieć o jego zainteresowaniu obrazem. Albo zadenuncjuje go Roberto, który o wszystkim wiedział... To były domysły tak absurdalne, że matka uwierzyła, iż uciekli z Kuby, bo jej mąż naprawdę zamordował człowieka.

– Ja bym pomyślał to samo...

– To dlaczego nie zabrał obrazu?

Coś błysnęło w głowie Condego i wypalił:

– A jeżeli zabił Mejiasa i zabrał kopię, a potem ją wyrzucił, kiedy się zorientował, że to nie jest oryginał?

– Też o tym myślałem... W takim razie dlaczego użył noża zamiast pistoletu?

– Oko za oko, ząb za ząb? Żeby tamten cierpiał... Żeby powtórzyć czyn Judyty... – żonglował możliwościami Conde.

– Więc po co mi o wszystkim opowiedział? Przecież mógł milczeć? Kłamał dla sztuki? Nikt go nie zmuszał do mówienia.

Elias Kamiński, chociaż zagoniony do narożnika, nie zamierzał się poddać. Conde zdecydował się na gong przerywający starcie.

– Eliaszu, ty po prostu chcesz uspokoić własne sumienie, chcesz, żeby ktoś powęszył tu i ówdzie, a potem ci powiedział, że twój ojciec nikogo nie zarząnął.

Malarz energicznie pokręcił głową.

– Nie, Conde, mylisz się. Właściwie jestem przekonany, że to nie on zabił Mejjasa. Ale muszę mieć absolutną pewność i chcę poznać losy obrazu Rembrandta. Nie mogę siedzieć z założonymi rękoma, kiedy ktoś zostaje milionerem kosztem życia trzech członków mojej rodziny... A gdyby w trakcie dociekania prawdy okazało się, że ojciec popełnił zbrodnię, to też będzie ważne dla, jak to ująłeś, spokoju mojego sumienia. Bo wtedy zrozumieć. I na pewno mu przebaczę, bez względu na potworność jego czynu. Ale nigdy bym mu nie przebaczył, że oszukał matkę i mnie.

Conde westchnął.

– Sam mówiłeś, że w pewnych sprawach lepiej się nie babrać...

– Ale musimy się babrać. Jeśli niczego się nie dogrzebiemy, tym lepiej. A jeśli się dogrzebiemy, pieprzyć to... Chcę, potrzebuję prawdy. Dlatego ci to wszystko opowiedziałem.

– Potrzebujesz prawdy? Prawda jest taka, że teraz sam nie wiem, jak mógłbym pomóc... A jak odwiemy się czegoś i to pozwoli ci odzyskać Rembrandta, co z nim zrobisz?

Eliasz Kamiński spojrzął mu prosto w oczy.

– Jeżeli odzyskam obraz, chyba podaruję go jakiemuś muzeum. Może temu w Berlinie, poświęconemu ofiarom Holokaustu. Przez pamięć dla moich dziadków i mojej ciotki. Albo przekażę do domu Rembrandta, a raczej do muzeum żydowskiego w Amsterdamie, przez pamięć dla tego sefardyjczyka, który zabrał płótno do Polski, ale nikt nie wie, kim był i jak, do diabła, uwikłał się w masakrę Żydów na tamtych ziemiach... Jeszcze nie wiem, co zrobię, bo mało prawdopodobne, żebym odzyskał ten portret. Ale tak właśnie bym postąpił. Nie chcę go zatrzymać i nie chcę za niego żadnych pieniędzy, bez względu na sumę...

– Brzmi nieźle – orzekł Conde, zawsze skory do romantycznych i bezużytecznych rozwiązań, gdy przez chwilę zastanowił się nad marzeniami Eliasza i możliwym przeznaczeniem owego portretu młodego Żyda, nazbyt podobnego do chrześcijańskiego Mesjasza. – Zobaczymy, co da się zrobić...

– A więc pomożesz mi?

– Chcesz poznać prawdę?

– O ojcu?

– No tak, prawda o twoim ojcu... Ale ja miałem na myśli swoją własną prawdę.

– To powiedz...

– A więc połowa mojej własnej prawdy – zaczęła Conde – jest taka, że nie mam nic lepszego do roboty, niż tracić czas, próbując doszukać się sensu w tej historii, i to mi się podoba. Druga połowa jest taka, że zapłacisz mi za to dużo pieniędzy, a wzięwszy pod uwagę sytuację w tym kraju i moją własną, to nie bagatela. Trzecia połowa zaś jest taka, że cię lubię. Te trzy połówki składają się na jedną całkiem sporą, niczego sobie prawdę. Z perspektywą rozwojową, jeśli spełnią się przeczucia i do czegoś dojdziemy... Ale trzeba się będzie trochę natrudzić, nie? À propos, możesz mi dać jakąś zaliczkę? Problem w tym, że u mnie kicha i *fuácata*.

– *Fuácata*?

– Kiepsko z pieniędzmi, dno, nędza... Tak, po prostu *fuácata*. Jak u Rembrandta, kiedy mu zabrali dom z całym dobytkiem...

Rankiem 14 czerwca 1642 roku Amsterdam cieszył jednym z tych wspaniałych dni swojego krótkiego i niezbyt upalnego lata. Srebrzyste światło, tak upragnione przez malarzy, nasycone refleksami słońca w morzu oraz kanałach przecinających i otaczających miasto, napawało się spotkaniem z ogrodami, donicami i skwerami, gdzie zachęcone ciepłem i blaskiem dumnie rozkwitały drogocenne tuli-

pany, które odkąd pojawiły się w tym najzamożniejszym mieście świata, konkurowały ze sobą kształtem i barwą.

Tego jednak dnia Rembrandt van Rijn, pochodzący z Lejdy malarz i od roku 1634 członek szacownej Gildii Świętego Łukasza, nie miał nastroju do podziwiania cudownego spektaklu światła i odcieni. Odziany w czarny surdut, buty z cholewami i ciemny kapeluszy przemierzał drogę od swojego domu pod numerem 4 przy Jodenbreetstraat, Szerokiej Ulicy Żydowskiej, do gotyckiej Oude Kerk, za placikiem i targiem Waag. Szedł w kondukcje pogrzebowym za skromną karocą, w której spoczywały doczesne szczątki jego żony i nieodłącznej muzy, Saskii van Uylenburgh. Obok malarza kroczyli na przedzie jego trzej najlepsi przyjaciele, jakby dla podkreślenia niekonwencjonalnej osobowości artysty: pierwszym z nich był Cornelius Anslø, kalwiński predykant w sekcie menonitów, drugim Menasze Ben Izrael, były żydowski rabin, trzecim – katolik Philips Vingboons, wzięty architekt amsterdamski.

Gdy po żałobnych modlitwach grabarze złożyli ciało Saskii van Uylenburgh w krypcie Oude Kerk, Rembrandt van Rijn zaszlochał rozpaczliwie. Jego żonę zabiła przewlekła, wyniszczająca choroba, a choć wiedział, że gruźlica jest nieuleczalna, przez wiele miesięcy wierzył, że wydarzy się coś na kształt cudu: nieoczekiwane uzdrowienie za sprawą boskiej woli i młodości Saskii. Ale przed dwoma dniami nadszedł kres, także nadziei i wiary w cuda, jemu zaś pozostały jedynie lzy rozpacz.

Tego samego popołudnia, kiedy w samotności swojej pracowni przyglądał się ogromnemu, niezwykłemu portretowi postaci z *Kompanii kapitana Cocqa*, dziełu, któremu brakowało jedynie kilku pociągnięć pędzlem, nim ozdobi pełne przepychu komnaty Kloveniersdoelen, siedziby szacownego bractwa arkebuzerów, malarz poprzysiął sobie, że już nigdy nie zapłaci. Przenigdy. Istniał bowiem jeden jedyny powód, który mógłby kiedyś zmusić go do szłochu: śmierć syna, Titusa, ostatniego ocalałego z urodzonych przez Saskię czworga dzieci. Titus nie może umrzeć, przynajmniej przed nim, bo takie jest prawo życia. A jeśli z wyroku Niebios będzie świadkiem śmierci Titusa, nie zapłaci, tylko prze-klinie Boga.

Człowiek ów, natchniony geniuszem, obdarzony duchem niezależności, niestrudzony poszukiwacz ludzkiej i artystycznej prawdy, mimo że doświadczał na drodze życia nazbyt wielu klęsk i rozczarowań, przez długie lata dochowywał tej przysięgi, aż do czasu, gdy okrutny los uderzył weń ponownie. Wówczas Rembrandt van Rijn, wyczerpany i bezsilny, nie był już w stanie dotrzymać przyrzeczenia. Nim umrze, zapłaci jeszcze czterokrotnie.

Zapłaci pewnego wieczoru w 1656 roku, kiedy to pokonany przez wierzycieli będzie zmuszony do ogłoszenia bankructwa i opuszczenia ukochanego domu pod numerem 4 przy Jodenbreetstraat, a członkowie Sądu Upadłościowego dokonają inwentaryzacji całego jego dobytku, dzieł, przedmiotów, wspomnień, zbieranych przez lata, by teraz trafić na publiczną aukcję i spłacić zaciągnięte przezeń długi.

Ponownie zapłaci w nocy w roku 1661, kiedy władarze z amsterdamskiego ratusza nie zapłacą ani grosza za zamówione dzieło i uznawszy je za niestosowne, zbyt surowe, wręcz niedokończone, odrzuca obraz *Sprzysiężenie Claudiusa Civilisa*, arcydzieło, które uwiecznia mityczne narodziny państwa w czasach Imperium Rzymskiego i jako jedyne wyprzedza o dwa stulecia malarstwo siedemnastowieczne. Skazany na brak zamówień, uznany za niemodnego i topornego artystę, przez pięć lat otrzymał tylko dwa zlecenia: *Lekcję anatomii doktora Deymana* (kiepska kopia dzieła dedykowanego doktorowi Tulpowi) i *Syndyków cechu sukienników*. Dlatego też, pragnąc cokolwiek zarobić na odrzuconym obrazie, malarz powziął straszną decyzję pokrojenia tego wspaniałego płótna, gotów sprzedać przynajmniej fragment, na którym za kryształowym kielichem widnieją trzy fantasmagoryczne postaci o ciemnych, jakby zaślepionych oczach: ten jedyny ocalały skrawek wystarczyłby, żeby unieśmiertnić jego twórcę. Jakiegokolwiek twórcę.

Po raz trzeci zapłaci 24 lipca 1663 roku, kiedy do grobu w Westerkerk Hendrickje Stoffels złoży kobietę, która była mu towarzyszką przez blisko dwadzieścia lat i obdarzyła go miłością, córką i natchnieniem, kobietę, którą uwiecznił na swoich najpiękniejszych i najbardziej śmiałych obrazach, ale przede wszystkim to ona w cudowny sposób sprawiła, że znów mógł często się śmiać, co wcześniej wydawało mu się niemożliwe.

A gdy nie będzie miał już nawet sił, by przekląć Boga, zapłacze jeszcze raz, 4 września 1668, kiedy wbrew prawom natury stanie się świadkiem śmierci syna Titusa, któremu zabrakło piętnastu dni, by osiągnąć wiek dwudziestu siedmiu lat. Tak bardzo rozpaczął po tej stracie, że zaledwie rok później sam także zmarł, lamentując nad makabrycznym odwlekaniem owej chwili przez Stwórcę. Gdyby bowiem istniała boska sprawiedliwość, powinna go była zabrać parę lat wcześniej, by oszczędzić mu przynajmniej dwóch powodów do przelania łez.

O ile najbardziej druzgoczącymi wydarzeniami, które pobudziły go do płaczu od czasu jego przysięgi w roku 1642, były śmierci tkliwej Hendrickje i ukochanego Titusa, o tyle epizodem najbardziej dramatycznym okazało się okrojenie zapewne najbardziej wybuchowego i śmiałego spośród jego dzieł (bardziej, znacznie bardziej nawet niż *Kompania kapitana Cocqa*), które stało się jednym z najsławniejszych płócien w dziejach sztuki światowej, znanym pod mylącą nazwą *Straż nocna*. Tego bowiem dnia Rembrandt oplakiwał także śmierć swojej wolności.

Z kolei najbardziej prozaicznym, małostkowym, napastliwym i żalonym motywem płaczu było wyrzucenie artysty z jego własnego domu za niespłacone długi, a także unicestwienie jego pamięci przez konfiskatę drobnych i niezliczonych skarbów towarzyszących mu przez całe życie: egzotycznych przedmiotów z wszelkich zakątków znanego świata, kamieni, muszli, map i pamiętek, które z sobie tylko znanych powodów gromadził latami i które raz zagościwszy pod jego dachem, już tam zostały. Musiał ponadto wystawić na sprzedaż kolekcję rycin i akwafort Andrei Mantegni, Carraccich, Guida Reniego i José de Ribery, sztychy i ksylografie Martina Schongauera, Lucasa Cranacha starszego, Albrechta Dürera, Lucasa van Leyden, Hendricka Goltziusa, Maertena van Heemskerck oraz współczesnych malarzy flamandzkich, jak Rubens, Anton van Dyck i Jacob Jordaens; stracił księgę drzeworytów Tycjana i trzy inkunabuły wydane przez Rafaela, a nadto rozmaite albumy najbardziej znanych nordyckich grawerów. Sępom z Sądu Upadłościowego zmuszony był przekazać nawet własne tafelety, kajety ze szkicami, tak popularne wśród holenderskich artystów.

– Pisząc jego biografowie, iż Rembrandt, odkryty opończą, żeby zachować incognito, wziął udział w pierwszej publicznej licytacji swojego dobytku. Twierdzą, że siedząc w kącie głównej sali De Keizer-skroon przy Kalverstraat, śledził apatyczną licytację przedmiotów, które stanowiły część jego życia, i chociaż miał aż nadto powodów, by zapłakać, tym razem zdołał powstrzymać łzy... Nieszczęśnik spadł na samo dno, po prostu *fućcata*... Prawdziwym kurewstwem jest to, że za dzisiejszą cenę jednego tylko tafeletu mógłby kupić pięć takich domów jak ten, który stracił. – Eliasz Kamiński szarpnął parę razy za związane w kucyk włosy, uruchomił silnik wynajętego auta i ruszył mrocznymi ulicami Hawany, miasta, w którym jego ojciec był taki szczęśliwy i taki udęczony.

Kiedy przed laty po raz ostatni usiedli w dawnym gabinecie doktora Valdemiry, żeby napić się whisky, opróżnili do dna butelkę ballantine's reserve, którą – o czym jeszcze nie wiedzieli – zostawił im w spadku zmarły już Rafael Morín, dotąd uznawany za żyjącego, a co za tym idzie – także za legalnego małżonka Tamary. Dębowy zapach i złocisty odcień trunku przełamał ostatnie opory kobiety i policyjne zahamowania męczyzny, wzbudzając u obojga nieodparte pożądanie. Czując w ustach smak ballantine's, poszli do łóżka, by on mógł spełnić przesładujące go od dawna erotyczne marzenia, a ona – uwolnić się od przygniatającej zaleźności małżeńskiej. Oboje mieli przeczucie, że ich kopulacja, nazbyt nerwowa mimo wypitego alkoholu, była czymś więcej niż aktem fizycznym. Miała ziścić i ziściła nadzieję na duchowe wyzwolenie, które przypięczętowała wiadomość o śmierci męża Tamary¹⁴.

Od tej chwili ich życie uległo zmianie, w różnym znaczeniu tego słowa: jedno wyzwolenie pociągnęło za sobą następne i kiedy ona odnalazła wreszcie samą siebie, stając się osobą niezależną, wolną od despotycznego cienia Rafaela Morina, on oddalał się coraz bardziej od dawnego siebie, kogoś, kim był przez nazbyt wiele lat, i dokładnie dziewięć miesięcy później narodził się na nowo, gdy wreszcie porzucił zawód policjanta i wszystko, co się z tym wiązało.

Od tamtego czasu zmienił się również kraj, w którym żyli, i to zmienił się zasadniczo. Wraz z upadkiem murów, a nawet zaprzyjaźnionych bratnich państw, załamała się iluzja stabilizacji oraz świetlanej przyszłości i wnet nadeszły mroczne, plugawe lata dziewięćdziesiąte, a wielkie ambicje ograniczyły się do przetrwania za wszelką cenę. Zbiorowe dno, narodowa *fućcata*... Późniejsze ożywienie, idące jak po grudzie, nie sprawiło, że kraj na powrót stał się tym, czym pragnął być. Oni też. Życie na Wyspie było z każdym dniem cięższe i trudniejsze, a w nich narastały rozczarowanie i cynizm. Starzeli się, coraz bardziej znużeni. Lecz przede wszystkim zmianie uległa perspektywa: to, jak kraj postrzegali ich, i to, jak oni postrzegali kraj. Przekonali się na wiele sposobów, że opiekuńcze niebo, w które wierzyli, dla którego pracowali, dla którego godzili się na niedostatki i zakazy w imię lepszej przyszłości, już runęło i wbrew obietnicom nie mogło ich dalej chronić – wówczas zdystansowali się od otaczającego ich świata, rozdartego i obcego, a zajęli się (tak to nazwijmy) własnym życiem i losem, swoim oraz ludzi im najbliższych. Proces ów, na pierwszy rzut oka traumatyczny i bolesny, był w istocie obustronnym wyzwoleniem. Dla nich zaś oznaczał pewność, że są wprawdzie znacznie bardziej osamotnieni, ale w zamian zyskują poczucie niezależności i samodzielności. Teraz sami mogli decydować o swoim ubóstwie. I braku nadziei na przyszłość, po której można było się spodziewać jedynie najgorszego.

Trwająca przez te wszystkie lata, niemal dwadzieścia, walka o przetrwanie była tak wyczerpująca, że nieraz musieli przedzierać się ostatkiem sił przez mętną pianę powszedniego dnia. I kolejnych dni. I znów od nowa. Ta wojna na śmierć i życie zahartowała ich, kazała zapomnieć o regulach, uprzejmościach, rytuałach. Nie było ani czasu, ani miejsca, ani możliwości, by ulegać urokom nostalgii, musieli jakoś sobie radzić z Kryzysem, o którym Conde tak właśnie mawiał, zawsze wielką literą. Często jednak, gdy miało już zatriumfować zapomnienie, pamięć, ze swoją niezwykłą zdolnością do przetrwania, objawiała się nagle, powiewając białą flagą.

Nim Conde dotarł do domu Tamary, nadłożył drogi, by uświetnić zdolność pamięci do przetrwania i odtworzenia założycielskiego mitu. Za zarobione pieniądze kupił kwadratową butelkę whisky ze skromną czarną etykietą. Z butelką w jednej ręce oraz tacą z eleganckimi szklankami i lodem w drugiej, udał się do dawnego gabinetu ojca Tamary, gdzie z miłym dla ucha pomrukiem pracował na pełnych obrotach wentylator, zadowolony ze zwycięstwa nad skwarem wrześnieowego wieczoru.

Usadowieni w skórzanych, mocno już zużytych fotelach stojących przy kominku, który nigdy nie widział ognia, Mario Conde i Tamara Valdemira cieszyli się drinkami, jakby nie upłynęło dwadzieścia lat od ostatniego razu, gdy siedzieli w tym samym miejscu, także popijając whisky, choć dziś byli już świadomi, jak długi czas dzieli ich od owej wyzwoleniczej nocy. I stwierdzili, że są szczęśliwi mimo wszelkich przeciwności losu, bo nadal tu są i nadal razem.

Za oknami padał deszcz, niebo przecinały błyskawice. Bezpieczni od burzliwej aury, pili w milczeniu, jakby nie mieli sobie nic do powiedzenia, chociaż w rzeczywistości nie musieli nic mówić, bo wszystko zostało już powiedziane. Minione lata i kolejne ciosy nauczyły ich cieszyć się w pełni chwilą, w której możliwe jest odczuwanie przyjemności, a potem gorączkowo chować to ulotne wrażenie radości życia w skarbonce trwałych zysków, w nieustannie narażonym na stłuczenie półprzezroczystym zbiorniku pamięci, na nadchodzące złe czasy, kiedy będzie coraz więcej powodów do płaczu. Byli świadomi, że to ryzyko wciąż czai się w pobliżu. Ale teraz siedzieli tutaj, beztrąsko popijając whisky, dobrowolnie zamknięci w murach wzniesionych po to, by chronić wszystko, co w ich życiu najlepsze, ich jedyny, niezbywalny majątek.

Po kolejnym łyku popatrzyli sobie głęboko w oczy, jakby chcieli dostrzec, co kryje się za źrenicami tej drugiej osoby, w jakimś odległym zakamarku świadomości. Jakby wszystko było w oczach: to, jak się nawzajem widzą. Odsuwając od siebie góry frustracji, morza rozczarowań, pustynie utraty, Conde odnalazł w tamtych oczach kojącą i opiekuńczą oazę miłości, którą ofiarowano mu bez stawiania żadnych warunków. A Tamara dojrzała wdzięczność mężczyzny i jego niewzruszone zadziwienie wobec pewności, że należy do niego coś bezcennego, coś, co go dopełnia.

Trzymając się za ręce, jak dziewiętnaście lat wcześniej, weszli po schodach do sypialni i z mniejszym pośpiechem, z większymi przerwami, znaleźli azyl w miłym poczuciu bezpieczeństwa.

Na dworze świat rozpadał się w potokach deszczu i wyładowaniach atmosferycznych, w chaosie i niepewności, które zawsze przepowiadają nadejście Apokalipsy. A może Mesjasza.

Daniel Kamiński musiał czekać do kwietnia 1988 roku, by ziściło się najtrwalsze i wypieszczone marzenie jego życia, uwiecznione na pewnej fotografii.

Ściśle rzecz biorąc, Daniel nigdy nie należał do ludzi, których można by uznać za marzycieli. Jego syn Eliasz zawsze uważał, że wprost przeciwnie: to pragmatyk do szpiku kości, gotów podejmować stosowne decyzje zależnie od sytuacji, człowiek obdarzony wzorcową wręcz umiejętnością przystosowania się do otoczenia – zaleta, która sprawiła, że żył na Kubie jak zwykły Kubańczyk, a w Miami z łatwością odzyskał żydowską tożsamość, nigdy nie rezygnując z kubańskości, dzięki czemu ocalał od katastrofy alienacji obie pogrążone w ciągłym sporze połówki swojej duszy, która jednak zapamiętała się odtąd w oplakiwaniu utraconego zgiełkowego świata.

Niemniej jednak ten sam człowiek, zdolny pogodzić w sobie podobną dozę chłodu i pasji, przez blisko czterdzieści lat kultywował owo romantyczne marzenie, przydając mu rozmaitych odcieni, barw, słów, w absolutnym przekonaniu, że jego sny się ziszczą, nim usłyszy wezwanie śmierci, kostuchy, jak mawiał, kiedy zwracał się po kubańsku do Eliasza, opowiadając mu – zarówno dawniej, jak już po zdobyciu drogocennego zdjęcia – zawsze, jakby to robił pierwszy raz, o wcieleniach dawnych rojeń, które zachowały się gdzieś na dnie kufra wypchanego skrytymi nadziejami. Dlatego też pewnego kwietniowego wieczoru w roku 1988, kiedy wreszcie mógł celebrować urzeczywistnienie swojego największego marzenia, Daniel Kamiński z niezwykłą starannością przygotował się na tę okazję, co przyszło mu o tyle łatwo, że nieskończoną ilość razy przećwiczył owe zabiegi w wyobraźni. Na głowę włożył starą czarną czapkę, mocno już wypłowiałą, z żółtą, nieco postrzępioną literą M, tę samą bejsbolówkę, którą w 1949 roku kupił w kiosku przy niedawno otwartym hawańskim Gran Stadium. W górnej kieszonce białej guayabery umieścił owiniętą w celofan pocztówkę ze zdjęciem. Na koniec poglaskał piłkę, której skórzana powierzchnia poddała się erozji czasu, i schował ją do prawej kieszeni szerokich kraciatych spodni z muślinu, skąd mógł ją wyciągnąć ze zręcznością i szybkością kowboja sięgającego po kolta 45 na zakurzonej prerii Dzikiego Zachodu, co wcześniej podziwiał na filmach oglądanych w pałacu iluzji, jakim było dlań kino Ideal w Starej Hawanie.

Tak był podekscytowany, że bez przerwy ponaglał syna i żonę. Dwadzieścia minut przed zaplanowaną godziną wyjazdu, zwarty i gotowy, zajął miejsce na przednim siedzeniu forda (rocznik 1986), którego podarował Eliaszowi dwa lata wcześniej, gdy ten skończył studia na wydziale projektowania grafiki Florida International University. Z auta, zaparkowanego opodal ogrodu, obserwował swój dwupiętrowy dom, ganek z hiszpańskimi podcieniami i fryzami w stylu art déco, których biel odcinała się od ciemniejszego tynku. Budynek, stojący przy Czternastej Ulicy i West Avenue, łączył w sobie rodzinny klimat z architekturą hawańskiej dzielnicy Santos Suárez, gdzie Daniel Kamiński spędził najlepsze lata życia, a przynajmniej tak uważał. Mieszkał tu, odkąd w maju 1958 roku opuścił Kubę i postanowił osiąść w Miami Beach. Wiedziony niezawodnym węchem i preczuciami, poszedł w ślady starych Żydów, którzy w większości przybyli tu z północnych stanów w poszukiwaniu słońca Florydy i niższych cen kupna lub wynajmu. W tym domu, w roku 1963, urodził się jego syn i to tutaj Daniel zmagał się ze wszystkimi niepokojami, które towarzyszyły mu w mozolnej próbie odnowy życia, gwałtownie wyrwanego z własnej orbity. To stąd wyruszała na spacer po promenadzie, naówczas jeszcze prawie niezabudowanej West Avenue, zatopiony w swojej samotności, czując się opuszczony przez wszystkich, i rozmyślał nad tym, jak się odnaleźć w mieście przypominającym obóz przejściowy, gdzie przez długie miesiące nie mógł liczyć na żadnych przyjaciół, a najbardziej dotkliwie odczuwał brak tych, których zostawił na Kubie. Nigdy już nie miał zaznać ich bliskości i ciepła. W tymże samym domu, siedząc naprzeciwko Marty Arnáez, rozważał nieliczne możliwości, jakie mu wciąż pozostały, i powziął trzecią

kluczową w swoim życiu decyzję: postanowił wrócić do stada i znów zostać Żydem, przy czym odzyskanie tego, z czego zrezygnował dwadzieścia lat wcześniej, miało służyć nie tyle rozwiązaniu dylematów duszy, ile nagłemu potrzebom ciała. Aby przetrwać, Daniel Kamiński musiał zagwarantować rodzinie i sobie samemu dach nad głową, łóżko do spania oraz dwa posiłki dziennie. Trzymać się blisko własnego plemienia to, jak uznał, najbardziej przebiegły, ale zarazem naturalny i najlepszy wybór.

I właśnie ten dom, zbudowany w 1950 roku, z licznymi atrybutami architektonicznego stylu Miami Beach, był miejscem, gdzie najczęściej oddawał się nieodpartemu marzeniu, które zrodziło się na Kubie ponad trzydzieści lat wcześniej, a tego wieczoru miało się wreszcie spełnić: uściśnie dłoń wielkiemu Orestesowi „Minnie” Miñoso i poprosi go o autograf na pocztówce z jego fotografią, wydaną przez Chicago White Sox z okazji fantastycznego sezonu 1957 Kubańskiej Komety (dwadzieścia jeden home run, osiemdziesiąt osiem run batted in), a także na skórzanej piłce, wówczas nowej, gładkiej, błyszczącej, która śmignęła daleko poza boisko hawańskiego Gran Stadium, wybita przez bejsbolistę w trakcie meczu pomiędzy klubem z Marianao a Lwami z Hawany zimą 1958 roku: jeszcze tego samego dnia Danielowi udało się kupić tę piłkę za dwa pesos od jakiegoś chłopca, który z determinacją rzucił się w ślad za nią i zdołał ją złapać.

Młody Eliasz Kamiński, który zdecydował się spróbować szczęścia jako student nowojorskiej akademii sztuki, gdzie później ukończy swoją edukację techniczną i intelektualną, czuł się usatysfakcjonowany piruetem, jaki wykonał los, mógł być bowiem świadkiem owego epokowego wydarzenia. Odkąd usłyszał wiadomość o planowanym hołdzie dla Orestesa Miñoso z okazji zakończenia zadziwiająco długiej kariery sportowej, którą ten zawodnik tak błyskotliwie rozpoczął na Kubie, kontynuował w Stanach Zjednoczonych i uwieńczył w mocno już przesadnym wieku w Meksyku, Eliasz uznał, iż będzie to znakomita szansa, by jego ojciec zrealizował marzenie, o którym tak wiele opowiadał. Nie namyślając się długo, kupił trzy miejsca przy stole bankietowym i popędził do domu z radosną wieścią.

Kiedy rodzina Kamińskich dotarła do salonu-restauracji klubu Big Five, który szczególnie upodobałi sobie coraz liczniejsi zamożni Kubańczycy z Miami jako miejsce rozmaitych imprez, mityczny Miñoso jeszcze się nie pojawił. „Tym lepiej”, wyszeptał Daniel i stojąc przy drzwiach, sprawdził po raz setny, czy czarna czapka klubu Marianao dobrze leży, czy pocztówka ze zdjęciem wciąż jest w kieszonce guayabery, a drogocenna piłka w kieszeni spodni.

Aby stworzyć niezbędną, acz dyskretny klimat nostalgii, w sali rozbrzmiewały szlagiery w rytmie cza-czy, mamba, sones, bolera i danzones, popularne na Kubie w latach pięćdziesiątych. Od czasu do czasu puszczano cza-czę dedykowaną Miñosowi („Gdy Miñoso walnie fest, piłka w tańcu cza-cza jest”) w nieśmiertelnym wykonaniu Orquesta América, a każdy inny utwór był natychmiast rozpoznawany, na fali przemożnej tęsknoty, przez Daniela Kamińskiego, który szeptał synowi na ucho nazwiska kolejnych wykonawców: Benny Moré i jego zespół, Pérez Prado, Arcaño i Maravillas, Conjunto de Arsenio, Barbarito Diez, Orquesta Aragón i La Sonora Matancera – ta ówczesna, prawdziwa, z Danielem Santosem i Celią Cruz przy mikrofonie...

Kwadrans po zapowiedzianej godzinie czarny, ciągnący się bez końca chevrolet impala rocznik 1959, z gościem honorowym w środku, zatrzymał się przed lokalem wypełnionym po brzegi przez starych Kubańczyków, nasyconym wspomnieniami, przyjemnymi i okrutnymi, z nieistniejącego już życia, które (mimo sukcesu materialnego wielu emigrantów) wszystkim wydawało się lepsze, wzniecając przyływ nostalgii albo budząc skrywane urazy. Nie zastanawiając się dłużej, Daniel Kamiński ponownie poprawił na głowie bejsbolówkę, jedną ręką wyjął pocztówkę ze zdjęciem, drugą wyciągnął piłkę, a (takie miał później wrażenie) trzecią wydobyl srebrne pióro Paper Mate, i ruszył na spotkanie swojego marzenia...

Dwa dni później wykonane minoltą zdjęcie zostało wydrukowane przez Daniela Kamińskiego na papierze formatu 20 na 35 centymetrów i oprawione w ramki. Na fotografii uwieczniona jest chwila, gdy Orestes Miñoso, z uśmiechem odsłaniającym odziedziczone po afrykańskich przodkach olśniewająco białe zęby, ściska dłoń polskiego Żyda – z łysiną w miejscu gęstych niegdyś włosów, wydatnym brzuskiem i nosem w kształcie kruczego dziobu – który zaklina się, że jest jego odwiecznym i zagorzałym

wielbicielem. Poprosił wówczas swojego idola, by na pocztówce i na piłce napisał dedykację: „Przyjacielowi José Manuelowi Bermudezowi”. Obie pamiątki umieścił w zrobionej na zamówienie szklanej gablotce, a fotografię postawił na nocnej szafce w sypialni. Stała tak, najpierw obok łóżka w jego willi w Miami Beach, a potem w apartamencie domu spokojnej starości w Coral Gables, zawsze na widoku, kojąc nostalgię, poczucie winy i lęk przed śmiercią, aż do pewnego wiosennego dnia w roku 2006, gdy starzec odszedł z tego świata, udając się w podróż bez przesiadki do piekieł. Ponieważ – o czym dobrze wiedział i co zawsze powtarzał synowi – choć nie wykonał egzekucji na człowieku, którego zamierzał zabić, jego heretyckiej duszy nie będzie nawet dana pociecha, by przez jakiś czas pobyć w szeolu, dołączyć, jak mawiano, trafiając dusze pobożnych, przestrzegających Prawa Żydów.

To było nieuniknione: po przyjeździe do Miami i zakwaterowaniu w skromnym hoteliku przy plaży celem pierwszej wizyty złożonej przez Daniela Kamińskiego i Martę, wciąż jeszcze Arnáez, był katolicki cmentarz przy Flagler Street i Pięćdziesiątej Trzeciej, gdzie zaledwie miesiąc wcześniej pochowano ich przyjaciela José Manuela Bermudeza.

Kiedy jechali w stronę dzielnicy North West, Marta poprosiła wenezuelskiego taksówkarza, który ich wiozł, aby zatrzymał się przy jakiejś kwiaciarni, gdzie kupiła ogromny bukiet czerwonych róż. Już na miejscu przekonali się, że za murami nekropolii są tylko rzędy ułożonych płasko na ziemi marmurowych lub granitowych płyt z wrytym nazwiskiem, a czasem krzyżem. Gdy znaleźli kwatere, w której spoczywał ich przyjaciel, stało się dla nich oczywiste, że skromne fundusze, jakimi dysponowali towarzysze walki Pepe Manuela, starczyły jedynie na zakup miejsca i niewielkiej taniej płyty z lastryko. Wymalowano na niej czarną farbą chrześcijański krzyż i wypisano imię, nazwisko oraz datę narodzin i śmierci. Mogiła zapomnianego człowieka, pochowanego na obczyźnie. Marta, nie mogąc powstrzymać płaczu, złożyła na grobie czerwone róże i odeszła na parę kroków, jakby chciała oddalić się od perswazyjnej absurdalności tej niepojętej śmierci. Daniel Kamiński stał sam na piaszczystej ziemi, na której widniały świeże ślady jego stóp, i poczuł dojmującą bezradność, jakiej jeszcze nie doznał w swoim powikłanym życiu. Pustka, która pozostała po tym szlachetnym człowieku, w połączeniu z zagubieniem i smutkiem unaoczniała mu, tu i teraz, ciężar wszystkich poniesionych strat i czekający go trud ułożenia sobie życia na nowo. Wraz z odejściem José Manuela Bermudeza czy też Pepe Manuela, czy też Calandraki podwójny polski wygnaniec stracił nie tylko przyjaciela: ta przedwczesna śmierć była niczym zabieg lobotomii przeprowadzony na najlepszej części jego pamięci, zabrakło bowiem świadka i komentatora tysięcy wspólnych wspomnień i przeżytych doświadczeń. Zostań wyimowane, a nawet jeśli nie, to i tak nigdy nie będą tymi samymi wspomnieniami, bo nie zapyta już Pepe Manuela o jakiś szczegół z przeszłości, by słysząc potwierdzenie własnych wspomnień, odnaleźć kojące poczucie wspólnoty i braterstwa. Dlatego też, przywołując w pamięci wciąż żywy wizerunek zmarłego przyjaciela, obiecał mu, choć sam nie wiedział, jak i kiedy to zrobi, że postawi w tym miejscu skromny kamień nagrobny, pod którym ów prawy człowiek doczeka chwili wskrzeszenia sprawiedliwych, na co w pełni zasługuje.

Przez pierwsze dni spędzone w hoteliku w Miami Beach Marta i Daniel wielokrotnie się zastanawiali, jakie czekają ich perspektywy. Pieniądze, którymi dysponowali, niemal w całości ofiarowane im przez Galisycyżka Arnaeza, mogły wystarczyć na życie i wynajmowanie mieszkania przez parę miesięcy, dopóki nie znajdą jakiejś pracy lub nie sprzedadzą chevroleta i domu w Santos Suárez. Największym jednak problemem było odnalezienie się w tym nieznanym dla nich świecie, dlatego najpierw zwrócili się ku najlepiej widocznym na horyzoncie punktom orientacyjnym: Kubańczykom oraz, z uwagi na kod genetyczny Daniela, osiadłym w Miami Żydom.

Wkrótce jednak się przekonali, ku swojemu rozczarowaniu, że żadna z tych dróg nie rokuje nadziei. Niewielka kolonia kubańska, zakotwiczona w tym młodym, luźno zabudowanym mieście, złożona była głównie z ludzi, którzy opuścili Wyspę z własnej woli lub zostali do tego zmuszeni przez represje Batisty i jego popleczników. Wielu z tych wygnanych pariasów żyło w stanie tymczasowego zawieszenia, w oczekiwaniu na upadek reżimu, czego pragnęli i czemu sprzyjali. Z kolei wspólnota żydowska stano-

wiła coś w rodzaju azylu dla emerytów spędzających wakacje na plaży. Przyjechali z północnych stanów, zwabieni ciepłym klimatem i niskimi cenami nieruchomości na prowincji; ubrani we wzorzyste tropikalne koszule i słomkowe kapelusze, chcieli po prostu w spokoju, ciepło i po przystępnej cenie spędzić ostatnie lata życia. Mimo wszystko Daniel i Marta postanowili bliżej poznać nowe otoczenie, więc choć nie mieli wielkiej nadziei, że uzyskają wsparcie od ludzi zajętych głównie politykowaniem lub stanem własnych kont bankowych, zaczęli bywać wszędzie tam, gdzie spotykali się Kubańcy i Żydzi.

Przeszkodą w szybkiej i satysfakcjonującej adaptacji była też, obok niepewnej sytuacji materialnej i braku użytecznych kontaktów, ograniczona znajomość angielskiego, która uniemożliwiała im znalezienie pracy odpowiedniej do ich wykształcenia: księgowego i nauczycielki. Daniel Kamiński był jednak wytrwałym wojownikiem znającym wszystkie strategie utrzymania się przy życiu. Pierwszą i najważniejszą zasadą stanowiły gotowość do wyrzeczeń oraz umiejętność przystosowania się do otoczenia, poprzedzone rozpoznaniem i spenetrowaniem terenu. Dlatego też po paru tygodniach, gdy już minął początkowy szok, zapisali się oboje na kurs doskonalenia języka angielskiego. W tym samym czasie dotarli do nich pieniądze ze sprzedaży chevroleta, wyprowadzili się więc z hotelu i wynajęli dom przy Czternastej Ulicy i West Avenue, własność starego nowojorskiego Żyda, który zaproponował nawet, że sprzeda im tę nieruchomość, jeżeli wpłacą zaliczkę w wysokości połowy ustalonej ceny.

Dzięki stosownej aluzji do Brandona podczas uroczystości upamiętnienia ofiar Holokaustu znaleźli pierwszą w tym mieście pracę, którą zaoferował im stary ukraiński Żyd Bronstein, właściciel największego przy plaży *grocery store*: Marta została pakowaczką sprzedawanych towarów, a Daniel pomocnikiem magazyniera. Dla niego zajęcie to, niemal identyczne jak dwadzieścia lat wcześniej w hawańskiej ciastkarni Sozny, było dramatycznym krokiem wstecz, dla niej jednak, wychowanej w ciepłarnianych warunkach, które zawdzięczała niewolniczej harówce galisyjskiego ojca, tak niskie stanowisko oznaczało bolesną degradację. Mimo to dzielnie sobie radziła, choć tego rodzaju posada uwłaczała jej godności. Najgorsze okazało się nawet nie to, że zarabiali na życie, podejmując się prostej i źle płatnej pracy – byli przekonani, że to tylko pierwszy, przejściowy etap, który niebawem pokonają, wszak mieszkali w kraju rokującym ogromne nadzieje i możliwości. Dramat Marty polegał na tym, że z dnia na dzień stała się osobą drugiej lub trzeciej kategorii, co było konsekwencją oczywistego i nieprzewidzianego statusu emigrantki, Łatynoski, katoliczki, ubogiej proletariuszki, zmuszonej do usługiwania, wykonywania poleceń, od rana do wieczora na każde zawołanie żydowskich burżujów, którzy z satysfakcją, ostentacyjnie podkreślali niższość społeczną i ekonomiczną pięknej Kubanki. Danielowi największą trudnością sprawiło odnalezienie się w nowym, nieprzyjaznym środowisku, tak sprzecznym z jego towarzyskim usposobieniem ukształtowanym w Hawanie i żywiącym się jej atmosferą. Tu, w Miami, gdzie ludzie żyli zamknięci w swoich domach, przemieszczała się tylko samochodami i byli zajęci wyłącznie pracą albo ogrodowym trawnikiem, nie było stadionu jak tam, w Hawanie, gdzie można było pokrzyknąć i miło spędzić czas, nie było miejsca takiego jak Paseo del Prado, pełnego świateł, przechodniów, muzyki i zmysłowości, a po ulicach nie krążyły wieczne zatłoczone autobusy. Najbardziej jednak go bolało, że nie miał ani jednego przyjaciela. Na domiar złego w tym mieście, wolnym od hałasów i skojarzeń, panował wszechogarniający strach przed brakiem pieniędzy, bo przecież trzeba opłacić *bills*.

Tak drastyczna zmiana w ich życiu wzbudziła w Danielu głębokie poczucie winy. Widok Marty wracającej do domu tuż przed północą, wyczerpanej dniem pracy i godzinami nauki angielskiego, przypominał mu o niemożliwych do przewidzenia spotkaniach i decyzjach, które doprowadziły do tej przynębiającej sytuacji. To zapewne wówczas, jak potem stwierdzi Elias, Daniel Kamiński doszedł do wniosku, że jego osobisty dramat jest dodatkowo potęgowany przez poczucie absurdu: uciekał przed czymś, co zamierzał zrobić, a nie przed tym, co zrobił.

W ciągu długich godzin pracy w sklepie, kiedy przenosił ciężkie kartony, co przypominało mu o workach mąki, które dźwigał w La Flor de Berlín, Daniel Kamiński całymi dniami i tygodniami medytował nad tym, jak się urządzić w nowym życiu. Z trudem przyzwyczajał się do myśli, że musi mieszkać w tym kraju, w mieście, które okazało się znacznie bardziej, niż przypuszczał, obce i odległe od gorącej

Hawany z dramatycznych lat małego uchodźcy, straszliwie samotnego, oderwanego od rodziny, być może już na zawsze. Te przykre doświadczenia i specyficzna atmosfera kubańskiej stolicy sprawiły wówczas, że odszedł od żydostwa, żeby uwolnić się od ciężaru swojego statusu i narzuconych mu praw, teraz jednak, gdy ocenił i roztrząsał mozolne próby awansu i zapuszczenia korzeni, zaczął całkiem poważnie rozważać możliwość, wcześniej nie do pomyślenia, powrotu do stada, tak jak uczynił to niedługo mityczny Juda Abrahama, który najpierw, aby ratować życie swoje i swoich bliskich, dał się ochrzcić, a potem, kiedy było to już bezpieczne i dogodne, znów stał się wyznawcą prawa mojżeszowego. W końcu on, Daniel Kamiński, z własnej woli zrezygnował ze swojej religii, a teraz, również z własnej woli, zdecydował się na powrót. Temu wszak służy wolna wola.

W styczniu roku 1959, tuż po obaleniu i wygnaniu generała Batisty przez rewolucjonistów, którzy walczyli przeciw niemu w górach i w miastach na Wyspie, niewielka wspólnota kubańska w Miami uległa głębokim przeobrażeniom, co jeszcze bardziej skomplikowało adaptację Kamińskich. Z jednej strony osiedli tu uchodźcy polityczni powracali do kraju, z drugiej – do miasta na południu Florydy przybywali najbardziej nikczemni oficjale reżimu Batisty, wszyscy niemal uwikłani w korupcję, represje, tortury i zbrodnie. Daniel i Marta, którzy utrzymywali serdeczne, choć niezbyt zażyłe stosunki z kubańską emigracją, nie mieli najmniejszego zamiaru nawiązywać znajomości z nowymi uciekinierami. Przeciwnie, trzymali się od nich z daleka, spodziewając się nawet, że władze kraju wydadzą wielu z tych morderców, którzy sami zresztą zapewniali, że przyczaili się w Miami tylko na jakiś czas, bo przed końcem roku obalą buntowników i wrócą na Wyspę.

Bodziec, którego brakowało Danielowi Kamińskiemu, by zbliżyć się do wspólnoty żydowskiej, odmienił radykalnie sytuację kubańskiego wygnańca. W lipcu 1959 roku, przed obliczem rabina, który przyjechał z Tampy i w salonie jednego z domów w Miami Beach urządził tymczasową synagogę, Daniel Kamiński odzyskał swoją jarmułkę, swój talit oraz – przynajmniej formalnie i publicznie – swoją religię. A także przekonał katolicką Martę Arnáez, obecnie Kamińską, do zmiany wiary i przejścia na judaizm, tak jak sam to uczynił w decydującym momencie życia, przyjmując chrześcijański chrzest. Pewnego listopadowego popołudnia 1960 roku, kiedy Daniel i Marta wspólnie rozdeptali przed zwojami Tory potłuczone kieliszki, dawny przechrzta pomyślał sobie, jak cieszyłby się z tej uroczystości jego stryj Joseph. Czy bardzo by mu przeszkadzało, że Marta jest gojką, a nie Żydówką z urodzenia, która wydałaby na świat potomstwo czystej krwi i duszy? A może staremu, kochanemu Pepe Sakiewiczemu było już wszystko jedno, skoro związał się w obliczu prawa z czarną Kubanką i został legalnym ojcem hawańskiego Mulaciątka improwizującego wiersze? Czyżby wszyscy oni byli zatraconymi heretykami?

Danielowi, a nawet Marcie, przyniósł ulgę zgiełkliwy najazd na Miami Beach dziesiątków, setek, a wkrótce tysięcy Żydów opuszczających Kubę ze strachu przed komunistycznym reżimem, który nieomylny nos tych ludzi zwietrzył w hawańskim powietrzu. Jeżeli w drugiej połowie 1959 roku poczęli zbierać się do wyjazdu najbogatsi przedstawiciele wspólnoty żydowskiej w Hawanie (Brandon, który nie uznawał półśrodków, przeniósł się bezpośrednio do Nowego Jorku, gdzie już wcześniej prowadził interesy), to w latach 1960–1961 przybyły tłumy innych, w większości ubogich lub zubożałych, tych, którzy cały dobytek zostawili na Wyspie. Chociaż byli Żydami (mniej lub bardziej pobożnymi, a prawie żaden z nich nie należał do ortodoksów), nowi uchodźcy byli też przede wszystkim Kubańczykami, na szczęście innego rodzaju niż te ciemne typy – poplecznicy Batisty z poprzedniej fali emigracji, którzy osiedlili się, co z ulgą przyjęła rodzina Kamińskich, w South West i Coral Gables.

Mimo że myśl o powrocie na Kubę stawała się coraz bliższa sercu obojga, rosnące obawy Galisjczyka Arnaeza wobec wciąż niejasnej przyszłości kraju oraz milczenie Roberta Fariñaasa – w tym początkowym okresie kilkakrotnie tłumaczył brak kontaktów nawałem pracy i obowiązkami wynikającymi z procesu budowy nowych struktur państwowych – nakazywały im ostrożność. W końcu, argumentowali, zawsze będzie można wrócić.

Pod koniec roku 1958, z pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży nieruchomości w Santos Suárez i dzięki pożyczce od rodziców Marty, Kamińscy zaczęli spłacać domek przy Czternastej Ulicy i West Avenue. W tym samym czasie Daniel awansował na stanowisko negocjatora z dostawcami towarów dla *grocery*, a wkrótce potem został księgowym i prawą ręką Bronsteina. Wtedy właśnie los się do nich uśmiechnął. W połowie 1959 roku stary Ukrainiec zmarł na zawał, a jego jedyny syn, mieszkający na stałe w Waszyngtonie działacz Partii Demokratycznej, rozważał sprzedaż sklepu ojca, ale doszedł do porozumienia z Danielem i zgodził się na eksperyment, dzięki któremu miałyby zapewnione zyski bez żadnego nakładu pracy: ciągły napływ Żydów z północnych stanów i masowy exodus ich rodaków z Kuby sprawiły, że liczba mieszkańców Miami Beach nieustannie rosła, co stwarzało idealną okazję, by skromny *grocery store* przy Washington Avenue przekształcić w supermarket na wzór hawańskiego Minimaxu, którego funkcjonowanie tak dobrze znał jego dawny księgowy. Żeby powiększyć powierzchnię sklepu, wynajęli sąsiedni lokal, od strony reprezentacyjnej, tłumnie uczęszczanej Lincoln Road, i robiąc ukłon w stronę żydowskich klientów, sporo miejsca przeznaczyli na koszerne produkty. Dzięki pieniądзом ze sprzedaży domu w Santos Suárez Daniel mógł wejść do spółki, wnosząc dwadzieścia procent kapitału (co pokryło koszty modernizacji marketu), a Bronstein junior ze spadku po ojcu wyłożył resztę, pozostawiając zarządzanie sklepem kubańskiemu Żydowi w zamian za dodatkowe piętnaście procent od zysków.

Z kolei Marta, która poczyniła znaczne postępy w nauce angielskiego, została zatrudniona jako nauczycielka języka hiszpańskiego i angielskiego w nowo utworzonej akademii żydowsko-kubańskiej i zaledwie dwa lata później została jej akcjonariuszką i wicedyrektorką.

W miarę jak otwierały się przed nimi bramy materialnego dobrobytu, narastała radykalizacja polityki kubańskiej oraz wrogość USA w stosunku do władz Wyspy, przez co rozwiewały się nadzieje na powrót, chociaż ani Marta, ani Daniel nie pozbyli się – i nigdy się nie pozbędą – nostalgii za swoją hawańską przeszłością. To poczucie wykorzystania załagodził przyjazd Galisijczyka Arnaeza i jego żony; jednocześnie, gdy namawiany przez nich do przeprowadzki stryj Joseph oświadczył, że nigdzie nie zamierza się przenieść, przyjęli jego odmowę ze zrozumieniem jako decyzję upartego staruszka, który bez względu na okoliczności chciał przeżyć i będzie przeżywał swoje najlepsze lata, choć niestety nie miało to już potrać długo.

Powróciwszy do roli prawowiernego Żyda, Daniel poczynił szereg kroków, by utrwalić swoją pozycję i – jak często będzie powtarzał synowi – przynależność, która miała uśmierzyć jego duchowe zagubienie. Dlatego preczując, że wyjdzie to na dobre jego coraz lepiej prosperującemu sklepowi, usytuowanemu w okolicy, która z wolna stawała się sercem miasta, dołączył do grupy kubańskich Żydów usiłujących zrealizować swoje wielkie marzenie, by założyć w Miami stowarzyszenie kubańsko-hebrajskie, co miało ułatwić im zmierzenie się z nadchodzącą przyszłością przy zachowaniu własnej, ukształtowanej na Wyspie tożsamości. Prawdę mówiąc, aspiracje tych, którzy określali się mianem kubańskich Żydów (wielu z nich urodziło się w Polsce, Niemczech, Austrii lub Turcji, lecz do szpiku kości przeziąknęli kubańskością), były odpowiedzią na niewidzialny, choć szczelny mur wzniesiony przez amerykańskich Żydów, w dużej mierze sięgających korzeniami tych samych ziem co ich kubańscy pobratymcy, ale bogatszych, wywodzących swój status oraz prawa własności z najdawniejszych czasów i traktujących niekiedy wręcz z pogardą nowych emigrantów, którzy przybyli z dwiema walizkami w ręce, nie znali angielskiego, a na zabawach organizowanych we Flamingo Park tańczyli w rytm muzyki wykonywanej przez kubańskie orkiestry, kołysząc biodrami i podrygując na afrykańską modłę jak pierwszy lepszy hawański Mulat.

Daniel należał do grona trzynasto Żydów, którzy 22 września 1961 roku w salonie hotelu Lucerne założyli Stowarzyszenie Kubańsko-Hebrajskie. Fundatorzy, siedząc pod flagami Izraela, USA i Kuby, omawiali projekt statutu nowego zrzeszenia. Nie dorównując elokwencją innym członkom założycielom, którzy w większości mieli doświadczenie w zakładaniu różnego typu bractw i byli lepiej zorientowani w sposobie myślenia oraz potrzebach religijnych swoich ziomeków, Daniel Kamiński wolał się nie odzywać i snuł w duchu rozważania nad dziwnymi kolejami losu prowadzącymi czasem do sytuacji, jakie trudno było sobie wyobrazić nawet w najgorszych rojeniach. Ale skoro, mówił sobie i powtórzy to

później synowi, przez swoją obecność w tym hotelowym salonie mógł kupić niewielkim kosztem przyszły dobrobyt i zaspokoić potrzebę przynależności, to znalazł się we właściwym miejscu, aby kupić jedno i zaspokoić drugie, choć nadal biło w nim serce renegata, który dwadzieścia trzy lata wcześniej wyparł się Boga, nazbyt okrutnego w swych zamysłach. Prawdziwą świętością było życie, on zaś o nie walczył, chciał je uczynić lepszym. Miał lat trzydzieści i mógłby się uznać za eksperta od strat: stracił nie jeden, ale dwa kraje, kraj urodzenia i kraj przybrany; rodzinę; język polski i jidysz; Boga, a wraz z nim wiarę i uczestnictwo w tradycji ufundowanej na tej wierze i jej Prawie; stracił życie, które sobie upodobał, i kulturę, którą przesiąknął; pogubił gdzieś dobrych i złych przyjaciół, jednych na ziemi, innych, jak Pepe Manuel i Antonio Rico, już przebywających w niebie; zaprzepścił nawet szansę, by uczynić zadość sprawiedliwości, i nadal płacił za coś, czego nie zrobił, choć sprawiedliwości się nie doczekał, a śmierć winowajcy nie przyniosła mu ulgi, albowiem sam pozbawił się satysfakcji z wymierzenia zasłużonej kary. Daniel Kamiński miał już dosyć strat, więc teraz oczekiwał zysków. Dopóki zachowa wolność sumienia.

Przez wiele lat Daniel pozostanie wierny nawykowi codziennych spacerów promenadą West Avenue, mniej znaną i uczęszczaną niż biegnąca wzdłuż plaży Ocean Drive. Dzięki tym przechadzkom po tak zwanych międzybrzeżu, na co czasem z powodu nadmiaru obowiązków mógł sobie pozwolić tylko w sobotę po modlitwach w synagodze, był świadkiem zmian zachodzących w tym rejonie Miami Beach i na położonych po drugiej stronie kanału wysepkach, jak Star Island, gdzie wybudowano wille, które od lat osiemdziesiątych, kiedy narkotyki zalały miasto, stawały się coraz liczniejsze, okazałszy, niemal fantasmagoryczne, konkurując ze sobą luksusem i blichтром, co było widomym efektem łatwych pieniędzy. Danielowi, który był na dobrej drodze, by stać się człowiekiem zamożnym, i takim się stał, cały ten zbytek wydawał się groteskowy, sam bowiem nadal mieszkał w dwupiętrowym domku w stylu art déco, z dwiema sypialniami, tam, gdzie osiadł na początku pobytu w Stanach, i nawet złośliwcy wytykający mu przesadne żydostwo nie zdołali go nakłonić do zmiany zdania tylko dla zaspokojenia cudzych oczekiwań.

Lubił siadywać na niewielkim moło przy Szesnastej Ulicy, skąd widać było wysepkę z obeliskiem upamiętniającym Henry'ego Flaglera, stare mosty łączące plażę ze stałym lądem, a w oddali port w Miami, gdzie – o czym Daniel nigdy nie zapomni – kotwiczył przez czterdzieści osiem godzin „St. Louis”, zanim odmówiono azylu pasażerom. Kiedy był w kiepskim nastroju, wędrował samotnie po międzybrzeżu, aby poczuć, że szuka samego siebie, że jeszcze się nie zagubił, bo wydawało mu się, że coraz bardziej oddala się od kogoś, kim niegdyś był. Odkąd powrócił do judaizmu, miał nieodparte wrażenie, że prowadzi życie apokryficzne, w którym jego dusza i sumienie zeszyły do podziemia. W pierwszych hawańskich latach, kiedy zdecydował się porzucić wiarę i tradycję przodków, młody Daniel musiał iść przez świat, mając dwa różne oblicza: jedno, by zadowolić stryjka, drugie, by zadowolić samego siebie i wtopić się w tłum. To bolesne rozdwojenie, wynikające z materialnego i emocjonalnego uzależnienia od Josepha Kamińskiego, stanowiło wówczas jedyną drogę ku upragnionemu wyzwoleniu.

Niemniej zmiana wiary, oznaczająca ponowne przywdzianie maski, jawiła mu się jako utrata wielu zdobyczy wolności, którymi tak bardzo się cieszył w swoim kubańskim życiu. Chociaż wspólnota, do której przystąpił, była znacznie mniej restrykcyjna niż społeczność kraju pochodzenia czy też frakcja nowojorskich ortodoksów, dla których Prawo i słowo rabina miało moc bezwzględnie obowiązującą, to wyczuwalna presja otoczenia zmuszała Hebrajczyków z Miami do respektowania norm, jeśli nie chcieli zostać wykluczeni ze swojego środowiska. Tu, w przeciwieństwie do niezbyt żarliwej religijności wielu Żydów na Kubie, potrzeba społecznej akceptacji była dla nich dodatkowym obciążeniem. Daniel wiedział, że nie brakowało wśród nich takich, którzy jak on zachowywali wiarę tylko w formie szczątkowej. Na zewnątrz jednak niemal wszyscy przestrzegali religijnych nakazów, żeby nie odróżniać się od innych, bo to groziło wyrzuceniem poza nawias i narażało na przyklejenie łatki „rewolucjonisty”, słowa źle widzianego i niebezpiecznie bliskiego pojęciu „heretyka”.

Kiedy tak, wdychając ożywczą bryzę znad kanału, włączył się samotnie, dawał upust nostalgii za utraconym światem. Spoglądał ku przeszłości i widział dawnego Daniela, spełnionego i zadowolonego, wolnego, jak tylko może być wolny człowiek, który działa, żyje i rozmyśla w zgodzie z własnym sumieniem. Pełna hipokryzji uległość, której teraz się poddał, zdawała mu się wówczas jeszcze bardziej nikczemna i tchórzliwa, choć wiedział, że jest konieczna, by zachować szacunek, a nawet samowolę, jaką daje władza. A w jego wypadku władzą były pieniądze.

Co ma zrobić z tymi wszystkimi pieniędzmi, skoro nie zamierza kupować pałacyku ani luksusowego auta, ani biżuterii, której nigdy nie nosił, ani nawet jachtu, tym bardziej że cierpi na chorobę morską? Daniel Kamiński uśmiechnął się, zadowolony ze swojego wyboru: kupi wolność. Najpierw tę najważniejszą: wolność syna Eliasza, a potem, jeśli starczy mu sił i chęci, własną.

Mając na uwadze tę perspektywę, Daniel wychowywał potomka w sposób powściągliwy, czasem wręcz przesadnie surowy, jak twierdziła kubańska matka jego żony i skłonny do rozpieszczania wnuka galisyjski dziadek Arnáez. On jednak był przekonany, iż chłopak musi się nauczyć, że w życiu każda rzecz ma swoją cenę, a kiedy płaci się za siebie i zdobywa wszystko własnym wysiłkiem, znacznie bardziej docenia się to, co się dostało. Niemniej jednak, inaczej niż jemu samemu, jego synowi łatwiej przyjdzie mierzyć się z wyzwaniem losu, bo będzie mógł studiować i czerpać ze skarbnicy wiedzy, a są to wartości niezbywalne, prawdziwy skarb, jak powiedział jego polski dziadek. Korzystając z tych ułatwień, Eliaz będzie miał prawo wyboru, bo on, Daniel, mu to zagwarantuje. Dlatego wychowywał syna w duchu wstrzemięźliwości.

Daniel, który w czasie pobytu w Stanach Zjednoczonych odkrył tradycyjną literaturę żydowską i zapoznał się z bardziej racjonalistycznymi myślicielami, starał się wyposażyć syna w narzędzia umożliwiające dokonywanie trafnych wyborów. Owocem tych lektur były ojcowskie rady, a zwłaszcza teza, iż ludzkie decyzje są wynikiem równowagi (albo jej braku) pomiędzy własnym sumieniem i pychą, a w tej relacji to sumienie winno nakłaniać do właściwych rozstrzygnięć. Rady te uzupełniał niezwyklejmi naukami owego sefardyjskiego erudyty, który tak bardzo go zachwycał, Menasze Ben Izraela, niepokornego utopisty, autora licznych dzieł, w tym osobliwego traktatu zatytułowanego *De Termino Vitae*, w którym ten urodzony w Portugalii holenderski mędrzec (podobno wielki przyjaciel Rembrandta) snuł transcendentne rozważania nad tym, jak ważną kwestią jest umiejętność życia i właściwy stosunek do śmierci. Po latach dorosły już Eliaz Kamiński także będzie czytywał Ben Izraela, Majmonidesa, a nawet mozolnego Spinozę, wspominając, jak ojciec przytaczał myśli sefardyjskiego filozofa o śmierci jako procesie zatracenia oczekiwań i pragnień doznawanych w ciągu całego żywota, co na zawsze zapamięta. Śmierć, zwykł mawiać Daniel Kamiński, jest tylko wyczerpaniem się za życia naszych marzeń, nadziei, aspiracji, dążenia do wolności, z innej zaś śmierci, tej fizycznej, można powrócić jedynie wówczas, gdy jest dopełnieniem życia godziwego, spełnionego, uczciwego, które pozornie jest tak krótkie, a w istocie tak transcendentne i wyjątkowe jak... jak talerz czarnej fasoli, kończył swe wywody.

Dwa miesiące po sławetnym spotkaniu z Orestesem Miñoso, wiosną 1988 roku, u Daniela Kamińskiego zdiagnozowano raka prostaty. Miał pięćdziesiąt osiem lat, lekką nadwagę, wyglądał zdrowo, był głównym udziałowcem trzech marketów (w Miami Beach, South West i Hialeah), ojcem syna z dyplomem uniwersyteckim i ukształtowanymi aspiracjami artystycznymi, a poza tym, mimo swoich nieortodoksyjnych poglądów, był uznawany za jeden z filarów wspólnoty hebrajsko-kubańskiej na południu Florydy. Triumfator, którego nagłe osaczyła najgorsza i nieodwracalna kłeska, choć postanowił walczyć, jak robił to przez całe życie.

Ujawnienie choroby, operacja, a później terapia przeciwnowotworowa i wszczepienie materiału radioaktywnego w prostatę (mawiał, że ma w tyłku główkę jądrową) kazały mu spojrzeć na życie z innej perspektywy. Przez wszystkie swoje amerykańskie lata ten Polak-Żyd-Kubańczyk cierpliwie i w milczeniu znosił brzemień cudzej winy, od którego nigdy nie zdołał się uwolnić. Lecz stojąc w obliczu bliskiej śmierci, postanowił w końcu otworzyć się przed synem.

Powie Eliaszowi, że jest pewien, iż poczciwy stryj Joseph, zmarły dwadzieścia lat wcześniej w swoim hawańskim domku w dzielnicy Luyanó, odszedł z tego świata w przekonaniu, że bratanek zamordował człowieka, który oszukał jego rodziców i w pamiętnym roku 1939 wysłał ich do europejskiego piekła. Daniel Kamiński wiedział, że jego dawny przyjaciel Roberto Fariñas odsunął się od niego nie z powodu nieistniejących różnic światopoglądowych ani międzyplanetarnej odległości dzielącej – za sprawą geopolityki – Wyspę od Florydy, ale dlatego, że uważał go za bezwzględnego mordercę. Przecież nawet Marta, chociaż próbowała, pragnęła, postanowiła wierzyć mężowi, w głębi serca nigdy mu nie uwierzyła. Toteż wobec diagnozy onkologów zdecydował się wyznać synowi prawdę, żeby zdjąć z siebie ów ciężar, a zarazem nie dopuścić, by jego syn, co było mało prawdopodobne, ale jednak możliwe, został kiedyś obarczony tym brzemieniem.

– Gdy przechodził rekonwalescencję w szpitalu, opowiedział mi całą tę historię... Matka czuwała przy nim w dzień, a ja nocą. Nie mógł siedzieć, leżał na boku, z twarzą tuż przy mojej, gdy nachylałem się do niego z fotela. Mówił przez pięć albo sześć nocy, już dobrze nie pamiętam. Mówił aż do wyczerpania sił. Zaczął od samego początku i widać było, że to wyznanie przynosi mu ulgę, ja natomiast pamiętam, jak w mojej wyobraźni zarysowywała się tak dotychczas mglista wizja życia mojego ojca, niczym obraz, który stopniowo nasycy się kolorami i zyskuje kontury, nabierając treści... Zanim doszło do tych rozmów, właściwie nie znałem – z powodu niedostatku czasu, a może mojej obojętności albo jego lęku lub wielu lat braku porozumienia między nami – szczegółów z jego przeszłości i Kuba niezbyt mnie interesowała. Pewnie tak jest z większością dzieci, prawda? Najpierw opowiedział mi o tym, jak wyglądało życie rodziny w Krakowie i Berlinie, jeszcze przed wojną, w czasach pogromów i pulsującego w żyłach strachu... O swojej obsesji na punkcie posłuszeństwa, uległości i wolnej woli. Potem mówił o odkryciu Hawany i ubogiej egzystencji w czynszówce na rogu Acosty i Composteli, o poznaniu przyjaciół, o wierze, którą stopniowo tracił. To wszystko było dla mnie jakąś ciemną plamą, czasem jakby urywkami z książki historycznej, a potem nagle nabrało kształtu i życia, tak bliskiego mojemu. Dzieje „St. Louis” i pierwsze lata ojca na Kubie, lata, które raz miały w sobie coś z tragedii i bólu, a raz były radością i nowym objawieniem. Powody, dla których porzucił judaizm, a nawet nie chciał być Żydem... Poznanie seksu i erotyczna obsesja na punkcie saksofonistek Mulatek z kawiarni przy El Prado... Wszystkim tym się ze mną podzielił. Na koniec wspominał o swoim planie i o tym, co wydarzyło się w dniu, w którym zamierzał zabić Romana Mejiasa. To, o czym niedawno ci opowiadałem – powiedział Eliasz Kamiński, co chwila szarpiąc związane w kucyk włosy, jak zawsze, gdy poruszał jakiś drażliwy temat; zapalił kolejnego camela (zapewne przywiózł ze sobą większy zapas) i dodał: – Możesz mi nie wierzyć. I masz rację, podobnie jak Roberto Fariñas, jak moja matka, jak rację mógł mieć stryj Joseph. Ale moje argumenty są mocniejsze i ja ojcu wierzę: jeżeli obawiał się, że wkrótce zabije go rak, jeżeli z własnej woli opowiedział mi o tym, co było dobre i złe w jego życiu, o swoich lękach i decyzji, by zanegować to, kim niegdyś był, i zdjąć ów ciężar z duszy, jeżeli przyznał się do hipokryzji, która nim kierowała, gdy postanowił powrócić do stada, ale zachować wolność sumienia... to po co, do jasnej cholery, miałby kłamać w sprawie tego skurwiela Mejiasa, który za to, co zrobił jego rodzinie i Bóg raczy wiedzieć ilu jeszcze innym ludziom, po tysiącokroć zasłużył na śmierć?

Z tej zawrotnej wysokości wzrok obejmował skrajnie rozległy szmat zachwycającego morza, które za sprawą palących promieni letniego słońca było poprzecinane niewiarygodnie równymi pasemkami barw i światła. Szary wąż promenady Malecón u stóp przygodnego obserwatora kreślił precyzyjny, opresywny łuk, dramatyczny kontrast w owym bezkresnym pejzażu, niczym samozwańcza bariera pomiędzy tym co ograniczone i tym co otwarte, tym co znane i tym co możliwe, tym co zatłoczone i tym co opustoszałe. W całej panoramie oceanu, łaskawie udostępnionej przez wieżę z cementu i stali, nie można było wypatrzeć ani jednego statku, co tylko potęgowało przygnębiające wrażenie spoglądania na zakazaną i wrogą przestrzeń. Od strony morza dostrzegł wystające spod wody rafy, z pewnością ślad ludzkiej ręki, miały bowiem kształt ciemnych krzyży o zdecydowanie ponurym wyglądzie; od strony miasta widział tarasy, anteny, rozpadające się gołębniki, rzęzące pojazdy zasnutę śmiertelnymi oparami, drzewa przeżarte solą i leniwie poruszających się przechodniów, niemal mikroskopijnych z tego oddalenia, które zarazem skrywało ich radości i tragedie. Pasemka życia, spłaszczone daleką perspektywą i być może zmiażdżone także z innych, bardziej bolesnych i nieprzemijających powodów, których Conde nawet nie odważył się dociekać. Ludzie tacy jak ja, pomyślał.

Drzwi otworzyła im kobieta pod trzydziestkę, o nieskazitelnych kształtach w pełni rozkwitu i migdałowych oczach podkreślonych perwersyjną azjatycką kreską, hojnie skropiona chanel N° 5. Poinformowała ich, że Tatusiek – jak go nazwała – bierze właśnie kąpiel, ale migusiem wyjdzie z łazienki, po czym pozostawiła Condego i Eliasza samych, wraz z zapachem perfum, echem swojego leksykalnego ubóstwa i magnetyzmem ponętnej figury, opuściwszy salon z otwartym na morze tarasem, na który obaj natychmiast wyszli. Były policjant, przez lata służby nauczony podejrzliwości, zastanawiał się, jakiego rodzaju Tatuskiem jest Roberto Fariñas dla tej apetycznej kobiety: ojcem biologicznym czy może „tatuskiem”, który bez ograniczeń korzysta z jej wdzięków?

Chociaż z góry nastawił się na wielorakie emocje, wzbudzone przez zachwycający widok z tarasu i trudny do wymazania obraz tej kobiety, Mario Conde uświadomił sobie daremność wszelkich wysiłków: nagły przypływ pożądania i niepokój w obliczu tego, co ich czeka w apartamencie Roberta Fariñas, poruszyły go tak bardzo, że w miarę jak wyczerpywały się jego zasoby zdziwień, zaczynał coraz bardziej wątpić w swój domniemany talent do odkrywania prawdy.

Przygotował się psychicznie na to, że z pewnością dojdzie do salto mortale w przeszłość, niewykluczone, że z towarzyszeniem nieprzewidzianych piruetów. Wiedział również, że upadek może ujawnić najbardziej nieoczekiwane aspekty życia wielu ludzi, a co za tym idzie, wypełnić treścią mroczny nawias w curriculum vitae tego czy innego człowieka. Miejsce, które czasem lepiej pozostawić puste.

Olśniewający penthouse, w którym mieszkał Roberto Fariñas, znajdował się na dziesiątym piętrze budynku przy ulicy Línea, oddalonego zaledwie o osiemdziesiąt metrów od Maleconu. Podczas przygotowań do tego spotkania, które Conde zorganizował bez większych problemów i w którym Eliaz Kamiński uparł się uczestniczyć, ekspolicjantowi udało się ustalić, z pomocą niezastąpionego Królika, że prawa własności do apartamentu sięgają roku 1958, kiedy wzniesiono budynek, a ojciec Fariñas nabył ów lokal dla swojego niesfornego, buntowniczego potomka jako wabik, by wyciągnąć go z mętnych wód politycznych konspiracji. Tymczasem chłopak jedną ręką sięgał po klucze do futurystycznego penthouse'u, a drugą naciskał spust, uczestnicząc w akcji bojowników podziemia. Czy młody Fariñas brał udział w zamachach dokonywanych w owym czasie przez rebeliantów? Była to kolejna biała plama w historii, puste miejsce zamknięte na kłódkę.

Po triumfie rewolucji, gdy cała jego rodzina udała się na emigrację, Roberto Fariñas, wierny swoim przekonaniom politycznym, zaczął działać w rozmaitych dziedzinach, przeobrażając kraj, który wkrótce miał ewoluować w kierunku socjalizmu. Zasługi w heroicznym okresie walki zapewniły Robertowi pozycję w sferach decydentów, zwłaszcza w sektorze gospodarczym i produkcyjnym, ale w 1970 roku, kiedy pod hasłem dostarczenia dziesięciu milionów ton cukru (te miliony ton same z siebie miały spowodować wielki skok ekonomiczny) zagonił cały kraj do zbioru trzciny cukrowej, gwiazda Fariñas zaczął przygasać – być może z powodu jakiejś kosmicznej kolizji związanej z klęską zafry, co utrzymano w ścisłej tajemnicy, której nie zgłębił nawet Królik wraz z gronem specjalistów od plotkografii historycznej – aż wypaliła się doszczętnie ze starości za biurkiem tego czy innego ministerstwa, gdzie przed paroma laty doczekał emerytury. Od tej pory raz po raz zapraszany był na obchody upamiętniające jakiegoś bohaterskiego męczennika, i to wszystko.

Kiedy stali na tarasie, kontemplując zwodniczy spokój morza, Conde zadał pytanie, które prześladowało go od kilku dni.

– Czy to nie Fariñas był tym przyjacielem, który mówił twojemu ojcu, że zawiść jest cechą Kubańczyków?

Eliasz uśmiechnął się, przypalając camela.

– Nie, nie. To ktoś, kogo poznał w Miami Beach. Chyba jedyny przyjaciel, jakiego tam miał, chociaż nie mogło się to równać z przyjaźniami tu, na Wyspie. Nawet z Olguitą, która była narzeczoną Pepe Manuela.

– Tą komunistką?

– O to zawsze pytał ojciec, kiedy ją spotkał. „Słuchaj, Olguita... nie byłaś aby komunistką...?” Otóż, tamten człowiek był Kubańczykiem, kazał się nazywać Tatuśkiem. Leopoldo Rosado Arruebarruena. Klasyczny Kubaniec, ze złotym łańcuchem i w dwukolorowych butach; zmarł ze starości jakieś trzy lata temu. Wyjechał stąd w sześćdziesiątym pierwszym, podobno z powodu ustawy nakazującej zamknięcie burdeli w Hawanie... Jak mawiał, kraj bez kurew, to jak pies bez pcheł: nudy na pudy... Sympatyczny facet, gaduła, żył tym, co przyniosła chwila, nie obchodziła go polityka... Ojciec uwielbiał z nim rozmawiać i często zapraszał go do domu na ryż z kurczakiem, jego i kobietę, z którą akurat był... To Tatusiek mówił o zawiści jako znaku rozpoznawczym Kubańczyków.

– A dokładniej?

– Twierdził, że Kubańczycy są w stanie znieść wszystko, nawet głód, ale nie sukces innego Kubańczyka. Uważają się za najlepszych na świecie, powtarzam to za nim: są we własnym mniemaniu wyjątkowi, inteligentni, błyskotliwi, znakomicie tańczą, a każdy z nich nosi w tornistrze buławę... słowem, górują nad innymi nacjami. A ponieważ nie wszystkim w życiu się udaje, porażki rekompensują sobie zawiścią. Zdaniem Tatuśka jeśli sukces odnosi Amerykanin, Francuz czy Niemiec, nie ma problemu, Kubańczycy szaleją z zachwytu. Ale jeśli to jest ktoś podobny do nich, Latynos, Chińczyk, Hiszpan, to nazywają go dupkiem, któremu się poszczęściło, i mają to gdzieś... ale powodzenie rodaka uwiera ich jak wrzód na dupie, *carcomilla*... tak, Tatusiek mówił *carcomilla*... a zazdrość aż im wyłazi uszami i obrzucają szczęściarza błotem. Nie wiem, czy to prawda, chociaż...

– Owszem, prawda – przyznał Conde, który nieraz był świadkiem eksplozji zawiści wśród wyspiarzy.

– Tak myślałem... Tatusiek opowiadał o tym z taką swadą, że...

– To wszystko wynika z tej przeklętej okoliczności, że zewsząd jest woda¹⁵ – przerwał im czyjś głos cytujący poetę, co sprawiło, że zaniechali podziwiania widoków oraz roztrząsania narodowych przywar i odwrócili się w stronę pana domu, który z uśmiechem przypatrywał się Eliaszowi. – Ja pierdziele, chłopcze, jakby ktoś skórę ściągnął z twojego galisyjskiego dziadka.

Nim Eliasz zdążył odpowiedzieć, mężczyzna serdecznie go wyściskał. Mimo swoich siedemdziesięciu ośmiu lat Roberto Fariñas zachował młodzieńczą sylwetkę, miał mocne ramiona i umięśniony, wyćwiczony tors, a jego starannie wygolona twarz była pozbawiona zmarszczek, co skłoniło Condego do rozważenia jednej z dwóch możliwości: albo zawarł pakt z diabłem, albo z chirurgiem plastycznym.

Gospodarz mocno uściśnął dłoń Condego, jakby chciał się popisać przed nim tężyzną (a przy okazji rozstrzygnąć ponad wszelką wątpliwość kwestię swoich relacji z woniejącą chanelami damą), i z uśmiechem nieskrywanej satysfakcji obserwował zdumienie i grymas bólu malujące się na twarzy gościa. Kiedy wrócili do salonu, oddzielnego od tarasu odporną na huragany szklaną ścianą, czekał już na nich stół zastawiony filiżankami kawy, szklankami z wodą, wiaderkiem z lodem i butelką irlandzkiego jamesona limited reserve.

– Musicie spróbować tej whisky. Najlepsza z najlepszych... Wiecie, ile mnie kosztowała ta butelka? Nie, nie powiem, bo aż wstyd...

Mimo tej reklamy Eliasz Kamiński zdecydował się tylko na kawę. Conde z największym wysiłkiem poszedł w jego ślady i odmówił drinka, a to dlatego, że pewnie skończyłoby się na jednej kolejce i tylko nabrałyby apetytu, więc lepiej w ogóle nie próbować.

– Nie wiecie, panowie, co tracicie – stwierdził pan domu. – Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię widzę... Wykapany dziadek...

Roberto Fariñas skoncentrował uwagę na Eliaszu Kamińskim i przez parę minut z olimpijską obojętnością traktował Condego, ten zaś z ulgą wcielił się w rolę Kamiennego Gościa na owym spotkaniu dwóch nieznanym, którzy wszakże poznali się wiele lat przed rodzinami jednego z nich. Korzystając z sytuacji, słuchał rozmowy i jednocześnie przyglądał się kosztownym przedmiotom w salonie: na ścianie plazma (czterdzieści osiem cali, ocenil) wraz z kinem domowym, meble obite prawdziwą skórą, bar z dużą liczbą butelek o błyszczących etykietkach, a poza tym kandelabry, wazy i cenne rodowe pamiątki. Skąd emeryt Fariñas wziął na to wszystko pieniądze?

– Nie wiem dlaczego, ale zawsze miałem pewność, że to kiedyś nastąpi – mówił Fariñas do Eliasza. – Podobnie jak od pewnego momentu wiedziałem, że nigdy już nie zobaczę twojego ojca, tak byłem przekonany, że my dwaj kiedyś się spotkamy... Nawet wiedziałem, dlaczego...

W głowie Condego nagle zapaliło się światełko. W tej chwili domyślił się, po co Eliasz Kamiński go zatrudnił i z jakiego powodu nalegał, żeby tu przyszedł obaj: ze strachu. Eliasz, rozmyślał Conde, nie potrzebował go po to, żeby zorganizować ten hawański szczyt, który miał przynieść odpowiedź na wiele pytań, odpowiedź być może ostateczną i nieodwołalną. Wystarczył jeden telefon, by malarz znalazł się w tym salonie, siedząc naprzeciwko człowieka, który z pełną świadomością, co taka deklaracja oznacza, zapewniał jego ojca, że zawsze i wszędzie może na niego liczyć. To obawa Eliasza przed tym, że usłyszy coś, czego nie chciał, choć musiał usłyszeć, skłoniła go do zatrudnienia osoby bezstronnej, kogoś, w kim znajdzie oparcie, jeśli raptem wszystko się zawali. Kilkaset dolarów, dla Condego fortuna, ale dla Eliasza – który odziedziczył trzy supermarkety, by korzystnie je sprzedać wielkim amerykańskim sieciom, a do tego był w miarę wziętym malarzem i domniemanym spadkobiercą obrazu Rembrandta – stanowiło zaledwie niewielką inwestycję, która w jego mniemaniu mogła przynieść ogromny zysk: że nie stanie samotnie w obliczu prawdy, jakakolwiek by była.

– Ojciec dużo opowiadał o panu i Pepe Manuelu. Nigdy potem nie miał już przyjaciół takich jak wy. Co się stało, że przez ponad czterdzieści lat ani razu nie kontaktowaliście się telefonicznie, nie pisaliście do siebie listów?

– Bo życie to barka... jak słusznie zauważył Calderón do Bani¹⁶ – wypalił młody starzec i zaśmiał się z tego dowcipu starego jak on sam, choć bardziej zużytego. Zapewne lubił dewastować cytaty literackie.

– Ale śledziłem na bieżąco wasze losy. Cały czas.

– Jak to możliwe, skoro nie mieliście ze sobą kontaktu?

– Z twoim ojcem nie, ale z Martą... Kiedy powiedzieli nam, że utrzymywanie stosunków, jakichkolwiek stosunków, z osobami żyjącymi za granicą jest niemal zdradą ojczyzny, obmyśliliśmy system porozumiewania. Mojej chrestnej, która została na Kubie i było jej obojętne, co o niej myślą, dyktowałem listy, a potem ona wysyłała je do Marty pod własnym nazwiskiem. A twoja matka odpisywała na jej adres. Tak na przykład dowiedziałem się o twoich narodzinach. Tak dostałem zdjęcie marmurowej płyty z mosiężną inkrustacją, którą twój ojciec kupił na grób Pepe Manuela na tym okropnym cmentarzu

w Miami. Dowiedziałem się także o raku prostaty, o operacji i głowicy jądrowej, którą Polakowi wszczepili w tyłek. A Marta wiedziała, co się działo ze mną. Że owdowiałem w siedemdziesiątym czwartym. Marta i Isabel, moja żona, przepadały za sobą... Cóż, to były bardzo ściśle więzi za plecami twojego ojca i tutejszych politycznych talibów.

Eliasz usiłował się uśmiechnąć i spojrział na Condego. Zaczęły pojawiać się odpowiedzi, ujawnienia pełne niespodzianek. Gdzie jego matka schowała te listy? Jak je odbierała, kryjąc przed jego ojcem ową nieprzerwaną, sympatyczną niewierność?

– Ostatni list napisała do mnie, kiedy Polak zmarł. Po milczeniu, które potem nastąpiło, mogłem odgadnąć, co się z nią działo i co potwierdził pewien mój przyjaciel. Pozostałych listów ci nie dam, ale ten ostatni chcę ci ofiarować. To jeden z najlepszych listów miłosnych, jakie napisano. Kiedy go przeczytałem, wiedziałem już, że dla Marty życie dobiegło kresu. Bo jej życiem był Daniel Kamiński. A ciebie, wybaczone, że to mówię, kochała raczej dlatego, że byłeś owocem jej miłości do Polaka, niż dlatego, że wydała cię na świat...

Malarz już się nie uśmiechał. Potrząsał związanymi w kucyk włosami, oczy zwilgotniały mu od łez. Słowa Roberta niczego nowego nie odkryły: wiedział, czym dla rodziców był ich związek, uporczywa walka, by się urzeczywistnić, akty poświęcenia i rezygnacji, by go uświęcić i podtrzymać, przemilczenia, by go nie zbrukać. Ale ten sam związek przedstawiony przez świadka z tamtych lat, kiedy to wszystko było jeszcze młodzieńczym zauroczeniem, nabierał destruktywnych podtekstów, jakie niosło w sobie sześćdziesiąt lat wytrwałości, ów długi czas zmieniający tak wiele, choć nie decyzję, która zaważyła na życiu tego obdartusa Polaka, Daniela Kamińskiego, i bogatej z domu Galisyjki, Marty Arnéaz. Także na jego życiu.

Wówczas Eliasz wyciągnął ze swojego plecaka małą drewnianą skrzynkę. Otworzył ją i niczym magicznie podczas spektaklu wyjął z niej szklaną kasetkę: w środku znajdowała się piłka bejsbolowa, poźółtkła ze starości, pokryta niebieskimi literami.

– Wprawdzie nie byłem pewien, czy pana spotkam – powiedział Eliasz – ale przywiozłem coś, co należy bardziej do pana niż do mnie. Proszę spojrzeć. Jest tu dedykacja dla Pepe Manuela podpisana przez Miñosa...

Cudzoziemiec podał szkatułkę Robertowi Fariñasowi, ten zaś delikatnie wziął ów skarb do ręki, jakby bał się go stłuc.

– O, w mordę, chłopcze – wyszeptał wzruszony. – To były, kurwa, czasy! Ależ się wtedy żyło, w szalonym tempie, czego to się nie robiło, ile mieliśmy uciechy... I nagle wszystko się zmieniło. Twój ojciec na obczyźnie, Pepe Manuel umiera w absurdalny sposób, ja zostaję przywódcą socjalistycznym, chociaż nigdy nie chciałem być socjalistą ani komunistą... Nic już nie było takie samo... Kiedyś czytałem powieść jakiegoś Galisyjczyka, nawiasem mówiąc, niezłe pisze, w której bohater przytacza słowa Stendhala, święte, bo prawdziwe. A więc Stendhal miał podobno stwierdzić: „Nikt, kto nie żył przed rewolucją, nie może powiedzieć, że żył”... Słyszałeś?! Wbij sobie tę myśl do głowy. Wiem, co mówię, bo ja ocalałem... – powiedział Roberto i wpatrzony w piłkę, ów skarb umieszczony w kryształowej urnie, zatonał we wspomnieniach, być może tych najszcześniejszych. – Byłem wtedy z Danielem, kiedy Miñosa wybił tę piłkę...

– Tę historię już znam. Ale innych...

– Czasem lepiej nie wiedzieć wszystkiego.

– Ale ojciec aż do końca żył z poczuciem winy... – zaczął Eliasz, lecz Roberto, ostrożnie odkładając kasetkę na stół, powstrzymał go gestem dłoni.

– Naprawdę chcesz, żebym ci opowiedział o twoim ojcu? Żebym powiedział ci to, co od pięćdziesięciu lat chciałem powiedzieć jemu?

Eliasz przez chwilę się namyślał. Jednak nie miał wyboru. Conde czuł, że malarz chciałby na niego spojrzeć, ale nie ma śmiałości.

– Tak. Jakby to on siedział na moim miejscu.

– A więc od początku... Twój ojciec, jak sam mówiłeś, żył z poczuciem winy, bo był sakramenckim dupkiem. Uparty jak osioł Polaczek już się ze mną nie spotkał, na swoje szczęście, bobym mu skopał tyłek... Nie za to, co zrobił czy czego nie zrobił, nieważne, ale za to, że mi nie zaufał. Tego nigdy mu nie wybaczyłem.

Eliasz słuchał owego potoku inwektyw z na pozór stoickim spokojem, nie przestając szarpać kucyka tak energicznie, że Conde obawiał się, iż wyrwie sobie włosy z cebulkami. Przysłuchując się wszystkiemu ze swojego miejsca na ławie świadków, były policjant zorientował się od razu, że obelgi i groźby Roberta Fariñas spowija woal serdeczności odpornej na dziejowe zawieruchy, przed- i porewolucyjne, na wszelkie nieporozumienia i wymuszone lub dobrowolne rozstania. Kojarzyło mu się to z wyuczoną i być może wielokrotnie przećwiczoną kwestią aktorską.

– W czym tkwił jego problem? Wmówił sobie, że według mnie to on zabił tego skurwiela, który oszukał... no tak, twoich dziadków i ciotkę. Ale kiedy się dowiedziałem, jak zginął Mejías, nie miałem już wątpliwości, że nie zrobił tego twój ojciec. Nietrudno było odgadnąć, dlaczego nie mógł być mordercą: nigdy by nie zabił człowieka w taki sposób. Nawet takiego skurwysyna nad skurwysyny... Sprawa się skomplikowała, kiedy wyszła na jaw ucieczka Pepe Manuela. Zamknęli mnie na trzy tygodnie, przesłuchiwali dwa razy dziennie i tłukli po gębie, pomimo mojego nazwiska i koneksji ojca... A siedząc w mamrze, nie mogłem się skontaktować z Danielem. Kiedy mnie wypuścili, on już wyjechał z Kuby. Na swoje szczęście, bo był następnym w kolejce do odsiadki.

Roberto Fariñas, z początku tak podekscytowany, stopniowo hamował swoją porywczosć. Conde dobrze znał ten mechanizm i teraz czekał na prawdziwe objawienie.

– Kolejny i największy problem – podjął wątek Roberto po chwili milczenia, nerwowo pogładziwszy elegancki złoty zegarek zdobiący jego nadgarstek – polegał na tym, iż Polak był przekonany, że w więzieniu moge go zadenuncjować jako mordercę Mejiasa... To dlatego uciekł z Kuby, a nie ze strachu przed tą historią z Pepe Manuelem. I dlatego nigdy do mnie nie napisał. Wstydził się. Nie miał prawa tak o mnie myśleć... To było prawdziwe brzemię, które ten dupek nosił w sobie aż do końca, a że nie potrafił się od niego uwolnić, zabrał je ze sobą do grobu.

Eliasz milczał, przytłoczony wystdem, który odziedziczył w genach, choć zarazem pocieszony przekonaniem Roberta Fariñas, że to nie Daniel zabił tamtego skurwysyna. Conde, z trudem znosząc rolę niemego świadka, poruszył się niespokojnie, bo pytania same cisnęły mu się na usta, ale skoro był tylko słuchaczem, musiał się powstrzymać. Narastało w nim przekonanie, że w opowieści Fariñas coś nie gra.

– Rozumiem, że Daniel mógł tak pomyśleć – ciągnął monolog Roberto. – W tamtych czasach wielu ludzi mających się za twarzieli pękało w śledztwie. Strach i tortury stosowane są od wieków, ponieważ dowiodły swojej skuteczności w praktyce. Miał prawo się bać, miał nawet prawo bać się, czy ja wytrzymam... Bo kiedy myślisz tylko o tym, jak uniknąć bólu, jak przeżyć, gotów jesteś powiedzieć wszystko, żeby już nie cierpieć. Ale ja całe życie będę dumny z tego, że nie dałem się złamać. Bardzo się bałem, to prawda. Na szczęście zbytnio się nade mną nie pastwili... Parę razy mnie uderzyli, ale szybko się zorientowałem, że robią to bez przekonania. Skurwiele nie chcieli zostawiać śladów po pobiciu. I doszedłem do wniosku, że jeśli skończy się tylko na tym, że będą mi kazali siedzieć albo stać godzinami bez ruchu, nie pozwalając zasnąć, to fizycznie chyba nie wytrzymam, ale psychicznie się nie poddam. Nie powiedziałem im ani słowa o tym, że razem z Danielem zorganizowaliśmy ucieczkę Pepe Manuela, a tym bardziej o zamiarach twojego ojca. Zresztą wiedziałem, że nic nie zrobił.

– Przykro mi. – Eliasz zdołał w końcu wtrącić dwa słowa i spróbował zmienić temat rozmowy. – Skoro nie mój ojciec, to kto zabił Mejiasa?

– Ktokolwiek – stwierdził Roberto Fariñas. – Mejías przez dwadzieścia lat gnoił i oszukiwał ludzi. Możliwe, że zamordował go ktoś od Batisty, kiedy wyszedł na jaw przekręt z paszportami i sprawa rewolucjonistów.

– Ale nie jest pan pewien?

– Tylko podejrzewam. Wiem jedno: twój ojciec tego nie zrobił.

Conde czuł, jak trybiki w jego głowie zaczynają się obracać coraz szybciej, i domyślał się, że taki sam proces zachodzi w umyśle Eliasza Kamińskiego. „Podejrzanie”, jak to określił Fariñas, musi mieć, co logiczne, jakieś imię. Imię kogoś, kto z pewnością już nie żyje, jak niemal wszyscy uwikłani w tę sprawę. Dlaczego Fariñas unika konkretów, dlaczego nie chce użyć udrękom Eliasza?

W najgłębszych, najciemniejszych zakamarkach policyjnej intuicji Condego, pokrytej kurzem, ale wciąż sprawnej, zamigotało kolejne, jeszcze mocniejsze światło. To, co nie gra w wypowiedzi Fariñas, pomyślał, musi być kłamstwem zamaskowanym cieniutką warstwą prawdy: jeżeli ktoś mówi, że ma podejrzenia, a jednocześnie nie zdradza jakie, to albo jest łajdakiem, albo kłamcą.

– Czy wie pan, że obraz Rembrandta, który był w domu Mejiasa, pojawił się na aukcji w Londynie? – zapytał Eliasz.

Fariñas wyglądał na szczerze zdumionego.

– Obraz niezgody... – wyszeptał, jakby rozczarowany. – Nie, nie wiedziałem...

– Z tego, co wiem, ojciec nie wywiózł go z Kuby. Nigdy go nie odzyskał, bo nie zabił Mejiasa, jak sam pan powiedział, i co oczywiste, już nigdy potem nie wszedł do domu tego człowieka. Niemal cała rodzina Mejiasa wyjechała z Kuby w pięćdziesiątym dziewiątym... Czy to oni wywieźli stąd naszego Rembrandta?

– Kiedy zamordowano Mejiasa, skradziono też jakiś obraz. Od początku uważałem, że płótno, które widzieliśmy w jego domu, nie jest autentyczne, a upewnił mnie w tym niemal całkowity brak wzmianek o kradzieży. Rodzina Mejiasa, jego żona i chyba dwie albo trzy córki, wyjechała na samym początku rewolucji, więc możliwe, że zabrała ze sobą oryginał przywieziony przez twoich dziadków. – Fariñas rozważał różne warianty, a Conde, wciąż pogrążony w przymusowym milczeniu, odniósł wrażenie, że coś zgrzyta coraz bardziej. Nadal jednak nie potrafił odgadnąć co.

Aż wreszcie implozja jego umysłu okazała się silniejsza od wynegocjowanej z Eliaszem polityki nieinterwencji. Za chwilę zedrze korę prawdy z pnia kłamstwa. Zasłuży na swojej płacie.

– Wywiezienie Rembrandta z Kuby nie było łatwe – wtrącił, próbując opanować wzburzenie. – I pan świetnie o tym wie. Wszystkich rewidowano od stóp do głów... Może dali go komuś na przechowanie? Może ktoś tutaj, w kraju, skonfiskował obraz, a potem go ukraść?

Roberto Fariñas słuchał Condego, ale wpatrywał się w Eliasza.

– A ten co ma do tego? Po coś go tu przyprowadził? – zapytał, wskazując palcem ekspolicjanta, jakby zauważył jakiegoś odrażającego robaka.

– Pomaga mi...

– Tu, na Kubie, za parę dolarów sprzedadzą ci gwoździe z Krzyża Pańskiego i dwa arcydzieła Rembrandta... A w czym ci pomagają, chłopcze?

Świadomy, że przekracza ustalone wcześniej granice, Conde zdecydował się na kontratak, ponieważ coś mu mówiło, że to może zbliżyć go do prawdy, a poza tym poczuł się urażony w swojej godności. W jednej chwili powziął decyzję: trudno będzie złamać Fariñas, ale trzeba spróbować.

– Pan wiedział, że ten obraz, mówię o oryginale, wart jest ogromnych pieniędzy?

– Oczywiście, że tak. A co, do diabła, pan insynuuje?

– Niczego nie insynuuję. Stwierdzam fakt. Wiedział pan... i kto jeszcze?

– A czy ja wiem! Mejías był szarlatanem, każdy mógł się domyślić, bo facet chełpił się jak paw, że ma w domu autentycznego Rembrandta, a obraz wisiał w salonie, na oczach wszystkich...

– Z tego, co wiemy, to wcale nie. W salonie z pewnością wisiała kopia, sam pan powiedział. Tak jak pozostałe. To prawda, Mejías był szarlatanem, ale nie głupcem. Łatwo też wytłumaczyć zagadkę, dlatego nie mówiono o kradzieży płótna: uznano, że nie jest autentyczne, a rodzina nie życzyła sobie rozgłosu, bo wiedziała, że jest prawdziwe...

Fariñas zastanawiał się przez chwilę.

– Załóżmy, no i co z tego?

– Jak to co z tego? – Conde też się zamyślił. Powinien posunąć się jeszcze dalej? Powiedział sobie, że tak: ma prawo do poznania prawdy. – Od dwudziestu lat jest pan na emeryturze. Odsunięto pana od władzy dawno temu. Ale utrzymanie domu, kupowanie całego tego szajsu, który tu widać, bycie tatuśkiem dla kobiety, która mogłaby być pańską wnuczką... Skąd pan wziął na to pieniądze, Fariñas? A poza tym jakie koneksje mieli pańscy rodzice, że wyszedł pan zdrów i cały, merdając ogonem, stamtąd, skąd inni rewolucjoniści wychodzili pozbawieni oczu, paznokci... albo w trumnie? Czy rzeczywiście Mejías był przyjacielem pańskiego brata? A może był pańskim współnikiem w przekrętach, jak sprzedaj paszportów i inne takie? A na razie, na razie... chciałbym się dowiedzieć, jakie ma pan powiązania, że stać pana na to wszystko?

Właściciel ekskluzywnego apartamentu i beneficjent wdzięków Lady Chanel sprawiał wrażenie, jakby stracił mowę pod karabinowym ostrzałem Condego, który korzystając z bezgłosu pana domu, zdecydował się na ostateczny szturm. Elias Kamiński z kolei wyglądał jak współczesna wersja zdolowanej żony Lota.

– Daniel miał rację, że się pana obawiał. Wiedział, że może go pan wydać. Dlatego wyjechał i nie napisał ani słowa. Dlatego nigdy nie wrócił na Kubę, nawet po upadku Batisty i jego generałów. Nie zdradził się z tym przed synem tylko dlatego, że wołał obwiniać się sam niż ujawnić podejrzenia, jakie żywił wobec pana i pańskiej przyjaźni. Dlatego wcale bym się nie dziwił, gdyby pomiędzy panem a oryginałem Rembrandta istniał jakiś związek...

Roberto Fariñas odzyskał głos, ale zdobył się jedynie na słaby protest.

– Co ten kutas pieprzy? – powiedział do Eliasza.

Conde ocenił siedemdziesięcioośmioletnie bicepsy Fariñasasa, większe o dobre kilka centymetrów od jego własnych, jednak podjął ryzyko.

– Mówię o tym, że coś pana łączy z tamtym Rembrandtem, a może nawet z jego pojawieniem się na londyńskiej aukcji, dziwnym trafem akurat po śmierci Daniela i Marty. Niewykluczone również, że ma pan coś wspólnego z zabójstwem Mejiasa... A to dlatego, że nawet Marta nie wiedziała, którego dnia Daniel zamierzał go zabić, i zawsze podejrzewała, że mógł to zrobić. Za to pan wiedział wszystko, a co więcej, jest pan przekonany o niewinności przyjaciela... Pozwolił pan, by Marta do końca żyła w niepewności... A data śmierci José Manuela? Czy to przypadek, że zabił się w tym samym dniu, w którym zginął Mejías, czy może ta zbieżność dat wynika z pańskiego celowego działania? Może José Manuel się pospieszył, zabił Mejiasa, a potem wsiadł na prom? A może to pan, zainteresowany obrazem Rembrandta, znalazł się w tamtej okolicy z bronią w ręce i miał jaja, żeby poderżnąć temu typkowi gardło i obciąć kutasa albo dwukrotnie do niego strzelić, jak do innych w pięćdziesiątym ósmym? Czy przypadkiem nie pan powiedział Danielowi, że gotów jest zrobić to, co należy zrobić?

Gospodarz spurpurowiał na twarzy, ciśnienie rozsadzało mu żyły. Conde, zadając ciosy ze wszystkich stron, niczym na ringu, zapędził go do narożnika, dokładnie tak, jak zamierzał. Jedyne, co pozostało Fariñasowi z dawnej chwały, była miłość do własnego wizerunku, fizycznego i moralnego. Teraz musiał go bronić w oczach człowieka, który był synem najlepszego przyjaciela, świadkiem per procura jego przeszłości.

– Dostyc tego! – wrzasnął. – Gównu wiem o tym pieprzonym obrazie! To, co jest tu w domu, z tą kobietą włącznie, kupiłem za kosztowności pozostawione mi w spadku przez rodzinę i z tego się utrzymuję. Nie byłem taki głupi jak inni, żeby oddawać precjoza władzom w imię rewolucyjnej powinności. Dałem z siebie dosyć, nadstawałem karku, a tak!, z rewolwerem w ręce, zabiłem paru skurwysynów oprawców i podkładałem bomby pod nosem policji... Wyprzedają się z tych kosztowności, bo zanim umrę, chcę sobie użyć na żarciu i ruchaniu, dopóki nie eksplodują od nadmiaru wiagry jak becicka prochu... Pieprzysz coś o Pepe Manuelu, a to zwykłe pieprzenie, pieprzenie, pieprzenie... – Płyta Fariñasasa najwidoczniej zacięła się na pieprzeniu, więc żeby znowu zaczęła się kręcić, spojrział błagalnie na Eliasza, z pogardą ignorując Condego, niech się kutas pieprzy. – Chłopcze, nigdy w życiu bym nie wydał twojego ojca. On o tym wiedział. Wyjechał z Kuby, bo się bał. Tylko dlatego. Siebie się bał, nie mnie...

– Zamilkł i tym razem zaszczycił spojrzeniem ekspolicjanta, pewnego, że za chwilę usłyszy prawdę ukrywaną od pięćdziesięciu lat, prawdę, która definitywnie zakończy udręki Eliasza Kamińskiego. – Jego strach wynikał z obawy, że powiążą go z Mejiasem, wsadzą do więzienia i zmuszą, żeby się przyznał. Bo on wiedział, kto zabił. Wiedział, że w żadnym wypadku nie był to Pepe Manuel, jak twierdzi ten idiota. Przecież zaledwie kilka dni wcześniej pomógł mu w ucieczce i nawet zatrzymał jego pistolet... Sam mu go dałem. Wiedział również, że to nie ja, bo kiedy uciekł z domu Mejiasa, przyszedł do mnie i zobaczył, że śpię we własnym łóżku...

Tym razem rumieńcem spłonęła okrągła twarz Eliasza Kamińskiego. Zostawił w spokoju swój kucyk. Nieustannie spychane w podświadomość podejrzenie nabrało kształtu i wypłynęło na powierzchnię. Zachrypniętym głosem mastodont zapytał:

– Ojciec mnie okłamał?

– Nie wiem... ale na pewno nie mówił całej prawdy.

– Powiedział panu, że wie, kto zabił Mejiasa?

– Tak, powiedział – potwierdził Fariñas. – Rozmawiałem z nim parę dni przed aresztowaniem. Czuli się paskudnie, obwinił się, że to nie on zlikwidował tego skurwiela. I bał się, że jeżeli powiążą go z tamtym człowiekiem i wsadzą do więzienia, on tego nie przetrzyma. To były straszne czasy... a twój ojciec okazał się tchórzem... To wtedy podsunąłem mu rozwiązanie: w razie czego zwalimy winę na Pepe Manuela, który już im się wymknął... na zawsze.

Śluchając go, Conde utwierdził się w przekonaniu, że czasem nie warto ekshumować starych, pogrzebanych prawd. Nareszcie dotarł do niego sens przeczytanego przed trzema dniami epitafium: „Joseph Kamiński. Wierzył w Świątość. Pogwałcił Prawo. Zmarł wolny od wyrzutów sumienia”.

– Jeden jedyny raz napisałem do twojego ojca – Roberto Fariñas znów patrzył tylko na Eliasza Kamińskiego – żeby zawiadomić go o śmierci starego Pepe Sakiewki. Wtedy poprosił, żebym mu zrobił uprzejmość i zamówił płytę nagrobną. Powiedział, jaki napis tam umieścić... Napisał go po hebrajsku... Mogę ci pokazać ten list...

– Dlaczego ojciec ukrył to przede mną, dlaczego mi nie powiedział, że wie, iż Mejiasa zabił stryj Joseph? Dlaczego nie powiedział tego mojej matce?

– Tego nie wiem, Eliaszu. Może po to, by ocalić pamięć o stryju, chociaż robiąc tak, udupił własną... A może sądził, że to on powinien był zabić tego drania. Nie wiem, twój ojciec zawsze miał skomplikowany charakter. Jak wszyscy Żydzi, prawda?

Eliasz Kamiński wyznał mu, że nie wie, czy czuje się lepiej, czy gorzej, pokrzepiony czy przytłoczony myślami o ojcu, sekretami i obawami, których ten nigdy mu nie wyznał, żeby chronić innych i chronić siebie przed sobą samym oraz swoim poczuciem winy. Wie jednak na pewno, jak powiedział, że chciałby już skończyć z babraniem się w przeszłości, chciałby nawet zapomnieć o tym obrazie, który – przynajmniej Danielowi Kamińskiemu – nie przyniósł niczego dobrego, a tylko zamoł mu życie. Do diabła z Rembrandtem, niech się inni na nim wzbogacą.

– Nie obchodzi cię, że spadkobiercy tych, którzy zniszczyli życie twoich dziadków, zatrzymają dla siebie obraz albo pieniądze z jego sprzedaży...? Twojego ojca to obchodziło. Twojego stryja także...

– A ja mam to gdzieś – oświadczył Eliasz, wywieszając białą flagę.

– I nie interesuje cię spotkanie z twoim prawie krewniakiem, Ricardem Kamińskim?

Kiedy wyszli od Roberta Fariñas, Conde zaprosił Eliasza na piwo do obskurnego baru z widokiem na Malecón. Malarz potrzebował chwili wytchnienia, żeby przetrawić usłyszane rewelacje, a pierwszym jego odruchem było ich totalne odrzucenie. Conde jednak, mocno już zaangażowany w sprawę, spragniony poznania ostatecznej i nieodwołalnej prawdy, zaganiał go do narożnika, pozwalając trochę odechnąć, i znowu wypychał na ring. Słyszając jego pytanie, Eliasz wreszcie zareagował.

– A co ten chłopak może wiedzieć?

– Nie mam pojęcia. Ale na pewno coś wie. Po spotkaniu z Fariñasem mam takie wrażenie, o tu... – dotknął palcem miejsca pod lewą piersią – tu właśnie kołaczce we mnie jakieś przecucie: on wie coś, co jest ważne w tej historii.

– Co?

– Nie mam pojęcia. Możemy pójść do niego jeszcze dzisiaj po południu... I żaden z niego chłopak. Nie zapominaj, że jest od ciebie starszy.

Poprzedniego wieczoru, po umówieniu wizyty u Roberta Fariñas, Conde w najbanalniejszy sposób znalazł numer telefonu Ricarda Kamińskiego – w książce telefonicznej. Pod tym nazwiskiem figurowała tylko jedna osoba, mieszkająca przy ulicy Zapotes w dzielnicy Luyanó, i co oczywiste, mógł to być wyłącznie potomek Mulatki Caridad, który staraniem Josepha Kamińskiego stał się w świetle prawa jego synem, przyjmując też polsko-żydowskie nazwisko. Conde zadzwonił do niego od chudego Carlosa i wyjaśnił, że syn bratanka jego przybranego ojca, tak, syn Daniela Kamińskiego, Elias, jest na Kubie i chciałby go poznać. Doktor Ricardo Kamiński, ochłonałszy ze zdumienia, chętnie wyraził zgodę na tę nieoczekiwaną wizytę.

– Załatwiłeś to spotkanie? – Mastodont był zdenerwowany i zaniepokojony, co Conde przypisał jego rozmowie z Fariñasem.

– Tak, oczywiście. Przecież za to mi płacisz, prawda?

– A dlaczego myślałeś, że chcę się z nim spotkać?

– Dlatego, że znał twójego ojca tu, na Kubie, i był jedną z ostatnich osób, które widziały stryja Josepha przed jego śmiercią. Tak uważałem wcześniej. A teraz jestem przekonany, że może nam powiedzieć parę interesujących rzeczy... Chyba że faktycznie chcesz posłać do wszystkiego do diabła, złapać pierwszy samolot i odlecieć, nie dowiedziawszy się tego, na czym ci zależało.

Elias wypił spory haust piwa, wyciągnął z kieszeni chusteczkę, przetarł nią usta, a potem spocone czoło. Nawet na otwartym tarasie, zaledwie sto metrów od morza, upał wysysał z ciała całą wilgoć. Elias poruszył głową, jakby przeczył czemuś, co tylko jemu było wiadome.

– Mówiłem ci, że mam dwoje dzieci?

– Nie. Przez cały czas patrzyłeś tylko w przeszłość...

Elias przytaknął.

– Chłopak ma czternaście, a dziewczynka jedenaście lat. Nie widuję ich tak często, jak bym chciał. Rozwiódłem się z ich matką trzy lata temu. Wyjechali do Oregonu. Znalazła pracę na uniwersytecie w Eugene. Zdziwił się: moja była żona jest specjalistką od malarstwa barokowego Europy Północnej. Także od Rembrandta... Ale chciałem powiedzieć coś innego... Na początku zeszłego roku, kiedy ojcu się pogorszyło, zawiozłem dzieci do Miami. Mieszkaliśmy tam trzy miesiące, aż do śmierci starego. Co dziwne, to nie były miesiące żałoby. Mieli wreszcie czas, żeby się lepiej poznać. I polubić. Ojciec do końca zachował przytomność. W ostatnich dniach odmówił nawet przyjmowania leków usmierzających, nie skarżył się, prosił, żeby ugotowano mu czarną fasolę... Twój przyjaciel Andrés bardzo mi pomógł. Dzieci znały dziadków wyłącznie z wakacyjnych wypadów do Miami. Syn miał wtedy trzynaście lat i był małym nowojorczykiem, co znaczy wiele i nic. Nikt nie jest nowojorczykiem i każdy może nim być, sam nie wiem. Ojciec, kiedy czuł się lepiej, często mu opowiadał o swoim życiu. O żydowskim Krakowie sprzed wojny, nazistowskim Berlinie, strachu, dziejach pradziadków i o „St. Louis”... Niektóre z tych wydarzeń były dla małego niczym filmowe przygody Indiany Jonesa, a dzięki mojemu ojcu zrozumiał, że tamta makabra była rzeczywistością, nie fikcją... Ale przede wszystkim dziadek opowiadał mu o swoim życiu na Kubie, o tym, jak i dlaczego odszedł od judaizmu, a nawet chciał przestać być Żydem. Dużo mówił o wolności. O prawie jednostki do samostanowienia: wierzyć czy nie wierzyć w Boga; być Żydem czy też kimś innym; być człowiekiem prawym czy szuja. Opisał mu dzieje Judy Abrawanela, które dla mnie zawsze były żydowską opowieścią... Myślę, że tak naprawdę mówił mi o tym, że jesteśmy tym, kim jesteśmy, i takimi musimy pozostać, bez względu na okoliczności... A wiesz, o czym opowiadał najczęściej?

Conde zastanowił się przez chwilę i spróbował odgadnąć.

– O obrazie Rembrandta?

– Nie... chociaż oczywiście wspominał o obrazie, bo bez niego nie dałoby się zrozumieć tego, co wydarzyło się w życiu nas wszystkich. Najczęściej mówił o swojej więzi ze stryjem Josephem. Mówił, jak ważny był dla niego ów człowiek, pozornie tak skąpy i oschły, który w najbardziej popapranych chwilach życia zawsze stał u jego boku i wspierał w dążeniu do wolności... Powiedział Sammy'emu... mój syn ma na imię Samuel... powiedział mu coś, czego ani razu nie powiedział mnie: że nigdy nie spłacił długu wdzięczności wobec stryja Josepha, nie dlatego, że ten zaopiekował się nim i dawał mu pieniądze, tylko dlatego, że poświęcił spokój własnej duszy, żeby uratować bratanka. Kiedy to usłyszałem, sądziłem, że stary ma na myśli kwestie religijne, dylematy „pokrewnych Żydów”, jak mawia Roberto. Ale teraz wiem, że mówił o sprawach znacznie ważniejszych. O potępieniu i o zbawieniu. O życiu i o śmierci. Ojciec miał na myśli własne życie i śmierć pewnego człowieka.

Ricardo Kamiński mógłby uchodzić za najbardziej zaskakującego i zarazem bezspornego spadkobiercę tradycji sięgającej doktora Mosze Kamińskiego, krakowskiego Żyda. Podobnie jak odległy polski aszkenazyjczyk, Mulat (choć w jego żyłach nie płynęła krew owego antenata, to jednak przejął po nim nazwisko) był lekarzem z tytułem profesora zwyczajnego, specjalistą drugiego stopnia w dziedzinie nefrologii. Ku ogromnemu zdumieniu Eliasza Kamińskiego ten drugi – kubański – Kamiński, sześćdziesięciosześcioletek o białych włosach, tak zasłużony dla nauki, wciąż mieszkał w więcej niż skromnym, wybudowanym w latach trzydziestych domku w dzielnicy Luyanó, który odziedziczył po rodzicach: Mulatce Caridad i Polaku Pepe Sakiewce.

Kiedy jechali wynajętym autem w kierunku, który Conde wskazał Eliaszowi, odwieczna brzydota i niepowstrzymana degradacja tej starej hawańskiej dzielnicy stawała się coraz bardziej widoczna, wręcz wyzywająca. Domki, w większości pozbawione dobroczyńnych ganków, miały odrapane drzwi prowadzące do środka wprost z zapuszczonych chodników. Ulice, zryte sięgającymi historycznych czasów dziurami wypełnionymi niezidentyfikowaną cieczą, wyglądały jak po bombardowaniu. Budynki, wzniesione z niezbyt szlachetnych materiałów, z nawiązką przekroczyły swój cykl życiowy i teraz, z ostentacyjną szpetotą, wydawały ostatnie tchnienie. Los nie oszczędził także nielicznych posesji roszcujących sobie pretensje do wyższej kategorii i większej okazałości niż ich ubodzy sąsiedzi: od kilkudziesięciu lat przepoczwarzwały się w czynszówki zamieszkałe przez gnieźdzące się w maleńkich kłitkach rodziny, które nawet teraz, w początkach XXI wieku, korzystały ze wspólnych ubikacji, będących niegdyś niemymi świadkami zmagania Pepe Sakiewki z biegunką. Na jezdniach, chodnikach i rogach ulic ludzie pozbawieni perspektyw, na marginesie czasu lub, co gorsza, poza ów margines wyrzuceni, śledzili lśniące audi wzrokiem, w którym obojętność mieszała się z irytacją: obojętność wobec życia, jakie nigdy, nawet w marzeniach (a już dawno przestali marzyć), nie stanie się ich udziałem, i irytacja (ta przeważała) wywołana brakiem wszystkiego, czego odmawiano im od pokoleń, mimo nieustannych obietnic i deklaracji. Dla tych ludzi, choć tak bardzo uległych i ofiarnych, życie było drogą pomiędzy nicością a pustką, pomiędzy zapomnieniem a frustracją.

– Widzisz ten park? – zapytał Conde. – To tutaj twój ojciec rozmawiał ze stryjem, kiedy zobaczył obraz Rembrandta w domu Mejiasa.

To, co Conde nazywał parkiem, stanowiło raczej nieokreślone rumowisko. Kontenery z przewalającymi się śmieciami; stopy odpadków świeżych, dojrzałych i starych; szczątki czegoś, w czym tylko wyobraźnia pozwalała się domyślić dawnych ławek i placu zabaw; połamane drzewa w stanie upragnionej agonii. Obraz kłęski.

– Stryj Joseph wyprowadził się z kamienicy przy Composteli, żeby tu zamieszkać? – Eliasza Kamińskiego nie mógł tego zrozumieć.

– To była dzielnica robotnicza. Zdejmij z niej powłokę pięćdziesięciu lat zaniedbań i bałaganu, no i te zalegające dziesięć milionów ton gówna... Postarał się o dom wolnostojący, z osobną ubikacją, gdzie

mógł się spokojnie wypróżnić. W końcu nie tak źle, prawda?

– Ojcu ofiarował fortunę, a sam mieszkał w gnoju. – W konkluzji zszokowanego cudzoziemca brzmiało współczucie i podziw.

Conde dał Eliaszowi ostatnie wskazówki, jak dojechać do ulicy Zapotes. Śledzili malejące numery, aż dotarli do 61. Z ulgą stwierdzili, że tabliczka nie leży na chodniku, ale przymocowana jest do ściany domu, jedynego w okolicy, który miał ganek. Niewielki, ale zawsze ganek. Przed domem stał pojazd w stanie agonizującym, radzieckie auto, na którego zakup, jak się obaj mieli przekonać, lekarz Ricardo Kamiński niemal dwadzieścia pięć lat wcześniej dostał zgodę z racji wykonywanego zawodu.

Przez okienko audi dostrzegli doktora. W wizytowym stroju – kremowych spodniach i świeżo, co było widać, wyprasowanej koszuli – czekał na nich na ganku. Rzucano się też w oczy pełne emocji napięcie malujące się na twarzy człowieka, który niegdyś był jasnoskórym Mulatkiem Ricarditem, potrafił improwizować wiersze i trzymany przez matkę za rączkę skradł serce Josepha Kamińskiego. Kiedy goście wysiedli z lśniącej limuzyny, która natychmiast wydobyla całą szkaradność samochodu profesora, specjalisty nefrologa, gospodarz pospiesznie omiótł spojrzeniem postać Condego – były detektyw odgrywał wszak drugorzędną rolę w tym spotkaniu – po czym wbił wzrok w mastodonta z kucykiem. Ta twarz mówiła mu o jego własnym dzieciństwie. Mówiła pełnym głosem, jak niebawem przekonali się Conde z Eliaszem.

Po powitaniach i wzajemnej prezentacji trochę zdenerwowany lekarz nalegał, aby syn Daniela Kamińskiego, malarz, który niezapowiedziany wyłonił się z mgieł przeszłości, poznał jego rodzinę. Żona, dwie córki, zięciowie oraz troje wnucząt – dwóch chłopców i dziewczynka – wychynęły z czeluści domu, jakby przyczaiły się tam, wyczekując stosownego momentu. Każde z nich miało inny odcień skóry. Osoba, która pojawiła się jako ostatnia, wywołała zdumienie Condego, ale nie Eliasza, przyzwyczajonego zapewne do tego typu obrazków: była to najstarsza wnuczka lekarza, już nie dziewczynka, raczej młoda kobieta o karnacji znacznie jaśniejszej niż u pozostałych, w dziwacznym stroju nabijanym ćwiekami i metalowymi ozdobami. Usta, paznokcie i kąciki oczu miała umalowane na czarno, ramię ściśnięte czymś w rodzaju futerału z metalowej kraty, w nosie posrebrzany pierścień i cały zestaw pasujących do niego kolczyków w jedynym widocznym uchu, którego nie zakrywała grzywka zasłaniająca połowę twarzy niczym żałobny welon. Dziewczyna stanowiła wyraźny zgrzyt pośród domowników, zupełnie jakby w gromadzie kotów objawił się jeden pies.

Ceremoniał prezentacji, którego podjął się Ricardo Kamiński, miał charakter formalny i staroświecki, zupełnie jakby pan domu ustawiał członków swojego klanu przed jakimś szamanem albo kimś o podobnie niezwykłych mocach. Panie, nie wykluczając młodej gotki, pocałowały Eliasza w policzek, panowie uścisnęli jego dłoń, powtarzając kolejno: „Witam, bardzo mi miło”. Po wyliczeniu imion i stopnia pokrewieństwa każdego z członków rodziny i wyrażeniu przez nich zachwytu tym niecodziennym spotkaniem lekarz zwrócił się do całej gromadki, wskazując na Eliasza.

– Jak już wiecie, ten pan jest stryjecznym wnukiem Ojczulka Pepe. Synem mojego kuzyna Daniela. Ten pan, jeśli wolno mi to powiedzieć, jest całą moją rodziną, jedynym krewniakiem, jakiego mam, a z tego, co mi wiadomo, ja też jestem jego jedynym krewniakiem noszącym nazwisko Kamiński, bo jego bliskich ze strony ojca wymordowali naziści. I chcę podkreślić z całą mocą coś, co zresztą już wiecie: jeżeli babcia Caridad była szczęśliwą kobietą, ja jestem tym, kim jestem, a wy tym, kim jesteście, to jest to zasługa Polaka, który był stryjecznym dziadkiem tego oto pana i moim tatą i który dał nam wszystkim moją mamę, a mnie trzy najważniejsze rzeczy, jakimi można obdarować człowieka: miłość, szacunek i gadość.

Joseph Kamiński był Ojczulkiem Pepe? Daniel Kamiński krewniakiem Danielem? Kamińscy – Ku- bańczycy, biali, czarni, Mulaci – byli dumni z tego dziwaczego nazwiska, które wyciągnęło ich z szamba? Eliasz raz jeszcze otrzymał cios z zaskoczenia i zza pleców. Stracił głos, nie mógł powstrzymać płaczu. Przyszedł tu w poszukiwaniu prawdy, a runęła nań lawina odkryć, pod którą pękły tamy łez.

– Będziemy zaszczytzeni – ciągnął doktor Kamiński, zwracając się do gości – jeśli przyjmą panowie zaproszenie na obiad. Tu, w naszym domu. Żadne frykasy, pamiętajcie, że jestem skromnym lekarzem, ale byłby to dla nas wielki honor, chcę powiedzieć: ogromna radość, gdybyście skorzystali z zaproszenia. Nie wiem, czy jest pan praktykującym judaistą. – Spojrzał na Eliasza. – Na wszelki wypadek przygotowaliśmy koszerne potrawy, zapewniam, że nie są trefne... Sam je przyrządziłem, jak kiedyś mama dla Ojczulka Pepe...

Gwałtowne wzruszenie odebrało mowę Eliaszowi Kamińskiemu i tylko skinał głową.

– No cóż... siadajcie, proszę. Tutaj, na ganku, jest chłodniej. Mirtica... – powiedział do jednej z córek – bądź tak dobra i przynieś lemoniadę.

Reszta rodziny przeprosiła grzecznie i wycofała się do swoich sekretnych kryjówek. Eliasz i Conde rozsiedli się na krzesłach, usiadł także Ricardo. Minutę później gocka dziewczyna (Yadine? Yamile? Yadira? Conde usiłował przypomnieć sobie imię na „Y”) i jej ciotka o karnacji jaśniejszej niż skóra siostry, lecz pośladkach zdecydowanie afrykańskich, czego nie omieszkiał zauważyć z podziwem Conde, postawiły na stole dzbanek i wysokie kieliszki z pięknie rźniętego kryształu.

– Coś wam powiem. Te kieliszki ofiarował pan Brandon Ojczulkowi Pepe i mojej mamie z okazji ślubu. Używamy ich tylko na specjalne okazje.

Dłuższy czas obaj Kamińscy opowiadali o sobie, by w ten sposób sprecyzować wzajemne relacje. Eliasz mówił o malarstwie, rodzinie, ostatnich dniach życia rodziców. Ricardo – o pracy w szpitalu, o radości, jaką sprawiło mu to nieoczekiwane spotkanie, i o tym, jak im się żyje w Luyanó.

– Wszyscy mieszkacie razem? – dopytywał się gość, który z wcześniejszej rozmowy się dowiedział, że w domu są tylko dwie sypialnie.

– Tak, wszyscy razem, a cóż innego nam pozostaje... Na szczęście odziedziczyliśmy ten dom. Jedną sypialnię zajmuje z mężem i dwójką dzieci Mirtica, która jest nauczycielką, a drugą Adelaida, ekonomistka, z mężem i córką Yadine. My z żoną rozkładamy na noc tapczan w salonie... Problemem jest kolejka do łazienki. Zwłaszcza kiedy Yadine szykuje się do wyjścia... – powiedział z uśmiechem.

– A nie możecie czegoś zrobić...? – Malarz nie potrafił tego zrozumieć.

– Nie. Twoim domem jest ten, który pozostawiła ci rodzina, ten, który sam wybudowałeś, jeśli miałeś na to pieniądze, albo ten, który w taki czy inny sposób dostałeś od władz. Poświęciłem się swojej pracy i miałem tyle, ile zarobiłem... od nikogo niczego nie dostałem... – Ricardo Kamiński zastanawiał się przez chwilę, czy przerwać, czy mówić dalej. Zdecydował się na to drugie. – Problem w tym, że jestem katolikiem. Jak pan słyszy: ani Żydem, ani santero. Katolikiem. Kiedy rozdawali jakieś dobra w szpitalu, mnie zawsze pomijali, bo jestem religijny, a to nie jest dobrze widziane... Cudem zdobyłem tego moskwicza. To zabawne: teraz, kiedy już niczego nie dają, nie jest ważne, w co wierzysz. Kiedy dawali, owszem. Nigdy nie ukrywałem swojej wiary. I zapłaciłem za to, bez wyrzutów sumienia. A poza tym lubię mieć rodzinę blisko siebie...

Conde, słuchając tej dobrze mu znanej i jakże typowej opowieści o zagęszczeniu lokalowym nefrologa Ricarda Kamińskiego, rozmyślał o niezmierzonej przepaści pomiędzy światem lekarza a światem Roberta Fariñasa. Przypominała ona, może w jeszcze bardziej jaskrawy sposób, przepaść, którą dostrzegł Daniel Kamiński pomiędzy własnym ubóstwem a potencjałem bogatych Żydów w Hawanie z roku 1940 i w Miami z 1958. I pomyślał też, że nawet po pięcioletnich studiach uniwersyteckich malarz Eliasz Kamiński nie potrafiłby pojąć zawiłości tej sytuacji, bo tylko ktoś, kto tego doświadczył, był – mniej lub bardziej – do tego zdolny. Losy tych dwóch spokrewnionych ze sobą ludzi potoczyły się całkowicie odmiennymi drogami, jakby zamieszkiwali w różnych galaktykach. Niemniej jednak Condego dotknąć miało wkrótce matematyczne fatum, gdy przekonał się, że w odległym zakątku nieskończoności nawet linie równoległe mogą się przeciąć.

– Nigdy nie zapomnę, nie mogę zapomnieć, że twój ojciec pierwszy zabrał mnie na mecz bejsbolowy na Estadio del Cerro. Miałem wtedy osiem albo dziewięć lat, byłem zagorzałym kibicem drużyny Almendares na w okrągło grałem w bejsbol na placykach Starej Hawany. Daniel jeszcze się nie ożenił i nie wyprowadził z domu, ale już był narzeczonym Martiki. Pewnego razu, w sobotę rano, kiedy wychodziłem z kamienicy, żeby sobie pograć, zawałał mnie i zapytał, czy widziałem kiedyś team Almendares na boisku. Odparłem, że nie, pewnie, że nie. A on na to, że po południu ich zobaczą: mam się wykąpać i powiedzieć matce, żeby przygotowała mnie do wyjścia, bo razem pójdziemy na stadion... Chociaż Mariano Daniela wygrali, był to chyba najszczęśliwszy dzień w moim życiu. Zawdzięczam to jednemu z Kamińskich. Nie masz pojęcia, jaki byłem dumny, kiedy wróciłem do domu w niebieskiej czapce Almendares, którą mi kupił Daniel...

Mama i ja mieliśmy dużo szczęścia, że poznaliśmy twojego stryja i twojego ojca. No, przede wszystkim stryja, który wówczas związał się z moją matką i dał jej to, czego nigdy nie zaznała: szacunek. A mnie ofiarował coś, co według niego miało uczynić bogaczem: możliwością studiowania. Po latach, kiedy matka i Joseph wreszcie się pobrali, już nie nazywałem się Ricardo Sotolongo, bo jako dziecko z prawego łóża zyskałem nowe nazwisko, jak Bóg przykazał: Kamiński Sotolongo. Ale jeszcze zanim oficjalnie został moim ojcem, nazywałem go Ojczulkiem Pepe. A twój ojciec zawsze mówił do mnie „kuzynie”. Dzięki niemu czułem się częścią rodziny, której nigdy nie miałem...

Kiedy Daniel wyjechał z Kuby, Ojczulek Pepe postanowił zostać ze względu na nas. Odmówił też opuszczenia Wyspy w sześćdziesiątym roku, kiedy Brandon zaoferował mu stanowisko współnika w warsztacie, który otwierał w Nowym Jorku. Wiedział, jak cholernie ciężkie jest życie czarnych w Stanach Zjednoczonych, i dlatego został tu z nami. Został też dlatego, że nie miał już sił, by zaczynać wszystko od początku. Kiedy zachorował, a potem umarł, w sześćdziesiątym piątym, mieliśmy z mamą poczucie, że straciliśmy najważniejszą osobę w naszym życiu. Wtedy twój ojciec, Daniel, powiedział, że jeśli chcemy, to załatwi nam zaświadczenie, że mama jest wdową, a ja synem polskiego Żyda, i będziemy mogli zamieszkać z nim i z Marticą. Sytuacja w kraju była trudna, ale ja właśnie kończyłem studia, więc żyliśmy nadzieją, że będzie lepiej, i nie chcieliśmy się przeprowadzać. Byliśmy jednak wdzięczni Danielowi, że o nas pamiętał, jakbyśmy należeli do rodziny... Dlatego zawsze sobie wyrzucałem, że straciliśmy kontakt z twoim ojcem i z Marticą, bo przyjąłem za dobrą monetę te idiotyzmy, które nam wmawiano, że ci, którzy wyjechali, są wrogami i nie należy utrzymywać z nimi stosunków... No tak, działanie pod przymusem. I człowiek się na to godzi... dopóki się nie zbuntuje i nie powie dość, nawet za cenę usunięcia z plemienia.

Parę lat później mama zachorowała i odeszła. Ona, która nigdy nie tknęła nawet piwa, miała zaawansowaną i szybko postępującą marskość wątroby. Pewnej nocy, kiedy już wiedziała, że zbliża się koniec, powiedziała, że musi opowiedzieć pewną historię, którą, dodała z naciskiem, powinienem poznać... A z tego, co mi teraz mówisz, wnioskuję, że ty także... pokazuje bowiem, jakim człowiekiem był Joseph Kamiński i jak wiele znaczył dla niego bratanek Daniel.

Lekarz odetchnął głęboko i gestem, który przywodził na myśl ścieranie brudu z rąk, wytarł dłonie o nogawki kremowych spodni. Conde zauważył, że oczy mu zwilgotniały, jakby na wspomnienie jakiejś dotkliwej udręki. Eliasz Kamiński poruszał ustami, wykrzywionymi w bolesnym, niespokojnym grymasie.

– Ojczulek Pepe zabił tego człowieka, tego Romana Mejiasa. Żeby twój ojciec, a jego bratanek, nie musiał tego robić. Zadźgał go nożem do cięcia skóry... Narażał się na rozstrzelanie, na gnicie w więzieniu, na śmierć z ręki Mejiasa, na rozszarpanie przez ludzi Batisty. Zabił, żeby przed tym wszystkim ocalić Daniela. Starszerek dobrze wiedział, co robi, mówiła matka, ponieważ nie tylko rzucił wyzwanie wymiarowi sprawiedliwości i ludzkiej furii, ale także utracił przebaczenie swojego Boga, który choć uświęcił zemstę, ustanowił nieodwołalne przykazanie: nie zabijaj. Dobrze go znałem, znałem jego wrodzoną dobroć i nie mogę sobie wyobrazić, jak mógł wejść do domu tego człowieka, zadać mu kilka ciosów nożem, a potem poderznąć gardło, niemal obcinając głowę. Ale rozumiem jego racje. Pchnęła go do tego nie tyle nienawiść do człowieka, który oszukał jego rodzinę, odesłał do Europy na kaźń

i śmierć, ile miłość do bratanka. Tylko bardzo zacny i szlachetny człowiek byłby gotów na takie poświęcenie i zatracenie najświętszej części swojego duchowego życia, które tak wiele dla niego znaczyło. Dlatego też, jak sądzę, żył w pokoju aż do końca. Wiedział, że nie ma zbawienia dla jego duszy, ale umarł szczęśliwy, że dotrzymał słowa danego kiedyś bratu, ojcu Daniela: za wszelką cenę chronić jego syna, jakby chodziło o własne dziecko. I tak uczynił.

Eliasz Kamiński słuchał lekarza, wpatrzony w ceramiczne płytki na ganku, przeżarte wilgocią i solą. Definitywnemu potwierdzeniu niewinności jego ojca towarzyszyło ujawnienie ofiarności człowieka, który w imię miłości i obowiązku stał się bezwzględnym mordercą i dobrowolnie, w pełni świadomie, sam się skazał na potępienie. Mario Conde, obserwując reakcje obu mężczyzn, których, choć należeli do różnych światów, spowinowaciła nieskończona dobroć Pepe Sakiewki, postanowił zaryzykować i brutalnie wkroczyć na scenę, by dotrzeć do najdalszych zakamarków tej przykładowej historii.

– Panie doktorze... – Milczał chwilę, po czym spytał: – Czy pańska matka, Caridad, wspominała coś o obrazie, który Mejías wyłudził od brata Josepha?

Ricardo Kamiński przytaknął, ale nie odpowiedział od razu.

– Ojczulek Pepe zabrał go z tamtego domu. Tym samym nożem, którym zabił, wyciął płótno z ram i schował pod koszulę. W tym momencie to on był jego prawowitym właścicielem, a ponieważ obraz ów był jedyną rzeczą, jaka wiązała Kamińskich z Mejiasem, uznał, że nie chce go mieć, i spalił w palni na patio. Nie obchodziło go, że obraz wart był mnóstwo pieniędzy. Już ich nie potrzebował, nie ocaliłyby jego rodziny... Matka nie odważyła się mu powiedzieć, że spalenie czegoś tak wartościowego to czyste szaleństwo. Milczała, bo to była jego własność i jego decyzja, więc należało to uszanować. Wiedziała, że ów czyn choć trochę przywrócił spokój duszy Ojczulka Pepe...

Kiedy Ricardo Kamiński wyjaśniał racje i radykalną decyzję przybranego ojca, Eliasz, znów szarpiąc nerwowo kucyk, podniósł głowę i spojrzał na Condego. Były policjant czuł, jak w obliczu rewelacji lekarza gwałtownie wali mu serce.

– A więc spalił obraz Rembrandta?

– Owszem, tak mi powiedziała matka.

– Zrobił tak, chociaż przypuszczał, że to Rembrandt i kosztuje fortunę?

– To był Rembrandt i kosztował fortunę – przyznał lekarz, nie rozumiejąc intencji tych pytań, a może sądził, że jego rozmówca cierpi na chwilowe zaburzenia umysłu, wywołane poważną infekcją dróg moczowych.

– Skąd o tym wiedział? – nalegał Conde.

– Skoro mówię, że wiedział, to wiedział! To był portret Żyda podobnego do Chrystusa. Oglądał go wielokrotnie w swoim krakowskim mieszkaniu.

– I oczywiście przed spaleniem obrazu nie pokazał go żadnemu ekspertowi?

Ricardo Kamiński wyczuł narastający niepokój Condego.

– Oczywiście, że nie, ale sam nie wiem... Jak miałyby...? O co panu chodzi?

Conde zerknął na Eliasza Kamińskiego, który zrozumiał, że teraz kolej na jego wyjaśnienia.

– Rzecz w tym, że oryginał tego obrazu został właśnie wystawiony na aukcji w Londynie i ma zostać sprzedany. Oczywiście z certyfikatami autentyczności... Stryj Joseph sądził, że zabrał i spalił oryginał, ale to była kopia.

Ricardo kręcił niepewnie głową, nie mogąc wyjść ze zdziwienia.

– To straszne – dodał Eliasz – że stryj był przekonany, że zniszczył oryginał, obraz wart fortunę. Ale on o to nie dbał. Myślał tylko o tym, jak uchronić swoją rodzinę.

Piwo i wino przyniesione przez Eliasza Kamińskiego znacznie przyczyniło się do osłabienia formalizmu w zachowaniu jego kubańskich przyszywanych krewnych stłoczonych przy stole, który zajmował

całą jadalnię domku w Luyanó. Ku zdumieniu malarza serwowane dania były kubańskimi wariacjami na temat starych żydowskich i polskich przepisów kulinarnych, chociaż nie brakowało też czarnej fasoli, uznawanej przez wszystkich Kamińskich, z krwi lub nazwiska, za ulubiony przysmak.

W rogu jadalni pomrukiwała solidnie wyglądająca, choć już mocno odrapana, stara lodówka Frigidaire, którą Daniel i Marta w 1955 roku podarowali Josephowi Kamińskiemu, kiedy wynajmował dom. Obok stała witryna z talerzami i kieliszkami ze szlachetnego czeskiego szkła, prezent od potentata Brandona. Na niej Eliaz dostrzegł drewniany krucyfiks i chanukiję, ośmioramienny świecznik, przywieziony z Krakowa przez Josepha Kamińskiego, związany z obrzędem odprowadzającym co roku podczas święta Chanuka przez stryja, który każdego dnia zapalał jedną świeczkę na pamiątkę odzyskania Świątyni przez Machabeuszy. Z rozmowy Kamińskich o świeczniku i krucyfiksie Conde dowiedział się, że pod wpływem dziadka Daniela syn Eliasza, Samuel, poprosił ojca o ceremonię obrzezania i uroczystość inicjacji bar micwa w nowojorskiej synagodze. Z własnej woli powrócił do stada wnuk człowieka, który doświadczony przez los nigdy już nie uwierzył w istnienie Boga. Żadnego boga.

– A co trzeba zrobić, żeby zostać żydem? – dopytywała się Yadine (tak, nazywała się Yadine), najwiśdziej zainteresowana wszelkimi osobliwościami.

– To bardzo skomplikowane, lepiej nie pytaj – wtrącił się jej dziadek.

– A żeby zostać prywatnym detektywem na Kubie? – pytała dalej młoda gotka, patrząc na Condego.

– To jeszcze trudniejsze, niż zostać Żydem – odrzekł na to, a wszyscy z wyjątkiem Yadine wybuchnęli śmiechem, więc poczuł się zmuszony do wyjaśnienia: – Nie jestem detektywem. Byłem policjantem... Teraz jestem nikim.

Około północy nastąpiło pożegnanie, które po wielu godzinach coraz bardziej spontanicznego spotkania było radosne, pełne emocji i obietnic podtrzymania kontaktów. Eliaz musiał przyrzec, że wróci na Wyspę ze swoimi dziećmi, Samuelem i Esterą, żeby mogli poznać kubańską rodzinę i żeby wszyscy razem mogli pójść na mecz bejsbolu na hawański stadion, tam, gdzie przed laty błyszczał Orestes Miño.

Kiedy wynajętym przez malarza samochodem jechali do Tamary, Eliaz Kamiński zakomunikował Condemu, że następnego dnia wraca do Stanów Zjednoczonych.

– Wynajmę prawników, żeby zrobili wszystko co konieczne i odzyskali dzieło Rembrandta. Podjąłem już decyzję: nie dopuszczę do tego, żeby obcy ludzie wzbogacili się na sprzedaży tego obrazu. Ludzie, którzy spaprali życie mojej rodzinie...

– A jeśli go odzyskasz, to podarujesz muzeum żydowskiemu albo jakiejś innej galerii, tak jak mówiłeś?

– Oczywiście. Teraz bardziej niż kiedykolwiek – odparł Eliaz, trochę bełkotliwie z powodu wypitego alkoholu.

– To bardzo pięknie z twojej strony... a nawet chwalebnie, i przynosi zaszczyt rodzinie. Ale pozwolisz, że coś ci powiem?

Eliaz wyjął camela z paczki, którą trzymał w kieszeni swojej markowej koszuli od Guessa. Ile paczek się mieści w tej cholernej kieszeni? To ta sama koszula, którą miał pierwszego dnia, czy też ma kilka podobnych? Potem poszukał zapalniczki i przypalił sobie papierosa. Dym ulotnił się przez otwarte okno i przepadł w oparach nocy.

– Słucham – powiedział w końcu.

– Kto mówił, że gdy kogoś dotknie nieszczęście, powinien się modlić, jakby pomoc mogła nadejść wyłącznie ze strony Opatrzności, ale zarazem musi działać tak, jakby jedynie on sam mógł zarządzić nieszczęściu?

– Stryj Joseph powtarzał to mojemu ojcu...

– Stryj Joseph, najbardziej żydowski spośród was wszystkich, był cholernym pragmatykiem...! Nie sądzisz, Eliazu, że ten chwalebny i symboliczny gest podarowania obrazu to, jak mówimy na Kubie, jedno wielkie gówno? Będzie się znakomicie prezentował w tym muzeum, upamiętni jedną żydowską rodzinę zamordowaną w czasach Holokaustu. Ale, do diabła, co z żywymi, stary? Wyobrażasz sobie,

jak wyglądałoby życie tych ludzi, u których byliśmy, gdyby dostali choć drobny ułamek tej sumy? Na pewno sobie wyobrażasz... Mogę mówić dalej?

– Tak, słucham cię – powiedział Eliasz, wpatrując się zza kierownicy w jezdnię.

– Ten obraz należy w równym stopniu do ciebie i do Ricarda Kamińskiego. Z prawnego punktu widzenia jest synem Josepha. Więcej, uważam, że jest bardziej jego niż twój, chociaż nie przysłoby mu do głowy upominać się o to, bo jest prawym człowiekiem. Wdzięczność, jaką do ciebie żywi, nigdy by mu na to nie pozwoliła... Uważasz, że skoro w twoich żyłach płynie krew Kamińskich, ty jeden masz prawo decydować? Po tym, co dzisiaj usłyszałeś? Czyżbyś nie miał jaj, że jesteś aż takim egoistą?

Eliasz wyrzucił przez okno wypalonego do połowy papierosa. Pokręcił głową.

– Czy wszyscy w tym kraju muszą kopać mnie w dupę?

– Widać taki twój los... Wyjedziesz stąd nieźle poobijany.

– Tak... A przeznaczeniem Ricardita jest być większym dupkiem, jak to mówisz, niż stryj Joseph. Uważasz, że przyjmie pieniądze za obraz, skoro odmówił wzięcia dwustu dolarów, które chciałem mu dać?

– Jest kolosalna różnica między jałmużną a prawem do czegoś. Jedyne, co posiada Ricardo Kamiński, to jego godność i duma.

– Więc sądzisz, że...?

– Już ci powiedziałem, co o tym sądzę. Teraz ty musisz osądzić, co dalej i co naprawdę się liczy.

Na hotelowym tarasie zamówili dwie kawy i rum Añejo na pożegnanie. Mario Conde, od tyłu dni uwikłany w pogmatwane historie wypełnione winą i pokutą pewnej żydowskiej rodziny, miał wrażenie, że po odkryciu prawdy zostało mu w kieszeni sześćset dolarów, a w duszy poczucie pustki.

– Weź ten list – podał Eliaszowi Kamińskiemu kopertę. – To dla Andresa.

– Nie piszesz do niego mejli?

– A co to jest? – zapytał Conde.

Eliasz uśmiechnął się z żartu, choć to wcale nie był żart. Bez wątpienia Eliasz Kamiński był cudzoziemcem w każdym calu.

– Oddam mu, jak tylko przyjadę... Muszę mu też podziękować za pomoc, za twoją pomoc.

– Nic nie zrobiłem. Tylko słuchałem ciebie i porządkowałem twoje myśli. Tak, wiem o tobie prawie wszystko, ale nie to co najważniejsze.

– To co najważniejsze?

– Tak... nie mówiłeś nic o swoim malarstwie. Co ty, do cholery, malujesz? Nie mów, że w stylu Rembrandta...

Eliasz Kamiński się roześmiał.

– Nie... Maluję miejskie pejzaże. Domy, ulice, mury, schody, zakątki... Zawsze bez ludzi. To jakby miasta po totalnym holokaucie.

– Nie malujesz ludzi, bo to zabronione Żydom?

– Nie, nie, to już mało kogo obchodzi... Chcę ukazać samotność współczesnego świata. W istocie w tych pejzażach pojawiają się ludzie, ale są niewidzialni, stali się niewidoczni. Pożarło ich miasto, wyssało z nich osobowość, a nawet cielesność. Miasto to więzienie współczesnej jednostki, prawda?

Conde przytaknął, delektując się swoim añejo.

– A gdzie niewidzialni odnajdują wolność?

– Wewnątrz siebie. W miejscu, którego nie widać, ale ono istnieje. W duszy każdego z nas.

– Interesujące... – stwierdził Conde, zaintrygowany, ale nie całkiem przekonany. Rozmowa sprawiła, że przypomniał sobie o czymś, co nie dawało mu spokoju. – A ten sefardyjski Żyd, który wędrował po

Polsce, twierdząc, że jest malarzem. Wiesz może, co malował? I co, u diabła, robił w Polsce, kiedy mordowano tam Żydów?

– Nie mam pojęcia... Nawet jego imię jest nieznane. Ale... Czytasz po francusku?

– Dużo czytałem, kiedy byłem w Paryżu. Śniadanie zawsze jadałem w Café de Flore, kupowałem „Le Figaro”, kąpałem się w Sekwanie i włóczyłem to tu, to tam, z Sartre’em i Camusem pod rękę...

– A idź w cholerę – powiedział Elias, kiedy uświadomił sobie, że Conde z niego kpi. – No więc jest taka książka, napisana po hebrajsku, ale istnieje przekład francuski pod tytułem *Le fond de l’abîme*. To pamiętnik pewnego rabina, niejakiego Hannovera, który był świadkiem masakry Żydów w Polsce w latach tysiąc sześćset czterdzieści osiem – pięćdziesiąt trzy... Lektura, jak wy to mówicie, dołująca. Jeżeli to przeczytasz, będziesz mógł się domyślić, jaki los czekał tego Żyda. Przyślę ci egzemplarz...

– A co malował ten sefardyjczyk?

– Jeżeli rzeczywiście terminował u Rembrandta i zostawił Mosze Kamińskiemu portret żydowskiej dziewczyny, tak, mogę sobie wyobrazić, co malował i jak malował.

– To znaczy...

– Rembrandt miał magnetyczną moc – zaczął Elias. – Ale też trochę terroryzował swoich uczniów. Zmuszał ich, żeby malowali według jego zamysłów, które czasem były czytelne, ale czasem też nieklarowne, co widać w jego dziełach. Rembrandt nieustannie poszukiwał, całe jego życie było poszukiwaniem, aż do końca, kiedy zmagął się z *fuacata* i odważył się malować ludzi pozbawionych oczu, jak w *Sprzysiężeniu Claudiusa Civilisa*... Miał jednak klarowną ideę związku między człowiekiem a jego wyobrażeniem na obrazie. Widział to w postaci dialogu artysty z przedstawioną postacią i modelem. A także jako uchwycenie chwili, która ulatuje w przeszłość i wymaga utrwalenia w teraźniejszości. Cała moc jego portretów zawarta jest w oczach, w spojrzeniach. Czasem jednak posuwał się dalej... i malował postaci bez oczu, co nadawało obrazowi jeszcze większą siłę wyrazu. Ale w tym szkicu do portretu młodego Żyda, być może jego ucznia, spojrzenie jest głównym motywem. Ten kawałek płótna to arcydzieło. Bardziej niż oczu, ich wyrazu, Rembrandt, podobnie jak w wizerunku jego przyjaciela Jana Sixa i niektórych autoportretach, szukał człowieczej duszy, czegoś nieprzemijającego, szukał i znalazł... Być może tego właśnie nauczył się od mistrza ów Żyd heretyk i przeniósł na swoje obrazy... Tak mi się wydaje.

– Stał się heretykiem, bo malował? – upewnił się Conde.

– Tak, pogwałcił prawo, bardzo rygorystyczne w tamtej epoce... Ale niewykluczone, że umarł jak mój stryj, bez wyrzutów sumienia... Nikt nikogo nie może zmusić do malowania. Skoro został malarzem, to, rzecz jasna, kierował się swoją wolną wolą. A czynił to ni mniej, ni więcej, tylko u boku samego Rembrandta. Tak to sobie wyobrażam.

Conde przytaknęła, dopił kawę i zapalił papierosa.

– Ten Żyd prawdopodobnie został potępiony za malowanie ludzkich postaci. A ciebie, który jesteś prawie Żydem i masz gdzieś potępienie, malowanie ludzi nie interesuje. Popieprzone to jakieś...

– Nigdy się nie wie, dlaczego jest się malarzem i dlaczego się nim nie jest. I czemu maluje się tak, a nie inaczej, żeby nie wiem jak to tłumaczyć... Matce podobało się moje malarstwo. Ojcu nie. Dla niego zawsze najważniejsi byli ludzie.

– Twój ojciec pozostał jednym z nas. Ludzie, rozgardiasz, przyjaciele, bejsbol, czarna fasola, kobiety grające na flecie albo saksofonie...

– Nie jesteś przypadkiem Żydem? – Elias się uśmiechnął.

– Kto wie... więc moja żydowska natura każe mi zapytać: co masz w końcu zamiar zrobić, gdy odzyskasz obraz?

Elias Kamiński spoznał głęboko w oczy sprzedawcy używanych książek. Podniósł kieliszek i jedynym haustem wypił resztkę rumu.

– Do tego celu wiedzie wiele dróg. Ale zapewniam cię, że cokolwiek się stanie, ty pierwszy się o tym dowiesz.

– No dobrze – powiedział Conde. – Obyś tylko nie postąpił jak dupek...

Pomysł, który od kilku dni chodził chudemu Carlosowi po głowie, czekał tylko stosownej okazji, by się urzeczywistnić. Dowiedziawszy się, że Conde zakończył swoje żydowskie zlecenie, Chudzielec, spragniony najświeższych wiadomości o rezultatach poszukiwań, odwołał się do swoich talentów organizatorskich: o piątej po południu przyjaciele dotarli na plażę Santa María del Mar na pokładzie przepastnego chevroleta Bel Air Yoyiego Gołębia oraz autem wynajętym przez Dulcitę, prawną eksnarzeczoną Carlosa, która niedawno przyleciała z Miami.

Dla Chudzielca okazją do spędzenia ostatnich godzin gasnącego dnia na plaży, skąd można było podziwiać spektakl znikania słońca za morskim horyzontem, oznaczała coś więcej niż tylko kaprys czy zwykłą zachciankę: była pomostem łączącym go z młodym człowiekiem, jakim był niegdyś, człowiekiem z dwiema sprawnymi nogami, jak większość ludzi – grającego w squasha na pobliskich boiskach, biegającego po piasku, pływającego w morzu. Dlatego też wszyscy przyjaciele zaakceptowali jego propozycję i ochoczo przystali na plażowe popołudnie, zaopatrzywszy się wcześniej w niezbędne napoje.

Kiedy dotarli do celu, wrześnie słońce nadal mocno grzało. Conde, Królik, Candito i Yoyi podnieśli Chudzielca, którzy ważył już naprawdę sporo, i wraz z jego tronem zataszczyli nad brzeg morza, wyścieczeni i złani potem. Tamara i Dulcita zajęły się transportem plastikowych termosów z napojami, a potem rozłożyły na piasku płócienne plandeki.

Conde relacjonował epizody swoich poszukiwań, a słońce tymczasem weszło w końcową fazę dziennego obiegu, więc gdy nieliczni już ludzie zeszli z plaży, przyjaciele mieli cały teren tylko dla siebie. W tym opustoszałym miejscu członkom plemienia, będącym pod wrażeniem historii o miłości i śmierci, wydawało się, że czas się zatrzymał, wręcz zaczął się cofać. Owo konsylium fundamentalistycznych miłośników przyjaźni, nostalgii, wspólnych przeżyć dało dobroczynny rezultat, albowiem pozwoliło zapomnieć o cierpieniach, utratkach, frustracjach teraźniejszości i przenieść jego uczestników na nieujarzmione ziemie najpiękniejszych wspomnień.

Funkcję katalizatora tego procesu pełnił trunek. Niestety, ani Dulcita, której wpojono w Ameryce surowe przestrzeganie dekalogu kierowcy, ani Yoyi, zatroskany o swój klejnot na czterech kółkach, ani Candito, z racji swoich konszachtyw z zaświatami, ani Tamara, mająca za słabą głowę na zakupiony przez męską część wycieczki rum, prawie tak mocny jak haitańska „siekiera”, nie ulegli alkoholowej pokusie, której bez oporu oddali się Conde, Chudzielec i Królik, by szybko osiągnąć pożądany stan, pozwalający na beztrudne pieprzenie głupot. Tematem dnia były, rzecz jasna, perspektywy, jakie by się przed nimi otworzyły, gdyby Rembrandt należał do nich i mogli go sprzedać. Za ile? Dwa miliony?

– Jak się sprzeda za pięć, będzie dobrze, ale lepiej, żeby poszedł za siedem – stwierdził Carlos.

– Siedem? Po cholere aż tyle? – zdziwił się Królik.

– Nigdy za wiele, *man*, nigdy – wtrącił Yoyi, najbardziej buchalteryjny w grupie.

– Siedem, bo wychodzi po milionie na łebka, co nie?

– Siedem, okej, siedem baniek – przyznał Conde. – Ale ani grosza więcej, stary. Ci bogacze nie znają umiaru...

– Conde – zapytał Candito – naprawdę powiedziałeś temu malarzowi, że pomysł ofiarowania obrazu dla muzeum holokaustu jest do dupy?

– Jasne, Ryży, że mu tak powiedziałem. Do jasnej cholery! Po tym, co ta rodzina przeszła z powodu tego obrazu i co nadal przeżywa, coś im się chyba należy, nie?

– A mnie się podoba pomysł, żeby pieniądze dostał lekarz i jego rodzina – osądziła Tamara z właściwym jej poczuciem życzliwości dla innych.

– Kubańscy milionerzy! Za połowę tej forsy można by wykupić całe Luyanó! – stwierdził Yoyi, ale zaraz się poprawił. – Nie, lepiej nie kupować gówna...

– Jednego nie rozumiem – powiedziała Dulcita. – To kto miał ten obraz przez cały czas?

– Ktoś z rodziny Mejjasa... – wysunął przypuszczenie Conde.

– Warto by było wiedzieć – zauważyła Tamara.

– Wszystko dobrze, ale... wracając do pieniędzy... Ja tam bym niczego nie dzielił – stwierdził Królik, otrzepując ręce z piasku. – Całą forszę zachowałbym dla siebie, kupiłbym jakąś wyspę, zbudował zamek, nabył jacht i... wszystkich was bym tam zaprosił... i rodzinę tego lekarza też. Z doktorem Kamińskim i Tamarą mamy zapewnioną bezpłatną opiekę medyczną; z ekonomistą Kamińskim centralne planowanie; z córką nauczycielką – uniwersytet ludowy, nasz Conde byłby tam bibliotekarzem, Yoyi administratorem, Chudzielec księciem wyspy, Dulcita księżniczką, Candito biskupem, a ja królem... Jak ktoś będzie niegrzeczny, to mu skopię tyłek.

– I stąd się biorą tyrani – zawyrokowała Dulcita. – Ale nie powiem, podobałaby mi się taka praca na wyspie skarbów.

– A ty, Conde? Co byś zrobił, gdybyś miał siedem milionów? – dopytywała się Tamara.

Conde przyglądał się jej z uwagą. Wstał, po czym wykonał przed publicznością kilka teatralnych gestów.

– Skąd, do diabła, mam to wiedzieć? Patrzcie... – Włożył rękę do kieszeni i wyjął z niej sześćset dolarów otrzymanych za wykonanie zlecenia. – Skoro nie wiem, co mam zrobić z tym.

Zaczął rozdawać przyjaciółom studolarowe banknoty.

– Prezencik na koniec roku... – powiedział.

– We wrześniu? – Dulcita usiłowała nadać owemu przedstawieniu pozory rozsądku.

– No to z okazji urodzin Królika, już za parę dni...

– Nic nie mów, dziewczyno, jemu kompletnie odbiło – zauważył Yoyi.

– Nawet nie, on jest po prostu większym dupkiem niż ten malarz – orzekł Carlos, który w oparach alkoholu i z banknotem w dłoni doznał nagłego olśnienia. – O kurwa, patrzcie, słońce się kładzie.

Na horyzoncie tarcza słoneczna dotykała już gładkiej powierzchni morza.

– Słuchaj, cioto – wyrzaskiwał Conde w stronę słońca. – Przyszliśmy cię przywitać, a ty co, dupę w troki, bez pożegnania?

Podsakując raz na jednej, raz na drugiej nodze, zrzucił buty i wsparł się chybottliwie na kolanach Carlosa, żeby zdjąć skarpetki. Rozpiął koszulę i cisnął ją na piasek. Przyjaciele patrzyli na niego zaintrygowani. Candito, bystry z natury, pierwszy domyślił się jego zamiarów.

– Słuchaj, jesteś już chyba na to za stary... – zaczął, ale Conde, nie zwracając nań uwagi, już zdążył ściągnąć spodnie, rzucił na koszulę zegarek i został w samych majtkach. Zrobił parę kroków w stronę morza, po czym zdjął także majtki, odsłaniając wychudłe uda, tylko nieco bledsze od reszty ciała.

– Ale szkaradny tyłek! – stwierdził Królik.

– Poczekaj na mnie – krzyknął Conde w stronę słońca i pozbywszy się ostatniej części garderoby, ruszył w stronę złocistej kuli, która znad ostatniej widocznej krzywizny planety rozrastała się po falach oceanu, by zemrzeć na piaszczystym brzegu marzeń, wspomnień i nostalgii. Z głębi pijackiego wiru pustoszącego jego umysł dobiegły go w tym właśnie momencie, podążając nieprzewidywalnymi ścieżkami myśli, słowa konającego człowieka z przyszłości: „Widziałem rzeczy, którym wy, ludzie, nie daliście wiary. Statki szturmowe w ogniu sunące nieopodal Ramion Oriona. Oglądałem promieniowanie skrzące się w ciemnościach blisko Wrót Tannhäusera. Wszystkie te chwile zostaną stracone w czasie jak łzy w deszczu”¹⁷.

Nagi człowiek wszedł do morza, wpatrując się w słońce, gotów powstrzymać jego upadek, kres dnia, nadejście ciemności. Zdecydowany zatrzymać czas i ocalić ich wszystkich przed zatruciem.

KSIĘGA ELIASZA

Eliasz Ambrosius Montalbo de Ávila z trudem znosił tnące jak brzytwa porywy wilgotnego wiatru, który szukając ujścia do Morza Północnego, hulał nad kanałem Zwanenburgwal, smagał skórę na policzkach i chłostał usta, jedyne części ciała wystawione na chłody miasta. Stojąc w śniegu po kostki, ze zgrabiętymi od mrozu palcami, młody człowiek już piąty poranek z rzędu trwał na swoim stanowisku i aby zapomnieć o dotkliwym zimnie, wspominał dramatyczne dzieje i nauki swojego dziadka Beniamina, a także lekcje, których udzielał czupurny profesor, chacham Ben Izrael. Jak bowiem nigdy dotąd w swoim życiu Eliasz Ambrosius potrzebował tego wsparcia, aby odważyć się na desperacki krok i tym samym, co było jego obsesją, podjąć walkę o życie, którego pragnął, gotowy ponieść wszelkie konsekwencje zuchwałej decyzji. Decyzji, która z całą pewnością odmieni jego życie i być może doprowadzi go do zguby.

Tyle razy słuchał opowieści o ucieczce dziadka i jego radości po przybyciu do Amsterdamu, że mógł odtworzyć w wyobraźni każdy szczegół perypetii Beniamina, babki Sary (przebranej za mężczyznę, choć już od sześciu miesięcy nosiła w brzuchu przyszłą ciotkę Anę) i ojca, Abrahama, naówczas siedmioletniego (owiniętego niczym bela od stóp do głów). Uciekinierzy odbyli podróż czterdzieści lat wcześniej w cuchnącej ładowni angielskiego statku („Śmierdziała żywicą i solonymi rybami, potem, kałem i cierpieniem zniewolonych Murzynów”), który przepływał opodal Lizbony w drodze do Nowego Jeruzalem, gdzie uchodźcy zamierzali odzyskać wiarę swoich przodków. Wydarzenie to, z czasów, kiedy Beniaminowi Montalbie jeszcze nie przyszłoby nawet do głowy, że zostanie czymś dziadkiem, było kamieniem milowym w losach rodziny, która – ufna, że Bóg ochoczo sprzyja tym, co walczą, a nie tym, co się poddają – wiedziała, jak zmagając się z trudami i niebezpieczeństwami życia, osiągnąć w tym świecie wytyczony cel.

Beniaminowi Montalbie de Ávila zawdzięczał młody człowiek przede wszystkim to, co uznawał za pryncypium w życiu. Starzec, człowiek uczony mimo swojego nomadycznego losu, skory do wypowiedania mądrych sentencji, wielokrotnie mu powtarzał, że istota ludzka może stać się najsprawniejszym i najwytrwalszym narzędziem Stworzenia, jeśli tylko wystarczająco mocno wierzy w Przenajświętszego, ale też, co najważniejsze, jeśli ma niezachwiane zaufanie do samego siebie i ambicję konieczną do osiągnięcia najtrudniejszych i najszczytniejszych celów. Albowiem, zwykł podkreślać z naciskiem dziadek w niekończących się monologach wygłaszanych każdego piątkowego wieczoru w rodzinnym i radosnym oczekiwaniu na majestat Szabatu – „Szabat szalom!” – człowiek niewiele może zdziałać bez Boga, jako i niczego nie zdoła dokonać Stwórca w ziemskich sprawach bez woli i rozumu swojego wielce nieokiełznanego płodu... Z powodu owego przekonania, dowodził krojczy Beniamin, trzy pokolenia rodu Montalbo de Ávila podołały dotkliwym upokorzeniom zesłanym przez najbardziej zaborcze ziemskie moce, które nastawały na nich, by pozbawić ich wiary, a nawet jestestwa („Najsampierw jednak naszego majątku, nie zapominaj o tym, synu, a potem dopiero naszej religii”). Jedyne, co mocno podkreślał, dzięki swojej wytrwałości i uporowi on sam, zrodzony i po chrześcijańsku ochrzczony jako João Monte, on sam, bił się w piersi, aby nie było co do tego żadnych wątpliwości, zdołał sforsować warowne mury wzniesione przez nietolerancję i wyruszyć któregoś dnia na poszukiwanie wolności, a wraz z nią swojego Boga i egzystencji, której w jedności z Przenajświętszym zapragnął. Tak tedy, w wieku trzydziestu trzech lat, narodził się na nowo jako Beniamin Montalbo de Ávila, którym zawsze być powinien.

Z kolei Eliasz Ambrosius nauczył się od swojego preceptora, chachama Menasze Ben Izraela, największego mędrca pośród wielu Żydów osiadłych wówczas w Amsterdamie, że każdy czyn w życiu jednostki ma wymiary kosmiczne. „Spożywanie chleba też, chachamie?”, któregoś dnia ośmielił się zapy-

tać mały jeszcze Elias, kiedy była o tym mowa na lekcjach. „Tak, również spożywanie chleba... Pomyśl tylko o nieskończonych przyczynach i następstwach przed tą czynnością i po niej: dla ciebie i dla chleba”, odparł mędrzec. Eliasz przejął poza tym od chachama radosne przekonanie, że dni naszego życia są niczym hojny prezent, który trzeba smakować, raz po raz, ponieważ śmierć substancji fizycznej, jak dowodził z wysokości swojej katedry, oznacza tylko utratę oczekiwań, które już dokonały żywota. „Śmierć nie oznacza końca”, mówił nauczyciel. „Do śmierci prowadzi zamieranie naszych pragnień i trosk. A ta śmierć jest ostateczna, kto bowiem umiera w ten sposób, nie może liczyć na powrót w dniu Sądu... Przyszłe życie tworzy się tutaj, w naszym świecie. Między jednym stanem a drugim istnieje wspólna więź: pełnia, świadomość i godność, z jaką przeżyliśmy nasze życie, pozornie tak krótkie, ale w istocie tak transcendentne i wyjątkowe jak... jak chleb”.

Ale Elias Ambrosius nie tylko z powodu zimna i dla dodania sobie animuszu oddawał się w tych dniach rozmyśleniom o poglądach dziadka ze strony ojca i o naukach swojego niezmiennie nieortodoksyjnego profesora: w rzeczywistości Elias Ambrosius, chociaż przekonany do swoich racji, robił tak, ponieważ się bał.

Szukając schronienia pod daszkiem i ścianą budki śluzowej, nie bacząc na fetor, który bryza wzniewiała w ciemnych wodach kanału, młody człowiek gromadził w myślach argumenty na swoją korzyść i jednocześnie ani na chwilę nie tracił z oczu domu po drugiej stronie ulicy, wpatrzony w drewniane, pomalowane na zielony kolor drzwi i w okna o szybach w ołowianych ramach, usiłując dostrzec jakiegokolwiek oznaki ruchu, co i tak było skazane na niepowodzenie, szyby bowiem były zaporowane. Obserwując dom, Elias doszedł do wniosku, że skoro Mistrz nie wychodził w ciągu ostatnich pięciu dni, powinien pojawić się na progu dzisiaj rano albo jutro o tej samej porze. Albo pojutrze. Był pewien, że Mistrz znów pracuje („Kończy jakieś zlecenia i maluje kolejny portret swojej zmarłej żony”), bo tak mu powiedział chacham Ben Izrael, zatem wyczerpie mu się zapas olejów i pigmentów, których używał w ogromnych ilościach, i jak to miał w zwyczaju, uda się po materiały do swoich dostawców z pobliskiego Meijersplein oraz z okolic targu przy Waag. W dogodnym momencie Elias Ambrosius podejdzie do niego i słowami, których nauczył się na pamięć, powierzy Mistrzowi swoje pragnienia i marzenia.

Już od kilku miesięcy młodzieniec stosował te sekretne zabiegi, których celem był właściciel domu o zielonych drzwiach. Z początku przypominało to grę dziecka, które w oczarowaniu tropi swojego idola czy też ulega jakiejś magnetycznej sile. Ale z upływem tygodni i miesięcy te podchody stawały się coraz częstsze, a od niedawna codzienne, nie wykluczając wolnych godzin w sobotę, dzień święty. Jego cierpliwa obsesja została sownie nagrodzona, gdyż pewnego dnia był przypadkowym świadkiem wynoszenia z domu ogromnego obrazu (owinięto go w poplamione płótno, a całą operacją kierował sam Mistrz, który okrzykami i obelgami strofował swoich uczniów zatrudnionych w roli tragarzy), tego samego obrazu, który niczym trzęsienie ziemi poruszył młodzieńca, kiedy pewnego popołudnia oglądał go w wielkiej sali w siedzibie arkebuzerów, kuszników i łuczników przy Kloveniersburgwal. Nieustająca czujność dała mu także smutną możliwość asystowania przy wyprowadzeniu zwłok młodej żony Mistrza (Elias znalazł się w grupie gapiów zwabionych spektaklem śmierci) i towarzyszenia konduktowi pogrzebowemu w drodze ku Oude Kerk. Od małego placzyku utworzonego przez Sint Antoniesbreestraat po drugiej stronie mostu ze śluzą, gdzie kanał rozgałęzia się, zmierzając w stronę morza, dokładnie od miejsca, w którym ulica zmienia swoją nazwę na Jodenbreestraat – Szerokiej Ulicy Żydowskiej – Elias szedł za powozem z ciałem zmarłej odkrytym jedynie skromnym całunem, jak nakazywała kalwińska pokora. W kondukcje dostrzegł swojego chachama, byłego rabina Ben Izraela, pastora Corneliusa Anso, sławnego architekta Vingboonsa, majątnego Izaaka Pinto i oczywiście samego Mistrza w rygorystycznej żałobie. Zauważył, a może tylko mu się wydawało, wilgotne od płaczu oczy człowieka, który był wybrańcem sukcesu i fortuny, ale także śmierci, gdyż ta zabrała mu troje dzieci.

Poczynania młodego człowieka i los sprzyjający mu podczas kilku peregrynacji sprawiły, że zyskał wiedzę niezwykle cenną dla jego, jak sądził, skromnego umysłu, ponieważ dowiedział się, że Mistrz z uporem odmawia wysyłania swoich uczniów po zakup płócien. Poznał upodobania Mistrza do materiałów płóciennych z już nałożoną pierwszą warstwą zaprawy niebarwionej, która nadaje im precyzyjny

i plastyczny odcień matowego brązu, a na tym podkładzie dokonuje się dalszych przygotowań albo też bezpośrednio maluje. Już wiedział, że Mistrz ma zwyczaj kupowania do rycin i rysunków delikatnego papieru sprowadzanego z dalekiego kraju Japończyków, a nawet zorientował się, że nikomu nie powie- rza drobniawej selekcji (nie wyłączając targowania się o cenę) proszków, kamieni i emulsji niezbęd- nych do uzyskania mieszanek dających barwy i odcienie, które w danej chwili dyktowała mu wyobraź- nia. Przypadkiem podsłuchane przez Eliasza rozmowy Mistrza z panem Danielem Rulandtsem, właścicie- lem najbardziej cenionego sklepu z przyborami malarskimi w Amsterdamie, Niemcem, który przybył do miasta parę miesięcy wcześniej i zajmował się sprowadzaniem najmocniejszych pigmentów mineral- nych przywiezionych z kopalń germańskich, saksońskich i madziarskich, a także zasłyszane dyskusje Mistrza z fryzyjskim rudzielcem, sprzedawcą wszelkich skarbów Orientu (między innymi bardzo poszu- kiwanej czarnej substancji zwanej bitumem z Judei, papieru z Japonii i cenionego wielbłądziego włosia, z którego uczniowie sporządzali pędzle różnej wielkości), sprawiły, że Eliasz stopniowo poznawał taj- niki tej sztuki, zabronionej ludziom jego rasy i religii przez drugie przykazanie Świętego Prawa, ów świat obrazów, barw, płócien i zmysłów, do którego młody człowiek czuł gwałtowne i nieodparte powo- łanie. To sprawiło, że teraz kulił się z zimna i strachu nad kanałem Zwanenburgwal.

Od swoich żakowskich czasów, gdy pobierał nauki w piwnicy synagogi ufundowanej dla członków Nação¹⁸, która przylegała do domu, gdzie mieszkała wówczas rodzina Montalbo de Ávila, Eliasz odczu- wał ową empatię, zrazu nieokreśloną, a potem coraz silniejszą, aż w końcu zniewalającą. Ta fascynacja narodziła się być może pod wpływem przeglądanych przez niego ilustrowanych i iluminowanych ksiąg, które były jedynym dobytekiem wywiezionym przez dziadka Beniamina, jego ciężarną żonę i ich najstar- szą latorośl, kiedy z bałwochwalczych ziem uchodzili do ziemi wolności. Możliwe także, iż oczarowa- nie wzięło się z niezwykle barwnych dziejów peregrynacji i wędrówek, które po odległych krainach od- bywali jego zamierchli przodkowie, z anegdot opowiadanych uczniom przez elokwentnego chachama Ben Izraela, w których roilo się od perypetii zdolnych rozpalić wyobraźnię i natchnąć ducha. Podczas wielu popołudni, przez wiele lat, zamiast pójść ze szkolnymi kolegami i swoim bratem Amosem pograć w piłkę na pustych parcelach albo między drewnianymi palami wspierającymi majestatyczne budowle, których przybywało w zawrotnym tempie nad brzegami nowych kanałów, Eliasz spędzał czas, włącząc się po targowiskach, a tych w mieście nie brakowało – plac Dam, Targ Kwiatowy, plac Spui, esplanada Waag i Nowy Targ, Botermarkt – gdzie między straganami, wagami i pakami jeszcze niewyła- dowanych towarów, wśród aromatów orientalnych przypraw i tytoniu z Indii Zachodnich, odoru śledzi, nordyckich dorszy i beczek z olejem z tłuszczu wielorybów, między kosztownymi futrami z Rosji, deli- katną porcelaną z pobliskiego Delft lub odległych Chin i stosami włochatych cebulek, kokonów przy- szłych tulipanów o niemożliwych do przewidzenia kolorach, zawsze znalazło się miejsce na sprzedaż obrazów niezliczonych malarzy osiadłych w mieście i zrzeszonych w Gildii Świętego Łukasza. Zmierzch zwykle zaskakiwał go na jednej z tych esplanad, wraz z okrzykami anonsującymi wyprzedz akwafort i rysunków, zwijaniem płócien i składaniem sztalug, po tym, gdy całymi godzinami zatracił się w kontemplowaniu pejzaży – na których widniały zawsze młyny albo płynąca woda – martwych nat- ur zapożyczających od siebie obfitość przedmiotów, rodzajowych scen ulicznych i domowych, mrocz- nych epizodów biblijnych owianych gorącym włoskim tchnieniem, tak modnym w całym świecie, obra- zów malowanych lub odbijanych na płótnie, drewnie i kartonie przez artystów obdarzonych nadzwyc- zajną zdolnością uchwycenia na białej powierzchni wycinka prawdziwego albo wyobrażonego życia. I uwiecznienia go w akcie tworzenia piękna.

Po kryjomu, z węglem i papierem wygrzebanym ze śmietnika w drukarni, gdzie pracował jego ojciec i gdzie on sam uprawiał się do zawodu, odkąd ukończył dziesięć lat, Eliasz oddawał się zakazanej pasji. Malował (zapewne podobnie jak malarze sprzedający obrazy na rynku) swoje koty i psy albo jabłko, które niebawem zje, o konturach rozmazanych w drgającym blasku zapalanej świeczki, albo portretował dziadka oglądanego przez szparę w drzwiach, coraz bardziej postarzałego, zamyślnego i biblijnego. Próbował oddać delikatność tulipanów rosnących na sąsiednim balkonie, panoramę kanału z barkami

lub bez, ulicę widzianą przez okienko mansardy w rodzinnym domu przy Bethaniënstraat. Nadawał nawet kształty, oblicze i scenerię swoim wyobrażeniom wysnutym z opowieści nauczyciela i z kronik podboju, w których głośno istnienie bajecznych światów, Edenu i Eldorado, o czym świadczyły woluminy sprowadzone w ostatnich latach z Hiszpanii przez dziadka. Co oczywiste, inspirowała go także lektura Tory, świętej księgi, w której jednoznacznie i nieodwołalnie obłożono anatamą te właśnie praktyki uwieczniania ludzi, zwierząt, zjawisk na niebie, wodzie i ziemi, ponieważ Najwyższy Twórca Form Wszelakich – wedle nauk Mojżesza przekazanych plemionom zebranych na pustyni – uznał je za karygodne dla narodu wybranego, skłaniały bowiem do bałwochwalstwa. Na mocy tego biblijnego postanowienia Eliasz Ambrosius Montalbo, wnuk Beniamina Montalba de Ávila, kryptożyda, który przybył na ziemię wolności w roku 1606, głosząc obrzezanie i powrót do wiary przodków, zmuszony był oddawać się swojej pasji w ukryciu, nawet przed bratem Amosem, a zanim położył się spać na pryczy, musiał dokonywać metodycznego i bolesnego zniszczenia szkiców sporządzonych węglem.

Być może z powodu tych przeciwności upodobanie Eliasza do kolorów i form stawało się coraz żarliwsze: było źródłem energii, dzięki której mógł przez cały czas wolny od obowiązków uporczywie czuć, niczym potępieniec, na placyku nad kanałem Sint Antoniesbreestraat. Przerazający wybór, będący pogwałceniem micwy, która w razie ujawnienia kosztowałaby go niduj albo nawet najwyższą karę chemem, nałożoną przez coraz surowszy sąd rabinacki (ta kara oznaczałaby wykluczenie z rodziny i poprzez ekskomunikę ze wspólnoty i wszelkich jej dobrodziejstw), w sposób gwałtowny, choć przewidywalny, przybrał formę nieodwołalnej decyzji, podjętej pewnego wieczoru poprzedniej jesieni, kiedy tuż po obchodach święta Sukkot i po wznowieniu pracy w drukarni ojciec dotknięty bólami biodra, przez które musiał chodzić zgięty wpół, zlecił mu dostarczenie pliku pachnących jeszcze farbą ulotek do Kloveniersdoelen, nowej, imponującej siedziby straży obywatelskiej miasta.

Eksplozja z trudem skrywanej radości na wieść o tym zleceniu skłoniła Eliasza Ambrosiusa do refleksji nad niezbadanymi ścieżkami życia, które wytycza Stwórca: ulotki będą dlań gładkim umożliwiającym jemu właśnie, najuboższemu Żydowi w mieście, wejście do najbardziej okazałego i dystyngowanego gmachu w Amsterdamie i obejrzenie, choćby przelotnie, dzieła Mistrza, przeznaczonego do oświetlenia wielkiej sali posiedzeń, tego gigantycznego płótna, które kilka miesięcy wcześniej na jego oczach wyniesiono z domu przy Szerokiej Ulicy Żydowskiej, owinięte w brudne szmaty, i o którym rozpowiadali (dobrze lub źle, ale rozpowiadali) ludzie z miasta, gdzie żyło najwięcej w świecie malarzy i gdzie malowano i sprzedawano najwięcej obrazów, ci wszyscy, których z tą sztuką łączył jakiś związek, interes, upodobanie lub powołanie.

Obładowany ciężkim workiem ulotek młody człowiek przemknął ulicami prowadzącymi do siedziby kompanii arkebuzerów. Głuchy i ślepy na to, co działo się wokół, zastanawiał się, jaki w rzeczywistości jest ten obraz, o którym tyle opowiadano i dyskutowano w kościołach, tawernach, na placach, niemal z równym zapałem jak o interesach, pieniądzach i towarach. Strażnik budynku, uprzedzony o dostarczeniu ulotek, zawołał woźnego, by ten odebrał przesyłkę i zaprowadził chłopca do skarbnika, który miał mu zapłacić, po czym wskazał wejście na drugie piętro. Eliasz Ambrosius pomknął po monumentalnych schodach z kararyjskiego marmuru i dotarł do otwartych drzwi *grote sael*, wielkiej sali, gdzie odbywały się najważniejsze spotkania i uroczystości w mieście. I wtedy, w pełnym świetle wysokich okien zwróconych ku groblom nad rzeką Amstel, zobaczył płótno błyszczące od werniksu, nadal oparte o ścianę, na której miało zawisnąć. Eliasz Ambrosius potrafił już jednym spojrzeniem rozpoznać dzieła najważniejszych artystów w mieście, a szczególnie obrazy, które wyszły spod pędzla Mistrza (choćby musiał to przyznać, kilkakrotnie pomylił je z płótnami jakiegoś utalentowanego ucznia, na przykład zyskującego coraz większą sławę Ferdinanda Bola), toteż nie musiał nikogo pytać, czy to jest właśnie to niezwykle płótno, mierzące ponad cztery metry długości i niemal dwa szerokości, które wprowadziło w stan poruszenia całe miasto.

Przed młodzieńcem widniało ponad dwadzieścia postaci, na czele z powszechnie znanym i pełnym przepychu Fransem Banningiem Cocqem, panem na Purmerlandzie i kapitanem miejskiej kompanii arkebuzerów, oraz chorążym, jego zastępcą, panem na Vlaardingen, wychodzącymi na swój poranny ob-

chód ku nieśmiertelności, która pocnie się dokładnie w momencie, kiedy dopełni się ruch kapitana i jego lewa noga znajdzie się na szachownicy posadzki *groote sael*, gdzie nadal spoczywał obraz, a pan Cocq, nawet nie patrząc na Eliasza Ambrosiusa, każe mu zejść z drogi... Młodzieniec, wyrwany z głębokiego transu głosem woźnego, wyczytał mu ulotki i przyjął od skarbnika zapłatę w wysokości dwóch florenów i dziesięciu stuiverów. Nawet nie zadawszy sobie trudu, by przeliczyć pieniądze, co nakazał mu ojciec, zapytał skarbnika, czy może raz jeszcze popatrzeć na obraz, i nawet nie zauważył jego lekceważącego spojrzenia.

Znów stanął przed ogromnym portretem zbiorowym, wciąż pachnącym olejem lnianym i werniksem, aby pogrążywszy się w stanie krańcowej ekscytacji, rozkoszować się obserwowaniem szczegółów. Starł się odszukać nieokreślone, ale pulsujące blaskiem źródła światła, śledził zawrotny efekt ruchu, jakim emanował obraz, ekspresję uzyskaną w gestach postaci, jak u kapitana Cocq na pierwszym planie, którego na w pół uniesione ramię i lekko rozchylone usta dowodziły, że rozkaz wymarszu był niczym iskra dynamizująca akcję. Komenda kapitana zdawała się zaskoczyć sztandarowego w geście sięgania po drzewce i przywołać do porządku innych strzelców, tu i ówdzie pograżonych w rozmowie. Jedna z portretowanych osób (czy był to pan van der Velt, klient drukarni, który zamówił obraz?) uniosła ramię, wskazując kierunek wytyczony przez kapitana, a ten gest zasłonił połówkę twarzy innej postaci, w niej zaś Eliaz rozpoznał skarbnika, z którym przed chwilą się rozliczał, i teraz dopiero zrozumiał reakcję mężczyzny na jego prośbę, by mógł ponownie obejrzyć dzieło. Po lewej stronie, tam gdzie pan Frans Banning Cocq wskazywał kierunek marszu straży obywatelskiej, akcja nabierała tempa w osobie biegnącego chłopca (a może był to jeden z karłowatych błaznów?), który dzierżył róg z prochem, a na głowie miał zbyt wielki na niego szyszak, a także w geście odwracającej się w przeciwną stronę, niczym świetlna eksplozja, złotej dziewczynki (co ona tu robiła z kurą podczepioną pod pasek spodnicę?), która cieszyła się uprzywilejowaną przestrzenią i z jawną chytrością w oczach, przystającą raczej dorosłej osobie, przypatrywała się wymarszowi, a może widzowi, jakby swoją zuchwałą obecnością sztydziła z pantomimy odgrywanej tuż obok. Tymczasem pośrodku sceny, zza białego pióra na kapeluszu chorążego spełniającego rozkaz kapitana, wydobywał się zuchwale świetlisty, krótki rozbłysk z arkebuza. Chorąży, na którego mundurze w odcieniu jaskrawej żółci neapolitańskiej widniał cień wzniesionej ręki kapitana, jeszcze nie zdążył przekazać strzelcom komendy pana Banninga Cocq: wtedy Eliaz zrozumiał, że cała scena stanowi początek czegoś dynamicznego i hucznego niczym strzelający w górę ogień, jakiegoś misterium zwróconego ku przyszłości sięgającej znacznie dalej niż kamienny most, po którym mieli przemaszerować strzelcy, chaotyczne poruszenie szykujące się do przełamania bezwładności. Coś, co eksploduje na wszystkie strony, ale zawsze jest wymierzone w przyszłość.

Eliaszowi Ambrosiusowi, poruszonemu ekspresją tego obrazu o niewyobrażalnej sile oddziaływania, która rzucała wyzwanie wszelkiej logice i powszechnie przyjętym zasadom (jak to możliwe, że kapitan Cocq, ubrany na czarno, choć przepasany dumną szarfą w czerwono-pomarańczowej tonacji, robił na widzu wrażenie postaci odsuwającej na drugi plan swojego zastępcę w żółto lśniącym stroju, skoro wszystkim wiadomo, że jasne kolory wysuwają się na czoło, ciemne zaś cofają?), nie starczyło oczu, by obejrzyć pozostałe sześć obrazów, które miały ozdobić *groote sael*, już umieszczonych na swoich miejscach. Płótna przedstawiały portrety zbiorowe (tym był obraz Mistrza?) i choć perfekcyjnie wykonane, zachowywały ustanowione reguły. Ale w sąsiedztwie tego widowiskowego wiru wrażeń, pełnego nieprawdopodobnych efektów optycznych, lecz mimo to epatującego realnością i życiem, pozostałe dzieła w odczuciu młodzieńca przypominały karty z tej samej talii: figury, które w swojej zamierzonej i doskonałej jednolitości stały się za sprawą obrazu Mistrza sztywne, pospolite, bezbarwne...

Głos woźnego, który przyszedł zamknąć salę, z trudem wyrwał Eliasza Ambrosiusa ze stanu upojenia, w jakim ten się znalazł, a burzliwy niepokój, który będzie go nękać od chwili, gdy dokonując dobrowolnego i nieuniknionego wyboru (tylko Bóg raczy wiedzieć, który przymiotnik jest właściwy), nieodwołalnie postanowił zostać malarzem, wciągnął jego los w środek cyklonu, który przyniesie największe w całym jego życiu radości i skrajne nieszczęścia.

To nie wydarzyło się tego ranka. Ani dwóch kolejnych. Dopiero gdy młodzieniec zamierzał przełożyć na jakiś czas swoje przeszywające chłodem czuwanie i poczekać na nieco cieplejszy dzień, jego nadzieje zostały spełnione, a stało się to wraz ze zgrzytem zamka w zielonych drzwiach, w których pojawił się opatulony opończą Mistrz. Na jego widok Eliasza Ambrosiusa ogarnęła radość, która kazała mu zapomnieć o zimnie, lękach, a nawet o żądle głodu.

Przed godziną, nieco wcześniej niż zwykle, jak przekonał się Eliasza, do kamienicy wszedł młody Samuel van Hoogstraten, a nieco później jego sąsiad z Bethaniënstraat, Duńczyk Bernhardt Keil, wraz z braćmi Fabritius; wszyscy ci szczęśliwcy byli uczniami Mistrza i Eliasz mógł sobie pogratulować, ponieważ ich wcześniejsze przybycie oznaczało, że planują zakupy, a dla niego było kresem mroźnej monotonii wyczekiwania.

Od Duńczyka Keila, który mieszkał na mansardzie obok jego czynszówki i odznaczał się niepoahomowaną gadatliwością idącą w parze z zaproszeniami na piwo, Eliasza Ambrosius dowiedział się nie tylko o zwyczajach panujących w domu i w pracowni, ale także o zniechęcających wymaganiach, jakie stawiał Mistrz, przyjmując nowych uczniów i pomocników. Chociaż czeladnicy gwarantowali mu pokazywać dochód (tylko wpisowe kosztowało sto florenów, nie licząc innych świadczeń natury praktycznej i materialnej), Mistrz wymagał od adeptów wstępnego przygotowania, nim jeszcze przekroczą próg jego pracowni, i czegoś więcej niż tylko entuzjazmu i podstawowej znajomości sztuki malarskiej. On, powtarzał, nie uczy ich, jak malować, ale jak malować dobrze. („Moja pracownia nie jest akademią, jest warsztatem”, Duńczyk przytaczał słowa Mistrza, naśladując nawet surowy wyraz jego twarzy, gdy wypowiadał to zdanie). Już tylko ten warunek zamykał przed Eliaszem zielone drzwi wiodące do zrealizowania jego ambicji: po pierwsze, sam fakt, że był Żydem, uniemożliwiał mu podzielenie się z rodzicami swoim niepokojem, ci zaś z pewnością nie złamałby zasad, wysyłając go na praktykę do jakiegoś mistrza biegłego w tej sztuce. A po drugie, co równie ważne z uwagi na jego mizerną sytuację finansową, nie sposób było znaleźć innego preceptora, w dodatku dyskretnego, niedrogo i sumiennego, który zapewniłby mu elementarne przygotowanie rokujące nadzieje na przyjęcie do pracowni jego marzeń. Zażyłość mistrza z żydowskimi sąsiadami i znajomość jego oryginalnych metod (od miesięcy Eliasza znał już dobrze wszystkie dzieła Mistrza znajdujące się w miejscach publicznych, a nawet w prywatnych domach) wyznaczały biegun magnetyczny przyciągający wszystkie nadzieje młodzieńca, spotęgowane i utrwalone tego popołudnia, gdy kontemplował wymarsz kompanii kapitana Cocqa. Skoro tyle ryzykuje dla swojej pasji, skoro żyje i przymuszony jest tak żyć w stanie utajnienia, to zrobi to jak najlepiej. Dla Eliasza Ambrosiusa droga wiodąca do spełnienia tej obsesji miała jedno tylko imię i jeden tylko wymiar pojmowania malarstwa: był nim Mistrz. Albo nie miała żadnego. A to ostatnie, jak dobrze wiedział, było najbardziej prawdopodobne...

Wszystkie te okoliczności sprawiły, że w oczekiwaniu na realizację swoich planów młodzieniec musiał wysłuchiwać wywodów dziadka Beniamina na temat znaczenia bezpośrednich relacji między człowiekiem a jego Stwórcą, wieczorami zaś malował na lichym papierze, wciąż zatopiony w marzeniach o dziełach własnych rąk. Poczieszeniem była dyskretna bliskość fizyczna Mistrza, którego tropem podążał przez ulice i targowiska, starając się uchwycić w locie jego słowa, aby później spożytkować tę wiedzę dotyczącą upodobań malarza do wybranych pigmentów, olejów, kartonów i płócien, obsesyjnego zamiłowania do kupowania zwykłych i zadziwiających przedmiotów (od muszli po afrykańskie włócznie), ekstazyjnego przyglądania się budynkom, ulicom, mężczyznom i kobietom, pospolitym i osobliwym, mieszkańcom tego pstrokatego miasta, gdzie spotkały się wszystkie rasy i kultury, z jakimi mógł zetknąć się człowiek.

Eliasza zdziwiło, że Mistrz wychodzi sam, zakładając w bramie rękawiczki z cielejącej skóry, ale jeszcze bardziej zaskoczyło go to, że przechodzi przez ulicę i kieruje się dokładnie w stronę miejsca, gdzie on się ukrył. Serce podskoczyło mu do gardła i zaczął wymyślać możliwe odpowiedzi na zarzut upończywego wystawiania przed domem, aż w jednej chwili zdecydował, co powiedzieć: prawdę. Ale Mistrz tylko ominął przymię śniegu i kałużę błota, bacząc, by nie pobrudzić opończy, i nie zwróciłszy najmniejszej uwagi na skulonego pod ścianą gołowąsą, ruszył w stronę domu Izajasza Montalta, zamoż-

nego sefardyjczyka, który – jak każdy, kto miał powody, by się tym szczyścić – chełpił się swoim szlacheckim i hiszpańskim rodowodem, zwieńczonym przez jego ojca, doktora Jozuego Montalta, nadwornego medyka Marii Medycejskiej, francuskiej królowej matki. Tenże Izajasz Montalto, który jako pierwszy nabył jeden z najbardziej luksusowych domów na ulicy zwanej przez ludzi takich jak on Szeroką Ulicą Żydowską, od przyjazdu do Amsterdamu zbił tak ogromną fortunę, że zlecił budowę następnej, większej siedziby w dzielnicy nowych kanałów, gdzie cena za metr ziemi wydartej bagniskom przyprowadziła o zawrót głowy. Wszystkim było wiadome, że Żyd ten utrzymuje od lat przyjacielskie stosunki z mężczyzną, który właśnie pociągnął za dzwonek przy drzwiach, po czym wszedł do środka, a już po pięciu minutach wyszedł, z zawieszonym na szyi wonnym woreczkiem z ziołami, uszytym na specjalne zamówienie Izajasza Montalta z barwionego na zielono lnu, w ręce zaś trzymał drugą torbę, z brązowego papieru, w który owijano przedostatni kaprys tego miasta: liście tytoniu przywiezione z Nowego Świata, a w te z kolei, sprowadzane z równin Cibao na odległej wyspie Hispanioli, zaopatrywał Montalta konwertyta Federico Ginebra.

Zamiast przyłączyć się do swoich uczniów i pójść w stronę Meijersplein, gdzie zwykle zaczynał sprawniki, Mistrz udał się w przeciwnym kierunku, przeszedł tuż obok Eliasza (ten wyczuł delikatną woń lawendy i jałowca dobiegającą z aromatycznego woreczka), wszedł na most przy śluźce, wypłuł za barierkę trzymanego w ustach karmelka i podążył Sint Antoniesbreestraat, jakby miał zamiar dojść do centrum miasta. Zostawił za sobą luksusową rezydencję swojego przyjaciela Izaaka Pinto i magazyn, gdzie mieściła się galeria sztuki i siedziba marszanda Hendricka Uylenburgha, krewnego zmarłej żony Mistrza, i gdzie on sam osiadł po przyjeździe do Amsterdamu. Kiedy jednak dotarł do łuku ozdobionego dwiema czaszkami, który otwierał się na Zuiderkerk, zatrzymał się i mimo chłodu zdjął opończę. Eliasz wiedział, że w atrium tego starego kościoła spoczywają doczesne szczątki trójki pierwszych dzieci Mistrza, które zmarły w kilka tygodni po narodzinach, i zastanawiał się, dlaczego malarz zdecydował się na pochówek ich matki w Oude Kerk, a nie w tym miejscu już oznaczonym jego cierpieniem.

Mistrz ruszył dalej, przeszedł obok domu, gdzie wiele lat mieszkał jego nieżyjący już preceptor Pieter Lastman (w swoim czasie najlepszy amsterdamski nauczyciel, mistrz, który zrobił z niego Mistrza), wszedł na Nowy Targ przez zawsze zatłoczony Waag, gdzie zaledwie półtora wieku wcześniej znajdowała się Sint Anthonispoort, brama miejska, która ongiś od zachodu zamykała rozrastającą się teraz metropolię. Frenetyczna krzątanka kupców i dostawców, którzy na wadze miejskiej sprawdzali ciężar swoich towarów, okrzyki aukcjonerów i nabywców kupujących produkty istniejące i mające zaistnieć, przywiezione z wszelkich zakątków świata, zwały się teraz z metalicznym zgryztem szufli, którymi zakontraktowani przez ratusz biedacy zgarniali wiały śniegu, a potem wrzucali na wozy i wywozili do najbliższego kanału. Sprzątanie placu wiązało się być może z jakąś egzekucją planowaną przed południem, a odbywało się ich tu wiele, choć wyrok wykonywano zawsze w pośpiechu, aby nie tracić cennego czasu na targowisku. Mistrz przeszedł obok straganu, gdzie wystawiono na sprzedaż obrazy zgodne z powszechnym gustem, i zaledwie rzucił na nie okiem, z dezaprobatą, pomyślał Eliasz i wczuwając się w kryteria Mistrza, przyznał, że niemal wszystkie na to zasługiwały.

Mistrz skręcił w Monnikenstraat, kierując się w stronę kanału Archerburg, i Eliasz zastanawiał się, czy nie idzie do pobliskiego Oude Kerk, najstarszej katolickiej świątyni w mieście, kilkadziesiąt lat temu przejętej przez kalwinistów. Ale dotarłszy do Oudezijds Voorburgwal, Mistrz skręcił w lewo, oddalając się od gotyckich wież kościoła, w którym kilka miesięcy wcześniej pochował swoją żonę, i wszedł do jednej z licznych nad kanałem tawern. Młodzieniec znał wprawdzie upodobanie Mistrza do mocnych trunków, ale zdziwił się, że daje temu upust o tak wczesnej porze.

Eliasz ostrożnie zbliżył się do tawerny, zatłoczonej przez najemników z Anglii, Francji i nawet królestw Wschodu, którzy zjechali tu, by za sowitą zapłatę Republiki walczyć z Hiszpanią. Zajrzał do środka przez ogromną szybę, którą zgodnie z najnowszą modą umieszczono w drzwiach lokalu. Nie musiał długo szukać, przeciwnie, od razu szybko się cofnął, Mistrz bowiem, odwrócony do niego plecami, właśnie zasiadał przy stole, mając naprzeciwko siebie dawnego profesora Eliasza Ambrosiusa,

chachama Menasze Ben Izraela. Młodzieniec zdążył zobaczyć, jak były rabin, zawsze łąsy na ziemskie przyjemności, zanurza nos w papierową brązową torbę wypełnioną aromatycznym amerykańskim zieleniem i z lubością wdycha gorący zapach dalekich ziem.

W głowie Eliasza Ambrosiusa przez kilka miesięcy kołatał się zuchwały pomysł, by spotkać się ze starym preceptorem i wyznaczyć mu swoje zamiary. Teraz dopiero, widząc, jak tamten pije, pali i poklepuje Mistrza po ramieniu, podjął decyzję. Rozważył swoje szanse i doszedł do wniosku, że ten człowiek jest najgorszym i najlepszym rozwiązaniem jego problemów, ale zarazem jedynym możliwym.

Chacham Ben Izrael żył w drewnianym domu, nie tyle skromnym, ile wręcz rozpadającym się, przy Nieuwe Houtmarkt, na wyspie zwanej Vlooienburg, nad brzegami Binnen Amstel, bardzo blisko miejsca, gdzie kilka lat wcześniej zamieszkiwał Mistrz ze swoją zmarłą już żoną. Częściej, niż tłumaczyłaby to tęsknota za szkolnymi czasami, Eliasza odwiedzał siedzibę swojego nauczyciela hebrajskiego, religii i retoryki, być może dlatego, że miejsce to było kwintesencją dzielnicy żydowskiej w Amsterdamie: mieszaniną mesjanizmu i rzeczywistości, boskiej predestynacji i światowych obyczajów, kultury otwartej na świat, reformatorskich idei i tysiącletniego hebrajskiego pragmatyzmu. A także dlatego, że w tym domu miał kontakt z duchową obecnością Mistrza.

Ubóstwo siedziby chachama kontrastowało w jaskrawy sposób z kondycją jego żony, matki trojga dzieci, która pochodziła z rodziny Abrawanelów, bogatej i wpływowej ongiś w Hiszpanii i Portugalii, a obecnie ponownie bogatej i wpływowej w Wenecji, Aleksandrii i już także w Amsterdamie. Abrawanelowie przybyli do miasta później niż rodzina Montalbo, ale w przeciwieństwie do dziadka Eliasza przyплыли tu na statku kupieckim, zasobni w worki złotych monet, szkatułki z diamentami i kontakty polityczne, towarzyskie, rodzinne i handlowe, warte kolejne tysiące florenów. Ród Abrawanelów, pochodzący z długiej linii asesorów, bankierów i urzędników królewskich na dworach iberyjskich przed nieszczęsnym rokiem 1492, macecznik kupców, medyków, a nawet poetów o uznanej renomie na całym Zachodzie, wydawał się predestynowany do bogactwa, władzy i mądrości. Niemniej dom chachama nie miał nic wspólnego z dwoma pierwszymi dobrodziejstwami; przeciwnie, świadczył o niewielkim talencie właściciela do robienia interesów (założył kilka przedsiębiorstw, między innymi pierwszą w mieście żydowską drukarnię, która szybko splajtowała z powodu konkurencji i została sprzedana innemu sefardyjczykowi), ale co najważniejsze, podupadły drewniany dom o spróchniałych deskach dowodził, że relacje chachama z zamożnymi Abrawanelami nie należały do serdecznych. Najbardziej jednak dobitnym świadectwem dystansu dzielącego mędrca i jego krewniaków była krótka kariera Ben Izraela jako rabina, ponieważ gdyby miał wsparcie wpływowego klanu, niewątpliwie zachowałby to intratne stanowisko.

Do owego zjadliwego sporu doszło kilka lat wcześniej, kiedy coraz liczniejsi i zasobniejsi sefardyjczycy postanowili założyć Talmud-Torę, religijne i wspólnotowe bractwo, w którym zespoliły się trzy działające w mieście stowarzyszenia, a rezultatem tego posunięcia było odwołanie kilku rabinów opłacanych przez wspólnotę. Pośród zwolnionych znalazł się niepożądany Menasze Ben Izrael. Mimo swojej sławy pisarza, kabalisty i propagatora myśli hebrajskiej ten erudyta musiał odtąd zadowolić się mierznie wynagradzaną funkcją chachama, nauczyciela retoryki i religii, chociaż pozwolono mu zachować miejsce w radzie rabinackiej miasta. Nie bacząc na to niepowodzenie, mędrzec szczylił się publicznie związkami krwi ze sławnym rodem, jako że członkowie tej rodziny i on sam rozgłaszali istnienie niepodważalnych dowodów, zgodnie z którymi Abrawanelowie wywodzą się bezpośrednio z domu króla Dawida, a zatem oczekiwany Mesjasz (jego rychłe nadejście zapowiadali biegli kabaliści z Zachodu i mistycy ze Wschodu) będzie nosił to nazwisko, co oznacza, że Wyczekiwanym równie dobrze może okazać się jeden z synów byłego rabina poczętych w Abrawanelowym łonie.

Mimo że zmuszony był liczyć w kieszeni ulotne centymy, mimo skandalicznej degradacji rabinackiej, mimo swojego nieodpartego portugalskiego upodobania do wina, Menasze Ben Izrael nadal zachował pozycję jednego z najbardziej wpływowych członków wspólnoty i trzy lata wcześniej, bez nacisków

z jego strony, zaferowano mu stanowisko przewodniczącego Nossa Academia, szkoły ufundowanej przez równie wszechwładnych Abrahama i Mosze Pereirów. W młodości, aby drukować i rozprowadzać swoje dzieła, założył ową pierwszą żydowską drukarnię w Amsterdamie, która stała się finansową porażką, ale jako płaszczyzna propagowania jego idei i rozpowszechniania klasyków literatury hebrajskiej okazała się świątą decyzją. Jego własne książki, napisane po hiszpańsku, hebrajsku, łacinie, portugalsku i angielsku (potrafił nadto wysłowić się w pięciu innych językach, w tym, co oczywiste, po holendersku), rozchodziły się w połowie krain świata i znajdowały czytelników nie tylko wśród Żydów ze Wschodu i Zachodu (jego Niszmat haim uznawano za jeden z najbardziej wnikliwych komentarzy kabalistycznych), ale także katolików i innych wyznawców chrześcijaństwa. Ci ostatni znaleźli w jego dziełach, jak *El Conciliador* (Rozjemca), osobliwe hebrajskie spojrzenie na Pismo Święte, całościowe ujęcie wskazujące na zbieżności między chrześcijańskim odczytaniem tekstu a interpretacją synów Izraela na przestrzeni trzech tysiącleci. Ale z wszystkich jego dzieł – wszystkie Elias Ambrosius przczytała za namową swojego dziadka – dawny uczeń chachama najbardziej upodobał sobie broszurę *De Termino Vitae* (jemu przypadło w udziale przygotowanie do druku wersji oryginalnej, która rychło została uznana za skandal), jako że zawierała tę wizję życia i jego wymogów, śmierci i jej antycypacji, która szczególnie przemawiała do niego jako koncepcja egzystencji tu i teraz.

Może z powodu jego osobliwego nonkonformizmu, wtłoczonego w ramy niedawno utworzonej i impulsywnej wspólnoty, która aby przetrwać, musiała uciec się do rygorystycznej ortodoksji, kariera Ben Izraela obfitowała we wzloty i upadki. Niewątpliwie z racji jego postawy ikonoklasty gotowego rozpowsechnić najbardziej awanturnicze idee (skrajnie nowatorskie czy też konserwatywne) i z racji jego życia publicznego na granicy norm judaistycznych udało mu się nawiązać ściśle i zażyłe stosunki ze społecznością protestancką w Amsterdamie. A jeśli ktoś szukał widocznego dowodu na to, jak bliskie to były związki, znalazł go w małym salonie jego skromnego domu, gdzie wisiał wyzywający portret chachama namalowany przed kilku laty przez Mistrza, kiedy już był Mistrzem i najbardziej znanym i cenionym malarzem w mieście. Obraz ten (na którym ówczesny rabin nosi szeroki kapelusz, ma wąsy i brodę przyciętą na modłę amsterdamskich mieszczan) emanował życiem dzięki kunsztownemu rysunkowi oczu o inteligentnym, sępiem spojrzeniu, które charakteryzowało modela, a co znakomicie uchwycił Mistrz. To płótno działało na Eliasza Ambrosiusa Montalbę de Ávila niczym magnes (podczas każdej wizyty w domu chachama pożerał je wzrokiem) i stanowiło jeszcze jeden powód, dla którego młodzieniec zapragnął zbliżyć się do Mistrza i go naśladować.

Ściśle więzy przyjaźni i zaufania, łączące malarza, który krytycznie nastawiony do dogmatycznego kalwinizmu przyłączył się do sekty memonitów swojego kamrata Corneliusa Anslu, z kontrowersyjnym erudytą hebrajskim, wynikały być może z przekonania ich obu, że nie wolno wykluczać ludzi o odmiennych poglądach, i z niezgody na ograniczenia intelektualne ówczesnej epoki. Obaj ponieśli klęskę, licząc na awans społeczny, i ani cieszący się powodzeniem holenderski malarz, ani znamienity żydowski myśliciel nie potrafili zaakceptować wielu powszechnie przyjętych norm, owych kanonów i pryncypiów, albo ustanowionych przez tradycję przodków, albo narzuconych przez dzierżących władzę i pieniądze ludzi, od których, chcąc nie chcąc, byli uzależnieni malarz i badacz świętych pism.

Dzięki kontaktom z dawnym preceptorem Eliasz był świadkiem długich rozmów prowadzonych w pracowni malarza, w domu chachama albo w piwiarniach Amsterdamu, gdzie obaj mężczyźni uwielbiali spędzać wspólnie czas na libacjach i dysputach, w których tak sprzeczne i pokrewne osobowości dzieliły się poglądami i słowami krytyki. Ich zachwałę zachowanie, często okazywane publicznie, przyciągało uwagę tego dynamicznego społeczeństwa, dla którego wolność idei i przekonania stała się najbardziej cenionym dobrem, co dotyczyło wszystkich mieszkańców Amsterdamu, z dziećmi Izraela włącznie: nie jest sprawą przypadku, że Żydzi nie tylko uważali to miasto za Nowe Jeruzalem, ale też nazywali je Makom, „dobre miejsce”, gdyż znaleźli tam poszanowanie dla swoich obyczajów i wiary, a w rezultacie spokojne życie, utracone w niemal wszystkich innych zakątkach znanego świata.

Tego ranka Rachela Arawanel, pochmurna i rozczochrana (jak zawsze), otwierając drzwi Eliaszowi, już od progu oznajmiła, że jej mąż odsypia nocne ekscesy alkoholowe, po czym zatrzasnęła przyby-

szowi drzwi przed nosem. Młodzieniec przykucnął na schodach pod drzwiami, opierając plecy o mezułę – cylindryczny pojemnik ze zwojem z fragmentami Tory, które przypominały wchodzącym lub wychodzącym, że Bóg jest wszędzie – i gotów był czekać, aż profesor wstanie z łóżka, ponieważ ostatecznie zdecydował się na trudną rozmowę z człowiekiem, który mógł mu pomóc albo go pograżyć. Godzinę później pan domu, zbyt lekko ubrany jak na ten chłodny poranek, bo miał na sobie brudne bufiaste spodnie i połataną kapotę – i tak zwykł przechadzać się po mieście, aby unaocznić wszystkim swoją obojętność wobec spraw materialnych i opinii sąsiadów – usiadł przy młodzieńcu na tym samym stopniu i poczęstował go tym samym napitkiem, który sam popijał: kubkiem ciepłego wodnistego wina osłodzonego miodem i przyprawionego cynamonem.

Eliasz zapytał go, jak się czuje. „Żywy”, padła odpowiedź chachama, który o dziwo nie miał ochoty na pogawędkę. Dlaczego chciał się z nim zobaczyć? Czemu taki pośpiech? Nie jest mu zimno? Co słychać u tego niewdzięcznika Amosa? Młodzieniec zdecydował się zacząć od najłatwiejszej kwestii, choć wcale taka nie była, ponieważ jego brat Amos, również dawny uczeń Ben Izraela, przechodził kryzys mistyczny i przyłączył się do grupy zwolenników polskiego rabinu Breslaua, najbardziej nieprzejednanego w mieście obrońcy czystości religijnej judaizmu i – co było do przewidzenia – wroga publicznego Ben Izraela i jego poglądów. Dlatego też udzielił jedynej odpowiedzi, jaka przyszła mu do głowy, dyplomatycznej i zarazem konkretnej: „Amos zapewne czyta teraz Torę w niemieckiej synagodze”, po czym upił łyk zimnego już wina i nie zwlekając, przeszedł do sedna sprawy. „Drogi chachamie, pragnę, by pański przyjaciel Mistrz przyjął mnie do swojej pracowni. Chcę się nauczyć malować. Ale chcę, żeby to on mnie uczył”. Profesor nadal popijał z kubka, jakby wypowiedź jego dawnego ucznia była luźno brzucaną uwagą o pogodzie albo cenie zboża. Eliasz wiedział jednak, że umysł erudyty trawi te słowa brzemienne w komplikacje i zastanawia się, do jakiego stopnia równoważą one to, co logiczne, możliwe, akceptowalne, i to, co niedopuszczalne.

Niewielu ludzi w Amsterdamie wiedziało lepiej niż Menasze, co znaczy żyć, ukrywając jakiś sekret i przywdziewając maskę: w swoim luzytańskim dzieciństwie, kiedy jeszcze nazywał się Manoel Dias Soeiro, został wyrwany z rodzinnego domu i umieszczony w klasztorze, gdzie przez kilka lat niezbyt miłosierni franciszkanie wychowywali go po chrześcijańsku, wpajając mu (z różgą w ręce) powody, dla których powinien wzgardzić wyznawcami religii swoich przodków, bezpośrednio odpowiedzialnych za śmierć Chrystusa, i potępić ludzi składających krwawe ofiary z dzieci, cuchnących siarką, z natury skąpych i obarczonych nadto wielu innymi grzechami i stygmatami. Zmuszany do jedzenia wieprzowiny, krwawej kiszki i innych trefnych potraw serwowanych przez księży, cierpiał na chroniczny nieżyt żołądka, który nawet teraz mu doskwierał, powodując bolesne wycioty. Ale nauczył się także życia we wrogim środowisku, milczenia i umiejętności wtopienia się w otoczenie, tak aby go nie widziano ani nie słyszano, a przede wszystkim zdobył doświadczenie, które mogło okazać się przydatne w rozmaitych okolicznościach. Przekonał się również – co zawdzięczał swoim teologicznym ciemniejszym – że istota ludzka jest stworzeniem zbyt złożonym, aby ktoś („Oczywiście poza Bogiem”, powtarzał swoim uczniom, co Eliasz dobrze zapamiętał) ośmielił się twierdzić, że ją poznał, lub rościł sobie prawo do jej osądzania, albowiem wolność wyboru winna być najpierwszym prawem człowieka, jako że od początku świata jest darem Stworzyciela, ofiarowanym na człowiecze zbawienie albo potępienie.

Ben Izrael, kiedy o tym mówił uczniom, miał zwyczaj powtarzać ulubiony werset z Księgi Powtórzonego Prawa – „Patrz! Kładę dziś przed tobą życie i śmierć, błogosławieństwo i przekleństwo. Wybieraj więc życie”¹⁹ – podkreślając mocniej możliwość wyboru niż sam końcowy wybór, i często podsumowywał wywody opowieścią o niezwykłych dziejach jednego ze swoich przodków, don Judy Abrawanela, który dla ratowania życia, własnego i całego rodu, wyrzekł się publicznie wiary i odstąpił od wszystkich swoich przekonań. W tej opowieści (Eliasz był przekonany, że wymyślił ją chacham, żeby zaakcentować mesjanistyczne przeznaczenie swej rodziny) ów człowiek był synem wpływowego Izaaka Abrawanela, który nie szczędził wsparcia i pieniędzy, aby genueńczyk Kolumb mógł wyruszyć na swoich karawelach i obdarować Koronę hiszpańską potęgą i chwałą. Ale i Izaak musiał uciekać z kraju, w którym przez wieki żyli i prosperowali jego przodkowie, i szukać schronienia w Lizbonie, tak jak wielu innych Żydów przesładowanych przez biskupów tejże samej Korony hiszpańskiej (która zanim ich wyгнаła,

skonfiskowała im znaczne dobra, jak niezmiennie przypominał dziadek Beniamin, kiedy mówił o tych i o innych prześladowaniach). Lecz – jak opowiadał nauczyciel – najstraszniejszym momentem w życiu Judy Abrawanella było wydarzenie z roku 1497, kiedy on, żona i dzieci wraz z dziesiątkami sefardyjskich rodzin zostali zamknięci w katedrze lizbońskiej i na mocy królewskiego dekretu postawieni przed strasznym wyborem, który chrześcijanie pozostawiali wyznawcom Prawa Mojżeszowego. Albo przyjmą chrzest katolicki, albo czekają ich tortury i śmierć na stosie. (W tym miejscu opowieści – Eliasza dobrze to zapamiętał – chacham Ben Izrael robił dramatyczną pauzę, aby wzbudzić grozę u swoich uczniów, chociaż najbardziej wirtuozerską ciszę rezerwował na ciąg dalszy). Liczni Hebrajczycy uwięzieni w katedrze, całe ich setki, gotowi, wielbiąc imię Boga, umrzeć za swoją wiarę i ustrzec się upokarzającego chrztu, wybrali samooferę, jak nakazuje Pismo, i poczęli zabijać swoje dzieci i żony, a potem samych siebie: jeśli mieli broń, podrzynali im gardło, przycinali żyły, przesywali serca, a jeśli nie byli uzbrojeni, dusili pasami, a nawet własnymi rękoma, aby potem sobie samym zadać śmierć, waląc głową w kolumny świątyni, kędy, jak mówiono, nadal krew skapuje i wsiąka w kamienną posadzkę. Ale nie Juda Abrawanel, powiedział chacham, dochodząc do tego fragmentu swojej opowieści. Ta odmowa wywołała westchnienie ulgi pośród uczniów przerażonych skalą cierpień, które dotknęły innych Żydów, mąk wręcz niewyobrażalnych dla nich samych, byli bowiem szczęśliwymi mieszkańcami Amsterdamu, Nowego Jerozalema, które otworzyło bramy przed synami Izraela.

Juda Abrawanel, którego ród – jak powszechnie wiadomo – wywodził się ni mniej, ni więcej, tylko z samego domu króla Dawida, był z zawodu medykiem, a potem zostanie poetą i pod imieniem Leon Hebrajczyk napisze słynne *Dialoghi d'amore*, kilkakrotnie recytowane uczniom przez Ben Izraela. Człowiek wykształcony, pobożny i bogaty, osaczony przez nieubłagane okoliczności, dokonał wyboru: don Juda wziął za rękę żonę i dzieci i brodząc w żydowskiej krwi rozlaney w chrześcijańskiej świątyni, podszedł do ołtarza, by błagać o chrzest (w tym miejscu chacham zrobił najdłuższą przerwę). Wybrał życie. Ze szlochającym sercem, świadomy, że jego decyzja łamie jedno z nienaruszalnych przykazań („Wiecie, jakie to są przykazania?”), don Juda Abrawanel szedł gotowy cisnąć wszystko w ogień, zgubić swoją duszę, wiedząc, jakie znaczenie ma jego życie i życie jego dzieci, jakie znaczenie mogło mieć dla dziejów świata w kosmicznym wymiarze boskiego planu: byli otwartą bramą na drodze Mesjasza... A nadto swoim przykładem don Juda, uważany za fundament całej wspólnoty, uratował życie wielu Żydom zamkniętym w świątyni, ci bowiem, pomni jego prestiżu i pochodzenia, poszli w jego ślady...

Bez wątplenia dzięki tej decyzji, opowiadał chacham, już rozluźniony i jakby z lekką ironią w głosie, Juda Abrawanel był na tyle żywy, że mógł wraz z rodziną uciec z Portugalii, osiedlić się we Włoszech i korzystając z pomyślnej koniunktury, ponownie się wzbogacić i powrócić do wiary, w której dorastał i do której był przynależny. W każdym razie don Juda, być może uzyskawszy przebaczenie dzięki bezbrzeżnej łasce Przenajświętszego, niech będzie pochwalone Jego imię, pozostawił po sobie poruszającą naukę (tu zwykle pojawiała się ostatnia pauza zręcznego narratora): mądry człowiek zawsze powinien robić jak najlepiej to, co mu dyktuje rozum, bo z jakiegoś powodu Stwórca obdarzył człowieka tym przymiotem. Przenajświętszy pouczył swój lud, że żadna władza, żadne poniżenie, nawet najokrutniejsza opresja lub zespolenie bólu i strachu, nie zagasi płomienia wolności rozpalonego w sercu człowieka, który gotów jest o nią walczyć niepomny na poniżenie i zdobyć ją, a potem, gdy życie się dopełni, powierzyć się Sądowi Ostatecznemu. Pragnienie wolności jest bowiem nierozzerwalnie związane z kondycją człowieka, tą boską kreacją.

Równie dramatyczna jak pauza w opowiadaniach chachama była cisza, która tego poranka zapadła po wyznaniu Eliasza Ambrosiusa. Chacham milczał tak długo, aż młodzieniec poczuł, że za chwilę skona z zimna i z desperacji. Ben Izrael, wciąż pograżony w myślach, wyjął z kieszeni kapoty jęczmienny herbatnik, zamoczył go w winie i niespiesznie przeżuwał, zanim wreszcie się odezwał. „Nie pytam, czy wiesz, o co mnie prosisz, bo zapewne jesteś tego świadomy. Zakładam też, że domyślasz się, jakiej odpowiedzi oczekiwano by ode mnie”. „Tak, panie, przekonania mnie, że to szaleństwo. Albo zadenuncjowania przed Maamadem²⁰. To pierwsze na nic się nie zda: jestem zdecydowany. To drugie jest pańską decyzją, chachamie, skoro jest pan członkiem tej rady”. Ben Izrael odłożył pusty już kubek obok mezuzy, otarł usta, strzepał okrucy z palców, a potem potarł kostniałe z zimna dłonie. „Mieszkam tu od

trzydziestu lat i ciągle tęsknię za słońcem Portugalii... Nie dziwi mnie, że są Żydzi, którzy chcą tu zostać, i inni, którzy marzą o powrocie”.

Bez słowa wyjaśnienia wszedł do domu i wrócił z narzuconą na ramiona opończą. Usiadł na stopniu, hałaśliwie odcharknął i spojrzał na młodzieńca. „Dlaczego prosisz mnie o pomoc w tak poważnej sprawie? Dlaczego przyszedłeś z tym do mnie?” „Bo jest pan, chachamie, jedyną osobą, która może mi pomóc... Bo wiem, że potrafi pan to zrobić”. Mężczyzna uśmiechnął się, zapewne dumny z pochwały Eliasza. „Prosisz mnie o pomoc w pogwałceniu micwy, ni mniej, ni więcej, tylko drugiego przykazania zapisanego na tablicach”. „Micwy, którą my, Hebrajczycy, depczemy już od dwóch tysięcy lat. Czyż nie Hebrajczycy, czego dowiedziałem się na pana lekcjach, malowali sceny biblijne w synagodze nad brzegami Eufratu? A czyż nie mówił pan, chachamie, że mozaiki przedstawiające ludzi i zwierzęta w synagodze w Tyberiadzie nad Jeziorem Galilejskim nie spadły z nieba? A ilustrowane Pismo Święte? A czyż tablice nagrobkowe na cmentarzu Beth Haim, tu, w Amsterdamie, nie zawierają wizerunków zwierząt...? A anioły z Arki Przymierza? A fontanna króla Salomona wsparta na czterech wyrzeźbionych słoniach...? I wybacz, chachamie, ale prawdą jest to, co powiem... czyż wieszanie obrazów w swoim domu nie jest pogwałceniem Prawa?” „Tak, bywają różne złe precedensy, ale...”. Mędrzec znów się uśmiechnął, dotknięty uwagą dawnego ucznia, robiącego aluzję do portretu, który niczym wyzwanie sam ekspozował od kilku lat we własnym domu. „...są i inne, wynikające z nieporozumienia. Cherubiny, to pewnie, miały służyć z woli Stwórcy za ozdobę Arki, chociaż On sam nigdy nie namawiał do ich adorowania... Nagrobki były dziełem pogańskich rzemieślników... A ja nie jestem jedynym Żydem, którego sportretował pan van Rijn. Jest nim także sławny doktor Bueno²¹... Chcę przez to powiedzieć, że żaden z tych przykładów nie zwalnia cię z obowiązku posłuszeństwa ani nie chroni przed groźbą kary...”

Wtedy Eliasza Ambrosius wyciągnął kartę atutową, która, jak sądził, pozwoli mu zatriumfować. „Tora zabrania nam wielbić fałszywych bożków, jest to nawet jedno z trzech nienaruszalnych przykazań, i dlatego potępia akt przedstawiania wizerunków ludzi i zwierząt oraz adorowania ich w świątyniach i w domach... Ale nic nie mówi o uczeniu się sztuki tworzenia tych wizerunków: ja chcę tylko, żeby pan mi pomógł ją studiować pod okiem Mistrza. To, co potem zrobię, biorę na swoją odpowiedzialność... Czy pan mi pomoże, czy zadannuncjuje?” Ben Izrael parsknął śmiechem. „Mojżesz, zawsze kiedy wadził się ze swoim ludem, zastanawiał się, dlaczego Przenajświętszy, błogosławiony niech będzie Pan, wybrał Hebrajczyków, aby wypełnić swój boski plan na ziemi i otworzyć drogę Mesjaszowi. Jesteśmy najbardziej krnąbrną rasą w całym dziele stworzenia. I drogo nas to kosztowało, o czym dobrze wiesz... Najgorsze nie jest nawet to, że wszystko podajemy w wątpliwość, ale to, że racjonalizujemy to kwestionowanie wszystkiego. Masz rację... nikt nie zabrania ci studiować. Ale wiesz co? Czuj się winny, że nauczyłeś się tak myśleć... A nadto Prawo mówi jednoznacznie o wyobrażaniu postaci, które mogą stać się przedmiotem kultu. Zakaz dotyczy przede wszystkim sporządzania fałszywych bożków lub domniemanych wizerunków Przenajświętszego... chociaż, jak miemam, pozostawia margines na akt tworzenia, jeśli nie prowadzi on do bałwochwalstwa... Każde kolejne pokolenie, o czym dobrze wiesz, zobowiązane jest przestrzegać Tory i jej praw, ale również winno ją studiować, każdy bowiem tekst musi być interpretowany w duchu epoki, a czasy się zmieniają... Teraz, niezależnie od naszej interpretacji Prawa, pytam cię, czy będziesz umiał zatrzymać się na granicy? Studiować i tylko się nauczyć, jak mówisz, dla samej przyjemności uczenia się?” Zrobił jedną ze swoich przerw – tym razem tak długą, że Eliasza pomyślał, iż to już koniec przemowy – ale w końcu wstał i powiedział: „Chodź, coś ci pokażę”.

Chacham zabrał swój kubek i wszedł po dwóch stopniach prowadzących do drzwi. Młodzieniec ruszył za nim, zaintrygowany tym, co chciał mu pokazać profesor. Przeszli przez zabałaganiony salon, pusty o tej porze, i weszli do izdebki, gdzie zwykł czytać i pisać mędrzec. Stosy książek i papierów rozwłoczonych po całym pomieszczeniu otaczały stół, na którym leżały stronicy zapisane po hebrajsku, gęsie pióra i stał kałamarz z inkaustem. A także karafka z winem, luksus, którego nie mógł sobie odmówić profesor. Ben Izrael odwrócił się do dawnego ucznia i spojrzał mu w oczy. „Dyskrecja jest cnotą. Ufam tobie, tak jak ty ufasz mnie”. I nie czekając na reakcję młodzieńca, pochylił się nad stołem, w szuflady wyciągnął zwinięty rulon czerpanego papieru i wręczył go Eliaszowi. „Rozwiń”.

Eliasz Ambrosius od razu wyczuł palcami materiał przeznaczony na grawiury, sprzedawany przez pana Daniela Rulandtsa, i z największą ostrożnością rozwinął rulon. Istotnie była to akwaforta przedstawiająca popiersie samego Ben Izraela, ubranego z wyszukaną elegancją, ze starannie przystrzyżonymi wąsami i brodą, z żydowską jarmułką na głowie. Z ust młodzieńca wyrwały się słowa: „Ale to nie jest dzieło Mistrza”. „Widzę, że dobrze się znasz na jego obrazach”, przyznał chacham, „to, co najciekawsze w tej grawiurze...” „Więc kto to..? Salom Italia²²?”, przeczytał w dolnym rogu, gdzie figurowała także data zapisana cyframi rzymskimi: MDCXLII, 1642. „Kim jest Salom Italia...? Niech pan nie mówi, że to Żyd”. Na ustach Ben Izraela pojawił się blade uśmiech. „Eliasz, niech ci wystarczy to, co powiem, a to i tak za dużo: owszem, jest Żydem, jak ty i ja”. „Żydem? I wiedział pan, że to jego rycina? Kimkolwiek jest ten Salom Italia, to nie uczeń... to artysta”. „Masz słuszność...” Ben Izrael zrzucił z krzesła kilka książek i usiadł. „Nie jest uczniem, prawie nie pobierał lekcji u żadnego mistrza. Ma jednak dar. Ale nie mógł go rozwinąć... Ach, oczywiście Salom Italia to nie jest jego prawdziwe nazwisko...” „Co pan robi, chachamie, zadenuncjuje go pan?” „Po tym, jak pozowałem mu do portretu...?” Eliasz Ambrosius miał świadomość, że stoi wobec czegoś niezwykle ważnego, ostatecznego, co może utwierdzić go w postanowieniu, ale jednocześnie wzbudzić w nim strach. „Co zatem pan zamierza?” „Z tą ryciną? Zachować ją. Podobnie jak sekret Saloma Italii i jego akwafortę. A z tobą? Pomóc ci... W końcu to twoja decyzja i znasz ryzyko... tak jak znał je Salom Italia. A nadto w tym mieście plenią się sekrety: każdy tutejszy Żyd coś skrywa... Tak, mam pewien pomysł... i mam nadzieję, że Przenajświętszy, błogosławiony niech będzie Pan, zrozumie moje intencje i wybaczy mi w swoim nieskończonym miłosierdziu”.

Menasze Ben Izrael wstał i znów zaczął zacierać ręce: „Nie mamy już drewna na opał i jestem zrujnowany... Wiesz, że nie stać mnie nawet na mleko? Kiedy się skończy ta przekłeta zima...? Idź już, muszę się pomodlić... chociaż już trochę późno, prawda? Modliłeś się rano...? A potem będę rozmyślał. O tobie i o mnie”.

Kiedy wreszcie stanął przed zielonymi drzwiami domu pod numerem 4 przy Jodenbreestraat, Eliasz Ambrosius zapragnął uciec stąd jak najszybciej. Podjęcie jakiejś decyzji to nie to samo co jej realizacja i jeśli przekroczy próg, przy którym przez tyle miesięcy sprawował wartę i marzył o tej właśnie chwili, nie będzie już odwrotu. Bezwiednie, kolejny już raz, sprawdził stan swojego ubrania, najwytworniejszego, jakie miał, i nieco odetchnął z ulgą, patrząc na zaniedbany strój swojego przewodnika: erudyta Ben Izrael przypominał raczej nieokrzesanych i śmierzących Żydów, którzy w ostatnich latach przybyli ze Wschodu do Nowego Jeruzalem i żyli z dobroczynności albo ze skromnych pensji wypłacanych im przez magistrat, wykonując takie prace, jak usuwanie z kanałów błota i zwierzęcego truchła, zimą odśnieżanie ulic i ich zamiatanie przez pozostałą część roku.

Pani Geertje Dirx otworzyła im drzwi i z właściwą sobie milkliwością (dobrze już znaną Eliaszowi) zaprowadziła ich do salonu. Ta wdowa po wojskowym, która sama miała w sobie coś wojskowego, opiekowała się Titusem, małym synkiem Mistrza, jeszcze przed śmiercią jego matki, a gdy ta umarła, została kimś w rodzaju zarządczyni domu z wszelkimi pełnomocnictwami. Zaledwie po kilku minutach oczekiwania zobaczyli Mistrza, jak schodzi po schodach prowadzących do kuchni, przegryzając ostatni kęs chleba, ubrany w kapotę sięgającą kostek, upstrzoną wszelkimi możliwymi kolorami, przewiązaną w pasie konopnym sznurem, bardziej stosownym do cumowania barek rzecznych niż do przewidzianej dlań funkcji.

„Dzień dobry, mój przyjacielu”, przywitał go chacham, Mistrz zaś odpowiedział tymi samymi słowami i uściskiem dłoni. Eliasz, na którego pan domu nawet nie spojrział, czuł, że dygocze, wstrząśnięty obecnością tego człowieka o grubym nochalnym orlim spojrzeniu, który wyglądał tak pospolicie, że nawet wiedząc, kim jest, trudno było dać wiarę, że – o czym nikt nie wątpił – chodzi o największego mistrza w mieście, gdzie roiło się od malarzy. Ben Izrael wspominał o przyczynie ich wizyty i dopiero wtedy malarz, jakby coś sobie przypominając, zerknął z ukosa na Eliasza. „Ach, twój młody uczeń...”

Chodźmy do pracowni”, powiedział i poleciwszy pani Dirx przynieść butelkę wina i dwie szklanki, ruszył w górę po spiralnych schodach.

Kiedy szli za nim, młodzieniec, choć wciąż nie wyzbył się strachu, starał się dopasować wszystko, co widział, do obrazu tego miejsca, który stworzył sobie w wyobraźni na podstawie opisów chachama, Duńczyka Keila i kupca Salvadora Rodriguesa, sąsiada malarza i przyjaciela ojca Eliasza. Nie śmiał nawet przyglądać się obrazom wiszącym w salonie, w których rozpoznał pejzaż Adriaena Brouwera, głowę Dziewicy, zapewne pochodzącą z Włoch, a także kilka dzieł pana domu, i gdy wspinał się po schodach na piętro, gdzie znajdowała się pracownia Mistrza, zza uchylonych drzwi do pokoju przylegającego do westybulu dojrzał maszynę drukarską, na której Mistrz robił odbitki swoich cenionych akwafort. Kiedy dotarł do podestu trzeciego piętra, wypatrzył w głębi po prawej stronie pokój, który był magazynem egzotycznych przedmiotów, tak chętnie kupowanych przez Mistrza na aukcjach i miejskich targowiskach, a po lewej zobaczył otwarte drzwi do pracowni. W tej właśnie chwili Mistrz, puszczając rabina przodem, po raz pierwszy odezwał się do Eliasza Ambrosiusa: „Zaczekaj tu. Jeśli chcesz, możesz obejrzeć moje zbiory. Ale nie waż się niczego kraść”. Po czym, nie odezwawszy się więcej, zamknął za sobą drzwi do pracowni.

Eliasz posłusznie wszedł do niewielkiego pomieszczenia, w którym bez składu ni ładu upchnięto najbardziej niepojęte osobliwości. Mimo że jego stan ducha nie sprzyjał uważnej obserwacji, przebiegł wzrokiem ową kolekcję cudów, gdzie artificialia sąsiadowały z naturaliami w oszalałymi i zadziwiająco rozmieszczonym i bogactwie. Stojąc w kącie pokoju, skąd miał widok na drzwi pracowni, widział zbieraninę marmurowych i gipsowych popiersi (August? Marek Aureliusz? Homer?), skrzynie wypełnione muszlami, zgruchotane w kącie azjatyckie i afrykańskie włócznie, książki stłoczone na półce (wszystkie po holendersku), wypchane egzotyczne zwierzęta, żelazne przyłbice, zbiór minerałów i monet, dzbany przywiezione z Dalekiego Wschodu, dwa globusy, rozmaite instrumenty muzyczne, o których istnieniu i brzmieniu młody Żyd nie miał pojęcia. Na stole leżały trzy ogromne portfolio zawierające, o czym już wiedział, sztychy, akwaforty i ryciny Michała Anioła, Rafaela, Tycjana, Rubensa, Holbeina, Lucasa van Leyden, Mantegni! Cranacha Starszego! Dürera...! Kiedy tak przeglądał albumy i przebiegał koniuszkami palców po porowatej fakturze sztychów, uwolniony od poczucia czasu i od swoich niepokojów, wyrwało go z ośpienia skrzywienie otwierających się drzwi. „Chodź, synu”, powiedział chacham, a dreszcze znów wstrząsnęły ciałem młodzieńca.

Pracownia Mistrza zajmowała całą część frontową piętra. Oba okna, tyłkrotnie obserwowane z płacyku przy Sint Antoniesbreestraat, przy śluźce nad kanałem Zwanenburgwal, miały opuszczone zasłony, co rozpraszało światło, ale młodzieniec zdołał dostrzec za plecami Mistrza, tuż przy żelaznym piecyku, rozłożoną na sztalugach deskę średniej wysokości, której górna część pokryta była czernią niemal w jaskiniowej tonacji, a mimo to dało się tam wypatrzeć ogromną kolumnę przypominającą ołtarz z delikatnym złotym ornamentem oraz zasłonę, która po lewej stronie opadała z ciemności. Pośrodku, w dolnej części deski, gdzie światło skupiało się na ubranej na biało kłęzącej kobiecie, wyłaniały się inne postaci o konturach tylko zarysowanych na szarym tle.

Chacham zajmował drugi stółek, toteż Eliasz musiał stać w centralnym punkcie pracowni w krępującej pozycji, ponieważ widział swoje odbicie z przodu i z profilu w ogromnych dwóch lustrach, z których jedno oparte było na frontowej, drugie zaś na bocznej ścianie. Młodzieniec nie wiedział, co zrobić z rękoma ani gdzie skierować wzrok spragniony każdego szczegółu sancta sanctorum, chociaż jego umysł niezdolny był przyswoić sobie natłoku obrazów.

„Ile masz lat, chłopcze?” Eliasza zaskoczyło to pytanie. „Siedemnaście, proszę pana. Niedawno skończyłem”. „Wyglądasz na młodszego”. Eliasz przytaknął. „Bo jeszcze nie rośnie mi broda”. Mistrz stłumił śmiech i mówił dalej. „Mój przyjaciel Menasze wspominał o twoich zamierzeniach. A że ja podziwiam zuchwałość, zrobię coś dla ciebie”. Eliasz poczuł, że za chwilę radość uniesie go w powietrze, ale tylko kiwnął głową, ze wzrokiem wbitym w dłonie Mistrza, których gest towarzyszył słowom. „Z uwagi na bezpieczeństwo mojego przyjaciela i twoje własne musimy zachować dyskrecję i z powodu tego, że, jak rozumiem, jesteś młodzieńcem bez grosza przy duszy, za to ambitnym i upartym, mam dla ciebie je-

dyną możliwą propozycję do przyjęcia przez wszystkich, a mianowicie zatrudnię cię jako sprzątacza pracowni, a w zamian obniżę ci czesne do pięćdziesięciu florenów. Co oczywiste, za tę cenę i dla uwiarogodnienia swojego zajęcia rzeczywiście zajmiesz się sprząaniem, to chyba jasne... Najpierw będziesz się uczył, przypatrując się temu, co robią inni uczniowie i ja sam. Możesz zadawać pytania, ale nie za dużo, a w żadnym wypadku nie odzywaj się do mnie, kiedy pracuję... Nigdy... Kiedy już wszystko będziesz wiedział o doborze i mieszaniu kolorów, ucieraniu kamieni w mózdzierzu, przygotowaniu płócien i desek, sporządzaniu pędzli i kiedy będziesz miał ogólne pojęcie o tym, jak maluje się obraz i dlaczego maluje się tak, a nie inaczej, wtedy ponownie zapytam cię o twoje zamiary. Jeśli nadal będziesz obstawał przy swoim, dam ci do ręki pędzel. Czy weźmiesz ten pędzel i czy ten fakt stanie się mniej lub bardziej powszechnie wiadomy, to już zależy wyłącznie od ciebie i ty poniesiesz tego konsekwencje. Mam licznych przyjaciół Żydów, którzy nie są tak postrzeleni jak ten nasz przyjaciel”, wskazał brodą Ben Izraela, „i nie mam zamiaru narażać na szwank tych przyjaciół z powodu marzyciela, który zapragnął zostać malarzem, a zapewne nie potrafiłby pobielić ścian wapnem... Zgadzasz się?”

Przytłoczony tą tyradą Eliasz spojrział na Mistrza wyczekującego odpowiedzi, a potem zerknął na swojego dawnego preceptora, który trzymając przepiękny kieliszek wypełniony do połowy winem, sprawiał wrażenie osoby lekko podchmielonej i zarazem rozbawionej tą sytuacją. „Tak, zgadzam się, proszę pana... ale mogę zapłacić tylko trzydzieści florenów”. Mistrz mu się przyglądał, jakby nie do końca pojął jego słowa, a potem porozumiał się wzrokiem z Ben Izraelem. „Błagam, panie, trzydzieści florenów to i tak o wiele więcej, niż mam”, dodał młodzieniec i poczuł, jak na widok Mistrza kręcącego głową ziemia usuwa mu się spod nóg. Eliasz, podobnie jak inne osoby znające nieco życie tego człowieka, wiedział, że sława nie wystarczała malarzowi, aby mógł sprostać kłopotom finansowym, na które skazywały go jego dziwactwa. Poza tym sytuacja materialna Mistrza znacznie pogorszyła się od poprzedniego roku, kiedy kilku członków bractwa arkebuzerów wyraziło opinię, że zamówiony przez nich obraz jest szachrajstwem, dziełem obraźliwym i w złym guście, w niczym bowiem nie przypomina modnych w tej epoce portretów grupowych. Mówiono nawet, że malarz jest kapryśny, marudny i uparty („Trzeba było to zlecić Fransowi Halsowi”, twierdziły pewne osoby uwiecznione na obrazie, z których każda zapłaciła pokaźną sumę stu florenów), i w rezultacie, jakby na mocy dekretu magistratu, Mistrz stracił tego typu zamówienia, najbardziej dochodowe na rynku malarskim w Amsterdamie. Dlatego też odpowiedź malarza wprowadziła w osłupienie obu Żydów: „Brody może nie masz, ale masz jaja... Bierz się za miotłę. Zacznij od schodów. Mają błyszczeć. Jak skończysz, zapytaj panią Dirxc, co jeszcze jest do zrobienia... Chyba potrzebny nam torf do piecyków... A teraz zmykaj, mam do pomówienia z moim przyjacielem. I ubierz się, jak przystoi sprzątacowi. No dalejże, wyjdź i zamknij drzwi”.

Eliasz poczuł się uprzywilejowany, już miał przeświadczenie, że weźmie udział we wspaniałych wydarzeniach i będzie je wspominać do końca życia, a nawet w nieprzewidywalnej przyszłości opowie o nich innym. Dlatego też po kilku tygodniach bytności w domu i w pracowni Mistrza Ambrosius postanowił prowadzić coś w rodzaju notatnika wrażeń, w którym miał zamiar zapisywać swoje wzruszenia, odkrycia, przemyślenia i wiedzę zdobyty w cieniu i w świetle Mistrza. Także obawy i wątpliwości. Długo zastanawiał się, gdzie schować ten kajet, ponieważ znalezienie go przez kogoś – myślał zwłaszcza o swoim bracie Amosie, coraz bardziej nieprzejednanym w sprawach religijnych, który posunął się nawet do używania prostackiego żargonu nieokrzesanych Żydów ze Wschodu – zniweczy wszelkie podjęte środki ostrożności i kamuflaż, a jego pozbawi możliwości obrony. W końcu zdecydował się na skrytkę pod podłogą stryżku, zamaskowaną starym drewnianym kufrem obitym skórą.

Na pierwszej stronie kajetu, który własnoręcznie skroił i oprawił w drukarni na wzór panelu tafelet, na którym malarze robili szkice, zapisał w języku ladino, starannie kaligrafując wielkimi literami w stylu gotyckim: „Nowe Jeruzalem, rok 5403 od stworzenia świata, 1643 nowej ery”. Na początku opowiedział o tym, co znaczyła dla niego szansa, by dzielić z Mistrzem jego świat, a potem, w kolejnych akapitach rojących się od przymiotników i zachwyty, próbował wyrazić poczucie epifanii, którego doznawał, stając się świadkiem cudownego aktu kreacji, gdy ten obdarzony geniuszem człowiek

kreślił na dębowej desce, na podmalunku w martwym kolorze, postaci, pociągnięciami pędzla je odziewał, obdarzał obliczem, nadawał twarzom wyraz. Zastanawiał się, jak malarzowi udało się nasycić postaci wspaniałą, niemal magiczną grą w tonacji ochry i umieścić je w półokręgu wokół ubranej na białą kłęzącej kobiety, aby nadać ostateczny kształt chrześcijańskiemu dramatowi, w którym Jezus przebacza jawno grzeszniczki skazanej na ukamienowanie. Praca nad obrazem była rezultatem czystej kreacji ex nihilo, a młodzieniec mógł dzień po dniu obserwować, jak przybywa linii i kolorów, które pojawiały się, nabierały kształtu, a potem często znikwały, pochłonięte przez inne linie, inne kolory, zdolne celniej zarysować sylwetki, ozdoby, wystrój, formy i światło (jak udało mu się uzyskać owo zmaganie się mroków ze światłem? – raz po raz zadawał sobie pytanie), aby po wielu godzinach starań osiągnąć najbardziej wybrzmiewającą spośród wszystkich doskonałości.

Zgodnie z ustaleniami z pierwszego dnia wizyty Eliasza, zaraz po wypełnieniu codziennych obowiązków w drukarni, pracował w domu Mistrza przez wszystkie popołudnia i wieczory, od poniedziałku do czwartku, a w piątkowe popołudnie kończył parę godzin przed zachodem słońca. („W piątek, pod koniec dnia, musisz wywiązać się ze swoich obowiązków jako Żyd. W niedzielę chodzę czasem do mojego kościoła i jeśli to możliwe, wołę, żeby w domu nikogo nie było”, powiedział mu Mistrz). Ze szcztoką i szmatą w ręce, trzymając się instrukcji pani Dircx, młodzieniec przemierzał pokoje, które swojego czasu dzień i noc wypełniały radość, zabawa i rozmowy, ale teraz wokół panował posępny nastrój naznaczony piętnem śmierci, która tak często tu gościła. Jedynymi oznakami życia i zwyczajności była bieranina, śmiech i płacz małego Titusa, jedyne ocalałego syna, a także obecność uczniów, kilku nawet młodszych od Eliasza, którzy niejednokrotnie nie mogli powstrzymać wybuchu śmiechu, na parę chwil rozwiewającą ponurą atmosferę, jaka utrzymywała się w czterech ścianach tego domu.

Eliasz zawsze szybko, mimo to starannie, wywiązywał się ze swoich obowiązków, bo nie mógł się doczekać, żeby wspiać się na mansardę, gdzie uczniowie pracowali w swoich izdebkach. Jeśli to było możliwe, nawet próbował zajrzeć do pracowni Mistrza, zanim zapadnie zmrok, bo choć malarz miał upodobanie do nocnych scenerii, bardzo rzadko, jak zorientował się młodzieniec, kontynuował pracę nad jakimś obrazem w blasku świec albo paleniska, które pomocnicy przygotowywali w wielkim miedzianym kotle przeznaczonym do tego celu. Z nastaniem wiosny słońce kryło się później, toteż Eliasz miał więcej czasu, by cichcem, z miotłą i kubłem w ręce, poszwendać się po pracowni; a kiedy Mistrz nie pracował lub malował, zamknąwszy uprzednio drzwi na klucz, młodzieniec schodził do salonu na pierwszym piętrze i wpatrywał się w najnowsze dzieła Mistrza (subtelny portret zmarłej żony, strojnej Niczany królowa, z ostatnim uśmiechem na ustach; wspaniała, przepojony czułością wizerunek Dawida i Jonatana, temu drugiemu Mistrz nadał własne rysy); obrazy jego przyjaciół i najbardziej utalentowanych uczniów (Jana Lievensa, Gerrita Dou, Ferdinanda Bola, Goverta Flincka) i dzieła, które nabył, część do własnej kolekcji, inne z nadzieją na zyskową sprzedaż. Pośród tych pereł Eliasz dostrzegł *Sarmytankę* Giorgionego, *Hero i Leandra* żywiolowego Flamanda Rubensa i głowę *Dziewicy*, którą zauważył w czasie pierwszej wizyty w tym domu, ta zaś okazała się dziełem wielkiego Rafaela. Raz po raz zaglądał do izdebek na mansardzie, odgradzonych przesuwanymi panelami, gdzie pracowali uczniowie, jedni prowadzeni czasem przez Mistrza, inni malując po swojemu, zgodnie z nabytymi umiejętnościami. Z Duńczykiem Keilem, z Samuelem van Hoogstratenem, z chłopięcym Aertem de Gelder i przede wszystkim z niezwykłym utalentowanym Carelem Fabritiusem (nie przypadkiem często zzywany przez Mistrza do pomocy przy niektórych jego własnych obrazach) Eliasz rozpoczął prawdziwą naukę, zagłębiając się w tajniki kompozycji, światła i form, a przy tym starannie skrywając przed uczniami i czeladnikami swoje zamiary, i chociaż każdemu z nich nietrudno byłoby je odgadnąć, nie ulegało wątpliwości, że tych potomków zamożnych kupców i kancelistów niewiele obchodzi aspiracje jakiegokolwiek nic nieznaczącego żydowskiego sługi.

Przez pierwsze tygodnie Mistrz prawie nie odzywał się do niego, z wyjątkiem wydawania poleceń, by posprzątał jakieś pomieszczenie albo coś mu przyniósł. To traktowanie bliskie lekceważenia, wynikające zapewne z niewielkiego pożytku z jego pracy, raniło dumę młodzieńca, ale go nie zniechęcało: w końcu był tam, gdzie pragnął być, i uczył się tego, czego tak bardzo chciał się nauczyć. Bycie niewidzialnym stało się dla niego najskuteczniejszą tarczą, zarówno w tym domu, jak i poza nim.

Uwaga Eliasza skupiała się szczególnie na zleceniach powierzanych uczniom, dobrze bowiem wiedział, że chodzi tu o podstawowe zasady tej profesji. Kiedyś, jeśli szczęście dopisze, on też dostanie zadania do wykonania. Szczególnie uważnie śledził proces drugiego i trzeciego gruntowania płótna, na które uczniowie często nakładali grubą, niemal szorstką mieszanek szarego, barwionego kwarcu i odrobiny brązowej ochry, nieco rozbielonej, a całość rozrzedzali w schnąłym oleju, aby osiągnąć maksymalną szorstkość faktury i martwy kolor, którego domagał się Mistrz; ze skupieniem śledził sztukę przygotowywania kolorów, po przepuszczeniu przez młynek i sproszkowaniu w moździerzu kamieni pigmentowych, po zmieszaniu ich ze ściśle określoną ilością oleju lnianego, aby wystarczająco się związały i nie były zbyt kleiste; przyglądał się, jak Mistrz sposobi paletę (zdumiewająco ubogą w kolory), zależnie od etapu pracy nad obrazem lub jego wybranym fragmentem, który właśnie malował. Wszystkie te zabiegi były wykonywane zgodnie ze ściśłymi poleceniami, które jedynie od czasu do czasu przeradzały się w wyjaśnienia natury dydaktycznej, zdradzając intencje artysty. Eliasz odkrył również, że malarz, jakby ufał wyłącznie własnej umiejętności osiągania tonacji dokładnie takiej, jaką dyktowała mu wyobraźnia, z reguły samodzielnie przygotowywał kolory żółte, złote, miedziane i ziemię sienneńską, których używał w obfitości. Przede wszystkim dzięki rozmowom z sympatycznym Aertem de Gelder, uczniem, który z największą łatwością potrafił naśladować dzieła Mistrza, zupełnie jakby jego cząstkę miał w sobie, Elias Ambrosius zdobył podstawową wiedzę na temat łączenia barw dających owe niezwykle efekty świetlne i stosowania kolorów w celu uzyskania mrocznych cieni, które nadawały tak ogromny ładunek wewnętrznego dramatyzmu obrazom malowanym w pracowni.

Pewnego kwietniowego popołudnia – tuż po święcie Paschy, żydowskiej Wielkanocy, która z powodu stosownych obrzędów przerwała na jakiś czas pracę Eliasza w domu malarza – młodzieńcowi przytrafiły się dwa pomyślne zdarzenia. Pierwsze nastąpiło wtedy, gdy wszedł do pracowni Mistrza, który siedział przed płótnem przygotowanym kilka dni wcześniej przez Carela Fabritiusa. W ciągu kilku dni, kiedy uczeń pracował nad płótnem wysokim na sześć piędzi i szerokim na jeden ell²³, Eliasz obserwował proces rodzenia się dzieła, które naówczas istniało jedynie w głowie Mistrza w formie pulsującego zamysłu. Podczas gdy Fabritius przygotowywał płótno, Mistrz, obserwując spod oka zabiegi gruntujące, kreślił rysunek na desce. Dwa razy powiedział „więcej” i wtedy Fabritius musiał dodać ciemnej pasty z brunatem kasselskim, aby nadać powierzchni głębszy ton. Na ten niemal czarny podkład z leciutką domieszką brązu Mistrz naniósł białą ołowiową delikatne, połyskliwe linie, które Eliasz skojarzył z zarysem głowy, przykrytej jakby biretem... takim samym, jaki w tym momencie nosił malarz. Układ luster – umieszczonych opodal sztalug tak, że artysta mógł zobaczyć się en face, en trois quarts i w ujęciu profil perdu, z perspektywy, z której sącząca się przez okna światło słoneczne odsłaniało jeden tylko policzek modela – zdradził Eliaszowi temat obrazu.

Zaraz po wyjściu Fabritiusa z pracowni Elias Ambrosius, poruszając się z największą ostrożnością, włożył do wiaderka kilkanaście zabrudzonych pędzli zebranych z podłogi, zabrał swoją wierną towarzyszkę miotłę i skierował się do drzwi: pierwszą zasadą, jakiej nauczył się, wchodząc do pracowni, było pozostawić w całkowitej samotności Mistrza, kiedy pracował nad autoportretem, chyba że wezwał jednego z uczniów, aby ten pozował mu w jakimś stroju albo zrobił drobny retusz na płótnie. Tym większe było jego zdumienie, gdy usłyszał głos Mistrza, który zwrócił się do jego odbicia w lustrze: „Zostań”.

Eliasz odłożył wiaderko i szczotkę, po czym stanął nieruchomo. Mistrz znów pogrzążył się w milczeniu, wpatrzony we własne zwierciadlane odbicie. Ta twarz była niewątpliwie najczęstszym motywem przedstawianym na jego obrazach. Dziesiątki autoportretów – płócien, rysunków, sztychów – wyszło spod jego ręki i nawet znalazło nabywców na rynku i miejsce na ścianach mieszczańskich domów w Amsterdamie, z uwagi nie tyle na piękno wizerunków, ile na obrotność nabywców traktujących ten zakup jako lokatę kapitału, podobnie jak złoto, diamenty i to wszystko, co namalował ten człowiek, nim jego prestiż doznał uszczerbku z powodu obrazu wiszącego w wielkiej sali w Kloveniersdoelen. Poszukiwanie środków ekspresji, uczuć, udawanych lub prawdziwych stanów ducha, było zapewne przyczyną tego, że Mistrz traktował siebie samego jako model idealny i – ma się rozumieć – zawsze pod ręką. Być może kolejnym powodem było znalezienie wizualnych wzorców dla wielu innych (znakomitych i po-

dziwianych) portretów, które sporządził. Jednak przede wszystkim, rozmyślał Eliasz pod wpływem komentarzy uczniów i czeladników, a także rozmów na temat tej obsesji ze swoim profesorem Ben Izraelem, Mistrz widać odnalazł w rysach swojej twarzy, skądinąd niezbyt szlachetnych (ryzmski nos, rozwichrzone i niesforne włosy – *cadennes*, jak tym francuskim słowem nazywają to Holendrzy – wyraziste, choć cierpkie usta, ciemniejące od próchnicy zęby, przesywający wzrok), odbicie tak dobrze znanego życia wraz z zyskami i stratami, radościami i klęskami, które chciał albo usiłował utrwalić w przekonaniu (jakiś czas później powie o tym Eliaszowi Ambrosiusowi), że jeden człowiek jest jedną chwilą w czasie, a życie pojedynczego człowieka jest rezultatem wielorakich chwil na przestrzeni lat, dłuższych lub krótszych, ofiarowanych mu przez los. Twarz nie jako obraz, lecz jako następstwo: człowiek, który jest emanacją człowieka, który był.

Wszyscy dobrze znali tę zadziwiającą umiejętność Mistrza, zdolność odczytywania osobowości i utrwalania ich w badawczym spojrzeniu, które potem było dopełnione kilkoma zaledwie znaczącymi cechami. Krążyły po Amsterdamie opowieści o tym, że kiedy przed laty przyjechał do metropolii z rodzinnej, bardziej konserwatywnej Lejdy, jego zdolności poddane zostały skandalicznie definitywnej próbie: bardzo bogaty kupiec Nicolaes Ruts, król handlu skórami, niemal wyłączny dystrybutor syberyjskich soboli – droższych od złota, a nawet od pięciokolorowych cebulek tulipanów – zażyczył sobie portretu wykonanego przez tego „chłopca”, o którym tyle rozprowadano i którego uznawano wręcz za nową nadzieję malarstwa Północy. Ten debiut w kręgu wszechwładnej elity, który za sprawą Boga i niezwykłego talentu młodego malarza splótł się z losami kupca, okazał się tak niebywały, że wprowił w zachwyty marszandów i koneserów w mieście. Portret Rutsa bowiem, mimo niezwykle oszczędnych środków, był najtrafniejszym przedstawieniem człowieka interesu, potężnego, pewnego siebie, ale zarazem, z racji wiary i ideologii, dalekiego od przejawów ostentacji. Jeśli sportretowany Nicolaes Ruts odziany był w futro z soboli, namalowane włosy po włosie, jak jeszcze nigdy dotąd nie namalowano futra z soboli, to w jakimś magicznym akcie miękkość i ciepło stały się namacalne, bo tylko Nicolaes Ruts godny był tej sobolowej pelisy. Stąd owo pewne i spokojne spojrzenie, które ubrany w cenne futro kupiec kieruje w stronę obserwatora mającego to szczęście, że udało mu się obejrzeć obraz. A ci, którzy go oglądali, byli także amsterdamskimi bogaczami, zaprzyjaźnionymi z Rutsem, także nosili drogie pelisy, i to oni przemienili portret w legendę i w dzieło, które sprawiło, że przez dziesięć lat ci sami zamożni mieszkańcy Amsterdamu hołubili sztukę młodego Mistrza, aby w ten sposób zyskać nieśmiertelność i nadać splendor miastu.

W kilka minut po usłyszeniu polecenia „zostań” Eliasz Ambrosius skorzystał z przywileju świadka, kiedy Mistrz po długim namyśle wzięty do ręki pędzel o cienkim włosie i nadal wpatrzony w jedno z luster podjął pracę nad tym, co miało stać się oczami. „Jeżeli potrafisz namalować siebie samego i zawrzeć w oczach pożądany wyraz, jesteś malarzem”, przemówił w końcu, nie przestając malować i nie odwracając wzroku od płótna. „Reszta to tylko teatr... barwne plamy, jedna obok drugiej... Ale malarstwo, chłopcze, to coś znacznie więcej... W każdym razie tak być powinno... Najbardziej odkrywcza z wszystkich historii ludzkich jest zapisana na twarzy człowieka... Powiedz, co widzisz?”, zapytał i wobec milczenia młodego adepta sam odpowiedział: „Człowieka, który się starzeje, który poniósł liczne straty i aspiruje do wolności, ale ta raz po raz wymyka mu się z rąk, lecz on nie poddaje się bez walki...”. Dopiero wtedy Mistrz poruszył się na stołku. „Przypatrz się dobrze. Tu, obok twarzy, od strony widza, musisz umieścić świetlisty punkt. W ten sposób unikaszesz wyraźnego zarysu drugiego policzka i odwracasz uwagę od twarzy jako całości. Najważniejsze są rysy, zwłaszcza oczy, w których musisz odnaleźć duszę i charakter. Zaczynając od...”

Przerwał monolog, jakby zapomniał, że coś mówił, pracował bowiem teraz z szarością i sienią, tworząc zarys grubej, nieco opadniętej powieki. Za bardzo opadniętej, zdecydował i ponowił próbę, po lekkim muśnięciu płótna palcem. „Oczy określa cień, a nie światło...”, wznowił wywód i po raz pierwszy odwrócił się i spojrzął na młodego Żyda. „Portret jest wydarzeniem w czasie, wspomnieniem obecnej chwili, którą odtwarzamy i uwieczniamy. Jutro chcę wiedzieć, jaki jestem albo jaki byłem dzisiaj, i dlatego portretuję siebie... Kiedy portretujesz kogoś innego, sprawa się komplikuje. To już nie jest dialog między dwiema, ale trzema osobami: malarzem, modelem i wyobrażeniem samego siebie, jakiego

zgodnie z konwencjami społecznymi, którym chce sprostać, domaga się portretowany. Ale kiedy malujesz siebie, tylko ty przemawiasz do widza. To jak publiczne obnażanie się: to, co jest przed tobą, jest tym, co masz...”

Mistrz znów odwrócił się plecami do Eliasza Ambrosiusa i teraz wpatrywał się w odbicie swojego profilu w lustrze. „A ty czego szukasz w malarstwie?”, zapytał, a następnie oparł o udo dłoni trzymającą pędzel i skierował wzrok na lustro, szukając w nim twarzy młodego Żyda, jakby tym razem domagał się odpowiedzi. „Nie wiem”, przyznał Eliasz i gotowy wyznać prawdę, dodał: „Wiem tylko, że to lubię”. „To już wiem: człowiek gotowy na upokorzenie, uciemiężenie, a nawet wykluczenie, aby tylko coś osiągnąć; który płaci trzydzieści florenów, żeby zamiatać dom, robić sprawunki, wyrzucać gówno do kanału, bo chce się czegoś nauczyć; który naraża się na atak doktrynalnej furii innych ludzi... a ta jest z pewnością najgorszą furią w świecie... godzi się na to tylko w imię czegoś, co bardzo lubi. Ale kwestia lubienia jest dobra dla kochanka albo kupca, czy nawet dla polityka. Nie dla predykanta jak mój przyjaciel Anso albo fanatyka mesjanizmu jak inny mój przyjaciel, Menasze... Nie wystarczy też malarzowi, nie. Co jeszcze? Chwała? Sława? Pieniądze?” Eliasz Ambrosius pomyślał, że wszystkie te rzeczy są godne pożądania i oczywiście ich pragnie, ale też wiedział, że nie są mu pisane i nigdy ich nie osiągnie z pędzlem w dłoni. Skoro mistrz taki jak Steen musiał prowadzić tawernę, gdzie sprzedawał piwo, skoro van Goyen był niemal żebrakiem, skoro Pieter Lastman umarł w zapomnieniu, to co on może osiągnąć? „Chcę być dobrym Żydem”, powiedział w końcu, „nie pragnę kłopotać swoich ani wywoływać ich gniewu czy prowokować do tego, by mnie potępił. Chcę malować tylko dlatego, że to lubię. Nie wiem, czy mam talent, ale jeśli Bóg mi go ofiarował, to był w tym jakiś cel. Mam taką wolę, a ona też jest darem Boga, Przenajświętszego, który dał mi Prawo, ale również rozum i możliwość wyboru”. „Myśl raczej o sobie i o tej woli, a mniej o Bogu”. Mistrza widać zainteresował ten temat. Odłożył na paletę pędzel i odwrócił się do młodzieńca. „Tutaj, w Amsterdamie, wszyscy rozprawiają o Bogu, ale bardzo niewiele liczy na Niego w swoim życiu. I sądzę, że to słuszna postawa. My, ludzie, powinniśmy sami rozwiązywać nasze ludzkie problemy... Kalwin, który za dużo czytał waszą żydowską Biblię, również uważał, że to, co robię, jest grzechem. Ale jeśli grzeszę lub nie, to mój problem, a nie innych kalwinistów. Bo koniec końców sam przed Bogiem muszę go rozwiązać i gdy nastąpi koniec, nie pomoże mi żaden predykant, ani ksiądz, ani rabin... Dla artysty wszystkie zobowiązania są balastem: wobec jego Kościoła, wobec stronnictwa politycznego, a nawet własnego kraju. Ograniczają twoją sferę wolności, a bez wolności nie ma sztuki...” Eliasz słuchał i chociaż miał własne zdanie na ten temat, wolał zachować milczenie: był tu, żeby słuchać, patrzeć, w razie konieczności o coś zapytać i odpowiadać tylko wtedy, gdy tego wymagano. „Podaj mi kieliszek wina”, poprosił Mistrz, a kiedy już trzymał go w dłoni, upił hałaśliwie łyk. „Twoi ludzie wiele przecierpieli od niepamiętnych czasów, a to wszystko z winy tego samego Boga, którego jedni widzą tak, a inni inaczej... Jeśli tu, w Amsterdamie, wolno każdemu wierzyć w swojego Boga i interpretować po swojemu te same święte słowa, powinienesz wykorzystać okazję, która jest wyjątkowa w dziejach człowieka i nie sądzę, by trwała zbyt długo czy też miała się powtórzyć w najbliższym czasie, bo to nie jest normalna sytuacja: zawsze znajdują się iluminaci, gotowi przywłaszczyć sobie prawdę i narzucić ją innym... Nie nakazuję ci, byś niczego nie robił, tylko żebyś to przemyślał: wolność jest najwyższym dobrem człowieka i nie skorzystaś z niej, gdy to możliwe, jest czymś, czego Bóg od nas nie wymaga. Zrezygnować z wolności, tylko jeśli jest straszliwym grzechem, niemal boską obrazą. Ale musisz wiedzieć, że wszystko ma swoją cenę. A cena wolności jest bardzo wysoka. Aby osiągnąć wolność, nawet tam, gdzie ona jest lub tylko mówi się, że jest, a tak dzieje się najczęściej, człowiek może wiele przecierpieć, zawsze bowiem są inni ludzie, którzy, jak w wypadku wyobrażeń o Bogu, inaczej pojmują wolność i są przekonani, że ich sposób rozumowania jest jedynym słusznym, i siłą narzucają go wszystkim dokoła... A to oznacza kres wolności, bo nikt nie może ci powiedzieć, jak z niej korzystać...” „Rabini twierdzą, że sprzyja nam szczęście, ponieważ żyjemy na ziemi wolności”. „I mają rację. Ale moim zdaniem słowo «wolność» uległo całkowitej dyskredytacji... Ci sami rabini zmuszają cię do przestrzegania praw bożych, ale także praw, które oni sami nakazali, uzurpując sobie rolę interpretatorów woli bożej. To oni, wysławiając wolność, bezlitośnie cię potępiają, kiedy dowiedzą się, dlaczego tutaj jesteś... Choćbyś był tu tylko dlatego, że lubisz malować, a nie po to, by

zostać bałwochwalcą...” Odstawił kieliszek na stolik, gdzie stały stoiki z farbami. „Pomyśl, chłopcze, skoro masz śmiałość robić to, co zamierzasz, musi być coś więcej niż tylko pragnienie. Posłuchaj: jeżeli nie ma w tym jakiegos wyższego celu, lepiej zaoszczędzić te trzydzieści florenów... Albo je wydać na którąś z tych indonezyjskich dziwek, nie bez kozery tak dobrze opłacanych”. Mistrz spojrział w bok i jakby ze zdziwieniem przypatrzył się jego sylwetce w lustrze. „W twoim wieku to najbardziej wskazane. A teraz idź już”, wziął do ręki pędzel, odwrócił się do sztalug i studiował szkic utrwalony na płótnie, „muszę dokończyć oczy. Pamiętaj, co powiedziałem: wszystko jest w oczach”. „Dziękuję, Mistrzu”, wyszeptał młodzieniec i wyszedł z pracowni.

Wszystko jest w oczach, powiedział do siebie, wpatrując się w lustro, które kupił i zaniósł do mansardy. Do zaimprovizowanych sztalug przymocował arkusz papieru, którego powierzchnia wciąż była nieskalanie biała. Po co próbować? Mistrz miał rację: powinna być jakaś przyczyna, solidna i nieuchwytna opoka, równie trudna do spreeczowania jak przekonujące spojrzenie na dziewcziczą powierzchnię. Ten powód był gdzieś tu blisko, ta pogoń za czymś nieosiągalnym dla większości ludzi, a dostępnym tylko wybrancom. Przyglądając się swoim oczom na gładkiej powierzchni lichego lustra, Elias Ambrosius wiedział, że właśnie w tym momencie zbliżył się do granicy i jeśli ma ją przekroczyć, to musi znać ostateczną odpowiedź. Dotąd jego szkice węglem na kawałkach papieru były tylko dziecięcą zabawą, przejawem niewinnego kaprysu, przyjemną strużką wypływającą bez żadnych konsekwencji z krynicy zamiłowania. Teraz już nie: w jego dłoni pulsowała świadoma i przemyślana sposobność, a czy zostanie ona ujawniona publicznie, czy też nie, było kwestią drugorzędną. W istocie liczył się jedynie Ten, Który Wszystko Widzi. Granicę przekroczy tylko wtedy, gdy podejmie działanie, które dyktuje jego wolna wola i los jego nieśmiertelnej duszy: wybór między posłuszeństwem a odmową, podporządkowaniem się odwiecznej literze Prawa a wolnością wyboru ofiarowaną mu przez tego samego Boga. Uległość zapewniała wygodę i pewność, ale także gorycz, o czym dobrze wiedział jego lud; wolność jest ryzykowna i bolesna, lecz słodsza; spokój duszy – błogosławieństwem, ale także więzieniem. Dlaczego chciał to robić, skoro był świadomy tego, co kładzie na szali? Czy te same wątpliwości miał niejaki Salom Italia, który wyrzył na metalowej płytce wizerunek chachama Ben Izraela? Jaką znalazł odpowiedź, skoro odważył się naruszyć dziewiczość płytki i wykroił na niej popiersie, twarz, ludzkie oczy? Czy prześladowały go, tak jak jego, strach i zwątpienie, narastające zwątpienie?

Eliasza zawsze zadziwiała myśl o sekwencji zdarzeń i decyzji, które przyniosły go do jego mansardy w mieście uznawanym przez wygnańców z Sefarad za Nowe Jeruzalem, gdzie jego pobratymcy cieszyli się niezwykłą tolerancją, która pozwalała im spokojnie się modlić w każdą sobotę, gromadzić przed złocistym blaskiem menory, w pradawne święta czytać zwoje Tory i bez lęku odprawiać rytuał obrzezania brit mila lub uroczystość inicjacji bar micwa, jednocześnie wzbogacając swoje sakwy i umysły oraz ciesząc się szacunkiem dzięki temu bogactwu złota i idei, pospołu bowiem złoto i idee nadawały splendor temu gościnnemu miastu. Dobre miejsce, Makom. Amsterdam, miasto rosnące z każdą godziną, gdzie wszędzie rozlegał się zgrzyt piły, stukot młotka, chrzęst szufli, to samo miasto, które zaledwie dwa wieki wcześniej było niewiele więcej niż bagniskiem porośniętym trzciną, rojącym się od komarów, a teraz pyszniło się mianem światowej stolicy pieniądza i handlu, zarabianie pieniędzy zaś było cnotą, a nigdy grzechem... Aby stało się to wszystko, a Eliasz mógł zadawać sobie te natrętnie pytania, musiało dojść do wciąż trwającej wojny między katolikami i chrześcijanami, którzy zerwali z papieżem, między monarchistami i republikanami, między Hiszpanami i obywatelami Zjednoczonych Prowincji, zanim jeszcze w Amsterdamie otworzyła się ta nieoczekiwana brama na tolerancję i na Żydów, których pewni monarchowie wygnali w imię Boga z ziem uznawanych za ojczyznę. Musiała też nastąpić eksplozja cierpienia i upokorzeń, musiała popłynąć rzeka krwi wielu synów Izraela. Musiało też dokonać się pośród licznych Żydów odstępstwo od własnej wiary, od własnych obyczajów i kultury wraz z konwersją i przymusem wielbienia Jezusa albo Allaha, aby w ten sposób ocalić własne życie (i mienie), aby ktoś taki jak on mógł znaleźć się w tym właśnie miejscu i cieszyć się prawem do zadawania sobie pytania, czy powinien przekroczyć granicę, do której doprowadziła go tylko jego dusza, jego wola i wciąż

mgliste, nieuchwytny motywy, czy też nie powinien. Musiał zaistnieć jego dziadek, Benjamin Montalbo de Ávila, który przywiódł swoją rodzinę znów do wiary przodków, i trzeba było porażającego doświadczenia tego pobożnego człowieka, który zmuszony był przez lata żyć jak chrześcijanin, choć nim nie był, udręczony zachowaniem tajemniczy, gdy w każdy piątek o zmierzchu słyszał szepot swojego ojca: „Szabat szalom!”, i strapiony przywdziewaniem maski we wrogim otoczeniu... A wszystko po to, aby Eliasza Ambrosiusa nabrał przekonania, które miał jakby we krwi, że ważniejsze od publicznego okazywania przynależności rasowej, od chodzenia do synagogi, od przestrzegania zaleceń rabinów jest wewnętrzne utożsamienie się ze swoim Bogiem, czy inaczej – z samym sobą i z własnymi poglądami...

Lecz przede wszystkim aby mógł tu być, musiał istnieć strach. Strach nieprzemijający, uciążliwy, bezkresny, także przekazany w dziedzictwie, strach, który dobrze znał nawet Eliasza, chociaż urodził się w Amsterdamie. Ten nie do przecięcia lęk, że pomyślność może skończyć się w każdej chwili, że powrócą prześladowania, zewnętrzne lub wewnętrzne. Znowu powtórzy się wygnanie, a któregoś ranka powróci garota albo zapłoną stopy, jak wielokrotnie się zdarzało na przestrzeni stuleci. Kiedys skrywał się ten małosłowny i bardzo realny strach, skoro on także bał się skrajności, do jakiej zdolni są ludzie, którzy na mocy przysługującej im władzy głoszą się nieskazitelnymi pasterzami zbiorowych losów, tu, w Amsterdamie, gdzie wszyscy chępią się poczuciem nieograniczonej wolności.

Eliasza Ambrosiusa nie przestawał wpatrywać się w lustro, obserwując swoje oczy (światło i cień, życie i misterium), i powiedział sobie, że nie wolno mu poddawać się lękowi. Skoro tu był, skoro naprawdę jest wolny, skoro ma w sobie siłę swoich siedemnastu lat, to musi wykorzystać ów niezwykły przywilej urodzenia się i życia w mieście, gdzie Żydzi oddychają wolnością, która była przez wieki czymś niewyobrażalnym dla ludzi tej rasy, a w jego wypadku – także przywilej bliskości człowieka niepokornego, malarza, który już jest uznawany za jednego z największych mistrzów, giganta na ołtarzu Apellesa. Wiedział, że dziadek Beniamin, gdy się o tym dowie, nie pochwali jego zamiarów, ale też go nie potępi: starzec na własnej skórze doświadczył wszelkich możliwych utrapień z powodu swojej wiary i chociaż był pobożnym Żydem, bronił zdecydowanie wolności i poszanowania dla ludzi myślących inaczej. Eliasza miał także przeczucie, że jego ojciec Abraham Montalbo będzie cierpiał i się nad nim użalał, ale nie wyprze się syna, albowiem jego otwarty umysł – dzięki książkom, które czytał (on i dziadek po kryjomu sprowadzali z Hiszpanii i Portugalii ulubioną literaturę), dzięki książkom, które drukował i rozprowadzał w połowie krain świata – zapewnił mu oparte na tolerancji stosunki z innymi, a choć sam był osobą wyrozumiałą, nietolerancja nie była mu obca. Eliasza sądził zarazem, że głównym powodem jego nieszczęść może stać się brat Amos, którego dziadek i ojciec uchronili przed represjami i wzgardą, a on być może z tego właśnie powodu dał się omamić skrajnie ortodoksyjnym ideom. Niczym papugi przywiezione z Surinamu Amos powtarzał słowa głoszone przez zwolenników tezy, iż tylko ściśle wypełnianie świętego Prawa i bezwarunkowe posłuszeństwo wobec świątłych przykazań talmudycznych może uratować synów Izraela w świecie zdominowanym przez gojów: słowa ludzi zdolnych potępić człowieka, nakładając nań niduj, za to, że utrzymuje kontakty z własnym ojcem mieszkającym w Portugalii lub Hiszpanii, znowu budzących lęk tych ziem bałwochwalstwa, za którymi mimo wszystko tęskniło tylu Żydów, a wszak ci sami nieprzejednani ortodoksi, tak skłonni do potępienia innych, bogacili się na handlu z tymi ziemiami. Eliasza o tym wiedział: jego brat bez wahania zadenuncjowałby go przed Mamadem, gotowy zostać jego prześladowcą, wręcz oskarżycielem, w przekonaniu, że spełnia obowiązek godnego reprezentanta swojego ludu.

W pamięci całej żydowskiej wspólnoty w Amsterdamie trwało – i każdego dnia dudniło w pamięci Eliasza Ambrosiusa niczym bęben – echo procesu ekspulsyjnego Uriela da Costa, skazanego przez radę rabinacką (z udziałem chachama Ben Izraela!) na dożywotni cherem, co dla niego oznaczało zerwanie wszelkich kontaktów z wszystkimi członkami wspólnoty, prawdziwą śmierć cywilną. Da Costę ogłoszono winnym grzechu publicznego rozgłaszania opinii, że rabinackie nakazy zebrane w Talmudzie i Misznie, jako że pochodzą od ludzi, nie są najwyższymi prawdami, jak twierdzili rabinowie, ten przywilej bowiem przysługuje tylko Bogu. Da Costa głosił konieczność oddzielenia przykazań religijnych od nakazów świeckich i sądowych, a nawet ośmielił się postulować indywidualną relację między osobą wierzącą a jego Bogiem (tę samą, którą w łonie rodziny Eliasza wyznawał dziadek Beniamin), więź, w któ-

rej władze religijne odgrywają jedynie rolę czynnika pomocniczego, a nie regulującego. W rezultacie został oskarżony o zaprzeczenie halachy, pradawnego prawa, a zarazem kodeksu postępowania już nie tylko religijnego, ale także osobistego i obywatelskiego.

Podczas nadążącego się procesu ekskomunikacji ten zuchwały człowiek wykazał się skrajną naiwnością, wyrażając nadzieję, że jego bracia, ci sami rabini, którym kategorycznie odmawiał odwiecznej władzy, wykażą się „sercem pełnym zrozumienia” i będą „roztropnie procedować, opierając się na niepodważalnych faktach”, jak przystoi ludziom rozważnym, żyjącym w innych czasach niż pierwotni patriarchowie i prorocy, wciąż pogrążeni w mrokach rodzącej się dopiero cywilizacji, nomadyczni, koczujący na pustyni czciciele bałwanów. Dramatyczny proces, w którym oskarżono da Costę o agenturalną działalność na rzecz Watykanu, a trybunał rabinacki upokorzył go i pohańbił, zakończył się zasądzeniem owego dożywotniego cherem, wyrok zaś odczytał rabi Montera, który wypominając jego straszliwe przewinienia, oświadczył: „Zgodnie z sądem aniołów i wyrokiem świętych potępiamy, ekskomunikujemy, przeklinamy i wydalamy Uriela da Costa, rzucamy nań anatemę i przywołujemy kłatwę, jaką Jozue obłożył Jerycho, przywołujemy przekleństwo Eliasza i wszelkie wyklęcia zapisane w księdze Prawa. Niechaj będzie przeklęty we dnie i w nocy, przeklęty, gdy idzie do łoża, gdy wstaje, wychodzi i wchodzi. Niechaj Pan nigdy mu nie przebaczy i nie odpuści jego przewin! Niechaj odtąd gniew i potępienie Pana spadną na jego głowę, bodaj dotknęły tego człowieka wszelkie wyklęcia zapisane w księdze Prawa, bodaj imię jego było wykreślone pod niebiosami... Item nakazuje się, by nikt nie zwracał się doń słowem mówionym lubo pisany, w niczym mu nie służył ani nie zamieszkał z nim pod jednym dachem, ni zbliżał się doń na cztery łokcie...”.

Elias pamiętał, jak podczas ogłaszania przez rabina Monterę inkwizycyjnej ekskomunikacji, w synagodze wypełnionej tłumem członków Nação, rozbrzmiewały raz po raz jękiwie dźwięki wielkiego rogu, coraz bardziej głuchnące i cichnące. Tymi samymi oczyma, którymi teraz wpatrywał się w lustro, mały Elias Ambrosius, ściskając mocno dłoń dziadka i dygocząc z przerażenia, widział, jak płomień obrzędowych kandelabrow, intensywny na początku obrzędu, z wolna przygasał w miarę odczytywania cherem, aż całkiem zniknął, kiedy zamilkł róg: wraz z ciszą i agonią światła zamarło życie duchowe skazanego heretyka.

Głośny proces skierowany przeciwko Urielowi da Costa, a w domyśle także przeciwko wszystkim odszczepieńcom i ludziom niepokornym w Amsterdamie, miał zasiać nowe ziarno strachu pośród tych, którzy ośmielili się wyznawać inne poglądy niż te zadekretowane przez wszechwładnych przywódców wspólnoty, ogłoszonych na mocy tradycji depozytariuszami jedyńymi, zgodnych z Prawem interpretacji. Paniczny, wszechogarniający strach, że czeka go ten sam los, pulsował teraz w dłoni młodego Eliasza Ambrosiusa uzbrojonej w kawałek węgla, podczas gdy on sam wpatrywał się w swoje oczy w lustrze i kontemlował wyzywający, biały papier rozpięty na prowizorycznych sztalugach. Czy podejmie to ryzyko tylko dlatego, że lubi malować? Mistrz to wiedział i już wie to Elias Ambrosius: tak, musi być coś więcej, musiało istnieć coś więcej. Czy chacham Ben Izrael wie co? Czy Salom Italia, który znalazł się po drugiej stronie lustra, odkrył, czym jest to coś więcej? Elias Ambrosius miał przeblysk owego misterium, kiedy jego dłoń, posłuszna jakiemuś przykazaniu, które wypływało z nieznanego źródła gdzieś poza jego świadomością i jego lękiem, nakreśliła na nieskazitelnie białym papierze pierwszą kreskę, z której narodzi się oko. Wszystko bowiem jest w oczach. W oczach płaczącego człowieka.

Misterium, zrozumiał to w tej właśnie chwili, nazywa się mocą: mocą Tworzenia, impulsem transcendentnej, potęgą piękna, której żadna władza nie pokona.

Czas szybko płynął, a Eliasz Ambrosius, wbrew swoim wyobrażeniom i przewidywaniom, bynajmniej nie był szczęśliwy. Czasem czuł jakiś zagadkowy poryw złego losu, odbijający się echem wyrzutów sumienia, i wtedy pytał sam siebie: czy naprawdę warto? Kiedy indziej ogarniała go zawziętość, zmuszając do bardziej praktycznego podejścia, gdy na palcach wyliczał kolejno – pieniądze, czas, efekty, satysfakcja, ryzyko, strach – chociaż często starał się wykreślić z tej listy pieniądze, aby nikt, nawet on sam, nie mógł go oskarżyć o nazbyt żydowskie podejście do sprawy, chociaż powszechnie wiadomo, że w Amsterdamie nie tylko Żydzi mają obsesję na punkcie mamony. Trafnie to ujął pewien francuski pisarz, który ukochał to miasto, również uznany za heretyka przez swoich współwyznawców, niejaki René Descartes, któremu przypisywano osąd, że wszyscy w tym mieście, z pominięciem jego samego, oddają się wyłącznie zarabianiu pieniędzy...

W pewne szczególnie nieszczęśliwe dni, wypełnione tymi smutnymi refleksjami, młodzieniec, podsumowując swoje wątpliwości i osady, bliski był podjęcia decyzji: nawet jeśli Mistrz byłby nie wiem jakim Mistrzem, bardziej jeszcze cenionym niż przed laty, i mimo że on, Eliasz Ambrosius, uważał go za największego malarza w mieście, a nawet w całym znanym świecie, dwa lata spędzone na czyszczeniu podłóg, wynoszeniu ekskrementów, dźwiganiu torfu na podpałkę, przyjmowaniu rozkazów i zarzutów wiecznie niezadowolonej pani Dircx, znacznie częściej niż rad Mistrza (który skrupulatnie pobierał od niego niebagatelną sumę trzydziestu florenów – owszem, należy uwzględnić także pieniądze, twardo egzekwowane, jeśli spóźniał się z wpłatą), w zamian za bardzo nieliczne i przypadkowe rozmowy, które Mistrz, jeśli był w dobrym nastoju, odbywał z jakimś gościem albo kupcem, w sumie to wszystko dowodziło aż nadto, że należy rozważyć zakończenie tej niebezpiecznej przygody.

Wprawdzie Eliasz Ambrosius nie mógł zaprzeczyć, że bliskość Mistrza i jego otoczenie, ów świat, w którym wszystkie myśli i słowa z jakimś chorobliwym wręcz napięciem krążyły wyłącznie wokół problemów związanych z malarstwem – technicznych, materialnych, filozoficznych, a nawet ekonomicznych – uczyniło z niego innego człowieka, i choćby miał nadal żyć pogrążony w swoim nieszczęściu, nigdy nie będzie już tym, kim był niegdyś: poznał wielkość, doświadczył blasku i żaru geniuszu, a nade wszystko nauczył się, że wielkość i geniusz, kiedy idą w parze ze skłonnością do wyzwania i pragnienia wolności wyboru, mogą prowadzić (czy nieuchronnie prowadzą, miał wątpliwości) do kłeski i rozgoryczenia.

Ale co mu przyjdzie z tej wiedzy? Młody Żyd szczególnie gorączkowo rozważał swoją sytuację i radykalną decyzję w owe wieczory, kiedy stojąc przed kawałkiem bezmyślnie pomazanego płótna lub papieru, przekonywał się, że bez względu na to, jak bardzo będzie się starał chłonąć to, co zobaczył i usłyszał, bez względu na swój entuzjazm i wytrwałość, pomiędzy jego umysłem a tą wyzywającą płaszczyzną zawsze będzie brakowało czegoś na kształt emanującej bożej łaski, która jemu, był tego pewien, nigdy nie będzie dana – prawdziwego talentu. Jeżeli całe życie ma być kimś przeciętnym, niewarte są tego koszty, poniżenie i brzemień tajemnicy, której nie mógł powierzyć nawet najlepszym przyjaciołom. Jak na przeciętnego malarza, mówił sobie, zebrał już wystarczający zasób zniewag i lęków.

W to chłodne popołudnie, które jego życiu miało nadać niespodziewany i krzepiący impuls, myśl o rezygnacji towarzyszyła mu niczym uparty pies, kiedy brnąc w świeżym śniegu, szedł do domu Mistrza. Jednak jakieś nieokreślone poruszenie, nieuchwytnie niczym przecucie, powstrzymało go przed zrobieniem kroku, który, o czym wiedział, będzie ostateczny, podobnie jak inne decyzje podjęte w jego dotychczasowym, krótkim życiu.

Drzwi otworzyła mu nowa służąca, młodziutka Emely Kerk. Elias Ambrosius wszedł do środka i skierował się do stojącego w salonie pieca, aby po długim marszu strząsnąć z siebie chłód. Patrząc na trzaskający ogień, mimowolnie stwierdził, że metalowy pojemnik na torf jest niemal pusty i z pewnością wysłał go pod wieczerz na Nieuwemarkt, żeby zawiadomił dostawcę, że ma przyjść do domu pod numerem 4 przy Jodenbreestraat. Właśnie schodził do kuchni, aby zamienić swój płaszcz na stary, roboczy kaftan i zabrać swój codzienny arsenał – szczotkę i kubeł – kiedy ze swojego pokoju wyszedł Mistrz, który właśnie wkładał do ust cukrową pałeczkę, mimo że ta wywoływała u niego i wciąż będzie wywoływać nieustanny ból zębów (za nic w świecie, zapewniał, nie wyrzekłby się tych karmelków), po czym spojrział na młodego człowieka i powiedział: „Nie przebieraj się, dzisiaj ty pójdziesz ze mną”. W tym momencie Elias Ambrosius, nawet nie wiedząc, co go czeka, nabrał już pewności, że – jakakolwiek to będzie okazja – owe magiczne słowa od razu przeniosły jego relację z Mistrzem na wyższy pułap bliskości. Natychmiast zapomniał o przeżuwaney w myślach decyzji, jakby nigdy jej nie było.

Powszechnie znane było upodobanie Mistra do robienia porannych zakupów. Zawsze około dziesiątej, zależnie od swoich intencji, wybierał jednego z uczniów i udawał się na obchód sklepów, które najlepiej mogły spełnić jego bardzo osobliwe oczekiwania. Eskapada kończyła się o wpół do pierwszej, zwykle w porcie, przy straganie spożywczym, należącym do obciążonego liczną dziatwą małżeństwa Indonezyjczyków, w miejscu, gdzie roilo się od czarnych dokerów, angielskich i norweskich marynarzy, madziarskich i niemieckich kupców, a także innych cudacznych postaci (Indian z Surinamu, sprzedawców papug albo ciemnoskórych Żydów etiopskich, ubranych w przedchrześcijańskie stroje), Mistrz przyglądał się twarzom, ubiorom, gestom, pochłaniając łapczywie mięso z warzywami dostępnymi o tej porze roku, które były przesycone zapachami i smakami przywołującymi tajemnicze, odległe światy, a owe smakołyki przyrządzali małżonkowie o popielatej skórze i sylwetkach wiotkich jak kołyszca się na wietrze trzcina. W zależności od humoru Mistra towarzyszący mu uczniowie – odkąd jego ulubieniec Carel Fabritius odszedł z pracowni, szukając szczęścia jako niezależny artysta, niemal zawsze był to jego brat Barent, kiepski malarz i zręczny tragarz, a czasami Duńczyk Keil albo Samuel van Hoogstraten, albo niedawno przybyły Constantijn van Renesse – podążali za nim aż do nieoheblowanych stołów pary Indonezyjczyków lub też wracali do domu z zakupionymi materiałami. W każdym razie udział w tych wyprawach uczniowie poczytywali sobie za wyróżnienie, a po przyjsciu do domu pokazywali kolegom nowe nabytki i relacjonowali pogawędki Mistra – o ile się one odbywały – z jego dostawcami i z portowym hospólstwem.

Nie tracąc z pola widzenia różnicę między jego sytuacją a położeniem uczniów przyjętych w roli terminatorów (najstarsi z nich, wzbywszy się przesądów, już traktowali go niemal jak równego sobie), Elias Ambrosius z jednej strony pograżał się w zwątpieniu i lęku, a z drugiej niemal od dwóch lat błagał swojego Boga, by dane mu było usłyszeć pewnego dnia (choćby tylko raz!) polecenie, które go wyróżni, przynajmniej jako osobę. Łatwo można się było domyślić, dlaczego malarz nie wyszedł rano z domu: od świtu aż do południa sypał uparty śnieg. Inna sprawa, że Mistrz, o czym również wiedział młodzieniec, odzyskał uśmiech na twarzy i równocześnie ograniczył swoje wyjścia do miasta, odkąd od paru miesięcy bawiła w domu młodziutka Emely Kerk, przyjęta do pracy na pół dnia jako niania-guwernantka dla Titusa, tym bowiem obowiązkom nie mogła sprostać pani Dirx z uwagi na jej luźny związek ze słowem pisany. Jednak to nie powód był istotny, ale sam wybór, ponieważ o tej porze w swoich izdebkach na mansardzie pracowało kilku uczniów, którzy płacili wymagane sto florenów: tak jak się to zdarzało wielokrotnie, Mistrz mógł wydać polecenie Eliaszowi, by wszedł na mansardę i zawiadomił któregoś z nich, że pryncypał gotowy jest do wyjścia i już czeka. Ale tego popołudnia wybrał właśnie jego.

Wraz z poprawą nastroju (co czasem przychodziło mu łatwo, dzięki rozmowie lub uwadze, jaką poświęcił mu Mistrz, albo odkryciu, że umie namalować coś, czego wcześniej nie potrafił, albo też perspektywie spotkania z Mariam Rocą, dziewczyną, która od paru miesięcy fascynowała go niemal równie silnie jak malarstwo) młody człowiek umieszczał na szali to, że w ciągu tych dwóch lat wypełnionych, to prawda, wstrząsami, obawami i rozczarowaniami, poznał również, za bardzo umiarkowaną cenę, radość pobierania nauk w najbardziej prestiżowej pracowni Amsterdamu i Republiki. Elias Am-

brosius uzmysłowił sobie w tym momencie, że przebył wyboistą drogę od międzyplanetarnej niewiedzy do świadomości, jak wiele musi się nauczyć, jeśli pragnie przemienić swoje obsesje w obrazy, i za pomocą stosownych narzędzi przekonać się, że tkwią w nim jakiekolwiek uzdolnienia (które, jak sądził, w tych okolicznościach nagle się objawiły, choć bardziej na fali jego euforii niż w efekcie powstania jakiegось konkretnego dzieła). Podsluchane przez Eliasza rozmowy Mistrza z uczniami, starannie maskowana ciekawość, z jaką chłopak zadawał im rozmaite pytania, i jawna zachłanność, z jaką chłonął wypowiedziane do siebie słowa Mistrza, a nadto fakt, że był świadkiem narodzin, tworzenia i ukończenia różnych dzieł tego geniusza (zafascynował go portret Emely Kerk, na którym Mistrz ustawił pozującą mu dziewczynę tak, jakby wyglądała przez okno; a dwukrotnie nawet Eliasz przygotował mu paletę do malowanego od paru miesięcy obrazu przedstawiającego w codziennej domowej scenie chrześcijańską Świętą Rodzinę, w chwili gdy ją odwiedzają aniołowie), pozwalały mu zapuścić się aż na próg świata znacznie bardziej bajecznego, niż mógł to sobie wyobrazić, i pomimo jego licznych utrapień obdarzonego magnetyczną siłą przyciągania... Dlatego też przeszedł już od węgla i papieru do kartonu i gwaszu, malując szerokimi, prostymi pociągnięciami pędzla w stylu Mistrza, a kilka miesięcy wcześniej zaczął eksperymentować z obrazami na płótnie, najtańszym, jakie mógł znaleźć, kupowanym okazjynie jako ścinki, a oddawał się temu zajęciu w opuszczonej izdebce po drugiej stronie Prinsengracht, Kanału Książęcego, jako że obawiał się, że gdyby pracował na swojej mansardzie, zdradziłby go charakterystyczny zapach oleju lnianego.

Nieraz zmuszony był kłamać, kiedy jakiś kolega albo któryś z domowników pytał o jego zatrudnienie w pracowni Mistrza: pretekst, że pracuje tam jako sprzątac, na prośbę swojego dawnego chachama Ben Izraela, wielkiego przyjaciela malarza, wystarczył, aby przekonać dziadka (wszystko, co pochodziło od Ben Izraela, wydawało się dziadkowi słuszne), uspokoić ojca (aczkolwiek ten nie rozumiał, dlaczego jego syn, mając się dwóch zajęć, nigdy nie ma pieniędzy) i na jakiś czas wyprowadzić w pole Amosa i własnych przyjaciół, w każdym razie taką miał nadzieję.

Tego radosnego popołudnia, kiedy obaj wyszli z domu, Jodenbreestraat jawiła mu się niczym biały kobierzec rozłożony na ich przyjęcie. Zamiatacze śniegu jeszcze nie podjęli pracy i na ulicy widniały ślady tylko jednego przechodnia. Mistrz skręcił w prawo, w stronę Meijersplein, i Eliasz już po paru metrach zorientował się, że wydarzyło się coś, co wprawilo malarza w dobry humor: tym tylko można było wytłumaczyć jego gadulstwo, które zaskoczyło młodzieńca. Kiedy brnęli po kostki w miękkim jeszcze śniegu, Mistrz opowiadał Eliaszowi, jak zawarł znajomość z każdym ze swoich żydowskich sąsiadów – Salvadorem Rodriguesem, braćmi Pereira, Benitem Osorio, Izaakiem Pinto i oczywiście Izajaszem Montalto, wszystkich równie żałoźnymi – u których podziwiał umiejętność zachowania własnej wiary pośród wszelkich zagrożeń i – ma się rozumieć – także umiejętność pomnażania florenów. Bez wstępów przeszedł do wyłożenia swojej teorii, często dyskutowanej z Ben Izraelem i niektórymi sefardyjskimi sąsiadami, na temat powodów, dla których mieszkańcy Amsterdamu utrzymują z członkami sefardyjskiej Nação bliskie relacje, wykraczające poza tolerancję. „To nie dlatego, że wy i my jesteśmy wrogami Hiszpanii, ani dlatego, że pomagacie nam się wzbogacać. Hiszpania ma aż nadto wrogów, a nam nie brakuje wspólników w interesach. Ani dlatego, że jesteśmy bardziej wyrozumiali i tolerancyjni, nic z tych rzeczy: otóż my, Holendrzy, jesteśmy równie pragmatyczni jak wy i ułoźsamiliśmy się z dziejami Hebrajczyków, aby udoskonalic i upiękzyć naszą własną historię, nadając jej wymiar mistyczny, jak słusznie mówi nasz przyjaciel Ben Izrael. W sumie dwa słowa: protestancki pragmatyzm”.

Elias Ambrosius wiedział, że Mistrz nie utrzymuje najlepszych stosunków z ludźmi, którzy mitologizują dzieje Zjednoczonych Prowincji, ani też z najbardziej aktywnymi i radykalnymi predykantami kalwinistycznymi. Parę lat wcześniej niezrealizowane zamówienie na obraz, który miał upamiętnić zjednoczenie Republiki (wciąż uwikłanej w niekończącą się wojnę z Hiszpanią), niekorzystnie odbiło się na relacjach między malarzem a władzami kraju. Dzieło, przeznaczone do pałacu królewskiego w Hadze, nigdy nie zostało ukończone, ponieważ zlecniodawcy, zapoznawszy się ze szkicami, uznali, że interpretacja malarza nie spełnia wymagań ani nie oddaje rzeczywistości historycznej tak, jak oni ją pojmowali, ani tym bardziej nie emanuje stosownym duchem patriotycznym. A nadto ujawniono jego przyjaźń z kontrowersyjnym predykantem Cornelusem Anslu oraz działalność w sekcje mennonitów,

propagującej powrót do prostych i naturalnych wzorców zalecanych przez Pismo. Głośna stała się jego niedawna i kapryśna sympatia do dysydentów arminiańskich, którzy bronili pierwotnego ducha Reformy Protestantckiej i byli znacznie bardziej liberalni niż zaprzysięgli kalwiniści. Jakby jeszcze było mało tej hałastry ortodoksyjnych i nieortodoksyjnych wyznawców, Mistrz obnosił się ze swoją zażyłością fizyczną i duchową z Żydami, a nawet z katolikami: przyjaźnił się z katolickim malarzem Steenem i z najbardziej wziętym w mieście architektem Philipsem Vingboonsem, częstym gościem w domu przy Jodenbreestraat. Ta wyzywająca postawa uczyniła z niego człowieka, którego z trudem tolerowali przywódcy ideologiczni jego społeczności, z obawą przyglądający się temu artyście naruszającemu ustalone normy.

Kiedy dotarli do Meijersplein, Elias Ambrosius już niebawem miał się domyślić, gdzie nastąpi pierwszy postój na tej trasie i jaka jest przyczyna euforii Mistrza. Na rogu placu, naprzeciwko terenu zakupionego przez hiszpańskich i portugalskich Żydów, gdzie miało się zrealizować marzenie o wzniesieniu synagogi, pojmowanej – i tak też zaprojektowanej – jako wyzywająca, modernistyczna wersja Świątyni Salomona, znajdował się sklep Hermana Doomera, Niemca, który specjalizował się w sporządzaniu twardych mahoniowych ram i oferował też wsporniki z innego, mniej szlachetnego drewna, a nawet poczerńnięte fiszby, w charakterze tańszych substytutów. Kupca i malarza łączyły serdeczne więzy, odkąd Doomer został przed laty sportretowany przez Mistrza, natomiast jego syn Lambert spędził jeden sezon w pracowni jako uczeń, choć bez większego powodzenia. Dzięki tej zażyłości Niemiec zawsze sprzedawał Mistrzowi najpiękniejsze drewno po najkorzystniejszej cenie.

Przyjaciel i ceniony klient został powitany z euforyczną radością, jakiej można było się spodziewać po Niemcu do szpiku kości luterzańskim, połączoną nie tylko ze zwyczajowym zaproszeniem na piwo lub wino, lecz także z zachętą do wypicia napoju, który od niedawna stał się modny w Zjednoczonych Prowincjach: kawy sprowadzonej z Etiopii, luksusu osiągalnego tylko dla wybrańców. Elias Ambrosius, zachowując stosowną odległość, delektował się czarnym płynem osłodzonym melasą i śledził rozmowę mężczyzn, dzięki której wreszcie pojął przyczynę euforii Mistrza: stadhouder Fryderyk Henryk de Nassau, namiestnik Republiki, zamówił u malarza dwa nowe dzieła i – co oczywiste – takie zlecenie wymagało ram najlepszego gatunku (bez względu na koszty, które i tak pokryje wszechwładny zlecniodawca).

Młodemu Żydowi, jak wszystkim znawcom zakamarków malarskiego świata w tym kraju, nieobce były pogłoski o przyczynach burzliwego końca handlowych i przyjacielskich relacji między możnowładcą z Hagi a mistrzem z Amsterdamu. Sześć lat wcześniej, po ukończeniu *Zmartwychwstania*, trzeciego z zamówionych przez stadhoudera obrazów przedstawiających męczeństwo Chrystusa (uprzednio malarz przekazał *Wniebowstąpienie* i prawie jednocześnie *Złożenie do grobu*), Mistrz napisał do księcia, prosząc pokornie, choć stanowczo, by zamiast uzgodnionych sześciuset florenów zapłacono mu tysiąc za każde ostatnie dwa dzieła, biorąc pod uwagę, jak kalkulował Mistrz, że na rynku ceny za jego obrazy wzrosły w ciągu ostatnich dwóch, trzech lat, a także uwzględniając kunsztowność i wysoki poziom artystyczny tych obrazów. W ślad za odpowiedzią stadhoudera, która przyszła wraz z wekslem na uzgodnioną cenę i reprimendą za długi, nazbyt długi jego zdaniem, czas oczekiwania na owe dzieła, zapadło zgubne milczenie, będące jedyną reakcją na kolejne listy nadesłane przez Mistrza. W obliczu tej *affaire* i niezwłocznego odrzucenia planowanego obrazu mającego upamiętnić zjednoczenie Republiki artysta przekonał się, że pogrzebane zostały jego marzenia, iż podobnie jak Rubens, któremu tak zazdrościł i którego tak kochał i nienawdził, zostanie cenionym malarzem dworskim, panem na włościach i kolekcjonerem dzieł sztuki.

Od śmierci żony, które to wydarzenie ogromnie przygasiło ducha Mistrza, a także od czasu, gdy jego obraz *do groote sael* przy Kloveniersburgwal wywołał poruszenie i niepokój wśród potencjalnych nabywców, ale przede wszystkim poczawszy od skandalicznego procesu sądowego, który wytoczył mu równie bogaty jak głupi Andries de Graeff, uznawszy, że zamówiony u malarza portret – zapłacił za niego zawrotną sumę pięciuset florenów – nie tylko jest daleki od ukończenia, ale i daleki od podobieństwa do modelu, liczba zamówień u Mistrza znacząco spadła. Amsterdamscy potentaci już nie ustawiali

się w kolejce, aby uwiecznić ich ten uparty i konfliktowy malarz, i teraz zamawiali portrety u bardziej ustępliwych artystów, tworzących obrazy uładzone i mocniej przesycone światłem, a takich malarzy było w mieście bez liku. Wobec owych przeciwności losu osłabł zapał Mistrza i dla każdego znowy stało się oczywiste, że ostatnie jego zlecenia (w których większy niż zazwyczaj udział mieli Carel Fabritius i młody Aert de Gelder) przyniosły w efekcie kompozycje eleganckie, przemyślane, ale pozbawione indywidualności i nie całkiem godne jego geniuszu. Prawdą jednak było i to, o czym przekonał się Elias Ambrosius: że te dzieła Mistrza, które nie schlebiali powszechnym gustom i nie szukały poklasku, nabierały głębi oraz osobistego i samoistnego wyrazu. Świadczył o tym portret Emely Kerk, prostej dziewczyny, która wychyla się przez okno, a cała ta scena tchnie prawdziwością. Gdy rozwiły się marzenia o obecności na księżącym dworze, Mistrz uwolnił się wreszcie od ciężącego mu od lat brzemienia: światowości, wybujałej obrazowej teatralności i przytłaczającego rozmachu, które tak bardzo odpowiadały gustom mecenasów Flamandczyka Rubensa. Zyskał więc wolności.

Eliasz Ambrosius aż zadrażał, gdy usłyszał cenę hebanowej ramy, wysokiej na sześć piędzi i szerokiej na jeden ell, ale dowiedziawszy się, że każdy z obrazów wyceniony został na tysiąc dwieście florenów, zorientował się, że pieniądze przeznaczone na luksusowe ramy nie będą problemem dla tego klienta szlachetnej krwi, a z kolei Mistrz, który zwykł wydawać więcej, niż potrafił zarobić jako malarz, mógł dać wytchnienie burzliwemu domowemu budżetowi, który jakże często był tematem rozmów z panią Dircx.

Kiedy wyszli ze sklepu, wczesny zimowy zmrok ogarnął biały plac, ale w niczym nie przygasiło to entuzjazmu Mistrza; przeciwnie, pod wpływem ciemnego ożywczego napoju, który zaoferował pan Domer, ów zapał jeszcze bardziej się wzmógł. Malarz rozejrzał się, jakby się zastanawiał, dokąd teraz pójść, aż w końcu podjął decyzję: „Chodźmy na piwo, tuż za rogami... Potem złożymy wizytę Izaakowi Pinto. Najpierw jednak dokończę to, o czym wcześniej zacząłem ci mówić”.

Eliasz dumny jak paw wszedł za Mistrzem do szynku przy Meijersplein, który ku jego rozczarowaniu był mniej uczęszczany niż wiecznie zatłoczone tawerno przy Waag, placu Dam albo w dzielnicy portowej. „Spójrzcie, panowie, piję ciemne piwo z wielkim Mistrzem”, powiedział sobie w duchu, obserwując klientów, w których większość była zbyt pijana o tej porze, aby zwrócić uwagę na przybyszów. Popijając piwo z cynowego dzbanka i pałaszując porcję solonego śledzia, Mistrz, zwrócony w stronę prawej ucznia, szukał zgubionego wątku dyskursu na temat nadawania mistycznego wymiaru przeznaczeniu swojego kraju.

„Jak już mówiłem...” Połknął kawałek śledzia, wypił pół dzbanka piwa i ciągnął dalej: „Mamy za sobą stulecie exodusu od katolickiego Południa do kalwinistycznej Północy oraz wojen z największą potęgą imperialną, jaką widział świat. Mamy wreszcie do czynienia z ubogą ziemią, którą doprowadziliśmy do rozkwitu, oraz – jako kraj niewielki, choć ambitny – z silnym poczuciem predestynacji. Nic zatem dziwnego, że uważamy się za naród wybrany... przez Boga albo przez Historię, a może przez nas samych, w każdym razie przez kogoś. Bo jak inaczej wytłumaczyć, że to Nowe Jeruzalem, jak je nazywacie, mogło przeobrazić się w najbogatsze, najbardziej kosmopolityczne, najpotężniejsze miasto świata...?”. Dokończył resztkę piwa i uniósł dzbanek, domagając się następnego. „Odkąd zerwaliśmy z Rzymem, nasza kalwinistyczna mentalność wolała interpretować mesjanistyczną predestynację naszej historii z perspektywy waszych żydowskich dziejów, widząc w was lud, którym posłużył się Wszchemocny, aby dać wyraz swojej woli na ziemi i w dziejach... jak utrzymuje napisana przez was samych księga. Uczyniliśmy z naszego exodusu to samo, co zrobili biblijni Żydzi: uprawomocnienie radykalnego, historycznego zerwania, odcięcie się od przeszłości, które umożliwiło retrospektywne stworzenie narodu. Prawdziwa lekcja pragmatyzmu... Ale prawda, prawda”, mówił z naciskiem Mistrz, „jest taka, że ta Republika jest rezultatem połączenia niekompetencji i brutalności Korony hiszpańskiej z kalwinistycznym pragmatyzmem, ale nade wszystko jest następstwem korzystnych interesów. Gdy tylko powstała Republika, w której tak się lubujemy i która tak nas wzbogaca, owe okoliczności, te prawdziwe, przysłoniły patriotyczną mitologią, wedle której istnienie naszych prowincji jest wypełnieniem woli boskiej... tak jak dopełni się ona w Jeruzalem”.

Bez pośpiechu zaatakował kolejny dzbanek piwa, Eliasz natomiast popijał swoje drobnymi łykami. „Wiesz, dlaczego opowiadam ci o tym, jak manipulowano tymi błędami...? Bo chcę, żebyś wiedział, że to jest temat obrazów, które zamówił u mnie stadhouder... Jak możesz sobie wyobrazić, chodzi o dwie sceny ściśle związane z wami, a także z nami, sceny, które określają naszą tożsamość i nas łączą: adoracja Mesjasza przez pasterzy, która widziana z perspektywy historii może być pomyślana jedynie jako obraz żydowski, oraz obrzezanie Chrystusa, który koniec końców... czyż nie?... był w równym stopniu Żydem i obrzezańcem jak ty”.

Mistrz sięgnął do kieszeni, wyjął trzy monety i położył je na stole, płacąc za piwo, po czym spojrzął na swojego młodego towarzysza. „Teraz odwiedzimy mojego przyjaciela Izaaka Pinto. Po tym, co ci powiedziałem, bardzo może ci pomóc to, co zobaczysz w jego domu”. „Pomóc? W czym, Mistrzu?”, dopytywał się Eliasz, ale odpowiedział mu tylko uśmiech malarza, ironiczny, splamiony tytoniem i spróchniałymi zębami. „W odnalezieniu samego siebie, kto wie. Albo w zrozumieniu, dlaczego naród żydowski przetrwał ponad trzy tysiące lat. W drogę”.

Ani w ciągu swoich dziewiętnastu lat, ani w czekających go niewiele jeszcze latach nigdy nie przekroczył i już nie przekroczy progu tak okazałego i luksusowego domu, wypełnionego srebrem i lśniącym drewnem, odbitych w lustrach wypolerowanych do tak doskonałego połysku, że mogły pochodzić wyłącznie z weneckich i norymberskich warsztatów, z posadzkami tak gładkimi, jakie mogą być tylko białe marmury z Carrary, żółte przywiezione z Neapolu i czarne, przecięte zielonkawymi żyłkami, z sąsiedniej Flandrii. W oprawie masywnych kotar, z pewnością będących dziełem perskich rąk i szytych z takich wełny, wszystko to błyszczało, jakby ta siedziba wzniewała pożogę dobrobytu i pomyślności. Dom Mistrza, gdyby nie obrazy własne i obcych artystów, które wisiały na ścianach, nadając otoczeniu blask, w porównaniu z siedzibą Izaaka Pinto przypominałby raczej obóz wojskowy (choć po prawdzie wiele miał z nim wspólnego).

Ów Żyd, który przyjechał do Amsterdamu, mając mniej więcej tyle lat co ojciec Eliasza, Abraham Montalbo, kiedy tu dotarł – a obaj równie ubodzy – był żywym świadectwem sukcesu i kupieckiego geniuszu sefardyjczyków, któremu tak bardzo sprzyjało Nowe Jeruzalem. Pomimo ograniczeń narzuconych przez władze miasta, które nie pozwalały, by Izraelici zajmowali się tradycyjnymi w tym regionie profesjami i wstępowali do najbardziej dochodowych gildii, hebrajska inwencja znalazła nieeksploatowane dotąd dziedziny i z zapałem poświęciła się takim specjalnościom jak produkcja czekolady, szlifowanie diamentów i soczewek oraz niezwykle dochodowa rafinacja amerykańskiej melasy. Już wkrótce niektórzy z nich, dzięki tysiactletnim talentom kupieckim oraz bliskiej i owocnej relacji z pieniądźmi, doszli do ogromnych fortun. Jednakże bogactwo Izaaka Pinto miało charakter bardziej przewidywalny: handel z przeszłością. Ponieważ miał już kontakty i agentów na czterech kontynentach – w Europie, Afryce, Azji i Nowym Świecie – w istocie jego głównym centrum operacyjnym były przede wszystkim ziemie bałwochwalcze, Hiszpania i Portugalia, gdzie robił interesy nie tylko z krewnymi i przyjaciółmi swojej rodziny, którzy byli przechrztami i zajmowali wysoką pozycję na drabinie społecznej Półwyspu, ale również z przykładownie katolickimi agentami obu Koron iberyjskich, przy czym inni przywódcy amsterdamskiej wspólnoty, którzy byli współnikami lub beneficjentami podobnych przedsięwzięć, nawet nie odważyliby się go potępić czy choćby krytykować. Zgodnie z wymogami swojego statusu społecznego Izaak Pinto nosił taki ubiór, buty, fryzurę i wąsy, by ani trochę nie różnić się wyglądem od amsterdamskich patrycjuszów, z którymi żył w dobrej komitywie, jak równy z równymi. Podobnie jak oni ozdabiał swój dom nieodzownymi obrazami holenderskich artystów, a wśród owych płócien Eliasz Ambrosius wypatrzył pejzaż z krowami namalowany przez Alberta Cuypa, młyn, który wręcz wołał, że wyszedł spod pędzla Ruysdaela, martwą naturę z bażantami, dzieło Gerrita Dou, dawnego ucznia Mistrza, i subtelny rysunek samego Mistrza, który zdawał się raczej onirycznym pejzażem niż prawdziwym krajobrazem bagiennej Holandii. Tak czy inaczej sukces Izaaka Pinto – podobnie jak braci Pereirów albo Izajasza Montalta – był najlepszym przykładem na to, co może osiągnąć hebrajski pragmatyzm w sprzy-

jających okolicznościach. Albo gorszych, aczkolwiek nikt, ani rabin Montera, ani niesforny Polak Breslau, nie osmieliłby się tego powiedzieć wszechwładnemu Izaakowi Pinto.

Poruszony widokiem przepychu i zaintrygowany uśmiechniętą twarzą posiadacza tych bogactw, chłopak był świadkiem, jak gospodarz wita w ladino, a nawet serdecznie obejmuje sławnego, zwykle tak oschłego malarza. Eliasz Ambrosius Montalbo de Ávila teraz zrozumiał sens przemowy wygłoszonej niedawno przez Mistrza i zarazem pojął, czemu Izaakowi Pinto zrobiło się zbyt ciasno przy Szerokiej Ulicy Żydowskiej. Jak komentowali między sobą członkowie Nação, kupiec budował mieszczański pałac, zaprojektowany ni mniej, ni więcej, tylko przez wziętego architekta Philipsa Vingboonsa, w nowej, arystokratycznej dzielnicy kanałów, dokąd przeprowadzali się, nie bacząc na swoje odmienne relacje z boskością, pospołu protestanci i Żydzi, właściciele międzynarodowych szlaków handlowych.

Kiedy Mistrz przedstawił Izaakowi Pinto swojego młodego towarzysza, kupiec uśmiechnął się i przeszedł na niderlandzki. „Jak się miewa pan Beniamin? Od wieków go nie widziałem” – powiedział i uściśnął dłoń Eliasza, a gdy ten ledwo zdążył wyrazić podziękowanie za pamięć o swoim dziadku, Izaak Pinto już zwrócił się do Mistrza i zapytał: „To chyba nie on?” „Tak, to on”, odrzekł malarz.

Eliasz Ambrosius wyczuł zakłopotanie kupca na wiadomość, że on jest nim. Zdziwienie, sprzeciw? Dlaczego wątpił w to on, potężny Izaak Pinto? Dokonawszy tego odkrycia, młodzieniec poczuł strach, nawet jeśli, powiedział sobie w duchu, Mistrz nie wystawiłby go na niebezpieczeństwo, skoro krył przez niemal dwa lata. Ale nie uspokoiła go nawet myśl, że przecież ten człowiek i jego liczni agenci handlowi w Hiszpanii zajmują się za plecami rabinów dostarczaniem podejrzanej literatury, drukowanej na ziemiach bałwochwalstwa, takim ludziom jak jego własny dziadek, Beniamin Montalbo.

„Osobiście ci gwarantuję, Izaaku”, powiedział wówczas Mistrz, a tamten, wciąż jednak z grymasem sprzeciwu na twarzy, odrzekł: „Skoro tak mówisz, tak musi być”, i gestem zaprosił ich, by usiedli w fotelach obitych lśniącym chińskim jedwabiem.

Eliasz Ambrosius wiedział, że jego rola polega na zachowaniu milczenia i na czekaniu, i za wszelką cenę, mimo ogarniającego go niepokoju, starał się temu sprostać. W tym momencie do salonu weszła służąca – z wyglądu niemiecka Żydówka – niosąc jarzącą się czystym srebrem tacę, na której lekko dygotała zielona butelka i trzy kryształowe kieliszki. Postawiła tacę na stoliku z ciemnego marmuru i o nogach z hebanu, po czym wyszła. „Musisz tego spróbować”, oświadczył Izaak, zwracając się do Mistrza. „Hiszpańskie?” „Nie, z Bordeaux. Wyjątkowy rocznik”, wyjaśnił Żyd i rozlał drogocenne wino do trzech kieliszków. Nim gospodarz podał jeden Eliaszowi Ambrosiusowi, ten starannie wytarł dłonie w nogawki spodni, jakby jego ręce nie były godne kieliszka z weneckiego szkła. „Na zdrowie”, rzekł Mistrz i wszyscy trzej wychylili łyk, a młodzieniec delectował się subtelnym aromatem, lekko owocowym, ale wyrazistym, tego napoju, który Mistrz skomplementował: „Nie jestem znawcą win, ale od lat nie piłem czegoś tak wybornego”. „Jedną butelkę chowam specjalnie dla ciebie”.

Gdy opróżnili kieliszki, Izaak Pinto wstał i spojrzał na Eliasza Ambrosiusa, który poczuł się mały w przepastnym fotelu. „Synu, znam twój sekret...” Pinto wskazał palcem na Mistrza. „Mój umiłowany przyjaciel o wszystkim mi powiedział i przekonał, żebyśmy zrobili to, co teraz robimy. Posłuchaj mnie uważnie, synu... W tym tak cieszącym się wolnością Amsterdamie wszyscy mamy jakiś sekret albo różne sekrety. Twój jest niczym w porównaniu z tym, co teraz ci pokażę. Pod żadnym pozorem nie wolno ci się zdradzić. Jeżeli nie zachowasz milczenia, będę zmuszony udzielić pewnych wyjaśnień, ale dla ciebie to będzie koniec wszystkiego. A skoro mówię, że wszystko, to tak będzie. Chodźmy. Błogosławiony jest z nami”.

Eliasz Ambrosius czuł narastający lęk wobec owego domniemanego kredytu zaufania, za którym kryła się wyraźna pogroźka. Wstał z fotela i ruszył za Pinto i Mistrzem, którzy weszli po schodach na drugie piętro i zatrzymali się przed ciemnymi drewnianymi drzwiami. Pinto sięgnął do kieszeni i wyciągnął klucz od pokoju, który – jak przypuszczał Eliasz – był gabinetem pana domu, miejscem, skąd zarządzał swoimi niezliczonymi i bezprzykładnymi interesami. Ale młodzieniec się mylił: w pomieszczeniu znajdował się jedynie stół z szufladami, półki z książkami i szafa na dokumenty, a wszystkie meble wykonane były przez najprzedniejszych w mieście ebenistów i lakierników. Spojrzenie Eliasza powe-

drowało od razu ku leżącej na stole drewnianej, misternie inkrustowanej arce, podobnej do aron ha-kodeszy, skrzynek przeznaczonych na zwoje Tory, ale znacznie bardziej kunsztownej od tych najbardziej luksusowych, które znaleźć można w synagogach. Mistrz spojrzął na Eliasza i powiedział: „Kiedy to ujrzysz, poczujesz się lepiej... albo gorzej, sam nie wiem, ale odkąd to zobaczyłem, pomyślałem sobie, że i ty musisz to zobaczyć”. Tymczasem Izaak Pinto drugim kluczem otwierał tę szafkę w kształcie obrzędowej arki, która tak bardzo przykuła uwagę młodzieńca. Eliasz dostrzegł, że wewnątrz, tak jak się spodziewał, znajduje się pergamin przypominający zwoje Tory, ale znacznie mniejszy. Przez głowę Eliasza Ambrosiusa przemknęły rozmaite domysły: jeśli tajemnica związana jest ze zwojem z urywkami z Biblii, to widać tekst zawiera jakieś być może porażające objawienia, ale pergamin, jak wszystkie przedmioty w tym domu, był najwyższej jakości i błyszczał świeżością, nie mógł zatem być nosicielem prawdziwych bluźnierczych sekretów. Zaintrygowany chłopak obserwował, jak Izaak Pinto ostrożnie wyjmując zwoj i kładzie go na stole. „Podejź tu, rozwiń go”, powiedział, a Eliasz niemal mechanicznie spełnił życzenie. Kiedy dotknął pergaminu, zorientował się, że jest przedniej jakości. Przesunął drewnianą rączkę, wokół której owinięta była Księga, i już na pierwszy rzut oka się przekonał, że ma przed sobą coś bardziej zdumiewającego i wspanialszego, niż mógłby to sobie wyobrazić: na rycinie wykonanej na holenderską modłę i przedstawiającej typowy tamtejszy krajobraz widniał hebrajski tytuł, po którym Eliasz się zorientował, że jest to księga królowej Estery. Opowieść biblijna przedstawiona w formie zwojów Tory, ale ilustrowana jak Biblia katolicka? Rozwijał dalej pergamin i odnajdywał namalowane zwierzęta, kwiaty, owoce, krajobrazy, anioły, w takiej obfitości i z taką precyzją i wiernością oddane, że aż zabrakło mu tchu. W końcu podniósł wzrok na obu mężczyzn. Mistrz skomentował z uśmiechem: „Coś cudownego, nie sądzisz?”. Z kolei Izaak Pinto poważnym, pełnym dumy tonem stwierdził: „Teraz rozumiesz, dlaczego poprosiłem cię o dyskrecję? Czy mogłeś wyobrazić sobie coś takiego? Czy nasi rabini mogliby do tego dopuścić...? Cudowna herezja”.

Elias Ambrosius przytaknął w milczeniu, wciąż zapatrzony w ilustracje biblijnego epizodu, i nagle odczuł silny impuls nasuwający mu kolejne odkrycie. „Mogę wiedzieć, kto to namalował?” „Nie”, padła odpowiedź Izaaka Pinto. „Autor się nie podpisał?” „Nie”, powtórzył pan domu. „Ponieważ jest Żydem, prawda?”. „Być może. Powiedzmy, że tak”, przyznał Pinto i Eliasz usłyszał śmiech Mistrza, który wtrącił się do rozmowy: „Jasna cholera, ale jesteście pokręcani”. Eliasz przytaknął; tak, Mistrz ma rację. Wtedy powiedział: „Wiem, jakie imię przybrał ten człowiek”, i przesunął palcem po pergaminie. „Salom Italia”.

Elias Ambrosius Montalbo de Ávila stał nad brzegiem morza, wdychając odór ciemnych wód płynących kanałami i zapachy norweskiej proveniencji, które wydzielalo drewno obrabiane w stoczni (jodły o intensywnym aromacie na maszty, a dęby i buki o subtelnej woni na kadłuby statków), i zdawał się śledzić wzrokiem mewy, zajęte wydziobywaniem resztek pożywienia ze skorup krewetek i raków oraz łbów śledzi pożartych przez miasto, a potem wyrzuconych do kanałów, którymi, niesione mętym prądem, docierały do tego pokrytego odpadkami wybrzeża. Ale w istocie umysł młodego człowieka zaabsorbowany był rozważaniami dotyczącymi możliwej (a nawet niemożliwej) strategii, jaką powinien obrać, by odkryć prawdziwą tożsamość owego Saloma Italii, który wyrzucił jego życie do góry nogami.

Świadomy, że łamie przyrzeczenie, parę tygodni wcześniej skierował pierwsze kroki do domu chachama Ben Izraela, z cichą nadzieją, że wyciągnie od niego jakąś informację, która ułatwi mu ujawnienie owej wszechobecnej i nieuchwytny postaci podpisującej swoje dzieła jako Salom Italia. Ku zdziwieniu Eliasza profesor poczuł się urażony, że malarz utrzymuje kontakty z najzamożniejszymi członkami wspólnoty sefardyjskiej i nawet nie raczy dać mu szansy kupienia dzieła z takim podziwem i zdumieniem opisywanego przez jego dawnego ucznia: zapewne ten niewdzięcznik Italia, jak powiedział, uznał, że nie stać go na tak wygórowaną cenę. A przecież ani przez chwilę nie był poruszony faktem, że ów Żyd namalował zwoj, i to w dodatku jako ilustrację do najbardziej ukochanej księgi świętych dziejów, lecz jedynie tym, że doszło do pokątnej transakcji za jego plecami, zupełnie jakby przedmiotem

nieporozumienia było dzieło jednego z wielu amsterdamskich artystów. Niemniej chacham i tak zachował milczenie i tylko powtórzył to, co już kiedyś powiedział Eliaszowi: Salom Italia to nom de plume (pióra, czy raczej pędzla?) pewnego Żyda, o którym nigdy więcej, przynigdy, nie chce nic wiedzieć... i tak zakończył rozmowę.

Eliasz, wiedziony kruchą nadzieją, otworzył drugi front i licząc na to, że wypatrzy jakiś obraz zdradzający styl żydowskiego malarza, całymi dniami przemierzał targowiska miejskie, gdzie sprzedawano dzieła sztuki. W tych pielgrzymkach towarzyszyła mu popołudniami młoda Mariam Roca, do której zbliżał się krok po kroku w swoich miłosnych awansach, zawsze jednak, jak sądził, postępując w sposób rozważny i stosowny. Nie ośmielił się zdradzić pięknej dziewczynie swoich zamiarów i podczas tych wędrowek udawał, że odwiedzanie targów sztuki jest nie tylko przechadzką zakochanej pary, ale przede wszystkim okazją do zobaczenia największej w świecie ekspozycji obrazów, szkiców i rycin. Ale żeby nie wiadomo ile obejrzał pejzaży i portretów (imponował Miriam swoją wiedzą, która była, jak jej wyjaśnił, rezultatem odziedziczonych po dziadku konwercyjne zamiłowania do sztuk pięknych i literatury gojów), nie potrafił osądzić, jakie dzieła sygnowane nieznanymi nazwiskami mogły być namalowane lub też nie przez niejakiego Saloma Italię. A jeśli sprzedawał swoje prace pod innym nazwiskiem albo firmował je nazwiskiem jakiegoś mistrza, z którym był związany, co przecież często praktykowano w tutejszych pracowniach malarskich? Wszystko było możliwe w wypadku osoby postępującej tak zuchwale, nawet nierzadki w końcu zwyczaj posługiwania się dwoma nazwiskami: jednym dla Żydów (Luis Mercado, Miguel de los Ríos), drugim zaś (Louis van der Markt, Michel van der Riveren) dla holenderskiego otoczenia, w którym ci malarze żyli.

Patrząc na ciemnosrebrne morze, Eliasz Ambrosius doszedł do wniosku, że mimo porażek poczynił w rzeczywistości spore postępy w akcji osaczenia tej wymykającej się postaci. Poza oczywistym faktem, że chodziło o Żyda, mógł jej przypisać niepodważalne korzenie sefardyjskie – z pewnością nie askenazyjskie, niemieckie albo polskie, dowodzące fanatyzmu i nieokrzesania – jako że w istocie tylko osoba pochodzenia hiszpańskiego lub portugalskiego mogła mieć dostęp do wiedzy o kulturze i do rzemiosła artystycznego, czym wykazywał się ten niewątpliwie wyśmienity malarz. Musiał być człowiekiem kulturalnym, zabezpieczonym finansowo, z licznymi kontaktami, które pozwalały mu poruszać się w tak różnych i jednocześnie odległych sferach (religijnych, społecznych, ekonomicznych) jak te, których przedstawicielami byli Izaak Pinto i Menasze Ben Izrael. Ten wyrafinowany sefardyjczyk, być może majątny i zapewne ustosunkowany, oprócz dzieła i nazwiska pozostawiał za sobą inne jeszcze wyrazne i jednocześnie mylące ślady: bez wątpienia nie mógł być jednym z tych ubogich Żydów – stanowili oni większość społeczności, a wielu z nich osiedliło się w okolicach Nieuwe Houtmarkt, na wyspie Vlooienburg, gdzie mieszkał chacham – ponieważ jego talent, czego nietrudno było się domyślić, został oszlifowany przez jakiegoś mistrza i udoskonalony przez obcowanie ze sztuką włoską i znajomość szkół holenderskich. Te okoliczności ograniczały liczbę potencjalnych kandydatów. Idąc tym tropem, należało założyć, że malarz jest włoskim sefardyjczykiem lub też pobierał nauki we Włoszech, jako że nie bez powodu wybrał ów dziwny pseudonim (a może ta decyzja była elementem jego kamuflażu?), tak pasujący do artysty uprawiającego ten rodzaj malarstwa, a nadto – że mieszka albo mieszkał przez lata w Amsterdamie lub jakimś pobliskim mieście. Aczkolwiek patrząc z innej perspektywy, mogłoby także chodzić o marrana, który jako domniemany konwertyta pobierał w przeszłości nauki malarstwa w Hiszpanii lub w Portugalii. Niewykluczone też, że był prawdziwym przechrztą, jacy licznie przybywali do Amsterdamu w poszukiwaniu bezpieczeństwa i tu przyznawali się do żydostwa, nie musząc już ukrywać swojego hebrajskiego pochodzenia, chociaż woleli trzymać się z daleka od judaizmu i jego rygorystycznych nakazów społecznych i indywidualnych, owych kajdan, z których pragnęli się uwolnić... Zapewne był też człowiekiem odważnym, głęboko przekonany do swoich racji, skoro tworzył dzieła na wskroś heretyckie, wykonane wręcz z ostentacją i z ogromnym mistrzostwem, a potem ofiarowywał je albo sprzedawał w najbogatszych domach, żydowskich i kalwinistycznych. Ilu takich ludzi jak on mogło mieszkać w Amsterdamie? Eliasz Ambrosius doszedł do wniosku, że odrobina wysiłku i inteligencji powinny wystarczyć, aby go znaleźć, ponieważ ludzi takich jak ta widmowa postać było niewiele w tym mieście, a nawet na świecie.

Zmierzając już w stronę domu Mistrza, gdzie czekały nań miotła i wiadro, Eliasz Ambrosius przeszedł przez plac Dam, ze sprzedawcami ryb wyklócającymi się o miejsce pośród sterty kamieni, zwałów piasku i stosów drewna przeznaczonych na budowę chodników, koniecznych, żeby przydać sztyku, na który, co wszyscy przyznawali i popierali, zasługuje serce najbogatszego miasta w świecie. Po pożarze Nieuwe Kerk, kilka miesięcy wcześniej, kalwiński postanowili zrekonstruować świątynię, nadając jej przytłaczające proporcje, a projekt przewidywał też wybudowanie najwyższej w mieście dzwonnicy, która miała wzniesić się ponad okazałą kopułę Stadhuis, władza religijna bowiem zawsze powinna górować nad świecką, przynajmniej w odniesieniu do proporcji architektonicznych. Eliasz Ambrosius, zawsze ciekaw nowinek z miasta, tym razem nawet nie spojrzął na krzątających się majstrów, budowniczych katedr przybyłych z Lutecji, którzy zazdrośnie strzegli sekretów swojej profesji (kolejnych sekretów tego miasta), ponieważ jego myśli zajęte były poszukiwaniem tej zagadkowej postaci. Kluczową jednak kwestią, jak stwierdził, nie była tożsamość tego człowieka, tylko jego osobowość, problem, który niezmiennie nurtował wszystkich Żydów. Jaki pakt z własną duszą zawarł niejaki Salom Italia, aby podążyć tą drogą? Czy uważał, podobnie jak sam Eliasz, że jego wolność wyboru jest z definicji świętością, ponieważ stanowi dar Przenajświętszego? A mimo to chodzi jak on do synagogi, odmawia jak on stosowne modlitwy, jak on szanuje Szabat i przestrzega wszystkich praw, z wyjątkiem jednego, tak jak on? Ten człowiek musiał przecież zadawać sobie pytania, które wciąż zadaje sobie młody Eliasz, dotyczące posłuszeństwa wobec prawa, i co oczywiste, znalazł na nie własne odpowiedzi. A to dlatego, że choć krył się za pseudonimem i pracował po kryjomu, jego decyzja udostępnienia swoich prac była jawnym wyzwaniem rzuconym tysiącletnim przykazaniom i deklaracją wolności myślenia i działania.

Kiedy po południu Izaak Pinto pokazał mu cudowne zwoje z ilustracjami do księgi królowej Estery – on, któremu bogactwo i datki przeznaczone dla wspólnoty dawały przywilej demonstrowania liberalnej postawy – młody Eliasz przypomniał sobie, że źródłem decyzji jednostki jest relacja między świadomością a pychą, a obie są niezbywalną esencją natury ludzkiej: „Im bardziej kierujesz się świadomością”, powiedział Pinto, „tym lepsze osiągniesz rezultaty. Ale jeśli przemówi przez ciebie pycha, rezultat będzie mierny. Kierowanie się wyłącznie pychą”, wyjaśniał, „oznacza ryzyko, że wpadniesz w dziurę, kiedy idziesz w ciemnościach, ponieważ brak ci blasku świadomości, który oświetla drogę”. Czyż te słowa nie były echem relacji między pełnią, świadomością i godnością, z którymi winniśmy iść przez życie, o czym pisał chacham Ben Izrael, mając na uwadze śmierć i to, co nieprzeniknione na tamtym świecie? Czy ci ludzie, którzy potrafili sprawnie obracać pieniędzmi albo ideami, utwierdzali Eliasza w jego zamysle zostania twórcą obrazów?

Słowa Izaaka Pinto, mające niewątpliwie związek z działalnością artystyczną Saloma Italii i samego Eliasza Ambrosiusa Montalba de Ávila, odnosiły się do koncepcji wolnej woli, która stała się przedmiotem dysput żydowskich mędrców w mieście. Fakt, że w tolerancyjnej atmosferze Amsterdamu Hebrajczycy coraz częściej zaczęli oddzielać, czy raczej próbowali oddzielać, sferę religijną od sfery życia prywatnego, stanowił – jak powiedzieliby ortodoksi – monstrualny grzech zabarwiony odcieniem herezji: tak, judaizm jest religią, ale także moralnością i zbiorem zasad postępowania, dlatego powinien rządzić każdym ludzkim czynem, nieważne jak drobnym, jak pozornie całkowicie odległym od religijnych reguł, ponieważ każdy czyn w ten czy inny sposób jest sankcjonowany przez Prawo. Bez względu na argumenty skruszonego heretyka, jak Uriel da Costa, i innych ludzi jego pokroju, postępek człowieka w ten czy inny sposób mają swój kosmiczny wymiar, stają się częścią stworzonego świata, nadają kształt Historii i służą przyspieszeniu lub opóźnieniu zbawiennego nadejścia Mesjasza, którego z dawien dawna wyczekuje lud Izraela.

Eliasz Ambrosius zastanawiał się wówczas, czy rzeczywiście jest tak, że jeśli ktoś równie nieznaną jak on dopuści się, indywidualnie i całkowicie prywatnie, pogwałcenia najbardziej żelaznej interpretacji Prawa, które w odległych czasach miało narzucić dyscyplinę plemionom zagubionym na pustyni, pozbawionym ojczyzny i przykazań, to wtedy swoją decyzją wprowadzi do świata chaos i wręcz opóźni nadejście Pomazańca. Pomyślał, że to niesprawiedliwe obarczać go takim ciężarem: już aż nadto przytłacza go odpowiedzialność za to, że igra z przeznaczeniem swojej duszy, żeby jeszcze kazano mu troszczyć się o los wszystkich Żydów, a nawet o los całego stworzonego świata. Dlaczego łączą jego

wolność decydowania o tym, jak postąpi ze swoim własnym życiem, i jego osobiste ambicje ze zbiorowym przeznaczeniem całej rasy, całego narodu? Jaka była odpowiedź Saloma Italii na ten dylemat? Tego nie wiedział i nigdy się nie dowie. Ale wiedział jedno: Salom Italia, kimkolwiek jest, nie porzucił malarstwa. Po kryjomu, w konspiracji, ale wciąż malował... Dlaczego on nie miałby postąpić tak samo? Co skłaniało Eliasza do powzięcia tej decyzji: świadomość czy pycha? A może biblijna opcja polegająca na wybraniu życia? Dlaczego, och, Panie, dlaczego dla jednego człowieka z narodu, który wybrałeś, wszystko musi być tak trudne?

Wiadomość niczym grom uderzyła w serce żydowskiego Amsterdamu: Antonio Montesinos tuż po zejściu z pokładu brygantyny, na której przyплыł z Nowego Świata, udał się do synagogi i wezwawszy wszystkich członków wspólnoty, złożył niesłychane oświadczenie. On, Antonio Montesinos, oznajmia wszem wobec, że ma przekonujące, niepodważalne i potwierdzone jego osobistym świadectwem dowody na to, że tubylcy z ziem amerykańskich są odnalezionymi wreszcie potomkami Dziesięciu Zaginionych Plemion Izraela. Kupiec opowiedział o swoich wędrówkach po Brazylii, Surinamie i północnym Nowym Amsterdamie, pokazał wykonane przez siebie rysunki, odczytał zapiski i potwierdził, że lud z winy Kolumba mylnie nazwany Indianami to bracia, którzy zagubili się w odległych czasach babilońskiego exodusu. Musieli przemierzyć Ocean nieznanym przez stulecia szlakiem (którego domyślali się Grecy, znacznie wcześniej rozprawiając o ziemi zwanej Atlantydą, położonej za Słupami Herkulesa), co tłumaczy fakt, że przepadli. Ich wygląd, wykwintny i krzepki, potwierdzał semickie pochodzenie. Ich język – wymawiał i odczytywał z notatek słowa całkowicie niezrozumiałe dla wszystkich – to zniekształcony staroaramejski. Jakiegoż innego dowodu jeszcze trzeba? Najważniejsze jest to, twierdził autor tego wiekopomnego odkrycia, że obecność braci na krańcach ziemi spełnia najważniejszy warunek oczekiwanego nadejścia Mesjasza: istnienie skupisk Hebrajczyków we wszystkich zakątkach świata, jak przepowiedzieli to prorocy, wedle których rozproszenie tego ludu po całej ziemi jest niezbywalnym wymogiem Przyjścia.

W owym roku uświęcone dni Paschy wypełniły dyskusje wokół odkrycia, przez niektórych uznanego za objawienie niemal tak cudowne jak to, którego doznał Mojżesz na górze Synaj. Wspólnota, zawsze podzielona na liczne frakcje, tym razem rozbiła się na dwa obozy: mniej licznych mesjanistów przychylających się do przekonania Montesinosa i sceptyków, z chachamem Ben Izraelem na czele, uważających domniemane odkrycie podróżnika za żałosną i wręcz niebezpieczną bujdę. Rada rabinacka, która od czasu ogłoszenia tej wieści zebrała się kilkakrotnie i debatowała nad argumentami Montesinosa, nie doszła do żadnych jednoznacznych wniosków.

W oczach Eliasza Ambrosiusa to zamieszanie i walki frakcyjne, tak charakterystyczne dla mentalności żydowskiej, przyczyniły się przede wszystkim do ujawnienia drażliwej rzeczywistości: skrajną formę przybrał fanatyzm religijny jego brata Amosa, który od razu przyłączył się do grupy apokaliptycznych mesjanistów, kierowanej przez jej duchowego przewodnika, polskiego rabina Breslaua.

Ku zdumieniu dziadka Beniamina i ojca Eliasza, Abrahama Montalba, nie tyle sceptycznych, ile zabawionych bredniami – jak to nazywali – jakiegoś Montesinosa, młody Amos pewnego dnia zjawił się w domu i oświadczył, że weźmie udział w ekspedycji, która ma wyruszyć na spotkanie zagubionych braci, aby pomóc im powrócić do wiary, obyczajów i posłuszeństwa wobec Prawa. Eliasz, poruszony decyzją brata, nie zdziwił się, kiedy rodzina próbowała wyperswadować Amosowi to postanowienie, ale wpadł w panikę, słysząc ripostę brata, który odmówił wszelkiej dyskusji na ten temat i jednocześnie ubolewał, że jego ojciec i dziadek przyjęli heretycką postawę wobec tak wielkiego wydarzenia, prawdziwego preludium do objawienia się Mesjasza.

Eliasz, raz jeszcze ostrzeżony, że mieszka pod jednym dachem z fanatykiem, który ośmielił się grozić dziadkowi i ojcu karami boskimi, pojął racje, dla których nawet na tej wolnej ziemi wielu Żydów wolało przywdziać maskę i ukrywać swoje tajemnice, zamiast ujawniać prawdziwe przekonania. W pełni zrozumiał postępowanie człowieka takiego jak Salom Italia i decyzję utrzymania własnych zamiarów

w głębokim cieniu, a nadto upewnił się, że on sam musi pilnie strzec swojego sekretu, jeśli nie chce narażać się na poważne ryzyko.

Tego samego wieczoru, korzystając z nieobecności brata, Eliaszb Ambrosius po kryjomu niczym złodziej wyniósł z największą ostrożnością kajet z zapiskami, teczkę z rysunkami i niewielkie płótna, ślady jego niepewnych malarskich wprawek. Rozważając możliwe kryjówki, zdecydował się na poddasze, gdzie mieszkał Duńczyk Keil, któremu, jak sądził, mógł zaufać. Bólem napawał go fakt, że bezpieczniejszym czuje się pod skrzydłami człowieka wyznającego inną religię niż wśród współwyznawców. Skuteczniejszą ochronę zapewniał tolerancyjny cudzoziemca niż przez własnego brata, zaślepionego fanatyzmem, nieprzejednanego i – trudno to nazwać inaczej – zięjącego nienawiścią.

Wiosna w Amsterdamie objawiła się niczym dar Stwórcy. Wszystko budziło się do życia, wyrwane z letargu lodów i napastliwych zimowych wichrów, które przez kilka miesięcy trzymały miasto w okowach i nękały jego mieszkańców, zwierzęta i kwiaty. Chociaż temperatura rosła ospale, a deszcze wciąż nie ustawały, wnet poczęły odradzać się kolory, naruszając niepodważalny dotąd prymat bieli śniegu na dachach i brunatność zwalów błota, w które zamieniły się ulice, jeszcze nietknięte szuflami legionów sprzątaczy. Hałasy odzyskały dawne brzmienie, ożyły zapachy. Na targowiska powrócili handlarze psów ze swoimi ujadającymi sforami wilczurów, chartów i owczarków; wylegli krzykliwi sprzedawcy przypraw i aromatycznych ziół (oregano, mirtu, cynamonu, goździków, gałki muszkatołowej), równie subtelnych w dotyku i zapachu co bezbronych wobec zimowych temperatur niszczących ich aromatyczną istotę; swoje podwoje otwierały tawerny, skąd dochodziła woń piwa słodowego i śmiechy gości; wrócili do miasta dostawcy cebulek tulipanów, którzy głośno przepowiadali barwę kwiatów, aby potem szepem podać horrendalną cenę, jakby się wstydzili – o ile się wstydzili – czerpać korzyści z mody na tulipany i żądać fortuny za włóchatą cebulkę będącą jedynie mglistą obietnicą swojej przyszłej urody. Nawoływania kupców, furmanów, barkarzy i pijaków gnieźdzących się na każdym rogu ulicy (było ich bez liku w mieście, w którym niemal nie pijano wody, ponoć żeby uniknąć dyzenterii), a nadto harmider dobiegający z warsztatów rusznikarskich i monotonna pieśń tartaków tworzyły jeden wielki zgiełk, niejednokrotnie w ciągu dnia zagłuszany przynaglającym biciem dzwonów z niezliczonych w mieście dzwonnicy, które wyrwane z odrętwienia zdawały się zapamiętałe wypełniać swoją misję anonsowania lokalnych wydarzeń. Samotnie stojące dzwonnice, kampanile i sprowadzone z Berna sygnaturki ogłaszały pełne godziny, połówki godzin i kwadranse, oznajmiały o otwarciu i zamknięciu negocjacji handlowych, o przybyciu i wypłynięciu barek, o celebrowanych mszach lub pogrzebach, o chrztach i ślubach odwołanych z powodu zimy, o egzekucjach na szubienicy, które niezmiennie przyciągały uwagę Holendrów, zupełnie jakby podzwonne obwieszczenie stawało się prawdziwą kaźnią. Tego popołudnia Eliaszb Ambrosius Montalbo de Ávila w drodze do domu Mistra zatrzymał się na Sint Antoniesbreestraat, naprzeciwko siedziby Izaaka Pinto, żeby swoje wiosenne dobre samopoczucie nasycić dźwiękiem (tym razem harmonijnym) karylionu – połączonych w szereg niczym ptaki na drucie trzydziestu pięciu dzwonów zawieszonych na wieży Hendricka de Keyser, nad krzyżem Zuiderkerk.

Dobry nastrój młodego człowieka wynikał nie tylko z pory roku, ale także z obiecującego zwrotu, jaki nastąpił w spotkaniach z Mariam Rocą, które przeszły ewolucję od przechadzek bez określonego celu po ulicach i targowiskach oraz rozmów pełnych ukrytych podtekstów aż do pieszczenia dłoni i poszeptywań do ucha, co wzbudzało w nim tak wielki żar, że musiał sobie dogadzać ręką, a potem prosić Przenajświętszego o zrozumienie i wybaczenie. Jednak euforia Eliasza Ambrosiusa miała związek nie tylko z wiosną oraz miłosnymi i erotycznymi uniesieniami, ale przede wszystkim ze szczególną rolą, jaką od tygodnia odgrywał w pracowni Mistra: służył jako model żydowskiego mohela przygotowującego się do rytualnego obrzezania małego Jezusa, obrzędu brit mila, który zarządził Jahwe, aby wyróżnić wszystkich mężczyzn z narodu wybranego.

Od tego popołudnia, kiedy Mistrz zabrał go do domu Izaaka Pinto, stosunki między malarzem a uczniem nabrały nieco serdeczności, na jaką stać było tego posępnego człowieka, o ile nie chodziło

o jego bliskich przyjaciół, i Eliasza Ambrosiusa, chociaż nie uwolnił się od miotły i kubła, to jednak nie tylko awansował na pomocnika w pracowni, gdzie zajmował się rozkruszaniem kamieni pigmentowych w ciężkim móździerzu i przygotowywaniem farb, mieszając je w ściśle określonych proporcjach z olejem lnianym, ale również czasami wciągany był przez Mistrza do rozmów, a raczej monologów, w których ten, zależnie od nastroju, potrafił się zamotać, jakby stracił poczucie czasu. Jednego dnia rozprawił wyłącznie o problemach artystycznych (jak zapisywał to skrupulatnie Eliasza Ambrosius, aby potem odczytać i zapamiętać te nauki), na przykład o konieczności obalenia ustalonej relacji pomiędzy klasycznym pięknem a aktem kobiecym, który jego zdaniem nie powinien objawiać doskonałości, aby być kobiecy i piękny, Mistrz bowiem lubił eksponować pomarszczoną skórę, porowate nogi i obwisłe uda, próbując dochować wierności naturze, co było niedostępne dla innych artystów w mieście. Kiedy indziej głosił osobliwe rozumienie harmonii i elegancji jako elementów podporządkowanych dziełu, a nie wartości jako takich, jak pojmowali to twórcy klasycznego malarstwa, z Flamingiem Rubensem włącznie. Nie, zdecydowanie nie: to głębsze poczucie harmonii, do jakiego dążył, było dziedzictwem, które zdaniem Mistrza pozostawił światu malarz Caravaggio; nie dominacja jaskiniowych ciemności uparcie eksponowanych przez jego naśladowców, którzy – jak twierdził – nie potrafili wyjść poza to, co widzialne, ale odkrycie, że prawda i szczerść powinny górować nad kanonem piękna, sztywną symetrią lub wyidealizowanym obrazem świata. „Chrystus, o stopach pokrytych brudem i poranionych piaskami pustyni, nauczał pośród ubogich, głodnych i zasmuconych. Ubóstwo, głód, łzy nie są piękne, ale są ludzkie. Nie ma powodu, by uciekać od brzydoty”, konkludował, a następnie ilustrował te dywagacje namalowaną na papierze ryciną *Chrystus nauczający*, na której twarz mówcy, osobliwa to rzecz, pozabawiona jest wyrazistych rysów.

Bywały także dni, kiedy Mistrz wolał poruszać tematy przyziemne, jak niechęć do spraw publicznych, a przede wszystkim do niebezpiecznej dla artysty pokusy zaangażowania się w politykę. I bywały również takie dni, kiedy wikłał się w obsesji człowieka wiecznie potrzebującego pieniędzy, mówiąc o tym, jak ważną, ale zarazem obciążającą kwestią jest dla malarzy Zjednoczonych Prowincji to, iż są pierwszymi w dziejach artystami, którzy nie pracują ani dla dworu, ani dla Kościoła, tylko dla klienta o całkowicie odmiennych wymaganiach, upodobaniach i potrzebach: dla ludzi bogatych, czerpiących zyski z handlu, spekulacji i sieci manufaktur. Twierdził, że ci ludzie, często o plebejskich korzeniach, pragmatyczni i wizjonerscy, coraz mniej interesują się historią czy mistyką. Swoje pragnienia ograniczają do ujrzania obrazu, na którym przedstawione są ich własne twory materialne: kraj, bogactwo, obyczaje, oni sami wraz z klejnotami i strojami i w sumie – zadowolenie i dumą z fortuny, jaką zdobyli. Materializacją owych pragnień winny być płótna średnich rozmiarów, przeznaczone do ozdobienia ścian ciepłego ogniska domowego, a nie przytłaczających murów kościoła lub pałacu królewskiego. Do ozdobienia ma służyć tylko to, co oni sami uznają za piękne i stosowne dla nich.

„Stworzyliśmy odmienną ideę sztuki”, powiedział jednego z tych wieczorów, kiedy nakazywał mu odłożyć sprzątanie pracowni i stawał się rozmowniejszy w obecności Eliasza Ambrosiusa, który słuchał go niemal zahipnotyzowany łatwością, z jaką Mistrz kreślił kontury, kształty, motywy przestrzenne, strefy cienia, szkicując adorację Dzieciątka Jezus przez pasterzy, płótno zamówione przez stadhoudera Fryderyka Henryka de Nassau. „W mieście, gdzie wszyscy zajmują się handlem, my stworzyliśmy coś nowego: handel obrazami. Pracujemy, aby sprzedać je nowym klientom, ludziom o nowych upodobaniach. Wiesz, kto jest najlepszym nabywcą obrazów Vermeera van Delft? Piekarz, który się wzbogacił. Mecenas sprzedający ciastka, a nie jakiś biskup czy hrabia...! Malarstwo musiało podążyć za pieniędzmi tych, którzy każą nazywać się mieszczanami – piekarzami, bankierami, armatorami barek, sprzedawcami tulipanów – aby zadowolić gusta ludzi, którzy nigdy nie przekroczyli progu uniwersytetu. Dlatego też pojawiły się różne specjalizacje: malujesz sceny wiejskie, które dobrze się sprzedają, więc maluj sceny wiejskie; to samo dotyczy obrazów batalistycznych, marynistycznych, martwych natur lub portretów... Stworzyliśmy markę: każdy winien dysponować własną, używać jej na rynku i czerpać z tego zyski jak każdy kupiec. Mój problem polega na tym, że, jak wiesz, nie mam takiego znaku firmowego i nie dbam o to, by mój obraz był oślniewający i harmonijny, jak teraz się tego oczekuje... Interesuje mnie interpretowanie natury, z naturą człowieka włącznie, również Boga, a nie kanony; chcę malować

to, co czuję i jak czuję. Jak tylko mogę... Bo też z czegoś trzeba żyć”. Wskazał końcem pędzla płótno, na którym zarysowywały się już kontury Świętej Rodziny i pasterzy – obraz zamówiony przez haskiego pana. „Wiem, że nie jestem już modny, że bogacze nie proszą mnie o swój portret, ponieważ to oni dyktują modę, a ci dzisiejsi bogacze nie przejęli po rodzicach kalwinistycznej mentalności: teraz należy epatować zamożnością, urodą, władzą... bo przecież po to doszli do tych fortun. Budują sobie pałace w dzielnicy nowych kanałów i płacą nam za nasze dzieła, ponieważ na szczęście uważają, że jesteśmy dobrą lokatą kapitału, a zarazem pozwalamy im dekorować te pałace i demonstrować, jak bardzo są wykwintni”.

A jednak Mistrz owego wieczoru nie powiedział wszystkiego, ponieważ nie wspominając Eliaszowi Ambrosiusowi, że będzie pozował jako model, kazał mu odłożyć szczotkę i udać się do pracowni, do której od ostatnich dwu tygodni mieli prawo wstępu tylko Mistrz, jego uczeń Aert de Gelder i młoda Emely Kerk. Elias Ambrosius, gdy wszedł do środka, ze zdumieniem pojął przyczynę tego zakazu: na ścianie, w głębi pracowni, wisiały dwa obrazy, osobliwie identyczne, ale całkowicie odmienne od banalnej chrześcijańskiej sceny adoracji pasterzy, płótna, nad którymi nazbyt już długo pracował malarz. Nie dając Eliaszowi Ambrosiusowi czasu na przyjrzenie się obu zagadkowo podobnym obrazom, Mistrz polecił mu przebrać się w ciemnobrunatną ciężką kapotę, a następnie usadowił go przy fragmencie greckiej kolumny sięgającej młodzieńcowi do piersi. Przez pewien czas obserwował go pod różnym kątem, prosząc, by przybierał rozmaite pozy, które odtwarzał szerokimi pociągnięciami węgla na szorstkich kartach swojego tafeletu. Coś bardzo utajonego i dogłębnego musiało zajmować umysł mistrza, kiedy pogrążony w milczeniu przerywanym tylko krótkimi uwagami dotyczącymi właściwej pozy, obserwował i szkicował młodego Żyda. Mistrz, myślał Eliasz, przypomina raczej człowieka zaabsorbowanego łowami, a nie swoim dziełem. Miał pewność, że w tym momencie pobiera cenne nauki.

Kilka tygodni wcześniej, kiedy malarz podjął pracę nad jedną z wersji *Adoracji pasterzy*, zdecydował się wykorzystać ponownie Emely Kerk, guwernantkę małego Titusa, jako model do postaci Marii Dziewicy, jak już to zrobił poprzednio w scenie, której nadał tytuł *Święta Rodzina z aniołami*. Ukończone i przekazane na początku tego roku dzieło, którego proces powstawania miał przywilej śledzić Elias Ambrosius, przyciągało z jakąś magnetyczną siłą. Długie godziny młodzieniec kontemlował ów obraz, próbując odgadnąć – już uznał, że jest do tego zdolny – w jaki sposób ta rodzinna i magiczna scena przekazywała emocje, które mimo jego żydowskiej edukacji i wiary potrafiły nim zawładnąć, i dopiero po pewnym czasie uświadomił sobie, że kluczem do dzieła nie było przedstawienie mistycznego wydarzenia, ale, przeciwnie, ukazanie jego ziemskiego spokoju. Mistrz zdawał się oddalać coraz bardziej od eksponowania strachu, bólu, zdziwienia, żalu, złości, czemu oddawał się przed laty w swoich obrazach o historii Samsona lub w płótnach przedstawiających ofiarę Abrahama, czy też w *Uczcie Baltazara*, dziełach tak teatralnych w zamyśle i pełnych ruchu. Teraz natomiast zdecydował się dotrzeć do istoty uczuć, zawierając w tej scenie całą emocję płynącą z opiekuńczego, matczynego gestu. Ręka młodej i pięknej Emely Kirk, przemienionej w Matkę Bożą, wyobrażała, niczym najczystsza emanacja jej osobowości, doskonałość, która poczyniała się od owalu policzków i subtelności twarzy, trwała w łagodnym łuku ramion i przechodziła w delikatne nachylenie się ku dziecięciu, aby sprawdzić, czy już zasnęło: to był tylko gest, codzienny i drobny, niemal pospolicie matczynej i ziemskiej, lecz nadał on postaci Dziewicy słodycz, która objawiała w swojej ludzkiej i kosmicznej czułości, że nie chodzi tu o zwykłą matkę, ale o Matkę Boga. Mistrz wywołał eksplozję magicznego piękna i zdołał przemienić własne cielesne pożądanie modelu w lekcję transcendentnej i powszechnej miłości. Elias Ambrosius zrozumiał, że tylko najwięksi mistrzowie są zdolni uzyskać tak wiele tak skromnymi środkami. Czy on kiedykolwiek zbliży się choć odrobinę do tej wielkości?

Na przedstawiającym pokłon pasterzy obrazie, nad którym malarz pracował przez ostatnie dwa miesiące, pojawia się ta sama Dziewica, ale tym razem jako jedna z postaci. Dzieciątko Jezus leży w małym mojżeszowym koszyku, a raczej zwykłej pleciance, którą Dziewica trzyma na łonie, pokazując zebranym pasterzom nowo narodzonego Syna Bożego. Matka i dziecko, już od momentu powstania szkicu, znaleźli się w kręgu jedyne go na płótnie światła, którego źródło zdaje się wypływać z samych boskich postaci. A jednak coś w tym obrazie, przeznaczonym do pałacu stadhoudera, nie zadowoliło Mistrza

i ukończeniu dzieła przedłużyło się o parę tygodni, w ciągu których malarz, nie biorąc pędzla do ręki, wpatrywał się w płótno albo wólczył się po mieście, jakby całkiem zapomniał o obrazie. To uczucie niedosytu, o czym wkrótce przekonają się wszyscy w pracowni, skłoniło go do podjęcia dziwnej decyzji: poprosił Aerta de Gelder, najzdolniejszego spośród młodych uczniów, aby na płótnie podobnych rozmiarów jak poprzednie odtworzył centralną część obrazu. Miał skopiować jak najwierniej scenę, chociaż mógł wedle własnego uznania wprowadzić pewne modyfikacje. Aert de Gelder, zdumiewające artystyczne odwzorowanie samego Mistrza, przyjął wyzwanie i pełen zapału zabrał się do pracy, wiedząc, że nie chodzi tu o zwykłe ćwiczebne kopiowanie, tylko o jakiś zagadkowy eksperyment, którego celu nie potrafił wyjaśnić. To właśnie wówczas pracownia była niedostępna dla terminatorów i mieszkańców domu. Dopiero owego wieczoru, gdy Mistrz zażądał, by Elias Ambrosius przyszedł do niego, młodzieniec mógł przyjrzeć się obu dziełom, którym brakowało wciąż ostatnich pociągnięć pędzlem. Młody Żyd ze zdumieniem spostrzegł, że obrazy podwajają się w idealnej symetrii, jakby przyglądały się sobie w lustrze, i domyślił się, że de Gelder podjął się odtworzenia czegoś, co już istniało, posługując się efektami optycznymi, które obraz Mistrza projektował na płótnie kopiowanym przez ucznia. Z tego powodu kształty figur z reprodukcji były odwrócone w stosunku do oryginału, za to postaci były jakby bardziej skupione wokół źródła światła, zachowując jednak to samo wrażenie podniosłej introwersji. Ale zarazem ktoś, kto nie znał, jak Elias i inni uczniowie, genezy obrazu, obserwując te bliźniacze wizerunki, z pewnością zapytałby: co jest oryginałem, a co kopią?

„Chcesz wiedzieć, dlaczego to zrobiłem?”, zapytał w końcu Mistrz i bynajmniej nie musiał śledzić zahipnotyzowanego spojrzenia Eliasza Ambrosiusa. „Jeśli wolno”, powiedział młodzieniec, a wówczas malarz odwrócił się plecami do ucznia, a twarzą do obu dzieł. „Chodź o pieniądze”, rzekł i przez chwilę milczał, podobnie jak chacham Ben Izrael w trakcie swoich oracji. „Tym razem nie mogę zawieść. Pieniądze stadhoudera są mi potrzebne do spłacenia długu hipotecznego za ten dom. Już nie dostaję zamówień takich jak to, niektórzy zaś twierdzą, że moje obrazy sprawiają wrażenie niedokończonych, a nie dopracowanych, w sumie... Przed laty ten sam stadhouder był moją nadzieją na to, że stanę bogaty, sławny i zamieszkać w jakimś pałacu w Hadze”. „Jak Flamand Rubens?”, ośmielił się zapytać Elias. Mistrz przytaknął: „Jak ten cholerny Flamand Rubens... Ale ja nigdy nie byłem i nie będę taki jak on, żebym nie wiem jak się starał, podkradając mu tematy, kompozycje, nawet kolory... Moim ocaleniem było to, co zawsze uznawałem za swoje nieszczęście: że stadhouder nie zrobi ze mnie dworskiego malarza i będzie mnie traktował jak kogoś, kim w istocie jestem: jak zwyczajnego człowieka, który chce sprzedawać wytwory swoich rąk... Wtedy poczułem, że zaczynam iść na dno, że nie potrafię żyć jak Rubens, malować jak Rubens. Ale zarazem zyskałem nieco wolności. Nie, znacznie więcej wolności... A przecież, posłuchaj mnie uważnie, wolność ma swoją cenę. Zwykle bardzo wygórowaną. Kiedy poczułem się wolny i zapragnąłem malować jak wolny artysta, zerwałem z wszelką elegancją i harmonią, zabiłem Rubensa i spuściłem ze smyczy moje demony, aby namalować *Kompanię kapitana Cocqa* do sali w Kloveniersdoelen. I zostałem ukarany za swoją herezję: żadnych więcej zamówień na portrety grupowe, ponieważ ten okazał się wrzaskiem, czkawką, splunięciem... Mówili, że jest chaosem i prowokacją. Ale ja wiem, dobrze wiem, że udało mi się uzyskać osobliwe połączenie pragnień i spełnień, a tym wszak jest arcydzieło. A jeśli nawet się mylę i ten obraz nie ma nic z arcydzieła, dla mnie liczy się, że jest on tym, co sobie zamierzyłem. W istocie jedynym dziełem, które mogłem stworzyć, mając przed oczyma oczywisty dowód, dokąd prowadzi nas życie... ku nicości. Moja żona gasła, wypływała płuca, każdego dnia umierała po trochu, a ja malowałem eksplozję, festyn bogatych, wystrojonych mężczyzn, którzy bawią się w wojsko, i robiłem to, na co tylko przyszła mi ochota... Dylemat był prosty: albo ja ich zadowolę, albo oni zadowolą mnie; albo pozostanę niewolnikiem, albo ogłoszę się wolnym”. Malarz przerwał na chwilę tę diatribę, jakby utracił entuzjazm, ale potem wznowił swój monolog: „Gorzka prawda jest taka, że dopóki zależny jestem od pieniędzy innych ludzi, nie będę w pełni wolny. Nieważne, kto płaci: stadhouder, skarbnik Republiki, Kościół, jakiś król czy wzbogacony piekarz z Delft... W sumie na jedno wychodzi. Mogę namalować Emely Kerk tak, jak chcę ją namalować, albo Świętą Rodzinę, przypominającą żydowską rodzinę z twojej dzielnicy, podczas wizyty aniołów, jakby to była zwykła rzecz pod słońcem. Siąść i czekać, aż zjawi się hojny kupiec... albo się nie zjawi.

A to, co tu widzisz”, wskazał, choć nie musiał tego robić, na swój obraz, ten większy, „nie należy do mnie. To dzieło stadhoudera. Szczegółowo wyjaśnił, co chciał tam zobaczyć, i płaci mi za spełnienie jego życzenia... Już przerobiłem tę lekcję. Dobrze wiem, że stadhouder nie ma ochoty oglądać w swoim pałacu brudnych nóg ani obszarpanych pasterzy z pustyni, jakimi byli w rzeczywistości. Nie chce życia, tylko piękną imitacją życia. Dlatego poprosiłem Aerta, żeby przedstawił własną wersję, a ja potem zmodyfikuję swoją, wprowadzając jego poprawki... Wybrałem Aerta, bo to jeden z najlepszych znanych mi malarzy, ale on nigdy nie będzie artystą. Oto dowód: wydaje się, że to moje dzieło, prawda? Spójrz na te pociągnięcia pędzlem, podziwiał grę światła. Patrz i ucz się... Ale naucz się też rzeczy ważniejszej: obrazowi Aerta czegoś brakuje... Brakuje duszy, nie ma tu sekretu prawdziwej sztuki... To tylko obraz na zamówienie. A ja kopiuję Aerta, bo tak należy malować, jeśli chce się spełnić życzenie władzy i zarobić niezbędne do życia floreny”. Stał wpatrzony w oba płótna i zanim znów się odezwał, potrząsnął głową, jakby czemuś zaprzeczał. „Sztuka jest czymś innym... No, ale wystarczy na dzisiaj. A teraz dokładnie posprzątaj pracownię, bo wygląda jak chlew... Od jutra będę cię tu potrzebował. Powiedz pani Dircx, że przez jakiś czas nie będziesz jej pomagał. Posłużysz mi za model mohela na obrazie obrzezania Jezusa... Kiedy się z tym uporamy, dam ci do ręki pędzel. Ciekaw jestem, czy poza odwagą, powołaniem, uporem i być może nawet talentem masz duszę artysty”.

Emely Kerk ponownie została Dziewicą, która na pierwszym planie obrazu przygląda się z oddaniem mężowi Józefowi, trzymającemu na rękach dzieciątko owinięte w białe chusty, natomiast Eliasz Ambrosius, przemieniony w mohela i odziany niczym postać z perskich opowieści, z nakryciem głowy typowym dla nieokrzyszanych Żydów ze Wschodu, coraz częściej widywanych na amsterdamskich ulicach, przygotowuje się, odwrócony niemal plecami do widza, do rytualnego zabiegu na potomku Domu Dawidowego, przybyłym na ziemię, aby odmienić losy religii Hebrajczyków i dzieje ludu Izraela, który jednak nie uznał w nim Mesjasza. Za owymi postaciami, rozjaśnionymi strumieniem światła, w jaskiniowym mroku rysują się inne postaci, wszystkie ubrane w tuniki cynobrowej barwy, w głębi zaś widać kotarę przetykaną złocistymi rozbłyskami i kolumny ze Świątyni Zorobabela i Heroda Wielkiego, ostatni już ślad chwały Judei, wkrótce potem powalonej na kolana przez rzymskie legiony.

Kiedy Mistrz pracował nad *Obrzezaniem Chrystusa*, Ben Izrael kilkakrotnie zaglądał do pracowni, żeby pomóc malarzowi w odczytaniu tej biblijnej sceny opowiedzianej tylko przez Łukasza i wespierze go w wiarygodnym odtworzeniu tysiącletniego rytuału. Chacham Ben Izrael doskonale znał chrystologię i był świetnym znawcą nie tylko Tory i ksiąg proroków, ale również tekstów Nowego Testamentu, napisanych przez uczniów człowieka, którego chrześcijanie uznali za Mesjasza. Popijając wino, którym poczęstował go malarz, raz jeszcze podjął się roli konsultanta, co zdarzało mu się już wcześniej, ponieważ Mistrzowi, chociaż miał w małym palcu Pismo Święte – prawie nic innego nie czytał – mogła umknąć jego ukryta wymowa historyczna i związki ze skomplikowaną metaforyką hebrajską, czego chciał uniknąć w wypadku tego właśnie zamówionego dzieła. Kilka lat wcześniej w podobnej misji, uwzględniając nieznanne Mistrzowi kabalistyczne odniesienia, chacham zapisał przesłanie, które w boskiej chmurze pojawia się na ścianie pałacu Baltazara i zapowiada władcy Babilonii kres jego skorumpowanego królestwa. Hebrajsko-aramejskie litery, zapisane w pionowych kolumnach, a nie ułożone poziomo, od prawej do lewej, zawierały przestroge, w której zaszyfrowany był sens ezoteryczny, czytelny tylko dla znawców – a do nich należał Ben Izrael – tajemnic kabały i jej kosmicznych odniesień.

Podczas tych pogawędek, niemal zawsze zakrapianych winem w ilości wykraczającej poza konieczność ugaszenia pragnienia nękającego gościa, Eliasz Ambrosius, odkąd odgrywał rolę modela, nieraz był świadkiem, jak Mistrz i chacham rozprawiają o mesjanizmie, który każdy z nich pojmował inaczej, zależnie od nakazów własnej religii. Eliasz zorientował się, że jego dawny profesor nie podziela wniosków szkół grupujących mędrców kabały we wschodnim basenie Morza Śródziemnego – z Salonik, Konstantynopola, samego Jeruzalem, miejsc, dokąd owi mistrzowie lub ich bezpośredni następcy przybyli po opuszczeniu Sefaradu – którzy propagowali teorię opartą na ezoterycznych interpretacjach pism, dowodząc, iż zbliżający się rok 1648, czy też rok 5408 od stworzenia świata, Księga określa jako datę

nadejścia Mesjasza. Wielkie nieszczęścia, które dotknęły Żydów w ciągu ostatnich dwu stuleci, nowy exodus, czyli wygnanie z Sefaradu, otaczająca ich zewsząd wrogość („To Nowe Jeruzalem jest wyspą”, mawiał Ben Izrael, a te słowa mógłby równie dobrze podkraść dziadkowi Beniaminowi), utrata wiary przez licznych Izraelitów przemienionych w chrześcijan, mużulmanów albo, co gorsza, w ludzi niewierzących (ekskomunikowany Uriel da Costa nie był jedynym heretykiem żyjącym pośród nich, tu wspominał o kontrowersyjnych, wręcz niebezpiecznych poglądach młodego, nazbyt inteligentnego i buntowniczego człowieka zwanego Baruchem Spinozą, o którym Elias nigdy wcześniej nie słyszał) były zdaniem tych kabalistów zapowiedzią dalszych strasznych katastrof. Stanowiły ledwie rysujący się prolog nadciągających wielkich nieszczęść, które poprzedzą prawdziwe nadejście Pomazańca i triumf sprawiedliwych oraz początek ery powszechnego uznania Boga Abrahama i Mojżesza. W tej kwestii chacham nie zgadzał się ze spekulacjami wschodnich mędrców z jednego oczywistego powodu: prorocy Daniel i Zachariasz, mówił, dobitnie dowodzą, iż nadejście Mesjasza wydarzy się tylko wtedy, gdy Żydzi żyć będą we wszystkich zakątkach ziemi. Nigdy wcześniej.

Tego samego dnia, kiedy Ben Izrael przedstawiał najważniejszy punkt swoich mesjanistycznych rozważań, Mistrz zadał mu pytanie, które mogło tego erudytę wyprowadzić z równowagi: „A to, o czym rozprawiają w tawernach i synagogach, że niejaki Antonio Montesinos odkrył w Nowym Świecie potomków Dziesięciu Zaginionych Plemion?”. „Brednie! Oszustwo! Sztuczka, która jest bardzo na rękę rabinowi Monterze, bo dzięki niej może sprawować kontrolę nad ludźmi...! Ale on sam w to nie wierzył!”, wykrzyknął profesor. „Jak może coś takiego wygadywać ten Antonio Montesinos, że jacyś szpetni i dzicy Indianie są potomkami Dziesięciu Zaginionych Plemion? Kto mu uwierzy, że ich język pochodzi od aramejskiego, skoro Indianie z jednego plemienia nie mogą porozumieć się ze swoimi sąsiadami?” „Ale jeśli to prawda, znaczyłoby to, że Żydzi żyją na całym świecie”, odrzekł Mistrz. „Nawet rabin Breslau nie wierzy w te bajeczki Montesinosa... Problemem nie jest Nowy Świat, gdzie już osiedlili się sefardyjczycy, a nawet trochę tych aszkenazyjskich osłów, nawiasem mówiąc, także na ziemiach króla Hiszpanii... Problemem jest Anglia, skąd nas wysiedlono trzy i pół wieku temu. Anglia jest tu kluczowa, jeśli ma się dokonać przyjsięcie Mesjasza... ja poświęcę wszystkie swoje siły, by otworzyć bramy Albionu, a jeśli to mi się powiedzie, uczynię wielki krok ku temu, by królestwo Przenajświętszego, błogosławiony niech będzie Pan, objęło całą ziemię, aż świat gotów będzie na nadejście prawdziwego Mesjasza i na powrót do Jeruzalem”.

Tego wieczoru, kiedy Mistrz odprawił już Eliasza Ambrosiusa i jednocześnie pożegnał się z Ben Izraelem, młodzieniec skorzystał z okazji, by odprowadzić chachama do jego domu przy Nieuwe Houtmarkt. Zapadł już zmrok, ale utrzymująca się wciąż łagodna temperatura sprawiła, że postanowili przejść się lewym brzegiem Zwanenburgwal i dopiero fetor dobiegający z berek wywozujących ekskrementy zmusił ich do skręcenia w boczną uliczkę prowadzącą w stronę Binnen Amstel. Co wieczór ten ładunek ludzkich i zwierzęcych odchodów przewożono do przystani nad Amstel i dalej, w stronę rzeki Ij, potem zaś nawożono nim zagony truskawek pod Astsmeer i marchwi pod Beverwijk, aby plony z tych pól w jakiś czas potem, mieniając się kolorami, mogły trafić na miejskie targowiska.

Gdy zasiedli w zabałaganionym gabinecie chachama, gdzie okna były szczelnie zamknięte przed odorem z zewnątrz, mędrzec wziął do ręki fajkę, w której lubił w trakcie lektury lub rozmyślań palić liście tytoniu podarowane mu przez przyjaciół. Elias Ambrosius, ścisząc głos, powiedział mu o decyzji Mistrza, który postanowił dopuścić go do malowania w pracowni. Ta wspaniała okazja, by awansować w hierarchii czeladniczej, oznaczała jednak ujawnienie jego prawdziwej relacji z Mistrzem, przynajmniej przed pozostałymi uczniami, a nawet domową służbą, co nie przestawało martwić młodzieńca. Wprawdzie nie tylko chacham mógł okazać zrozumienie dla pasji młodego Żyda, skądinąd tak skrupulatnego w przestrzeganiu praw i przykazań swojej religii, niemniej Elias Ambrosius obawiał się skrajnych reakcji, które coraz częściej dochodziły w mieście do głosu. Niewielką pociechą był dla niego fakt, że ludzie pokroju Izaaka Pinto i z pewnością inni także kupowali już nie tyle obrazy, ile obrazy namalowane przez jednego z Żydów. Dla wszystkich członków Nação było oczywiste, że w obawie przed utratą kontroli nad wspólnotą rada rabinacka staje się coraz bardziej nieprzejednana w stosunku do pozycynań uznawanych za nieortodoksyjne. Każdy w ich mniemaniu przejaw nieposłuszeństwa lub rozprę-

żenia obyczajów był skrupulatnie badany i osądzany, a rabini nieustannie powtarzali, że pomyślność i tolerancja otoczenia skłaniają trzódkę ku libertynizmowi. Nieprzypadkowo w ostatnich czasach kary chereem sypały się jedna za drugą: za utrzymywanie kontaktów z przechrztami z ziem bałwochwalstwa, a nawet za odwieczanie tych ziem; za niechodzenie do synagogi, łamanie postu lub zakazów szbasu i dawanie przyzwolenia na przyziemne obowiązki i przyjemności; w najgorszym zaś wypadku za głoszenie idei lub podejmowanie działań traktowanych jako heretyckie. Czegoż on mógł oczekiwać, jeśli zostanie ujawnione to, co dla większości Żydów było jawnym pogwałceniem Prawa? Czyż Salom Italia nie ukrywał swojej tożsamości, aby uniknąć kary rabinów? Jak długo jeszcze miałby żyć pośród malarzy, pracować potajemnie, kryjąc się przed swoim bratem, fanatykiem Amosem, który nie zawahałby się go zadenuncjować?

Chacham sprawiał wrażenie bardziej rozbawionego niż przejętego obawami swojego dawnego ucznia. Lekki, niemal niezauważalny, ale nieschodzący z twarzy uśmiech sprawił, że fajka przesunęła się ku lewemu kąciowi jego warg. „Czego tak naprawdę się lękasz, Eliaszu, Boga czy swoich sąsiadów?”, zapytał w końcu w języku kastylijskich sefardyjczyków, odkładając fajkę na biurko. Zaskoczony Eliaszu usłyszał sobie, że trudno mu odpowiedzieć na tak proste pytanie. „Wiem, czego oczekiwać od Boga... a także od sąsiadów”, wykrztusił w tym samym języku, w którym przemówił chacham, a ten tylko przytaknął, choć uśmiech zniknął już z jego twarzy. „Co dla ciebie znaczy świętość?”, kontynuował przesłuchanie. „Bóg, Prawo, Księga...”, wyliczał młody człowiek, ale zaraz uzmysłowił sobie, że błędzi, więc dodał: „Chociaż Prawo i Księga zawierają w sobie czynnik ludzki”. „Owszem, zawierają... A istota ludzka, stworzona na Jego obraz i podobieństwo, nie jest świętością...? A miłość? Miłość nie jest świętością?” „Jaka miłość?” „Jakakolwiek miłość, każda miłość”. Eliaszu zastanawiał się przez moment. Profesor nie miał na myśli miłości do Boga, czy może nie tylko taką. Chłopak odrzekł jednak: „Tak, myślę, że tak”. „Jesteśmy zatem zgodni”, stwierdził Ben Izrael po chwili, po czym dorzucił: „Może przypominasz sobie tę opowieść, wspominałem o niej w szkole... Jak wiesz, szóstego sierpnia siedemdziesiątego roku naszej ery wojska cesarza rzymskiego Tytusa zdobyły Jerozolimę i zniszczyły Drugą Świątynię. Co zadziwiające, tego samego dnia w roku pięćset osiemdziesiątym szóstym przed naszą erą została zniszczona Pierwsza Świątynia...”. „Tisza be Aw, najsmutniejszy dla Izraela dzień w roku”, przerwał mu Eliaszu, a w duchu się zastanawiał, po co chacham przypomina mu epizod znany nawet najmniej wykształconym Żydom. „Jeśli nie chcesz słuchać, możesz sobie pójść”. „Wybacz, chachamie, mów dalej”. „Nie zapominaj, że po zburzeniu Drugiej Świątyni i prześladowaniach ze strony cesarza Hadriana, który zakazał praktykowania judaizmu, dzieje Izraela jako narodu trwały przez następne tysiąc sześćset lat. Ale nie na ziemi, której ostatnie skrawki utraciliśmy w tamtej epoce, tylko w księgach napisanych wiele stuleci wcześniej przez przedstawicieli ludu, który nigdy nie wydał wielkich rzemieślników ani malarzy, ani architektów, lecz zrodził wielkich komentatorów, a dzięki nim pismo stało się narodową obsesją... Byliśmy pierwszą rasą, która potrafiła znaleźć słowa nie tylko zdolne oddać całą złożoność relacji między człowiekiem a Misterium, lecz także wyrazić najgłębsze ludzkie uczucia, nie pomijając oczywiście miłości... Wkrótce po zburzeniu Świątyni, gdy trwały prześladowania, zebrano się liczne grono rabinów i uczonych w piśmie, którzy ustanowili dwie fundamentalne reguły przetrwania wiary Hebrajczyków, dwie reguły aktualne po dzień dzisiejszy... Pierwsza mówi, że studiowanie jest ważniejsze niż przestrzeganie zakazów i praw, ponieważ poznanie Tory prowadzi do posłuszeństwa wobec jej mądrych zasad, a z kolei samo przestrzeganie źródeł praw, bez racjonalnego zrozumienia, nie gwarantuje prawdziwej wiary, owej wiary zrodzonej z rozumu. Druga reguła... tu przypomnij sobie historię Judy Arawanela, którą wielokrotnie wam opowiadałem... dotyczy życia i śmierci. Kiedy należy umrzeć, nie godząc się na ustępstwa? – zapytywali ci mędrzy ponad półtora tysiąca lat temu i dali nam wszystkim odpowiedź, że jedynie w trzech okolicznościach: jeżeli Żyd zmuszony jest wielbić fałszywych idoli, dopuścić się cudzołóstwa lub przelać niewinną krew. Wszystkie inne prawa można naruszyć, gdy wisi nad nami groźba śmierci, jako że życie jest największą świętością”, powiedział profesor i wykonał gest, jakby miał zamiar sięgnąć po fajkę, ale w końcu się rozmyślił: „Chcę ci przez to uświadomić dwie sprawy, Eliaszu Ambrosiusie Montalbo de Ávila... Pierwszą, że prawa winny być racjonalnie oceniane przez człowieka, bo od tego ma rozum, a wiara winna być pierwiej przemysł-

ślana niż zaakceptowana. Drugą, że jeśli nie naruszasz żadnego z wielkich praw, to nie obrażasz Boga w sposób nieodwracalny. A skoro nie obrażasz Błogosławionego, zapomnij o swoich sąsiadach... Oczywiście wtedy, gdy gotów jesteś podjąć ryzyko zmierzenia się z ludzkim gniewem, który potrafi być czasem straszniejszy niż gniew bogów”.

A zatem życie i miłość są świętością? Co dokładnie znaczy „świętość”? Czy tylko odnosi się do tego co boskie i do boskich dzieł, czy też do tego, co najbardziej czci ludzka istota? A czyż życie i miłość nie są darem Boga dla jego stworzeń i przez to uświęcone?

Eliasz Ambrosius zadawał sobie te pytania, obserwując zarumienioną twarz Mariam Roki, wsłuchując się w jej głęboki oddech i czując pulsowanie w podbrzuszu, radosne i nagłące jak nigdy przedtem.

Tego dnia nie musiał szczególnie nalegać, aby zamiast przechadzać się po mieście, wybrali się na malownicze pola rozciągające się za nowymi kanałami. Był świetlisty niedzielny poranek, niebo rozwierało się nad nimi niczym kwiat rozkwitający w letnim skwarze, tymczasem oni przypatrywali się pałacykom nad Kanałem Książęcym, nowym i najbardziej luksusowym siedzibom w Amsterdamie. „Chciałabyś, żebyśmy zamieszkali w jednym z tych domów?”, zapytał, kiedy przechodzili obok niemal ukończonego już budynku, do którego miał się wprowadzić niebawem Izaak Pinto, a ona spłonęła rumieńcem na myśl o zawartym w pytaniu podtekście. Weszli na ścieżkę wiodącą do porzuconej, samotnie stojącej szopy, w której Eliasz przechowywał sztalugi i płótna na obrazy olejne. Spacerowali szpalerem robinii akacjowych i wierzb, które rosły nad mokradłami, a młodzieniec rozmyślał, jak daleko tego właśnie dnia może się posunąć w relacjach z Mariam, i rozważał wszystkie możliwości, jakie podsuwała mu jego niedoświadczona jeszcze wyobraźnia. Kiedy jednak przysiadł obok niej po zacienionej stronie, oparty o spróchniałe deski szopy, i niemal instynktownie zaczął badać nieznaną dotąd terytoria, przed czym ona się nie wzbriała (przed grzbietem dłoni gładzącym jej szyję, palcem lekko pieszczącym wargi), Eliasz nie mógł się już powstrzymać. Ujął w dłoń twarz dziewczyny i przyłgnął do jej ust, ale ten porywczy impuls nie zdołał stłumić myśli, że magia tej chwili, uroda Mariam, drżenie jej ciała, pulsowanie jego członka i poczucie rozpierającej go energii także są świętością. Musiało tak być, skoro prowadziły do samej esencji życia, najszeptelniejszego porozumienia, które Bóg ofiarował stworzonym przez siebie istotom.

Odkąd Eliasz Ambrosius zobaczył ją po raz pierwszy, rok wcześniej, w domu chachama Ben Izraela, miał przecucie, że ta zaledwie szesnastoletnia dziewczyna za sprawą przeznaczenia zajmie ważne miejsce w jego życiu. Rodzice i dziadkowie Mariam, niegdyś portugalscy konwertyci, woleli osiąść w Lejdzie, gdzie spędzili parę lat i gdzie jej ojciec, medyk z wykształcenia, dyplomowany w Porto, uzyskał skromne stanowisko asystenta w katedrze medycyny na słynnym uniwersytecie. Dopiero później, kiedy sławny doktor Efraín Bueno zaproponował mu pracę, cała rodzina przeniosła się do Amsterdamu. Dzięki relacjom z tym medykiem ojciec Mariam poznał mędrca Ben Izraela (przyjaciela wszystkich doktorów w mieście, z którymi ustawicznie konsultował swoje prawdziwe i urojone choroby), a bliska znajomość między dorosłymi doprowadziła do przyjaźni między obojgiem młodych ludzi. Przechadzki Eliasza i Mariam, zrazu pod pretekstem pokazania dziewczynie miasta, którego jeszcze nie знаła, stworzyły Eliaszowi sprzyjającą okoliczność w postaci czasu i przestrzeni służących pogłębieniu związku uczuciowego, który rodzina dziewczyny, jak można się domyślać, przyjęła z zadowoleniem, bo mimo że klan Montalbo de Ávila nie należał do specjalnie uprzywilejowanych finansowo rodów amsterdamskich, to jednak cieszył się powszechnym szacunkiem z uwagi na oglądę i pracowitość.

Tego niezapomnianego poranka, kiedy Eliasz zamierzał po raz drugi pocałować Mariam Rocię, przez kilka sekund wpatrywał się w jej przejrzyste miodowe oczy, zza których przezieierały pragnienie i strach ukryte w postanowieniu i w obawach dziewczyny. Pomyślał również, co było nieuniknione, że któregoś dnia musi namalować te oczy, wszystko bowiem jest w oczach. Jeśli pędzel albo węgiel uchwycą życie pulsujące w tym spojrzeniu, wtedy zdoła wypatrzeć wyraźny ślad świętości. Jak jakiś bóg. Jak Mistrz.

Dni szybko mijały w pogoni za jesienią, ale dla Mistrza upływały z wolna, kiedy zajęty był nielicznymi już zamówieniami. W tym czasie pożegnało się z pracownią dwóch najstarszych uczniów, najpierw Barent Fabritius, a potem poczciwy Duńczyk Keil, który tak często fundował Eliaszowi piwo, ale zanim wyjechał do swojej lodowatej krainy, podarował mu niewielkie płótno z widokiem przystani, obraz ten zaś, wraz z teczkami i kajetami młodego Żyda, musiał trafić do kryjówki na poddaszu jego domu. Wkrótce potem wolne miejsca zajęli inni uczniowie, jak na przykład niejaki Christoph Paudiss rodem z Hamburga, który miał ambicję zostać największym malarzem w swoim kraju. A nadto z tygodnia na tydzień twarz pani Dirx krzywiła się jeszcze bardziej z gniewu, który spowodowała młodzieńcza obecność Emely Kerk, odgrywającej w domu coraz większą rolę... Wszystko było w ruchu, wirowało, unosiło się lub opadało, a tymczasem mijały tygodnie, a obiecany pędzel nie trafiał do rąk Eliasza Ambrosiusa, dręczonego niepokojem, którego nie koila nawet jego miłość i odwzajemnione uczucie Mariam. Ów niepokój wzrósł gwałtownie, kiedy młodzieniec nieoczekiwanie odkrył, jak sądził, prawdziwą tożsamość Saloma Italii.

Przez kilka miesięcy, jeśli tylko nadarzała się okazja, Eliasz Ambrosius, dając upust swojej obsesji, odwiedzał sprzedawców obrazów na wszystkich targowiskach miasta, już to przyglądając się dziełom, już to rozpytujac o niejakiego Saloma Italie, grawera i rysownika, niemal na pewno mieszkającego w Amsterdamie. Uliczni marszandzi, dobrze zorientowani w tym, co dzieje się (a nawet nie dzieje) na rynku obrazów w mieście, niezmiennie zaprzeczali, by słyszeli kiedykolwiek to imię, bez wątpienia żydowskie. Po czym z wyrazem niedowierzania pytali: żydowski malarz?

Każdej soboty w synagodze młodzieniec pilnie przyglądał się wiernym i jednego dnia zwracał uwagę na synów bogatych kupców, drugiego na artystów specjalizujących się w szlifowaniu diamentów, kiedy indziej zaś na ludzi, którzy przybyli do miasta w ostatnich latach, jak gdyby obserwowanie twarzy mogło uchylić przed nim rąbka tajemnicy, starannie skrywanej przez jednego z obecnych w synagodze Żydów. Był przekonany, że nie tylko Izaak Pinto i chacham Ben Izrael utrzymywali kontakty z tym widmem, które ośmieliło się zilustrować zwoje królowej Estery. Skoro ten człowiek zajmował się rytownictwem, muszą istnieć różne kopie tego samego dzieła i ktoś musiał je kupić albo dostać w podarunku. Obrazy na zwojach Pisma, zastanawiał się, nie mogą być jedynymi jego dziełami, a wszak nikt nie oceni lepiej niż inny Żyd skarbu takiego jak ten, który był w posiadaniu Izaaka Pinto.

Stało się to ostatniej sierpniowej soboty, kiedy Eliasz Ambrosius, akurat wcale nie myśląc o poszukiwaniach, natrafił wreszcie na trop, który mógł go zaprowadzić, był o tym przekonany, do Saloma Italii. Wydarzyło się to właśnie w synagodze podczas ostatniej modlitwy porannej (musaf, która przypomina Żydom ofiary składane w Świątyni), kiedy zatopiony w modlitwie spuścił wzrok i raptem poplątały mu się słowa na widok tego, co zobaczył. Po drugiej stronie głównej nawy, w tym samym rzędzie, w którym on się znajdował, dojrzał czysty but z błyszczącą żółtą plamą, która mogła pochodzić tylko i wyłącznie od farby. Powoli, nie przestając bezgłośnie poruszać ustami, podniósł głowę, aby przyjrzeć się właścicielowi butów, ale rysy twarzy tamtego były dlań obce. Mężczyzna, parę lat od niego starszy, miał brodę i wąsy przycięte zgodnie z nową modą, a pod obrzędowym talitem widać było wytorną, zapewne kosztowną koszulę. Ten człowiek z całą pewnością nie był ubogim robotnikiem budowlanym malującym ściany, posiadaczem jednej tylko pary butów. Plama musiała być odpryskiem pigmentu rozpuszczonego w oleju...

Zakończenie porannych modlitw zaskoczyło go, gdy wciąż trwał w stanie euforii, przekonany, że to odkrycie rozwieje niebawem jego wątpliwości i rozterki. Nie czekając na rodziców i dziadka (od kilku miesięcy Amos wraz z grupą nudnych i drętwych Niemców brał udział w obrzędach dokonywanych w salce przekształconej w synagogę) ani nie patrząc na galerię dla kobiet, gdzie była jego ukochana Mariam, młodzieniec, zdjawszy jarmułkę i talit, wyszedł ze świątyni i z nabytą już zrećznością ukrył się za ulicznym straganem z sezonowymi warzywami i owocami, czekając na człowieka w poplamionych butach. Kim on był? Dlaczego nigdy wcześniej go nie widział?

Nim większość wiernych opuściła synagogę, nieznamy, zamieniwszy jarmułkę na elegancki filcowy kapelusz w kremowym kolorze, wyszedł na ulicę i z widocznym pośpiechem ruszył Visserplein

w stronę placu Meijer. W odległości, którą uznał za bezpieczną, aby nie dać się zdemaskować, a zarazem gwarantującą, że nie straci swojej ofiary z pola widzenia, Elias Ambrosius przeszedł przez nowy, szeroki most Blauwburg nad Amstel, a kiedy przeciął Botermarkt, zaskoczył go gest ściganego, który wygrzebał z kieszeni klucz i otworzył drzwi jednego z domów przy Reliquierswarstraat, bardzo blisko północnego brzegu Herengracht, Kanału Regentów.

Dwa dni później Elias Ambrosius zebrał wszystkie niezbędne wiadomości, które potwierdziły myśl, że przypadkowa plama farby wystarczyła, aby zwieńczyć kilkumiesięczne wysiłki i ujawnić jeden z najbardziej strzeżonych sekretów tego pełnego sekretów miasta. Mieszkaniec domu opodal Herengracht nazywał się Davide da Mantova i był (jak zapewniali ludzie, którzy go znali) prawnikiem hiszpańskich sefardyjczyków, choć pochodził z miasta w północnych Włoszech, dokąd często udawał się na dłuższy pobyt. W Mantui utrzymywał kontakty handlowe z wenecką wspólnotą żydowską, dzięki której sprowadzał do Amsterdamu najwyższej jakości lustra, szkło weneckie, dzbany i naszyjniki z koralu, pochodzące ze słynnych warsztatów znad Laguny, i czerpał z tego ogromne zyski, o czym świadczył jego wytworny strój i okazały ganek domu, w którym mieszkał. Z uwagi na swoją pozycję ekonomiczną i rodzaj prowadzonych interesów Davide da Mantova – snuł domysły młody Elias – przebywając w Amsterdamie, poruszał się w kręgu bogatych sefardyjczyków i wpływowych tutejszych mieszczan, których drzwi zawsze stały otworem przed tym dostawcą ekskluzywnych wspaniałości.

Elias Ambrosius nie miał już wątpliwości: to musiał być Salom Italia, a jeśli dotąd na niego się nie natknął, to dlatego, że ten tylko sporadycznie zjawiał się w mieście, ponieważ głównie przebywał we Włoszech. Ustalenie tożsamości było jednak tylko częściowym rozwiązaniem problemu, bo pozostawała jeszcze kluczowa kwestia: jak ma się z nim zaznajomić i wyjawić, że zna jego sekret, a przede wszystkim – jak ma opowiedzieć mu o swoim ukrytym powołaniu? Możliwe drogi dojścia do Davide da Mantova były niedostępne: ani chacham Ben Izrael, ani Izaak Pinto, ani Mistrz nie zawiadą zaufania tego człowieka i w gruncie rzeczy byłoby czymś nikczemnym, gdyby ich o to poprosił, tym bardziej że sam zawdzięczał im dyskrecję w dochowaniu jego własnej tajemnicy, jakże podobnej do sekretu Saloma Italii.

Świadomość, że stoi przed zagadką nie do rozwikłania, którą jednak musiał rozwiązać, aby uśmierzyć swój niepokój, unaocniła Eliaszowi Ambrosiusowi ciężar jego podwójnego życia, brzemiennego w przemilczeniu, kamuflaż, a nawet kłamstwa i obecność maski, którą wciąż przywdziewał, odkąd postanowił spełnić wzbronione mu powołanie. Często niczym cień z innego świata przemierzał miasto tropem domniemanego żydowskiego malarza i zastanawiał się, jak wygląda życie tego Davide da Mantova, który nieustannie baczył na to, by nie odsłonić swojego prawdziwego ja, okazując otoczeniu tylko jedną, oświetloną stroną twarzy, i który musiał ograniczyć swoje artystyczne zauroczenie do wąskiego kręgu współpracowników dzielących z nim milczenie, a to być może najstraszniejsza kara dla artysty. Młodzieniec zadawał sobie pytania, czy rodzice Davide, tam, we Włoszech, albo jego żona, tu, w Amsterdamie, biorą udział w tym spisku, a także czy dziadek Beniamin, matka i ojciec oraz ukochana Mariam zastanawiają się nad losem i przyczyną dziwnego zachowania osoby tak im bliskiej i zarazem obcej, wnuka, syna, narzeczonego, nawet nie przypuszczając, że w każdej minucie życia osacza go strach przed ludźmi i wszechogarniające zwątpienie.

To właśnie wtedy Elias Ambrosius zaczął przemyśliwać, czy takie życie ma sens: czy to najlepsze rozwiązanie dla ludzi, których kocha, i dla niego samego, czy to niekończące się rozdwojenie jest rzeczywiście jedynym wyjściem, jakie oferuje mu jego czas, rasa i powołanie, czy możliwe jest uniknięcie katastrofy. Może należałoby, zastanawiał się, zapomnieć o wszystkich mrzonkach, które w sumie niczego mu dotąd nie przyniosły, i dopóki jeszcze nie wydarzyło się nic groźnego, prowadzić zwykłe, pozabawione wstrząsów życie, otwierając się całym ciałem, a nade wszystko duszą, na swoich bliźnich. Mógłby egzystować wolny od lęku (zawsze ten przeklęty lęk), ale też bez ambicji, bez marzeń, prześlizgując się przez zgiełkliwe, jednakie dni, nie odczuwając rodzącego się gdzieś głęboko w nim, ekscytującego pragnienia, by wziąć do ręki węgiel albo pędzel i zmierzyć się z wyzwaniem, uwieczniając radosne spojrzenie ukochanej dziewczyny, spokój łagodnego krajobrazu, siłę Samsona albo wiarę Tobiasza,

tak jak nakazywała mu jego wybujała wyobraźnia, tak jak robił to Mistrz. Pospolite życie pospolitego człowieka, które mogło być czymś lepszym.

Pewnego wieczoru, kiedy chorobliwe pragnienie zgłębienia życia tamtego człowieka zmusiło go do obserwowania okien domu przy Reliquierswarstraat, dopóki nie zgasała w środku ostatnia świeca, młodzieniec, kładąc na szali kolejne możliwości, doszedł do wniosku, że problem nie polega na poznaniu życia i myśli Saloma Italii albo Davide da Mantova: polega na poznaniu tego, jak chciałby i jak mógłby żyć i myśleć Elias Ambrosius Montalbo de Ávila.

„Zostaw tę gównianą szczotkę. Weź kwadratową paletę... zabierz te pędzle... No, dalejże, do roboty!”

Elias Ambrosius czuł, jak uginają się pod nim kolana, głos zamiera w gardle, a serce wali w piersi. Ale jakaś nieznaną, nadludzka siła przyszła mu z pomocą i zdołał wykonać polecenie, na które czekał niemal trzy lata: Mistrz wzywa go do malowania! Gdzie przepadły wątpliwości, a nawet przekonanie, że należy skończyć z młodzieńczymi mrzonkami, które prześladowały go w ostatnich tygodniach, zmuszając do tropienia tajemnicy Saloma Italii? Nawet nie zdążył zapytać o to samego siebie, bo w tym momencie jedyną odpowiedzią, jaką mógł dać, jaką w istocie chciał dać, były słowa wydobywające się z jego ust: „Jestem gotowy, Mistrzu”.

Malarz, z białym biretem na głowie skrywającym jego włosy, który zawsze wkładał do malowania, usiadł na stołku przed dwoma zagruntowanymi płótnami. Stamtąd z uśmiechem obserwował młodzieńca trzymającego w dłoniach paletę i pędzel. Odłożył na stołek swój pędzel i paletę, po czym zdjął wiszący na gwoździu fartuch. „Zobaczmy”, powiedział, a Eliasz pochylił głowę, gdy Mistrz wkładał mu ochronny fartuch upstrzony tysiącem kolorowych plam, robiąc to z takim namaszczeniem, jakby przypinał do piersi order.

„Nałóż na paletę ochrę, żółć, cynober, biel i sienę. Tymi kolorami Apelles potrafił namalować Aleksandra z piorunem w dłoni przed świętynią Artemidy. Tymi kolorami można namalować wszystko”, stwierdził Mistrz i wskazując porcelanowe miseczki z rozpuszczonymi już pigmentami, ponownie zapatrzył się w płótno, jakby miał zamiar je o coś wypytać. Eliasz w milczeniu czekał na dalsze polecenia; dopiero wtedy odzyskał jasność umysłu i pokonawszy wewnętrzne wzburzenie, zastanawiał się, co będą malować. Rozejrzał się i zrozumiał intencje Mistrza: układ luster, ułożenie sztalug i miejsce, które wybrał artysta, pod kątem do światła wpadającego przez okna, dowodziło, że tematem obrazu będzie sam Mistrz.

„Nie mam teraz żadnego zamówienia”, niemal szeptem powiedział malarz, wciąż wpatrzony w płótno. „A dzisiaj straciłem swojego najlepszego modela... musiałem wyrzucić z domu Emely Kerk, bo zaskoczyłem ją na pieprzeniu się z jednym z uczniów... wiesz którym. I nie mogę zrezygnować z florenów, które płaci mi ojciec tego ucznia... Kawał z niej kurwy”.

Elias Ambrosius dopiero teraz zrozumiał, dlaczego parę minut wcześniej pani Dirx, która bawiła się w kuchni z małym Titusem, powitała go z podejrzaną wylewnością. Stara lwica wreszcie dopięła swego i pozbyła się młodej konkurentki.

„Rzeczywiście jesteś gotów?”, zapytał Mistrz i końcem pędzla wskazał stołek ustawiony przed drugim płótnem. Tym razem Eliasz nie mógł się powstrzymać: „Chyba całe życie czekałem na tę chwilę, Mistrzu”. „I już wiesz, dlaczego chcesz postawić wszystko na jedną kartę i spróbować sił jako malarz?” „Tak, wiem... Ponieważ...” Mistrz powstrzymał go ruchem pędzla. „To już twoja sprawa... I nie przejmuj się, jeśli odpowiedź wyda ci się zbyt prosta. Moja jest banalnie prosta... Gdybym wybrał studia medyczne na uniwersytecie, pewnie teraz byłbym bogaty i żył bez zmartwień... Dziś nękają mnie kłopoty. Ale nie żałuję, że zdecydowałem się na taką właśnie odpowiedź”. Elias Ambrosius przytaknął: czy może być coś bardziej oczywistego od chęci malowania tylko z tego powodu, że ktoś czuje taką potrzebę, nieugiętą potrzebę, gotowy zmierzyć się z wszelkimi trudnościami i niebezpieczeństwami? „Wiem, kim jest osoba, która pomalowała zwój z księgą królowej Estery”, powiedział, bo odczuł wtedy potrzebę tego wyznania. „Wiem, jak się nazywa niejaki Saloma Italia, gdzie mieszka i czym się zaj-

muje...” „Ale chyba nie wpadłeś na głupi pomysł, żeby z nim porozmawiać?” „Nie, nie wiedziałem, jak to zrobić... Ale dlaczego głupi?” Mistrz westchnął, przyglądając się wyzywającemu płótnu, które nań oczekiwalo. „Ponieważ nie masz prawa naruszać jego prywatności, tak jak inni nie mają prawa tego robić w stosunku do ciebie. A poza tym to, co by ci odpowiedział, byłoby jego odpowiedzią, a nie twoją”. „Ma pan rację... Po wielu dniach śledzenia go zdecydowałem się nie wracać do pracowni i zapomnieć o tym wszystkim”, wykonał kolisty gest pędzlem: ten gest podpatrzył u Mistrza. „Ale wiem, że to niemożliwe... w każdym razie w tej chwili. Tym bardziej teraz”.

Mistrz kiwnął głową, wciąż wpatrzony w płótno zagruntowane na ziemisty kolor. „Nawet nie wiesz, jak bardzo zabolęła mnie ta sprawa z Emely... Ale dla ciebie to lepiej: z jej powodu dzisiaj będziesz malował razem ze mną”. „Cieszę się, Mistrzu”, powiedział i natychmiast miał ochotę ugryźć się w swój przeklęty język. Ale malarz sprawiał wrażenie, jakby go nie słyszał, zatopiony zapewne we własnych myślach. „Zanim zamoczysz pędzel, musisz wiedzieć, co zamierzasz uzyskać, chociaż jeszcze nie wiesz, jak to zrobić... Dzisiaj pragnę uzyskać smutek, który jest w sercu czterdziestoletniego mężczyzny. Pragnę go odkryć, bo ten smutek to dla mnie coś nowego. Cierpienie to nie to samo co smutek, wiedziałeś o tym? Mam duże doświadczenie w przeżywaniu cierpienia, a także gniewu, rozczarowania, frustracji... jak i radości sukcesu, nawet kiedy inni tego nie rozumieją i spychają mnie na boczną drogę... Nic dziwnego... Ale smutek to głębokie uczucie, nazbyt osobiste. Radość i cierpienie, zadziwienie i gniew to uczucia egzaltowane, zmieniają rysy, spojrzenie... lecz smutek naznacza człowieka od wewnątrz. Jak sądzisz, gdzie mogę znaleźć smutek?” Elias Ambrosius, zadowolony ze swojej przenikliwości, odrzekł bez namysłu: „W oczach. Wszystko jest w oczach”. Mistrz pokręcił głową. „Wciąż wierzysz, że coś wiesz...? Nie, nie smutek. Smutek jest poza oczyma... Trzeba dotrzeć do myśli, do ludzkiej duszy, aby go dotrzeć, i podjąć dialog z samym sobą, iżby go uchwycić...” Mistrz nałożył nieco złotego pigmentu na pędzel i nakreślił linie, które niebawem staną się głową. „Dlatego tak nieliczni potrafili sportretować smutek... Smutny człowiek nigdy nie patrzy na widza. Będzie szukać czegoś, co znajduje się poza obserwatorem, odległego śladu zagubionego w przestrzeni i jednocześnie w nim samym. Nigdy nie spojrzy w górę, szukając nadziei, ani w dół, jak ktoś zawstydzony czy wylknięty. Musi mieć spojrzenie utkwiłe w tym, czego zgłębić nie sposób... Twarz lekko nachylną do wewnątrz, niezbyt ostre światło na policzku zwróconym ku widzowi, wyraziście zaznaczone powieki... Aby wydobyć twarz na pierwszy plan i nadać jej moc, zostaw tło w ciemnobrązowej tonacji, ale nigdy w czerni: głębia klimatu odpowiadać będzie głębi uczuć, przywoła je i odsłoni ich prawdę... Powiedz, chłopcze, potrafiliś namalować mój smutek?” „Spróbuję, za pozwoleniem...”

Elias zmoczył pędzel w tej samej żółtej miseczce i dotknął wilgotnym włosiem płótna, po czym pociągnął pędzlem lekko w dół, kreśląc zarys twarzy. Spojrzał w lustro przed sobą, w którym odbijały się lekko nachylna głowa i tułów Mistrza. Przyglądał się tak dobrze mu znanym rysom, specyficznym cechom – długiemu, spłaszczonemu nosowi, mięsistym wargom, nieznacznie zarysowanej brodzie – ocenił ciężar białego biretu, rudawe kosmyki opadające na uszy i zatrzymał się na oczach, na spojrzeniu człowieka tylekroć sięgającego nieba, człowieka, którego sława dotarła do europejskich stolic, przed którym ustąpił haski stadhouder, najpierw go obraziwszy, a potem zgodziwszy się zapłacić fortunę za dwa dzieła, albowiem tylko ten artysta zdolny był wykonać je z należytych mistrzostwem, i teraz ten sam człowiek postanowił namalować autoportret, więc zaproponował swojemu uczniowi, że obaj spróbują uchwycić jego smutek i żał za utratą czegoś tak powszedniego i dla kogoś jego pozycji tak łatwego do zastąpienia jak młoda, piękna kochanka. Poprzez te oczy Elias Ambrosius Montablo de Ávila torował sobie drogę ku krainie szczęśliwości lub piekła, ale niewątpliwie ku świetlistemu miejscu, do którego całą duszą i umysłem pragnął dotrzeć.

„O tak, to jest świętość”, mówił sobie, kiedy poczuł, jak po krótkim zmaganiu się z błoną dziewiczą jego ciało wniknęło do wnętrza Mariam Roki. Ona zaś, przewyciężywszy ból przebicia, o którym była już uprzedzona, otworzyła oczy, zaczerpnęła tchu i wchłonęła w trzewia obrzezany członek, który mężnie penetrował stosowny zakątek kobiecego ciała, nadając życiu najwyższy wymiar. Nieprzewidywalne,

ale dogłębne ruchy bioder niedoświadczonych kochanków nabrały rytmu i dokonało się harmonijne zespolenie, pobudzone rozpustnym wirem, zawrotnym, zachłannym i jeszcze bardziej zawrotnym, a następnie powolnym, powolnym, powolnym... Aż wreszcie natchniony lekturą biblijną Eliazs Ambrosius miał dość przytomności umysłu, by idąc w ślady Onana, oderwać się od jej ciała i wytrysnąć nasienie poza kobiecą czarę. Wiedział, że aby oddać się nieograniczonej rozkoszy, należy najpierw stłuc kieliszki na pamiątkę obrzędu zaślubin, który odprawiali jego przodkowie w zniszczonej Świątyni Jerozolimskiej. Na razie musiał poprzestać na rozkoszowaniu się takim tylko objawieniem świętości, bez uwiecznienia jej cudem poczęcia.

Napisane jest: nieśmiertelność to największy przywilej, który przysługuje jedynie nielicznym wybrańcom. Uzbrojone w cierpliwość niezmiernego czasu dusze tych szczęśliwców muszą wyczekać w szeolu, niematerialnym miejscu rozciągającym się niczym bezmiar wód pod światem zamieszkanym przez żywych. Tam spoczywać będą aż do przyjścia Mesjasza i Dnia Sądu, kiedy dokona się możliwe, tylko możliwe, zmartwychwstanie ich ciał i dusz, zgodnie z wolą boskiego arbitra. Spośród wielu istot uczestniczących w ziemskiej wędrówce mieszkańcy szeolu będą jedynymi wybrańcami, którym będzie dane uczestniczyć w tym ostatnim stadium. Pobożni mężczyźni i kobiety, zmarłe w stanie niewinności dzieci, ci, którzy padli w boju w obronie zasad i Prawa Przenajświętszego oraz jego narodu wybranego. Eliasz Ambrosius hołubił bardzo osobisty wizerunek apoteozy, która nadejdzie po przejściu dusz przez szeol. Podarował mu go dziadek Benjamin Montalbo de Ávila w dniu, w którym Eliasz wkroczył w dorosłe życie i wziął na siebie odpowiedzialność, co wydarzyło się podczas obrzędu w synagodze, celebrowanego przez Menasze Ben Izraela, wówczas jeszcze rabina. „Jestem ogromnie szczęśliwy z twojego powodu”, powiedział wtedy starzec, poprawiając mu jarmułkę na głowie i całując w oba policzki. „Spotkał cię dobry los, bo urodziłeś się w stosownym czasie i przestrzeni wyśnionych przez Żydów, odkąd skazani na wygnanie opuściliśmy naszą ziemię. Sam odkryjesz, że życie w tym mieście jest przywilejem, że Amsterdam to Makom, dobre miejsce. Ale nie zapominaj: istnieje miejsce jeszcze lepsze. Tam może nas zaprowadzić tylko Mesjasz, kiedy wezwie żywych i umarłych i otworzy przed nami podwoje Jeruzalem. Naszymi myślami i czynami winniśmy zatem wspierać nadejście Pomazańca, abyśmy mogli cieszyć się tym wspaniałym światem, w którym zawsze panuje światłość, nigdy chłód, gdzie nie odczuwa się głodu ani cierpienia, a tym bardziej strachu, u kresu bowiem nie będzie już czego się obawiać. O to ukojne miejsce, o Eden, który poznał Adam przed upadkiem, musimy walczyć, dopóki trwamy w innym miejscu, a wszak jest nim Makom, trzeba to przyznać, mój synu, i jest ono całkiem dobre do życia”.

Słowa dziadka Beniamina i czarowne obrazy przywołane w pamięci Eliasza Ambrosiusa złagodziły pełen bólu moment, w którym widział, jak ciało starca – owinięte w talit, pierwszy założony przezeń po przybyciu do Amsterdamu i podczas obrzędu powrotu do wiary przodków – niknie w czeluściach mogiły, w drodze do szeolu, dokąd z pewnością trafi ten niezłomny i pobożny człowiek. Podczas gdy chacham Ben Izrael odmawiał rytualne modły przywołujące zmartwychwstanie, Eliasz Ambrosius, zatroskany losem dziadka, zastanawiał się, czy wieści nadchodzące ze wschodnich zakątków Morza Śródziemnego (aż do teraz jego wrodzony sceptycyzm kazał mu nie przykładać do nich wagi) o wędrówkach po tamtych ziemiach człowieka, który ogłosił się Mesjaszem i dokonywał cudów, tak wielkie nadzieje budząc pośród Żydów z całego świata, mają jakąś rację bytu i być może pozwoliłyby mu na najlepsze ponowne spotkanie, w najlepszym ze wszystkich miejsc, z tym człowiekiem o wyrozumiałym sercu, którego kochał najmocniej w życiu, aż do chwili, kiedy jego męskością zawładnęła Mariam Roca.

Śmierć dziadka Beniamina zaskoczyła ich, a przecież mogli się jej spodziewać. Mając niedawno ukończone siedemdziesiąt osiem lat, starzec przeżył więcej niż inni ludzie w jego wieku („Niemał tyle co biblijny patriarcha”, mawiał z uśmiechem, komentując swój zaawansowany wiek), ale w ostatnich czasach jego ciało kurczyło się coraz szybciej, choć nie cierpiał i zachowywał jasność umysłu. Tego piątkowego wieczoru, kiedy miał odejść, poprosił nawet, by go umyto i posadzono przy stole w salonie, aby mógł uczestniczyć w ceremonii zapalenia świec szabatowych i jako prawowity patriarcha rodu powitać szczęśliwy dzień, który poświęcony był Panu i uświetnieniu wolności ludzi. Kiedy jednak stół został już nakryty, świece zapalone, a nocne cienie pozwały dojrzeć na firmamencie pierwsze rozkłaski zapowiadające zwycięskie nadejście tak wyczekiwanego dnia, dzieci i wnuki nie wysłuchały życzeń,

które powinien wypowiedzieć Beniamin Montalbo de Ávila („Szabat szalom!”). Dokładnie tak jak gwiazda na nieboskłonnie zgasło życie dziadka Beniamina.

Na małym stoliku, przy którym starzec, jeszcze od czasów, gdy nim nie był, zwykł pisać, studiować święte teksty i czytać tak bardzo fascynujące go książki, jego syn Abraham Montalbo znalazł zapieczętowny arkusz papieru, na którym ten zapobiegliwy człowiek kilka tygodni wcześniej wyraził swoją ostatnią wolę. Nikogo nie zdziwił fakt, że zarządził w każdym szczególe ceremonie własnego pogrzebu, zapisał nawet mądre rady dla każdego członka rodziny i postanowił powierzyć jedyne wartościowe przedmioty, jakie zebrał w ciągu długiego życia, wnukowi Eliaszowi Ambrosiusowi: dla niego bowiem przeznaczył swoje biurko i książki. Gdy młodzieniec dowiedział się o tej spuściźnie, na nowo załżał się łzami, które zdawały się już dawno obeschnąć. Siedząc przy tym pięknym meblu i gładząc oprawione w skórę wspaniałe woluminy, które należały już do niego, Eliasz przekonał się, że niektóre z nich nosiły ślady częstego przeglądania i czytania, czemu oddawał się z pasją ich pierwotny właściciel. Najbardziej sfatygowanymi księgami były, co oczywiste, dwa traktaty Majmonidesa, ulubionego myśliciela Beniamina Montalba, i *Dialogi o miłości* Leona Hebrajczyka, ale także dzieła współczesnych autorów, niemające nic wspólnego z wiarą ani religią, jak obszerna powieść niejakiego Miguela Cervantesa zatytułowana *Przemysłny szlachcic Don Kichot z Manczy*, a także *Floryda*, spisana przez Incę Garcilasa de la Vega (oczywiście to on przetłumaczył na hiszpański *Dialogi*) kronika nieudanej próby podboju tego regionu Nowego Świata, gdzie, jak mawiano, znajdowało się *Źródło Wiecznej Młodości*. Fizyczny kontakt z tymi książkami, które zapewniały dziadkowi więź z ziemią bałwochwalstwa, skąd uciekł, aby odzyskać swoją wiarę, lecz mimo to wciąż kochał ich język i kulturę jak własne, uświadomił Eliaszowi prawdziwe wymiary konfliktu, w który uwikłany był duch tego niezgłębionego człowieka: spór pomiędzy przynależnością do wiary, kultury i tysiącletniej tradycji, do których należał za sprawą wiewiór krwi, a bliskością krajobrazu, językiem i literaturą ziem, gdzie żyło wiele pokoleń jego przodków przybyłych w odległych czasach na Półwysep wraz z pustynnymi Berberami i gdzie także on spędził pierwsze trzydzieści trzy lata życia, nasiąkając atmosferą, której nigdy nie mógł i nie chciał się wyrzec (tak jak nie wyrzekł się ciecierzycy, ryżu i – gdy tylko była ku temu okazja – chleba moczonego w oliwie z oliwek). Nie, nigdy nie mógł ani nie chciał wyrzec się tej przynależności, nawet żyjąc w Makom i znając nakazy rabinów, aby zerwać raz na zawsze z tymi niebezpiecznymi związkami z przeszłością, uznawanymi za sida bałwochwalstwa.

Przez siedem dni przestrzegania szuiwy, zamknięty w domu wraz z rodzicami i bratem, jak wymagał tego obrzęd żałoby, Elias Ambrosius doszedł do wniosku, że nikczemnością z jego strony było przemilczenie przed dziadkiem swoich rozterek i decyzji. Beniamin Montalbo bardziej niż ktokolwiek na świecie potrafiłby go zrozumieć: ponieważ był jego dziadkiem i kochał go, ponieważ dużo wiedział o tajemnicach, a sam przeżył wiele lat, mając rozdwojoną duszę. Może starzec zachwyciłby się postęпами wnuka i nawet poprosił go o jedno z płócien, które teraz, zwinięte w rulon lub złożone, ukryte były w kuftrze w domu Mistrza. Kto wie, czy nie zaofiarowałby mu miejsca tu właśnie, przy stoliku, gdzie wędrował w świecie swoich księzek i gdzie słysząc wezwanie śmierci, pozostawił testament.

W ciągu ostatnich dwóch lat, które przeżył w zamęcie wrażeń, nowych doświadczeń i coraz bardziej przemyślanych decyzji, Elias często myślał o otwarciu przed dziadkiem swojego materialnego i duchowego kufra tajemnic. Tylko jemu z całej rodziny mógłby opowiedzieć o pięknie tworzonym przez Mistrza i o bezmyślnej reakcji nabywców obrazów, którzy uznawali go za artystę łamiącego zasady, a nie za odkrywcę nieznanych dotąd dróg. On też pierwszy dowiedział się o jego decyzji zareczyn z Mariam Rocą i wówczas padła z ust starca najbardziej spontaniczna i szczerza odpowiedź: „Umieram z zazdrości, mój synu”. Nigdy jednak Elias nie miał śmiałości przekroczyć granic swoich obaw i opowiedzieć o pragnieniu zostania malarzem czy podzielić się radosną chwilą, w której Mistrz dał mu do ręki pędzel: chwilą, gdy namalował na płótnie postać ukochanego Mistrza.

Przez te dwa lata Elias Ambrosius miał wszakże niejedną okazję, by idąc za wskazówkami i poleceniami Mistrza, które były kierowane bezpośrednio do niego, lub też chłonąc dyspozycje przekazywane uczniom podczas wspólnej pracy nad jakimś obrazem, wypróbować swoje domniemane zdolności. Nie

tylko był odpowiedzialny za gruntowanie płócien, dzięki czemu wprawiał się w tworzeniu ziemistych podkładów preferowanych przez artystę, ale również doskonalił sztukę malowania niektórych przedmiotów i dzieł zgromadzonych przez Mistrza – muszli morskiej ze spiralnym wzorem, popiersia rzymskiego cesarza, dłoni wyrzeźbionej w marmurze – a nadto kopiowania rozmaitych rysunków innych artystów, co podobnie jak szkicowanie żywych modeli, nie wykluczając aktów, odgrywało rolę ćwiczeń dydaktycznych, które dzięki radom Mistrza nabierały konkretnych wymiarów i rozwijały niewątpliwie zdolności młodzieńca. Z kolei na swoim poddaszu i w szopie za miastem Eliasza Ambrosius wprowadzał w czyn nabyte umiejętności i malował autoportrety, szkicował krajobrazy, kopiował przedmioty (powtarzając sobie w duchu słowa Mistrza), aż wreszcie w porywie zuchwalstwa zdecydował się wyznać Mariam Roce swój pałacowy sekret, że jak o niczym innym na świecie marzy o namalowaniu portretu naturalnej wielkości, na którym uwieczni swoją narzeczoną i kochankę.

Jak można się było spodziewać, a co wydawało się nieuniknione, dziewczynę zaskoczyło wyznanie Eliasza. Przez kilka dni rozmawiali na ten temat, młodzieniec zaś musiał szermować licznymi argumentami gromadzonymi od lat, aby usprawiedliwić decyzję, którą wielu uznałoby za heretycką. Kiedy dyskusja utykała w martwym punkcie i młodzieniec tracił już nadzieję, iż przekona Mariam, że to, co robi, jest jego przyrodzonym prawem jako jednostki, i wręcz obawiał się, że dziewczyna go zadenuncjuje, wówczas pocieszał się myślą, że wcześniej czy później i tak musiałby to wyznać – i ponieść konsekwencje – osobie, z którą pragnął dzielić życie. Dlatego też gdy Mariam, widąc pogodzona już z tą sytuacją, zgodziła się pozować mu pod warunkiem, że będzie to również zachowane w tajemnicy, Eliasza wiedział, że odniósł ważne zwycięstwo, i wołał nie pytać, czy zgoda dziewczyny dotyczy jej pozwania, czy też jego dalszych postępów w sztuce malarskiej.

Pierwszy portret Mariam – stała w oknie szopy, lekko pochylona w stronę widza – był w gruncie rzeczy żalną kopią portretu pięknej Emely Kerk, który parę lat wcześniej wykonał Mistrz, a obie modelki przybrały podobną pozę. Młodzieniec bez większych problemów przezwyciężył trudności związane ze światłem, anatomią i proporcjami, jako że wiele już umiał w tej materii. Użycie kolorów stosownych do ciała i włosów naszkicowanych na ciemnym tle okazało się niemal łatwe, skoro tylekroć widział, jak malowane było i ciało, i tło, a sam także to robił pospółu z uczniami i nawet z Mistrzem. Większy kłopot sprawiło mu uchwycenie podobieństwa i oddanie urody dziewczyny, chociaż po pewnym czasie, niemało się trudząc, stwierdził, że to mu się udało, co potwierdziła Mariam, przeglądając się w lustrze. Dążył wytrwale do przedstawienia duszy dziewczyny, ale to, wciąż tak odległe i nieosiągalne, przekraczało jego umiejętności jako portrecisty. Wprawdzie potrafił, fizycznie i miłośnie, zawiądnąć każdym uczuciem, każdą myślą dziewczyny, lecz gdy usiłował przenieść jej istotę na niewielkie płótno, uświadomił sobie własną bezradność, niemożność odzwierciedlenia wyrazu jej twarzy, w której widział witalność i niepokój, zwątpienie i miłość, podniecenie i strach płynący z ryzyka. Nie umiał odmalować tego wszystkiego. Niepowodzenie zmusiło go do zmiany planów. Podjął wówczas pracę nad drugim portretem, dziełem w pełni samodzielnym. Ustawił profil Mariam w skomplikowanej pozycji, w której twarz nachylała się pod nieznaczny kątem w stosunku do szyi, oczy zaś skierowane były w stronę nieokreślonego punktu na dolnym brzegu płótna. W owej chwili zrozumiał, że – tak kiedyś powiedział mu Mistrz, musiało zatem tak być – w tym właśnie ustawieniu człowieczeństwo postaci polega na wyzwaniu, jakie rzucają oczy. Przekonał się, że dotychczasowe niepowodzenie wzięło się stąd, że usiłował odmalować dziewczynę, gdy jej spojrzenie było skierowane na wprost, z uwidocznionym i zaakcentowanym wyrazem oczu. A przecież to zagadkowość była kluczem do sportretowania Mariam. Wtedy poprosił ją, by nie patrząc na niego, przemówiła doń oczyma, jakby szeptała mu coś do ucha... Podczas kolejnych sesji z największą starannością nakreślił rzęsy, powieki, źrenice i tęczęwki składające się na owo spojrzenie, cały czas unikając tego, co unaczynione, i poszukując tego, co przepastne. A kiedy, jak osądził, już odwzorował spojrzenie, pozwolił, by pędzel podjął własny dialog z pozostałymi szczegółami twarzy i uwiarygodnił w ten sposób cud uchwycenia sugestii... To niedzielne popołudnie, kiedy dokonał owego odkrycia i starał się nadać mu kształt, należało do najbardziej owocnych w życiu Eliasza Ambrosiusa Montalba de Ávila, ponieważ ponownie miał wrażenie, że odkrywa, czym jest świętość. Na tym

bowiem skrawku płótna, pod warstwą pigmentów, odrodziła się kobieta, która mimo bezruchu była namiastką życia.

Jak to możliwe, że lęk nie pozwolił mu pokazać dziadkowi Beniaminowi Montalbie tego niewielkiego portretu, w którym zdołał uchwycić to, co ulotne, i otworzyć podwoje kreacji? Starzec – dopiero gdy dziadek umarł, Eliasz nabrał tego przekonania – nie tylko by go zrozumiał, ale też dodałby mu otuchy, wszak szczególnie był wyczulony na ludzkie pragnienia i wolę osiągnięcia wytyczonego celu mimo przeciwności losu. A na tym płótnie on, Eliasz, uwiecznił własne ambicje i wolę zrealizowania swojego zamysłu zgodnie z przymiotami, którymi obdarzył go Stworzyciel...

Eliasz znajdzie pocieszenie w przekonaniu, że jeśli po ziemiach Turcji, Persji i Egiptu wędruje Mesjasz, zapowiadając swoje nadejście (wszędzie tam jest obecny równocześnie, jeśli sędzić z docierających do Amsterdamu licznych wieści o jego pielgrzymkach i cudach), być może już wkrótce on, Eliasz Ambrosius Montalbo de Ávila, zbliży się do dziadka i w momencie apoteozy Sądu Ostatecznego poprosi o wybaczenie, że nie okazał mu zaufania. To bowiem był prawdziwy grzech, który powinien wyznać ze skruchą przed obliczem Boga i wobec pamięci i ducha tego miłosiernego człowieka. Od obu oczekiwał przebaczenia.

Amsterdam, a także serce Eliasza Ambrosiusa, ogarnęło wrzenie. W parę tygodni po pogrzebie dziadka Beniamina, kiedy nadeszła z Hagi wiadomość o śmierci stadhoudera Fryderyka Henryka de Nassau, którego funkcję godnie przejął syn Wilhelm, wzrosło oczekiwanie mieszkańców miasta na niemal pewne, co powtarzali wszyscy, podpisanie traktatu pokojowego uzgodnionego między zmarłym stadhouderem a Koroną hiszpańską. Pokój, który mógłby zakończyć trwającą całe stulecie wojnę i umocnić niezależność Republiki Zjednoczonych Prowincji Północnych, byłby zasłużoną nagrodą za nieugięty opór stawiany przez mieszkańców tego kraju, lecz przede wszystkim efektem jego sukcesu gospodarczego, który stanowił kontrast z krytycznym stanem finansów hiszpańskiego imperium, niezdolnego już, co było powszechnie wiadome, do dalszego utrzymywania kontyngentu wojskowego nad odległym morzem i na tak niegościnnych ziemiach, zabagnionych i zimnych. Niemniej jednak radość z oczekiwania na rozwiązanie polityczne i militarne wnet opadła z powodu zagrożenia, jakie stanowiła władza stadhoudera Wilhelma de Nassau, znanego z ambicji monarchistycznych i – co za tym idzie – wrogości wobec ustroju republikańskiego i federalistycznego, a ten jednakże mieszkańcy uznali za przyczynę sukcesu handlowego, politycznego, społecznego, a nawet wojskowego. Dzięki rozkwitowi ekonomicznemu Republika mogła sfinansować oddziały piechoty złożone w większości nie z amsterdamskich mieszczan, szlachty haskiej czy lejdejskich uczonych, ale z najemników i wojaków z całej Europy, których skusiła godziwa stawka w mocnych florenach. Tylko ustrój republikański, jak powszechnie uważano, umożliwił awans ekonomiczny licznej rzeszy kupców, którzy przyczyniali się do rosnącego bogactwa, a to dzięki temu, że nie musieli dźwigać na swoich barkach dworu, szlachty i pasożytniczej biurokracji, co tak wykrwawiło Hiszpanię. A teraz, kiedy zdawało się, że są już o krok od zwycięstwa militarnego i politycznego, Wilhelm de Nassau mógł naruszyć tę równowagę społeczną, dzięki której wielu obywateli prowadziło dostatnie życie, ciesząc się wolnością osobistą, ta zaś mogłaby przerodzić się w wolność polityczną, gdyby nowy stadhouder podpisał traktat pokojowy z Hiszpanami.

Eliasz Ambrosius był na bieżąco w sprawach publicznych kraju bynajmniej nie z uwagi na swoją przenikliwość, ale dlatego, że miał otwarty umysł, czujne ucho i umiał korzystać z okoliczności, ponieważ wykonując rozmaite zlecenia w pracowni i w domu Mistrza, był świadkiem (w jego wypadku niemy) fascynujących rozmów między malarzem a jego przyjaciółmi, zwłaszcza młodym Janem Sixem pochodzącym z zamożnej mieszczkańskiej rodziny.

Od poprzedniego roku, kiedy po raz pierwszy gościł w domu Mistrza, omawiając sprawę swojego portretu, Jan Six nawiązał z malarzem więź, która szybko wykroczyła poza okolicznościowe i techniczne szczegóły zamówienia na obraz. Nić wzajemnej sympatii, w wypadku Sixa wynikająca z jego aspiracji artystycznych, jako że przedstawiał się jako poeta i dramaturg, natomiast ze strony Mistrza bę-

dąca skutkiem powołania kupieckiego i niekończących się problemów finansowych, zbliżyła do siebie obu mężczyzn, których dzielił wiek, ponad dziesięć lat różnicy, a także fortuna jednego i wieczny brak pieniędzy drugiego. Zbliżyła ich także pasja kolekcjonerska, która sprawiła, że Six, gorliwy nabywca dzieł sztuki, stał się wielbicielem malarstwa, albumów z grawiurami i egzotycznych przedmiotów gromadzonych przez Mistrza.

Mimo młodego wieku Jan Six szczylił się tytułem pomocnika burmistrza i rajcy miejskiego, a to dzięki przynależności do jednej z najzamożniejszych rodzin amsterdamskich. Sixowie byli właścicielami wytwornej kamienicy przy Kloveniersburgwal, zwanej Domem pod Błękitnym Orłem, sąsiadującej ze słynnym Szklanym Domem bogatego fabrykanta luster i soczewek Florisa Soopa, usytuowanej o rzut kamieniem od okazałej siedziby straży miejskiej, gdzie znajdowało się wielkie dzieło Mistrza, które u młodego Sixa, podobnie jak u Eliasza Ambrosiusa, wywołało głębokie poruszenie i podziw dla twórcy.

Odkąd powstały pierwsze szkice do przyszłego portretu Jana Sixa, młody Żyd z rozmaitych powodów był zawsze przy Mistrzu i mógł śledzić zadziwiający proces twórcy, który dwa lata później nadal nie przybrał formy wielkiego portretu, jakiego życzył sobie Six, aby powiększyć swoje ego i kolekcję obrazów, a jaki Mistrz zamierzał namalować z oczywistych powodów finansowych i prestiżowych, licząc na dalsze zamówienia zamożnych amsterdamskich mieszczan. Czasem jako jeden z uczniów, innym razem jako pomocnik malarza, Eliasz uczestniczył w pracy nad dwoma wspaniałymi rysunkami, zarysem dzieł, w których Mistrz starał się zadowolić gust i wymagania klienta, by uniknąć nieprzyjemnej sytuacji jak w wypadku Andriesa de Graeff, jeśli bowiem miałyby się ona powtórzyć, skutki byłyby katastrofalne dla już i tak nadszarpniętego prestiżu portrecisty.

Burgemeester z entuzjazmem przyjął jeden ze szkiców. Ale nie ten, na którym pysznił się jako polityk i człowiek czynu, lecz ten przedstawiający go jako młodego, urodziwego pisarza, który studiuje trzymany w dłoniach rękopis, sam zaś stoi przy oknie, oparty o parapet, a światło pada na jego twarz, na rękopis, fragment pokoju i fotel zasłany książkami. W tym rysunku Jan Six ujrzał wizerunek, jaki pragnął pokazać innym. Tak bardzo był zadowolony, że powziął niecodzienne postanowienie: poprosił Mistrza, by namalował go nie farbami olejnymi, ale techniką akwaforty, aby w ten sposób uzyskać odbitki, które mogłyby przeznaczyć na rozmaite cele. Zobowiązał się, że zapłaci cenę nie jak za akwafortę, ale jak za obraz olejny.

Tak oto Jan Six, najpierw w roli hojnego klienta, a potem gorącego wielbiciela i niebawem przyjaciela, stał się bywalcem domu i pracowni Mistrza, co zbiegło się z okresem euforii artysty, ponieważ parę miesięcy wcześniej zatrudnił jako guwernantkę dla swojego syna Titusa młodą Hendrickje Stoffels – może nie tak urodziwą, ale z pewnością inteligentniejszą od Emely Kerk – która podobnie jak jej poprzedniczka pochodziła z ubogiej rodziny i już wkrótce znalazła się w łóżu Mistrza. Tak bardzo rozbudziła jego namiętność dojrzałego mężczyzny, że sporządził piękny i prowokujący portret na desce, zatyłowany po prostu *Hendrickje Stoffels w łóżu*, na którym dziewczyna, na wpół ubrana, ze złotym diademem na włosach jako jedyną ozdobą, unosi lewą ręką zasłonę baldachimu i skrywając pierś pod prześcieradłem, wychyla się w stronę widza, umoszczona na miękkiej poduszce... w łóżu Mistrza.

Dobroczyzna obecność Jana Sixa i Hendrickje Stoffels bardzo podniosła na duchu artystę, który ponownie – tak uważał Elias – stał się człowiekiem, jakim był przed laty, zanim zmarła mu żona. Może nawet jeszcze bardziej radosnym, skoro, jak twierdził, wyzwolił się z konwenansów artystycznych i społecznych, czego dowodził ów portret Hendrickje, na którym dumnie i ostentacyjnie głosił miłosny związek z własną służącą. Poczucie samozadowolenia promieniowało na całe jego otoczenie – z wyjątkiem oczywiście pani Dirx, z którą pozostawał na wojennej stopie – z uczniami włącznie. Ciepła nabrały także jego relacje z Eliaszem Ambrosiusem, dzięki czemu młodzieniec mógł uczestniczyć w rozmowach z Janem Sixem, z których tak wiele dowiedział się o sytuacji politycznej Republiki. Innym następstwem zmiany nastroju Mistrza było wyznaczenie Eliasza (czemu sprzyjała broda, która wreszcie mu wyrosła, wprawdzie rzadka, ale jednak broda) do roli najważniejszego modelu w wielkim dziele,

któremu artysta oddał się z całą pasją i buntowniczą naturą: wieczery zmartwychwstałego Chrystusa po spotkaniu z uczniami w drodze do Emaus.

Coraz bardziej rzucające się w oczy ważne obowiązki w pracowni Mistrza (jak dawniej Carel Fabritius, tak teraz Eliasz zawsze towarzyszył mu w zakupie materiałów i on też najczęściej zajmował się gruntownym płóćien), postępy w sztuce malarskiej, oficjalne ogłoszenie narzeczeństwa z Mariam Rocą i awans na impresora w zarządzanej przez ojca drukarni przydawały blasku każdej chwili jego życia, ale jednocześnie groziły mu zdemaskowaniem i ujawnieniem tajemnicy przez osoby, które mogły, i to bardzo, skomplikować jego sytuację.

Szczęśliwym dlań zbiegiem okoliczności powszechna uwaga była skupiona na rozgrywających się właśnie wielkich konfliktach politycznych o nieprzewidywalnych konsekwencjach dla członków Nação, a także na sensacyjnych wydarzeniach, jak skandaliczny traktat o relacjach między Człowiekiem a Boskością, napisany i rozprowadzony przez młodego Barucha, syna Míguela de Espinoza, na problemie rozlokowania coraz liczniejszych zbiegających Żydów ze Wschodu, którzy byli istną plagą, lub też na komentarzach (u wielu budzących kupieckie i rodzinne nadzieje) dotyczących otwarcia portów hiszpańskich i portugalskich na handel z Amsterdamem. Niemniej najbardziej aktywna i bojowo nastawiona część wspólnoty hebrajskiej była coraz bardziej urzeczona intrygującymi wieściami o czynach człowieka, który ogłosił się Mesjaszem, a ten wędrował ponoć po Palestynie, ni mniej, ni więcej, tylko w stronę Jeruzalem, i głosił nadejście Sądu w zbliżającym się roku 1648. Toteż mało kto interesował się komitową między jednym z malarzy a jakimś Żydem i Eliasz Ambrosius mógł się napawać przebywaniem w cieniu, dzięki czemu jego duszę ogarnął spokój.

Młody Eliasz doświadczał ekstazy, odkąd Mistrz wybrał go do pracy nad dziełem, które jeszcze przed wstępnym pociągnięciem pędzla nosiło tytuł, jedyny, jaki był możliwy, tak stosowny do obsesji malarza, ten sam, którym przy innych okazjach posługiwał się z upodobaniem Mistrz: *Wieczera w Emaus*. „Nie interesuje mnie mistyczna strona tej sceny, ale jej ludzki wymiar, a jest on niewyczerpany. Dlatego ciągle wracam do tego epizodu, aż nim zawładnę, aż stanie się on moją całkowitą własnością”, wyjaśnił swoje intencje malarz któregoś popołudnia, gdy tylko uczeń zjawił się u niego. „Od niemal dwudziestu lat mam obsesję na punkcie tej sceny. Kiedy malowałem ją po raz pierwszy, uczyniłem z Chrystusa tajemnicze widmo, a z rozpoznającego go ucznia – zdumionego człowieka... Teraz chcę namalować pospolitych ludzi, którzy zostali obdarzeni przywilejem oglądania zmartwychwstałego Syna Bożego podczas najbardziej powszedniej i najbardziej symbolicznej czynności: łamania chleba, zwykłego chleba, a nie jakiegoś kosmicznego symbolu, o którym mówi twój chacham Ben Izrael”, zaznaczył. „Pospolici, strwożeni prześladowaniami ludzie przeżywają chwilę, w której ich wiarę dopełnia największy z cudów: powrót ze świata zmarłych. Ale nade wszystko pragnę namalować Jezusa z krwi i kości, Jezusa, który wraca z zaświatów i wędruje ze swoimi uczniami drogą do Emaus jak żywy człowiek, a powinien jawić się tak bardzo ludzki i tak bardzo bliski, jak nikt jeszcze nie zdołał tego oddać. Bardziej żywy niż ten u wielkiego Caravaggia... Ale zarazem wszechpotężny. I ten Jezus, którego przedstawię jako żywego człowieka, będzie miał twoją twarz i twoją postać”.

Wówczas Mistrz, przymierzając się do swojego zadania, zaproponował podekscytowanemu Eliaszowi pewien eksperyment: namaluje olejami tronie młodego Żyda – w tych studiach wyspecjalizował się Mistrz w odległych czasach pierwszych wprawek w Lejdzie – jako że najbardziej zależy mu na uchwyceniu ludzkich uczuć na boskim obliczu. Ale – i w tym miejscu nastąpiła nieoczekiwana zmiana – zrobią to na cztery ręce. On wykona portret Eliasza, Eliasz zaś swój autoportret, a obaj poszukają głębi ludzkich cech u kogoś, komu było dane powrócić z królestwa śmierci i przez chwilę bytować w ziemskiej postaci, nim zajęł miejsce po prawicy Ojca.

Największą niedogodnością tego kuszącego projektu, który Eliasz miałby realizować ramię w ramię z największym malarzem w mieście i być może w całym znanym świecie, byłby, co od razu sobie uświadomił, powszechny rozgłos, jaki zapewne zyskałoby to dzieło, i nieunikniona reakcja przywódców

wspólnoty religijnej na to, że pozował do obrazu, a co gorsza – obrazu, który był skrajną herezją. Wszak owi patriarchowie uparcie zmagali się z prawdziwymi lub urojonymi herezjami, coraz bardziej nieprzejednani wobec przyziemnych zachowań wspólnoty, którą za wszelką cenę starali się kontrolować.

Eliasz, jak zawsze kiedy dręczyły go obawy, poszukiwał wsparcia u dawnego profesora. Wieczorem, kiedy zjawił się w jego domu, Rachela Abrawanel, zgodnie ze swoim obyczajem burkliwa i rozzochrana, powiedziała mu, że mąż jest na zebraniu Maamadu, rady rabinackiej, więc jeśli Eliasz chce na niego zaczekać, niech siądzie na schodach, pod mezuzą. I zgodnie ze swoim obyczajem zatrzasnęła drzwi.

Wiosenny wieczór był chłodny jak na tę porę roku i Eliasz przez chwilę pomyślał o grubiańskim zachowaniu pani Abrawanel, która już dawno temu, gdy tylko rozwiła się jej marzenie o szczęściu, zapomniała o starym sefardyjskim przysłowiu: „Mędrzec chacham i kupiec dla kobiety najlepszy wybrańiec”. Jej mąż, zarówno w roli preceptora, jak i człowieka interesu, okazał się całkowitym nieporozumieniem i Rachela Abrawanel obwiniała go o wszelkie swoje frasunki.

Młodzieniec już miał zamiar zerwać się i uciec przed fetorem dochodzącym z barek z ekskrementami, płynących jak co wieczór Binnen Amstel, ale radość i obawa, które przeżywał od pamiętnego popołudnia, okazały się silniejsze. Wszakże on sam i jego twarz, szczęśliwie już brodata, stanie się dziełem sztuki Mistrza, co zapewni mu najwyższą ziemską nieśmiertelność, za którą najbogatsi mieszkańcy Amsterdamu, nie wykluczając Jana Sixa, muszą płacić setki florenów.

Chacham wrócił dopiero o dziewiątej wieczorem, kiedy z każdą chwilą robiło się coraz zimniej. Już samo powitanie i pierwsze słowa, które zamienili, przekonały młodzieńca, że mędrzec nie jest najlepiej usposobiony. Gdy już rozsiedli się w zabałaganionej pracowni Ben Izraela, ten, nalewając wino, streścił Eliaszowi ostatnie wydarzenia, które tak go rozsierdziły. „Żeby zastraszyć ludzi, ci rabiני gotowi są na wszystko. Teraz żądają głowy Barucha, syna Míguela de Espinoza. A na domiar złego kilku z nich, z Breslauem i Monterą na czele, domaga się, by dać posłuch wieściom dochodzącym z Kairu i Jeruzalem. Twierdzą, że szaleniec, który tam pielgrzymuje, może być Mesjaszem!”

Dopiero z drugim kieliszkiem wina w dłoni Ben Izrael opowiedział szczegółowo o najnowszych dokonaniach człowieka uchodzącego za oświeconego i za Mesjasza. Wszystko zaczęło się w Smyrnie, gdzie urodził się niejaki Szabetaj Cewi, który już za młodu przestudiował gruntownie księgi kabały. Tamże, upojony mistycyzmem albo – zdaniem Ben Izraela – szaleństwem, zaczął podążać najniebezpieczniejszą drogą wiodącą do herezji i rzucił wyzwanie wszelkim zasadom: stojąc przed arką w synagodze, wypowiedział tajemne i zakazane imię Boga, które się zapisuje, lecz którego głośno się nie wymawia... Reakcja rabinów ze Smyrny była natychmiastowa i zrozumiała: wyklęto go, jak na to zasługiwał. Lecz Szabetaj chował w rękawie więcej sztuczek: opuścił rodzinne miasto i udał się do Salonik, gdzie zaczął nauczać, a podczas pewnego spotkania w gronie kabalistów odprawił obrzęd swoich zaślubin ze swojami Tory i ogłosił się Mesjaszem. Zgodnie z oczekiwaniami także z Salonik wygnano go kopniakami... Ten szaleniec (mówiono o nim, że jest pięknym mężczyzną, wysokim, o miodowych włosach, oczach zmieniających barwę niczym jaszczurcza skóra i urzekającym głosem) przeniósł się do Kairu, gdzie przyjął go pod swój dach bogaty kupiec, w którego domu spotykały się kabaliści z całego miasta. Swoimi oracjami Szabetaj przekonał – i jedynie Przenajświętszy wie, jak to zrobił – mędrców i możnych z miasta, a ci okazali mu wsparcie, także finansowe. Potem głosił nauki w Jeruzalem, dokąd dotarł poprzedzony sławą swoich czynów, i oddawał się rozdawaniu jałmużny, aktom miłosierdzia, a nawet, mówiono, dokonywał cudów. Cały ten cyrk, przypominający, twierdził chacham, widowiska innych „mesjaszy”, których musieliśmy ścierpieć („jeden z nich, wiesz kto, odniósł duży sukces”), przybrał niebezpieczny obrót, kiedy niejaki Natan z Gazy, młody kabalista, ponoć obdarzony darem prorokowania, ogłosił, że została mu objawiona wielka prawda: Szabetaj Cewi jest wcieleniem z dawna wyczekiwanego proroka Eliasza, a jego przybycie, które zbiegło się z wszystkimi niedolami dzieci Izraela w ostatnich stuleciach („jakby niedole były dla nas czymś nowym”), stanowi ostateczną zapowiedź nadchodzącego Sądu Ostatecznego, wyznaczonego na rok 1648, kiedy to synom narodu wybranego przydarzą się niewyobrażalne wprost nieszczęścia, apokaliptyczne klęski poprzedzające odkupienie. „A teraz

właśnie ten szalbierz przemierza Palestynę, a za nim podąża niejaki Natan z Gazy i rzesza zdesperowanych Żydów, gotowych uwierzyć w ich nauki wzywające wszystkich do «sforsowania murów» i spotkania w Jeruzalem”, dokończył chacham.

Buntownicza natura i zdrowy rozsądek Eliasza Ambrosiusa nigdy nie zdołały stłumić mesjanistycznego żaru, który zaszczępił w nim dziadek Beniamin, dlatego też młodzieniec miał wrażenie, że w historii Szabetaja jest coś nowego, choć trudno uchwytne, i być może nie są to tylko szaleństwa niezrównoważonego człowieka. Rabinacki zakaz „sforsowania murów” i wejścia do Jeruzalem, aby ponownie zebrać tam potomków Abrahama, Izaaka i Mojżesza, był wyzwaniem, którego nie ośmielił się podjąć żaden z oświeconych. Od czasu założycielskich zgromadzeń rabinackich, które ustanowiły zasady i prawa zebrane w Talmudzie i Misznie, wszystkim Żydom na całym świecie było wiadome, że hasło masowego powrotu do Ziemi Świętej jest równoznaczne z wymuszeniem nadejścia zbawienia, a tym samym bezwzględnie zabronione, jako że wygnanie jest częścią przeznaczenia tego ludu, dopóki taka jest wola prawdziwego Mesjasza.

„Z całym szacunkiem, chachamie... dlaczego Szabetaj nie miałby być Mesjaszem? Tyle znaków, tyle śmiałości...” „Nie jest nim z wielu powodów, co wyłożyłem tym fanatykom, którzy żyją pośród nas i robią wszystko, żeby wywołać strach u ludzi i kierować nimi wedle swojego kaprysu”, niemal wykrzyczał mędrzec, tracąc panowanie nad sobą. „Przecież sam prorok Eliasz powiedział, że Pomazaniec nadejdzie dopiero wtedy, gdy Żydzi będą żyć we wszystkich zakątkach ziemi, a tak się nie stało”. „Ponieważ amerykańscy tubylcy nie są potomkami Dziesięciu Zaginionych Plemion?” „To po pierwsze, a po drugie dlatego, że w Anglii, o czym dobrze wiesz, bo mówiłem to setki razy, od trzystu pięćdziesięciu lat nie ma Żydów... Dlatego, że Mesjasz ma być wojownikiem. Dlatego, że jego nadejście muszą poprzedzić wielkie kataklizmy... Pomyśl, chłopcze, tylko pomyśl, skąd wywodzi się ten Szabetaj ze Smyrny? Czy potrafi udowodnić, że jest potomkiem Domu Dawidowego?” Dopiero ujawnienie tego faktu pozwoliło Eliaszowi Ambrosiusowi zrozumieć stanowisko chachama: dopuszczenie jakiegokolwiek myśli o mesjanizmie Szabetaja podważyłoby sens jego walki o przyjęcie Żydów przez Anglię, a przede wszystkim położyłoby kres aspiracjom rodziny Abrawanelów, które on, należąc do tego rodu, tak uparcie głosił. „Nieważne, co twierdzą inni członkowie rady, nieważne, że niektórzy najbogatsi sefardyjczycy z Amsterdamu pozbywają się majątku, aby wraz z licznymi tutejszymi biedakami wejść na statki płynące do Jeruzalem i tam przyłączyć się do orszaku tego szaleńca. Teraz obchodzi mnie tylko to, co jest celem mojego życia: otworzyć bramy Anglii przed Żydami, zbudować most, by mógł przejść po nim Mesjasz, a nie ten nowy oświecony, który, posłuchaj dobrze, napyta nam więcej biedy, jakby jej jeszcze było mało. Sam zobaczysz”.

Eliasz nie zdołał przedstawić powodów swojej wizyty w domu dawnego preceptora i pożegnał się około północy, wciąż poruszony swoimi obawami i nowymi wątpliwościami. Historia Szabetaja Cewiego i jego pielgrzymka poruszyły go i zmusiły do refleksji. To, że jedni Żydzi widzieli w nim Mesjasza, a inni go potępiali, nie było niczym nowym w dziejach Izraela, gdzie łatwowierność zawsze szła w parze ze zwątpieniem. Od czasów Salomona, największego i najbardziej świątłego spośród mędrców swojego narodu, od epoki obfitującej w proroków i podniosłe wydarzenia (powstanie królestwa Judy i Izraela, zbudowanie Świątyni, wielkie wojny i wysiedlenie do Babilonu niemal całej ludności hebrajskiej, nie wykluczając dziesięciu plemion, które wówczas się zagubiły) Eklezjasta wyraził szczere i nieprzymuszone powątpiewanie w ortodoksyjne dogmaty, o czym świadczą kolejne rozdziały jego księgi, mimo to uznanej również za świętą. Albowiem sceptycyzm Eklezjasty nie był herezją, tylko częścią myśli żydowskiej, i dowodził, jak trudnym zadaniem jest znalezienie przekonujących dowodów wobec krytycznego nastawienia tego ludu, wciąż gotowego wszystko kwestionować. W istocie, snuł refleksje Eliasza, to lud bardziej skłonny do nieufności niż do wiary. Lud, który, cóż za paradoks, stworzył – za sprawą objawień Przenajświętszego – podwaliny pod wiarę religijną zdolną przepełnić duszę całego cywilizowanego świata.

W tym właśnie środowisku dającym przyzwolenie na tropienie wszelkich zaburzeń i sporów, z których to, co nie jest konieczne, powinno być niezwłocznie usunięte, on rzucił wszystkim wyzwanie, po-

zując na domniemanego Mesjasza i nazywając siebie Jezusem Chrystusem? Wszak ten sam człowiek dokonał najgłębszego podziału wśród Żydów i uczynił z ówczesnych odszczepieńców antenatów późniejszych prześladowców własnych braci, sprawców i orędowników antysemityzmu, który głoszony z ambon w świątyniach nowej religii ufundowanej przez Jezusa doprowadził do tyłu mąk, cierpień, rabunku mienia i przede wszystkim masowej śmierci jego dawnych współbraci tylko dlatego, że okopali się oni w swojej pierwotnej wierze i swoich odwiecznych prawach... Eliasz czuł, jak pod wpływem medytacji nad przeszłymi i obecnymi mesjanizmami rozpada się w nim dusza, jak każda jej cząstka podąża w inną stronę, a on nie potrafił ich pochwycić i scalić. Jeśli Szabetaj Cewi jest Pomazańcem, a jego wezwanie do „sforsowania murów” jest boskim przykazaniem, to nic już nie pozostaje do zrobienia, jak tylko wyczekać na cudowne nadejście Sądu (czuł, jak napęłnia go błogością myśl o ponownym spotkaniu z dziadkiem). Jeśli nie jest Pomazańcem, jak twierdzi jego ukochany chacham i do czego w głębi umysłu skłania się on sam, wówczas aż do nadejścia prawdziwego Mesjasza świat nadal będzie dotknięty plagą cierpienia. Skoro tak, nie warto, jak mówił sam Ben Izrael, składać na rzecz śmierci dannyń złudzeń, pasji i marzeń po to tylko, aby wegetować w oczekiwaniu na nieunikniony rozkład ciała. Mimo że narażał się na ryzyko, a ortodoksi mogli go nawet oskarżyć o zdradę współbraci, mimo gnębiącego go strachu on wybierze życie... Poczuł ulgę, kiedy pojął, że chociaż każdy człowiek poprzez swoje czyny może pomóc w Nadejściu, to jednak zależy ono w istocie od najwyższej woli Przenajświętszego, którego decyzje powzięte są od zarania czasu. A zatem jego własne czyny mają wprawdzie swój udział w wielkiej równowadze kosmicznej, lecz nie mają na nią wpływu. On jako istota śmiertelna zajmuje przyznane mu (przez samego Stwórcę i tylko jeden jedyny raz) miejsce: przestrzeń swojego życia. On wypełnia tę przestrzeń poprzez swoje działania, których nie można uznać za błędne, ponieważ to sumienie, najwyższa instancja podejmująca decyzje, orzekło, że dopuściwszy się owych czynów, nie pogwałcił istoty Prawa. Eliasz doszedł do wniosku, że ma problem z samym sobą, a nie ze swoimi sąsiadami... Mistrz (który nie dopuszczał, by inni wtrącali się w jego prywatne, a zwłaszcza religijne życie) sam brał odpowiedzialność za swoją duszę i decydował o jej losach. A dusza jego, Eliasza, chociaż skrepowana tradycją i regułami, nadal będzie jego problemem. Jego i jego Boga, czy też jego i jego duszy.

Kiedy Eliasz Ambrosius wszedł do pracowni, Mistrz, pełen zapału, zapewne wspomagany przez jednego z uczniów, był już zajęty pracą nad dziełem, które zaprzętało jego umysł. Podobnie jak za pierwszym razem, gdy pracowali wspólnie, polecił ustawić dwie sztalugi, przed nimi stołki i tak umieścić lustro, by podstawka i stołek z prawej strony, najbardziej oddalone od okna, odbijały się pod trzema różnymi kątami w zwierciadlanej tafli. Lustro umieszczone tuż za sztalugą ukazywało obraz od frontu, natomiast pozostałe dwa, znajdujące się z boku, odsłaniały półprofil oraz pełen profil, który był też widoczny w lustrze przedstawiającym półprofil. To miejsce, co oczywiste, miał zająć autoportrecista. Drugi stołek ze sztalugą był tak ustawiony, że padało na niego bezpośrednio światło z okien, co umożliwiało widok en face osoby, która tam siedziała w otoczeniu luster. Ku zdumieniu młodzieńca na niewielkich podstawkach, na których mieli pracować – obie były podobne, choć o nietypowych rozmiarach (trzy czwarte ell szerokości na ponad trzy czwarte ell wysokości) – znajdowały się dwa różne tworzywa: płótno dla portrecisty, a dla autoportrecisty deska, kupiona przez Mistrza parę miesięcy wcześniej i już zagruntowana na matową szarość, a potem, zapewne z powodu niezwykłej wielkości, odstawiona w kąt pracowni.

Czekając, aż Mistrz skończy sjęstę – z biegiem lat nabrał zwyczaju poobiedniej drzemki dla odzyskania sił, a nadto cierpiał w nocy na bezsenność z powodu uporczywego bólu zębów, ostatnich, które jeszcze mu się ostały po wizytach u medyka – Eliasz Ambrosius, by ukoić swoją niecierpliwość, zdecydował się przejść do dzieła. Z nabytą już wprawą zaczął przygotowywać dla nich obu farby, tu nie było niespodzianek, zwłaszcza wybrane przez samego Mistrza: biel ołowiową i farby ziemiste. Była tam także czerwona ochra (do kabatki, którą na prośbę Mistrza miał włożyć do pracy), siena, żółta ochra i czerwień pomarańczowa, a użycie i przeznaczenie tej ostatniej były dla młodzieńca zagadką.

Kiedy Eliasz uporał się z przygotowaniem odpowiedniej ilości farby, usiadł na stołku i studiował lustrzane odbicia swojej twarzy. Odkąd kilka lat wcześniej zaczął portretować siebie samego w zaciszu poddasza, jego rysy znacznie się zmieniły: we wczesnym okresie młodzieńczym były nieregularne, a potem, gdy skończył dwadzieścia jeden lat, nabrały dojrzałości. Włosy, rozdzielone jak zawsze przedziałkiem na środku głowy i opadające na ramiona, nieco ściemniały, choć zachowały rudawy odcień, usta wydawały się twardsze, jakby bardziej uwydatnione, zarost pokrywający policzki był rzadki, podobnie jak wąsy o grubych kosmykach, natomiast wijąca się broda miała odcień ciemniejszy niż włosy. Zmieniły się także, choć na pierwszy rzut oka było to niedostrzegalne, rysy twarzy, rezultat upojnych lub bolesnych przeżyć z ostatnich lat: głębokiego żalu po śmierci bliskiej osoby, radości kochania i fizycznego spełnienia tej miłości, ciężaru skrywanej z lękiem tajemnicy, lecz nade wszystko blasków i cieni studiów nad malarstwem, wypełnionych poczuciem odpowiedzialności, dojmującym napięciem, wspaniałymi odkryciami. Miał teraz twarz człowieka zaprawionego w trudach, który potrafi wykorzystać własne doświadczenia do poznania innych ludzi za pośrednictwem magii, jaką jest sztuka.

Eliasz poczuł niepowstrzymany impuls i nie czekając już na Mistrza, odważył się przygotować paletę, a potem usiadł na stołku i wpatrywał się w swoje oblicze. Dopiero w tym momencie machinalnie sobie uświadomił, dlaczego postawił wszystko na jedną kartę i oddał się swojej pasji: nie dla pieniędzy, nie dla sławy ani dla czystej przyjemności. To, co nim kierowało i teraz prowadziło jego dłoń, gdy kreślił linie, którymi odmaluje własną twarz, była pewność, że za sprawą pędzla, pigmentów i gładkiej powierzchni dana jest mu moc tworzenia życia, tego życia, które dla wielu jest niezauważalne, lecz on je dostrzegał i mając w ręce narzędzia podarowane przez Mistrza, mógł to życie odwzorować, z ekspresją, uczuciem, artyzmem. Teraz był pewien, nawet narażając się na reprimendę Mistrza, do którego należało w pracowni pierwsze i ostatnie słowo, że właśnie w tym momencie stał się człowiekiem spełnionym i szczęśliwym. Taki był, kiedy kochał się z Mariam, taki był, kiedy dziadek zabrał go po raz pierwszy do synagogi, ucałował w oba policzki, poprawił mu jarmużkę na głowie i wprowadził w dorosłość, taki był w najlepszych chwilach życia, albowiem nie miał już wątpliwości, że robi to, do czego powołał go Pan. Kiedy szukając samego siebie w jasnym, bezpośrednim spojrzeniu, nadawał kształt swojej twarzy, nasunęła mu się w całej okazałości odpowiedź na pytanie, które cztery lata wcześniej w tym samym miejscu zadał mu Mistrz. Eliasz Ambrosius pragnął być malarzem, aby zdobyć tę właśnie moc. Moc tworzenia, piękniejszą, niepokonaną, górującą nad władzą, którą jedni ludzie sprawują nad drugimi, by niemal zawsze ich ciemnić.

Amsterdamskie lato jest feerią światła i spiekoty, wprawia w błogi nastrój mieszkańców, oni jednak, ciesząc się kanikują, nie zapominają o tym, że to tylko przelotne szczęście przedzielone dwiema zimami, długotrwałymi, śnieżnymi, chłoszczącymi zamiecią i ulewami, które przynoszą przenikającą do szpiku kości wilgoć. Światło, niezmiennie przesączające się przez opary, które unoszą się nad wodami, staje się zawiesiste, niemal gęste, ale lśni przez wiele godzin w tej północnej krainie. Eliasz Ambrosius również uległ powszechnej euforii i przeżywał te dni jako czas przyjemności i zadowolenia, w przeciwieństwie do Mariam, która ze stoickim spokojem musiała znosić fizyczną i duchową nieobecność ukochanego, ten bowiem, jeśli już pojawiał się u jej boku, potrafił długo dywagować na temat rodzaju światła lub tempa, w jakim wysychają niektóre pigmenty (szybkiego w przypadku brunatu kasselskiego, wolnego w odniesieniu do bitumu z Judei i kapryśnego wobec zółci neapolitańskiej), stan jego ducha zaś ulegał niustannym zmianom.

Nie da się ukryć, że Mistrz rozpoczął pracę od wygłoszenia zwyczajowych kąśliwych tyrad, co najczęściej zdarzało się po skończeniu sjesty albo z powodu bólu zębów: od razu polecił zamalować na szaro pierwsze wprawki Eliasza, w których młodzieniec dał wyraz artystycznej niezależności, ponieważ istniejące w wyobraźni Mistrza dzieło było tym, które on zamierzał stworzyć, a nie czymś, co przyszło do głowy jakiemuś tam uczniowi. Domagał się, pragnął, poszukiwał ekspresyjnych form twarzy Eliasza-Chrystusa, w których objawi się człowieczeństwo, wyłącznie ludzkie cechy, mimo jego pochodzenia i misji na ziemi, nawet mimo zmartwychwstania i ponownego zjawienia się wśród śmiertelnych

i grzeszników. Tego samego wieczoru Eliasz w swoim kajecie z zapiskami – od kilku miesięcy wraz z teczką rysunków i archiwum własnych dzieł ukrytym w domu Mistrza – starał się odtworzyć słowa porywczego, ogarniętego obsesją człowieka: „To nie może być Chrystus Leonarda, odległy i wywołony, nazbyt święty, nazbyt boski wobec uczniów... chociaż odziemy go w czerwonej kabatce z *Ostatniej Wieczery*. Ani Chrystus z pierwszej *Wieczery* w Emaus Caravaggia: przesadnie piękny i teatralny, niemal kobiecy... i też w czerwonej koszuli. Powinien przypominać raczej postać z drugiej wersji obrazu Caravaggia, bardziej ludzką, bardziej człowieczą, mimo że zbyt dużo tam dramatyzmu i perfekcji, co zresztą jest typowe dla Caravaggia. Mój Chrystus musi być człowiekiem, który wobec innych objawia swoją istotę poprzez gest, który wykonujemy każdego dnia, ale Jego gest nabiera symbolu Eucharystii. Chleb musi być powszedni i powszedni musi być akt łamania go przed rozpoczęciem wieczery... Żadnego mistycyzmu, żadnej teatralności. Człowieczeństwo, oto czego pragnę, człowieczeństwo”, powtórzył niemal z gniewem, po czym dodał: „Ty podarujesz mi tę twarz i razem ukážemy jej naturalność”.

Pomysł Mistrza z dwiema wersjami polegał na tym, że Eliasz będzie malował na desce, łatwiej poddającej się działaniu pigmentów, i ukáže twarz Chrystusa nieco z profilu, z głową lekką pochyloną, tworząc linię zbieżną, która wychodzi od podbródka, przecina nos i poprzez przedziałek we włosach dochodzi do prawego górnego rogu obrazu. W ten sposób będzie można odsłonić cały policzek od strony widza i ukazać zarys drugiego, a jednocześnie nakreślić drogę wiodącą od codziennego gestu ku nieskończoności. W tej pozycji spojrzenie, trochę skierowane w dół, miało wyrazić efekt introspekcji. Oświetlenie powinno być jednolite, pełne, dlatego Mistrz odsłonił kotary, by wpuścić do pracowni intensywne letnie światło: w tym momencie zaabsorbowany był twarzą, tylko i wyłącznie ludzką twarzą. Aby jak najlepiej zrealizować to zamierzenie, na zaimpregnowanej już desce i ponownie zagruntowanej matową szarością Mistrz naszkicował zarys głowy i ułożenie ramion, aż do linii, do której będą sięgać włosy. Tymczasem we własnym tronie Eliasza-Chrystusa, które model miał wykonać na płótnie, spojrzenie jest zwrócone niemal na wprost, a dopiero na kolejnym etapie pracy Mistrz zdecyduje, pod jakim kątem ma przebiegać, i choć skierowane będzie inaczej, także powinno wykraczać poza to co ziemskie. Musi oddać spojrzenie kogoś, kto z perspektywy swojego człowieczeństwa dostrzega już zapowiadaną chwałę, która nie była mu dana przez trzydzieści trzy lata, gdy jako istota ludzka przecierpiał wszystkie boleści i całą gorycz, ze zdradą, upokorzeniem i śmiercią włącznie. „Jako człowiek... człowiek, który na krzyżu pyta Ojca, dlaczego został skazany na mękę”.

Eliasz, świadomy stawki, o jaką chodzi, przystąpił do pracy. Kierując się wskazówkami Mistrza, zarysował kontury oblicza, włosów i opadającą linię ramion, a później zaś pozostawił rysy twarzy. Przeszedł do namalowania tła w stonowanym odcieniu pomarańczowej czerwieni z domieszką ochry, która tak go intrygowała, ponieważ Mistrz nie miał zwyczaju używać w tym celu ochry. Aż w końcu Eliasz domyślił się, co było intencją malarza: nadać obrazowi głębię, własne światło bez ukazania jego źródła, aby uwydatnić twarz, która powstanie. Nie tyle ją nakreślić, ile zbliżyć do widza.

Podczas gdy Mistrz realizował swój eksperyment, często prosząc modela, by spojrzał mu w oczy, z uniesionym lub trzymanym prosto podbródkiem, Eliasz wciąż był zaabsorbowany wstępną fazą tworzenia. Włosy należały do najprostszych zadań. Potem skierował się niżej, skupiając się na tułowi i kabacie w tonacji ziemistej czerwieni, poprzecinanej ciemnobrunatnymi fałdami. „Zapnij kołnierzyk koszuli”, polecił mu w pewnym momencie Mistrz. „Nie rozpraszaaj uwagi widza: twarz jest najważniejsza”. „Mogę zobaczyć pana obraz, Mistrzu?” „Nie, jeszcze nie. To ja muszę zobaczyć twój, już ukończony. No, dalejże”.

W dniu, w którym starał się zgłębić twarz, dokładnie taką, jakiej życzył sobie Mistrz, Eliasz zrozumiał, jak dużo już umie i jak dużo musi się jeszcze nauczyć. Powinien oddać twarz człowieka oświetloną wewnętrznym światłem wypływającym z jego boskości. Namalował brodę, nakreślił zarys podbródka, skupił się na ustach, nad górną wargą zaś czekało go wyzwanie w postaci wąsów, rzadkich, ale wyrazistych. Jego własny nos zdał mu się czymś nieznanym, zupełnie jakby po raz pierwszy zobaczył tę narośl, która towarzyszyła mu od zawsze, tylekroć szkicowana, a teraz nagle obca. Przyjrzał się, jak wyglądał nos Mistrza, spłaszczony, coraz bardziej mięsisty, i zapragnął mieć taki sam. Nos, który pokazy-

wało lustro, wydał mu się nijaki, pospolicie poprawny, wyzywająco żydowski. Delikatnie i starannie przeniósł na deskę wizerunek odbity w lustrze i prawie był zadowolony z uzyskanego efektu. Czolo i zarzą oszu zwieńczonych brwiami nie sprawiły mu szczególnych kłopotów i mógł się z tym uporać, radząc się Mistrza. Teraz czekało go największe wyzwanie: oczy i spojrzenie.

Tymczasem Mistrz skończył już większą część dzieła, a resztę postanowił odłożyć na później, by dokonać ostatniego retuszu, do czego nie potrzebował Eliasza, tylko wymogów własnej sztuki, subiektywnej wizji modelu i osobistego wyobrażenia Chrystusa sportretowanego na wzór prawdziwej twarzy modelu. Młodzieniec mógł wreszcie zobaczyć niewielkie płótno namalowane przez Mistrza i był oczarowany: to była jego twarz albo i nie, w istocie była czymś więcej i dlatego zarazem nie była jego twarzą. Spojrzenie skierowane ku górze, jakby poszukujące nieokreślonego punktu, a może miejsca, które tylko innym mogło zdać się nieokreślone i dlatego stwarzało przemożny efekt transcendencji, zerwania z ludzkimi ograniczeniami, aby dotrzeć do nieskończoności i tego co nieznanne. Bez wątplenia chodziło o niego, Eliasza Ambrosiusa Montalba de Ávila, ale odrodzonego, chciałoby się rzec: ubóstwionego za życia dzięki pędzlowi Mistrza.

Oglądał zawstydzony swoją inną twarz, wciąż jeszcze niewidomą, utrwaloną na drewnianej desce, i pomyślał, że przynigdy nie osiągnie niebiańskich wyżyn, na które wspięła się sztuka Mistrza. Zaraz jednak zbesztął się za przesadną próżność: niewielu ludzi na świecie zdobyło owe szczyty i nie bez powodu artyści współcześni Veronesemu, Leonardowi, Tycjanowi, Rafaelowi, Tintoretowi, Caravaguiowi, Rubensowi i Velazquezowi porzucili, wcześniej lub później, malarstwo, czasem głęboko przepojone pięknem i doskonałością. Tylko tutaj, w Amsterdamie, setki malarzy każdego dnia moczyły swoje pędzle, pragnąc konkurować, a może i nie, z dramatyzmem i siłą tego geniusza albo też ze słodyczą i subtelnością Vermeera van Delft, z wybornym nagromadzeniem szczegółów Fransa Halsa, a wszak wszyscy oni oddani byli swojemu rzemiosłu.

„Zostawiam cię samego, żebyś nic cię nie rozpraszało”, powiedział pewnego popołudnia pod koniec sierpnia Mistrz, zdejmując fartuch. „Dobrze ci idzie. Pracuj, dopóki nie uznasz się za pokonanego. A jeśli utkniesz w martwym punkcie, zawołaj mnie, to przyjdę z pomocą. Ale najpierw muszę ci powiedzieć o dwóch rzeczach: po pierwsze, nie życzę sobie boskiego spojrzenia; po drugie, szukamy tego, czego jeszcze nikt nie znalazł – Boga żywego... A, zapomniałbym: już jesteś malarzem i jestem z ciebie dumny”. Nie czekając na reakcję młodzieńca, cisnął w kął fartuch i wyszedł z pracowni.

Kiedy Mistrz wykonał ostatnie pociągnięcia pędzlem na desce i na płótnie, oba dzieła zyskały całkowitą doskonałość, jakąś niepokojącą genialność w wymiarze ziemskim i zarazem transcendentnym. Jeden i drugi Chrystus, odmienni, ale połączeni więzami pokrewieństwa, objawiali swoje człowieczeństwo i swoją cielesność. W końcowej fazie tworzenia malarz uwidatnił pierwotny, jemu tylko znany cel, polegający na perfekcyjnym wyważeniu ich spojrzeń: Chrystus Eliasza kieruje je ku wnętrzu, kontemplując własny niezgłębiony świat, natomiast Chrystus Mistrza – na zewnątrz, wypatrując tego, co nieskończone i nieosiągalne. Eliasza nie zdziwił fakt, że po ukończeniu obu obrazów Mistrz nie zdecydował się posłużyć żadną z tych twarzy jako wzorcem wizerunku Chrystusa, który siedzi za stołem, łamie chleb i rozdaje go pielgrzymującym do Emaus. „Myślę o czymś innym”, stwierdził, jakby chodziło o rzecz zupełnie normalną. Podjął decyzję, która wprawiła Eliasza w osłupienie i jeszcze bardziej go uszczęśliwiła: zgodnie z panującymi w pracowni obyczajami, tak jak w przypadku każdego wyróżniającego się dzieła któregośkolwiek z uczniów, Mistrz podpisze obraz Eliasza swoim nazwiskiem i wystawi na sprzedaż, a z kolei ten, który on sam namalował na płótnie, opatrzy własnymi inicjałami i podaruje uczniowi jako rekompensatę za trudy współdziałania w tych poszukiwaniach, ale przede wszystkim jako uznanie dla postępów młodego Żyda, który cztery lata wcześniej przyszedł do jego pracowni, dysponując jedynie entuzjazmem, a teraz jest już malarzem gotowym wejść na rynek z dziełem firmowanym przez Mistrza.

Eliasz, zaskoczony i poruszony tym wyróżnieniem, a także nietypowym dla Mistrza gestem – ofiarowaniem uczniowi własnego dzieła – czekał cierpliwie do końca dnia, zajęty uprzątnianiem i myciem pedzli, rozstawianiem sztalug, przygotowywaniem miejsca w pracowni dla płótna, które jutro zajmipregnuje razem z Niemcem Christophem Paudissem, najbardziej w ostatnim czasie faworyzowanym uczniem. Na tym płótnie Mistrz przedstawi nową wersję *Wieczerzy w Emaus*, jako że od paru miesięcy z niewyjaśnionych powodów miał obsesję na punkcie tego obrazu (tak jak owładnięty był obsesją na punkcie młodej Hendrickje Stoffels, dzień po dniu zajmującej terytorium, na którym przez lata królowała pani Dircx).

Kiedy tylko Mistrz oznajmił, że na dzisiaj praca jest skończona, Eliasz popędził Jodenbreestraat, skręcił w Sint Antoniesbreestraat, pełen dumy minął kamienice, gdzie mieszkali inni malarze (Pieter Lastman, Paulus Potter), bardziej sławni od niego, ale malarze tacy jak on, oraz siedzibę marszanda Hendricka Uylenburgha (kiedyś będzie musiał się z nim rozmówić) i poszedł w stronę Waag, zmierzając do domu Mariam Roki. Trzymał w dłoni zwinięte w rulon niewielkie płótno z inicjałami – wydłużone R i malutkie V – które po tak długim czasie niepokojów stało się wieńcem laurowym jego sukcesu, a już niebawem będzie przyczyną niekończących się nieszczęść.

Przeszedł wraz z narzeczoną przez placyk Spui w kierunku Singel, chłonąc podmuchy świeżego powietrza, które zawsze owiewa ten kanał, i opowiedział jej o najnowszych, tak ważnych dla niego wydarzeniach. Mariam, która sprawiała wrażenie bardziej zaniepokojonej niż radosnej, słuchała go w milczeniu, zapewne rozważając możliwe konsekwencje jego postępowania. Przysiedli na jednej z olbrzymich kłód drewna, które niebawem zostaną przeniesione na plac Dam i wykorzystane w konstrukcji jakichś budynków, pospiesznie tam wznoszonych, a Eliasz Ambrosius, wykorzystując gasnące już światło sierpniowego zmierzchu, nie mógł oprzeć się dumie i próżności, gdy rozwijał na środku ulicy małe płótno, swój największy skarb.

Mariam Roca aż się wzdygnęła, gdy zobaczyła twarz ukochanego: to był jej Eliasz Ambrosius, ale jednocześnie wizerunek człowieka, którego chrześcijanie nazywali Mesjaszem. „To przepiękne, Eliasz”, powiedziała. „Ale to herezja”, dodała i poprosiła, by zwinął płótno. „Co z tym zrobisz?” „Na razie przechowam”. „Ukryj to dobrze... Nie posunąłeś się za daleko, Eliasz?” „To tylko portret, Mariam”, odrzekł, próbując zlekceważyć sprawę, i dodał: „To portret namalowany przez Mistrza, podobne mają chacham Ben Izrael i doktor Bueno, przyjaciel twojego ojca”. Pokręciła głową, jakby czemuś zaprzeczwała. „Nie, wiesz dobrze, że to coś znacznie więcej... Co zamierzasz?” Eliasz spojrział na wolno toczące się ciemne wody kanału, które odbijały blask gasnącego dnia w Amsterdamie, w dobrym miejscu, w domu wolności. „Nie wiem. Nie mam pojęcia, jak długo Mistrz mnie zatrzyma w roli ucznia... Wiem tylko, że nie wyobrażam sobie życia jako zwykły impresor, nawet jako właściciel drukarni. Choćbym miał zarabiać na życie, pracując przy prasie drukarskiej i pakując broszury, nie mogę być nikim innym, tylko malarzem”. „Jak długo? Sądziś, że twój sekret nie wyjdzie na jaw? Nie wiesz, że ludzie cię obgadują, bo żyjesz w bliskiej przyjaźni z Mistrzem?” „A nie obgadują Ben Izraela i innych Żydów, którzy są jego serdecznymi przyjaciółmi, razem z nim piją wino i palą liście tytoniowe?” „Oczywiście, że tak... ale mówią o nich co innego. Chcę ci tylko powiedzieć jedno: strzeż się. Sam mówiłeś mi o granicy... Wszak już dawno temu ją przekroczyłeś... Chodźmy, w domu czekają na mnie z kolacją”. Eliasz chciał wziąć Mariam za rękę, ale dziewczyna się odsunęła. W milczeniu wrócili do jej domu i Eliasz Ambrosius zrozumiał, jak bardzo oddalił się od kręgu wyznaczonego mu przez jego religię i jego epokę.

Eliasz ubrany w szarą tunikę, z włosami luźno opadającymi na ramiona, siedział przy stole i obserwował pracę Mistrza. Przez dwa tygodnie młody Żyd i niemiecki uczeń Paudiss zajmowali się gruntownym płótna: najpierw miejsca wskazane przez Mistrza pokrywali ochrą zieloną i brązową, która pośrodku ściemniała aż do czerni, a potem nanosili matową szarość na kolumny, ściany i łuk, nakreślone przez malarza w głębi pomieszczenia, gdzie rozgrywała się scena. Uczniowie pozostawili nietkniętą,

gotową do wypełnienia, centralną i dolną część powierzchni, gdzie Mistrz, odtwarzając wydarzenie w Emaus, właśnie umieścił postać młodego człowieka siedzącego przy stole wieczernika.

Wprawdzie relacje Eliasza Ambrosiusa z Mariam wróciły już do zwyczajowej namiętności, to jednak w tych dniach poświęcił on więcej czasu niż kiedykolwiek wcześniej rozmyślaniom już nie nad decyzją, którą pragnął podjąć, ale nad sposobami realizacji swojego powołania i zachowaniem chwicznej, lecz jakże przyjemnej równowagi, w jakiej upływało jego życie dzięki tajemnicy skrywanej zuchwałostwo. Dopiero w tych dniach pojął, że przygoda, która zrazu miała w sobie więcej kaprysu i zaciekawienia, ryzykownej gry i niewinnego upodobania, z czasem nabrała wymiaru coraz bardziej niebezpiecznego rozgorączkowania, i to w samym centrum wzburzenia wywołanego przez alarmistyczne wieści o wędrówkach po Palestynie Szabetaja Cewiego, dla wielu heretyka, dla innych szaleńca, a Mesjasza dla rosnącej rzeszy pełnych nadziei Hebrajczyków z całego świata, którzy mówili o nadejściach, powrotach do Ziemi Świętej i bliskich apokalipsach.

Nieustannie zbierała się rada rabinacka w Amsterdamie, wciąż mnożyły się sprzeczne opinie. Poruszenie wśród rabinów i przywódców wspólnoty wynikało z niebezpieczeństwa, na jakie Cewi swoją odnoszącą sukcesy kampanią narażał pomyślność tutejszej społeczności żydowskiej. Tak jak tysiąc sześćset lat wcześniej, nadejście domniemanego Mesjasza traktowane było z obawą przez wszelkie władze – bez względu na wyznanie: królów, książąt, emirów i sultanów – ponieważ kaznodziejskie nauki pociągały za sobą ferment, naruszenie status quo, rewoltę, chaos. Podziały wśród członków Maamadu odzwierciedlały dwa antagonistyczne stanowiska we wspólnocie: zachowanie rozsądku i utrzymanie osiągniętego dobrobytu oraz, przeciwnie, porzucenie ich na rzecz nakazów Zbawiciela. Być może tylko z wyjątkiem upartego Ben Izraela, który głosił na cztery strony świata fałszerstwo tego opętanego przez demona człowieka zesłanego na zgubę judaizmu, wszyscy z lękiem i niepokojem zadawali sobie pytanie: a jeśli Cewi rzeczywiście jest Pomazańcem, a oni odwracają się od niego, tak jak przed wiekami odwrócili się od Nazarejczyka? To dramatyczne wewnętrzne napięcie zrodzone na zgromadzeniach rady wywołało między obrońcami i oszczercami Szabetaja gwałtowne spory, które kończyły się oskarżeniami rzucanymi w stronę pierwszego lepszego przeciwnika. Na Amsterdam spadła lawina niduj i chem, mnożyły się ekskomuniki, wyroki ogłaszające śmierć cywilną, rozmaite kary i wezwania do pokuty za jakikolwiek czyn niezgodny z ortodoksją. Pisma młodego Barucha, syna Miguela de Espinoza, były skrupulatnie sprawdzane przez mędrców i już pojawiły się pogłoski o przykładowej karze dla hereetyckiego myśliciela, który osmiesił się podważyć najświętsze zasady żydowskiej wiary i boskie pocho-dzenie Księgi. Ujawnienie postępów Eliasza Ambrosiusa w samym środku tej eksplozji gniewu, za-wziętości, strachu i poczucia niepewności podziałałoby na wspólnotę jak płachta na byka. Niemal jak zachęta do represji.

Zatopiony w rozmyślaniach młodzieniec wrócił do rzeczywistości pracowni, kiedy usłyszał stukanie do drzwi. Dobrze znał obyczaje tego domu, więc domyślił się, że musiała to być jakaś bliska osoba (albo ulubieniec: mały Titus, pracowita Hendrickje Stoffels), której Mistrz udzielił przywileju przeszkadzania mu w trakcie pracy. Dlatego też nie zdziwił się, kiedy zobaczył w drzwiach – kapelus w jednej dłoni, faszka wina w drugiej, u boku szpada, pod pachą kartonowa teczka – eleganckiego kawalera Jana Sixa, jednego z wyróżnionych przez Mistrza gości. Zaraz jednak serce zabiło mu mocniej, kiedy za plecami rajcy i poety ujrzał twarz, której nigdy by się nie spodziewał w tym miejscu: twarz Davide da Mantova.

Wyjazd włoskiego Żyda do ojczyzny ostudził fascynację Eliasza jego osobą. Poza tym młodzieniec był przekonany, że zbliżenie się do człowieka zwanego też Salomem Italią byłoby nieroztropnym gestem, zuchwałością, a i tak nie przyniosłoby mu żadnej korzyści, skoro wiedział już o nim wystarczająco dużo, co osłabiło pragnienie poznania jego motywacji. I oto niby duch z zaświatów malarz zjawia się w pracowni, w której Eliaz odgrywa rolę Chrystusa z Emaus.

Kolejnymi uczuciami, jakie ogarnęły młodzieńca na widok Saloma Italii, były gniew i frustracja, kiedy zobaczył, jak Mistrz, powitawszy jak zawsze wylewnie Jana Sixa, uściśnął dłoń drugiego gościa, ciesząc się, jak się wyraził, z jego powrotu do miasta, co dowodziło, że znali się już od dawna, a może

byli nawet na przyjacielskiej stopie. Wstrząs był trzecim uczuciem, jakiego doznał Eliasz. „Davide”, powiedział Mistrz, wycierając ręce w fartuch, „pragnę ci przedstawić twojego krajana i kolegę, Eliasza Ambrosiusa Montalba... i uważaj, być może stanie się twoim rywalem”.

Nawet ta pochwała, będąca pierwszym publicznym wyrazem uznania dla pracy Eliasza, nie ukoiliła stanu jego ducha. Zaraz jednak młodzieniec doszedł do wniosku, iż nie ma powodu do niepokoju, przeciwnie, to spotkanie może okazać się dobroczynne. Skoro Mistrz znał Saloma Italię od dawna (czy już wtedy, gdy pokazał mu zwój Izaaka Pinto, dwa, trzy lata wcześniej?) i nie zdradził jego tożsamości nawet jemu, ukrywającemu taką samą tajemnicę, dowiódł swojej dyskrecji w wystarczającym stopniu, by Eliasz mógł być pewny, że pozostanie dla wszystkich służącym, jednym z wielu Żydów, z którymi malarz utrzymuje kontakty.

Jan Six otworzył flaszkę, a Eliasz ruszył skwapliwie po cztery czyste kieliszki, jak mu nakazał patron. „Z tych weneckich”, dodał, kiedy Eliasz stał już w drzwiach. Gdy trzymając cztery kryształowe kieliszki, wrócił do pracowni, zorientował się, że Mistrz życzy sobie jego obecności. Postawił więc kieliszki na niskim stoliku obok flaszki (toskańskie wino, z najlepszych winnic Artimino, zaznaczył Davide da Mantova) i wytyczył słuch, by śledzić rozmowę na temat ilustracji, które mistrz obiecał swojemu przyjacielowi Janowi Sixowi do jego dramatu *Medea*, już przygotowanego do druku. Salom Italia, światowiec, elegancki i rozmowny, podsunął kilka pomysłów i obiecał, że przyniesie Mistrzowi teczkę rysunków, które niedawno nabył w Wenecji, reprodukcji klasycznych rycin.

Eliasz Ambrosius stał obok i nie mógł oderwać wzroku od Żyda, który beztrzesko gawędził i popijał wino. W pewnej chwili, co było nie do uniknięcia, rozmowa zesłała na niedokończony jeszcze obraz Mistrza rozłożony na sztalugach i malarz wyjaśnił Włochowi, dlaczego znów podjął motyw, nad którym już wcześniej pracował. „Ale skoro przedstawiłem ci twojego kolegę”, wtrącił, „pokażę ci, co on potrafi. Nie myśl sobie, że jesteś jedynym Żydem, który dobrze maluje”, dodał i ściągnął ze stojącej w kącie sztalugi poplamione płótno skrywające deskę z obrazem Eliasza. Zakłopotanie młodzieńca brało się z tego, że scena rozgrywała się ponad jego głową, jakby on sam był nieobecny. Szybko jednak zapanował nad treścią i teraz czekał niecierpliwie na werdykt drugiego malarza, ale ubiegł go Six. „Twój uczeń ma talent...”, usłyszał Eliasz i zwrócił się w stronę Włocha, wyczekując teraz jego opinii. „Ma talent i ma jaja”, zawyrokował tamten i po raz pierwszy odezwał się do młodego człowieka. „To piękny obraz, ale zarazem niebezpieczny”. „Tak jak ilustrowany zwój królowej Estery”, odparł Eliasz i aż sam się zdziwił swoim zuchwalstwem oraz szybką ripostą. Włoch uśmiechnął się. Jan Six przytaknął. Tym razem, wbrew swoim zwyczajom, Mistrz zachował milczenie, delektując się kontrowersją Izraelitów. „Nawet herezja ma różne stopnie, przyjacielu”, orzekł Salom Italia, „moja jest zuchwalstwem, twoja zaś atakiem frontalnym: możesz się długo tłumaczyć, że to autoportret, ale nasi podejrzliwi rodacy oświadczą, że namalowałeś idola, najbardziej zakazanego ze wszystkich, idola adorowanego we wszystkich kościołach katolickich”. „A ja, gdy wydadzą ten werdykt, zapytam ich, który z nich widział tego herezyka, który z nich może przysiąc, że to był fałszywy mesjasz... a jeśli przypomina tę twarz namalowaną na desce, to dlatego, że był Żydem, tak jak ja”. I kończąc, odwrócił się do Mistrza. „A że był Żydem, co do tego nie ma wątpliwości”. Salom Italia uniósł kieliszek w stronę Eliasza, ten zaś stuknął się z nim z największą ostrożnością, której wymagają drogie weneckie kryształy (prezent dla Mistrza od Davide da Mantova?), i wypił wino. „Nie wiem, czy wiesz, ale jest w Amsterdamie kilku przechrztów, którzy zajmują się sztuką”, ciągnął Salom Italia, „i także pewien Żyd, ale jako malarz uznawany jest za tak miernego, że nawet on sam nie traktuje się poważnie”. „O przechrztach słyszałem, o tamtym nie... ale nawet jeśli nie jest dobry, dla mnie ważne jest to, że maluje... i że pan też maluje”. „Jestem tylko amatorem... A widząc twoje dzieło, chylę czoło... Wiesz, ilu tutejszych malarzy dałoby sobie rękę uciąć, gdyby choć jeden ich obraz został podpisany przez twojego mistrza...? Ja byłbym pierwszy... gdybym chciał być malarzem. Ale na tym polega twój problem, przyjacielu: właśnie na tym”. Wskazał deskę z podobizną Eliasza. „Jeśli to nie jest tylko jeden z cudów, które czasem się zdarzają, i jeśli potrafisz namalować inne, równie dobre dzieła, nie będziesz mógł pozostać w cieniu. Ktoś nada ci rozgłos albo twoja próżność okaże się silniejsza od strachu i sam się zdemaskujesz”. Eliasz spojrzął na Mistrza, szukając w nim oparcia dla osądzenia tych słów, które niewątpliwie miały posmak prawdy. „Może ich na-

malować znacznie więcej”, zawyrokował Mistrz i Eliasz poczuł się w tym momencie wyzwolony, nie wiedział od czego, ale tak czy owak wyzwolony. „A możemy zobaczyć też inne dzieła?”, wtrącił się Jan Six. „W tej chwili to niemożliwe”, odpowiedział Eliasz, żałując, że odniósł do domu teczkę z rysunkami, swoje małe płótna i zapisany kajet, które teraz trzymał pod kluczem w szufladzie biurka oddziedziczonego po dziadku. „A pan jakie ma plany, panie Da Mantova?”, zapytał Mistrz, i Eliasz znów zaczął przysłuchiwać się rozmowie. Zauważył, że Włoch, dotąd tak pewny siebie i tak uszczypliwy, tym razem się nie uśmiechnął. Odstawił swój kieliszek do połowy wypełniony arystokratycznym winem z Artimino (z tamtejszych winnic, jak wcześniej wspomniał, pochodziły trunki składowane w papieskich piwnicach) i po chwili odpowiedział: „Obym miał taki talent, ale go nie mam, a to zmienia postać rzeczy... Gdyby Błogosławiony przepełnił mnie taką światłością, nie odrzuciłbym jej. Skoro nie odrzucam bladej poświaty, czy sądzicie, że zamknąłbym podwoje przed tym blaskiem...? Mój przyjacielu”, zwrócił się do Eliasza, „ludzie ci nie przebaczą. Historia bowiem uczy, że ludzie bardziej cieszy wymierzanie kary niż aprobatą, zadawanie bólu niż kojenie cierpienia innych, oskarżanie niż zrozumienie... tym bardziej gdy dysponują jakąś władzą. Ale Bóg jest inny: jest wcieleniem miłosierdzia. A ty, podobnie jak ja, masz problem z Bogiem, nie z rabinami... Bóg zaś, pamiętaj o tym, jest także w nas, przede wszystkim w nas”, zaznaczył, po czym mówił dalej: „Dlatego też przyjechałem, żeby zlikwidować swoje interesy w Amsterdamie i zabrać żonę. Ponieważ być może zjawił się Mesjasz. Nie mam pewności, nikt jej nie ma, na przekór licznym znakom, które potwierdzają jego nadejście. Mimo zwątpienia opowiadam się za Mesjaszem i jemu ofiaruję swój majątek i umysł. Jeśli się omył i on okaże się szalbierzem, wtenczas Przenajświętszy, błogosławiony niech będzie Pan, ten, który jest we mnie, wiedzieć będzie, żem uczynił to z otwartym sercem, tak jak On pragnął, byśmy przyjęli jego Wyśłańca. A jeśli to prawdziwy Mesjasz, moje miejsce jest przy nim. Mniemam, że my, synowie Izraela, nie powinniśmy ryzykować omyłki i odwracać się od tego, kto może się okazać naszym zbawcą”.

Z każdym dniem narastało wrzenie grożące eksplozją. To, co zrodziło się jako niepokój, przybierało coraz bardziej alarmistyczne wymiary i już po paru miesiącach żydowska wspólnota w Amsterdamie żyła w stanie wojny. Kilku najzamożniejszych członków Nação, z majątnym Abrahamem Pereirą na czele, postanowiło zlikwidować swoje interesy, jak to zrobił Davide da Mantova, i ruszyć w pielgrzymkę przez jałowe ziemie Palestyny śladami domniemanego Mesjasza. Najbardziej gorliwi zwolennicy nadejścia całymi godzinami modlili się w synagodze, oddawali rytualnym ablucjom i postom nieprzewidzianym w obrzędowym kalendarzu, a niektórzy odprawiali pokutę, kładąc się nago na śniegu, który tego roku pojawił się wyjątkowo wcześniej (kolejny znak kresu czasu, mawiali), a nawet, ku przerażeniu ludzi pokroju Menasze Ben Izraela, w religijnej żarliwości posuwali się do samobiczowania.

Również w domu rodziny Montalbo de Ávila doszło do ostrego sporu między dwiema frakcjami: pierwszą reprezentował młody Amos, który krążył po mieście, zapowiadając rychły koniec czasów, i aż palił się do wyjazdu do Palestyny wraz z grupą Hebrajczyków ze Wschodu, z polskim rabinem Breslauem na czele, natomiast wyrazicielem drugiej był Abraham Montalbo, ojciec, który wzywał do umiaru, ponieważ wiadomości o przemowach i czynach Szabetaja Cewiego świadczyły według niego o tym, że tamten jest nie tyle ziemskim wysłannikiem Przenajświętszego, ile obłąkańcem głoszącym nauki, już to nawet przewidywalne, jak zapewnienia, iż Jahwe w trakcie licznych wspólnych dysput ogłosił go królem żydowskim i nadał mu moc przebaczenia wszelkich grzechów, już to całkiem niedorzeczne, jak obietnica, iż po zebraniu pospołu plemion zdobędzie turecką koronę, albo zapowiedź, że nad brzegami rzeki Sambation poślubi Rebeke, córkę Mojżesza, która zmarła w wieku trzynastu lat, lecz zostanie przezeń wskrzeszona. Z kolei Eliasz wciąż gubił się w domysłach, w każdym razie w domu starał się trzymać z daleka od sporu i jedynie żałował, że nie ma już wśród nich dziadka Beniamina, który zawsze był dla rodziny opoką, a jego roztropne rady bardzo pomogłyby w okolicznościach, kiedy ważyły się losy niezliczonych dusz.

Pewnego listopadowego popołudnia, gdy pierwszy statek podjęty przez Żydów wypłynął z ponad setką pasażerów na pokładzie z Amsterdamu ku palestyńskim wybrzeżom, młody Eliasz razem ze

swoim dawnych chachamem udał się do portu. W Nação było powszechnie wiadome, że Ben Izrael, najbardziej zagorzały krytyk Cewiego, poczynił w ciągu ostatnich paru tygodni znaczne postępy w rozmowach z władzami angielskimi, z którymi niebawem miał przedyskutować w Londynie sprawę ponownego przyjęcia Żydów, bezpowrotnie wygnanych z Wysp Brytyjskich trzy i pół stulecia temu.

Port amsterdamski, gdzie zawsze trwał gorączkowy ruch, tego jesiennego dnia przypominał rozszalały kataklizm. Do codziennej krzątania dokerów, marynarzy, kupców, prostytutek, celników, żebraków, sprzedawców i nabywców weksli, złodziejasków, handlarzy tanim tytoniem i fałszywymi prawami dołączyły bardziej pstrokate niż zazwyczaj tłumy ludzi, a wśród nich Żydzi wyruszający do Palestyny (wielu ubranych tak, jakby już byli w Kanaanie), tragarze dźwigający ich kufrы, walizy i tobołki, a także mężczyźni, kobiety i dzieci, którzy odprowadzali wyruszających w rejs, i pospolicie ciekawscy, zwabieni widowiskiem, o którym było głośno, odkąd ogłoszono sprzedaż miejsc na geneńskie brygantynie, gotowej zawieźć ich wszystkich na spotkanie z człowiekiem mieniącym się Mesjaszem.

Chacham Ben Izrael i jego dawny uczeń, siedząc na skrzyniach, które niedawno przybyły z Indonezji, usłyszeli dzwon zapowiadający rychłe wypłynięcie z portu brygantyny i zauważyli, jak nagle zakotłowało się ludzkie mrowie. „Nawet w najgorszych koszmarach sennych, a miałem ich bez liku, nie mógłbym wyobrazić sobie czegoś podobnego”, oświadczył profesor i dodał: „Tyle trudu, by dotrzeć do Amsterdamu i znaleźć tu dom, tylko po to, aby ci fanatycy cisnęli to wszystko za burtę. Przymus uwierzenia w coś to zaczyn nieszczyścia. A będzie ono wielkie... Patrz, idzie tu Abraham Pereira z rodziną. Na szczęście jego brat Mosze zostaje i Akademia nadal będzie otwarta... dopóki Abraham nie nakáže mu wyjazdu”. Eliasz obserwował grupkę liczego potomstwa bogatego kupca, jednego z tych, którzy przyczynili się do cudu sefardyjskiego dobrobytu w Amsterdamie. „Co pan robi, chachamie, kiedy zamkną Akademię?” „Nie mam zamiaru na to czekać... za dwa tygodnie wyjeżdżam do Londynu. To moja misja wobec Przenajświętszego, błogosławiony niech będzie Pan, i wobec Izraela: otworzyć bramę przed prawdziwym Mesjaszem, a nie przed obłąkanym szalbierzem i heretykiem jak ten Cewi”.

Gdy dzwon dał sygnał do odpłynięcia, obaj wyszli z portu i podążyli w stronę Waag. Usiedli w tawernie przy Oudezijds Voorburgwal, tej samej, w której parę lat wcześniej Eliasz był świadkiem spotkania chachama z Mistrzem i upewnił się, że Ben Izrael może być jego przepustką do pracowni malarza. Gdy byli już okopani za stołem, trzymając w dłoniach kieliszki z grubego zielonego szkła napełnione mocnym portugalskim winem, Eliasz miał wreszcie okazję podzielić się ze swoim nauczycielem nurtującym go niepokojem. Tydzień wcześniej, po ukończeniu pracy nad *Wieczerzą w Emaus*, Mistrz poruszył temat, który mocno przygnębił Eliasza: jego przyszłości w pracowni. Sytuacja materialna malarza znów się pogorszyła, miał niespłacone długi na poczet wykupu domu i groziło mu odszkodowanie dla zwolnionej przezeń pani Dircx, która rozpowiadała po mieście, że nie dotrzymał obietnicy małżeństwa. Stałych dochodów zapewnianych przez uczniów nie rekompensował pożytek płynący z obecności młodego Żyda, który i tak już dysponował wystarczającymi umiejętnościami, aby pójść własną drogą, jeśli tylko, jak sugerował mu Mistrz, uzyska zgodę Gildii Świętego Łukasza, co było warunkiem uprawiania tego rzemiosła. Eliasz rozumiał argumenty Mistrza, tyle że tamten w desperacji i zdenerwowaniu zdawał się nie pamiętać o racjach młodzieńca, który nie mógł ujawnić swoich artystycznych aspiracji, tym bardziej w czasach tak burzliwych dla sefardyjskiej wspólnoty. „Mam już tytuł mistrza drukarskiego”, komentował Eliasz dawnemu preceptorowi, „i chociaż nie zarobię dużo, mogę nadal pracować z ojcem albo nawet poszukać nowego patrona. Zarabiam dosyć, żeby poślubić Mariam, a już przyszedł na to czas”. „Też tak myślę”, potwierdził chacham i poprosił o napełnienie kieliszka. „Czy jednak pragnę takiego życia?” „Mam wrażenie, że nie, sądząc ze sposobu, w jaki mnie o to pytasz albo zapytujesz sam siebie. Ale to twoje życie, jak zawsze ci to powtarzam”. „Tylko pan może mi pomóc, chachamie. Albo przynajmniej mnie wysłuchać... Proszę to rozważyć razem ze mną. Proszę pomyśleć, czy po tym, jak spędziłem cztery lata u boku Mistrza i tylekroć byłem świadkiem cudu, gdy osiągał on wręcz boską doskonałość, po rozmowach z panem, z Anso, z Janem Sixem, z Pinto, z marszandem Hendrickiem Uylenburghiem, z malarzem Steenem i architektem Vingboonsem, a wszak wielu z nich to najbardziej wykształceni i genialni ludzie w tym mieście; po tym, jak mogłem kształcić się u uczniów, którzy teraz osiągnęli sukces

jako malarze; po tym, jak poznałem sekrety Rafaela i Leonarda, sztuczki Flamanda Rubensa i sposób, w jaki Caravaggio osiągnął wielkość; po tym, jak przecierpiałem własną ignorancję, żyłem na skraj ubóstwa, aby co miesiąc płacić Mistrzowi żądane przez niego floreny, ale także po tym, jak dane mi było go słuchać, gdy mówił o sztuce, o życiu, o wolności, o władzy i pieniądzach, jak czułem, że moja dłoń i pędzel znajdują jego aprobatę, jak odkryłem, że wszystko jest w oczach, a czasem poza nimi, jak zbliżyłem się do tego misterium, którego inni nawet nie potrafili przeczuć... Drogi chachamie, po tym, jak znalazłem się w cudownym świecie, gdzie istnieje moc tworzenia... po tym... ale dobrze pan wie, jak żyłem obarczony tajemnicą i strachem, jak nadszedł dzień, gdy mogłem pracować razem z Mistrzem, a on sam obdarzył mnie zaszczytnym tytułem malarza... Czy po tym wszystkim, chachamie, mam zrezygnować z tego wspaniałego doświadczenia i zestarzeć się, drukując broszury i kwitariusze? Owszem, stanę się przyzwoitym człowiekiem, zdolnym utrzymać z pensji rodzinę, ale też człowiekiem niespełnionym, osieroconym, niezdolnym zrealizować marzenia o stworzeniu dzieła, do którego, wybac moją próżność, chachamie, Błogosławiony powołał mnie do życia”.

Były rabin wypił do końca wino i zapatrzył się na ulicę, jakby stamtąd, niczym od wieków wypatrywany prorok Elias, miała nadejść odpowiedź, której po swojej egzaltowanej oracji oczekiwał jego dawny niesforny uczeń. Myśli jednak znikąd nie przychodziły i Ben Izrael wyciągnął fajkę sporządzoną z dębowego drewna z Nowego Świata, w której lubił palić tytoniowe liście i chłonąć ich aromat. Dopiero wówczas zdecydował się dać odpowiedź. „Sądząc po twoich porywczych słowach, oczekujesz, że powiem ci to, co ty chcesz usłyszeć... Niewiele jednak mogę ci powiedzieć, mój synu... Przypomnę ci tylko, że istnieje pełen wachlarz ludzkich poczynań, ale żydowska sentencja zaleca raczej powściągliwość i umiar niż abstynencję. Jeśli tak będziesz postępował, dobrze uczynisz... Przez ponad cztery tysiące lat my, Żydzi, stawialiśmy sobie to samo pytanie, które teraz zadajesz... Dlaczego jesteście na tej ziemi? Dawaliśmy różne odpowiedzi. To, że zostaliśmy stworzeni na obraz i podobieństwo Boga, nadało nam przywilej bycia istotami ludzkimi, a dzięki Izajaszowi i przede wszystkim Ezechielowi także poczucie odpowiedzialności indywidualnej, samej esencji naszej religii, naszej relacji z Przenajświętszym, błogosławiony niech będzie Pan... Jeden z naszych przodków napisał Księgę Hioba, transcendentny traktat na temat zła, tak tajemniczy i wnikliwy, że nawet greccy tragicy i filozofowie nie zbliżyli się do jego esencji... Hiob wyraża inny aspekt twojego pytania, znacznie bardziej bolesny i przytłaczający, kiedy jako człowiek nieugiętej wiary chce, by niebiosa mu powiedziały, dlaczego Bóg zdolny jest czynić nam najstraszniejsze rzeczy, On, który jest dobrocią... I Hiob otrzymał odpowiedź: «Bojaźń Boża – zaiste mądrością, roztropnością zaś – zła unikanie». Pamiętasz?”. Mędrzec odłożył na stół fajkę i spojrzął młodzieńcowi w oczy. „Przyjmij ten werset jako odpowiedź. W niej jest wszystko: zachowaj swoją mądrość i zawsze unikaj zła. Twoje życie jest twoim życiem... a nie przeżyć go znaczy umrzeć za życia, uprzędzić śmierć”.

Wciąż szukając ułudnego schronienia pod daszkiem i ścianą budki śluzowej przy placu Sint Antoniesbreestraat, gdy raz jeszcze, tkwiąc w śniegu po kolana, z trudem znosił tnące jak brzytwa porywy wilgotnego wiatru, który szukając ujęcia do Morza Północnego, hulał nad Zwanenburgwal, smagał mu skórę na policzkach i chłostał usta, Elias Ambrosius, nie bacząc na nieprzemowny fetor, który bryza wzniewiała z ciemnych wód kanału, rozmyślał o swojej przyszłości. Podobnie jak pięć lat wcześniej, ani na moment nie tracił z oczu domu po drugiej stronie Jodenbreestraat, Szerokiej Ulicy Żydowskiej, wpatrzonej w drewniane, pomalowane na zielono drzwi, przez które tyle razy przechodził, odkąd udało mu się zmiękczyć serce Mistrza i przez wąziutką szczelinę wśliznąć się do tego świata, który miał odmienić jego życie.

Towarzyszyło mu poczucie satysfakcji, ale i bolesnej nostalgii, ponieważ po raz pierwszy miał przekroczyć ten próg nie jako petent, sprzątaczy czy uczeń, ale jako osoba bliska Mistrzowi. Przypomnieniem jego poprzedniego statusu było trzy i pół florena w kieszeni, które od miesiąca winny był malarzowi, suma zawrotna jak na jego możliwości finansowe, ale z perspektywy tego, co osiągnął, teraz wydawała mu się żałosna i śmieszna.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, drzwi otworzyła mu pełna werwy Hendrickje Stoffels, pani domu i namiętności Mistrza, i jak zawsze powitała go uśmiechem, znała wszakże zażyłość młodego ucznia z Mistrzem i małym Titusem, którego pierwsze kroki śledził. Siedząc w kuchni, Eliasz popijał gorący napar i z przyzwyczajenia spojrzął na skład torfu i drewna, ofiarowując się, że zawiadomi dostawcę opału z Nieuwemarkt.

Za zgodą dziewczyny wszedł na schody prowadzące do pracowni Mistrza i ze swojską melancholią przypatrywał się obrazom, popiersiom i sprzętom. Jak w czasach, gdy nosił szcztokę i kubeł, zapukał trzy razy do drzwi pracowni i usłyszał zwyczajową odpowiedź Mistrza – „Wejdz, chłopcze” – słowa, które setki razy były wypowiediane podczas lat jego służby, nauki i zażyłości.

Mając po prawej ręce *Wieczerzę w Emaus*, malarz siedział przed deską, nad którą pracował od tygodnia; czekał, aż płótno wyschnie, aby przed położeniem werniksu, na co się jednak zdecydował, wprowadzić ostatnie poprawki. Obraz na desce – tym razem to nie Eliasz podjął się impregnacji i przygotowania materiału – miał być kontynuacją motywu kąpiącej się Zuzanny i przedstawiać chwilę, w której biblijna heroina jest molestowana przez dwóch starców gotowych oskarżyć ją o cudzołóstwo, jeśli odmówi im swoich wdzięków. Postaci, tylko naszkicowane, oblane są światłem, które pada z prawego górnego rogu i skierowane jest ku dolnej części obrazu, gdzie w centrum znajduje się postać Zuzanny. Ukończone już tło utrzymane jest w jaskiniowym mroku, a dalej głęboki brąz przechodzi delikatnie w zielonkawą szarość – w lewym górnym rogu, w którym widać zwalistą budowlę zwieńczoną kopułą, bardziej fantasmagoryczną niż rzeczywistą.

Eliasz powitał Mistrza, a ten mruknął coś w odpowiedzi, dodając więcej czerwonych plam do czegoś, co, jak domyślił się młodzieniec, będzie szatą Zuzanny, nim ją zdejmie do kąpieli. „Uważasz, że Zuzanna powinna być naga, czy też mam ją okryć gieźlem?”, zapytał Mistrz i nawet się nie odwrócił, wypływając w kąt pracowni karmelizowany cukier, który trzymał w ustach. Eliasz zastanawiał się przez chwilę. „Lepiej ją zakryć. W scenie pojawia się dwóch mężczyzn”, powiedział, gdy tymczasem Mistrz odłożył paletę z pędzlem na mały stolek, na którym trzymał farby. „Masz rację. Hendrickje też tak uważa... Na Boga, usiądźże wreszcie”.

Eliasz przysiadł na zydlu, nie ośmieliwszy się go przesunąć. Wiedział, że nawet kiedy Mistrz pozwala wejść do pracowni, poświęca mu tylko krótką chwilę. „Przyszedłem, żeby oddać pieniądze, które jestem panu winien, Mistrzu”, powiedział, sięgając do kieszeni. Malarz się uśmiechnął. „Nie szukaj, nic nie jesteś mi winien... Potraktuj to jako premię za pozowanie do *Wieczerzy* albo zapłatę za cierpliwość... z jaką musiałeś znosić moje humory przez te wszystkie lata”. „Proszę tak nie mówić, Mistrzu... nigdy się panu nie odplacę...” „Już dobrze”, przerwał mu malarz, „zapomnij o przeklętych pieniądzech”. „Dziękuję, Mistrzu”. „Moich problemów, chłopcze, nie rozwiążą trzy floreny. To dlatego maluję tę Zuzannę, na którą mam już kupca, a odstawiłem *Wieczerzę*, bo nadal nie ma chętnych... Dwóch potencjalnych nabywców stwierdziło, że mój Mesjasz jest nazbyt cielesny. Oczywiście jeden i drugi to katolicy”. „A więc widzieli obraz”. „Tak, ale ja nie widzę florenów, którymi mógłbym spłacić długi za dom. Na Boga, jak długo jeszcze przyjdzie mi pracować pod presją? Na szczęście Jan Six pożyczył sumę, która pozwoli mi odetchnąć na krótko. Zaliczka na poczet akwaforty, która zilustruje jego *Medeę*”. „Dobrze mieć takich przyjaciół”. „Tak, na pewno... Co w końcu postanowiłeś? Pojedziesz do Palestyny, do Mesjasza, jak Salom Italia?”, zapytał z szelmowskim uśmiechem. „Nie, nie pojedę, ale wciąż myślę i myślę, i nie wiem, Mistrzu, co mam robić”. Malarz, już bez uśmiechu, odwrócił się w stronę Eliasza. „Coś ci powiem. Czasem wydaje mi się, że nie powinienem być przyjmować cię do pracowni. Byłeś zbyt młody, żeby zdawać sobie sprawę z tego, co robisz, ale ja tak, bo wiedziałem, jakie czekają cię kłopoty. To dlatego starałem się wyperswadować ci ten pomysł, uswiadomić zagrożenia i skutki tej decyzji... Ale ty się zawzięłeś, bo masz silną wolę, jak twój zmarły dziadek Benjamin. Tak silną, że nauczyłeś się malować, w co aż trudno było mi uwierzyć, kiedy oglądałem twoje pierwsze rysunki. Teraz już nie ma odwrotu: jesteś zarażony do szpiku kości, a na tę chorobę nie ma lekarstwa. A może i jest: malowanie”. „Pan odmienił moje życie, Mistrzu. Nie tylko dlatego, że nauczył mnie malować. Mój dziadek, chacham Ben Izrael i pan byliście tym, co najlepsze w moim życiu, ponieważ wszyscy trzej, każdy na swój spo-

sób, nauczyliście mnie, że aby być wolnym człowiekiem, nie wystarczy żyć w miejscu, gdzie panuje wolność. Nauczyliście mnie, że bycie wolnym oznacza codzienną walkę z wszelkimi potęgami, z wszelkimi obawami. To miałem na myśli, kiedy dziękowałem panu za to, co pan dla mnie zrobił przez te lata”. Malarz, wyraźnie zdziwiony słowami młodzieńca, słuchał go w milczeniu, jakby zapomniał o czekającej pracy. Gdy jednak Eliaszb wstał, wydawało się, że Mistrz powrócił do rzeczywistości. „Nie będę już przeszkadzał. Wie pan, czego tylko żałuję? Że nie wiem, czy kiedykolwiek będę mógł znów z panem malować, Mistrzu. Wszystko inne to gratyfikacja. Do widzenia. W najbliższym czasie odwiedzę pana ponownie i napalę w piecyku”. Mistrz podniósł się ze stołka i prawą dłonią dwukrotnie poklepał młodzieńca po policzku. „Ruszał z Bogiem, chłopcze. Niech ci szczęście sprzyja”.

Czający się od rana nad miastem śnieg zaczął padać w chwili, gdy Eliaszb wyszedł na Jodenbreestraat, która jak zwykle przypominała mu biały kobierzec rozłożony u jego stóp. Ruszył Sint Antoniesbreestraat, minął Zuiderkerk z dzwonami pogrążonymi w lodowej ciszy i podążył w stronę wielkiej esplanady Waag, gdzie najbardziej wytrwali albo zdesperowani kupcy chronili się w swoich straganach przed nawalą białych płatków. Umysł młodzieńca, odprężony rozmową z Mistrzem, znalazł wreszcie część odpowiedzi, których uparczywie poszukiwał w ostatnich tygodniach, choć w istocie te pytania niepokoiły go już od kilku lat. Powzięte decyzje, przełomowe w jego życiu, czekały na zrozumienie lub też odmowę Mariam Roki, ponieważ mogły mieć wpływ na jej życie, jeśli zdecyduje się wytrwać przy nim w całej tej zawierusze, w której on nie zamierzał złożyć broni.

Stojąc przed drzwiami domu narzeczonej, Eliaszb wciąż się zastanawiał, czy jego zamiary są słuszne. Obarczenie innych własnymi decyzjami było przejawem egoizmu. Ale w sumie czyż miłość nie polega na oddaniu i zrozumieniu, na poświęceniu i wzajemnym wsparciu? Tak czy inaczej jedynym rozwiązaniem było wyłożenie kart na stół, aby sama Mariam, bez nacisków, całkowicie dobrowolnie, dokonała wyboru. Z tą myślą ujął mosiężną kołatkę i zastukał. Już po chwili drzwi otworzyła mu sama Mariam, a Eliaszb Ambrosius, zobaczywszy jej przerażoną twarz, już za chwilę miał poznać przyczynę tego panicznego strachu, usłyszeć wiadomość, która całkowicie odmieni jego losy: „Eliaszku, na Boga, biegnij do domu... Brat Amos znalazł twoje rysunki i oskarżył cię przed Maamadem o herezję”.

Gdy już niektórzy zapomnieli, czym jest strach, z jaką siłą przenika człowieka na wskroś, strach powrócił niczym potężna lawina, która zdolna jest pogrzebać wszystko, co napotka na swej drodze. Wiele stuleci trwała ugoda, niewolna wprawdzie od napięć, ale jednak ugoda, i synowie Izraela uważali, że w Sefarad, żyjąc obok kalifów Al-Andalus i srogich iberyjskich książąt, znaleźli coś na kształt raj, który można wymarzyć sobie na ziemi. Hiszpańskie miasta i osady zaroły się od sławnych medyków, filozofów, kabalistów, mistrzowskich złotników, kupców i oczywiście mądrych rabinów. Jednak rozgłos i pomyślność stały się przyczyną zguby wspólnoty: była ona zbyt majątna, a władza nigdy nie ma dość pieniędzy. Tym samym wraz z dominacją katolicyzmu powrócił strach, a żeby go uczynić wszechwładnym i nieodwracalnym – także tortury i śmierć lub dotkliwy exodus, gdy pozwalano im zabrać tylko to, co mieli na sobie.

Już na kilka lat przed królewską i katolicką decyzją i ogłoszeniem edyktu nakazującego wygnanie z Sefarad Żydzi przeżywali pełen napięcia okres, słusznie obawiając się procesów inkwizycji, które ogarnęły Hiszpanię, gdy dopełniła się rekonkwista i zwyciężyła wiara katolicka. Dziadek Beniamin opowiadał Eliaszowi, że tylko w pierwszych ośmiu latach funkcjonowania tego trybunału ponad siedmiuset Żydów, w tym jego dwaj dziadkowie, kiedy jeszcze nie byli niczyimi dziadkami, zostało skazanych na śmierć na stosie (kiedy młodzieniec słuchał opowieści o tej kaźni, przypominał sobie słowa chachama Ben Izraela, który nieraz był świadkiem tych wydarzeń, że podczas owych makabrycznych widowisk – Eliaszb nie mógł uwolnić się od tego obrazu – krew skazańców przez parę minut wrzała, nim stracili przytomność i umierali zczadzeni dymem). Opowiadał mu także, iż po wydaniu w 1492 dekrety o wygnaniu („I po skonfiskowaniu całego naszego mienia”, powtarzał z naciskiem starzec) wiele tysięcy konwertytów, prawdziwych i udawanych, spotkały rozmaite kary. Wystarczyło jakiegokolwiek

oskarżenie wniesione przed Świętym Oficjum albo przez Święte Oficjum, by na placu publicznym odbyło się autostrada, gdzie wymierzano stosowną karę. Najczęstszym oskarżeniem był ni mniej, ni więcej, tylko zarzut potajemnego praktykowania judaizmu albo wręcz pomówienie o poświęcanie chrześcijańskich dzieci podczas odprawiania pradawnych rytuałów. Skazanym na stos, jeżeli wyznali swoje grzechy, publicznie okazali skruchę i chęć przyjęcia wiary w Jezusa, katolicy zakonnicy wspianiałomyślnie oferowali garotę zamiast katuszy w ogniu. W obliczu tych przerażających scen odżył nieokiełznany strach i wniknął w pamięć sefardyjczyków niczym owe wyziewy, które wedle inkwizycyjnych mędrców emanowały z ciał wszystkich Żydów, a ów smród zniknął wraz z obrzędem chrztu. Lęk kazał im szukać schronienia w jakimkolwiek zakątku Europy, Azji czy Afryki, gdzie mogli liczyć na przyjęcie, i chociaż zamykano ich w gettach, przynajmniej nie groził im stos. To strach zaprowadził ich do kalwinistycznego Amsterdamu, gdzie nie tylko zostali przyjęci, ale także doświadczili cudu, ponieważ mogli wyznawać swoją wiarę bez obaw przed prześladowaniem ze strony wyznawców Chrystusa. Ale strach szedł za nimi. Odmieniony, przeistoczony, przyczajony: wciąż namacalny, wciąż czyhający.

Już wkrótce rabin zaczęli poświęcać godziny przeznaczone na sobotnie modlitwy, kiedy to każdy Żyd jest zobowiązany czcić Wolność jako dobro i prawo istoty stworzonej na obraz i podobieństwo Pana, na pouczenie swojej trzody, jak wierni powinni pojmować i praktykować tę wolność. Gotowi okiełznać wszelką rozwiązłość skłaniającą do herezji, a nawet zachowania lub myśli wykraczające poza wolność, której ramy nakreśliło Prawo, jego strażnicy, rabin i przywódcy wspólnoty zebrani w Maamadzie, sprawowali nadzór nad współwyznawcami, wznecając strach, wytaczając procesy i wymierzając kary, od najłżejszych niduj po straszliwe cherem. Jak to zawsze się zdarzało i będzie zdarzać w historii ludzkości, ktoś miał decydować o tym, czym jest wolność i jaka jej część przypadnie jednostce, którą ta władza zniewala lub chroni. Nawet na ziemiach wolności.

Na mocy postanowienia rady rabinackiej proces w sprawie spodziewanej ekskomunikacji Eliasza Ambrosiusa Montalba de Ávila został wyznaczony na drugą środę stycznia roku 1648 w Synagodze Hiszpańskiej, a do udziału w posiedzeniu wezwano całą wspólnotę żydowską w Amsterdamie.

Kiedy tylko Eliaz Ambrosius usłyszał słowa Mariam, szybko pobiegł do domu, aby się przekonać, co się wydarzyło. Najpierw zobaczył strapioną twarz ojca, na której malowały się gniew, strach i oburzenie. Potem ujrzał zapłakane oblicze matki, skulonej w sobie niczym osaczone zwierzątko. Bez żadnych pytań ani wyjaśnień popędził do izdebki, w której stało biurko dziadka Beniamina. Ujrzał obraz katastrofy: wyłamany zamek, zniszczoną cenną drewnianą inkrustację, szuflady opróżnione z całej zawartości. Na podłodze, podeptane brudnymi buciorami, wałały się rysunki wyrwane z teczek i płótna namalowane przez niego (portret Mariam Roki!) i innych uczniów, a także obrazy dobrego przyjaciela, Duńczyka Keila. Nim Eliaz zaczął ratować to, co jeszcze było do ocalenia, od razu spostrzegł rzucający się w oczy brak dwóch rzeczy: kajetu z zapiskami i płótna, na którym sportretował go Mistrz. Zapewne były to dwa koronne dowody rzeczowe świadczące przeciwko niemu.

Przytłoczony poczuciem wstydu wobec rodziców, Eliaz Ambrosius wrócił do salonu, by stawić im czoło. Matka, z oczyma opuchniętymi od płaczu, spuściła głowę na jego widok i siedziała w milczeniu stosownym dla pokornej żydowskiej żony, jaką zawsze była. Natomiast ojciec zarzucił go pytaniami, czy jest świadomy tego, co go czeka. Eliaz przytaknął i poprosił, by ten opowiedział, co się stało. Abraham Montalba parę razy odetchnął głęboko i streścił mu wydarzenia: najpierw Amos włamał się do biurka, po czym wybiegł z domu i wkrótce potem wrócił z rabinami Breslauem i Monterą. Ojciec umilkł na chwilę. „Siedzieli tam dobrą godzinę, a kiedy wyszli, oświadczyli, że mój syn jest heretykiem najgorszego rodzaju. Trzymali w rękach kilka kajetów i pokazali mi twój portret, na którym jesteś podobny do...” Znów zamilkł. „Wytoczą ci proces, Eliaszu... Jak mogłeś to zrobić?” Eliaz przemyślał różne odpowiedzi, swoje własne odpowiedzi, ale od razu się zorientował, że żadna z nich nie zadowoli rodzica. „Nie wiem, ojczcie. Proszę, jeśli możesz, wybac mi, że naraziłem cię na cierpienie... I jeśli nie żądam zbyt wiele, pozwól mi zostać przez kilka dni w domu, dopóki nie znajdę jakiegoś wyjścia z tej sytuacji.

Potem odejdę”, powiedział Eliasz i dopiero w tym momencie Abraham Montalbo de Ávila pojął, co czeka jego i całą rodzinę, która już nigdy więcej nie będzie taką samą rodziną (jeden syn heretykiem, drugi donosicielem, a w czym on sam przewinił?), i on także wybuchnął płaczem.

Z rulonem płócien i z blokiem do rysowania pod pachą Eliasz Ambrosius wyszedł na ulicę. Jak zwykle, gdy chciał coś przemyśleć, udał się w stronę portu. Szybko nadchodziła przedwczesna zimowa noc, a od strony morza wiała lodowata bryza. Znalazł ubogie schronienie w magazynach wszechwładnej Kompanii Wschodnioindyjskiej, zarządzającej handlem z portami odległych zakątków świata, o których niegdyś marzył, i przez parę godzin rozważał swoje zamiary. Nieobecność dawnego profesora, chachama Ben Izraela, który parę dni wcześniej wyjechał do Anglii, pozbawiła go oparcia, jakie miał w jedynej osobie zdolnej udzielić mu rady na tym rozdrożu i wyjaśnić jego położenie, jedynej, która być może, tylko być może, odważyłaby się pokonać strach i wbrew całej społeczności sefardyjskiej stanąć w jego obronie. Eliasz wiedział, że czeka go burzliwy proces, w którym będzie oskarżony o bałwochwalstwo, najcięższy z grzechów, a na koniec zostanie ekskomunikowany i ukarany dożywotnim chere-m, podobnie jak Uriel da Costa albo Baruch, syn Miguela de Espinoza, nad którego głową wisiał potępiający wyrok... Portret wykonany przez Mistrza jest najbardziej obciążającym dowodem, lecz on prze-myślał różne argumenty, by obalić ten zarzut. Jednak kajety, w których przez lata ujawniał swoje myśli, wątpliwości, obawy i postanowienia, a także opisywał doświadczenia zdobyte w pracowni, nie pozostawiały żadnego marginesu obrony: w oczach sędziów te notatki stanowiły niepodważalne samooskarżenie heretyka, który pogwałcił drugie przykazanie Prawa. Wszystkie bramy były przed nim zamknięte i niewiele mógł zrobić, by je otworzyć... Ale, zastanawiał się, jeśli nawet przekona Maamad, że nie popełnił niewybaczalnego grzechu, jak będzie potem wyglądało jego życie? Czy będzie umiał żyć, choćby mu przebaczone, jako członek wspólnoty? Czy każdego dnia zaprze się swoich myśli i przekonań, tego, co uważa za słuszne, kim chciałby być, tylko po to, by uzyskać jedynie warunkowe i nadzorowane prze-baczenie? Czy warto paść na kolana, raz się ukorzyć, a w istocie do końca żyć na klęczkach, aby pozostać wśród swoich, w miejscu, gdzie się urodził, gdzie spoczywali jego bliscy zmarli i mieszkali jego rodzice, przyjaciele i mistrzowie, kobieta, którą kocha? Jaka wolność czeka kogoś, komu wybaczone, na ziemiach wolności? Te pytania sprawiły, że poczuł, jak jego dusza zaczyna się buntować: skoro nie popełnił żadnej okrutnej zbrodni, skoro nie jest bałwochwałcą, lecz Żydem, który kierował się wolną wolą, jakim prawem ktoś uzurpuje sobie prawo do pozbawienia go wszystkiego, co ma, tylko dlatego, że osmiesił się inaczej rozumieć Prawo, nawet jeśli ustanowił je Bóg? A jeśli nie poprosi o wybaczenie? Czy będzie miał odwagę już na zawsze żyć wśród swoich krajanów jako zadżumiony? Obmyśliwszy kilka odpowiedzi na te pytania, wrócił do rodzinnego domu i co dziwne, gdy tylko położył się do łóżka (pryca Amosa wprawdzie już od paru miesięcy była pusta, ale i tak jego brat z pewnością nie zdzierżyłby sąsiedztwa heretyka), Eliasz Ambrosius Montalbo de Ávila zapadł w kamienny sen. Stojąc w obliczu tego co nieuchronne, po raz pierwszy od wielu miesięcy czuł się uwolniony od strachu.

Następnego poranka, znów objuczony szkicami i obrazami, młody Żyd udał się do jedyne-go miejsca, gdzie, jak sądził, zostanie przyjęty i wysłuchany. Przeszedł przez Waag, nawet nie spojrzawszy na kupców ani na sprzedawców płócien, rysunków i rycin, którzy zajmowali część placu, skręcił w ulicę Sint Antoniesbreestraat i podążył nią jak setki razy przez te wszystkie lata, kierując się w stronę domu z zielonymi drzwiami, oznaczonego cyfrą 4, przy Szerokiej Ulicy Żydowskiej.

Otworzyła mu Hendrickje Stoffels. Spojrzała Eliaszowi w oczy i nim zdążył zareagować, pogładziła go po policzku, mówiąc, że Mistrz go oczekuje. Wzruszony tym gestem solidarności, młodzieniec wspiął się po schodach, zastukał do drzwi pracowni i usłyszał słowa Mistrza: „Wejdz, chłopcze”. Malarz stał przed płótnem przedstawiającym historię Zuzanny i wycierał dłonie w poplamiony fartuch. „Wieczorem był u mnie Izaak Pinto. Wiem już, że wytoczą ci proces”, powiedział i wskazał mu stołek, a sam usiadł na drugim. „Co zamierzasz zrobić?” „Jeszcze nie wiem, Mistrzu. Chyba wyjadę z miasta”. „Wyjedziesz? Dokąd?”, zapytał malarz, jakby ta decyzja była niepojęta. „Nie wiem dokąd ani jak. Może powinienem jechać do Palestyny z pielgrzymką Cewiego. Może Salom Italia ma rację i warto sprawdzić, czy tamten człowiek jest czy też nie jest Mesjaszem”. Mistrz pokręcił głową, jakby się z czymś nie zgadzał. „Nie powinienem być przyjmować cię do pracowni. Czuję się winny”. „Nie, proszę tak nie mó-

wić, Mistrzu. To była moja decyzja i wiedziałem, jakie mogą być konsekwencje”. „Kiedy wraca ten gamoń Ben Izrael? Trzeba coś zrobić!”, zawołał malarz. „Dlatego tu przyszedłem, Mistrzu, i ośmielię się o coś pana prosić: o odzyskanie mojego portretu. Zabrali go rabini. Ale jeśli pan upomni się o ten obraz, będą musieli oddać. Gotowi są go zniszczyć”. Mężczyzna ściągnął fartuch. „Kto go zabrał? Gdzie trzymają ten obraz?” „Jest w synagodze, zabrali go Montera i Breslau”. „Pójdę po Jana Sixa, musi mi towarzyszyć”. „Mistrzu”, Eliasz zaważał się, ale stwierdził, że nie ma nic do stracenia, „zabrali też moje kajety. Są jak pański tafelet. Proszę spojrzeć...”, dodał, ale malarz już miał kapelusz na głowie i wołał do Hendrickje Stoffels, żeby przygotowała mu płaszcz i buty, bo musi pilnie wyjść.

Eliasz delikatnie pogłaskał płótno wyrwane ze szponów nietolerancji i wyczuł pod palcami przyjemną w dotyku chropowatość farby olejnej nałożonej przez Mistrza. Wpatrywał się w swoją podobiznę na płótnie, w spojrzenie skierowane nieco wyżej niż zwykle u niego. Poczucie piękna, które go przeniknęło, uświadomiło mu, że warto było. Czterema gwoździkami przybił płótno do ściany mansardy, gdzie zamieszkał, tej samej, w której przez trzy lata żył Duńczyk Keil, czynsz zaś, na prośbę Mistrza, został opłacony przez Jana Sixa.

Dwa dni wcześniej opuścił dom rodzinny. Kiedy pakował swój najcenniejszy dobytek – dwa okrycia na zmianę, prześcieradła, przybory toaletowe i książki odziedziczone po dziadku Beniaminie – prowadził rozmowę z ojcem, obaj byli już spokojniejsi, wyjaśniał mu źródła i powody swojej domniemanej herezji. Ojciec starał się go namówić, by został w domu, ale Eliasz nie chciał narażać ich na sytuację, w jakiej sam się znalazł: człowieka żyjącego na marginesie społecznym. Do procesu pozostało jeszcze parę dni, ale już teraz większość Żydów z miasta, wiedząc, co się wydarzyło, uznała go za winnego i skazała na ostracyzm, chłód i wzgardę. Eliasz nie był zaskoczony tym, że drzwi doktora Roki były dla niego zamknięte, a sama Mariam, która знаła wszystkie jego tajemnice, choć nawet w nich uczestniczyła, odmawiała rozmowy, być może w obawie, że sama zostanie uwikłana w herezję, mimo że jej odpowiedzialność w żadnej mierze, a może z jakichś powodów, nie została ujawniona (czyżby Amos i rabini nie rozpoznali Mariam Roki sportretowanej przez niego na niewielkim płótnie? czyżby był tak kiepskim portrecistą? a może zadziałała wpływowa ręka doktora Bueno, który zadbał, by nie mieszać do tego córki jego kolegi i pomocnika). Abraham Montalbo nie nalegał, aby syn zmienił decyzję, ale przed jego odejściem z domu wypowiedział doniosłe słowa: „Nastaly takie dni, że cieszę się, że twojego dziadka nie ma już pośród nas. On byłby w stanie zabić Amosa. Zawsze był wojownikiem, człowiekiem miłosiernym, najbardziej zaś cenił w życiu wierność i rozum”. „Tak”, przytaknął Eliasz, „a najbardziej nienawidził uległości”.

W tych dniach, kiedy trwały chrześcijańskie święta Bożego Narodzenia i radosne ósmiodniowe obchody żydowskiej Chanuki, osowiwały Eliasz Ambrosius włóczył się bez celu po mieście, zabijając czas, tłumiąc niepokój, i ciągle miał wrażenie, że jest uwięziony w jakimś dziwnym miejscu. Liczne zakątki Amsterdamu, przywołujące tyle przeżyć, wspomnień, doznań, teraz wydawały się odległe, jakby w niezrozumiałym języku wypowiadały mu wojnę. To poczucie oddalenia wzmagało się jeszcze bardziej, kiedy mijał na ulicy znajomego Żyda, który przechodził obok, traktując go jak powietrze. Eliasz wiedział, że wielu z nich reaguje tak z przekonania, choć inni działają jedynie pod presją haniebnego strachu. W tym wrogim, pełnym złej woli otoczeniu wszystko to, co przez dwadzieścia jeden lat było dlań całym światem, teraz odsuwało się od niego, odrzucało go od siebie precz. Wtedy dopiero zrozumiał odczucia Uriela da Costa, który został napiętnowany, z wyrokiem śmierci cywilnej wydanym przez braci tej samej krwi, kultury i religii. Skazanie go na niewidoczność, na nieistnienie, do czego dopuścili ludzie, którzy wcześniej go kochali i szanowali, było najsroższą karą, jaką można wymierzyć. Teraz pojął nawet, dlaczego Uriel da Costa dał się złamać i prosił o wybaczenie, by kilka tygodni później pozabawić się życia: najpierw strach, a potem wstyd. Ale on, podobnie jak Baruch Spinoza, nie zamierza popełnić samobójstwa ani przyznać się do winy, ani dać im satysfakcji, okazując cierpienie, choć w istocie cierpiał, ponieważ zdobycie wolności i – co za tym idzie – życie bez lęku było największą rekompensatą. Nie ugnie się, nie upokorzy.

Niesprecyzowana zrazu decyzja opuszczenia Amsterdamu coraz bardziej urzeczywistniała się w jego umyśle i teraz należało tylko zdecydować, jak to zrobić, by dokądkolwiek wyjechać. A przecież istniało tyle bliskich mu rzeczy, z którymi Eliaz Ambrosius Montalbo de Ávila urodził się, dorastał, żył i z których mimo presji wszechwładnych przywódców wspólnoty nigdy nie zamierzał zrezygnować. Po pierwsze, jego godność, po drugie, decyzja, by malować to, co nakazują mu oczy i wrażliwość, a nade wszystko – co dotyczyło i jego godności, i powołania – wolność, najwyższy dar otrzymany od Stwórcy i najcenniejsza nauka, jaką przekazał mu dziadek jeszcze na wiele lat przedtem, zanim został dziadkiem i jego, i jego brata Amosa. Owa wspaniała możliwość doświadczania wolności, podtrzymywana w nim przez Beniamina Montalba w ciągu dwudziestu lat przeżytych wspólnie na tym samym skrawku ziemi.

Mijały dni, pochmurne i wietrzne, choć bezśnieżne, i zbliżała się data procesu, a Eliaz czuł, że decyzja wyjazdu dokądkolwiek, byle dalej od Amsterdamu, jest znacznie trudniejsza, niż to sobie wyobrażał, ponieważ, przysnął to przed sobą ze smutkiem, znalazł się w przykrych sytuacji Żyda czekającego na ekskomunikę i tym samym zamykały się przed nim zarówno drzwi ludzi, którzy pogardzali jego hebrajską kondycją, jak i te, które zatraskiwali sami Żydzi. Spośród wszystkich rozważanych kierunków Jeruzalem kusilo go najbardziej. Wprawdzie miał wiele wątpliwości co do mesjanistycznego powołania Szabetaja Cewiego, który być może kierował się tymi samymi przesłankami co on wobec swojej wspólnoty, ale w tym momencie młodzieniec uznał za celowe przyłączenie się do jego pielgrzymki i powierzenie swojej wiary i woli domniemanemu Pomazańcowi, aby walczyć w imię ostatniej nadziei... lub też się w niej zaprzepaścić. Chociaż w pierwszych dniach chrześcijańskiego nowego roku ogłoszono wypłynięcie drugiego statku wynajętego przez członków Nação, który miał dotrzeć do Ziemi Izraela, zaokrętowanie się byłoby zgoła niemożliwe, nawet gdyby miał pieniądze na bilet i na podróż: ci rozgorączkowane członkowie wspólnoty nie pozwoliłoby mu wejść na pokład.

Innym możliwym celem było jedno z tych ruchliwych miast północnych Włoch, gdzie mógłby żyć na marginesie wspólnoty, a nawet, co udało się Davide da Mantova, poświęcić się z pełną swobodą malarzkiej pasji. W gruncie rzeczy młodzieniec rozważał wszystkie możliwości, nie wyłączając zaciągnięcia się na któryś ze statków handlowych, każdego dnia wypływających w rejs do Indii Zachodnich lub Wschodnich, tyle że w mieście aż nadto było doświadczonych marynarzy szukających zajęcia i – co oczywiste – żaden armator czy kapitan nie zatrudniłby młodzika nieobeznanego z morzem. Z kolei najkrótsze i najbardziej uczęszczane szlaki do Hiszpanii, Portugalii i Anglii były poza zasięgiem zwykłego Żyda, chyba że wcześniej zmieniliby wyznanie i przedstawił akt katolickiego chrztu, ale nie leżało to w jego zamiarach. Droga lądowa była niemożliwa w sytuacji, gdy na granicach kraju panował stan napięcia: wyczekiwany układ pokojowy z Hiszpanią, który miał być podpisany w jednym z miast niemieckich, przemienił drogi w obozowiska wojskowe pełne wrzenia i nerwowej atmosfery i co oczywiste – lepiej było uchodzić za heretyka w oczach amsterdamskich Żydów niż za zdrajcę albo szpiega w opinii podejrzliwych wojaków, częstokroć pijanych do nieprzytomności, jednych wobec perspektywy zwycięstwa, a drugich z racji nieuchronnej klęski.

Śnieg, jak było do przewidzenia, powrócił na chrześcijańskie Boże Narodzenie. Świąteczna atmosfera, podsycona zapowiedzią końca wojny stuletniej z Hiszpanią, ogarnęła miasto, a jego mieszkańcy narazili na szwank wszystkie zapasy wina, piwa i grzańca ważonego w cukrowniach. Samotność Eliasza Ambrosiusa stała się jeszcze bardziej dotkliwa, gdy siedział zamknięty jak w celi w swojej mansardzie i nie było mu dane świętować Chanuki ani zapalić ośmiu świec, upamiętniających jedno z najważniejszych wydarzeń w dziejach narodu, który – co wielokrotnie podkreślał na lekcjach chacham Ben Izrael (wspominając męznego Dawida, niezwykłego Jozuego i wojowniczych Hasmoneuszy) – był nigdyś waleczny i buntowniczy, a nie podszyty lękiem i uległością.

Trzy dni przed datą zamykającą rok w kalendarzu chrześcijańskim zaalarmowało młodzieńca stukanie do drzwi. Nigdy nie potrafił wyzbyć się nadziei, że nieoczekiwanie pojawi się przed nim jego ukochana Mariam Roca. Dobrze wiedział, jak niepostrzeżenie potrafi wymykać się z domu, czego nieraz

dowodła przy okazji licznych potajemnych schadzek w czasie trwania ich związku uczuciowego i fizycznego. Wiedział także – przynajmniej tak przypuszczał – że Mariam nigdy nie przyłączy się do jego oskarżycieli, znał przecież jej charakter, a jednak z każdym dniem, śledząc zachowanie dziewczyny, utwierdzał się w przekonaniu o paralizującej sile strachu. Kierowany pragnieniem zobaczenia ukochanej, otworzył drzwi. Ale to nie była Mariam. Zobaczył przed sobą grubego nochal, oczy o orlim spojrzeniu i zepsute zęby Mistrza. Uderzyła go nagle myśl: wreszcie znalazło się jakieś wyjście.

Mistrz trzymał w dłoniach butelkę wina, a za pazuchą miał ich jeszcze kilka. Może dlatego jego powitanie było bardzo wylewne: uściśnięcie, dwa pocałunki w policzki i świąteczne życzenia, jakie zwykli wymieniać między sobą wyznawcy Chrystusa. A jednak nie zachwiało to pewnością Eliasza, że wraz z gościem pojawiło się rozwiązanie.

Z dwoma kieliszkami taniego ciemnego wina, bo tylko na takie było stać Mistrza, zasiedli do rozmowy. Malarz istotnie przyniósł dobrą wiadomość: jego przyjaciel Jan Six zaferował Eliaszowi miejsce na zakontraktowanym statku handlowym, który miał płynąć do jednego z portów północnej Polski. Chodziło o sfinalizowanie zakupu dużej ilości zboża, które już od kilku dekad Holendrzy sprowadzali z tych ziem. Aby dokonać transakcji, należało przedstawić weksle na sumę kilku tysięcy florenów i Six wraz ze współnikami woleli powierzyć tę fortunę młodemu Żydowi, a nie kapitanowi statku, człowiekowi o dość wątpliwej reputacji. Po załatwieniu formalności z tamtejszymi holenderskimi agentami i polskimi dostawcami Eliasz powinien przekazać kapitanowi rachunki i listy przewozowe, a potem miał wolną rękę i mógł zostać w Polsce, w Niemczech lub w innym miejscu na Północy albo też powrócić do Amsterdamu, gdzie być może cała sprawa już przycichnie.

Młodzieniec, poznawszy szczegóły propozycji, która otwierała przed nim nieoczekiwaną i osobliwą furtkę, poczuł nagle smutek, że oto porzuci, pewnie już na zawsze, swoje miasto i swój świat. Uświadomił sobie, że jego wyjazd nie będzie bynajmniej ucieczką, tylko samowyznaniem. Ale wiedział też, że to jedyne możliwe rozwiązanie, i podziękował Mistrzowi za jego troskę i pomoc.

„Nigdy mi za nic nie dziękuj”, oświadczył wtedy malarz i odstawił kieliszek na podłogę. Teraz dopiero Eliasz spostrzegł, że nawet nie spróbował wina. „To, co cię spotkało, jest niczym innym jak klęską... A najgorsze, że nikogo nie można o to winić. Ani ciebie za to, że ośmieliłeś się rzucić wyzwanie pewnym prawom, ani twojego brata Amosa i rabinów za to, że chcą cię osądzić i skazać: każdy postępuje tak, jak uważa za słuszne, mając w zanadru mocne argumenty na swoją obronę. I to jest najgorsze: niektórym rzeczy potworne wydają się czymś całkowicie normalnym... Najbardziej mnie zasmuca, że musi dojść do takich sytuacji jak twoja albo godna ubolewania rezygnacja Saloma Italii, żebyśmy uświadomili sobie, jak wiara w jakiegoś Boga, w jakiegoś księcia albo kraj, jak posłuszeństwo wobec nakazów pozornie ustanowionych dla naszego dobra może stać się więzieniem dla istoty człowieczeństwa: naszej woli i naszego rozumu. To zaprzeczenie wolności i...”, przerwał, ponieważ ogarnięty zapalczywością nieopatrznie potrącił nogą kieliszek i wylał wino na drewnianą podłogę. „Proszę się nie przejmować, Mistrzu”, powiedział Eliasz, schylił się i podniósł kieliszek. „Nie przejmuję się z powodu takiego głupstwa, pewnie, że nie... Po cholere martwić się odrobiną rozlanego wina i odrobiną brudu...? Nawet nie wiesz, jak bardzo brakuje mi teraz naszego przyjaciela Bena Izraela, bo mógłby mi wytłumaczyć... on, taki uczony w świątobliwych sprawach... jak Bóg zrozumiałby i wyjaśnił twoją sytuację. Z pewnością Menasze zacząłby rozprawiać o Hiobie i ukrytych intencjach, powiedziałby, że prawa zapisane są na naszym ciebie, i udowodniłby doskonałość Stwórcy, twierdząc, że skoro Tora zawiera dwieście czterdzieści osiem pozytywnych pouczeń i trzysta sześćdziesiąt pięć negatywnych, co w sumie daje sześćset trzydzieści, to dlatego, że mamy dwieście czterdzieści osiem kości i trzysta sześćdziesiąt pięć ścięgien, a ich łączna suma wynosi znów sześćset trzydzieści, owa liczba zaś symbolizuje części uniwersum... Wysłuchałbym go do końca, a potem zapytał: «Menasze, a gdzie w tych zasranych rachunkach jest ludzka istota, właściciel tych kości i ścięgien, konkretny człowiek, o którym tak lubisz rozprawiać?»”. Mistrz wznosił dłonie, by wskazać na pustkę. Eliasz jednak nie dostrzegł pustki: przeciwnie, w tych dłoniach zobaczył pełnię. To były dłonie człowieka, który niestrudzenie tworzył piękno, wychodząc nawet od ubóstwa, starości, cierpienia i brzydoty, dłonie, które tylekroć objawiały i urzeczywist-

niały świętość. Dłonie człowieka zmagającego się z wszystkimi potęgami, aby wdziac pancierz swojej wolności... „Kiedy odpływa statek Sixa?”, o to Eliasz musiał zapytać. Zaskoczony Mistrz milczał przez chwilę. „Chyba czwartego stycznia, za tydzień... Six wszystko ci wyjaśni... Mam nadzieję, że dobrze ci zapłaci”. „Im szybciej wypłynię, tym lepiej...”, powiedział Eliasz, gdy tymczasem Mistrz wstał, lekko się zachwiał i posłał mu pożegnalny uśmiech. „Nie ma już o czym mówić”, wyszeptał, „klęska, kolejna klęska”, powiedział i opuścił mansardę. A wtedy istotnie zapanowała pustka. Eliasz Ambrosius miał wrażenie, że opuściła go częśćka własnej duszy. Być może ta najlepsza.

Długo się zastanawiał, nim zdecydował się pożegnać z rodzicami. Nie zasługiwali na jeszcze jedną karę. Przełożył to jednak na ostatni dzień przed wyjazdem, kiedy już miał w ręce zlecenie Jana Sixa, dokumenty do przeprowadzenia transakcji i swoją zapłatę, przyznaną z hojnością, którą zawdzięczał zapewne naciskom Mistrza.

Nim wyszedł z domu rodziców, odłożył do starego biurka niemal wszystkie książki odziedziczone po dziadku Beniaminie – zabrał tylko tom Majmonidesa, własny egzemplarz dzieła chachama *De Termino Vitae* i opowieść o osobliwych przygodach kastylijskiego hidalga, który popadł w obłąd pod wpływem czytanych powieści i uważał się za błędnego rycerza – wstąpił do mansardy, gdzie zapakował we własnoręcznie oprawiony album swoje rysunki i obrazy, a także ofiarowane mu przez kolegów. Poza kajetem zabrał też swój portret namalowany przez Mistrza, ostatni i najlepszy portret Mariam, rysunek przedstawiający dziadka wykonany szarą akwarelą oraz niewielki pejzaż, który podarował mu dobry i zaufany przyjaciel, jasnowłosy Keil: te cztery obrazy, zbyt dla niego znaczące, by je zostawić, zwinął w rulon i umieścił w drewnianym kuferku, który kupił na targu. Pozostałe dzieła, z różnymi portretami olejnymi Mariam włącznie, zapakował do teczki i zaniósł do domu pod numerem 4 przy Szerokiej Ulicy Żydowskiej. Stukając do drewnianych drzwi pomalowanych na zielono, był już pewien, że robi to po raz ostatni. Kiedy Hendrickje Stoffels wpuściła go do środka, poprosił o spotkanie z Mistrzem: w dowód ogromnej wdzięczności pragnął ofiarować mu prezent z okazji nowego roku. Hendrickje Stoffels powiedziała z uśmiechem, żeby przyszedł później: Mistrz jeszcze spał po pijatyce w pierwszy dzień Roku Pańskiego 1648. Eliasz odwzajemnił uśmiech: „Nie szkodzi”, odrzekł i podał jej teczkę, „proszę mu to oddać, kiedy się obudzi. Powiedz mu, że to prezent... i może z nim zrobić, co zechce. I powiedz też, że życzę jemu, tobie i Titusowi, aby Przenajświętszy, błogosławiony niech będzie Pan, przez wiele lat zachował was w zdrowiu”. Hendrickje Stoffels, biorąc od młodzieńca pakunek, znów się uśmiechnęła, po czym zapytała: „Który Bóg, Eliaszu?”. „Jakikolwiek... Wszyscy”, odpowiedział po krótkim namyśle i dodał: „Czy pozwolisz?”, i pogładził dłonią rumiane, gładkie policzki dziewczyny, tak często malowane przez Mistrza. Eliasz Ambrosius zszedł po schodkach na ulicę, nieskazitelną i lśniącą niczym kobierzec pozostawiony przez niedawną śnieżycę. Znów był człowiekiem roniącym łzy.

KSIĘGA JUDYTY

Mario Conde nauczył się tego zapewne od swojego dziadka Rufina: ciekawość to pierwszy stopień do piekła. Ale jak to już wielokrotnie bywało, ekspolicjant, poruszony do szpiku kości, i tym razem nie poszedł za radą staruszka, który tak uparcie i tak nadaremnie usiłował rozwinąć jego edukację sentymentalną.

Tamtego czerwcowego popołudnia, upalnego i lepkiego, gdy Mario Conde wchodził do domu, piastując zakupione właśnie dwie butelki rumu, ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył, była wizyta, jakakolwiek wizyta, każda wizyta mogąca pokrzyżować mu plany spędzenia godziny pod prysznicem i kolejnej na sjeście, by następnie udać się wieczorem do Carlosa i ukoić nerwy w towarzystwie przyjaciela, przy butelce rumu, ma się rozumieć. Nigdy też by się nie domyślił, że niespodziewaną wizytę złoży mu waląca natarczywie w drzwi wnuczka doktora Ricarda Kamińskiego – poznana przed kilkoma miesiącami, naszpikowana piercingiem gotka Yadine, która z miejsca wciągnęła go w rozmowę, chytrze podsycając ciekawość już w pierwszych słowach, by w nieodległej przyszłości skomplikować mu życie i unaocznic raz na zawsze, że linie biegnące równolegle kiedyś się przetną.

Już od progu postawiła sprawę jasno.

– Totalnie nie masz racji. Nie jestem gotką ani freakiem. Jestem emo.

– Emo?

Od wczesnych godzin porannych Conde przeżywał jeden z nieczęstych w jego życiu pełnych napięcia dni poświęconych na delikatne negocjacje, które mogły przynieść znaczne dochody zainteresowanym stronom. Trzy tygodnie wcześniej jego współnik Yoyi Gołąb dostał zlecenie z tych, których nie wolno przegapić. Złożył je Dyplomata, stały klient, któremu nie wystarczała pensja urzędnika państwowego w pierwszym świecie, więc dorabiał sobie jako pośrednik i dostarczyciel bibliofilskich perełek dla kolekcjonerów i handlarzy w jego europejskim kraju, ekspertów od rynku księgarskiego oraz stron internetowych, ci wszyscy zaś wiedzieli, że dzięki cierpliwości, dobrym mapom i planom, a także odrobinię szczęścia, nadal można upolować na Kubie prawdziwe cuda w prywatnych bibliotekach, które przetrwały wstrząsy tych najgorszych i tych w miarę łagodnych lat Kryzysu bez końca, kiedy wielu ludzi musiało zaprzedać duszę, żeby utrzymać się przy życiu.

Lista, którą dostał od Yoyiego, przyprawiała o zawrót głowy. Otwierało ją, ni mniej, ni więcej, zlecenie na dwa tomy *Comedias de don Pedro Calderón de la Barca* w cennej i bardzo rzadkiej edycji hawańskiej z 1839 roku, ilustrowanej przez wybitnych rytowników, Alejandra Moreau i Federica Mialhego, z ceną wyjściową na Kubie sięgającą tysiąca dolarów. Klient był także zainteresowany trzema książkami nieodzownego Jacoba de la Pezuela: *Diccionario geográfico, estadístico, histórico de la Isla de Cuba*, w czterech tomach, wydanym w Madrycie w roku 1863 (przy innej okazji Yoyi sprzedał Dyplomacie jeden tom za pięćset dolarów); *Historia de la Isla de Cuba*, także czterotomową, w madryckiej edycji z lat 1868–1878, wartą tyle samo lub nawet więcej; *Crónica de las Antillas* z 1871 roku, również wydaną w Madrycie, wycenioną na trzysta dolarów. Perłą na tej liście była bez wątpienia polemiczna *Historia física, política y natural de la Isla de Cuba*, opracowana w trzynastu tomach przez wszechstronnego Ramona de la Sagra, wydana w Paryżu w latach 1842–1861, zawierająca 281 szychów (w tym 158 w kolorach *au naturel*), której stała cena na krajowym rynku nie schodziła poniżej siedmiu, ośmiu tysięcy dolarów.

W kwestii książek tej kategorii Yoyi i Conde, aby osiągnąć sukces, byli zmuszeni poruszać się z najwyższą ostrożnością ścieżkami niezwykle wąskimi i niemal już jałowymi. Najpierw musieli, bez głośno, zlokalizować właściwe źródło, a potem, gdy już znaleźli trop, zachować cierpliwość i ostrożność

sapera, ponieważ z reguły właściciele tych białych kruków chcieli poznać ich przybliżoną wartość i w rezultacie domagali się zawrotnych kwot, przekonani, że są w posiadaniu czegoś w rodzaju *Biblii Gutenberga*. Dlatego też obaj partnerzy powinni okazać zainteresowanie i jednocześnie brak determinacji, bo z reguły właścicielom tego nie spieszyło i nawet jeśli ich oczekiwania nie były nazbyt wygórowane, to oni mogli dyktować warunki. W tej sytuacji najlepsze rozwiązanie, wymyślone przez Yoyiego dzięki jego zmysłowi handlowemu, polegało na zaprezentowaniu się w roli zwykłych pośredników, jakimi w istocie byli, pomiędzy posiadaczem cennej książki a spragnionym nabytku kupcem, osobą nie do zidentyfikowania przez tego pierwszego z uwagi na właściwości i cenę towaru. Ustalony został (niepodlegający negocjacjom) dwudziestopięcioprocentowy udział w zyskach (piętnaście dla Gołębia, dziesięć dla Condego), oparty na niezbitym przekonaniu o odpowiedzialności i uczciwości obu stron. Chociaż ustalenia te często były podważane przez właścicieli książek, to jednak osiągnięcie porozumienia przynosiło satysfakcję jednym i drugim, a Yoyi skrupulatnie przestrzegał terminów i warunków płatności. Ale jeżeli sprzedający okazywał upór i nieufność, pozostawało tylko jedno: namierzoną (z reguły przez Condego) książkę nabywał Yoyi (posiadacz kapitału), który przystępował do zakupu ubrany w strój pirata (opaska na oku, drewniana noga, hak zamiast dłoni) i sprowadzał na ziemię oczekiwania sprzedającego.

Od czasu gdy dostali to bajeczne zlecenie, Conde przez ostatnie trzy tygodnie godzinami usiłował zlokalizować zamówione dzieła, desperacko przeszukując coraz bardziej wyjąłowany teren. Dopiero na dwa dni przed pojawieniem się emo (nie freaka i nie gotki) Yadine, kiedy gotów był już zrezygnować, były policjant znalazł trop wiodący do sędziwego przywódcy politycznego z pierwszego okresu rewolucji, który (któż by to przypuszczał!) okazał się chętny do rozmowy na temat kilku perełek z jego rewolucyjnie odziedziczonej biblioteki.

Z uwagi na zasługi polityczne w przeszłości, wkrótce po triumfie rewolucji w 1959 roku przyznano owemu przywódcy imponujący dom, do niedawna własność pewnej burżuazyjnej rodziny, jednej z wielu, które w tamtych burzliwych czasach opuściły Wyspę tylko z dwiema walizkami ubrań. Wśród pozostawionych przez burżujów dóbr znalazła się bogato wyposażona biblioteka, w której (z wyjątkiem komedii Calderona) znalazły się, w licznym otoczeniu białych kruków, wszystkie zamówione przez Dyplomatę książki i jeszcze setka innych. Stary towarzysz partyjny, mimo że przed laty dyskretnie usunięty z kręgów władzy (ponieważ jego krańcowa nieudolność doprowadziła do ruiny rozmaite plany gospodarcze, firmy i instytucje), zdołał utrzymać dotychczasowy poziom życia, a to dlatego, że przerobił swój luksusowy, okazały eksburżuazyjny dom na niewielki pensjonat dla zagranicznych kapitalistów, zarządzany przez ukochaną najstarszą córkę. Niemniej jednak niedawna decyzja równie ukochanych wnuków o wyjeździe w inne strony świata, gdzie nie ma takiego upału i ciągłej niepewności, skłoniła go do sprzedaży części biblioteki. Okoliczność ta uczyniła zeń wymarzonego kandydata do sfinalizowania dochodowego interesu z książkami, których sprzedaż miała wspomóc wnuki (także Nowych Ludzi?) w planach zamiany Wyspy na inną, burżuazyjną, ma się rozumieć, krainę.

Poprzedniego wieczoru pertraktacje Condego z byłym przewodniczącym, dotyczące zakupu upatrzonych książek, doszły do punktu kulminacyjnego, czyli ustalenia konkretnych cen, nadal jednak nie osiągnięto kompromisu pomiędzy możliwościami nabywcy a marzeniami sprzedającego. Zaistniała tym samym konieczność obecności Yoyiego Gołębia, który tego ranka przyłączył się do negocjacji, gotów włożyć karty na stół: albo sprzedaż z ustalonym procentem, oparta na wzajemnej wierze w dobrą wolę obu stron, albo, jeśli zabraknie tego kredytu zaufania, zakup bezpośredni, do którego Yoyi, zirytowany demonstracyjną nieufnością właściciela, przystąpi wedle zasad swoich morskich kamratów. Pod koniec dnia, po nerwowej dyskusji, opcje pozostały w stanie zawieszenia, więc Yoyi zdecydował się na pozornie definitywny odwrót, chociaż miał graniczące z pewnością przecucie – jak powiedział Condemu, gdy dojeżdżali już do jego domu – że były przewodniczący, choleryk z charakteru i fundamentalista z przekonania, rozmiłowany we wnukach, upokorzony degradacją i utratą władzy, pilnie potrzebując forsy i niebawem się z nimi skontaktuje, skory do negocjacji w sprawie wiadomych perełek, a jeśli nadarzy się okazja, także pozostałej części drogiej kopaliny. I wtedy staruch wpadnie w ich ręce niezłym dojrzłym owocem mango.

– Słuchaj, *man*, w każdym razie weź to na wszelki wypadek. – Przytrzymując kierownicę chevroleta Bel Air rocznik 1957, Yoyi przeliczył wyciągnięte z kieszeni banknoty, po czym wręczył tysiąc pesos współnikowi, który przyjął pieniądze ze zwyczajowym niepokojem i wstydem oraz jak zawsze z uczuciem dyskomfortu i zażenowania. – Drobnouchna zaliczka.

W gruncie rzeczy Conde wcale nie był przekonany, że udało im się przełamać opór sprzedającego, i bolesna perspektywa utraty tej złotej żyły pograżyła go w smutku i depresji, nieodłącznej od chronicznego ubóstwa, długów i wymuszonej wdzięczności. Ale też, pomyślał, nie będzie się czuł bardziej podle, jeśli przyjmie od Gołębia te tysiąc pesos, zwłaszcza teraz, gdy na horyzoncie rysuje się stały ład. Aby uniknąć jakiegokolwiek przypływu poczucia godności, zatrzymał się przy Barze Desperatów i wyniósł stamtąd dwie butelki taniego, zabójczego i bezimiennego rumu, który w gronie przyjaciół od kilku miesięcy nazywali haitańskim.

Poznał ją od razu. Chociaż od przelotnego i jedyne go spotkania minął prawie rok, osobliwy wygląd Yadine, wciąż domniemanej gotki, utkwił mu w pamięci: zaczernione usta, paznokcie i oczy, srebrne obręcze w nosie i odsłoniętym uchu, sztywna, ukośna grzywka, która opadała niczym skrzydło złowróżbnego ptaka, zasłaniając połowę twarzy, czyniły ów wizerunek niezapomnianym, przynajmniej dla takiego jaskiniowca jak Conde.

– Muszę z tobą pogadać, detektywie. – Takie były pierwsze słowa wypowiedziane przez dziewczynę już od progu.

Conde, zaskoczony w oczywisty czy wręcz kryminalny sposób tą chandlerowską odzywką, nie odważył się nawet pomyśleć, w jakim celu szuka go wnuczka Ricarda Kamińskiego, chociaż miał złe przeczucia. Jego zmieszanie i wątpliwości dotyczyły wyboru miejsca, w którym miałyby się odbyć ich rozmowa. W domu, sam na sam z tą rozkwitającą dziewczyną, nie ma mowy; na progu... co powiedzą sąsiedzi, jak go zobaczą z młodą gotką? Do diabła z tym, co sobie pomyśla, stwierdził i poprosił Yadine o chwilę cierpliwości, wyszedł z kluczem od kłódki chroniącej przed kradzieżą jego niewygodne żelazne krzesła.

– O ile dobrze pamiętam, nie mówiłem u was w domu, że jestem detektywem... – odezwał się Conde, rozkładając krzesła, tak jak kilka miesięcy wcześniej, kiedy przyjmował malarza Eliasza Kamińskiego, mniej lub bardziej spowinowaconego z tą dziewczyną.

– Ale szukasz ludzi, nie?

– Zależy kogo, dlaczego i po co – odpowiedział, siadając na krześle, coraz bardziej zaintrygowany. – Masz jakiś problem? Coś się stało w domu?

– Nie, w domu nie... Chcę, żebyś kogoś znalazł – wyrzuciła z siebie, a Conde się uśmiechnął. Z jednej strony przekonanie, że on zajmuje się poszukiwaniem osób zaginionych, a z drugiej – niewymuszona niewinność ukryta pod maską powagi i niepokoju gockiej dziewczyny, której urody nie przyćmiły ostentacyjne ozdoby... Cała ta sytuacja wydawała mu się komiczna i powieściowa. Mimo że wciąż był zaintrygowany, wolał zachować dystans w nadziei rychłego zakończenia rozmowy.

– Jeżeli ktoś zaginął, szuka go policja.

– Ale policja nie zamierza jej już dłużej szukać, a ona zaginęła dziesięć dni temu – powiedziała z gniewem i niepokojem.

Conde westchnął. W takiej chwili dobrze by mu zrobił łyk rumu, ale z miejsca odrzucił tę myśl. Wybrał papierosa.

– Kim jest ta ona? Ta, która zaginęła?

Yadine wyciągnęła komórkę z kieszeni czarnej, nabijanej ćwiekami koszuli i przez chwilę coś wystrukiwała, wpatrując się w ekran. Podała aparat Condemu, który zobaczył zdjęcie Yadine obok innej dziewczyny, ubranej i umalowanej prawie identycznie. Wtedy dopiero odezwała się zdecydowanym tonem, patrząc na niego swoim jedynym widocznym okiem.

– To jest ona. Moja przyjaciółka Judy.

Conde oddał jej komórkę, którą schowała z powrotem do kieszeni.

– I co się z nią stało, z twoją przyjaciółką Judy? – Zdołał powstrzymać wtęret „do kurwy nędzy” i spróbował posunąć się dalej w dociekaniach. – Jak widzę, jest freakiem, gotką, tak jak ty...

– Nie masz racji. Nie jestem gotką ani freakiem. Jestem emo.

– Emo?

– Tak, emo.

– Można wiedzieć, co znaczy „emo”? Wybacz moją ignorancję...

– Wybaczam... Albo nie. Wybaczę, jak mi pomożesz jej szukać. Ona jest moją najlepszą przyjaciółką – wyjaśniła, wciąż akcentując zaimkę osobowy.

– Nie wiem, czy mi wybaczysz, bo niczego ci nie mogę obiecać... A teraz powiedz mi, co to znaczy być emo...

Yadine przyglądała włosy, a Conde dostrzegł w jej jedynym widocznym oku coś przypominającego przynębenie lub smutek.

– Widzisz, brakuje nam tu Judy... Ona wyjaśniłaby to lepiej niż ktokolwiek.

– Co to znaczy być emo?

– Tak, i inne rzeczy też. Judy jest genialna... – stwierdziła i dotknęła palcem skroni, żeby udowodnić inteligencję swojej przyjaciółki.

– No dobrze, ale powiedz mi coś o tych emo...

– My jesteśmy emo, a inni nie. No więc są freaki, dredy, rockersi, mikisi, reparteros, gamersi, punki, skatersi, metalowcy... i my, emo.

– No, pasuje – powiedział Conde, jakby cokolwiek z tego zrozumiał. – I...?

– My, emo, w nic nie wierzymy. No, prawie nic – poprawiła. – My, emo, ubieramy się na czarno albo na różowo i uważamy, że świat jest do dupy.

– I jesteście emo, bo wam się to podoba?

– Jest się emo, bo się jest emo. Dlatego że boli nas ten przegniły świat i nie chcemy nic o nim wiedzieć.

– No, w tym nie jesteście specjalnie oryginalni – zauważył Conde. Czuł, że drepcze w miejscu i spróbował sprowadzić rozmowę do konkluzji. – I co się z nią stało, z twoją przyjaciółką Judy?

– Zagineła dziesięć dni temu. – Yadine posmutniała, choć widać było, że ten wątek rozmowy bardziej jej odpowiada. – Zniknęła, ot tak, nikomu nic nie mówiąc, ani mnie, ani innym emo, ani swojej babci... To jest bardzo dziwne – podkreśliła znów z naciskiem. – Policja uważa, że na pewno próbowała uciec na tratwie i utonęła w morzu. Ale ja wiem, że nigdzie nie wyjechała. Bo po pierwsze, ona nie chciała uciekać, a po drugie, gdyby zamierzała to zrobić, ja bym o tym wiedziała, jej babcia też... albo siostra, która mieszka w Miami i też nic nie wie...

Conde uległ swojej dawnej profesji.

– Judy nie ma rodziców?

– No pewnie, że ma.

– Ale mówiłaś tylko o babci i siostrze...

– Bo ona nie zadaje się z rodzicami. Zwłaszcza z ojcem, który był... nie, nie był... który jest skurwilem i zabierał jej być emo...

Conde przez chwilę rozmyślał o tym domniemanym ojcu. Mimo że nadal nie wiedział do końca, co znaczy być emo, i nie był w stanie wczuć się w traumatyczne doświadczenie posiadania dziecka, w głębi ducha trochę się solidaryzował z tym rodzicem, więc postanowił nie drażnić tematu.

– Posłuchaj mnie, Yadine. – Rozpoczął przygotowania do rejerady, ale tak, by nie urazić dziewczyny, która rzeczywiście była poruszona zniknięciem najlepszej przyjaciółki. – Nie mam możliwości przepro-

wadzenia śledztwa w sprawie zaginięcia, od tego jest policja...

– Ale oni jej nie szukają, do kurwy nędzy! – przerwała mu gwałtownie. – A może została porwana...?

W tym momencie Condemu zrobiło się żal Yadine. Nieufni emo oglądają seriale? Śledzą fabułę *Bez śladu*? Porwanie przypominało sceny z *Zabójczych umysłów*. Kto, kurwa mać, miałby porywać jakąś emo? Drakula, Batman, Harry Potter?

– Chwileczkę, powiedz mi coś więcej... Czym się zajmuje ta twoja przyjaciółka, oprócz tego, że jest emo?

– Uczy się w tym samym co ja Instytucie Przeduniwersyteckim. Wymiata... ma łeb – stwierdziła i znowu dotknęła skroni. – Egzamininy zaczynają się w przyszłym tygodniu i jak nie wróci...

– Czyli jest twoją szkolną koleżanką... Czy Judy wpakowała się w coś niebezpiecznego? – Conde szukał łagodniejszego słowa, ale trzeba było nazwać rzeczy po imieniu. – W narkotyki?

Po raz trzeci Yadine odgarnęła włosy z twarzy. Conde zapragnął zobaczyć, jakie uczucia się na niej malują.

– Może czasem jakaś pigułka... ale nic więcej. Na pewno nie.

– Zadawała się z dziwnymi ludźmi?

– My, emo, nie jesteśmy dziwni. Uwielbiamy być przygnębieni, niektórzy lubią zadawać sobie ból, ale nie jesteśmy dziwni – dokończyła, znów z emfazą.

Conde poczuł, że wkracza na grząski grunt. „Uwielbiają” przygnębienie? Zadają sobie ból? Ale nie są dziwni... Zaciekawienie wzięło górę nad chęcią szybkiego zakończenia rozmowy.

– O co chodzi z tym zadawaniem bólu?

– No, drobne sznyty, żeby bolało... żeby poczuć się wolnym – powiedziała po chwili Yadine i przejechała palcem po przedramieniu opiętym zarękawkim w paski i udach wciśniętych w nogawki ciemnych spodni.

Conde pomyślał, że za cholerę nic z tego nie pojmuje. Mógłby zrozumieć, że ci młodzi w nic nie wierzą, zaakceptować nawet, że się kolczykują i zakładają obręcze, ale kaleczyć się? Zadręczać dla samej przyjemności gnębienia samego siebie, żeby w ten sposób się wyzwolić? Od czego? Nie, tego nie potrafił pojąć i zapewne nigdy nie pojmie. Postanowił nie zadawać więcej pytań i czym prędzej zakończyć tę absurdalną historię zaginionej, a może porwanej emo.

– No dobrze, żeby cię uspokoić, zobaczę, co się da zrobić... – Rozważywszy naprędce różne możliwości, starannie wybrał te najmniej zobowiązujące, które jednocześnie pozwalały mu na szybki odwrót. – Pogadam z moim przyjacielem, szefem policji, i zobaczymy, co powie... Potem rozmówię się z rodzicami Judy i zobaczymy, co myślą o...

– Nie, z rodzicami nie. Z Almą, jej babcią.

– Okej, z babcią – zgodził się bez protestów, wyjął z kieszeni spodni kartkę papieru i długopis wpięty w kieszonkę koszuli. – Podaj mi adres i telefon babci Judy... Ale pamiętaj, nic nie obiecuję. Jak tylko się czegoś dowiem, za parę dni zadzwonię, w porządku?

Dziewczyna wzięła kartkę i zapisała dane. Oddała ją Condemu, odgarnęła włosy z zakrytej części twarzy, odsłaniając czyste piękno i udrękę na swoim siedemnastoletnim obliczu, i postawiła ostatnie żądanie:

– Znajdź ją... Ta sprawa z Judy naprawdę mnie dręczy.

Chudzielec i Królik, niby wachtowi z załogi Kolumba, przeczesywali horyzont, stojąc na ganku domu Carlosa. Gdy tylko na rogu ulicy wypatrzyli Condego, piastującego torbę z wiadomą zawartością, Carlos puścił w ruch swój wózek na baterie i zawołał:

– Ja pierdziele, wyżej sra, niż dupę ma!

– Bardzoście spragnieni?

– Wiesz, która godzina, ty łajzo? – ochrzanił go Chudzielec, po czym wyrwał mu z ręki torbę, węsząc jej zawartość i okazując wszem wobec skrajne pragnienie.

Conde pogłaskał Carlosa po głowie i przybił piątkę z Królikiem.

– Nie pierdól, łachudro, nie ma jeszcze dziewiątej... Jak się masz, Króliku?

– Chudzielec powiedział mi, że przyjdiesz wcześniej, że masz kasę, że kupiłeś rum, a u mnie... U mnie w porządku, choć mogło być lepiej – odpowiedział, odebrał od Carlosa torbę i zniknął we wnętrzu domu.

– Gdzie twoja matka? – zapytał Conde siedzącego na wózk przyjacielea.

– Coś tam pichci.

Wysłuchawszy tej obiecującej wiadomości, wyczuł bunt własnych kiszek protestujących przeciwko skazaniu ich na samotność.

– Podaj bliższe informacje – zażądał.

– Staruszka twierdzi, że nie ma dziś głowy do gotowania... Tamal z młodej kukurydzy duszony w saganaku... Z dużą ilością wieprzowiny w środku... Królik przyniósł piwo, na trawienie. W tym upale...

– Wieczór nabiera smaku – orzekł Conde, kiedy Królik wrócił ze szklankami pełnymi rumu z lodem. Wypili po łyku i wszyscy trzej poczuli, że ich troski idą precz.

– A poważnie, czemu przyszedłeś tak późno, Conde? Mieliście skończyć wcześniej.

Conde uśmiechnął się i zanim odpowiedział, pociągnął kolejny długi łyk.

– Kompletnie wariatwo... Ktoś z was wie, kim są emo?

Carlos nawet nie zdążył wzruszyć ramionami, by zademonstrować swoją ignorancję.

– To jedno z miejskich plemion, które pojawiło się w ostatnich latach. Uwierają się na czarno albo różowo, zaczesują włosy na twarz i lubią być przygnębieni.

Conde i Carlos spojrzeli osłupiałym wzrokiem na popisującego się swoją wiedzą Królika. Przyzwyczajeni już byli do jego wykładów na temat obróbki metali w Babilonii, kuchni sumeryjskiej i obrzędów pogrzebowych Siuksów, ale erudycja w sprawie emo wprawiła ich w zdumienie.

– No tak – potwierdził Conde – tacy są emo... A spóźniłem się dlatego, że właśnie rozmawiałem z jedną z nich.

– Z emą? – Carlos zastosował grę słów.

– Z wnuczką Kubańczyka Kamińskiego, tego lekarza.

– I o czym rozmawialiście? O depresji?

– No, prawie... – odparł i opowiedział im o nieoczekiwanej prośbie dziewczyny, błędnie przekonanej, że Conde jest kimś w rodzaju prywatnego detektywa w tropikach.

– Ja pierniczę... i co zamierzasz zrobić? – dopytywał się Carlos.

– Nic... Zadzwoń do Manola, może coś wie, a jak starczy czasu, porozmawiam z jej babcią, żeby uspokoić Yadine, bo jest mi jej żal. Ale skąd niby mam wytrzasnąć to dziewczę, które pewnie gdzieś tu się szwenda i robi Bóg wie co?

– A jeżeli rzeczywiście ją porwano? – zapytał Królik, największy miłośnik seriali w tym gronie.

– Zaczekamy, aż zażądamy okupu... Albo mi dacie jakiegoś freaka, albo zjem samo emo...! A na razie dajcie mi tamal z saganaka, bo konam z głodu, do cholery! – zawołał Conde, pragnąc jak najszybciej zapomnieć o sprawie, która wydawała mu się coraz bardziej pokręcona.

Pochłaniali jedzenie jak Beduini po długiej wędrówce przez pustynię: dwa głębokie talerze zmielonych ziaren, które przeszedłszy przez ręce Josefiny, nabrały smaku ambrozji, do tego sałatka z pomidorów i papryki oraz misa smażonych dojrzałych platanów zakrapianych piwem, a resztki głodu zaspokoiłi półmiskiem kokosowej słodkości z serkiem śmietankowym.

Około północy, kiedy Conde szedł do Tamary, dręczyło go nieodparte wrażenie, że umknęło mu coś ważnego. Ale nie wiedział co. Ani gdzie. Wiedział tylko, że to ważne...

Wszedł, rozebrał się, umył zęby i na palcach przemknął do sypialni, niczym typowy mąż zakradający się do domu o niestosownej porze. W ciemności słyszał lekkie pochrapywanie Tamary, jak zawsze wilgotne i piskliwe. Ostrożnie położył się na swoim skraju łóżka, z pełną świadomością, że wołałby tę drugą stronę. Tamara jednak od początku postawiła sprawę jasno, poklepując lewą część materaca: jeżeli chcesz spać ze mną, to przyjmij do wiadomości, że to jest moja strona, zawsze i wszędzie. Wziąwszy pod uwagę wszystko, co jej zawdzięczał, uznał, że nie warto się kłócić o ten przestrzenny detal. Chociaż wołał drugą stronę.

Złożył głowę na poduszce i poczuł, jak zmęczenie po pracowitym, pełnym napięcia dniu z wolna opuszcza jego mięśnie. Usypiała go napawająca rozkoszą sytość i zapity piwem rum. Wówczas znienacka stanęła mu przed oczami twarz Yadine, emu Kamińskiej. Dziewczyna, razem ze swoimi kolczykami i smutnym spojrzeniem, zajęła miejsce tych przeżytych już i tych dopiero przeżywanych zmar-twień, towarzysząc mu w drodze ku wygaszaniu świadomości.

Gdy tylko Conde przestąpił próg Głównego Biura Śledczego, miał ochotę odwrócić się i szybko stamtąd wybiec. Wprawdzie od dwudziestu lat nie był tu ani nikogo nie odwiedzał, ale wspomnienie trwającego dekadę burzliwego pobytu w policyjnym świecie przyprawiało go o dotkliwy ból głowy. Kiedy przyglądał się nowym meblom, zasłonom z grubego płótna, pieszczonym powiewem klimatyzatora, i świeżo pomalowanym ścianom, zadawał sobie pytanie, czy to pozornie aseptyczne wnętrze jest tym samym miejscem, w którym kiedyś pracował, i czy tamto doświadczenie dotyczy jego obecnego życia, a nie jakiejś biegnącej równoległe albo już dopełnionej dawno temu egzystencji. „Jak, do kurwy nędzy, udało ci się być przez dziesięć lat policjantem, Mario Conde?”

Nie poznawał żadnego z mijanych w budynku mundurowych ani oni nie poznawali jego, tak przynajmniej sądził i przyjmował to z ulgą. Ze śledczych z tamtych czasów mogli dotrzeć tylko najmłodszy, jak naówczas sierżant Manuel Palacios, jego odwieczny asystent, który właśnie, po dwudziestominutowym oczekiwaniu, wreszcie wyszedł z windy i zmierzał w jego stronę. Był w mundurze, który tak sobie upodobał, a na ramionach miał naszywki majora.

– Pogadamy na zewnątrz – powiedział, ściskając Condemu dłoń i niemal wypychając go z mroźnego wnętrza na parny upał czerwcowego poranka.

– A dlaczego, do cholery, nie możemy porozmawiać w środku?

Manolo założył tajemnicze okulary przeciwsłoneczne, za którymi zamierzał ukryć zmarszczki i worki pod oczami. Nie był już chudy jak kiedyś, ale też trudno było go nazwać grubym, mimo że sprawiał takie wrażenie. Conde przyglądał mu się z uwagą: sylwetka jego byłego kompana przypominała źle nadmuchaną lalkę: okolice obwisłego brzucha i twarzy wypełniło zatęchłe latami powietrze, z kolei ramiona, pierś i nogi pozostały szczupłe, jakby zasuszone. „Ja pierdzielę, ten kutas wygląda gorzej ode mnie”, pomyślał ekspolicjant.

Wyjęli papierosy i przysiedli na murku pod tym samym pseudoszlachetnym wawrzynem, który przez wiele lat oglądał Conde przez okno swojej klatki.

– Co tam znowu, stary? Zaraz nas tu wróble obsrają... – Major Manuel Palacios z papierosem w ustach rozglądał się na boki, jakby ktoś go śledził. – Na domiar złego nie wolno już palić w środku... Mówię ci, nie idzie tu wytrzymać...

– A od kiedy to?

Manolo usiłował się uśmiechnąć.

– Gównu wiesz...! Fajki to jeszcze małe piwo... Wyobraź sobie, nagle przyszło im do łba, że skoro ci na dole kradną, to dlatego, że ci na górze dają im klucz, wręcz otwierają drzwi na oścież... Cała kupa grubych ryb już siedzi w pace albo będzie siedzieć. Grubych, bardzo grubych. Ministrów, wiceministrów, dyrektorów przedsiębiorstw...

– Wreszcie ktoś wytrzepał ten dywan. Musiał się nieźle natrudzić...

– I to nie drobnica. Wpadają nieźle tuzy unurzane w gównie... A my cap za nich. – Manolo zrobił zamach, jakby chciał złapać spadające z drzewa nadgniłe awokado. – Machlojki i mętne interesy idą w miliony... Nikt nie wie, ile porozkradali, sprzeniewierzyli, rozszabrowali, roztrwonili przez te pięćdziesiąt lat.

– A wy goniecie starszusków sprzedających na ulicy reklamówki, lody owocowe i klamerki do prania...

– Teraz ściągamy ważne szczy. Ale też w ramach operacji Sábado Gigante szukamy tych, co sprzedają anteny satelitarne łąpiące kanały z Miami... są takich tysiące, setki tysięcy... Likwidujemy burdele i kluby nocne, a jest ich cała kupa. Sprawa wybuchła nagle, kiedy w jednym z klubów zamordowano dziewczynkę, którą naszpikowano narkotykami, a potem ciało wyrzucono na śmietnik. Nawet włoscy dziwkarze są w to zamieszani i...

– No pięknie, nie ma co. Najlepszy z możliwych światów... I raptem teraz odkrywacie, że w tym kraju roi się od skorumpowanych urzędników, dziwek, narkomanów, deprawujących dziewczęta zbrojców i sukinsynów, których brano za świętych, bo zawsze potakiwali.

– Tkwiemy w samym środku tego gówna, a ty chcesz, żeby szefowie wysłali ludzi do szukania jakiejś porzelonej dziewczyny, która pewnie utopiła się na tratwie, płynąc do Miami. No więc?

– Jej przyjaciółka twierdzi, że rodzice i babcia zaklinają się i przysięgają, że ta mała nie uciekła... Nawet nie skontaktowała się z siostrą, która mieszka w Miami.

Manolo głęboko odetchnął.

– Dzisiaj rano, kiedy zadzwoniłeś, pierwsze, co zrobiłem, to poszukałem tego raportu... Mała była emo, a oni, większość z nich, mają grzywkę w oczach i tenisówki w głowie. Ale nie były jakie, tylko converse'y, z tych, co to kosztują prawie sto dolarów i...

– Tenisówki za sto dolarów?

Teraz dopiero major Palacios się uśmiechnął i podciągnąwszy na czoło ciemne okulary, przyjrzał się swojemu dawnemu partnerowi. Jego oczy błędziły po twarzy Condego, aż zatrzymały się na czubku nosa.

– Na jakim ty świecie żyjesz, chłopie? Posłuchaj, żeby być emo, trzeba mieć tenisówki tej marki albo innych, ale już nie pamiętam jakich, komórkę, ale nie byle jaką, nie tylko do rozmów i wysyłania esemesów, ale taką, która służy do robienia zdjęć, kręcenia wideo i słuchania muzyki. Trzeba nosić czarne ubranie, najlepiej Dolce i Gabbana, nieważne, autentyczne czy made in Ecuador. Mieć bransoletki, naszywkę, opaski i rękawiczki też czarne, i to w taki cholerny upał, pasma włosów wyciągnięte za pomocą czegoś chemicznego, gładkie i sztywne, tak że możesz zaczesać sobie grzywkę na oczy, jakbyś miał na głbie skrzydło sępa... Wiesz, jak oni tę grzywkę nazywają? Befszytk...

– Befszytk? Ty, z czym to się je?

– To kosztuje. Trzeba mieć minimum pięćset dolarów, żeby zostać emo... ja tyle zarabiam w dwa lata.

– A jak wy sobie z nimi radzicie?

– No cóż... spotykają się wszyscy na ulicy G: emo, rockersi, freaki, rastamani, metalowcy, hip-hopowcy... a, i mikis.

– Co rusz pojawiają się nowi... O co tu chodzi? Wojny gwiazdne?

– Są mniej więcej jednakowi, ale wcale jednakowi nie są. Ci mikis na przykład są bardziej dziani, bo ich rodzice mają takie czy inne układy... Nie wtrącamy się do nich, dopóki ograniczają się do picia rumu, słuchania muzyki, sikania na ulicy, srania w okolicznych bramach, pieprzenia się w ciemnych zaułkach...

Teraz roześmiał się Conde.

– Ależ się u was zmieniło! Kiedy chodziłem do libazy, wsadzali do pudła za chodzenie w bermudach po ulicy... Co z narkotykami u tych młodych?

– Zawsze i wszędzie te kurewskie dragi. Tu się nie patyczkujemy. W weekendy zbierają się wszyscy razem, całą zgrają, kto by ich zliczył... i wtedy mamy problem. Próbuje złapać tych, co sprzedają, szukamy tych, co kupują, i za każdym razem jakaś rybka wpada do sieci.

– Jak to robicie?

– Conde, do kurwy nędzy, a od czego są informatorzy? Mamy mikipolicję, metalpolicję i wampiropolicję. Na ulicy G są również wampiry.

Conde pokiwał głową, jakby to, co usłyszał, było najnormalniejszą rzeczą pod słońcem. I chyba tak jest. Tak czy owak Manolo potwierdził słuszność jego decyzji: słuchać tej melodii, siedząc sobie beztroško w fotelu jako widz, a nie policjant w służbie czynnej, który na przykład poluje na wampiry. Czy ten kraj oszalał? Yadine nosi tenisówki za sto dolarów?

– Czyli nic nie możesz zrobić, żeby znaleźć tę dziewczynkę?

– To nie dziewczynka, Conde, ona ma osiemnaście lat, to już nie małolata, za stara jest, żeby się bać w emo czy inne takie, popadać w samoudręczenie i sznytować się dla przyjemności. Ale oni twierdzą, że nie są masochistami...

– Kurwa, Manolo, mam wrażenie, że stuknęła mi już setka. Za cholerę tego nie rozumiem. Spieprzyli nam życie w imię poświęcenia, przyszłości, determinizmu historycznego i jednej pary spodni na rok tylko po to, żebyśmy mieli to, co teraz mamy... Wampiry, depresanci i masochiści na własne życzenie? W taki upał?

– Toż ci mówię, że to diabła warte, bo pewnie pieprzy się teraz z jakimś cudzoziemcem albo czymś tam się szprycuje, a może tnie, jak oni to lubią... Mogę tylko poprosić śledczych, żeby nie odsyłali sprawy do archiwum. Tyle że oni mają dość roboty, szukając alfonsów, dziwek, dilerów, oszustów, skorumpowanych urzędników i całego tego skurwysynstwa, żeby jeszcze uganiać się za jakąś emo, która przepadła bez śladu, bo tak chciała. A poza tym, sam wiesz, po siedemdziesięciu dwóch godzinach osoba zaginiona, której ktoś pomógł zaginać, zwykle jest już na zawsze zaginiona. – Manolo zamilkł na chwile i dodał: – Pytanie, czy wciąż żywa.

Conde zapalił następnego papierosa i podsunął paczkę Manolowi, ale ten pokręcił głową.

– Kiedy zniknęła?

Manolo wyjął notes z kieszeni swoich przydziałowych spodni.

– Trzydziestego maja... jedenaście dni temu – przeczytał. – Matka zgłosiła zaginięcie po trzech dniach. Bywało, że dziewczyna znikła na dzień, dwa, ale nigdy na trzy. Jak wiesz, dla śledztwa ten stracony czas ma fatalne skutki.

– Czy w raporcie jest coś ciekawego?

Manolo zastanawiał się przez parę sekund. Ponownie założył okulary i Conde stracił widowisko nerwowego mrugania.

– Rozmawiałaś z jej rodzicami?

– Jeszcze nie.

– Wysłali nawet zdjęcie córki do telewizji... Ale dopiero z dużymi oporami przyznali, że widywano ją z jakimś Włochem, niejakim... – zaczął kartkować notes, który zapewne znalazł w kubie na śmieci – Paolem Ricottim... Jego nazwisko wypłynęło podczas dochodzenia w innej sprawie, to notoryczny dziwak, podejrzany o deprawację nieletnich, tyle że nie udało się nam go złapać na gorącym uczynku.

– A co ta figura robi na Wyspie?

– Biznesmen... Miłośnik Kuby... Z tych, co to przekazują darowizny... Ale jednego nie rozumiem: po cholerę ty się wplątałaś w tę sprawę?

Conde spojrzął na budynek, w którym pracował dziesięć lat. Szukał wzrokiem okna swojej kłitki i bezwiednie uległ fali nostalgii.

– Bo bardzo chciałbym porozmawiać z tą Judy... Żeby wreszcie zrozumieć, co to znaczy być emo...

Manolo wstał, uśmiechając się szeroko. Dobrze znał wymijające odpowiedzi Condego i postanowił przycisnąć go do muru.

– A może po prostu nadal masz mentalność gliny?

– Jak mawiał mój dziadek: oby Bóg nas wybawił od tej choroby, o ile już nas nie dopadła... Dzięki, Manolo.

Conde wyciągnął rękę na pożegnanie, a Manolo, zamiast ją uściśnąć, przytrzymał jego dłoń w swojej.

– Słuchaj, stary, a jej ojciec cię nie interesuje?

W umyśle byłego policjanta błysnęła iskra.

– Tak, jasne...

– Facet jest nieźle umoczony. Był jednym z szefów kubańskiej spółdzielni w Wenezueli... Idzie stamtąd ogromny import na lewo...

– I...?

– Więcej nie wiem... Ale mnie też pewien ptaszek szepnął coś do ucha i chcę to sprawdzić.

– Interesuje mnie, co odkryjesz. Nawet jeśli nie ma związku z dziewczyną. Nieszczęścia chodzą parami... – stwierdził i odruchowo dotknął lewej piersi, gdzie zwykle rozdziły się jego bolesne przeczucia.

– No nie, Conde, daj sobie spokój z tą swoją intuicją... A, i przyłóż na głowę krowie łajno, mówią, że pomaga na łysienie...

Po kilku dniach pogrózek niebo w końcu się znarwiło i otwarło swoje upusty: błyskawice, pioruny i deszcz zalały wieczór, jakby nastąpił koniec świata. Kiedy zdarzała się taka apokaliptyczna ulewa i upał trochę odpuszczał, Conde stosował sprawdzony sposób na przeczekaanie letniej burzy: napęłniał brzuch tym, co akurat było w domu, wyciągał się na łóżku, otwierał astmatyczną powieść pewnego kubańskiego poety, którą zawsze miał pod ręką na taką okoliczność, czytał jedną stronę, za cholerę nie rozumiejąc, o co chodzi, i po takim umysłowym kopniaku zasypiał, ukołysłany szumem deszczu – tak też stało się tamtego wieczoru – niczym osesek, który właśnie skończył ssać matczyną pierś.

Obudził się po dwóch godzinach, ociężały i przemoczony. Ociężałość spowodował sen, a przemoczenie Śmieć II, który zgodnie ze swoim obyczajem ukrył się przed letnią nawalnicą w łóżku Condego i teraz drzemał, ociekając wodą, twarzą w twarz z opiekunem. Conde pomyślał, że sen psa to dobra okazja, żeby go teraz ukatrupić: tylko na to zasługiwał ten cwany drań. Ale kiedy patrzył, jak z wyciągniętym jęzorem cicho pomrukuje ze szczęścia, bo pewnie przyśniła mu się jakaś psia uciecha, całkiem rozbrojony wstał z największą ostrożnością, żeby nie wyrwać ze sjęsty tego... sukinsyna, który za zmoczenie łóżka zasłużył na egzekucję.

Deszcz przestał padać, ale słońce nadal przesłaniały chmury. Parząc kawę, Conde bezwiednie przypomniał sobie rozmowę z Manolem. Czy jest jakiś związek między działalnością ojca emo w Wenezueli a zniknięciem jego córki? Logicznie rzecz biorąc, mało prawdopodobne, ale logika lubi płatać figle, pomyślał.

Po wypiciu kawy i wypaleniu papierosa postanowił puścić maszynę w ruch i zadzwonił do Yoyiego Gołębia.

– Masz jakieś wieści od tego dygnitarza?

– Jeszcze nie – odparł wspólnik. – Daj mu trochę czasu... dwa, trzy dni. Czyżbyś przestał wierzyć w mój węż?

– Wprost przeciwnie... Słuchaj, stary, jeśli nie masz żadnych planów na dziś wieczór, mógłbyś sprządzić ze mną coś, co mnie interesuje, a czego ni w ząb nie rozumiem?

– Stoi za tym szmal? – Cały Yoyi Gołąb w tym pytaniu.

– Ani trochę. Po prostu bardzo mi się przyda twoja pomoc... Szukam pewnej kobiety.

– Dla siebie?

– Nie całkiem. Za młoda, ma osiemnaście lat... Jest emo.

– Emo? Osiemnaście lat? Wchodzę w to.

Dwie godziny później Yoyi podjechał po niego swoim bel airem. Conde sprawdził, że najlepszą porą na spotkanie tych dziwadła jest godzina dziesiąta wieczorem, więc w celu zabicia czasu i głodu wspólnik zaprosił go do El Templete, dawnej portowej tawerny, która odżyła jako najdroższa restauracja w mieście, a jej klientela w 99,99 procent składała się z osób urodzonych lub przebywających za morzami oraz z nowych miejscowych biznesmenów, jedynych ludzi na Kubie będących w stanie pokonać barierę zawrotnych cen, tyle bowiem kosztowały frykasy serwowane w owym lokalu. Condego wcale nie zdziwiły rewerencje godne arabskiego szejka, z jakimi – od dozorców po szefa – powitano Yoyiego, samowładnego księcia na dzielni.

Jedli bez opamiętania, choć pili z umiarem (dwie butelki czerwonego ribera del duero gran reserva), potem zostawili chevroleta przed domem przyjaciela Yoyiego, który miał zaopiekować się samochodem, jakby to była jego własna córka, w dodatku dziewczica, po czym ruszyli siedemnastką w stronę ulicy G, dawnej Avenida de los Presidentes. Od kilku lat centralny skwer alei okupowały miejskie plemiona Hawany, jak nazywano owych krnąbrnych nocnych marków, pośród których, jakby jeszcze tylko tego brakowało, żyły tropikalne wampiry.

Conde już kilkakrotnie niezbyt przychylnym okiem obserwował z okna samochodu albo autobusu zbiorowisko młodych ludzi, którzy głównie w weekendowe wieczory brali w posiadanie ulicę G. Od początku sprawiało to na nim wrażenie niezrozumiałego, osobliwego spektaklu. Jak się później dowiedział, wszystko zaczęło się od ulicznego zlotu miłośników rocka, którzy nie mieli się gdzie spotykać, a wkrótce potem przeobraziło w masowe skupisko znużonej, buntowniczej młodzieży, raczej samowyluczonej niż zmarginalizowanej, usiłującej pozbawić sensu upływ czasu pogaduszkami, pić oraz kopulowaniem z byle kim i byle gdzie. niewiele więcej wiedział o tym światku, tak obcym i dalekim od jego własnego życia.

Jeszcze podczas kolacji Yoyi usiłował mu coś wytłumaczyć.

– Zobaczmy, czy łapiesz, o co chodzi.

– Nie łapię, ale spróbuj... – zgodził się Conde.

– Te dzieciaki chcą tylko mieć spokój i bez skrępowania gadać głupoty. Każde plemię ma własny temat. Rockersi mówią o rocku, rastamani o dredach, freaki o ekstrawaganckich ciuchach, mikis o komórkach i markach ubrań...

– Wzniosłe tematy... A emo?

– Ci faktycznie są jebnięci, *man*. Nie mówią dużo, bo lubią być przygnębieni.

– Wszyscy gadają o depresji... Naprawdę to lubią? Nie zgrywają się? Intryguje mnie to...

– Żeby być emo, trzeba mieć depresję i rozmyślać o samobójstwie.

– A mówiłem ci, że nie złapię, w czym rzecz.

Yoyi, który nie przepadał za słodyczami, zjadł krewetki z czosnkiem reklamowane jako deser, wypił łyk wina i podjął się oświecenia Condego.

– Rzecz w tym, że wszyscy ci młodzi nie chcą być tacy jak ty, Conde. Ani jak ja. Pragną być inni, ale przede wszystkim pragną żyć po swojemu, żeby nikt im nie mówił, jacy mają być, jak to się dzieje w tym kraju, gdzie ciągle się ludziom rozkazuje. Urodzili się w czasach jeszcze bardziej popieprzonych, nie uwierzą w żadne bajeczki i nie mają zamiaru być posłusznymi... Chcą być out, poza...

– To mi się już bardziej podoba. To chwytam...

– No, pasuje, *man*. Należą do plemienia, bo nie chcą należeć do skupiska. Bo plemię jest ich, a nie tych, którzy wszystko organizują i planują dla mas. – Wycelował palcem w górę.

– Rozumiem... ale nie całkiem. Skąd ty to wszystko wiesz?

Yoyi uśmiechał się, gładząc swoją gołębią pierś.

– Bo w swoim czasie byłem rockersem... Szalałem za Metallicą.

– No popatrz... a ja nie wyszedłem poza Creedence...

– Ale wtedy to była tylko zabawa. Ci obecni rockersi to sprawa bardziej skomplikowana. – Unaoczniając te komplikacje, Yoyi postukał się w głowę. – To jest na serio. W każdym razie oni tak uważają.

Tego wieczoru, nie tak skwarne po niedawnym deszczu, ulicę zapełniali młodzi ludzie. Conde od razu dostrzegł, że większość z nich to jeszcze dzieci, ubrane jak na futurystyczny karnawał. Były tam grupki skupione wokół gitarzystów; chłopcy, którzy włożyli się wte i wewte po centralnym skwerze alei w poszukiwaniu czegoś, czego nie znaleźli albo wcale nie szukali; wielu siedziało na ziemi, z pewnością mokrej po wieczornej ulewie, podając sobie z rąk do rąk plastikowe butelki z jakimś mętnym płynem, zapewne wysokooktanowym sikażem. Jedni nosili obcisłe ubrania, drudzy bufiaste spodnie; jedni mieli na głowach wyżelowane czuby, na przegubach bransolety średniowiecznych katów, na szy-

jach łańcuchy z kłódkami; inni, ubrani na różowo, mieli kolczyki w uszach i mocno umalowane usta. Wyobcowani i gardzący opresyjną hierarchią, znudzeni, dobrowolnie wykluczeni, anatomiczni i muzyczni obsesjonaci bez płci, naiwni, wściekły wojownicy plemienni, anarchiści bez sztandarów, poszukawcze wolności. Conde miał wrażenie, że idzie nie hawańską ulicą, ale że znalazł się w Marsporcie, oczywiście bez Hildy²⁴. Ale to była Hawana – miasto, które wreszcie odchodziło od własnej przeszłości, by na materialnych i moralnych ruinach wytyczyć nieodgadnioną przyszłość.

Być może Conde, aby się upewnić, na jakiej jest planecie, musiał sobie przypomnieć, że w tym samym mieście, w którym teraz objawiło się dziesięć zaginionych plemion, wiele lat temu, gdy był jeszcze nastolatkiem, pewni czarownicy o nieograniczonej władzy wychodzili na ulice, by polować na młodych ludzi, którzy mieli włosy odrobinę dłuższe i spodnie bardziej obcisłe od tego, co czarownicy owi – zbrojne ramię prawdziwej władzy – uznawali za stosowne lub niedopuszczalne u chłopca będącego celem rewolucyjnego procesu stworzenia, tymi i innymi metodami, Nowego Człowieka. Bronią masowego rażenia, jaką posługiwała się ta czerwona gwardia, były nożyczki obcinające włosy i odzież. Tyśiące tych młodych ludzi, tylko z powodu ich preferencji dotyczących fryzury, muzyki, religii, stroju lub płci, traktowano jak wyrzutków, dla których nie ma miejsca w wykuwającym się nowym społeczeństwie, strzyżono i ubierano wedle narzuconego odgórnie wzorca. Wielu z nich trafiło do obozów pracy, w których, jak mniemano, dzięki harówce na roli i wojskowej dyscyplinie zostaną reedukowani dla ich własnego dobra i dla dobra narodu. Zyskać miano bananowej młodzieży, zachowywać się jak hipis, wierzyć w jakiegokolwiek boga albo popisywać się zgrabną pupą było ideologicznym grzechem, więc hordy wyznawców czystości rewolucyjnej, karczące i prostujące moralną oraz światopoglądową drogę ku lepszej przyszłości, urządziły sobie wydajną i produktywną zafrę owych jakoby wynaturzonych osobników, skazanych na poprawę albo likwidację (gdy tymczasem prawdziwa zafra, zbiór trzciny cukrowej – żniwo rozwoju i zacofania, nie dawała tak dobrych plonów). Snując owe wspomnienia, Conde zastanawiał się, czy całe to cierpienie i represje wobec odmieńców tylko dlatego, że byli inni, czy to dławienie wolności na ziemi wolności obiecanej czemukolwiek służyło. Teraz widział, że nie. I bardzo się z tego cieszył. Ale... czy na pewno zniknęli czarownicy, czy może tylko się przyczaili, czekając na swoją chwilę, nawet gdyby życie odebrało im na to szansę...? A przecież z owego pstrokatego, pofragmentowanego świata, który teraz przemierzał jak ślepiec bez laski, docierała do niego, niczym natrętny szum, myśl, iż wielu z tych młodych ludzi rokосуje się depresją i dokonuje samookaleczenia w imię cywilizacji śmierci, co dla byłego policjanta było czymś sprzecznym z naturą, więcej, z samą istotą kubańskości. Coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że do odwiedzenia tego miejsca skłoniła go właśnie ich niezrozumiała postawa.

– Yoyi, a jak w tym cyrku się połapać, którzy to emo?

– Nie kumasz, *man*? Po stroju i befsztyku... Chodź, poszukamy ich...

– Stary, uprzedź mnie, jak zobaczysz wampiry. Ale pewnie sam je rozpoznam po kłach i po tym, co piją: zamiast rumu z colą Bloody Mary.

Yoyi podszedł do najbliższej grupki, Conde tymczasem, rozmyślając nad tym, czego już się dowiedział, i usiłując wytłumaczyć sobie ów świat za pomocą języka ironii, pod którym skrywał stan oszołomienia, obserwował na jednym z rogów alei ludzi przyszłości, będącej już teraźniejszością. Kiedy wrócił, współnik powitał go uśmiechem.

– Są kawałek dalej, przed skrzyżowaniem G i Piętnastej...

Przeszli przez Siedemnąstą i opodal monumentu z serii nowych i coraz szkaradniejszych posągów latynoamerykańskich bohaterów, które umieszczono na miejscu usuniętych pomników kubańskich prezydentów z czasów republikańskich, ujrzeli mieszkańców niewielkiej, ale suwerennej Emolandii. Sztynne grzywki oblepiające połowę twarzy, czarne i różowe ozdoby, pasiaste zarakawki jak u zebry, metalowe kolczyki w rozmaitych zakamarkach ciała, uczernione usta, oczy i paznokcie wyróżniały ich spośród pozostałych tubylców, których zdążył już zobaczyć Conde. Wbrew własnej woli, wiedziony policyjnym instynktem, zatrzymał idącego szybko Gołębia i spróbował odnaleźć wzrokiem Yadine, niestety bezskutecznie. Postanowił zatem poddać oględzinom całą gromadę, żeby wyrobić sobie własne zdanie na jej

temat. Ci, których widział wcześniej, śpiewali, rozmawiali albo się obcałowowali, natomiast młodzi emo, wpatrzeni we wszystko i w nic, trwali w milczeniu, siedząc na wilgotnej trawie, która z pewnością kłuła ich w tyłki. Kolistę rozmieszczenie grupy ułatwiało kursowanie plastikowego baniaka krążącego z ręki do ręki w kierunku odwrotnym do ruchu wskazówek zegara, jakby przemierzał dokuczliwy czas ku nicości. Obserwując ich, Conde doszedł do wniosku, że zaczyna pojmować to, co wydawało mu się niezrozumiałe: ci młodzi ludzie byli znużeni otoczeniem. A przecież jedyne, co potrafili, to przyozdabiać się, upijać i izolować co wieczór, by w ten sposób zmierzyć się ze stanem permanentnego zmęczenia, nie próbując nawet, poza autoalienacją, znaleźć wyjścia z sytuacji. Jak sugerowała niewyszukana filozofia Yadine, chcieli tylko być, trwać i wyglądać. Emo byli wnukami przygniatającego historycznego marazmu, dziećmi dwóch dekad świadomie rozdysponowanego ubóstwa, istotami pozbawionymi wiary, które pragnęły jedynie ukryć się w kącie należącym wyłącznie do nich, niedostępnym dla każdego, kto pochodził spoza ich umysłowego i fizycznego kręgu, a ekspolicjant w tej właśnie chwili mimowolnie zamierzał ów krąg rozbić. Kierowany zachwałym i niepowstrzymanym impusem, Conde zrobił trzy kroki, najbardziej energiczne, na jakie się zdobył od ładnych paru lat, podszedł do grupki i usiadł między emo a emą, czy jak tam ich zwać.

– Dacie łyka?

Młodzi ludzie nie mieli innego wyjścia, musieli powrócić do nienawistnej rzeczywistości: istota z obcej planety była zjawiskiem zbyt niezwykłym, by ją zignorować. A w dodatku ten beczelny kosmita chciał się z nimi napić.

– Nie – oświadczył emo siedzący naprzeciwko i kurczowo chwycił baniak.

Conde przyjrzał się blondynkowi o włosach tak jasnych, że niemal przezroczystych, z grzywką opadającą na prawe oko; usta miał w tonacji głębokiej purpury, jeden tylko dosztukowany zarękawek i błyszczący krowi kolczyk w nosie. Robił wrażenie wzorcowego obojnika. Należałoby przeprowadzić wnikliwe badania pod mikroskopem, żeby określić jego płeć.

– W porządku. I tak pewnie to wyjątkowe gówno – nie pozostał dłużny Conde, po czym przysunął się nieco do emy z jego prawej strony i zawołał swojego towarzysza. – Chodź, Yoyi, przysiądź się, odrobina depresji nie zaszkodzi...

Yoyi, który ze zdumieniem obserwował poczynania Condego, tak dla niego nietypowe, z ociąganiem podszedł bliżej. Nawet jemu, byłemu rockersowi przemienionemu w wojownika codzienności, zachowanie kompana wydało się skrajnie dziwaczne. Dlatego też wyszeptał „przepraszam” i usiadł na miejscu, które odstąpił mu Conde. Widać było poza tym, że nie bawi go perspektywa ubrudzeniu sobie dżinsów od Armaniego.

– Co za kutas! – jasnowłosa Błada Twarz odzyskała męski charakter i zaprotestowała energicznie. Pozostali poparli kolegę, ale Conde szybko uciął głosy oburzenia.

– Chcę tylko o coś zapytać. Czy Judy żyje, czy nie?

Bomba niespodziewanie rzucona przez ekspolicjanta wprawiła ich w osłupienie. Ale oczy im zabyły.

– Służę wyjaśnieniem... – powiedział Conde, unosząc palec wskazujący. – Nie jesteśmy z policji. Na prośbę jej babci chcemy się dowiedzieć, co się z nią stało. – Nie był pewien, czy wspomnieć o udziale Yadine, czy lepiej go przemilczeć. – Prawdziwa policja twierdzi, że Judy zamierzała uciec z Kuby, wsiadła na tratwę i... Proszę wybaczyć, nie przedstawiłem się: Mario Conde, do usług.

Młodzi ludzie wysłuchali nieproszonego gościa, spojrzeli po sobie, a kilku zerknęło na Bładą Twarz mającą niewątpliwie przedysponowaną pozycję przywódcze. Conde, starając się przeniknąć ich maski, ocenił wiek uczestników spotkania: od czternastu do osiemnastu lat. Zorientował się również, że jego słowa odniosły pewien efekt, więc jeśli chce to wykorzystać, musi działać szybko.

– Mówiono mi, że emo uwielbiają tratwy i...

Błada Twarz zabrała głos.

– Judy zawsze mówiła, że coś robi, ale potem nigdy tego nie robiła... Coś mi wspominała o tratwie.

Jedyny w grupie czarny emo chrząknął znacząco. Miał tę przewagę nad innymi, pomyślał Conde, że mógł zaoszczędzić na szmince, z kolei wiele trudu i płynów chemicznych musiał go kosztować befszytk, prosta grzywka opadająca na twarz.

– Ja tam w to nie wierzę – oznajmił chłopak i spojrzął na przywódcę.

– Tak mi powiedziała któregoś dnia – odparł blondynek, jakby urażony. – Czy to zrobiła, czy nie, to insza inność. Mam nadzieję, że poszła sobie w cholerę. – Ostatnie słowa wyszeptał, poprawiając jedyny zarękałek w paski, który sięgał od nadgarstka do ramienia.

Kogoś mi przypomina ten niemal przezroczysty chłopak, pomyślał Conde, ale kogo? Szukał słów, żeby przerwać milczenie i zmusić ich do mówienia.

– To zabawne być emo? – zapytał prowokacyjnie.

– Jest się emo, bo się jest emo, a nie dla zabawy – stwierdziła siedząca obok ema. – Dlatego że boli nas życie w tym zasranym świecie i nie chcemy nic o nim wiedzieć.

Conde zanotował w myślach te słowa, bo niemal identyczne wypowiedziała poprzedniego wieczoru Yadine. Czyżby to było zawołanie plemienne, tekst ich emocjonalnego hymnu?

– A co na to twoi rodzice?

– Nie wiem, nic mnie to nie obchodzi – odburknęła, po czym zaraz dodała recytatorskim głosem i doskonałą angielszczyzną: – *It's better to burn out than to fade away*, jak powiedział Kurt Cobain.

Kilka niemrawych, ale potakujących *yeah, yeah* skomentowało wypowiedź dziewczyny, a Conde zastanawiał się, kim jest ów poeta albo myśliciel zacytowany przez początkującą piromankę. Cobain? To nie Billy Wilder był autorem tych słów? Nagle przypomniał sobie rozmowę z grupą freaków w odległych czasach, kiedy był jeszcze policjantem: chcieli swobody, więc odsunęli się od opresyjnego społeczeństwa, żeby cieszyć się prawem do wolności i ostrego dymania. Sprawy przybrały zły obrót, skoro obecni emo niczego nie chcieli, a jedynie manifestowali swoją aseksualność, w dodatku woleli spłonąć, by rozkoszować się własnym całopaleniem.

– Czy ktoś z was widział zdjęcie Judy, które jej mama wysłała do programu telewizyjnego o zaginionych ludziach i psach? – zapytał pozornie obojętnym tonem.

– Tak, ja widziałam...! Wyglądała jakoś inaczej, taka jakaś doczesana – powiedziała inna ema, która siedziała nieco dalej i uśmiechała się, co potwierdziło obawy Condego.

– To prawda, że miała włoskiego narzeczonego?

Czarny emo pokręcił głową, a mimo to grzywka na jego twarzy ani drgnęła.

– Jestem przyjacielem Judy ze szkoły – powiedział. – Ten facet nie był jej chłopakiem. Co za pomysły, staruch miał koło czterdziestki.

Conde zerknął na Yoyiego: a on kim, kurwa, jest, skoro ma ponad pięćdziesiąt? Dlaczego Yadine nie wspominała nawet słowem o żadnym Włochu?

– No i...?

– Mówiła, że to jej kumpel. Że lubi z nim gadać, bo ją rozumie... Dawał jej książki, które kupował w Hiszpanii...

– Ale pieprzys! – zaprotestował blady emo, z jakiegoś powodu zirytowany słowami emo ciemnoskórego.

Conde ponownie spojrzął na Yoyiego: za tą historią o starym i dobrym Włochu ciągnął się jakiś smród.

– Twierdzisz, że nie wspominała o ucieczce z Kuby?

Chłopak zastanawiał się przez chwilę.

– No, raz... ale później już mi nic o tym nie mówiła. Wszyscy gadają o wyjeździe i kupa ludzi stąd ucieka, ale Judy miała powód, żeby zostać: chciała dopieprzyć ojcu.

– No tak, zdarza się... Dasz mi teraz łyka? – Conde zwrócił się do Bładej Twarzy, która dzierżyła baniak i jednocześnie wystukiwała coś na komórce, wpatrzona w ekranik, jakby rozmowa przestała ją interesować. Chłopak niechętnie wręczył mu bidon. Conde powąchał: pijał już gorsze sikaczki. Przełknął, prychnął i podał trunek Yoyiemu. Gołąb oczywiście odmówił poczęstunku. – Interesuje mnie jeszcze jedno... na razie... Dlaczego emo lubią być przygnębieni dla samej przyjemności bycia przygnębionym? Mało to rzeczy dokoła jest faktycznie przygnębiających? Nie wystarczy wam spiekota na Kubie, musicie się jeszcze dodatkowo gnębić?

Blondynek spojrział na Condego z nienawiścią w oczach, jakby ekspolicjant sprofanował najświętsze dogmaty. O tak, tak, ten chłopak kogoś mu przypominał. Emo zastanawiał się przez moment i odpowiedział:

– Dawno już nie spotkałem takiego dupka jak ty. Gównu mnie obchodzi, czy jesteś gliną, czy nie. – Złość na chwilę odjęła mu mowę. Conde, gotów znieść wiele, byle tylko dowiedzieć się czegoś więcej, zauważył isierki radości w oczach domniemanych depresantów. – Zależy nam jedynie na tym, żeby nie mieć tak przesranego życia, jakie ty miałeś i jakie masz. Jesteś upierdliwym sztywniakiem, bo nigdy nie zrobiłeś tego, na co miałeś ochotę. Kupiłeś te wszystkie bzdety, jakich ci naopowiadano... bo jesteś cykor i pierdoła. I na cholera ci to było? Co z tego miałeś?

Emo zamilkł na moment, a Conde pomyślał, że chłopak czeka na odpowiedź, więc jej udzielił.

– Nic z tego nie miałem. Tak, chyba przegrałem... Jestem dupkiem.

– Słyszeliście? – Chłopak spojrział triumfująco na kompanów. Potem znów odwrócił się do Condego, któremu udało się zachować na twarzy głupawy uśmiech, jego zdaniem stosowny do sytuacji. – My przynajmniej nie pozwalamy się traktować jak barany, żyjemy po swojemu i przed nikim nie bijemy pokłonów, ani przed człowiekiem, ani przez bogiem. W nic nie wierzymy, nie chcemy wierzyć...

– Niewierzący czy heretycy? – domagał się sprecyzowania Conde, sam nie wiedząc czemu, może dlatego, że ostatnie zdanie, owa deklaracja dobrowolnej rezygnacji z wiary, poruszyła jakąś strunę w jego pamięci.

– Na jedno wychodzi. Ważne, żeby nie wierzyć – ciągnęła Błada Twarz, demonstrując swoje oczywiste przywództwo i z trudem dławiąc w sobie wściekłość. – Dlatego nic od nich nie chcemy, żeby potem nie mówili, że coś nam dali. Nie gadamy o wolności, bo te skurwysyny zawłaszczyły i wyświechtaly to słowo: tego też od was nie chcemy... Bierzemy co nasze, i tyle... A jak się da, przyskamy stąd gdziekolwiek, na Madagaskar albo do Burundi... A teraz wypierdalaj, bo na widok takich facetów jak ty bierze mnie jeszcze większa deprecha.

Podczas gdy przezroczyście wygłaszał swoją deklarację dumy z bycia emo, Yoyi wystrzelił jak z kataru, zrywając się na równe nogi. Doczekał do końca monologu i dopiero wtedy wybuchnął.

– No dobra, gnojku, zapytam cię o coś. Skąd ty, kurwa, wystraszałeś szmal, żeby łązić w converse'ach i wymachiwać komórką BlackBerry, którą na Kubie możesz sobie najwyżej w dupę wsadzić?

– Zaraz, ja...

– Albo mi odpowiesz, albo stul pysk, ty już swoje powiedziałeś, teraz ja mówię, w demokratycznej Emolandii każdy ma prawo głosu – grzmiał Yoyi, a młodzi ludzie z sąsiednich plemion nadstawili uszu. – Wiesz, co muszę robić, żeby zdobyć jakąkolwiek komórkę? Codziennie ganiać się z gliniarzami, tymi prawdziwymi, i to jak cholera... Bóg raczy wiedzieć, skąd twój ojciec, twoja matka albo ciota, która cię dupczy, bierze forszę, żeby cię karmić, ubierać i płacić za te fanaberie. Więc przestań pierdolić i zgrywać nawiedzonego heretyka. A jak na serio chcesz złapać doła, to słuchaj uważnie: ten sweter Dolce i Gabana, co go masz na sobie, jest bardziej fałszywy niż dwa peso w banknocie...! Więcej deprechy? Proszę bardzo: nigdy nie będziesz wolny! A wiesz dlaczego? Proste jak drut: wolności nie zdobywa się, siedząc cicho na dupie. Musisz o nią walczyć, dupku jeden! A tacy idioci jak ty tylko nabijają kabzę oszustom, którzy robią te gówniane podróbki Converse'a, BlackBerry i empeczwórek... – Zacerpnął tchu i spojrział na Condego. – Idę stąd w diabły, *man*, bo chce mi się rzygać. A ty – zwrócił się do emo albinosa –

jak ci się nie podoba, co powiedziałem, to chodź ze mną: dostaniesz taki wpierdol, że deprecha ci wyjdzie uszami...

Condemu od siedzenia na chodniku zdrętwiały przemoczone nogi. Popatrzył na młodocianych emo, wściekłych albo zaskoczonych wybuchem Yoyiego. Przezroczysty przywódca sapał gniewnie, ale nie ruszył się z miejsca. Ekspolicjant zauważył mimochodem, że tylko czarny emo sprawiał wrażenie przygnębiętego. Przewyciężając opór mięśni, Conde wstał i zdobył się na swój najbardziej życzliwy uśmiech.

– Wybaczcie, przyjaciele... On już taki jest, wybuchowy. Kiedyś był rockersem, a ja... ja byłem bejsbolistą... – Podniósł dłoń w geście pożegnania, jakby zapowiadał swoje definitywne zejście z placu gry.

W czasach gdy był bejsbolistą (a ściślej, próbował nim być) oraz zatwardziałym konsumentem Beatesów, Creedence Clearwater Revival i Blood, Sweat and Tears, Mario Conde także cierpiał na depresję, ale z bardziej konkretnych powodów. Bez najmniejszej przyjemności przeżywał ostatnie chwile swojego dzieciństwa i ani na nogach, ani na żadnej innej części ciała nie nosił niczego, co choćby stało obok converse'ów albo ciuchów od Dolce i Gabbana, nawet podrobionych. Zaczynał wówczas naukę w Instytucie Przeduniwersyteckim w La Víbora i w miarę jak naturalną koleją rzeczy z jego twarzy zniknął trądzik, dorastający Mario zdobywał to, co miało dopełnić jego dalsze życie: przyjaciół (chudego Carlosa, wówczas istotnie chudego, Królika, Andresa i Ryżego Candito); upodobanie do literatury, zakłócone niepokojącą manią pisania na wzór czytanych autorów, jak ten sukinsyn Hemingway albo duppek Salinger, który niczego nie stworzył przez czterdzieści lat; oraz pierwszą, najbardziej bolesną i niezmienną miłość swojego życia – Tamarę Valdemirę, bliźniaczkę Aymary. To Tamara była przyczyną jego pierwszej depresji. (Hemingway przygłębił go później, kiedy już wniknie w niego głębiej, za to Salinger rozczaruje swoim uporem, by więcej nie publikować).

Bliźniaczki były do siebie podobne jak dwie krople wody, więc rodzice, żeby ułatwić ich identyfikację, postanowili, że kolorem Tamary będzie błękit, a Aymary błady fiolet (co dotyczyło wstążek na włosy, pończoch i opasek). Conde jednak, gdy tylko je zobaczył, zakochał się beznadziejnie, nieomylnie i po szczeniacku tylko w jednej z nich – Tamarze. Jego obsesyjna nieśmiałość, oszałamiająca uroda Tamary i fakt, że pochodziła ze świata tak odmiennego od jego świata (ona, wnuczka sławnego prawnika i córka dyplomaty; on, potomek hodowcy walczących kogutów i kierowcy autobusu), sprawiły, że w milczeniu przeżywał katusze namiętności, dopóki nie pojawił się energiczny abstryfikant, Rafael Morín; ten dopiął swego i pozbawił złudzeń Maria, który na parę miesięcy pograżył się w niezdrowej, choć w pełni uzasadnionej młodzieńczej depresji. Melancholii tej nie łagodziła nawet częsta masturbacja, doprowadzona do poziomu prawdziwej sztuki, w której wykazał się biegłością, a nawet inwencją.

Niemal dwadzieścia lat później ta gorzka historia z wiosny jego życia w sposób wybuchowy i niespodziewany doczekała się drugiego rozdziału. Rafael Morín zaginął, a los zrządził, że porucznik śledczy Mario Conde został oddelegowany do odnalezienia owej nieskazitelnej, ważnej osobistości, która, gdy powęszono tam, gdzie należało, okazała się nie taka znów nieskazitelna, albowiem objawiła się dwa metry pod ziemią, na domiar złego okryta niesławą licznych przekrętów²⁵. Od tego czasu Tamara i Conde (który przeprowadził dość traumatyczną separację, a potem rozwód) żyli w przyjemnym, spokojnym związku, do którego każde z nich wniosło to, co miało najlepszego, nie przekraczając jednak ostatniego marginesu własnej indywidualności. Conde sądził nawet, iż zdrowe stosunki między nimi oparte były na milczącej umowie, że żadne z nich, nawet jeśli któremuś przemknie to przez myśl, nie ośmieli się wypowiedzieć (z zamiarem urzeczywistnienia) wyklętego słowa „małżeństwo”. Fakt, że nigdy nie padło, nie oznaczał wcale, że nie krążyło nad nimi jak wypatrujący zdobywcę sęp.

Zawsze kiedy Conde budził się w domu Tamary, ogarniało go, niczym fala ciepła, jakieś zadziwienie, a czasem nawet pragnienie, by ją poślubić. Pierwsza przyczyna tej reakcji miała charakter wizualny: jako że zwykle budził się wcześniej niż ona, korzystał z przywileju pozostawiania przez kilka minut w łóżku i obserwował cud swojego szczęścia, zadając sobie pytanie – zawsze to samo na przestrzeni owych dwudziestu radosnych lat – jak to możliwe, iż poprzedniej nocy spędził intymne chwile z kobietą tak piękną, że nawet kiedy chrapała, miało się wrażenie, iż dmie w obój d'amore, charakterystyczny dla Bachowskich kantat? Tamara, zaledwie dwa lata młodsza od Condego, przekroczyła barierę pięćdziesięciu lat ze zdumiewającą godnością: piersi, pośladki, brzuch i twarz zachowały wiele ze swojej pierwotnej jędrności, chociaż objętość owych atrybutów nieco się powiększyła, na przykład biust, tego poranka nieskrępowany halką, wciąż był przedmiotem obserwacji Condego. Tamara starannie zwalczała skutki uboczne upływających lat: codzienną gimnastyką, ukrywaniem zuchwałych pasemek siwizny za po-

mocą farby L'Oréal w odcieniu średniego kasztanu, regularnym odżywianiem, dzięki czemu – doszedł do wniosku Conde, świadomy ubytków własnej urody zniszczonej przez pijackie ekscesy – niedługo zacznie wyglądać na jego córkę. Druga przyczyna owego zadziwienia była natury bardziej konceptualnej: jak to możliwe, że Tamara wytrzymała z nim aż tyle lat? Aby odsunąć od siebie to pytanie, najtrudniejsze spośród porannych dociekań, Conde z reguły wyskakiwał z posłania niczym uciekinier i szedł do kuchni wypić dobudzającą filiżankę kawy. Tego dnia jednak, zamiast bolesnego przeczcucia, jego pamięć przeszła ognista błyskawica. Olśniony tą nagłą iluminacją, stał jeszcze przez kilka minut nad łóżkiem, przyglądając się odsłoniętej piersi i świetlistej ślinie w kącikach ust śpiącej królowej, która... za dwa dni skończy pięćdziesiąt dwa lata.

Ćmiąc pierwszego porannego papierosa, Conde dostrzegł przez otwarte okno blask zwiastujący kolejny piekielny dzień czerwcowy. Dobrze wiedział, że Tamara nie przepada za urodzinowymi celebrazjami, przynajmniej odkąd przekroczyła półmetek, i zapewne z tego powodu tak późno przypomniał sobie o tej dacie. Ale tym razem obecność na Kubie Aymary, od wielu lat mieszkającej na stałe we Włoszech, oraz bezsporny fakt, że obchodziła urodziny tego samego dnia co jej siostra bliźniaczka, skłaniały do zorganizowania obchodów. A jeśli potrzebne będą posiłki i wsparcie, znajdzie je w postaci Dulcicy, najlepszej przyjaciółki Tamary, także bawiącej przejazdem na Wyspie. Tak, będzie fiesta... Jedyny problem polegał na tym, że Condemu, który miał w kieszeni dwieście albo trzysta wymiętych pesos, nie starczyłoby nawet na urodzinowe cake.

Kiedy się ubierał, uśmiechał się chytrze: tak, od czego są na świecie tacy ludzie jak chudy Carlos...

Oddalając się od domu Tamary, z kompasem nastawionym na siedlisko rodziny zaginionej Judy, Conde musiał potraktować lokalizację tego adresu jako nieprzypadkową zbieżność, której natury nie potrafił zgłębić, co tylko potęgowało jego niepokój: Judy mieszkała półtorej przecznicy od domu będącego przez wiele lat siedzibą Daniela Kamińskiego i jego żony Marty Arnáez.

Kiedy już znalazł się w miejscu wskazanym przez Yadine, pomyślał, że w dawnych czasach ten pałacyk przy ulicy Mayía Rodríguez należał zapewne do jakiejś rodziny, która nie miała dość pieniędzy, aby wzorem kubańskich magnatów od trzciny cukrowej i hodowli bydła wybudować sobie dom przy Piątej Alei w Miramar, ale za to wystarczająco dużo, by zamieszkać w dzielnicy Santos Suárez, będącej w latach czterdziestych i pięćdziesiątych XX wieku siedliskiem klasy średniej z aspiracjami do awansu. Dwa piętra, wysokie kolumny, solidne, misternie rzeźbione balustrady, klimat art déco, portal z łukami w hiszpańskim stylu, nadal wówczas modnym – wszystkie te architektoniczne detale wskrzesiła farba w krzykliwych kolorach. Według informacji uzyskanych rano od majora Manuela Palaciososa niejaki Alcides Torres, ojciec Judy, wszedł w posiadanie tej atrakcyjnej nieruchomości na początku lat osiemdziesiątych, gdy prawowici właściciele pożeglowali w stronę Miami, a wspinający się po szczeblach kariery towarzysz Torres, powołując się na swoje bytowe potrzeby i zasługi polityczne, znalazł właściwe dościa i w rezultacie osiadł w tym właśnie domu.

Conde delikatnie nacisnął dzwonek przy drzwiach. Kobieta, która mu otworzyła, była zapewne babcią Judy. Przekroczyła już sześćdziesiątkę, a choć nieźle się trzymała jak na swój wiek, na twarzy miała wypisane przygnębienie, jakąś posepność, datującą się zapewne jeszcze z czasów przed zaginięciem wnuczki. Patrząc na tę twarz, Conde, któremu zazwyczaj przychodziły do głowy luźne skojarzenia, zastanawiał się, czy jakiś malarz potrafiłby oddać na płótnie owo nieuchwytnie i jednocześnie namacalnie uczucie: smutek kobiety. Gdyby umiał malować, chętnie by to zrobił.

Kiedy tylko się przedstawił, kobieta od razu się domyśliła, kim jest niespodziewany gość.

– Detektyw, przyjaciel Yadine, który nie jest detektywem, ale był policjantem...

– Mniej więcej... A pani jest babcią Judy, prawda? –

Kiwnęła głową.

– Mogę wejść?

– Oczywiście – odpowiedziała i Conde wkroczył do przestronnego, rozświetlonego dwoma wielkimi zakratowanymi oknami salonu, w którym rośliny, ozdoby, obrazy i meble ze szlachetnego drewna głośiły wszem wobec zamożność właścicieli, jak pomyślał, zanim usiadł na wskazanym przez panią domu wiklinowym fotelu ustawionym w okiennej wnęce.

– Dziękuję pani...

– Alma. Alma Turró, babcia... – przerwała, smagnięta nagłą falą smutku.

Conde odwrócił wzrok, czekając, aż gospodyni przyjdzie do siebie. W swoim poprzednim, policyjnym życiu dowiedział się, że niepewność co do losów ukochanej osoby jest w stanie głębiej zranić niż bolesna, niepozostawiająca wątpliwości prawda, niejednokrotnie przyjmowana z ulgą. Ale huśtawka nastrojów od nadziei do rozczarowania, jaką przeżywa osoba oczekująca wieści o zaginionym, zawsze wywołuje zgubne wyczerpanie. Nagle kobieta wstała.

– Zrobię panu kawę – powiedziała, ale widać było, że to tylko pretekst, żeby przez moment mogła pobyć sama.

Conde skorzystał z owej chwili słabości pani domu, żeby obejrzeć salon. Podziwiał oczywistą sztuczność wspaniałych reprodukcji wiszących na ścianach: niezapomniany *Widok Delft* Vermeera, słynne wnętrze kościoła pędzla Emanuela de Witte i pejzaż zimowy z nieodłącznym wiatrakami. Nie mógł sobie przypomnieć, kim jest autor owego dzieła, chociaż z pewnością był to Holender, jak dwaj pozostali mistrzowie. Dlaczego wciąż mu leżą w oczy ci przekleści malarze niderlandzcy? Lecz honorowego i najbardziej eksponowanego miejsca nie zajmowało dzieło sztuki. Królowało tam, niczym deklaracja ideowych pryncypiów, ogromne zdjęcie uśmiechniętego Przywódcy, ozdobione hasłem: ZAWSZE, WSZĘDZIE, WSZYSTKO NA TWOJE ROZKAZY! Wędrując dalej spojrzeniem, dostrzegł na małym stoliku fotografię w ramkach, a na niej dwie roześmiane dziewczynki, jedna w wieku około dziesięciu, druga czterech lat, przytulone do siebie buziami: domyślił się, że to Judy i jej mieszkająca w Miami siostra... Usiłował wyobrazić sobie młodą emo, przygnębioną i buntowniczą, w tym wnętrzu, z domownikami wyprężonymi na bacność, gotowymi (przynajmniej takie chcieli sprawiać wrażenie) na każde skinienie Przywódcy. Nie potrafił. Bez wątpienia dla tej rodziny postępowanie Judy było skrajnym przejawem hezreji, o której ubiegłej nocy wspomniał wściekły, przezroczysty emo, i Conde doszedł do wniosku, że przyczyn zaginięcia dziewczynki, dobrowolnego czy też wymuszonego przez jakieś zewnętrzne moce, powinien szukać tu, w tym domu.

Alma Turró wróciła z dwiema filiżankami i szklanką wody na srebrnej tacy. Postawiła wszystko na stole obok Condego i zrobiła zapraszający gest.

– Mogę zapalić? – zapytał.

– Oczywiście. Ja też wypalam codziennie kilka papierosów. Teraz trochę więcej, z nerwów...

Wypili kawę, zapalili. Wtedy dopiero Conde przeszedł do konkretów.

– Jak pani wie, była u mnie Yadine. Wyjaśniłem jej, że nie jestem już detektywem i wątpię, czy mógłbym pomóc w odnalezieniu Judy. Ale obiecałem, że spróbuję...

– Dlaczego? – przerwała mu Alma.

Conde zaciągnął się parę razy, żeby zyskać na czasie. „Bo jestem tym zaintrygowany i nie mam nic innego do roboty”, odpowiedź możliwa, ale zbyt brutalna. „Bo jestem dupkiem i daję się wciągać w takie afery”, tak brzmi lepiej.

– Szczerze mówiąc, sam nie wiem... Chyba z powodu tego, co mówiła Yadine o emo i depresji... – Kobieta przytaknęła w milczeniu i Conde odzyskał pewność siebie. – Problem w tym, że od dwunastu dni nie ma żadnej wiadomości, a to komplikuje sprawę. Rozmawiałem z dawnym kolegą z pracy i wiem, że nawet policja jest bezradna. – Ponownie przytaknęła bez słowa, więc Conde postawił przejść do rzeczy metodą tradycyjną i zarazem nieodzowną. – Muszę wiedzieć, czy Judy przed zaginięciem zrobiła albo powiedziała coś szczególnego, co mogłoby zdradzić jej zamiary...

Odłożyła papierosa do popielniczki, to był już drugi, ale po chwili znów po niego sięgnęła, choć nie wzięła go do ust.

– Najprawdopodobniej widziałam ją jako ostatnia z rodziny. Tamtego dnia... – Przerwała, jakby chciała zaczerpnąć tchu, i ponownie odłożyła papierosa. – Tamtego dnia wróciła ze szkoły o zwykłej porze, powiedziała, że nie jest głodna, i tylko coś skubnęła, a potem poszła do swojego pokoju. Wtedy sądziłam, że zachowuje się zwyczajnie, ale dzisiaj wydaje mi się, że była bardziej spięta i przygnębiona, w każdym razie bardziej milcząca niż zwykle, choć może to tylko moje przypuszczenia... Nigdy nie byłam pewna, czy naprawdę jest smutna, czy to tylko taka poza lub nawyk... Jakie to niedorzeczne...

– A potem?

– Jakiś czas siedziała u siebie, koło trzeciej wzięła prysznic... O wpół do piątej pożegnała się ze mną i wyszła.

– Tylko się pożegnała? Coś mówiła?

– Jej matka była na targu, a ojciec naprawiał kran na patio, ale Judy o nich nie spytała. Pożegnała się jak zawsze, nie mówiła, o której wróci, ucałowała mnie i wyszła.

– Do nikogo nie dzwoniła?

– Z tego, co wiem, nie.

– Jadła coś przed wyjściem?

– Nawet nie zajrzała do kuchni.

– Może zamierzała coś zjeść na mieście?

– Nie sądzę. Czasem cały dzień prawie nic nie jadła. A kiedy indziej opychała się bez umiaru. Ciągle jej mówiłam, że to niezdrowo.

– Jak była ubrana? Miała teczkę, plecak?

– Nie, nie miała. Ubrana była jak zawsze, kiedy szła na ulicę G. Na czarno, z różowymi zarękwami. Mocno umalowana ciemną kredką. Usta i oczy... Na rękach metalowe i skórzane bransoletki... A tak, trzymała w ręce książkę.

Conde miał przeczucie, że za tą pozorną normalnością coś się kryje, choć jeszcze nie wiedział co i dlaczego. Było dla niego oczywiste, że chcąc pójść śladami Judy, najpierw musi ją dobrze poznać.

– To się stało w poniedziałek, prawda? Mówiła pani, że wybierała się na ulicę G?

– Tak, w poniedziałek trzydziestego maja, ale... – Zamilkła, tknięta jakąś nagłą myślą. – Nie, mówiłam przecież, że nie wspominała, dokąd idzie. Sądziliśmy, że na spotkanie z przyjaciółmi... A było jeszcze wcześniej i w poniedziałki prawie nigdy nie zbierają się na ulicy G.

– Ale ubrała się tak, jakby się tam wybierała...

– Nie, nie rozumie pan. Na spotkania z przyjaciółmi zawsze się tak ubierała. Nie tylko wtedy, kiedy szła na ulicę G. Nie wiem, czemu tak pomyślałam i tamtemu policjantowi, który mnie przesłuchiwał, powiedziałam, że tam poszła. Zrobiłam to odruchowo... Czasem spotykali się u kogoś w domu.

Conde skinął głową, ale w myślny zanotował sobie pytanie: „Skoro Judy nie poszła na ulicę G, to gdzie, do cholery, poszła? Do jakiegoś kolegi? Na spotkanie z Włochem?”.

– Judy i Yadine się przyjaźnią?

– Nie całkiem... Judy ma zdolności przywódcze, a Yadine szła za nią jak piesek, we wszystkim ją naśladowała... – Kobieta przerwała na chwilę i dodała niepewnie: – Jakby była w niej zakochana... Ale Yadine to dobra dziewczyna.

Conde zrobił kolejną notatkę myślową, opatrując ją licznymi znakami zapytania.

– Proszę opowiedzieć mi o Judy, Almo. Muszę ją zrozumieć. Dwa dni temu rozmawiałem z Yadine, wczoraj z jej przyjaciółmi na ulicy G i mam zupełny mętlik w głowie...

Kobieta zaciągnęła się dwa razy i zdusiła w popielniczce wypalonego w połowie papierosa.

– Cóż... Uważam, że Judy jest kimś szczególnym. Nie mówię tego jako babcia, ale musi pan wiedzieć, że zawsze była bardzo dojrzała i inteligentna jak na swój wiek. Dużo czytała od ósmego, dziewiątego roku życia, ale nie książeczki dla dzieci, tylko powieści, książki historyczne, a ja, bo praktycznie ja

ją wychowywałam, rozbudzałam w niej tę pasję... Chyba za wcześnie wydorosła, przeskakiwała etapy. Kiedy miała piętnaście lat, mówiła i myślała jak ktoś dorosły. Wtedy właśnie moją córkę i zięcia Alcidesa wysłano do Wenezueli i zabrali ją ze sobą. Od tamtej pory wszystko się skomplikowało. Jeśli rozmawiał pan ze swoimi kolegami z policji, z pewnością wie pan, że zdymisjonowali Alcidesa za to, co zrobił albo czego nie zrobił w Caracas, i nadal toczy się przeciwko niemu śledztwo... No tak, to nie ma nic do rzeczy. Kiedy nakazali im powrót z Wenezueli, rok szkolny już się kończył, więc Judy straciła rok nauki. Ale straciła coś jeszcze. Jakby wróciła inna osoba: cudowne dziecko, które wyjechało, bardzo różniło się od dziwacznej dziewczyny, która wróciła. Prawie nie odzywała się do rodziców, do mnie rzadko i nigdy nie chciała się otworzyć, nigdy... zupełnie jakby się cofnęła do czasów dzieciństwa. Razem z Frederikiem, kolegą ze szkoły średniej, zaczęła się spotykać z tymi chłopcami, z emo, jak się sami nazywają, ubierała się na czarno i różowo i sama stała się emo. Na szczęście nie rzuciła szkoły i czasem miałam wrażenie, że wcieliła się w dwie różne osoby: jedna studiowała, a druga wszystko negowała, wszystko odrzucała. Ta ucząca się była moją nadzieją, bo liczyłam na to, że kiedyś przezwycięży tę pasję negocjowania i znów będzie jedną i tą samą Judy... Bałam się nawet, czy nie cierpi na jakąś chorobę, schizofrenię albo dwubiegunówkę, to się zdarza w tym wieku, więc poszłam z nią do kilku znajomych lekarzy. Z jednej strony uspokoił mnie, a z drugiej zaniepokoił: nie miała wyraźnych objawów choroby dwubiegunowej ani żadnej innej, ale przejawiała jakąś zacieklą niezgodę, przede wszystkim ostentacyjnie zerwała z rodzicami i właśnie to mogło być przyczyną stanów depresyjnych, skrajnego przygnębienia... A nie pozowanie na emo.

– Przepraszam, że przerwę – Conde podrapał się po głowie i nachylił w jej stronę – i o coś zapytam, ale... Czy Judy się tnie?

Alma Turró zrobiła gest, jakby zamierzała sięgnąć po papierosa, lecz w ostatniej chwili się powstrzymała. Conde zrozumiał, że uderzył w klawisz, który zabrzmiał dysonansem. Kobieta zwlekła z odpowiedzią.

– Nie aż tak... W sensie psychologicznym owszem...

– Może to pani wyjaśnić?

– Czytałam o młodych ludziach, głównie punkach, ale o emo też, że się kroją, kaleczą, tatuują. Nienawiść do społeczeństwa wyrażają nienawiścią do własnego ciała. Tak mówiła Judy, mniej więcej... Nie wierzę, żeby doszła aż do takiej skrajności, ale przekłuła sobie uszy, nos, pępek, żeby nosić tam kolczyki, no i zrobiła sobie tatuaż na plecach...

– To się stało po powrocie z Wenezueli?

– Tak.

– Policja wie o tych tatuażach? Co kazała sobie wytatuować?

– Salamandrę... Taką małą... Tak, oczywiście, policja wie... To potrzebne do identyfikacji, jeżeli...

Conde odetchnął głęboko. Należał do tych ludzi, którzy podczas pobierania krwi zamykają oczy na widok pielęgniarki i proszą o nasączony alkoholem tampon, żeby nie zemdleć. Jego instynktowny strach przed bólem, widokiem krwi, dręczeniem ciała sprawił, że nie potrafił zrozumieć owej filozofii autoagresji. On jedynie palił (zawsze tytoń kubański), jadł i pił (cokolwiek, bez względu na kraj producenta), ufając w sprawność swoich płuc, wątroby i żołądka.

– Wspomniała pani o sensie psychologicznym.

– Judy stworzyła sobie własny świat, który coraz bardziej oddalał się od naszego. Chodzi nie tylko o strój czy uczesanie, ale o sposób myślenia. Je warzywa, nie tyka mięsa; nie używa kremów ani dezodorantów, a po prysznicu naciera się wodą kolońską, aż cała się robi fioletowa; czyta jakieś zawikłane książki i ma obsesję na tle japońskich komiksów, manga czy jakoś tak... I twierdzi – Alma Turró ściszyła głos – że wszystkie rządy to banda ciemiężycieli... Wszystkie – dodała z naciskiem, jakby uspokojona.

Słuchając tych informacji, Conde miał wrażenie, że Alma Turró nie jest wiarygodnym źródłem. W zachowaniu dziewczyny wyczuwał coś więcej niż młodzieńczy nonkonformizm i wrogość do świata.

A to coś mogło mieć związek z jej zaginięciem. Doszedł do wniosku, że babcia, mimo że wychowała Judy i twierdziła, że dobrze ją zna, nie знаła jej wcale. Czy też raczej znała tylko jedną z dwóch Judy. Jaka była ta druga?

– Ten kolega, ten... Frederic?

Przytaknęła w milczeniu.

– Jaki on jest?

– Czarny, wysoki, bardzo inteligentny... Judy przyjaźni się z nim od gimnazjum. Jest jej prawdziwym przyjacielem, bardziej niż Yadine. Ale to on wciągnął ją do emo.

– Nie Yadine?

– Nie. – Alma pokręciła głową. – Z tego, co słyszałam, Yadine była gotką albo punkiem... ale nie emo. Dopóki nie poznała Judy...

Conde kiwnął głową. Frederic to z pewnością ten czarny emo, z którym rozmawiał wczoraj w nocy. A Yadine? Yadine, tak jak Judy, przypomina cebulę złożoną z kolejnych warstw.

– Dlaczego przesłano do telewizji zdjęcie Judy bez... na którym nie przypomina emo?

– To samo mówiłam... Pomysł Alcidesa. Nie chciał, żeby ludzie zobaczyli, jak naprawdę wygląda jego córka.

– Co ze szkołą?

– Interesowała się szkołą i zawsze miała bardzo dobre oceny. To jedna z tych rzeczy, które każą mi myśleć o najgorszym, bo za parę tygodni zaczynają się egzaminy końcowe i jeśli nie wróci...

Jej rozpaczliwy płacz skłonił Condego do dyskretnego odwrócenia wzroku. A jednak ostatnia informacja ugruntowała go w przekonaniu, że w opowiedzianej przez babcie historii Judy brakuje jednego elementu, który – wyczuwał to intuicyjnie – wiązał się nie tylko z zachowaniem dziewczyny, ale także z jej tajemniczym zniknięciem.

– Zamierza studiować na uniwersytecie? – zapytał, kiedy Alma się uspokoiła.

– Tak... ale jeszcze nie wie co.

– To normalne – powiedział Conde, oddychając z ulgą, co spotkało się z podziękowaniem w formie bladego uśmiechu. – Dlaczego twierdzi pani, że problemy pani zięcia w Wenezueli nie mają związku z Judy?

– To, co robił Alcides, nie miało z nią nic wspólnego. Poza tym Judy od dawna trzymała się od niego z daleka... Całe życie krytykował ją z byle powodu. A sam się wplątał.

– W co się wplątał? – Conde postanowił zbadać i ten wątek.

– Pracujący razem z nim ludzie „przechowywali” część bagażu, którego powracający z Wenezueli Kubańczycy nie mogli albo nie chcieli zabrać ze sobą. Nie wiem, jak to funkcjonowało, w każdym razie kiedy zebrało się tego więcej, ładowali te rzeczy do kontenera, wysłali do kraju i tu je sprzedawali. W aferę byli zamieszani dwaj podwładni Alcidesa i trafili do więzienia, bo to oni podpisywali listy przewozowe... Alcides zaklina się, że nic o tym nie wiedział.

– Pani w to wierzy?

Alma westchnęła.

– Rozmawiamy o Judy – odparła wymijająco. Na pewno nie wierzyła.

Nie było to zbyt stosowne w takiej chwili, ale Conde nie mógł powstrzymać uśmiechu. Alma konspiracyjnie poszła w jego ślady.

– Dlaczego wszyscy są przekonani, że Judy nie zamierzała uciec z Kuby?

Uśmiech znikł z jej twarzy. Spowaźniała nagle i popatrzyła na fotografię roześmianych dziewczynek.

– Gdyby miała taki zamiar, zawiadomiłaby swoją siostrę Marię José, która mieszka w Miami...

– María José? – Tak typowe imię zdumiało Condego, przyzwyczajonego do dziwacznych przydomków, jakie rodzice wymyślali dla swoich pociech: od Yadine i Yovany po Leidianę i Usnavy.

– Tak. María José uciekła na tratwie i o mało co nie utonąła... Nie, jestem przekonana, że Judy rozmówiłaby się ze mną, gdyby planowała coś takiego... Mimo jej charakteru, jej pozy... Nie, nie odważyłaby się...

Conde nie zaprzeczył. Nie warto było przypominać, że Judy miała wiele twarzy, Alma przecież sama o tym mówiła, i że w tym kraju roi się od młodych ludzi, którzy marzą o ucieczce. Na razie jednak, po tymślad, trop się urwał. Musi znaleźć jakieś dojsćie do „drugiej” Judy, być może tej prawdziwej.

– Czy mogę zobaczyć jej pokój, pani Almo?

W półmroku Kurt Cobain spojrzal na niego wyzywajaco, a tak zuchwaly wzrok mają jedynie ludzie niezwyccięzeni i bardzo pewni siebie. Jednak mysl, że niejaki Cobain okazal się muzykiem, uspokoiła go, albowiem gorejące zdanie, które usłyszał poprzedniego wieczoru i zdołal przetłumaczyć jako „Lepiej jest spłonąć niż przemijać”, brzmiało przyjemniej z towarzyszeniem melodii. Na plakacie, pod wizerunkiem jasnowłosego Cobaina, figurowala jego przynależność: Nirvana. Conde skojarzył, że chodzi o zespół rocka alternatywnego, ale jego pamięć nie przechowala ani obrazu, ani żadnego dźwięku dotyczącego owego terminu, co skądinąd było zrozumiale w wypadku takiego neandertalczyka jak on, przyzwyczajonego do czystego brzmienia Beatlesów i mrocznych tonów Creedence Clearwater Revival. Czy przypadkiem ten muzyk nie popełnil samobójstwa? Musi to sprawdzić.

Pokój na drugim piętrze pałacyku, choć obszerny, przypominal jaskinię. Okna zasłonięte ciemnymi kotarami prawie nie przepuszczaly promieni nieubłaganego letniego słońca. Kiedy Conde zapalil światło, żeby lepiej widzieć, dostrzegł pod plakatem łóżko nakryte fioletową narzutą, która swoją ponurą mrocznością potwierdzala upodobania właścicielki tego miejsca. Na ścianach wisialy afisze zespołów muzycznych, których nazwy też niczego mu nie mówiły – jakiś Radiohead i Thirty Seconds to Mars – ale spotkanie z czymś naprawdę pokreconym nastąpiło wówczas, gdy ekspolicjant, zamykając drzwi, ujrzał po drugiej stronie gigantyczny plakat. Pod rozchwianymi szkarlatnymi literami (tak, skojarzył ów kolor ze szkarłatem, obcym jego werbalnej palecie barw) tworzącymi napis DEATH NOTE widniał wizerunek młodzieńca, niewątpliwie Japończyka, o drapieżnym spojrzeniu, zaciśniętych ustach, pięściach gotowych do bicia i z burzą czarnych włosów na prawym oku: Befszytk? Sushi? Chłopca osaczała jakaś dziwaczna, groteskowa figura, nieokreślony stwór o skrzydłach wampira, skołtunionych włosach i ogromnej, zaczerwionej paszczy niczym u klauna wygnanego z nieba albo wyciągniętego z piekła. Satanistyczna podobizna. Postaci te niewątpliwie pochodziły z mangi, którą pasjonowala się Judy. To nie mogło być zdrowe: kłaść się wieczorem do łóżka i zasypiać z obrazem tej wściekłości i horroru. A może dziewczynę trawił powoli jej wewnętrzny płomień?

W szafie znalazł kilka kompletów szkolnych mundurków, a pozostała część garderoby stanowiły kreacje emo. Czarne ubrania wykończone błyszczącymi ćwiekami, buty na platformie i kilka par converse’ów, zapewne już nie do użytku z powodu zdartych podeszew, zarekawki (jedne różowe, inne w czarno-białe paski) oraz rękawiczki z otworami na koniuszki palców. Z tego, co mówiła Alma Turró, dziewczyna, wychodząc po raz ostatni z domu, miała na sobie emokostium. Ale w szafie pozostały inne stroje, bojowy ekwipunek Judy, co nadawalo jej zniknięciu alarmistyczny wymiar, bo przecież planowana ucieczka wymagała zabrania przynajmniej kilku sztuk tego specjalistycznego wyposażenia.

W niewielkiej biblioteczce natknął się na to, czego oczekiwał, ale też na coś więcej. Nie były zaskoczeniem powieści o wampirach Anne Rice, pięć ksiązek Tolkiena, z klasyką (*Hobbit* i *Władca pierścieni*) włącznie, powieść i zbiór opowiadań niejakiego Murakami, zapewne Japończyka, *Mały ksiądz Saint-Exupéry’ego*, wymięty egzemplarz *Nieznosnej lekkości bytu* Kundery i... *Buszujący w zbożu* (!) tego skurwiela Salingera, co to już wiadomo, czego nie zrobił... Znalazł także inne teksty o znacznie wyższej temperaturze: esej na temat buddyzmu oraz *Ecce homo* i *Tako rzecze Zarastura* Nietzschego – ksiązki, które w większym stopniu niż wampiry, krasnoludki i osoby wyalienowane lub amoralne mogły narobić zamieszania w głowie dziewczyny nazbyt dojrzałej i podatnej na wpływy, pragnącej trzymać się jak najdalej od stada. Wewnątrz *Zarastury* Conde trafił na kartkę zapisaną być może ręką samej Judy,

a to, co tam przeczytał, potwierdziło jego pierwsze przypuszczenia i wyjaśniło deklarację niewiary wygłoszoną poprzedniego wieczoru przez przezroczystego emo: „Śmierć Boga oznacza moment, w którym człowiek osiągnął dojrzałość konieczną, aby obejść się bez boga, który ustanawia wzorce i granice ludzkiej natury, a zatem moralności. *Moralność ściśle związana jest z omamem* (zdanie kilkakrotnie podkreślone przez kopistkę), z bezpodstawnymi mniemaniami, to znaczy z Bogiem w tym sensie, iż moralność wypływa z religijności, z ciasnej wiary, a tym samym ze *zbiorowej utraty krytycznego sądu, co służy interesom władców i fanatyzmowi motłochu*”²⁶. Napisał to Nietzsche? Judy to przepisała i przerobiła po swojemu? Myśl podkreślona na końcu cytatu wskazywała na przewidywalną cechę rysującego się portretu dziewczyny, która negowała to, co ustanowione, i poszukiwała wyzwolicielskiej wyjątkowości, w sensie zarówno wyrwania się spod wpływów władzy, jak i przynależności do „fanatycznego motłochu”. Dlaczego jednak zwróciło jej uwagę pierwsze – podkreślone – zdanie, w którym mowa o związkach między moralnością i omamem? Co skłoniło tak młodą dziewczynę do przejmowania się etyką i wiarą?

Zastanawiając się, co o tym pokoju i jego objawieniach pomyśleli poszukujący Judy policjanci, Conde rozglądał się dokoła w nadziei, że znajdzie coś, czego nie potrafił sprecyzować, a co mogłoby mu pomóc w zrozumieniu osobowości, a może nawet i powodów dobrowolnego lub wymuszonego zniknięcia dziewczyny. Eksdetektyw bezwiednie zaczął rozumować jak policjant lub przynajmniej jak policjant, którym sam kiedyś był. Ponownie otworzył szafę, przejrzał półki, przekartkował książki i nadal nie znalazł tego, czego szukał. Pośród kilkunastu kaset z filmami DVD natrafił na frapujący tytuł, który wcześniej umknął jego uwadze: *Łowca androidów*. Oglądał go co najmniej pięć razy, ale było to dość dawno temu. Otworzył kasety, żeby sprawdzić, czy to legalna kopia. Tak, legalna. Żeby się o tym przekonać, musiał sięgnąć naklejoną na płytę białą nalepkę. Na odwrocie widniał jakiś tekst, zapisany tą samą ręką co notatka w książce Nietzschego, ale tak drobnymi, niemal mikroskopijnymi literami, że aby je rozczytać, musiał podsunąć sobie nalepkę pod nos: „Dusza pograżyła się w ciele i tam się zatracła. Ciało ludzkie jest elementem przeklętym, skazanym na starzenie się, śmierć i choroby. // Ciało jest endemiczną chorobą ducha”²⁷. Conde dwukrotnie przeczytał tekst. Z tego, co wiedział (a niewiele wiedział na ten temat), raczej nie przypominało to Nietzschego, choć wydawało mu się, że ustami Zaratustry filozof wspominał coś o pogardzie, jaką dusza czuje wobec ciała. Czy to były przemyślenia Judy, fragment dialogu z *Łowcy androidów*, czy może cytat z jakiegoś innego autora głoszącego pogardę dla ludzkiej cielesności? Bez względu na to, jakie było źródło cytatu, brzmiał on niepokojąco, szczególnie w kontekście zniknięcia, może dobrowolnego, a zarazem wyjaśniał powody, dla których Yadine twierdziła, że nikt nie wytłumaczy lepiej od Judy, co znaczy być emo.

Conde schował nalepkę do kieszeni i zabrał płytę w nadziei, że Alma Turró zgodzi się ją wypożyczyć: powinien raz jeszcze obejrzeć *Łowcę androidów*, żeby się przekonać, czy chodzi o zapomniany dialog z filmu. W każdym razie na te zawikłane stany umysłu mógł złożyć się splot muzycznych i filozoficznych Nirvan, drapieżnych emo i ultrapostmodernistycznych stworów, wampirów, elfów i supermenów, którzy wyzwolili się z pęt dzięki śmierci Boga, a wszystko to przesycone pogardliwym stosunkiem do ciała. Z takiej perspektywy rosło prawdopodobieństwo popełnienia samobójstwa. Już wiedział, wspominała o tym Alma Turró, że Judy stworzyła własny świat i w nim zamieszkała. Teraz jednak, mając ogólne pojęcie o dziwacznych postaciach żyjących w owym uniwersum, w którym krzyżowała się tyle ostrych mieczy co w japońskiej mandze, Mario Conde nabrał pewności, że dziewczyna była kimś więcej niż zagubioną, zabłąkaną lub świadomie ukrywającą się emo: była dramatycznym ostrzeżeniem przed żądzą zerwania wszelkich więzów przez aktorów nowej epoki. Śmierć z własnej ręki być może jawiła się jej jako najkrótsza i najszybsza droga wiodąca do wyzwolenia się z ciała i z chorobliwego smutku, który wzbudzało w niej to, co jeden z emo określił słowem „otoczenie”.

Sam widok żarzącej się od słońca asfaltowej esplanady zwanej Placem Czerwonym, hieratycznego popiersia Ojca Ojczyzny, masztu bez flagi, obsypanych kwiatami wiekowych drzew majagua, niskich stopni i wysokich kolumn wspierających portyk gmachu sprawił, że w odczuciu Condego historia zagi-

nięcia Judy stała się po trosze jego własną historią. W nim, podobnie jak w chudym Carlosie, wszystko, co wiązało się z tym świeckim sanktuarium, jakim był niegdyś i ponownie stał się Instytut Przeduniwersytecki w La Víbora, budziło szczególnie skojarzenia właściwe ludziom, którzy nie chcieli rozdrapywać strupów po świetlistych chwilach przeszłości, obawiając się, że to ogołoci ich pamięć i rozuci na pastwę teraźniejszości, gdzie często nie dało się odnaleźć właściwej drogi. Przesiadując na stopniach tej czarnej esplanady i na ławkach kryjących się wewnątrz gmachu za wysokimi kolumnami, Conde przetrwał trzy lata, które wciąż były w nim obecne i których konsekwencje przeżywał nadal, o czym przekonywał się każdego ranka i każdej nocy.

Ogarnięty falą tkliwej nostalgii, schował się w cieniu topoli przed bezlitosnymi promieniami południowego słońca. Postanowił wykorzystać czas oczekiwania i wszedł do pobliskiej, przywróconej do życia budki telefonicznej. Najpierw zadzwonił do Carlosa i pogratulował mu zorganizowania przyjęcia urodzinowego dla bliźniaczek, albowiem to na barkach Chudzielca spoczywał obowiązek wysłania wiadomości oraz skomplikowana dystrybucja wkładu poszczególnych gości, zarówno produktów jadalnych, jak i pitnych. Potem zadzwonił do Yoyiego, żeby się dowiedzieć, co słyhać u byłego przewodniczącego, który kochał swoje wnuki (a być może również psy, to trzeba sprawdzić²⁸), ale Gołąb jeszcze odsypiał kaca po ataku furii, w jaką wpadł podczas spotkania bliskiego stopnia z Emo World.

Minęło już południe, gdy na schodach szkoły pojawiła się hałaśliwa umundurowana gromadka. Ukryty za chropowatym pniem topoli, zobaczył, jak Yadine odchodzi od grupy i samotnie zmierza w stronę Calzada. Kiedy ją obserwował, ogarnęła go nostalgia i rozczarowanie: ileż marzeń o przyszłości, które snuli – on i jego przyjaciele – idąc tą samą ulicą... I co z tego zostało po brutalnym zderzeniu z rzeczywistością? Gówno. Yadine przynajmniej w nic nie wierzyła, czy też nie było niczego, w co mogłaby wierzyć. Może tak jest lepiej, pomyślał.

Kilka minut później, gdy już stracił nadzieję, dostrzegł i rozpoznał wychodzącego ze szkoły Frederica Esquivela, czarnego chłopaka, praktykującego emofila, którego poznał zeszłej nocy. To on właśnie według Almy Turró wprowadził Judy do plemienia. Conde z miejsca, w którym stał, zobaczył, że chłopak skręcił w prawo, a ponieważ szedł w towarzystwie jakichś dwóch dziewczyn, ekspolicjant postanowił ruszyć za nimi i wyczekiwać stosownej okazji do rozmowy.

Zachowując bezpieczną odległość, usiłował odgadnąć, co zrobił czarny emo z włosami, które poprzedniego wieczoru opadały mu na oczy, i nie mógł się nadziwić, że chłopak zdołał jakoś rozczesać grzywkę, odsłaniając całą twarz zgodnie ze szkolnym regulaminem. Jedna z jego koleżanek skręciła w Calzada del 10 de Octubre, a Frederic wraz z tą drugą podążali bez wątpliwości w kierunku bliskiej już Avenida de Acosta. Na szczęście dla Condego dziewczyna (zgrabna, wręcz oszałamiająca blondynka) zakotwiczyła na przystanku autobusowym linii 74, gdzie pożegnała się z chłopakiem długim, gorącym, bezwstydnym, obślinionym pocałunkiem, połączonym z wzajemnym głaskaniem się po pośladkach, co w wypadku Frederica, którego opadające spodnie odsłaniały z tyłu niemal połowę majtek, nie było wcale trudne. Kiedy się wreszcie rozstali, chłopak poprawił spodnie w kroku, układając we właściwej pozycji poruszony czułościami członek, i jak gdyby nigdy nic ruszył przed siebie. Czterdzieści metrów dalej przeszedł na drugą stronę alei, a potem skręcił w pierwszą przecnicę, w stronę El Sevillano.

– Frederic!

Młody człowiek odwrócił się i zdumiał na widok Condego. Ten próbował się uśmiechnąć, podchodząc bliżej z myślą, że już on się postara, żeby po niedawnej erekcji chłopaka nie został żaden ślad.

– Niełatwo cię rozpoznać... Możemy chwilę porozmawiać? Chciałem przeprosić za wczoraj, za słowa przyjaciela i moje zachowanie. Byliśmy wobec was bardzo nieuprzejmi. Dasz mi chwilę?

Zahibernowany emo stał w milczeniu. Na jego spoconej czarnej twarzy malowała się nieufność. Teraz już mniej przypominał wczorajszego androgyna. Conde wskazał murek pogrążony w zbawczym cieniu drzewa, po czym wyjaśnił chłopakowi, że dowiedział się od babci Judy, jak ma na imię i gdzie go można znaleźć. Na wszelki wypadek raz jeszcze przysiągł, że nie jest policjantem.

– No cóż, prawdę mówiąc, byłem kiedyś policjantem, ale w innym życiu, jakieś tysiąc lat temu... A przedtem uczyłem się w tym samym Instytucie Przeduniwersyteckim co ty... Nieważne zresztą... Otóż

właśnie wracam z domu Judy. Alma opowiadała mi o tobie. Prosiła, żebym pomógł ustalić, co się stało z jej wnuczką, i uważam, że twoja przyjaciółka na to zasługuje. Jeżeli próbowała uciec na tratwie...

– Nie miała zamiaru uciekać na żadnej tratwie, już to panu mówiłem – przerwał mu zirytowany Frederic.

– Więc prawdopodobnie nadal żyje. Ale z jakiegoś powodu nie wróciła...

– To przez ojca. Ten facet sra ze strachu w gacie...

– Dlaczego tak uważasz? Co jej zrobił?

Conde zadrżał na myśl, że powodem zniknięcia mogła być przemoc ze strony ojca.

– Chciał ją wyrzucić z domu, kiedy została emo. Ale jej babcia powiedziała, że jeżeli Judy odejście, ona odejdzie razem z nią. Zrobiła się afera. Ojciec twierdził, że emo to kontrewolucyoniści i inne takie głupoty... Kiedyś nawet przyszedł do nas i oskarżył mnie, że z mojej winy jego córka zeszła na złą drogę...

– Czyli ten cały Alcides Torres wciska głodne kawałki?

Frederic się uśmiechnął.

– Gorzej... Ten facet sra ze strachu w gacie...

– A powodem jest to, co robił w Wenezueli?

– Może – powiedział chłopak, zastanowił się przez chwilę i dodał: – Tak sądzę. Wygląda na to, że przekombinował i dostał wycisk...

Frederic znów się uśmiechnął, ale jakby bez przekonania. Może jest smutny, ale nie w depresji, pomyślał Conde, który nadal nic nie rozumiał: jak można być smutnym po pocałowaniu tamtej blond piękności? On sam, gdyby był w jego wieku i w każdym innym, byle nie w swoim, z pewnością odtarczyłby calinę na środku ulicy.

– Ta dziewczyna, z którą pożegnałeś się na przystanku, to twoja narzeczona?

– Hm... przyjaciółka.

– Niezła ta przyjaciółka – mruknął Conde, zazdroszcząc chłopakowi młodości i namiętych koleżeńskich stosunków, po czym wrócił do tematu. – Posłuchaj, skoro Judy nie zamierzała uciec na tratwie, a nadal nie wróciła, to mamy trzy możliwości. Dwie są bardzo niedobre... Pierwsza: coś jej się stało, jakiś wypadek, sam nie wiem co, i już nie żyje. Druga: ktoś ją porwał i przetrzymuje, Bóg raczy wiedzieć dlaczego. Trzecia: gdzieś się ukryła, bo miała swoje powody. Jeżeli to jest ta ostatnia możliwość i pomożesz mi odnaleźć Judy, a ja się przekonam, że wszystko z nią w porządku, bo zniknęła z własnej nieprzymuszonej woli, to o wszystkim zapomnę i nie będziemy na nią naciskać. Ale żeby odrzucić dwie kurewsko niedobre możliwości, muszę się upewnić co do tej trzeciej. Chwytasz?

Frederic patrzył na niego poważnie.

– Jestem emo, a nie dupek... Pewnie, że chwytam.

– No więc...?

Chłopak spuścił wzrok na swoje converse'y, mocno już znoszone. Wpatrywał się w nie tak intensywnie, że Conde miał wrażenie, iż za chwilę tenisówki przemówią, być może głosem Zaratustry.

– Tego Włocha, przyjaciela Judy, nie ma na Kubie, więc nie mogła z nim wyjechać... Inni koledzy z naszej paczki kręcą się tu i ówdzie, więc nie ukryła się u żadnego z nich. Jako ostatni uciekli na tratwach rockersi, a nie chłopaki od nas, zresztą chyba ich nawet nie znała. Nie wiem, dlaczego Yovany o tym mówił, a potem pomylił jedno z drugim... Dużo o tym myślałem i naprawdę nie mam pojęcia, w co się wpakowała. Sądzę, że stało się coś niedobrego, jak pan to nazwał...

– Yovany to...?

– Tak, ten, co z panem rozmawiał wczoraj wieczorem.

Conde kiwnął głową i zapalił papierosa. Zrozumiał, że popełnił nietakt, i podsunął pudełko Fredericowi.

– Nie, nie palę. I nie piję...

„Emodelowy”, pomyślał Conde. „Nawet mówi mi per pan”. Skoro Frederic, opowiadając o losach Judy, wskazał najgorsze rozwiązanie, trzeba uderzyć w mocniejsze tony.

– Kolejny raz przysięgam na moją matkę, że nie jestem policjantem i nie powtórzę nikomu, o czym teraz rozmawiamy... Jakie narkotyki bierze Judy?

Frederic ponownie spojrzął na swoje rozpadające się tenisówki marki Converse i Conde uświadomił sobie trzy rzeczy: tenisówki nie mówią, milczenie chłopaka jest bardziej wymowne niż słowa, a głowa Frederica to dzieło sztuki: włosy poddane działaniu prostownicy tworzyły na czasce kolejne warstwy przypominające ułożone jedno na drugich liście kapusty. Naciskał dalej.

– Jej zniknięcie.... ma coś wspólnego z narkotykami?

– Nie wiem – odrzekł w końcu chłopak. – Ja tam trzymam się od tego z daleka... Jestem emo, bo lubię być w grupie, ale nie robię tego co inni. Nie piję, nie ćпам, nie tnę się...

Conde uczył się wyrażenia „co robią inni”, odnoszącego się do narkotyków, i udając naiwnego, poszedł za ciosem.

– A co niby miałbyś sobie ciąć?

– Ciało... Ramiona, nogi... żeby cierpieć.

Frederic na dowód pokazał swoje ręce bez żadnych zadraśnień. Condego, chociaż wiedział już o tych praktykach, przeszedł dreszcz. Ale udawał zdziwienie.

– Nie wierzę...

– To dlatego, żeby zrozumieć ból świata, poczuć go na własnej skórze.

– Cholera, wy naprawdę jesteście pokręcani!

– Judy sznutuje się i bierze narkotyki, ale z tego, co wiem, tylko tabletki. Tabletki i alkohol dają ludziom odłot.

– A reszta bierze tabletki i jeszcze coś?

Frederic się uśmiechnął.

– Jestem emo, a nie...

– W porządku... Jej babcia mówi, że Judy wszędzie pozakładała sobie kolczyki, ale się nie tnę...

– Babcia nic nie wie...

– A ty co wiesz? Jak mi możesz pomóc?

Frederic podniósł głowę i teraz on wpatrywał się w Condego.

– Judy jest pokręcona. Bardziej niż inni... Wszystko bierze na serio.

– Także to, co czyta, tak?

– To też. Nie przypuszczałem, że tak ją wciągnie bycie emo... Zaczęła rozczytywać się w książkach, a jedną, Nietzschego, znała na pamięć, no tego od nadczłowieka, i za nim powtarzała, że Bóg umarł... Ale jednocześnie wierzy w buddyzm, nirwanę, reinkarnację i karmę.

Conde nie przerywał mu w nadziei, że na tej liście pojawi się coś odkrywczego.

– Twierdziła, że teraz ma dwudzieste pierwsze życie, wcześniej była rzymskim legionistą, marynarzem, żydowską dziewczyną w Amsterdamie, księżniczką Majów... a jeśli młodo umrze, przydarzy jej się lepszy los – powiedział Frederic i znów zapatrzył się w swoje converse'y.

– Mówiła o śmierci? O samobójstwie?

– No pewnie. Z jakiegoś powodu została emo, nie?

– Ty też o tym mówisz?

Na twarzy Frederica pojawił się chytry uśmiech.

– Tak, jak inni...

– Ale w to nie wierzysz. A reszta?

– Yovany i Judy ciągle o tym gadają, już to panu mówiłem, biorą wszystko na poważnie. On też się tnie. Niedawno zrobił sobie na ramieniu sznyty jak odbyty.

– Nie zauważyłem...

– Bo miał zasłonięte rękawem.

Conde przypomniał sobie płócienny worek przykrywający ramię Yovany'ego, bladego emo, który uparcie kogoś mu przypominał. Doszedł do wniosku, że Frederic, mimo swojej aparycji, nie wygląda na kogoś skłonnego do samobójstwa lub możliwej reinkarnacji. Przynajmniej dotąd nic na to nie wskazywało. Z kieszeni wyjął nalepkę i przeczytał głośno to, co było na niej napisane.

– Co o tym powiesz?

– Judy czytała jakiegoś Ciorana. Znalazła jego teksty w internecie, kiedy mieszkała w Wenezueli. Wydaje mi się, że to ten Cioran – powiedział Frederic i zaczął czegoś szukać w jednym ze swoich zeszytów. – Judy lubi opowiadać o tym, co czyta, cytuje jakiś kawałek, no, trochę chce nas podszkolić... Niech pan zobaczy, co zapisała w moim zeszycie: „Odebranie cierpieniu wszelkiego znaczenia to zubożenie człowieka, uczynienie go bezbronny. Chociażby cierpienie zdało się człowiekowi czymś najdziwniejszym, zaprzeczeniem jego istoty, to jest ono czymś nieuchronnym tak jak śmierć, jest wyznacznikiem człowieczeństwa. Unicestwienie zdolności do odczuwania bólu oznacza unicestwienie kondycji ludzkiej”²⁹.

Słuchając Frederica, Conde uświadomił sobie, że z każdą próbą zbliżenia się do osobowości Judy, ta historia staje się coraz bardziej zmatwana, ale nade wszystko zmierza ku rejonom dla niego niezgłębionym i nieznanym, ku przestrzeni, w której przecinają się sprzeczne sensory o niezrozumiałej wymowie. Każdą z tych dróg mogła podążać dziewczyna, bo jeśli cokolwiek zrozumiał z tego bełkotu, fragment przeczytany przez Frederica prowadził chyba w zupełnie innym kierunku. Po co, do kurwy nędzy, dał się w to wszystko wciągnąć?

– Poważnie traktowała ból i upajała się nim, ale pogardzała ciałem i w dodatku brała narkotyki, żeby znaleźć się w innym świecie, nie wierzyła w Boga, ale wierzyła w karmę, reinkarnację i cierpiącą ludzkość?

– Przed wyjazdem do Wenezueli nie była jeszcze prawdziwym emo i chyba nie brała narkotyków. Po powrocie już próbowała, ale nie sędzę, żeby była uzależniona, raczej spragniona nowych doświadczeń, tak w każdym razie twierdziła. W Wenezueli coś jej się przydarzyło, nie chciała o tym mówić ani o tym, co zrobił jej ojciec, chociaż powtarzała, że jest notorycznym oszustem... Wiem tylko, że jeszcze za granicą, gdzie miała dostęp do internetu, znalazła różne portale, na których emo i punki dużo pisały o ciele i fizycznym bólu. Brała też udział w czatach. Kiedy wróciła, była bardziej emo niż ja, niż inni, zaczęła robić sobie piercing, potem tatuaże i bez przerwy o tym gadała: o sznytach, o bólu...

Conde przypuszczał, że działalność emo-masochistyczna Judy mogła ją skłonić do dobrowolnej ucieczki, ale do tego dziewczyna potrzebowała czyjejs pomocy. Przede wszystkim żeby znaleźć kryjówkę. A jeśli nadal żyje i przebywa na Kubie, to gdzie, u diabła, się podziewa?

– Gdyby zamierzała gdzieś wyjechać albo zniknąć... miała jakieś pieniądze?

– Zawsze coś miała, pięć, dziesięć dolców, ale nie więcej. Chyba podbierała swojemu staremu, tak sądzę...

Conde zanotował ten fakt i pytał dalej.

– A ten Włoch? Powiedz mi coś o nim. Miał jakiś związek z narkotykami? Dawał jej kasę?

– To dziwne, ale Judy nie podobał się mężczyźni i...

Conde nie wytrzymał.

– Zaraz! Chcesz powiedzieć, że na dodatek Judy była lesbijką?

Frederic także nie wytrzymał i znów się uśmiechnął.

– Ja nie mogę... To co wreszcie powiedzieli panu rodzice i babcia Judy? Nie mówili, że jest lesbą, że się tnie, ćpa i czeka na reinkarnację? I jeszcze chcą, żeby pan ją znalazł? No to zająbiście...

Conde czuł, że wyszedł przed chłopakiem na idiotę, gorzej, na dupka. Raz jeszcze się przekonał, że dotarcie do najgłębszej istoty Judy nie będzie łatwym zadaniem. Sądząc, że chodzi o Yadine, zapytał:

– Była w jakimś poważnym związku, miała dziewczynę czy coś w tym stylu?

Frederic ponownie zasięgnął opinii swoich converse'ów.

– Tak. Ale nie mogę powiedzieć kogo.

– Wał się! – wybuchnął Conde, usłyszawszy odpowiedź chłopaka, i skorzystał z okazji, by poprawić swój wizerunek. – Co jest, do kurwy nędzy? Wszyscy tu robią za wtajemniczonych, coś tam czasem bąkną, same pierdoły.

Gdyby nadal był policjantem, miałby sposoby, żeby go przycisnąć. Strach góry przenosi, jak mógłby powiedzieć Budda Siddhartha Gautama, zapewne kumpel Judy w którymś z jej poprzednich dwudziestu wcieleń. Niemniej jednak z tego właśnie powodu i jeszcze z wielu innych Conde przestał być policjantem. Zapalił kolejnego papierosa i popatrzył na Frederica. Miał pewność, że owa wyrocznia zamknęła już swe podwoje, przynajmniej w tym momencie. Mimo to zaryzykował i zapytał:

– Judy była narzeczoną Yadine, coś je łączyło?

Frederic uśmiechnął się z wyższością.

– Yadine to idiotka, która chce być emo, a w rzeczywistości jest nikim... Ale kocha się w Judy po uszy...

Conde pokiwał głową. Spojrzał na chłopaka i powiedział błagalnie:

– Czyli nie masz pojęcia, gdzie, do cholery, może być i czy coś jej się stało, czy nie.

Frederic myślał przez chwilę.

– Był też inny Włoch. Raz go widziałem. Nie wiem, czy jeszcze ktoś z naszych go znał. Nazywała go „Bocelli”, bo przypominał tego niewidomego śpiewaka. Wiem też, że Judy zamierzała przestać być emo. Jakiś miesiąc temu powiedziała mi, że jesteśmy już na to za starzy, że powinniśmy zająć się czymś innym, ale sama nie wiedziała czym...

Conde zaciągnął się i rozdeptał niedopałek na chodniku. Ta ostatnia wiadomość brzmiała obiecująco.

– Superemo chciała wystąpić z plemienia? I co zamierzała?

– Nie mam pojęcia, naprawdę.

Conde popatrzył na chłopaka i zrozumiał, że to koniec rozmowy. Musiał jednak poznać odpowiedź na jeszcze dwa pytania. Spróbował.

– Może mnie oświecisz, chłopcze... Sądziś, że Judy na serio chciała popełnić samobójstwo czy może to była tylko taka poza?

Frederic zastanawiał się przez chwilę i odparł z uśmiechem.

– Nie nazwałbym tego pozą. To najbardziej autentyczna dziewczyna w naszej paczce. Ubierała się jak emo, mówiła jak emo, ale potrafiła myśleć... Nie wierzę, że planowała samobójstwo... Gdyby zamierzała, toby to zrobiła. Judy jest zdolna do wszystkiego... Ale nie, nie sądzę...

– Frederic, do cholery, oświeć mnie wreszcie... Powiedz, dlaczego taki facet jak ty bawi się w emo?

Chłopak potrząsnął głową, jakby zaprzeczając, aż jeden z kapuścianych liści odkleił się i jak zwiędły opadł mu na twarz.

– Bo mam już potąd gadania, co mam robić i kim mam być. Chociażby dlatego. Wystarczy, nie...? Bo wyglądam bardziej tajemniczo i to pomaga mi wyrywać laski.

– No tak, teraz cię rozumiem... Widziałem efekt... A ten cały Bocelli? Co to za gość?

– Wiem tylko to, co mówiła o nim Judy. Ten na pewno bierze narkotyki.

„Pogmatwało ci się życie, Mario Conde”, pomyślał i poczuł znudzenie. Miał wielką ochotę rzucić całą tę sprawę, a zarazem kusiło go, żeby znaleźć w niej jakiś sens.

– Bardzo dziękuję, że mi to wszystko powiedziałaś. Jeżeli Judy się nie pojawi, pewnie znów się z tobą spotkam... – Wyciągnął rękę na pożegnanie. Ściskając dłoń chłopaka, życzył mu szczęścia w dro-

dze ku nirwanie Emolandii.

– No pewnie, że to ja... Co jest grane?

– Chodźże tu prędzej, przywódca już się rozkruszył³⁰, jak socjalizm w Kraju Rad...

W przeciwieństwie do tego, co twierdził Nietzsche i co on sam myślał przez długie lata, Conde od niedawna skłaniał się ku wierze w istnienie Boga. Nieważne jakiego, skoro tak czy owak wszyscy byli tacy sami, a czasem nawet byli tym samym, mimo że z powodu różnic w pojmowaniu owego Boga ludzie co rusz okładają się pięściami (w najlepszym razie). Teraz brał za pewnik, że jakiś bóg wychynął zza chmur i z nudów spełniał boską wolę. Tenże Bóg, bardzo przejęty swoją rolą, najwidoczniej podjął decyzję: chyba jednak rzucę koło ratunkowe temu dupkowi, który od dawna ma przesrane i nie stać go nawet na prezent urodzinowy dla narzeczonej... Jadąc autobusem do domu Yoyiego, Conde próbował podliczyć, bez specjalnych sukcesów, jaki procent przypadnie mu ze sprzedaży książek, a od tych rachunków przeszedł do zawiłych spekulacji na temat najbardziej stosownego podarku dla Tamary... kiedy już dostanie te pieniądze. W trakcie owych dywagacji Conde zdecydowanie tępił w myślach wszelkie skrupuły związane z dalszymi losami zdobytych z takim trudem książek. Żeby jakoś dojść ze sobą do ładu, wysuwał pragmatyczny argument przywoływany zwykle przez Gołębia: jak nie oni, to ktoś inny zrobi na tym interes. W sumie lepiej, że oni, a nie tamci, pospolici skurwiele, niewidzialni kidnaperzy przeróżnych perełek ze wspaniałej biblioteki, którą Conde odkrył kilka lat wcześniej, lecz z powodu tychże skrupułów odmówił negocjacji, żeby nie przyłożyć ręki do nieodwracalnego wywiezienia owych książek z Kuby... a tymczasem „tamci” obłowili się na transakcji, uradowani jak świnię w deszcz.

Te jakże istotne rozważania teologiczne, bibliograficzne i urodzinowe zostały niepostrzeżenie wyparte z jego umysłu przez telenowelę o emo oraz tajemnice, w które wplątała go Yadine Kamiński, nie bez spontanicznego i solidarnego udziału jego własnej nieprzepartej ciekawości. Ciągłe coś umykało jego uwagi, kiedy usiłował określić punkt wyjścia do rozważań o tym, kim właściwie jest Judyta Torres. Bez odpowiedzi na to pytanie niemożliwe wydawało się ustalenie przyczyn jej zniknięcia. Fakt, iż była emo, mógłby okazać się kluczowy, ale nie można też odrzucić opinii, że to jedynie drugorzędny element osobowości tej dziewczyny. Jedno jest pewne: Judy nie była po prostu (skądinąd nic tu nie było proste) zbuntowaną i olewającą rodzinę nastolatką. Rozważania ekspolicjanta skupiały się na stosunku Judy do siebie samej: jej lekturach, upodobaniach muzycznych, postrzeganiu świata, który, jak twierdziła Alma, stanowił własne uniwersum jej wnuczki. Wszystko to tworzyło sieć powiązań zbyt zawiłą jak na dziewczynę w jej wieku. Cztery różne oblicza, z których Conde zrekonstruował jej osobowość – szkic sporządzony przez zakochaną Yadine, obraz nakreślony przez babcię, opinia Frederica (i chyba także innych przyjaciół emo) i wreszcie wizerunek, który on sam odtworzył, kiedy buszował w jej pokoju i poznawał mroczne, zagadkowe obsesje Judy – kryły coś jeszcze bardziej osobliwego. Przekonanie, że Bóg umarł (teza, którą akurat w tym samym czasie podważał ateista Conde), wydawało się bardziej pokrętnie niż zrozumiałe zwątpienie w boskie plany albo brak wiary w istnienie bytów nie z tego świata. Judy widocznie stworzyła sobie własną filozofię, w której przeświadczenie o posiadaniu nieśmiertelnej duszy i zdolnej nią kierować wolnej woli łączyło się z przekonaniem o niezbywalnym prawie do owej wolności jako jedynej drogi samorealizacji jednostki nieskrępowanej przymusem religijnym ani moralnym.

Ujawianie homoseksualnych skłonności zmieniło w pewnym stopniu sposób, w jaki Conde z początku postrzegał Judy. Skoro zdecydowała się zostać lesbijką, to dlaczego – będąc bałwochwalczą czciicielką wolności – tak starannie ukrywała tożsamość swojej wybranki? Coś tu zgryzało... Obraz dodatkowo zaciemniała jej relacja z dwoma Włochami, dobrym i złym, którzy mogli ułatwiać jej dostęp do narkotyków, pomijając już inne nikczemne możliwości. A zagadkowe wydarzenia w Wenezueli? Czy było to jakieś osobiste doświadczenie, czy też efekt mętnych interesów ojca, które kosztowały go dymisję i nadal toczące się przeciw niemu śledztwo? Czy chodziło o jej spotkania w cyberprzestrzeni z filozofami emofilii i plemiennymi teoretykami bolesnych praktyk fizycznych, takich jak karanie własnego

ciała i poszukiwanie człowieczeństwa? Conde zdawał sobie sprawę, że to zbyt wiele pytań jak na policjanta, który już nie jest policjantem, a w charakterze narzędzi pracy ma do dyspozycji jedynie oczy, język i umysł. Judyta Torres wymykała mu się z rąk, gdy tylko próbował ją osaczyć...

Yoyi, świeżo wykąpany i wyperfumowany, jeszcze bez koszuli, czekał na niego w bramie i zgodnie ze swoim zwyczajem gładził się po wypukłym gorsie podobnym do piersi oskubanego gołębia.

– Ja pierdziele, *man* – wybuchnął entuzjazmem, gdy stanął przed nim jego partner biznesowy. – Jeśli uda się nam sprzedać te książki, tak jak zaplanowałem, wiesz, jaka będzie twoja dola?

– Od dwóch dni robię rachunki, ale jeszcze nie... Czteryście dolarów? – Conde ośmielił się wymienić kosmiczną sumę.

Yoyi tymczasem włożył nieskazatelnie świeżą lnianą koszulę. Z kluczykami od chevroleta w garści i szerokim uśmiechem na twarzy nachylił się do ucha Condego i wyszeptał:

– To dlatego oblali cię z arytmetyki... Zgarniesz prawie tysiąc dolarów, *man*... Jedyńka-zero-zero-zero!

Conde poczuł, jak uginają się pod nim nogi, żołądek wywraca na drugą stronę, a serce przestaje bić. Tysiąc dolarów! Z trudem się powstrzymał, by nie rzucić się Gołębiowi na szyję i nie ucałować go z całym siłą.

– Yoyi, Yoyi, przecież wiesz, że jestem starszym człowiekiem, moje zdrowie... Zawału przez ciebie, kurwa, dostanę!

– Zadzwońił do mnie ekspresowiczka i powiedział, że jesteśmy poważnymi ludźmi i dlatego akceptuje procent od sprzedaży. Prosi jednak o dyskrecję i przeprowadzenie transakcji poza jego domem. A skoro tacy z nas poważni ludzie, to byłoby dobrze, gdybyśmy dla okazania dobrej woli dali mu w zastaw dwa patyki. – Poklepał się po wypchanej kieszeni, która dowodziła jego talentów biznesowych. – Co za gość!

Kiedy wsiadali do bel aira, Conde spojrział na czerwcowe niebo i w najlepszym sportowym stylu podniósł palec wskazujący, aby w ten sposób wyrazić swoją opinię osobistości przebywającej w niebiańskich sferach.

– Nietzsche był dupkiem – oświadczył.

– Dopiero teraz się o tym dowiedziałeś? – zaśmiał się Yoyi, uruchamiając silnik.

– Mam u ciebie dług, bracie. Ta forsa uratowała mi życie, bo... Powiedz... – Zdobył się na odwagę. – Gdyby Tamara była twoją narzeczoną, co byś jej dał na urodziny?

Yoyi się zastanowił.

– Pierścionek zaręczynowy...

– Pierścionek...? Ale ja nie chcę się żenić... na razie.

– I nie musisz. Ale pierścionek to jest to... Białe złoto, jakieś eleganckie kamienie, półszlachetne... Mogę ci taki sprzedać, *man*. Przepiękny i z rabatem dla przyjaciół!

Do czerwcowego kubańskiego skwaru dołączył teraz wewnętrzny żar wywołany hałaśliwym wtargnięciem diabła do ciała. Pomysł Yoyiego z pierścionkiem zaręczynowym wywarł nieoczekiwany i daleko idący wpływ na świadomość Maria Condego. Plan złożenia Tamarze życzeń wraz z prezentem, który – znając jej przywiązanie do miłych gestów, konwenansów i tradycyjnych obyczajów – z pewnością spotka się z uznaniem, był kuszący. Ale i niebezpieczny, gdyż kwestię ślubu, nawet odległego, rzadko i niechętnie poruszali w ciągu blisko dwudziestu lat wspólnego życia. Czy mogłaby potraktować ten podarunek jako ultimatum? Czy powinien to z nią przedtem skonsultować, psując efekt niespodzianki? Czy rzeczywiście chce się z nią ożenić? A ona wyjść za niego? Czy powinni się kiedyś pobrać? Czy ofiarowanie pierścionka jest równoznaczne z koniecznością małżeństwa? Jak Yoyi odgadł, że od kilku dni Condemu snują się po głowie takie myśli?

Po zaspokojeniu głodu, zjadł bowiem obiad, który Josefina zostawiła dla niego na wszelki wypadek – prawie zawsze był wszelki wypadek – Conde i Carlos wyszli na ganek w poszukiwaniu ożywczej bryzy. Carlos wyjaśniał mu strategię organizacyjną planowanej za dwa dni fiesty, na którą rozesłał już ustne zaproszenia, a także rozdzielił zadania mające zagwarantować wystarczającą ilość potraw i napitków, ale Conde wciąż pograżony był w rozmyślaniach nad nieszczęsnym pierścionkiem.

– Będzie nas dziewięcioro: Królik, Aymara, Dulcita, Yoyi, Luisa, ta zaprzyjaźniona z Tamarą szpetna dentystka, ty, Candito, jubilatka i kelner.

– Przyjdzie Candito?

– Wyobraź sobie, że tak. Powiedział, że tego wieczoru zamknie kościół, bo nie może przepuścić takiej okazji. Stara Josefina przygotowuje coś treściwego do jedzenia, z dodatkami, które przyniosą Dulcita i Yoyi. Oboje zgłosili się dobrowolnie i z wyprzedzeniem... Co o tym myślisz?

– Kiedy Yoyi dowiedział się o tej imprezie?

– Rozmawiałem z nim chwilę po twoim telefonie.

Conde skalkulował: Yoyi miał kilka godzin na przemyślenie sprawy pierścionka. Skoro tak, wysunięcie tego pomysłu było działaniem wyrachowanym i podstępny.

– Mówiłeś, że co mam przynieść? – zapytał Conde, wracając do teraźniejszości. Aby ułatwić sobie ów powrót, łyknął podwójną dawkę rumu.

– *Cake*, kwiaty i dwie albo trzy butelki rumu. A rum ma być rumem, z etykietką, jak Pan Bóg przykaż, a nie to barachło, które sprzedają u Desperatów...

Conde sięgnął do kieszeni i wyciągnął banknot o nominale pięćdziesięciu wymiernych pesos.

– Yoyi dał mi zaliczkę a conto książek, które zamierzamy kupić. Mam prośbę... Może wyrzycicie mnie z Canditem? On zna się na kwiatach, a ty możesz kupić rum... Uwikłałem się w sprawę tej nieszczęsnej emo, więc...

– Opowiedz coś o tym... Masz jakiś pomysł, gdzie mogła, u diabła, przepaść? – Carlos poszedł w ślady Condego i napił się rumu.

– Mam ze dwa tysiące pomysłów, ale żadnego co do miejsca pobytu tej dziewczyny. Skomplikowała mi życie, Chudzielcu. Odnoszę wrażenie, że to ja najbardziej się przejmuję tym, gdzie ona jest i co się z nią stało... Nie co dzień znika ktoś, kto filozofuje na temat wolności jednostki i ogłasza, że Bóg umarł. Zwłaszcza u nas. Jutro może uda mi się pogadać z Canditem. On z nas wszystkich najwięcej wie o Bogu...

– Z jakiegoś powodu jest zastępcą pastora, co nie?

Conde pokiwał głową, raz jeszcze rozważając uporczywą obecność jakiegoś nieokreślonego boga w historii zaginionej dziewczyny. Tak, być może jego przyjaciel Ryży Candito, przedzierzgnięty w pomocnika pastora ewangelickiego, mógłby mu pomóc zrozumieć ów galimatias akceptacji i negacji transcendencji, w jaki wplątała go ta dziewczyna. Conde miał jednak przecucie, choć sam nie wiedział dlaczego, że w życiu i zniknięciu Judy istnieją jakieś inne – nieznanne – okoliczności, jakaś ciemna strefa, i że nawet się do niej nie zbliżył, a drogi, którymi dotrze do spowijających dziewczynę mroków, nie będą bynajmniej niebiańskimi ścieżkami. Tak, wiele jeszcze musi zrozumieć. Kto mu w tym pomoże?

– Czekaj, zadzwonię do Królika. Przyszło mi do głowy, w czym może pomóc.

Sięgnął po komórkę leżącą na stoliku wystawionym na ganek. To również był prezent od Dulcity, coraz bardziej hojnej i otwartej na potrzeby Carlosa. Wystukał numer i usłyszawszy po drugiej stronie głos przyjaciela, wyłożył powody, dla których dzwoni: miał nadzieję, że Królik podpowie mu, kto może wiedzieć, dlaczego młodzi ludzie się kaleczą i dokonują aktów autoagresji. A jeśli ktoś taki istnieje, to niech Królik jak najszybciej umówi ich na spotkanie. Królik podjął się zadania.

– Faktycznie, dzikusie. Trefna sprawa – stwierdził Carlos. – O matko! Nie wierzę, że zadawanie sobie bólu sprawia im przyjemność. Hereżja jakaś...

– Świat oszalała, Chudzielcu... Ja też – przyznał, dopił resztkę rumu ze szklanki i wstał. – Chociaż nie do końca... Judy wie, czego chce, a raczej czego nie chce, a ja wiem, że wisisz mi resztę z pieniędzy, które ci dałem... Idę, mam coś do omówienia z Tamarą.

Carlos zerknął na przyniesioną przez Condego butelkę. Była do połowy pełna. Coś znacznie poważniejszego niż zaginiona emo musiała zaprzętać umysł przyjaciela, skoro zażądała zwrotu pieniędzy i wycofała się w połowie alkoholowej batalii na śmierć i życie.

– Conde... możesz mi powiedzieć, co ci odbiło? Przyszedłeś tu z ponurą gębą, a teraz jest ponura do kwadratu. Ubileś interes, z którego będziesz miał kupę szmalu, zajmujesz się tym, co zawsze chciałeś robić, kiedy byłeś gliną, a teraz możesz to robić, nie będąc gliną, za dwa dni jest jubel urodzinowy Tamary z udziałem nas wszystkich, którzy przeżyliśmy, z wyjątkiem Andresa... Czego chcesz więcej, dzi-kusie? Czego ty lamentujesz, Kutaśny Łbie?

Conde uśmiechnął się, słysząc ów końcowy epitet, bo przypomniał mu się dowcip o czerwonoskórym wojowniku zwanym Kutaśnym Łbem, który żali się przed wielkim wodzem imieniem Orli Łeb, synem legendarnego Byczego Łba i bratem nieustraszonego Końskiego Łba, na swój niefortunny przydomek. Doszedł do wniosku, że Chudzielec ma rację: czego ty lamentujesz, Kutaśny Łbie? Trudno, nic na to nie poradzi. Podatność na cierpienie z byle powodu czyniła zeń prekursora filozofii emo. Ale nie puścił pary z ust. Nie mógł zdradzić dręczącego go problemu Carlosowi, dopóki nie rozmówi się z Tamarą, bo rzecz dotyczyła bezpośrednio jej i jego własnych obaw.

– Nie skarżę się, gadzino. Po prostu jestem dupkiem i nic na to nie poradzę... Jak odezwie się Królik, niech mnie łapie u Tamary. – Conde podszedł do Carlosa, nachylił się nad jego rozlazłym ciałem, ledwo mieszczącym się pomiędzy poręczami wózka, i nie mogąc powstrzymać fali wzruszenia, pochylił się i objął wilgotne od potu ramiona przyjaciela inwalidy. Jeśli Chudzielec miał jakiegokolwiek wątpliwości co do żałostnego stanu ducha Condego, to rozwiął je ów czuły gest, niemający nic wspólnego z pijacką wylewnością: było oczywiste, że Conde jest głęboko zraniony. Wbrew swoim zwyczajom Carlos nie odezwał się i tylko odwzajemnił ciepły uścisk.

Conde postanowił pójść do domu Tamary piechotą. Potrzebował więcej czasu na przemyślenia i znalezienie rozwiązania nowego wewnętrznego konfliktu. Najbardziej bulwersowały go prozaiczne wręcz przyczyny sytuacji, w jakiej się znalazł, ponieważ nigdy by do niej nie doszło, gdyby nie perspektywa obiecane mu przez Gołębia tysiąca dolarów. A mówią, że bogacze nie mają problemów! Tak, ale czym problemem jest pierścionek sam w sobie, czy też jego implikacje? – zapytywał się filozoficznie.

Tamara, świeżo wykąpana, leżała w koszuli nocnej na kanapie i oglądała jeden z seriali przyrodniczych, które szczególnie upodobali sobie autorzy ramówek telewizji państwowej. Gdy tylko ją zobaczył, zanurzona w tej rodzinnej, powszedniej, rutynowej atmosferze, zalała go fala udręki. Ożenić się? Raz na zawsze? Ale gdy tylko podszedł blisko, nachylił się nad hojnym dekoltem i poczuł emanującą z jej skóry świeżość, udrękę zastąpiła łagodna świadomość przynależności, która skłoniła go do obmyślenia natychmiastowego planu działania.

– Nie przeszkadzaj sobie. Wezmę prysznic – powiedział i poszedł do łazienki.

Kiedy obmywał się ze skorupy całodziennego brudu i potu, zanurzony w marzeniach o satysfakcjonującym seksualnym dopełnieniu dnia, doszedł do wniosku, że naprawdę może uważać się za człowieka wyjątkowo szczęśliwego: brakowało mu tysięcy rzeczy, okradziono go z setek innych, świat schodził na psy, ale on wciąż posiadał cztery skarby, które w swoim wspaniałym połączeniu były prawdziwą nagrodą od życia. Miał znakomite książki do czytania; miał zwariowaną kurewską psinę, którą mógł się opiekować; miał przyjaciół, których mógł opieprzać i obejmować, gotowych zalewać się wraz z nim w trupa i oddawać wspomnieniom innych czasów, zdecydowanie lepszych, patrząc z dystansu; i miał kobietę, którą kochał, a ona, jeżeli się nie mylił, kochała jego. Cieszył się tym wszystkim, a teraz nawet pieniędzmi, w kraju, gdzie wielu ludzi nie miało nic albo utraciło resztki tego, co miało: gdyż mnóstwo było takich (spotykał ich codziennie podczas ulicznej kwerendy, a oni sprzedawali mu swoje książki z nadzieją ocalenia od głodowej śmierci), którzy wyzbyli się jakichkolwiek marzeń.

Zgodnie ze swoim zwyczajem samotnego wilka Conde położył na brzegu wanny świeżo wyprane slipki i włożył inne, pozostawione tam zeszłego wieczoru. Poszedł do pokoju, znalazł powyciągany, dziurawy sweter, w którym zwykł sypiać. Słuchając dobiegającej z telewizora opowieści o słoniu hermafrodycie, przyjacielu ptaków i miłośniku żółtych kwiatków na przekąskę (a nie był to po prostu słoń pedał?), zaparzył sobie małą kawę w dzbanku. O tej porze Tamara nigdy mu nie towarzyszyła, dlatego też z filiżanką w jednej ręce i papierosem w drugiej udał się do salonu z mocnym postanowieniem: a niech to, zapyta Tamarę, czy chce za niego wyjść. W sumie, pomyślał, skoro zamierzam ofiarować jej pierścionek, czemu raz a dobrze nie skoczyć na głęboką wodę...?

W salonie zastał Tamarę śpiącą na kanapie. Żeby jej nie obudzić, usiadł w skórzanym fotelu, który jej ojciec kupił w Londynie wiele lat temu, kiedy był ambasadorem w Wielkiej Brytanii. Wyłączył pilotem telewizor: nie miał nastroju do śledzenia historii słonia przeżywającego seksualną traumę. Wypił kawę, zapalił papierosa. Nadeszła właściwa chwila, żeby wreszcie się zadeklarować:

– Tamara – szepnął i zebrawszy się na odwagę, mówił dalej: – A gdybyśmy tak się pobrali?

Pierwsze chrapnięcie było jedyną odpowiedzią na to budzące trwogę pytanie.

Esplanada, wiele lat temu przechrzczona przez jakiegoś nawiedzonego entuzjastę niezłomnej przyjaźni kubańsko-radzieckiej na Plac Czerwony, lśniła czernią swojej nawierzchni. Conde i Manolo zostawili samochód w bocznej uliczce i gdy tylko skryli się w dobroczynnym cieniu rozłożystego drzewa, przypomnieli sobie, co było nieuniknione, groteskowy epizod śmierci młodej nauczycielki chemii, który dwadzieścia lat wcześniej zmusił ich do wielokrotnego przemierzania placu tam i z powrotem, kiedy bez przerwy kursowali między komendą policji a Instytutem Przeduniwersyteckim w La Víborze. Z racji prowadzonego śledztwa wykryli tam kupę gówna: podwójną moralność, oportunistyczny, karierowiczostwo, ekscesy seksualne, akademickie i ideologiczne, a w charakterze wisienki na torcie – mordercę, którego obaj woleliby nie znaleźć³¹.

O świcie Conde dodzwonił się do majora Manuela Palacios, nim jeszcze ten opuścił dom (mieszkał tam z ósmą żoną), by udać się do Głównego Biura Śledczego. Manolo protestował energicznie, ale w końcu zgodził się spotkać z nim około jedenastej, a potem wyruszyć w podróż do teraźniejszości obciążonej przeszłością. Tamara wyszła z domu jeszcze wcześniej, tego dnia czekało ją kilka zabiegów z udziałem specjalistów od chirurgii szczękowej, więc Conde odważył się zostawić jej wiadomość na stole w jadalni. Postara się, napisał, wrócić jak najszybciej, żeby pomówić z nią o czymś bardzo ważnym. Był świadomy, że sporządził tę notatkę, kierując się najniższymi intencjami: by odciąć sobie możliwość odwrotu. Wrócił do siebie, przebrał się i nakarmił Śmiecia II, który powitał go pełnymi wyrzutów pomrukami porzuconego psa. Jeżeli Conde się ożeni i zamieszka w domu Tamary, znacznie wygodniejszym od jego skromnego lokum, to co wówczas pocznie z tym pokręconym zwierzątkiem, przyzwyczajonym do wylegiwania się na kanapach i łózkach po spędzeniu całego dnia na ulicy, gdzie zadawał się z innymi psami, a nawet ze słoniami hermafrodytami, o ile są takie gatunki gruboskórnych? Jeśli zabierze go ze sobą, najprawdopodobniej już po tygodniu Śmieć II i jego pan zostaną potraktowani jako personae non gratae i obaj, jeden i drugi (słoń też, jeśli przypałała się tam z nimi), wyrzuceni z domu, w którym żyje się zgodnie z normami cywilizowanego świata, nieznanymi takim nieokrzesanym dzikusom. Niezły argument w procesie rozwodowym: niedopuszczalny anarchizm męża i jego psa.

W Biurze Śledczym Conde wyjaśnił swojemu dawnemu podwładnemu, jakie podjął kroki, by odnaleźć emo, i z jakiego powodu prosi o pomoc: musi zidentyfikować i – jeśli to możliwe – zlokalizować Włocha, którego Judy nazywała Bocellim. Aby uspokoić zawsze skrupulatnego Manola, zaznaczył, że chodzi o kogoś, kim i tak powinna zainteresować się policja, ponieważ człowiek ów prawdopodobnie ma coś wspólnego z zazywaniem i sprzedażą narkotyków w mieście. Dodał, że wsparcie Manola jest niezbędne, bo jedynym sposobem identyfikacji tego osobnika jest zdobycie będących w posiadaniu Urzędu Imigracyjnego danych wszystkich Włochów poniżej czterdziestki, miłośników Kuby, którzy przybyli na Wyspę w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Po uzyskaniu owych informacji trzeba przeprowadzić rozmowę z Frederikiem, z którego major Palacios – jako prawdziwy policjant, władny przesłuchać obywatela i wsadzić go za kratki – powinien wydobyć personalia tajemniczej narzeczonej Judy, kuszącej niczym nieodkryte jeszcze łądy. W strefie pomiędzy owym Włochem a ukrytą narzeczoną należy szukać przyczyn zniknięcia emo, wymuszonego lub dobrowolnego.

W oczekiwaniu na wiadomości o Włochach Conde, jakby mimochodem, wprowadził wątek, który mógłby wyjaśnić jego były podwładny: wenezuelskie losy Alcidesa Torres, które raz po raz pojawiały się w tle burocratycznej postawy jego córki. Ku zdumieniu Condego Manolo zareagował niczym dżgnięty przez pikadora byk: o tym śledztwie oni wszyscy, stała grupa oficjalnych śledczych, nie wiedzą nic. Dochodzenie, pod pretekstem, że nie bada ono przestępstwa pospolitego, zostało przekazane specjalnej komórce zajmującej się tego typu sprawami. Niemniej dla „stałej grupy oficjalnych śledczych”, w tym Manola, było jasne, że chodzi o przypadek ordynarnej korupcji w czystej postaci. Skoro Alcides Torres nadal jeździ swobodnie swoją toyotą i szuka córki, to znaczy, że nie można go było bez-

pośrednio powiązać z przekrętami dotyczącymi kontenerów wyładowanych telewizorami plazmowymi, komputerami i innymi technologicznymi delicatessen, kupowanymi w Wenezueli, a potem odsprzedawanymi na Kubie. Ale, zdaniem majora Palacios, jeśli dwóch twoich podwładnych zjada cake, pozwól ci uszczknąć choćby kilka okruszków bezy, czyż nie?

Z plikiem zdjęć trzydziestu dwóch Włochów pasujących do opisu Conde i Manolo czekali na wyjście uczniów. Jak już tego doświadczył w podobnych okolicznościach, ekspolicjant czuł niesmak wywołany oportunistyczną decyzją, by nakłonić Frederica do zdradzenia sekretu, który on, Conde, zobowiązał się zachować w tajemnicy. Przypominało mu to sprawę zamordowanej nauczycielki, kiedy praktycznie zmusił jednego z uczniów instytutu do ujawnienia informacji, która kwalifikowała nieszczęsnego chłopaka do mało chwalebnej kategorii kapusiów. Po jaką cholerę się w to wpakowałem, wściekał się na siebie Conde i w tym właśnie momencie zadzwieczał dzwonek kończący poranne lekcje.

Tak jak poprzedniego dnia, Yadine jako jedna z pierwszych opuściła budynek instytutu i jak zawsze sama, w pośpiechu, zajęta własnymi myślami, ruszyła w kierunku Calzada. Parę minut potem wyszedł Frederic, prezentując swój uczniowski look. Tym razem asystowały mu nie dwie, ale trzy dziewczyny, w tym wystrzałowa blondynka, z którą poprzedniego dnia całował się w ramach przyjacielskich więzi. Z ustaloną już regularnością najpierw odłączyła się jedna, a niedługo potem z Frederikiem i drugą koleżanką pożegnała się blondynka: pocałunek nie był już tak intensywny, ale z jęczyzkiem. Ekipa śledcza starała się zachować bezpieczną odległość kilku przecznic, ponieważ para, gdy tylko została sama, zaczęła się obcałowywać bez umiaru na środku ulicy, co zmuszało Manola i Condego do przystawiania co dziesięć metrów. Były detektyw bezskutecznie usiłował zrozumieć, co tu jest grane. Kiedy młodzi usiedli na ławce w jednej z alejek Parque de los Chivos, pieszczoty nabrały intensywności i głębi. Oszalałe języki, ręce pełzające pod ubraniem niczym węże, zęby kłapiące najwrażliwsze miejsca, dygoczące konwulsyjnie ciała. Conde i Manolo, przyuczajeni w stosownym oddaleniu, musieli zadowolnić się paleniem papierosów, sphywaniem potem i wspomnianiem dawnych czasów i miłostek, w nadziei, że para nie legnie na trawie, bawiąc się w dorosłych (jej dłoń już zagłębiła się w spodnie chłopaka, jego ręka z kolei buszowała pod sukienką, aż w pewnym momencie dziewczyna wygięła się do tyłu tak gwałtownie, że omal nie pękła na pół, a przynajmniej tak to z daleka wyglądało). Być może z powodu upału eksplozja namiętności wkrótce wygasła. Kiedy Conde odwrócił wzrok od widowiska i spojrzął na dawnego kolegę, dostrzegł w jego oczach rozbieżnego zęza, wywołanego zapewne zbyt intensywną obserwacją pornograficznej sceny w parku.

Po dwudziestu minutach młodzi opornie pożegnali się przeciągłym pocałunkiem. Dziewczyna (śniada, wysoka, szczupła i zgrabna) krokiem rekonwalescentki przeszła przez park, a Frederic pogmerał w kroku, by uniknąć złamania członka, i zszedł zboczem w stronę Avenida de Acosta. Manolo widać doszedł do wniosku, że stracił zbyt dużo czasu na podglądanie, które wzburzyło jego hormony, bo nie zwlekając dłużej, ruszył energicznie za chłopakiem.

– Frederic, zaczekaj! – zawołał i przyspieszwszy kroku na stromiznie, popędził w dół, a Conde za nim, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. Ani on, ani Manolo nie nadawali się już do ulicznych pościgów.

Młody człowiek obejrzał się, a jego mina jasno świadczyła o odczuciach na widok Condego w towarzystwie umundurowanego policjanta, w dodatku z oficerskimi epoletami.

– A teraz czego chcecie?

Conde starał się zachować uśmiech.

– Masz poplamione spodnie... Potrzebujemy trochę pomocy, nic więcej... Nie dla nas, dla twojej przyjaciółki.

Słowa Condego trafiły w cel. Frederic opuścił gardę i wzrok, badając rozmiary plamy na spodniach. Conde wiedział, że ta sytuacja tylko spotęguje zakłopotanie chłopaka i jego chęć do współpracy.

– O co chodzi? – wyszeptał, zasłaniając plecakiem płamę w kroku.

– Major Palacios – Conde wskazał Manola – także chce odnaleźć Judy.

– Chcemy tylko, żebyś rozpoznał na zdjęciu tego Włocha, którego nazywała Bocellim – wyjaśnił major. – Mam tu kilka fotografii. Przyjrzyj się, czy to któryś z nich...

Frederic spojrział najpierw na Manola, potem na Condego i wziął do ręki teczkę ze zdjęciami. Starannie, ale bez okazywania żadnych uczuć, przerzucał stroną za stroną. Przy piętnastej fotografii drgnął i oświadczył.

– To ten. Na pewno. Widziałem go tylko raz, ale to z pewnością on... Nie widzicie, że to wykapyany Bocelli?

Conde wziął teczkę i przyjrzał się zdjęciu: mężczyzna mniej więcej trzydziestopięcioletni, gęste włosy, oliwkowa cera. Odwrócił zdjęcie i przeczytał informację: Marco Camilleri, na Kubie po raz dwunasty; ostatnio przekroczył granicę 9 maja i wyjechał 31, trzy tygodnie później... Dzień po tym, jak Judy opuściła dom.

– Był na Kubie, kiedy zaginęła Judy, ale... – mruknął Conde, zastanawiając się, co może oznaczać ta zbieżność dat. Mógł się tylko domyślać najgorszego.

– Ale co? – zapytał Frederic.

– Jeżeli Judy wciąż jest w kraju, nie ukrywa się teraz razem z nim... Jednak zanim ten Bocelli wyjechał... – Usta nie chciały wypowiedzieć słów, które przemknęły mu przez myśl: Judy nie zaginęła bez przyczyny, bo jej nieobecność była równie nieodwracalna jak śmierć. Czy Bocelli po prostu zakończył swój pobyt na Kubie, czy też przerwał go z powodów, których domyślał się Conde? Odruchowo zerknął na majora Palaciosą, a ten przytaknął. To samo chodziło im po głowie. – Niewykluczone, że ten człowiek skrzywdził Judy.

– Zabił ją? – pytanie Frederica zabrzmiało jak krzyk.

– Tego jeszcze nie wiemy – stwierdził Conde i spróbował wykorzystać wzburzenie chłopaka. – Ale jest jeszcze ta narzeczona Judy i musisz nam powiedzieć, kto to jest.

– Nie mam pojęcia... – zaczął się wycofywać Frederic.

Manolo postanowił przejąć inicjatywę.

– Posłuchaj mnie, Fredericu, to nie zabawa. Może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale to jest śledztwo kryminalne... Judy zaginęła trzynaście dni temu i niewykluczone, że już nie żyje. Teraz rozmawiamy na ulicy, bo mój przyjaciel powiedział, że jesteś przywoitym chłopakiem, jednak nie ma już czasu do stracenia. Więc albo powiesz teraz, kto, do cholery, jest tą narzeczoną Judy, albo porozmawiamy w mniej przyjemnym miejscu i uwierz mi, że tam wszystko wypisiewasz. Nawet nie wiesz, jacy potrafimy być przekonani...

– Ana María, psorka od literatury – powiedział Frederic i nie czekając na ich reakcję, pomknął w dół.

Conde poczuł nie tyle ulgę, ile gorycz.

Miała jakieś dwadzieścia siedem, dwadzieścia osiem lat i była szokująco piękna: głęboka czerń włosów, pełne tragizmu oczy w zielonej tonacji selwy, nad nimi obfite, jakby zastygłe w zadziwieniu brwi, wyraziste i pełne usta, ale nie wskutek botoksu, lecz zawilej krzyżówki ras. Conde poczuł się zagrożony widokiem niewielkich piersi, wzniesionych ku niebu niczym działka przeciwlotnicze, oraz kształtnych bioder, które mogły być oazą spokoju albo polem bitewnym. Jej gładka skóra błyszczała pełnym blaskiem, lekko stonowaną barwą uzyskaną z dodania kilku kropli kawy do mleka. Angelina Jolie? To było nieuniknione, że maczystowski instynkt Condego skłoni go do wniosku, iż ta cudowna kobieta, która kocha inne kobiety, jest bolesnym marnotrawstwem w procesie ewolucji.

Gdy Frederic zdradził mu tożsamość narzeczonej Judy, Conde doszedł do wniosku, że rozmowę z nią należy przeprowadzić w klimacie dyskretnej intymności. Miał szczęście, ponieważ z łatwością pozbył się Manola. Policjant, również zaniepokoiony zbieżnością daty zniknięcia Judy i wyjazdem Marca Camilleriego alias „Bocelli”, zdecydował, że ekipa śledcza powinna pójść tym tropem i przeszukać archiwa oraz uruchomić sieć informatorów, którzy mogliby dowiedzieć się czegoś o kluczowych aspek-

tach tego wątku: Włosi, narkotyki i bardzo młode dziewczyny. Dlatego szybko się pożegnał, żeby niezwłocznie wprawić policyjną maszynę w ruch, a na odchodnym zapewnił dawnego kolegę, że skontaktuje się z nim, gdy tylko pojawi się jakiś obiecujący ślad.

Kiedy Conde wrócił do instytutu i odszukał profesorkę Anę Marię, poczuł gwałtowne przyspieszenie tętna w obliczu wyrafinowanego estetycznie spektaklu z udziałem owego egzemplarza prościutko z katalogu, a wszystkie jego wyobrażenia i przesady sugerujące spotkanie z jakimś babochłopem (na Boga, jest lepsza od Angeliny Jolie!) rozwiały się definitywnie. Ku jego zdumieniu, gdy tylko wspomniął o powodach swojej wizyty, kobieta bez protestu zgodziła się wyjść, żeby pogadać z nim na osobności.

Dzięki wymiennalnym pesos, których plik został mu w kieszeni, Conde mógł zaprosić ją do nowo otwartej kawiarni, zwykle opustoszałej i na szczęście klimatyzowanej. Kiedy szli ulicami La Víbory, starał się utrzymać rozmowę na aseptycznej i pogodnej płaszczyźnie własnych wspomnień z lat sięgających czasów sprzed narodzin Any Marii, kiedy to sam uczęszczał do instytutu, w którym teraz uczyła.

Ciało Condego domagało się piwa, lecz wiedziony zawodowym instynktem zamówił z kłamliwym entuzjazmem sok, tak jak towarzysząca mu kobieta, wcześniej zaś polecił kelnerowi wymyć zatłuszczony stolik. Wiedząc, że dokonuje zamachu na własne zdrowie i pryncypia, wypił łyk ciemnego słodkiego płynu o smaku syropu, a następnie wyłuszczył Anie Marii powody swojego zainteresowania Judy, jak też, zbytnio się z tym nie kryjąc, motywy, które skłoniły go do tego spotkania: przyznał się, że wie, iż łączy ją z dziewczyną bliskie stosunki, aczkolwiek nie sprecyzował, jakiego rodzaju i jak bliskie... (Boże drogi, co za marnotrawstwo!). Ana Maria słuchała, popijając sok z plastikowego kubka, on zaś zamilkł na widok dwóch wielkich łez spływających z zielonego źródła i toczących się po gładkich policzkach. Jako dżentelmen poczekał, aż nauczycielka przyjdzie do siebie po otarcie oczu bardzo kobiecym gestem, co pozwoliło mu wypatrzeć na wewnętrznej stronie przedramienia małej tatuaż z salamanдрą o wygiętym na kształt haczyka ogonie.

– Zakładam, że nie jest pan z policji i nie okaże się taką kanalią, żeby mnie nagrać – zaczęła autorytatywnie, odzyskując pewność siebie. – Wierzę, że rzeczywiście jest pan zainteresowany znalezieniem Judy dla jej dobra i dla spokoju jej babci. Oczywiście proszę też, jeśli nasza rozmowa w czymś pomoże, żeby wszystkie informacje zostały wykorzystane wyłącznie w celu odzyskania Judy i bez podania źródła. To ostatnie wynika z trzech powodów i wierzę, iż pan je zrozumie: jestem lesbijką i bardzo mi to odpowiada, ale żyjemy w kraju, w którym moje preferencje seksualne nadal są potępiane; jestem nauczycielką i lubię swój zawód; poza tym, co najważniejsze, zgodnie z przyjętą normą nauczycielom nie wolno utrzymywać intymnych stosunków z uczniami, a między mną i Judy raz doszło do zbliżenia. Jeżeli pan to ujawni, wszystkiemu zaprzeczę. Niemniej jednak, nawet jeśli nie stracę pracy, bardzo mi to zaszkodzi, a skutki będą nieodwracalne. Rozumie pan?

– Oczywiście. Ma pani moje słowo, że jeżeli to, czego się tu dowiem, pomoże mi odkryć, co się stało z Judy, wykorzystam te informacje wyłącznie w celu jej odnalezienia i powiadomienia o tym rodziny. Ale ostrzegam, że chociaż mogę zapomnieć o pani sentymentalnych i pedagogicznych potknięciach, nie przemilczę przestępstwa, jeśli się okaże, że jest pani w jakikolwiek sposób powiązana z zaginięciem swojej uczennicy, a cała sprawa ma drugie dno.

– Co pan rozumie przez to ostatnie?

– Że została porwana lub przydarzyło się jej coś jeszcze gorszego, a pani brała w tym udział.

– A zatem możemy porozmawiać – oświadczyła profesorskim tonem. – Ale proszę sobie nie robić nadziei. Długo nad tym myślałam i nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie jest Judy ani czy coś jej się stało. Kilka dni przed... – zawahała się, szukając właściwego słowa – przed tym, jak wyszła z domu, zerwałyśmy ze sobą i rozmawiałyśmy wyłącznie w klasie, jak nauczycielka z uczennicą.

Judy wkroczyła w moje życie przez niedomknięte drzwi, których nie da się zatrzaskać: drogą prowadzącą wprost do serca. Brzmi to okropnie pretensjonalnie, ale tak było... Od sześciu lat jestem dyplomowaną nauczycielką, od dziewięciu wychowawczynią i nigdy, nawet kiedy byłam jeszcze studentką, nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby wdać się w romans z uczennicą, a tym bardziej na poważnie. Może dlatego, że jeszcze ponad rok temu miałam stałą partnerkę. Był to satysfakcjonujący związek,

trwający dwanaście lat... Jestem nauczycielką z powołania, nie z konieczności czy przymusu, jak wiele innych, i respektuję albo respektowałam, mówię to z całkowitą szczerością, normy edukacyjne i etyczne tego zawodu, bo są dla mnie święte. Rozumie pan?

Kiedy Judy przyszła do mojej klasy, tuż po swoim powrocie z Wenezueli, od razu wiedziałam, że to wyjątkowa dziewczyna, z uwagi na jej zalety i problemy ze sobą. Górowała inteligencją nad pozostałymi, miała za sobą lektury, po jakie koleżanki z klasy nigdy nie sięgną, w sensie ilości i jakości przeczytanych książek, była przy tym bardzo dojrzała, a jednocześnie bardzo dziecinna, jakby dwie istoty w jednej osobie. Tyle że zarówno ta dojrzała, jak i ta dziecinna Judy dążyły do tego samego celu, chociaż, co oczywiste, różnymi drogami: zachowywać się inaczej niż reszta, być wolną, jak tylko można być wolnym w jej wieku, zwłaszcza w kraju, gdzie to, co nie jest zabronione, jest niewykonalne... i o tę wolność walczyć. Każda robiła to na swój sposób. Bronią tej dojrzałej był rozum i przekonania; tej dziecinnej – maska, scena, wykreowana osobowość. Ale obie szukały tego samego: autentyczności, przestrzeni swobodnego działania, ekspresji własnej woli...

Jak pan wie, Judy jest emo. To jej wybór, powiedziałabym, że dokonany z przekonania, nie pod wpływem mody czy naśladownictwa, jak w wypadku innych młodych ludzi, którzy się w to wciągnęli, rozumie pan? Bycie emo pozwalało jej myśleć jak emo i postępować jak emo, z całym tym dekoracyjnym sztafażem... Wiem, że jeszcze przed wyjazdem do Wenezueli nosiła w sobie ziarno buntu, a raczej non-konformizmu. Napatrzyła się dosyć na fałsz, nasłuchiwała kłamstw, poznała przekrety ojca i jemu podobnych, ale była zbyt młoda, żeby pojąć skalę ich oportunistów. Za granicę dojrzała bardzo szybko i dokonała dwóch odkryć. Po pierwsze, że jej ojciec i tacy jak on jedno głoszą w przemówieniach, a robią drugie, mówiąc krótko, są bandą skorumpowanych ludzi najgorszego sortu, sprzedajnymi socjalistami, fałszywymi piewcomi solidarności, jak zwał, tak zwał... a to napawało ją straszną niechęcią, wstrętem, nienawiścią... Wtedy odkryła jeszcze coś innego, coś, co ją odmieniło: świat wirtualny zaludniony przez emo, przestępców, w której młodzi, poszukując własnego ja, swobodnie dyskutują o swoich doświadczeniach kulturalnych, mistycznych, a nawet fizjologicznych. Przekonała się, że za tym wszystkim kryje się pewna filozofia, bardziej złożona, niż to się wydaje na pierwszy rzut oka, filozofia związana z wolnością jednostki, począwszy od kwestii społecznych, a skończywszy na pragnieniu, by wyzwolić się z ostatnich więzów, tych, którymi krępuje nas ciało. Ale łatwo tu o pomyłkę: wyzwolenie to nie prowadzi bezpośrednio do skłonności samobójczych, lecz wiąże się z wolą fizyczną i duchową. Rozumie pan? Judy nie zaginęła, bo popełniła samobójstwo, tego jestem pewna. Prawie pewna. A poza tym postanowiła przestać być emo...

Gdy tylko przyszła do mojej klasy, stała się dla mnie prymuską w sensie akademickim. Ale była prymuską bardzo nietypową: potrafiła gruntownie przerobić jedną lekturę szkolną, a inną pominąć. Na lekcji uzasadniała tę decyzję, przy czym jej argumenty, że jakaś książka jest nudna albo jej się nie podoba, zawsze były przemyślane. To stawiało mnie w kłopotliwej sytuacji, ale w sensie pozytywnym. Judy stała się dla mnie wyzwaniem, tak, bardziej wyzwaniem niż wyróżniającą się uczennicą. W każdym znaczeniu tego słowa, jeśli pan rozumie. Któregoś dnia wystawiła mnie na prawdziwą próbę. To było pół roku temu, siedzieliśmy w klasie, dyskutowaliśmy o dramacie Calderona Życie jest snem: interesowała ją relacja pomiędzy życiem w realnym świecie i życiem wyśnionym, rola przeznaczenia i predestynacji jednostki, problem karmy, i w pewnym momencie powiedziała, że jej marzeniem jest seks ze mną... mówiła też inne rzeczy, ale tego oczywiście panu nie powtórzę. Jak się zorientowała, że jestem lesbijką i że tak bardzo mnie pociąga? Byłam tym poruszona, bo nigdy w klasie nie okazywałam swoich preferencji seksualnych. Zapytałam ją, jak ma czelność mówić nauczycielce takie rzeczy... Odpowiedziała, że jestem przejrzysta, że widzi mnie na wskroś, z zewnątrz i od wewnątrz, że wszystko we mnie jej się podoba, i... mówiła to jak kobieta pięćdziesięcioletnia.

Zaczęłyśmy się spotykać. Ale przedtem prosiłam ją o absolutną dyskrecję. Widzę jednak, że nie dotrzymała słowa, bo jakoś dotarł pan do mnie, ktoś panu o tym powiedział, a musiało to wyjść od niej. Może jej dziecinna strona... a przecież nasz związek był bardzo dojrzały. Aż wreszcie postanowiła go zakończyć...

Żeby nie wybuchnąć, Judy musiała się wyzwolić. Wyzwoliła się od Boga, chciała wyzwolić się od rodziny, wyzwoliła się ode mnie, zamierzała porzucić środowisko emo, chciała zerwać wszystkie więzy, nie mieć żadnych zobowiązań... Obnosiła się ze swoją niezgodą na otaczający ją świat, na kłamstwa, w których dorastała. Wszystko, co czytała, słyszała, widziała, pobudzało ją do pozbycia się jakiegokolwiek balastu w drodze ku totalnemu wyzwoleniu, choć nie wiedziała, jak je osiągnąć... Proszę spojrzeć, oto przykład. To jej wrażenia z lektury...

Wyjęła z teczki kopertę, a z niej zapisane odręcznie kartki. Przejrzała je i znalazłszy to, czego szukała, zaczęła czytać:

– Celem literatury jest ukazanie nam takich oto idei i postaci: „...Nadal przebywał w więzieniu, którym było całe miasto, cały kraj. I kraj ten pokrywały lasy tak gęste, że wyjść z nich można było tylko jedną bramą: morzem; ale tę bramę właśnie zamykała przed nim najtrudniejsza z barier do przebycia – papiery. Była to epoka powszechnego zalewu papierów opatrzonych w pieczęcie, podpisy i parafy, dokumentów, których nazwy obejmowały cały słownik, wyczerpując wszystkie synonimy «przepustki», «paszportu», «karty podróży» i wszelkich innych słów oznaczających pozwolenie na przejazd z jednego kraju do drugiego, z prowincji do prowincji, czasem nawet z miasta do miasta. Celnicy, strażnicy graniczni z dawnych czasów byli tylko malowniczą zapowiedzią hufca żandarmów i polityków, usiłujących wszędzie – jedni z obawy przed rewolucją, inni przed kontrrewolucją – ograniczyć wolność człowieka we wszystkim, co dotyczyło jego odwiecznej, twórczej i płodnej możności poruszania się w obrębie planety, którą przypadło mu w udziale zamieszkiwać... rozpoczął, tupał nogami ze złości na myśl, że istota ludzka, wyrzekłszy się nomadyzmu swych przodków, musi jakiemś papierowi poddawać swą suwerenną wolę przenoszenia się z miejsca na miejsce”³². Co pan na to?

– Niesamowite – przyznał Conde. – Brzmi znajomo... Kto to napisał?

– Proszę zgadnąć...

– Prawie mam... To chyba... nie, nie wiem – poddał się Conde.

– Carpentier. *Eksplzja w katedrze*. Powieść wydana w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim roku...

– Wydaje się, jakby została napisana na dzisiejsze czasy.

– Napisana jest na wszelkie czasy. Także na dzisiejsze. Judy wiedziała, jaka jest rola literatury... Ponieważ dodała jeszcze i taki komentarz: „Jeżeli jakiś kraj albo system polityczny nie pozwala ci wybrać, gdzie chcesz mieszkać i żyć, to znaczy, że poniósł klęskę. Wierność z przymusu jest klęską”.

– Nie do wiary – powiedział Conde, będąc pod wrażeniem argumentów i śmiałości Judy. – Kiedy miałem tyle lat co ona, byłem dupkiem... Cóż, jeszcze większym niż teraz...

– O tym też z nikim nie rozmawiałam. – Nauczycielka złożyła kartkę, schowała do teczki i uśmiechnęła się blade. – Proszę sobie wyobrazić zamieszanie, jakie z tego wynikło... Wszystko jeszcze bardziej się skomplikowało, odkąd poznała Paola Ricottiego, lubieżnego dziada, który podrywał ją na opowieści o wyprawach do Wenecji, Rzymu, Florencji, o muzeach, o starożytnych rzymskich ruinach, sztuce renesansu, a przede wszystkim o swojej specjalności, malarstwie barokowym... Uwielbiała z nim rozmawiać i snuć marzenia o tym, co jej obiecywał... ale nic poza tym, wiedziała, jak daleko się posunąć. A potem pojawił się przyjaciel Paola, Marco Camilleri, jej zdaniem podobny do Andrei Bocellego, i wtedy sprawy jeszcze bardziej się pogmatwały, bo ten typek brał jakieś narkotyki, a ona aż się paliła, żeby też spróbować. No cóż... Trudno mi o tym mówić, nie potrafię być obiektywna, jestem zazdrosna, na samą myśl ogarnia mnie wściekłość. Wiem, że znajomość z żadnym z tych Włochów nie miała charakteru erotycznego, a jednak były to przyjaźnie zbyt niebezpieczne dla osiemnastolatki, nieistotne, jak bardzo liberalnej i dojrzałej.

Nie wiem, czy to przez moją zazdrość, czy z powodu zmian, jakie zaszły w niej samej, Judy postanowiła ze mną zerwać. I nie wiem, czy ze złości, czy z rozsądku od razu stwierdziłam, że dobrze, tak będzie lepiej. Wiedziałam, że to mnie zaboli, ale wolałam jak najszybciej, bez zbędnych komplikacji zakończyć związek, który i tak nie miał przyszłości. To dlatego dopiero w instytucie się dowiedziałam, że

nikt nie wie, gdzie jest Judy, a ja, prawdę mówiąc, na początku wcale nie byłam zdziwiona, bo myślałam i nadal myślę, że zniknięcie było jej świadomą decyzją, że z pewnością miała jakiś ważny powód, żeby się ze mną rozstać, a nawet odejść od emo, i że za cztery czy pięć dni znów się pojawi, bez słowa wyjaśnienia, zadowolona z siebie, jak zawsze, gdy robiła coś wbrew ustalonym schematom... Od razu odrzuciłam policyjną hipotezę, o której usłyszałam od babci Judy, kiedy tam przyszłam. Wiedziałam, że Judy na pewno nie odpłynęła na tratwie z grupą jakichś wyrostków. Nie interesowało jej to, nawet nie przeszło przez myśl. Nie jest z tych, którzy ulegają naciskom grupy, idą za owczym pędem... Cóż, już pan poznał jej charakter. – Westchnęła i położyła dłoń na teczce. – Jeżeli nie zamierzała uciec, nie odeszła z którymś z tych Włochów, nie popełniła samobójstwa ani nie została porwana... to znaczy, że się gdzieś ukryła. Dziwi mnie tylko, że skoro chciała się ukryć, to czemu nic nie powiedziała babci ani mnie. To by oznaczało, że jednak przeważała jej dziecinna strona, zupełny brak odpowiedzialności... chociaż po Judy wszystkim można się spodziewać. Jak pan się domyśla, w miarę upływu czasu, gdy wciąż nie było żadnych wieści, zaczęłam wyobrażać sobie coś innego, niedobre rzeczy, sama nie wiem... Rozumie mnie pan? Nie, z pewnością mnie pan nie rozumie.

Conde wstał i poprosił kelnera o serwetki, a ten z wyraźną niechęcią dał mu tylko dwie. Serwetki stanowiły łup wojenny kelnera. Conde położył je przed nauczycielką i zauważył, że nawet gdy płacze, jest zatrzważająco piękna. Może nawet jeszcze bardziej. Rozumie mnie pan? Tak, dobrze rozumiał, nawet bardzo dobrze. Wręcz odczuwał całym ciałem: niczym genitalny lament, niestosowny w jego wieku. Rozumiał też coś jeszcze: już drugi raz ktoś bliski Judy mówił mu o jej podwójnej osobowości czy też umiejętności rozdawania się, o zdolności zmieniania twarzy, co tę wyzywającą i zuchwałą dziewczynę czyniło nieprzenikalną.

Kiedy Ana María doszła do siebie, Conde podziękował jej za szczerość i stwierdził, że jej słowa bardzo mu pomogły zrozumieć Judy (przeczepiło się do niego to cholerne słowo kilkakrotnie powtórzone przez nauczycielkę) i być może znaleźć trop prowadzący do miejsca jej pobytu.

– Chciałbym jeszcze zadać dwa albo trzy pytania... Czegoś nie rozumiem – dodał, aby zadowolić słowny gust profesorki, co udało mu się osiągnąć.

– Tak?

– O co chodzi z tą sprawą rezygnacji Judy z bycia emo? Jak to jest, wchodzi się i wychodzi, ot tak, jestem albo nie jestem?

– Na tym polega pozytywna rola takich dobrowolnych zrzeczeń. Nie chcesz, rezygnujesz i już... Domyślam się, bo z Judy nic nie jest proste, że stała się emo, ponieważ szukała własnej przestrzeni wolności. I znalazła ją, ale to jej nie wystarczyło. Wolność przekształciła się w retorykę, a ona potrzebowała czegoś znacznie bardziej realnego, namacalnego.

– A co ze śmiercią Boga, reinkarnacją, przekonaniem, że ciało to więzienie?

– Nadal tak myśli, oczywiście, że nadal tak myśli. Ale potrzebowała czegoś więcej. Nie wiem czego, ale czegoś więcej.

– A tekst Carpentiera, który mi pani przeczytała, nie łączy się z jej zniknięciem? Ten urywek nie zainteresował jej z tego właśnie powodu?

– Nie, myli się pan... Odejść albo zostać to nie najważniejsze. Istotna jest wolność decyzji, czy chce się odejść, czy zostać. Albo brak tej wolności... I innych także. Rozumie mnie pan?

Conde przytaknął, jakby zrozumiał, ale wcale tak nie było. Chociaż nie, w rzeczywistości wiedział więcej i mimo swoich sprzecznych cech Judy wydawała mu się coraz bardziej atrakcyjna. Warto ją odnaleźć, pomyślał i zadał następane pytanie.

– Czy Judy opowiedziała pani dokładniej o tym, co tak bardzo poruszyło ją w czasie pobytu w Wenezueli?

Profesorka wypila trochę soku, może po to, by zyskać na czasie.

– Już mówiłam: lepiej poznała filozofię emo, a także swojego ojca... – Ana María zastanowiła się przez chwilę, po czym ciągnęła dalej: – Dowiedziała się, że ojciec zamierza zrobić coś, co przyniesie

mu mnóstwo pieniędzy...

– Dzięki rzeczom, które on i jego podwładni przemycali do kraju?

– Nie, to były błahostki, a on niewiele miał z tym wspólnego. Chodziło o coś innego... o coś, co wywiózł z Kuby.

W głowie Condego odezwał się alarm.

– Coś, co wywiózł z Kuby i na czym miał dużo zarobić? Judy powiedziała pani, co to mogło być?

– Nie... ale podobno chodziło o mnóstwo dolarów.

Conde zamknął oczy i ścisnął powieki palcem wskazującym i kciukiem. Musiał wnikać w siebie: mnóstwo to znaczy ile?

– Nie wspomniała, o jaką sumę...?

– Nie, i nawet o to nie prosiłam. Nie chciałam i nie chcę nic wiedzieć o tych sprawach. Na samą myśl o nich puszczają mi nerwy...

– No tak, jasne – stwierdził Conde i postanowiwszy odłożyć na później refleksję nad tą niepokojącą informacją, zmienił temat: – Yadine, ta przyjaciółka Judy, też jest pani uczennicą?

– Nie, chodzi do klasy o rok niższej.

– Co może pani o niej powiedzieć?

Ana María próbowała się uśmiechnąć.

– Zakochała się w Judy, nadskakuje jej... – stwierdziła niemal z satysfakcją, jakby ciesząc się z pokonania rywalki. Niemniej określenie prawdziwych związków łączących obie dziewczyny i wyjawienie przyczyn głębokiego smutku Yadine mogło naprowadzić na coś istotnego, może mglistego, ale tego Conde nie potrafił jeszcze sprecyzować. Tym razem zmierzał do celu bez ogródek.

– Salamandra wytatuowana na pani przedramieniu...?

– Takie głupstwo... Powiedzmy, dowód miłości. Judy miała ją na lewym ramieniu, nad łopatką...

– Jasne – powiedział i przez chwilę coś rozważał. Głowił się, jak poruszyć ten inny temat, i tak jak przedtem postanowił walić prosto z mostu. – Skąd pani wie, że Judy nie spała z żadnym z tych dwóch Włochów, z którymi tyle rozmawiała i chyba nawet brała narkotyki?

Po raz pierwszy Ana María uśmiechnęła się szerzej, ale potem znowu zalała się łzami.

– Bo nie lubi mężczyzn, bo wiem, że Judy jest dziewicą. Rozumie mnie pan? – wykrztusiła, szlochając.

Conde, który dotychczas mężnie przyjmował grad informacyjnych ciosów, tym razem dostał prosto w szczękę. Leżąc na deskach, słyszał głos arbitra liczącego do stu. Co najmniej. Teraz już za cholerę niczego nie rozumiał.

– Powiedz mi, tak dla jasności... Czy Bóg wszystkim przebacza?

– Wszystkim, którzy okazują skruchę i z pokorą zbliżają się do Niego.

– Również skurwysynom nad skurwysyny?

– On nie robi takich dystynkcji.

– Dystynkcji...? Nie umiesz już gadać po ludzku? Musisz używać takich słów?

– Pocałuj się w dupę, Conde.

Conde się uśmiechnął. Dopiął swego, sprawił, że na chwilę powrócił dawny Ryży Candito, taki, jakim był, kiedy się poznali i zaprzyjaźnili, a był wówczas początkującym przestępcą. Jednak Conde do brze wiedział, że ów powrót jest chwilowy, gdyż Candito, najbardziej uduchowiony z całej paczki, już wiele lat temu odnalazł w religii trwałe wytchnienie od udręk i zwątpień życia doczesnego, co, jak się zdaje, w pełni go zadowalało. A Conde bardzo się z tego cieszył, zwłaszcza wzięwszy pod uwagę fakt oczywisty: lepszy Candito chrześcijanin niż Ryży aresztant.

W ciągu ostatnich dwóch lat Candito, coraz bardziej zaangażowany w sprawy wiary, stał się kimś w rodzaju predykanta z doskoku, z tych, którzy udzielają dobrych rad w sytuacjach podbramkowych. Stale rosnąca trzódka (inne ulubione słowo siwego Mulata, który miał kiedyś czuprynę w szafranowej tonacji) zmusiła oficjalnych pastorów do wyszkolenia grupy entuzjastów i skierowania ich na misje w tak zwanych domach kultu, gdzie mieli podtrzymywać na duchu coraz liczniejszych desperatów i desperatki poszukujących namacalnych lub nienamacalnych rozwiązań dylematów stawianych przez życie, które w ich rękach nabierało konsystencji gówna. Być może z tego samego powodu zapępniały się nie tylko domy kultu i świątynie protestanckie, ale także kościoły katolickie, gabinety santeros, spirytualistów, babalawo i *paleros*, a nawet meczety i synagogi stojące na tej niegościnniej pustyni bez Arabów i Żydów. Wszystko to działo się w kraju, w którym wprowadzono ateizm, a w rezultacie zebrano plon w postaci nieufności i pragnienia pociechy, jakiej rzeczywistość nie dawała.

Jednym z owych doraźnych pastorów od nagłych wypadków był Candito, który wprowadzić nie miał wielkiego daru modlitwy, miał za to nieugiętą wiarę. Dla ludzi szukających Boga Mulat ów stanowił przekonujący głos i wzór. Jego religijność, szczerą i głęboką, przekonała Condego, że jeśli tylko Ryży zapewni go o istnieniu cudu, on również zaakceptuje ów fakt bez wahania. Ale gadanie, że każdy skurwysyn, dajmy na to taki Alcides Torres, zasługuje na boże przebaczenie? Nie, w tej kwestii Conde nie mógł uwierzyć ani Canditowi, ani samemu Bogu, nawet gdyby ten zszedł z niebios, aby to potwierdzić.

– Ryży, ile to jest mnóstwo dolarów?

– O czym tym mówisz, Conde?

– Jeżeli powiem ci, że zarobię mnóstwo dolarów, to ile by to było twoim zdaniem?

– Sto – stwierdził z przekonaniem Candito.

Conde uśmiechnął się.

– A jeśli powiem, że jakiś biznesmen zarobi mnóstwo dolarów?

Candito wahał się przez chwilę.

– No, pomyślałbym o milionach. Wszystko jest względne. Z wyjątkiem Boga.

Siedzieli w fotelach zajmujących niemal całą przestrzeń izdebki przerobionej na salon. Za przepierzeniem znajdowała się kuchnia i niewielka łazienka, a dalej, za otworem wykutym w ścianie, przechodziło się do sypialni, kolejnej klitki ciasnego mieszkanka, powiększonego o przybudówkę jeszcze przez ojca Candita. Obaj przyjaciele, kołysząc się w trzciniowych bujakiach, dyskutowali o mnóstwie dolarów i popijali zimny sok z guajawy, przygotowany dla nich przez żonę gospodarza. Conde zapowiedział się z wizytą na znacznie wcześniejszą godzinę, ale mimo że się spóźnił, Candito czekał na niego z cierpliwością, której nauczył się (jak mawiał) z bożą pomocą.

Być może z powodu panującego upału czynszówka, w której urodził się i nadal mieszkał Ryży, objawiała o tej porze swoje najspokojniejsze oblicze: mieszkańcy izdebek ulokowanych wzdłuż korytarza stanowiącego niegdyś wewnętrzne patio mieszczańskiego domu tkwili w nich nieruchomo niczym jaszczurki na pustyni, wyczekujące zachodu słońca, by ruszyć się z miejsca. Niemniej odbiorniki radiowe i odtwarzacze CD, jakby obdarzone własnym życiem, rywalizowały w odwiecznych muzycznych bojach, którymi lokatorzy, obarczeni balastem złej przeszłości, trudnej terażniejszości i niepewnej przyszłości, próbowali zagłuszyć bólczki codziennego życia. Poziom hałasu osiągnął takie rejestry, że Candito musiał zamknąć drzwi i włączyć wentylator na najwyższe obroty.

– Twoja trzódka daje ci w kość. Jak to wytrzymujesz?

– Wieloletni trening i boża pomoc.

– Dobrze, że chociaż On rzuca ci koło ratunkowe...

Conde zapoznał przyjaciela ze szczegółami dochodzenia, które z powodu swojej niewybaczalnej ciekawości prowadził na własną rękę i własną zgubę. Wyjaśnił mu, czego od niego oczekuje. Wiele się zaiste zmieniło w życiu Candita, skoro teraz, zamiast informacji o przestępcach, Conde domagał się odeń komentarzy na temat dziwnych relacji zaginionej Judy z Bogiem, albowiem sfera doznań mistycznych była mu całkowicie niedostępna.

– Ta dziewczyna jest bardzo inteligentna. Ale w jej umyśle panuje wielki chaos – powiedział w końcu Candito, na co Conde niecierpliwie machnął ręką.

– Ryży, nie jesteś na mszy.

Candito wbił w niego spojrzenie. W jego czerwonych oczach, zwykle zasnutych mgiełką duchowego spokoju, rozblęły nie do końca zatarte ślady nieposkromionego, agresywnego zabijaki, jakim niegdyś był.

– Pozwolisz mi mówić czy...?

– Dobra, mów...

– Ta mała ma kielbie we łbie, tak?

– Tak – przyznał Conde. Nie odważył się powiedzieć tego głośno, ale wołał słuchać o kielbiach we łbie niż o zaburzeniach umysłowych.

– Twój sok z guajawy jest już ciepły – zauważył Mulat, wskazując prawie pełną szklankę.

– Nie szkodzi. Niedawno wypilem pół butelki innego soku. Nie chcę przedawkować...

– Słusznie – przyznał Candito. – A wracając do tematu... Nie powiem ci, że te kielbie to dzieło demona, chociaż nie da się tego wykluczyć... Powiem raczej, że są skutkiem tego, co przeżywamy, co przeżywalimy. Ta dziewczeczka desperacko usiłuje wierzyć, lecz nie tak jak inni, bo odrzuca wszelkie normy i wymyśliła własną wiarę: podoba jej się idea śmierci Boga, ale wierzy w reinkarnację, pogardza ciałem, ale próbuje uratować duszę, rani się, jak tylko może, jest lesbijką, chociaż zachowała dziewictwo, nie potrafi znieść fałszu ojca, a jednocześnie kumpluje się z jakimiś Włochami, od których z daleka załatuje szambem... wszystko po to, żeby nie być jak inni... albo inaczej: żeby odróżnić się od reszty, bo dość już ma bajeczek o tym, że wszyscy ludzie są równi, podczas gdy widzi, że wcale tak nie jest.

– Czyli sądzisz, że jej problemem nie jest Bóg?

– Nie. Posługuje się Bogiem, żeby się odróżnić od reszty... Bmiesz w ślepą uliczkę, Conde. Jej problem wynika z tego, co się dzieje tu, na dole, jestem pewien. Zauważ, to nie tak, że ona nie wierzy w Boga: wydaje się jej, że bardziej szokująco brzmi stwierdzenie, iż Bóg umarł. Być ateistą to nie to samo, co wierzyć, że Bóg jest martwy i wykluczony... albo utracić zdolność do wiary w cokolwiek, jak tyłu znanych nam ludzi. To jest cholernie pojebane, Conde, ale tak właśnie z nami jest. Uwierz mi... Takie dziewczę jak ona nie wyrasta ot, tak sobie, ze swojego pokolenia. Potrzebuje kompostu, żeby dojrzeć, a tym kompostem jest środowisko. Rozejrzyj się wokół... Ilu młodych w jej wieku wyjeżdża, byle dalej stąd? Ilu z nich ma zadatki na kryminalistów, a ilu już zostało przestępcami? Ile wśród nich kurew i ilu alfonsów? Ilu leży do góry brzuchem, mając wszystko gdzieś? Ilu bardziej interesuje wypasiona komórka albo mp ileś tam niż praca, bo wiedzą, że pracą nigdy nie zdobędą ani mp, ani komórki...? Coś się strasznie pojebało w państwie duńskim. A według ciebie tak powiedział Szekspir.

Conde pokiwał głową. Obraz mógł być jeszcze bardziej ponury, niż się wydaje. Ulica G i jej miejskie plemiona były tylko czubkiem góry lodowej... Ale czy słowa o utracie zdolności do wiary nie dotyczą także jego? Walić to, nie on tu jest ważny. Istotne, że dochodząc do punktu kulminacyjnego rozmowy, może uzyskać to, co Candito naprawdę gotów był mu ofiarować: potwierdzenie pytania, na którym utknął, odkąd obejrzał pokój Judy i odbył pełne niepokojących rewelacji spotkanie z nauczycielką.

– Ryży, rozmawiasz z wieloma osobami, które przechodzą kryzys i szukają wyjścia. Czy sądzisz, że ktoś taki jak Judy mógł popełnić samobójstwo? To mnie teraz najbardziej niepokoi... Ta profesorka twierdzi, że nie...

Candito odstawił na mały stolik szklankę, z której niewiele upił.

– Nie odpowiem ani tak, ani nie, Kondeuszu, bo każdy człowiek to cały świat... Ale wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że to zrobiła albo przynajmniej próbowała. Dlatego trzeba ją odnaleźć, bo jest zdolna do...

– A jeśli się znajdzie, to potrzebne będą egzorcyzmy? – Conde nie mógł przepuścić takiej okazji.

– Tę konkretną dziewczeczkę lepiej wziąć za łeb i zaprowadzić do psychiatry – odparł Candito, a ekspolicjant uświadomił sobie, że przyjaciel potrafi się wysłowić znacznie lepiej od niego. – Już mówiłem, że jej problemem nie jest Bóg ani nawet diabeł. Wojuje z wszystkimi.

Zniechęcony Conde przytaknął.

– A co ma do tego mnóstwo dolarów? – zapytał Candito.

Conde podrapał się po głowie.

– Sam nie wiem... Chyba lepiej o tym nie myśleć, bo nabawię się syndromu kiełbasa... Ale powiedz no mi, Ryży, w jakim stopniu ta dysputa dotyczy mnie osobiście?

Na twarzy Candita pojawił się najbardziej błogosławiony i duszpasterski ze wszystkich jego uśmiechów.

– Bo choćbyś się zaklinał, że nie wierzysz w Boga, tak czy inaczej jesteś wierzący. A przede wszystkim jesteś dobrym człowiekiem.

– Ja jestem dobrym człowiekiem? – Conde usiłował nadać swojemu pytaniu szyderczy ton.

– Tak. I dlatego mimo wszystko nadal jestem twoim przyjacielem...

– Ale nawet jeżeli jestem dobry i nie przestaję być twoim przyjacielem, nie osiągnę zbawienia, bo nie zbliżyłem się do Boga. A jeżeli jakiś inny dupek się zbliża, to owszem, dostąpi chwały. Czy to się trzyma kupy?

– Takie są boże wyroki.

– W takim razie to są, za przeproszeniem, główniane wyroki...

Uśmiech Candita nie tchnął już błogosławieństwem: to był bardzo szczery uśmiech.

– Nie ma rady, bracie... Pójdiesz prosto do piekła...

Conde spojrział na Ryżego. Odkąd ożenił się po raz drugi i nie palił ani nie pił, Candito przytył z dziesięć kilo. Mimo siwizny, która zastąpiła jego szafranowe kędziory, wyglądał znacznie zdrowiej i schludniej niż Candito z przeszłości, grzesznik i biznesmen, szumowina i gwałtownik.

– A jeśli ożenię się z Tamarą, będę miał większą szansę na zbawienie?

To pytanie zaskoczyło Candita. Wiedział od chudego Carlosa o przyjęciu urodzinowym, przygotowaniach do fiesty i potwierdził swoją bezalkoholową obecność. Ale ślub...?

– Mówisz serio czy wciskasz kit?

– Chyba serio – wyznał ze smutkiem Conde i na wszelki wypadek dodał: – To na razie tylko taki pomysł...

Candito wyprostował się w fotelu i otarł ręką pot, który mimo wentylatora zaczął spływać mu po czole.

– Conde, mój bracie, rób, co uważasz za słuszne. Ale pomyśl o jednym: skoro coś się sprawdza, lepiej tego nie ruszać, bo łatwo można spieprzyć...

– Z jednym wyjątkiem, tak?

Candito koniec końców zawsze pozostanie Canditem.

– Tym lepiej, jeśli spieprzysz... ale wtedy szybko będzie po ptakach, prawda?

Siedząc na jedynej ocalałej (choć mocno zdezelowanej) ławce w Parque de Reyes, Conde w oparach smrodu buchającego z pobliskiej rury kanalizacyjnej, z której wylewały się na ulicę nieczystości, dostrzegł sylwetkę Yadine, połowicznie przebranej za emo, z grzywką opadającą na twarz.

Wolał, żeby w słuchawce nie zabrzmiał dorosły męski głos, dlatego pół godziny wcześniej poprosił żonę Candita o telefon do domu dziewczyny i umówienie spotkania, z którym w jego przekonaniu nie powinien już dłużej zwlekać.

– Nie zadzwonił pan, przyszedłem wczoraj, ale nikogo nie było... Wiadomo coś o Judy? – dopytywała się, stojąc dwa metry od domniemanego detektywa, a na jej pozbawionej czarnego makijażu twarzy widniały, po równo, smutek i niepokój.

– Usiądź – przerwał jej Conde, poklepując miejsce na ławce, która uwierała go w pośladki.

– No więc co pan wie? – Niepokój dziewczyny jeszcze wzrósł.

– Dużo i nic... Nie mam pojęcia, gdzie jest i co się mogło jej przytrafić, ale trochę się dowiedziałem – stwierdził i od razu przeszedł do sedna. – Dlaczego nie powiedziałaś mi, z jakiego powodu chciałaś, żebyśmy szukali Judy? I nie opowiadaj bajek, wiem o wszystkim...

Yadine miała piękne, wyraziste oczy. Teraz dopiero, bez makijażu, ujawniła się intensywność jej spojrzenia.

– To oczywiste... Ludzie nie lubią lesbijek. Ważna jest Judy, a nie to, co ja do niej czuję...

Conde miał kilka przygotowanych odpowiedzi, ale uznał, że lepiej darować sobie ironię.

– Zerwała swój poprzedni związek, żeby być z tobą?

Niepokój zniknął z jej twarzy i pozostał jedynie smutek.

– Nie... To ja skorzystałam z okazji, żeby ją zdobyć. Judy doprowadza mnie do szaaleństwa – powiedziała, niedorzecznie akcentując ostatnie słowo.

Tego typu wyznania zawsze budziły panikę Condego, heteroseksualnego kubańskiego maczysty, reprezentującego stanowisko wojujące, choć pełne zrozumienia. A wysłuchanie w jednym dniu lesbijskich deklaracji aż dwóch młodych, pięknych kobiet wykraczało poza jego zdolność rozumienia świata. Trudno, pomyślał, muszę nad sobą zapanować.

– Od kiedy utrzymujecie intymne stosunki?

– To zdarzyło się tylko raz. W przededniu zaginięcia Judy... To było najlepsze, co przytrafiło mi się w życiu.

Conde zamierzał zapytać o szczegóły, lecz uznał, że to niestosowne.

– Ale kochałaś się w niej już od dawna, co? Dlatego przyłączyłaś się do emo?

– Tak, byłam prawie emo, ale dla niej zostałam emo-emo. Podoba mi się, odkąd ją poznałam. Podoba się to złe słowo. Ja za nią szaleję, szaleję...

Conde miał ochotę zapytać, jaka jest różnica między emo a emo-emo, ale wolał uniknąć dygresji.

– Naprawdę nie wiesz, gdzie może być i dlaczego zniknęła?

– Oczywiście, że nie... bo w przeciwnym razie po co miałabym jej szukać? To nie jest przyjemne rozdawać naokoło, kim się jest i kogo się lubi. Ale byłam zdesperowana... W tamten poniedziałek zadzwoniła do mnie, żeby umówić się na spotkanie. Przyszedłam do niej koło siódmej i Alma powiedziała, że Judy przed chwilą wyszła. Sądziła, że na ulicę G, ale w poniedziałki prawie nikt tam nie bywa. Poszłam jednak: było mało ludzi, żadnego emo i jej też. Wtedy zadzwoniłam do paru osób...

– Do kogo?

– Najpierw do Frederica. Był w domu z jakąś dziewczyną z instytutu. Potem do Yovany'ego, ale nie odebrał komórki... Potem... potem do jej byłej narzeczonej...

– Nauczycielki.

Yadine uniosła brwi i przytaknęła.

– Mówiła, że się z nią nie widziała.

– A co wiesz o tych Włochach? Na przykład o Bocellim?

– To był jakiś obłąd. Judy wiedziała, o co chodzi tym dziadom, ale pogrywała z nimi. Przestrzegałam ją, że to może być najniebezpieczniejsze.

– Z powodu narkotyków?

– Z każdego powodu. Bocelli to ćpun, skurwieli, możliwe, że stuknięty.

Conde przez chwilę nad czymś dumał.

– Judy musiała widzieć w nim coś szczególnego, nie sądzisz? A może jesteś o niego zazdrosna?

Yadine westchnęła ze smutkiem.

– Tak, jestem bardzo zazdrosna... Lubiła gadać z Bocellim, a potem twierdziła, że kiedyś odwiedzi go we Włoszech. Judy bujała w obłokach...

– Słuchaj, Yadine... musisz mi powiedzieć prawdę: Judy była w tobie zakochana czy tylko uprawiała z tobą seks, ot tak?

Wreszcie dziewczyna się uśmiechnęła.

– Judy niczego nie robiła ot tak... Ale nie, nie kochała się we mnie, przynajmniej nie tak, jak ja w niej. Uprawiała ze mną seks, bo była przygnębiona bardziej niż zwykle i potrzebowała kogoś, kto by jej wysłuchał, a ja szalałam, kiedy do mnie mówiła. Zamierzała skończyć z emo, opowiadała, że kiedyś wyjedzie z Bocellim do Włoch, że jej życie jest gówniane i musi coś z tym zrobić.

– Dlaczego jej życie było gówniane?

– Z mnóstwa powodów... z powodu świata, z powodu ojca...

– Mówiła coś o ojcu, o jego szwindlach w Wenezueli? O jakimś wielkim biznesie?

– Mówiła, że robił jakieś rzeczy... różne rzeczy. Ale nie mówiła, co konkretnie.

Conde stwierdził, że nadszedł czas na najważniejsze pytanie.

– Czy wspominała o samobójstwie, o tym, że to jest jakieś wyjście?

Reakcja Yadine była natychmiastowa.

– Nie, Judy nie mogła popełnić samobójstwa.

– Skąd ta pewność?

Dziewczyna znów się uśmiechnęła, tym razem jeszcze szerzej. I z przekonaniem.

– Bo chciała swoje życie zmienić, a nie stracić. Już panu mówiłam, że niczego nie robiła ot tak... Wszystko dobrze przemyślane. Miała mnóstwo powodów, żeby żyć. Całe mnóstwo...

Conde kiwnął głową, zadowolony. Dlaczego ci, którzy rozmawiali z nim o Yadine, twierdzili, że jest trochę głupia? A może Yadine poza maską emo przyjmowała też inne pozy?

– Jeszcze jedno – powiedział, z ulgą podnosząc pośladki od siedzenia na zdezelowanej ławce.
– Ile książek Salinger'a przeczytałaś?

Yadine wyglądała na mile zaskoczoną. Uśmiechnęła się. Bezsprzecznie była przepiękna.

– Wszystkie, wszyyyystkie.

– Tak przypuszczałem, słuchając ciebie. To oczywiste... Ja też pochłonąłem je wszyyyystkie. Kupę razy. Z miłością i obrzydzeniem...

Siedząc pod gorącym cynkowym dachem Baru Desperatów, Conde aż buzował od soków, wód mineralnych, planów urodzinowych, mętnych odkryć (w tym dwóch lesbijskich wyznań, z którymi walczył jak rycerz, trzymając w ryzach swoją wybujałą wyobraźnię) i z czułością syna marnotrawnego obserwował skromną prostotę stojących przed nim butelek z podłym rumem oraz leżących obok paczek kiepskich papierosów. Wreszcie poczuł, że znalazł się na właściwym i jednoznacznym terytorium, gdzie wszystko, bez zbędnych komplikacji, było tym, czym było, a nawet tym, czym się tylko zdawało. Tego jednak wieczoru, nad stolikiem, o który wspierał się jednym ze sflaczałych pośladvków czarny bufetowy, przez stałych bywalców baru zwany Gandim zamiast Gandingą, wisiał także plakat grożący, że wnet prysnie czar tego swojskiego miejsca: „UWAGA! Szan. kliencie: ZAPŁAĆ przed konsumpcją!”.

– A to, Gandi? – zapytał Conde, wskazując palcem na budzące uzasadniony niepokój zarządzenie kierownictwa. – To już nie ma się zaufania do szanownej klienteli?

– Nawet nie mów, Conde... Wczoraj mnie wykiwali. Dałem dwie butelki jakiemuś facetowi, a ten skurwysyn wziął i w nogi. W chuja mnie zrobił, złamas pieprzony!

– O, w moorder! Desperaci schodzą na psy... – rzucił. – No dobra, daj mi podwójny i paczkę fajek – poprosił Conde.

– Nie umiesz czytać...? Najpierw zapłać piętnaście pesiaków – powiedział bufetowy i nie zmieniając wygodnego położenia swoich ciężkich pośladvków, czekał, aż szanowny klient położy pieniądze na ladzie. Dopiero gdy zabrał, przeliczył i schował banknoty do staroświeckiej kasy, rzucił na blat paczkę kubańskich papierosów i zaczął nalewać rum do szklanki, której czystość wzbudziła w Condem nieufność większą niż podejrzliwość ortodoksyjnego marksisty, w teorii gotowego wątpić we wszystko, a raczej we wszystkich.

Już miał spróbować rumu, którego tak porywczo domagał się jego duch, gdy nagle wyczuł dolatujący z prawej strony smród. Odwrócił głowę i napotkał obserwujące go oko, a obok owego czujnego oka – opadniętą, bezpowrotnie zmaltretowaną powiekę. Osobnik ów od wielu dni się nie golił i zapewne też omijał szerokim łukiem prysznic. Bezsenna, zaczerwieniona żrenica studiowała twarz Condego, aż wreszcie, jak się zdaje, znalazła to, czego szukała.

– Widziałeś, Gandi? – zwrócił się mężczyzna do szynkarza. – Wymyty facet... To trzeba oblać. Podwójnie. – Podniósł głos: – Gandinga, jeden dla wymytego, drugi dla mnie.

Conde pomyślał, że chociaż bierze prysznic codziennie, nie określiłby się mianem szczególnie wymytego faceta. Tym bardziej po spędzeniu całego dnia na ulicy, w czerwcowej spiekocie.

– A kto płaci? – zapytał przez zwykłą formalność Gandinga.

– Oczywiście, że wymyty...

– Nie, stary, dziękuję – oświadczył Conde. Nie miał ochoty rozmawiać, chciał tylko pić. I pić, nie żeby myśleć, ale żeby zapomnieć.

– Pierdolisz... Nie postawisz jednego? – Cyklop łypnął na Condego zdrowym okiem, a opadnięta powieka zadrgała, jakby usiłowała zmartwychwstać. Zionął sępiim oddechem.

– No dobra, ale pod jednym warunkiem... nie, dwoma.

– Wał, strzelaj. Przed tobą stoi człowiek.

– Jak ci zafunduję kolejkę, zostawisz mnie w spokoju?

– Spoko. Wał dalej...

– Drugi warunek: tylko raz...

– Okej, okej... No, Gandi, nalej od serca... – zażądał jednooki.

Conde położył pieniądze na ladzie, Gandinga wziął je i pchnął szklanke w stronę cyklopa, który chwycił ją w locie i upił mały łyk, odkładając resztę na później. Dopiero wtedy odwrócił się do Condego. Skąd się tutaj wziął ten strach na wróble?

– Też nie chciało mi się z tobą gadać... Wyglądasz jak półdupek zza krzaka... Nic dziwnego, bo byłeś gliną.

Usłyszawszy pierwsze uzasadnienie, Conde miał ochotę kopnąć śmierzdiela w zadek, ale powstrzymał go, niczym smagnięcie prądem, wniosek końcowy. Już w stanie alertu raz jeszcze przyjrzał się jednookiemu, usiłując zrekonstruować jego rysy w swoim archiwum twarzy poznanych podczas tych odległych już dziesięciu lat, kiedy był policjantem i grzebał się w gównie. Z trudem – nie tylko za sprawą pamięci – uświadomił sobie, że ów ludzki ochłap to nikt inny, jak wyrzucony za korupcję porucznik Fabricio, z którym nieustannie dał koty, a raz nawet pobił się na ulicy.

Przeklinając własny los, Conde wylał na podłogę resztkę rumu ze szklanki i zaczął zbierać się do wyjścia. Fabricio, a raczej to, co z niego zostało, tkwił na swojej odraźniającej orbicie.

– Słuchaj, Gandi – powiedział Conde, oddając szynkarzowi szklanke – dla tego typu nie miej litości. Był, jest i będzie ostatnim skurwysynem. Cokolwiek zrobi, jest skończony. – To rzekłszy, zanurzył się w dobroczynny i tak swojski czerwcowy skwar.

Spotkanie z Fabriciem nie było zachęcającym wstępem do rozdziału, który w tym momencie musiał otworzyć: rozmowy z Alcidesem Torrese, ojcem Judy. Prowadzenie debaty z dwoma skurwielami takiego kalibru, i to tego samego dnia, gorzej, tego samego wieczoru, mogło grozić zaburzeniami gastrycznymi. Dobiła go nadto informacja Any Marii o jakimś milionowym biznesie, a już szczególnie podłamało przekonanie Candita o możliwym zbawieniu kreatur tego pokroju. Niemniej paląca konieczność znalezienia jakiegokolwiek tropu prowadzącego do Judy i możliwość uwolnienia się od tego nazbyt mętnego, choć fascynującego epizodu sprawiła, że Conde jednak podjął ryzyko przedawkowania i zgodził się na dialog z tym dyplomowanym skurwysynem.

Umówili się na siódmą, ale kiedy stawił się w pałacyku Alcidesa, gospodarza jeszcze nie było. Drzwi otworzyła Alma Turró, zaprosiła go do środka, zaferowała klimatyzację, kawę i rozmowę.

– Dowiedział się pan czegoś o mojej wnuczce? – zapytała, stawiając tacę w zasięgu ręki gościa.

Popijając kawę, Conde próbował zebrać myśli, bo w istocie niewiele mógł powiedzieć, a pewne informacje były na tyle niepokojące, że wolał je pominąć.

– Pani Almo... Nadal nie wiem, gdzie jest Judy i co mogło jej się stać. Policja też nie wie. Nie mają żadnego tropu, żadnych podejrzeń. Ani oni, ani ja nie wiemy, co robić... W wypadku zaginięcia istnieją z reguły dwa motywy: albo przytrafiło się jej coś niedobrego, albo sama celowo zatarła za sobą ślady...

Alma słuchała w milczeniu. Pocierała dłonie, jakby bił z nich żar.

– Już nie będzie pan jej szukał?

– Nie rezygnuję... Chcę porozmawiać z pani zięciem, bo potrzebuję pewnych informacji... Jutro mam spotkanie z osobą, która zawodowo zajmuje się młodymi ludźmi, takimi jak Judy, emo i freaki. Właśnie z tymi, którzy się tatuują, kolczykują albo tną... A co potem, nie wiem, po prostu nie wiem. Judy przypomina labirynt, a najgorsze, że nie mam pojęcia, jak i gdzie znaleźć wyjście, bo nawet nie potrafię tam wejść.

Alma wsparła podbródek na dłoni, a łokieć na poręczu fotela. Wpatrywała się w ogród, ledwo widoczny w świetle lampy na ganku.

– Już pan rozmawiał z jej nauczycielką literatury?

– Tak – odparł Conde w oczekiwaniu na dalszy ciąg.

– One miały... coś więcej.

– Nie wiem...

– Powiem panu. Są... parę. Albo były...

Conde milczał. Aż wreszcie się poddał.

– Ona też nie ma pojęcia, co się mogło stać.

Spojrzała na Condego.

– Co panu powiedziała?

Wahał się, co należy jej ujawnić, a co przemilczeć.

– Zastanowiło mnie jedno – stwierdził, wkraczając na bardziej obiecujący grunt. – Judy chciała zerwać z emo. Wiedziała pani o tym?

Alma kiwnęła głową, ale w jej słowach kryła się niepewność.

– Nie, nie wiedziałam. Chociaż to było do przewidzenia. Judy jest bardzo inteligentna...

– Ale cały ten jej fundamentalizm emo... do jej grupy należy pewien chłopak, nazywa się Yovany. Wie pani, gdzie go mogę znaleźć?

– Judy ma notes z telefonami i adresami. Zaraz poszukam. Policjanci przejrzeni jej rzeczy, wszystko oddali, zatrzymali tylko komputer.

Wstała i poszła na górę, a Conde mógł wreszcie zapalić nieodłącznego od kawy papierosa. Po rozmowie z Yadine czuł przymus ponownego spotkania z bladolicym emo. Jego spojrzenie powędrowało jednak ku wiszącym w salonie wspaniałym kopiom płócien holenderskich mistrzów. Vermeer van Delft, De Witte... podszedł do jednego z pejzaży i odczytał podpis: Jacob van Ruysdael. Fakt, że zaledwie parę miesięcy wcześniej w jego życiu pojawił się Rembrandt, a teraz on sam został wciągnięty w życie nieznamym dziewczyny, w której domu mieszkali miłośnicy malarstwa niderlandzkiego, wydał mu się splotem okoliczności objawiającym powiązania natury kosmicznej, o jakich Polak Daniel Kamiński wielokrotnie mówił swojemu synowi Eliaszowi. Czy to wszystko dzieje się za sprawą przypadku, czy też czyjeś niezgłębionej woli?

Alma wróciła po kilku minutach z kartką w ręce.

– Dlaczego – zapytał, wciąż stojąc przed zimowym pejzażem Ruysdaela – tyle tu reprodukcji malarzy holenderskich?

Też przez chwilę wpatrywała się w obraz, a potem odpowiedziała:

– To są wysokiej jakości kopie wykonane w Holandii przez studentów malarstwa w ramach ćwiczeń akademickich. Coralia, matka Alcidesa, kupiła je w Amsterdamie prawie za grosze około roku pięćdziesiątego. To było przed wypadkiem, przez który została inwalidką. Po jej śmierci, jakieś cztery lata temu, odziedziczył je mój zięć. Aż do roku dziewięćdziesiątego szóstego poruszała się na wózku inwalidzkim i nigdy nie chciała się pozbyć swoich fałszywych płócien. Są piękne, prawda? Zwłaszcza ten pejzaż... Dzisiaj te reprodukcje są warte mnóstwo dolarów...

Conde jeszcze przez jakiś czas kontemplował obrazy, a w jego pamięci odżyła historia fałszywego Matisse'a, który sprawiał wrażenie oryginału, wzbudzając chciwość kilku osób³³. A także kubańskie, wciąż niejasne losy portretu młodego Żyda pędzla Rembrandta i proces o prawa własności wytoczony przez Eliasza Kamińskiego. Czy któraś z tych kopii mogła być warta „mnóstwo dolarów”? Nie, w sferach, w jakich obracał się Alcides Torres, to na pewno nie było mnóstwo.

Alma Turró wręczyła Condemu kartkę.

– To musi być ten Yovany... Tu ma pan adres i telefon.

Chowając kartkę do kieszeni, uświadomił sobie, że coś się nie zgadza.

– Ten notes był w pokoju Judy?

– Nie, trzymałam go u siebie... Dzwoniłam pod wszystkie numery. Pytałam, czy ktoś coś wie.

– I czego się pani dowiedziała?

– Niczego, co pomogłoby mi odnaleźć Judy – westchnęła i usiadła obok Condego. – Gdyby pan też zaprzestał poszukiwań, to byłoby tak, jakby miała przepaść na zawsze. Nie rozumie pan? Pan daje mi

nadzieję na...

– Policja nadal będzie prowadzić śledztwo. Sprawa wciąż jest otwarta.

– Proszę mnie nie okłamywać...

– Będę kontynuował poszukiwania... ale mówiąc szczerze, nie widzę już żadnych tropów. A może ktoś je przede mną zaciera. Niewykluczone, że sama Judy – powiedział Conde i widząc siebie samego na drodze rozwiewającej się we mgle, doznał nagłego przeczucia, że istotnie ktoś zaciera ślady.

Nagle Alma uniosła głowę w jakimś zdumiewającym dla Condego odruchu wężącego psa.

– Wrócił Alcides z Karłą – oznajmiła, po czym wstała, zabrała tacę i poszła do kuchni. W drzwiach dodała: – Dam panu ten notes z telefonami. Może się na coś przyda.

– Tak, dziękuję...

Alcides Torres wszedł do salonu cały w przeprosinach: pilny telefon w ostatniej chwili, korki na ulicach. Jego żona Karla podała Condemu rękę i usadowiła się w fotelu zajmowanym wcześniej przez jej matkę. Karla miała czterdzieści parę lat, choć nie wyglądała na tyle, patrząc od nosa w dół i od czoła w górę, za to jej oczy były studnią cierpienia, smutku i bezsenności. Alcides, chyba kilka lat starszy od Condego, opadł na twarde fotel, sapiąc ze zmęczenia. Dokładnie za jego plecami widniał plakat, na którym błagano Najwyższego Przywódcę, aby rozkazywał zawsze i wszędzie.

– Conde, prawda? Alma mówiła nam o panu i jestem... jesteśmy wdzięczni za pomoc...

– Niewiele mogę zrobić...

– Nadal nic nie wiadomo? – zapytał Alcides.

– Wiem już wiele, ale nie mam pojęcia, co się przydarzyło Judy.

– Co pan jeszcze chciałby wiedzieć, żeby kontynuować poszukiwania? – wtrąciła niespokojnie Karla. Conde przemyślał nad czymś, po czym rzekł:

– Czy mogę porozmawiać z panem Alcidesem sam na sam?

Riposta kobiety przeszła jego ciało niczym strzała i przygwoździła do fotela.

– Nie. Zostaniemy oboje. – Nie zwracając uwagi na męża, Karla wpatrywała się w ekspolicjanta. – Cokolwiek pan powie. To moja córka...

Conde nie przewidział, że przyjdzie mu szczerze rozmawiać i wypytywać Alcidesa Torresa w takich okolicznościach, ale skoro nie dano mu wyboru... Przeszedł do natarcia.

– Cóż... Nie mam na to żadnych dowodów, ale moim zdaniem istnieją tylko trzy możliwości: najkorzystniejsza z nich to zniknięcie Judy na własne życzenie i ukrycie się w miejscu, którego nie chce zdradzić, zwłaszcza wam; druga to, że przydarzyło się jej coś bardzo złego... ale dziwne, że nie ma żadnych śladów, nawet najmniejszych. I rozwiązanie najgorsze: świadomie zrobiła sobie krzywdę.

– Nie, moja córka nigdy by się nie targnęła na własne życie. Może i jest dziwaczką, ale nie ma skłonności samobójczych. Wróćmy do tej najkorzystniejszej możliwości – powiedziała Karla zdławionym głosem, a Conde skojarzył to z przeżykaniem gorzkiej pigułki. – Co można zrobić?

– Cześć, szukać... – wyliczał Conde i postanowił podążyć wskazaną przez nich ścieżką. – Albo, skoro jesteście przekonani, że nie zrobi sobie krzywdy, zostawić ją w spokoju. Cokolwiek się stało, pewne jest jedno: Judy nie chciała z wami mieszkać ani stosować się do waszych zasad. Dlatego stworzyła sobie własny świat i wskoczyła tam głową w dół. Świat emo, filozofów niemieckich, buddów, wszystkiego, co jest daleko od was i od tego, czego bronicie albo udajecie, że bronicie. Chciała się uwolnić od tego ciężaru, a zarazem pozostać sobą... – powiedział, patrząc prosto w oczy Alcidesa Torresa. Niesiony jakimś wewnętrznym impulsem, natchniony przez własne sumienie i przekonania Judy, nie potrafił się już powstrzymać. – Bo to, co pan robił, Alcidesie, napawało ją wstrętem. A to, na co patrzyła w Wenezueli i co kosztowało pana utratę posady, przepełniło czarę goryczy... Córka odkryła pańską najgorszą stronę i już nie mogła ani nie chciała żyć obok pana.

Gospodarz patrzył na Condego i słuchał w jakimś uległym napięciu, jakby nie rozumiał wypowiadanych słów albo jakby mowa była o kimś innym. Żarliwa tyrada o bolączkach zbuntowanej Judy płynąca

z ust ekspolicjanta niczym w nagłym ataku torsji najwyraźniej zaskoczyła i niemal sparaliżowała Alcidesa. Jego żona spuściła oczy, machinalnie kręcąc kółka czubkiem prawej stopy, ale nie odważyła się zaprotestować, być może pod wpływem poczucia winy albo wstydu. Czy brała udział w machlojkach męża? Conde nawet nie próbował powstrzymać wybuchu zjadliwej krytyki i wrogości.

– To jeszcze nie koniec. Prawdą jest, że Judy od dawna żyła w swoim własnym piekle, ale kiedy wjechał do Wenezueli i zobaczyła to, co zobaczyła, już dłużej tak nie mogła. I wie pan co? Jestem przekonany, że to ona pana zadencjonowała... – Krew z wolna odpływała z purpurowej twarzy Alcidesa, pozostawiając na skórze niezdrowe fioletowosine plamy. Conde postanowił zadać ostateczny cios. – Potem maltretowała swoje ciało i umysł, przyłączyła się do emo, brała narkotyki, w poszukiwaniu ucieczki zaprzyjaźniła się z niebezpiecznymi ludźmi, nawiązała relacje uczuciowe, co oddaliło ją od was i od tego gówna, w jakim się babrzecie, żeby kraść co popadnie i robić lewe interesy, które przyniosą wam mnóstwo, mnóstwo dolarów...

Alcides Torres zerwał się z miejsca i w odruchu mizernych resztek urażonej godności, najwyraźniej zaskoczony, uniósł prawą rękę, gotów rzucić się z pięściami na impertynenta. Conde, przygotowany na taką ewentualność, odepchnął do tyłu fotel, uchylając się od ciosu, którego Alcides w końcu nie zadał, powstrzymany zapewne krzykiem Almy Turró.

– Alcides! Co jest, do kurwy nędzy...! Nie lubisz prawdy...?

Z podniesioną, zastygłą w powietrzu ręką Alcides Torres wpatrywał się w Condego, ten zaś wyrzucił z siebie słowa, jakie od wielu lat nie wyszły z jego ust, teraz jednak, gdy nadszedł krytyczny moment, z lubością je wypowiedział.

– Jak mnie dotkniesz, złamię ci rękę...

Conde, który w całym swoim życiu nie wyrwał nogi nawet muszce, cofnął się jeszcze trochę, uwolniony już od ciężaru urazy i frustracji, gotów raczej na unik niż prowokację: tak czy owak powiedział to, co od lat pragnął powiedzieć tytkom tego pokroju. Na wszelki wypadek wciąż się powoli odsuwał, dopóki nie zatrzymał go głos Alcidesa.

– Przepraszam – odezwał się ojciec Judy, opuszczając ramię, a potem odwrócił do teściowej. – Kocham córkę, Almo. Chcę, żeby wróciła, chcę ją prosić o wybaczenie... Wszystko, co robiłem...

Urwał nagle, wyszedł z pokoju i schodami udał się na piętro.

Karla, jakby przykuta do fotela, nie spuszczała Condego z oka. Były policjant dostrzegł, że jej spojrzenie znów się ożywiło, odzyskując utracony blask.

– Kiedyś ktoś obcy wreszcie musiał mu to powiedzieć – odezwała się w końcu. – Judy zrobiła to pierwsza, trzy czy cztery miesiące temu... Alcides oświadczył, że jej zachowanie i sposób życia szkodzą jego reputacji, że nie pozwoli na żadne wynaturzenia ani pyskowanie o wolności, że już i tak ma kłopoty przez drugą córkę, która uciekła do Miami... i wtedy Judy wybuchła. Wygarnęła mu wszystko, co o nim myśli, mówiła jeszcze gorsze rzeczy niż pan, tym bardziej przykre, że usłyszał je od własnego dziecka... Od tamtego czasu przestała się do niego odzywać.

Conde poczuł, że jego tętno zaczyna się uspokajać.

– Judy bardzo poruszyło to, co zobaczyła w Wenezueli – powiedział, włożył do ust papierosa, ale nie zapalił. – Jeszcze jedno, Karla. To ważne. Ile pieniędzy mogła wziąć ze sobą Judy?

Było oczywiste, że to pytanie ją zaskoczyło.

– Nie wiem – próbowała się wykręcić.

– To, czy się ma pieniądze, czy nie, może oznaczać różnicę pomiędzy ukrywaniem się a zniknięciem...

Karla westchnęła, najpierw spojrzała na matkę, a potem znów na Condego.

– Ukradła babci pięćset dolarów, które przysłała z Miami moja córka Marijó, María José...

Conde zastanowił się: pięćset dolarów to za mało, żeby kupić miejsce w motorówce opuszczającej Kubę, ale dużo dla kogoś, komu wystarczy sałata, żeby przeżyć. Ale też są ludzie gotowi dla pięćset

dolarów zrobić dużo, najczęściej dużo złego. W całej tej historii, z której docierały do niego same pół-prawdy, każda nowa informacja przynosiła nie tyle pewność, ile nowe pytania. Ten cholerny przysłówek ilościowy...

Karla znów zaczęła kręcić kółka stopą i po chwili zwróciła się do Condego.

– Mam prośbę: jeśli znajdzie pan Judy albo kogoś, kto wie, gdzie ona jest, niech jej pan powie, że obydwie, babcia i ja, bardzo ją Kochamy, ojciec też mimo wszystko, i nigdy nie wybaczymy sobie krzywdy, jaką jej wyrządziliśmy. Nie musi wracać, chcemy tylko mieć pewność, że wszystko z nią w porządku. Już jedna córka nas opuściła, postanowiła wyjechać i żyć daleko od rodziny, więc rozumiemy, jeżeli Judy postąpi tak samo. Musi jednak wiedzieć, że cokolwiek zrobi, gdziekolwiek będzie, zawsze będziemy ją kochać.

Conde szedł wybebeszonym chodnikiem ulicy Mayía Rodríguez i czuł smród starego żelastwa, spalonego oleju oraz psiego gówna. Gówno miał na podszewkach butów, a odór żelastwa i oleju dochodził z chryslera rocznik 1952, którego usiłowali wskrzęsić dwaj czarni mężczyźni o czarnym odcieniu skóry, utrwalonego przez oblepiające ich smary i sadzę. To były prawdziwe zapachy, wyzwiewy codziennego życia, do którego tak bardzo pragnął wrócić.

Prośba Karli, poparta gestem przyzwolenia ze strony Almy Turró, ponownie skierowała go na ścieżkę, na którą wolały nie wchodzić. Jednak poczucie wyzwolenia, jakie przyniosła rozmowa z Alcidesem Torresem, wciąż go zdumiewało. Przyszedł w poszukiwaniu informacji, a zakończył wizytę, egzorcyzmując stare urazy, nienawiść, frustracje skierowane ku ludziom podobnym do gospodarza, który tak bardzo przypominał mu Rafaela Morina, zmarłego męża Tamary. Czy rzeczywiście to samo, co wygarnął tamtemu, chciałby wykrzyknąć w twarz Rafaelowi? Musi o to zapytać zaprzyjaźnionych psychologów.

Tego wieczoru przed wyjściem z domu ekspolicjant odważył się przeczytać raz jeszcze przedmowę do *Tako rzecze Zaratustra*, próbując spojrzeć oczyma Judy na transcendentny i mistyfikatorski bełkot Nietzschego, autora, który jawił mu się jako pyszałkowaty, nawiedzony prorok, rozdający – w podobnie żalonym stylu jak Harold Bloom, Noam Chomsky, André Breton i tak wielu innych – klasyczne, dobrze znane i nadzwyczaj celne kopniaki w najwrażliwsze części jego anatomii. W trakcie lektury próbował, jedynie próbował, zrozumieć więzi sympatii, które przeskoczywszy całe stulecie, połączyły osiemnastoletnią kubańską emo i Niemca, głosiciela narodzin nowego człowieka uwolnionego od balastu w postaci Boga i od uległości przez tego Boga narzuconej. Wówczas przypomniał sobie emofundamentalistyczne deklaracje Yovany'ego, chłopaka, któremu udało się wyprowadzić z równowagi nawet Yoyiego Gołębia. Kiedy Conde z trudem przedzierał się przez Nietzschego, przyszło mu do głowy, że być może właśnie Yovany jest tym, który najlepiej wytłumaczy mu zaburzenia mentalne Judy, jak je łaskawie określił Candito. Dobnął prawie do końca przedmowy, gdy zadzwonił Yoyi, który zawsze potrafił przywrócić go do rzeczywistości: jutro, powiedział, Dyplomata spłaci dług, a potem muszą wybrać się do eksprzywódcy politycznego, żeby oddać mu jego część i – co oczywiste – podzielić się zyskiem.

– Wciąż masz ten pierścionek? – Conde starał się nadać głosowi naturalny ton.

Yoyi parsknął śmiechem.

– Jednak go chcesz?

– Tak sobie myślałem... Za cholere nie wiem, co sobie myślałem – stwierdził zgodnie z prawdą.

– Ja tam bym pomyślał, że to dobry prezent urodzinowy, i...

– Już tak myślałem, bracie – przerwał mu Conde.

– No więc jest twój, *man*... Dam ci go po superokazyjnej cenie. Ale pod jednym warunkiem.

– Nie pogrywaj, Yoyi. To już i tak jest dla mnie cholernie trudne, a ty mi tu stawiasz warunki...

– Słuchaj, *man*, rabat i spełnienie warunku albo nici z rabatu – upierał się Yoyi. – To proste: pozwól, że ja go wręcę Tamarze, oczywiście w twoim imieniu... A jeśli weźmiecie ślub, będę waszym świad-

kiem.

– Nikt tu nie ma zamiaru się żenić, stary.

– Powiedziałem „jeśli”, a nie „jak”, *if* dla anglojęzycz...

– Tak, *if* Chudzielec nie odpuści sobie tej frajdy. To mój etatowy świadek od ślubów i rozwodów ad vitam.

– Nigdzie nie jest powiedziane, że nie może być dwóch albo trzech świadków, co to wyskakują jak królik z kapelusza.

– *If*... Jutro o jedenastej mam coś do załatwienia.

– Podjadę po ciebie o dziewiątej i w godzinę załatwimy interes. To na razie, chrześniaku.

– Spadaj na bambus... – powiedział Conde, odkładając słuchawkę.

Stał teraz przed domem Tamary i przyglądał się zdobięcym front budynku cementowym rzeźbom w stylu Picassa i Wifreda Lama. Doszedł do wniosku, że czas jego dyspensy już minął i musi spełnić obietnicę, którą złożył w zostawionej rano notatce. Zanim wszedł, sprawdził, czy ma czyste buty. Nie należy omawiać takich spraw, wniejąc psim gównem. A może po prostu to olać?

Jak łatwo było przewidzieć, Tamara, która nie miała szczególnego talentu do gotowania, usiłowała przygotować coś jadalnego: ryż, tortillę z cebulą i sałatkę z pomidorów. Żałosne menu. Stara Josefina dostałaby na ten widok apopleksji. I to jest kobieta, z którą zamierzasz się ożenić, ot tak, tylko dlatego, że ci się podoba, że teraz pomyślałeś sobie, a może by tak? Zrobił sobie grzanki, udoskonalił je oliwą z oliwek przywiezioną przez Aymarę z Włoch, a dodawszy zerwane w ogrodzie listki bazylii i hojnie posypawszy całość parmezanem, uzyskał prawdziwe *delicatessen*.

Pół godziny później, po wypiciu przyrządzonej własnoręcznie kawy i wyczerpaniu wątku przygotowań do jutrzejszej fiesty, Conde stwierdził, że trzeba już zakończyć tę grę na zwłokę.

– Tamaro, od kilku dni ja...

Spojrzała na niego z uśmiechem.

– Tak? Daj się sztachnąć – poprosiła, lękawszy zaledwie kilka kropel kawy, żeby tylko poczuć jej smak. Zaciągnęła się dwa razy papierosem Condego i ponowiła pytanie. – Tak? Co ty od kilku dni...?

Conde wyczuł pułapkę: odkurzony instynkt policjanta ostrzegał go przed niebezpieczeństwem.

– Wiesz co?

– Ja?! Co? Co wiem?

Zdradziło ją ostentacyjne zaskoczenie.

– Chudzielec, Dulcita, Yoyi... kto się wygadał?

Tamara parsknęła śmiechem. Kiedy się śmiała, była jeszcze piękniejsza.

– Skoro to dzień twoich urodzin i zejdą się te wszystkie sukinsyny, pomyślałem sobie...

Nie droczyła się dłużej. Zawsze miękło jej serce przy Condem, więc i teraz, mimo jego komicznej miny, nie miała sumienia dalej go dręczyć.

– Wczoraj w nocy, kiedy mówiłeś do mnie o tym „czymś”, nie spałam. Wszystko słyszałam... tylko udawałam, że chrapię.

– A więc...

– Dzisiaj Yoyi wstąpił do kliniki, żeby sprawdzić, czy pierścionek pasuje na mój palec. Pasuje idealnie. I jest przepiękny.

– Bezczelny gnojek! No i...?

– Jeśli mnie o to poprosisz, zostanę twoją oficjalną narzeczoną. A potem, jeśli mnie o to poprosisz, zastanowię się, czy warto się pobrać, czy nie. Ale najpierw, zgodnie z zasadami, zostaniemy narzeczeństwem. To drugie muszę przemyśleć... Starannie. Bo to „coś” to nie byle co.

Conde z uśmiechem stanął za krzesłem Tamary. Nachylił się, delikatnie uniósł jej brodę i ucałował usta: jego ślina wciąż pachniała oliwą z oliwek, parmezanem i bazylią z dodatkiem tytoniu i kawy. Ta-

marze nieobce były najlepsze i realne rzeczy w życiu. Conde poczuł, jak mimo zmęczenia i chaosu myśli nagromadzonych w trakcie tego długiego, upalnego dnia ożywia się w nim inne „coś”.

Z kuchni udali się do pokoju, gdzie jako przyszli narzeczeni wprowadzili w czyn swoją wiedzę o wzajemnych potrzebach, oddając się spokojnej i głębokiej miłości wieku dojrzałego, a przez to jeszcze słodszej i bardziej smakowitej. W perwersyjnym umyśle Condego przewijały się od czasu do czasu obrazy Any Marii, Yadine i Judy, wichrzyielskich, ponętnych, oddających się swoim kobiecym igraszkom, i wtedy myślał, że po raz ostatni kocha się z Tamarą pięćdziesięcioletnią, stanu wolnego i bez zobowiązań. Następnym razem będzie to kobieta bardzo podobna, a jednocześnie inna.

Conde wyobraził sobie Śmiecia II biegającego po trawniku na patio widocznym z kuchennego okna w domu Tamary. W wizji owej ujrzał z przerażeniem (w istocie był to horror połączony z uśmiechem czającym się w kącikach ust), jak pies ryje w ziemi, tratując trawę, jak jednym kłapnięciem wyrывa krzaki i kwiaty, obsrywa plastikowe krzesła pod pergolą, manifestując przeświadczenie, że egzystencja w zamknięciu, nawet w złotej klatce, nie ma nic wspólnego z tym, co rozumie przez dobre życie. Wolność była dla niego po prostu wolnością, bez zbędnych dywagacji filozoficznych, i cieszył się nią, włóczęc się po ulicach swojej dzielnicy i uganiając za suczkami z cieczką, co Conde, jako jego pan, zawsze akceptował. Taki styl życia, wybrany świadomie i dobrowolnie, był dla psa ważniejszy niż dwa posiłki dziennie i kąpiele przeciw kleszczom.

Zapach kawy gotującej się w imbryku wyrwał Condego z kłopotliwych rozważań natury zoologicznej. Podniósł imbryk, dosypał cukru, lecz zanim zdążył upić łyk, zadzwonił telefon. „Ktokolwiek to jest, niech zaczeka”, pomyślał, wysączył wskrzeszający napój do ostatniej kropli i dopiero przy dziesiątym dzwonku podniósł słuchawkę.

– Tak?

– Conde? – Nie kojarzył, kto mówi, choć głos wydawał się znajomy.

– Tak...

– To ja, Eliaz Kamiński – usłyszał z oddali i dopiero wtedy serdecznie powitał rozmówcę, sadowiąc się w fotelu. – Wcześniej dzwoniłem do ciebie do domu, ale...

– Coś się stało? Jakież nowe wiadomości?

– A tak, nawet dobre... Na wniosek rodziny Kamińskich zostanie wszczęty proces cywilny w sprawie obrazu. Dopisało mi szczęście, bo sprawę rozpatrzy sąd cywilny w Nowym Jorku i już wynajęłam prawników specjalizujących się w odzyskiwaniu dzieł sztuki. Udało się im nawet zwrócić rodzinom żydowskim dzieła zrabowane przez nazistów. Jestem więc dobrej myśli.

– Ich usługi pewnie kosztują fortunę – skomentował Conde, który nie potrafił sobie wyobrazić, jak działa świat prawników i sędziów pierwszego świata.

– Ten Rembrandt na to zasługuje – stwierdził Eliaz. – Dzwonię, żeby poprosić cię o przysługę: pogadaj z Ricarditem...

– A dlaczego sam nie pogadasz?

– Bo nie wiem, jak mu powiedzieć, że jeśli odzyskamy obraz, dostanie połowę pieniędzy... Boję się, że ich nie przyjmie...

– Możesz dać mnie i sprawa załatwiona... A co mam powiedzieć twojemu krewniakowi?

– Niewykluczone, że dostanie zawiadomienie o rozprawie, a nie chcę, żeby poczuł się pominięty albo żeby pomyślał, że coś kręcę z tym Rembrandtem za jego plecami... Powiedz mu po prostu, że ruszy proces, że na pewno będzie ciągnął się latami i że nie ma pewności, czy wygramy, chociaż mam nadzieję, że tak... A jeżeli wygramy...

– Mówisz: całe lata... a dokładnie ile mniej więcej?

– Tego nikt nie wie, to wszystko jest skomplikowane i idzie bardzo powoli... Czasami ponad dziesięć lat. Powiedz to Ricarditowi.

– Ja pierdziele, dziesięć lat...! No dobrze, powiem mu... – Dopiero w tym momencie Conde przypomniał sobie swoje układy z Yadine, więc postanowił zagrać na zwłokę. – Mogę pogadać z nim za kilka dni?

– Tak – odparł Eliaz. – A dlaczego?

– Nic, przytrafiły mi się drobne komplikacje. – Conde postanowił nie łączyć obu wątków, żeby uniknąć zbędnych wyjaśnień. – Kiedy znów przyjedziesz na Kubę?

– Jeszcze nie wiem, ale mogę w każdej chwili. Pamiętaj, że obiecałeś mi kolację u Josefiny, z twoimi przyjaciółmi... Ach, zapomniałbym... Żenisz się w końcu z Tamarą?

Pytanie zaskoczyło Condego i dopiero po paru chwilach odkrył źródło plotki: Andrés via Carlos.

– No, jeszcze nie wiem. Nie jestem pewien, czy ona zechce wyjść za mnie...

– W każdym razie przyjmij moje gratulacje.

– A ty moje, z powodu tego procesu... Nie martw się, pogadam z Ricarditem.

– Dzięki, Conde. Jestem ci winien dniówkę.

– Wpisz to do rubryki „czyn społeczny ku chwale socjalizmu”.

– Tak zrobię. Dziękuję i pozdrawiam. Cóż...

– Zaczekaj chwilę... – przerwał mu Conde pod wpływem nagłej wątpliwości.

– Słucham cię...

– Twój ojciec, Daniel, naprawdę już nie wrócił do wiary w Boga?

Na odpowiedź Eliasza Kamińskiego musiał poczekać dłuższą chwilę.

– Chyba nie...

– Rozumiem... Tak myślałem. No dobra, biorę na siebie rozmowę z Ricarditem, możesz być spokojny.

– Nie mówiłem ci tego o ojcu? Dlaczego pytasz?

Teraz Conde potrzebował chwili do namysłu.

– Sam nie wiem... Może dlatego, że niedawno stało się coś, co każe mi myśleć, że łatwiej wierzyć w Boga niż nie wierzyć... Jeżeli Bóg nie istnieje, żaden Bóg, a ludzie nienawidzą się i zabijają nawzajem w imię swoich bogów i obietnicy lepszego życia w zaświatach... A jeżeli naprawdę Boga nie ma, żadnych zaświatów, niczego... Zapomnij o tym, Eliaszu, po prostu jestem zdołowany i ciągle rozmyślam o tych idiotyzmach...

– To nie są idiotyzmy, ale widzę, że faktycznie jesteś zdołowany...

– Tak, ale nie tylko z mojego powodu...

Eliasz Kamiński zamilkł po drugiej stronie telefonicznego kabla, a Conde pożałował, że podzielił się z nim tymi przemyśleniami, i postanowił jak najszybciej zakończyć rozmowę.

– Nie martw się, pogadam z Ricarditem... Jak dowiesz się czegoś, zadzwoń... żebym wiedział...

– Oczywiście, że zadzwonię... – Eliasz przerwał w pół zdania. – Wiesz, Conde, chcę jeszcze raz ci podziękować.

– Za co? Po tym, jak mi zapłaciłeś...

– Za to, że dałeś mi do myślenia... no nic. Niedługo się odezwę – powiedział i zakończył połączenie.

Conde odłożył słuchawkę na widełki i uświadomił sobie, że po kawie nie zapalił papierosa. Zrobił to teraz. Czuł, że ta rozmowa namieszała mu w głowie. Przywołała coś nieokreślonego, co czaiło się gdzieś w mrocznych zakamarkach, ale z pewnością było obecne.

– Pieprzyć to – stwierdził i zgasił niedopałek. – Jakby mi mało było...

– Nietzsche, *Death Note*, Nirvana i Kurt Cobain, nieco buddyzmu – zaczęła podsumowanie i wylizała dalek: – *Lowca androidów* wraz z replikami, piercing, tatuże, sznyty na ramionach i nogach, trochę albo dużo narkotyków, czaty z grupami fundamentalistycznych emo, przywódczyni plemienia na Kubie, rezygnacja z emo i przywództwa. Na dokładkę lesbijka i dziewczica, zniesmaczona tym, co robił jej ojciec, totalnie skorumpowany i z tego, co mówisz, modelowy i notoryczny skurwysyn. Osoba nieugięta wierząca, że Bóg umarł, a Jego śmierć była największym dobrodziejstwem dla ludzkości, uwol-

nionej od Jego dyktatury... Ta dziewczyna to chodząca bomba zegarowa! – doszła do wniosku doktor Cañizares, przeglądając swoje notatki, kiedy już Conde szczegółowo przedstawił osobowość oraz życiowe i egzystencjalne okoliczności zaginięcia dziewczyny; w swojej prezentacji starał się być jak najbardziej konkretny, dbając o niezbędną w tej sytuacji klarowność, dlatego też pominął jedynie fakt, iż najtrwalszy związek homoseksualny Judy nawiązała z nauczycielką swojego Instytutu Przeduniwersyteckiego, ponieważ szczególnie ten wydał mu się drugorzędny, a i zbyt niebezpieczny, by go ujawnić.

Doktor Eugenia Cañizares była uznawana za największy krajowy autorytet w kwestii stosunku, jaki mają do własnego ciała młodzi ludzie wyznający filozofię punk, emo, rastamani i freaki. Całe lata poświęciła na studiowanie ich lęków i pragnień, konsultując się z uznanymi autorytetami, jak Francuz David Le Breton, który w jej opinii był człowiekiem godnym najwyższego podziwu i największym znawcą zagadnienia. Książka doktor Cañizares, poświęcona tatuażom na Kubie – w przeszłości i obecnie – była jednym z efektów owej bliskiej współpracy.

Wygląd tej kobiety, której wiek oscylował wokół wczesnej sześćdziesiątki, dowodził wpływu, jaki wywarły na nią obiekty jej badań. W każdym uchu tkwiły cztery kolczyki, na dłoni widniał wytatuowany motylek, na nadgarstkach pobrzękiwały bransoletki, szyję spowijały sznury paciorków rozmaitych kształtów i kolorów, a pstrokata obfitość owych ozdób u osoby w tym wieku ocierała się o śmieszność. Obwieszona świecidełkami, świdrująca przenikliwym spojrzeniem agresywnie zielonych oczu przypominała, wedle schematycznych kryteriów Condego, nie tyle socjologa, ile jedną z wiedźm w Makbecie.

– U źródeł tego typu zachowań zawsze leży ogromne niezadowolenie, często związane z rodziną. Rzutuje ono na stosunek do społeczeństwa, również opresyjnego, z którym próbują zerwać lub przynajmniej zachować do niego dystans, poszukując innych rodzinnych i społecznych alternatyw: stąd przynależność do plemienia. Plemię z zasady jest demokratyczne, nikt cię nie zmusza, byś do niego wstąpił i w nim pozostał, a zarazem budzi poczucie dobrowolnego wyboru i w rezultacie wolności, która jest celem tych poszukiwań. Wolność za wszelką cenę i zero presji rodzinnej, społecznej czy religijnej. I żadnej polityki... Przy czym chodzi nie tylko o wyzwolenie umysłu z idei narzuconych przez przestarały system relacji międzyludzkich, ale także o wyzwolenie umysłu z ciała, w którym zamieszkuje. Wyobraź sobie, że to wszystko głoszone jest w kraju socjalistycznym, planowym, wertykalnym... to igranie z ogniem! Zauważ, że od czasów gnostyków, co potem przejął od nich Nietzsche, a teraz postrewolucjoniści, ciało traktowane jest jak ułomne naczynie duszy. Dlatego też fundament owych filozofii stanowi teza, iż człowiek nie osiągnie pełni wolności, dopóki nie uwolni się od wszelkiej myśli o własnym ciele. Ci młodzi ludzie szybko to sobie przyswoili. Starając zdystansować się od ciała, kładą nacisk na jego brzydotę, mroczne strony, ranią je, szpecą, tną, ale często także faszeringują narkotykami, aby z niego wyjść, jednocześnie nie wychodząc.

Słuchając jej, Conde usiłował śledzić ów zalew rewelacji, stawiających go twarzą w twarz z ideą poszukiwania wolności, która w końcu obracała się we własne przeciwieństwo, albowiem w jego odczuciu, wojującego agnostyka i bez wątpienia preewolucjonisty, otwierała bramy do innych więzień. Najbardziej szokująca była świadomość, iż w ostatnich latach mieszkał w tym samym mieście co ci młodzi ludzie i niemal nie zwracał na nich uwagi, gdyż uważał ich za błaznów epoki postnowoczesnej, przebiezańców, którzy za wszelką cenę starają się łamać normy społeczne, ostentacyjnie głosząc swoją odmienność, i nigdy by nawet nie pomyślał, że kieruje nimi jakaś głębsza refleksja i wyzwolicielskie cele (bardziej wyzwolicielskie niż wyzwolenicze, doprecyzował w myślach w duchu anarchistycznych poszukiwań tych buntowników). Mimo kajdan, w jakie sami się zakuwali. Ale to były ich kajdany i na tym polegała różnica. Ta różnica, o której mówił Candito. Różnica, jakiej zapewne poszukiwała Judy, mieszkanka państwa, które głosiło zniesienie wszelkich różnic, choć codzienna rzeczywistość mnożyła w nim warstwy, grupy, klany i dynastie niszczące domniemaną jednorodność, odgórnie zadekretowaną na potrzeby polityki i zgodną z obowiązującą ideologią.

– Gnostycy, którzy łączyli chrześcijaństwo z judaizmem, aby osiągnąć poznanie tego co nieuchwytnie, są prekursorami wszystkich tych młodzieńczych filozofii, chociaż ich głosiciele nie mają o tym poję-

cia... Ci, którzy choć trochę myślą, uważają, że dusza jest więzieniem ciała podlegającego przemianom, śmierci, światu materii, mrocznemu z definicji. Dlatego tak bardzo nienawidzą ciała, uznawanego przez nich za formę najwyższego poniżenia człowieka. Proces ów określa się mianem „ensomatosis”: dusza pogrąża się w niezadawalającym i nietrwałym ciele i w nim się zatracca, gdyż jest ono substancją przekłątą, skazaną na śmierć, starzenie się, choroby. Aby dotrzeć do tego co nieuchwytnie, trzeba uwolnić duszę: jak widzisz, zawsze uwolnienie, zawsze wolność... Ten właśnie sposób myślenia, bez ładu ni składu, opanował umysły tych nastolatków. Przy czym gardząc ciałem, często też lękają się śmierci. I próbują ciało ulepszyć, by przewyciężyć to, co Kundera (Jak sądzisz, dlaczego Judy go czyta?) nazwał nieznośną lekkością bytu. Pamiętasz te postaci z *Łowcy androidów*, fizycznie nieskazitelne, a jednak również skazane na śmierć...? Ci młodzi są uszczęśliwieni, że żyją w epoce, którą Marabe nazwał postbiologiczną, a Stelarc postewolucjonistyczną: ale prawda jest taka, że większość z nich nie ma pojęcia, na czym polegają te idee. Znają jedynie ich konsekwencje, a czasem to tylko zwykła fanfaronada... Tak czy inaczej są przekonani, że żyją w epoce kresu ciała, tego żalosnego artefaktu w dziejach ludzkości, który teraz genetyka, robotyka albo informatyka mogą i powinny zreformować albo wyeliminować...

– I skończymy z wielką głową i chuderlawymi ramionami albo muskularnymi ramionami i pustą głową? Bo replikanci z *Łowcy androidów* są rośli i atletycznie zbudowani... – Przerwał stek własnych bzdur, nim zdołał przedstawić swój maczystowski pogląd na replikantki, które jego zdaniem były bardzo urodziwe...

– Chcę powiedzieć, że upajanie się tymi wszystkimi koncepcjami może przynieść fatalne skutki. Poszukiwanie depresji otwiera drogę prawdziwej depresji, pragnienie wolności może prowadzić do wyzwolenia, ale także do libertynizmu, który jest wypaczeniem wolności, a odrzucenie ciała często wiedzie ku przepaści, głębszej niż otwory w uszach, łechtaczce i penisie albo nacięcia na ramionach. Nieistnienie Boga może się skończyć utratą lęku przed Bogiem... Musicie znaleźć tę dziewczynę, bo ktoś taki jak ona zdolny jest do wszystkiego. Nawet do samozniszczenia.

„O, kurwa”, pomyślał Conde, przygnieciony lawiną nowych informacji.

– Najgorsze – ciągnęła doktor Cañizares, wyzbyta hamulców w owym zjeździe z wyżyn własnych teorii i obsesji – a zarazem najbardziej przerażające jest to, że choć wydają się nieliczną grupą, ci młodzi wyrażają powszechne odczucia całego pokolenia. To efekt utraty wartości i norm, wyczerpania się wiarygodnych wzorców i nadziei na przyszłość, co dotyczy ogółu społeczeństwa... lub przynajmniej tej jego części, która mówi lub robi mniej więcej to, co naprawdę myśli. Nastąpił zbyt głęboki rozłam pomiędzy dyskursem politycznym a rzeczywistością, ich drogi się rozeszły, choć to właśnie dyskurs powinien podążać za rzeczywistością i ulegać modyfikacji...

– Pani doktor, proszę to jakoś wyrazić prostszymi słowami – wtrącił się Conde. – Czuję się stary i skolowany...

Zabrzączała bransoletkami i się uśmiechnęła.

– Chłopcze, problem polega na tym, że ci młodzi w nic nie wierzą, bo nie mają w co wierzyć. Bajeczka o pracy na rzecz lepszej przyszłości, która jakoś nie chce nadejść, ani ich grzeje, ani ziębi, bo dla nich to już nie bajeczka, ale łgarstwo. W tym kraju ten, kto nie pracuje, żyje lepiej niż ten, kto pracuje i studiuje, absolwenci uniwersytetu robią wszystko, żeby stąd wyjechać, a ci, którzy latami wypruwali sobie żyły, przymierają głodem, bo ich emerytura nie wystarcza nawet na chleb. W rezultacie młodzi ludzie muszą kombinować: jedni uciekają, inni marzą o ucieczce, robią przekręty, imają się czegokolwiek dla pieniędzy: zarabiają jako dziwki, taksówkarze, alfonsi... A jeszcze inni stają się freakami, rockersami i emo. Kiedy podliczysz tych innych, przekonasz się, że jest ich od groma. Takie są fakty. Nic na to nie poradzisz. Do tego doszliśmy po tych wszystkich gadkach o braterstwie, współzawodnictwie socjalistycznym, postępie i proletariacie.

– O, kurwa! – wyjąkał całkiem już przytłoczony Conde. Czy, jak zwykł mówić, udupiony, no po prostu dupa błada.

– Jesteś postbiologiczny czy postewolucjonistyczny?

Epidemiczna bladeść Yovany’ego natychmiast nabrała różowego odcienia, jakby chłopak powrócił do świata żywych.

– Kumasz? – zapytał w formie odpowiedzi, niezdolny pojąć, że ten natarczywy, prehistoryczny stwór i były policjant orientuje się w jego działalności post coś tam... Wtedy Conde doznał olśnienia: No nie, ja pierdzielę! Ten niemal przezroczysty chłopak przypominał mu Kruka Abilia, kolegę z podstawówki. Abilio był tak bardzo biały, niemal widmowo blade, że z jakiegoś powodu, który już wypadł z pamięci Condego, obdarzono go przydomkiem czarnego ptaka, w powszechnym mniemaniu złowróżbnego. Cóż teraz porabia tamten ponury, tajemniczy facet, który podobnie jak Yovany unosił brwi, kiedy pytał o coś, w co nie wierzył? Conde od wieków nie widział Kruka, zapomniał o nim na śmierć, a tu nagle...

Po intelektualnym wstrząsie wywołanym przez doktor Cañizares, która w naukowy sposób uzasadniała jego domniemanie, Conde pojechał do Yovany’ego, nie spodziewając się zbytnio, że go zastanie. Do domu w dzielnicy El Vedado zawiodło go przecucie, że Judy stanowi śmiertelne zagrożenie dla siebie samej. Poza tym uznał, że musi zapukać do chyba ostatnich już drzwi, które być może prowadzą do niedostępnego labiryntu zaginionej emo. A jeśli i za tym progiem nie znajdzie nic, to rzuci wszystko w diabły i będzie żył jak dotychczas, a nawet z większą ochotą, mając w perspektywie tysiąc dolarów.

Stojąc przed zamożną willą, bardziej zadbaną i starannie pomalowaną niż pałacyk Alcidesa Torresa, Conde zaczął snuć domysły na temat motywów i sposobności Bladej Twarzy, posiadacza converse’ów, mp-czwórki i BlackBerry. Przyglądał się okazałej budowli wspartej na wysokich fundamentach, wypięłganowemu ogrodowi w japońskim stylu, obszernym werandom, kratom wykutym z artystycznym smakiem, błyszczącym od świeżej farby okiennicom i poczynił dwa spostrzeżenia: poprzedni właściciele musieli należeć do przedrewolucyjnej i nadzianej kubańskiej burżuazji, obecni mieszkańcy zaś do kamaryli nowobogackich postrewolucjonistów, która pojawiła się w ostatnich latach niczym gotowa znów się szerzyć powracająca zaraza, ponoć już wypełniona przez dziesięciolecia socjalizmu głoszącego równość i sprawiedliwe ubóstwo. Dyskurs sobie, a rzeczywistość sobie?

Nacisnął guzik domofonu wmontowanego w zewnętrzny mur posesji i zapytał elektrycznie brzmiący głos, czy Yovany jest w domu; wyjaśnił, że chce porozmawiać z chłopcem, i dodał, że jest przyjacielem (nie zawahał się przed kłamstwem) ojca przyjaciółki Judy. Wówczas z teatralnym zgrzytem uchyliła się pałacowa brama i na jego spotkanie wyszła typowa pomoc domowa, jak z socjalistycznym taktmem określano osoby zwane dawniej służącymi lub gosposiami. Pulchna biała kobieta o wygładzie niemieckiej guwernantki (wschodnio- czy zachodnioniemieckiej?) – zastanawiał się Conde, nadal tkwiący w przeszłości) wprowadziła go do sali recepcyjnej wielkości kortu tenisowego, usadziła w fotelu i przemówiła tym samym elektrycznym głosem, który usłyszał w domofonie.

– Życzy pan sobie kawę, czarną herbatę indyjską czy zieloną chińską? Colę, świeżo wyciskany sok, wodę mineralną gazowaną czy niegazowaną...?

– Poproszę wodę z bąbelkami i kawę – wykrztusił Conde, niemal pewien, że rozmawia z replikantką ostatniej generacji, kupioną być może w tym samym magazynie co BlackBerry Yovany’ego.

Pozostawiony samemu sobie w olbrzymim salonie z posadzką wyłożoną szachownicą nieskazitelnych marmurowych płyt, sufitem zdobnym w gipsowe arabeski, baterią podwieszonych wentylatorów zapewniających ożywcze podmuchy, Conde, który nagle poczuł się nieskończenie mały, snuł rozważania nad różnicą pomiędzy dorobkiewiczowskim domem Judy, udekorowanym reprodukcjami i plakatami politycznymi, a tym władczym i pretensjonalnym pałacem o ścianach ostentacyjnie obwieszonych oryginalnymi obrazami najbardziej cenionych malarzy kubańskich ostatniego półwiecza. Nagi, hojnie obdarzony przez naturę efeb Servanda Cabrery, mroczne miasto Miliana, kobieta o wytrzeszczonych oczach Portocarrery, leżąca syrena Fabela, rozczłonkowana lalka Pedra Pabla Olivy, wyidealizowany pejzaż Tomasa Sancheza, owoc mango Montota, wylczenie przerwał dopiero na widok wchodzącej Frau Berty (musiała się tak nazywać) z tacą, na której była kawa w porcelanowej filiżance, srebrne łyżeczki, do wyboru cukier biały, czarny i słodzik (marki Splenda), kilka czekoladek, szklanka buzującej wody mi-

neralnej oraz Iniana serwetka. Popijając wyśmienitą kawę, zapewne zaparzoną w ekspresie przywiezionym z Włoch, raz jeszcze powiódł wzrokiem po obrazach i doliczył się kilkudziesięciu lub nawet kilkuset tysięcy wiszących na ścianach dolarów. Taki majątek mógłby roześmiać się w nos fortunie wartę tyśiąc dolców, z którą Conde czuł się jak potentat. Faktycznie, od takich właśnie sum zaczyna się mnóstwo dolarów.

Pośród tego przepychu obrazów, porcelany, kunsztownych intarsji, lamp Tiffany'ego, grawerowanych mosiądźów i stylowych mebli Yovany, który właśnie wszedł do salonu, sprawiał wrażenie kleszcza na grzbiecie teriera z rodowodem. Chłopak miał włosy rozczapierzone po obu stronach swojej bezbarwnej twarzy, podarte spodnie i podziurawioną koszulę; bez słowa powitania usiadł naprzeciwko Condego i wbił weń drapieżne spojrzenie, które ekspolicjant, biegly w tej sztuce, rozbroił pytaniem o filiację postmłodzińca kojarzącego mu się z Krukiem Abiliem.

– Znam się na tym lepiej, niż sądzisz... Kiedyś byłem nawet postmodernistą, a teraz jestem postpoli-cjantem... Chciałbym się dowiedzieć, kim są twoi rodzice... – Zatoczył ręką łuk, jakby z daleka pieścił meble i obrazy w salonie.

– *My father* dał nogę, kiedy byłem jeszcze małym. Podczas międzyładowania w Kanadzie zwiął z samolotu, którym przyleciał od Ruskich, i tak go pogoniło, że zatrzymał się dopiero w Chile... *My mother*, która ma mózg karalucha i trudniej ją ukatrupić niż Bruce'a Willisa, poderwała potem Hiszpanola, zgreda, co chyba się urwał z domu dla dziadersów, ale prowadzi tu biznes z dźwigami i tym podobnym głównem i ma, jak widzisz, wypasioną chatę.

– I ten Hiszpan kupuje ci converse'y?

Chłopak się uśmiechnął. Odzyskał swoją wampiryczną bladeść.

– Myślisz, że dziadyga jest nadziany? Żył jakich mało, skurwiel jeden. To, co mam, przysłała mi z Chile stary. Pies jebał *my mother*...

Conde też się uśmiechnął, ale nie na myśl o lokatorach pałacu, tylko dlatego, że przypomniał sobie tekst *A Whiter Shade of Pale* Procol Harum w hiszpańskiej wersji Cristiny i Los Stop, opowiadający o ukochanym, który, już martwy i pochowany, ukazuje się piosenkarce z „bielszym odcieniem bladeści”, co Condemu zawsze wydawało się odrażające i nekrofilskie. Bladeści jak u tego chłopaka, którego Yoyi nazwał „mlecznym białasem”. Bieli, którą uwydatniała niczym sygnał alarmowy czerwona blizna długości około dziesięciu centymetrów, widoczna po wewnętrznej stronie lewego przedramienia Yovany'ego.

– No dobra – powiedział Conde, zmierzając krok po kroku do interesującego go tematu. – Ta blizna na ramieniu...

Chłopak jak rażony prądem schował ramię za siebie, niczym dziecko przyłapanę na wyjadaniu laski.

– To moja sprawa... Czego pan chce? Nie mam czasu na pierdoły...

Conde zorientował się, że trafił w czuły punkt, i zdecydował się zmienić strategię przesłuchania.

– Wiesz już, że Judy się nie odnalazła. Dowiedziałem się o czymś i chcę się upewnić, że to prawda.

– O czym? – Yovany wciąż trzymał ramię za plecami.

– Powiedziano mi, że zamierzała odejść od emo...

– To kłamstwo! Kłamstwo!

Reakcja chłopaka była już nie elektryczna, ale wybuchowa, jakby Conde nie tyle dotknął wrażliwego punktu, ile ciął skalpelem.

– Była najbardziej emo z nas wszystkich! – ciągnął wzburzony Yovany. – Który skurwiel to panu powiedział? Ten czarny duppek, Frederic?

– Nie. Babcia Judy.

– Gówno wie ta stara rura... Judy wcale nie miała zamiaru nas opuszczać. Judy była naszym mózgiem. Najwięcej wiedziała o sprawach emo, zawsze mówiła o wolności i o tym, żebyśmy nikomu nie dawali się robić w konia.

– Od jak dawna ją znasz?

– Odkąd zjawiała się na ulicy G. Ja byłem w połowie emo, w połowie miki i rockersem, aż któregoś razu porozmawiałem z nią i bach... totalny emo – oświadczył i instynktownie wyciągnął ręce na dowód swojej emoprzynależności.

Conde ponownie zobaczył bliźnę, świeże pionowe cięcie, typowo samobójcze. Tyle że prawdziwi samobójcy podcinają sobie żyły na obu przegubach. No i umierają.

– Jak cię przekonała?

– Mówiąc o herezji, która zawiera się w akcie wolności.

– Takich słów użyła?

– Tak. I pożyczyła mi kilka książek, żebym się poduczył. Te książki nie są wydawane na Kubie, bo tutaj Policja Myśli nie chce, żebyśmy się dowiadawali o tych sprawach. Książki, które mówią, że Bóg umarł, ale nie tylko ten, który jest w niebie, bo to Bóg chcący nas zniewolić. Książki o reinkarnacji, o naszych kolejnych wcieleniach. Dużo opowiadała o tym, co można zrobić z umysłem, jedyną rzeczą, która naprawdę do nas należy. Ponieważ, jak mówiła Judy, ciałem mogą zawładnąć inni: mogą je bić, uwięzić. Ale nie mają dostępu do naszych myśli, jeżeli jesteśmy ich świadomi. Dlatego musimy być sobą, być inni i nie pozwolić, by ktoś nami rządził, żaden dupek, ani tu – wskazał podłogę – ani tam – podniósł palec wycelowany w kręcące się wentylatory. – I nigdy, przenigdy nie słuchać skurwieli, którzy nawijają o wolności, bo chcą jej tylko dla siebie, a nas tak czy inaczej wydymają...

Conde odczuwał coraz silniejszą potrzebę porozmawiania z Judy. Jej poglądy na wolność i przynależność plemienną wydawały mu się, nawet po przemierzeniu umysłowych rubieży tego dysfunkcyjnego chłopaka, wyzwaniem, czymś znacznie bardziej skomplikowanym niż odruch postmłodzieńczego buntu. Usłyszeć to wszystko z ust Judy byłoby pouczającym doświadczeniem. Ekspolicjant przypomniał sobie Polaka Daniela Kamińskiego i jego poszukiwania przestrzeni wolności w dążeniu do samookreślenia. Kolejna dziwna zbieżność, pomyślał.

– Kiedy widziałeś ją po raz ostatni?

– Nie pamiętam, jakieś dwa tygodnie temu, spotkała się ze mną i zanim poszliśmy na ulicę G, spacerowaliśmy po bulwarze Malecón.

– O czym rozmawialiście?

Yovany zastanawiał się jakby dłużej, niż było to konieczne.

– Bo ja wiem? O muzyce, o mandze... ach, o *Łowcy androidów*. Była crazy na punkcie tego filmu i poszła na niego jeszcze raz.

– Mówiła czy nie mówiła o ucieczce?

– Chyba nie. Ciągle nawijała, że wyjedzie stąd w cholerę, wspominała o tratwie i takie tam. Ale nie, wtedy chyba nie. Zresztą nie pamiętam...

– Tamtego wieczoru powiedziałeś mi, że wspominała o tym niedawno.

– Nie pamiętam, co ci wtedy nagadałem – wzbraniał się, kreśląc palcem kółka przy prawej skroni. Odbywatel lot helikopterem. Zapewne chciał się upewnić, że gdzieś tam w przestworzach Bóg odłożył miecz.

– Powiedz mi coś o tych Włochach... Bardzo była zaprzyjaźniona z Bocellim?

Yovany patrzył na Condego, jakby ten był próbką pod mikroskopem. Jak na byłego glinę dużo wie, ale jest jak przyszcz na dupie, zdawało się mówić jego docieklawe spojrzenie.

– Nic nie wiem o tym całym Bocellim i nie mam pojęcia, dlaczego Judy, dziewczyna z klasą, zadawała się z takimi wrednymi, obleśnymi typami.

– Dlaczego wrednymi i obleśnymi? Skoro ich nie znałeś...?

– Wiem, że zależało im tylko na pieprzeniu Judy. A czego by innego chcieli? No, dalej, szukaj tych facetów, może ją zgwałcili i zamordowali. Cholera wie...

– Sądzisz, że mogli to zrobić?

– I coś jeszcze gorszego.

Conde był tego samego zdania. Zawahał się przed kolejnym pytaniem, ale w końcu je zadał.

– Nie sądzisz, że Judy popełniła samobójstwo?

Słowo „samobójstwo” znów poraziło chłopaka, który jeszcze głębiej schował lewe ramię za plecami. Jedno, co nie budzi wątpliwości, pomyślał Conde, to pochodzenie tej rany: Yovany nie szukał cierpienia emo, on naprawdę próbował popełnić samobójstwo. Czy rana została zaszyta? Czara wątpliwości ponownie zaczęła się napełniać. Conde miał wrażenie, że na bliźnie nie ma śladu szwów. Czyli skaleczenie nie mogło być głębokie i wystarczył bandaż, żeby zatamować krew. Czy to na pewno była próba samobójcza? Rozpoznanie bojem?

– Bo ja wiem.... – wyszeptał wreszcie Yovany, jeszcze bledszy niż zwykle. – Często o tym mówila. Lubiła się ciąć, smakować ból, wspominać o samobójstwie. Uważasz, że ktoś taki jak ona z dnia na dzień przestaje być emo z powodu jakiegoś starego włoskiego jełopa? Nie, Judy by nas nie opuściła – zaprzeczał z gwałtownością, która unaczniła Condemu, do jakiego stopnia Yovany był uzależniony od porywczej i niebezpiecznej filozofii Judy.

– Wspominała kiedyś o interesach swojego ojca? – Conde zahaczył o ten niejasny punkt, który za każdym razem pojawiał się w tle społecznego i rodzinnego buntu dziewczyny.

– Coś tam napomknęła... ale dobrze pamiętam. Jakiś biznes na duży szmal...

– Tylko tyle, nic więcej?

– Ni ciula...

Conde westchnął rozczarowany.

– Jeszcze jedna rzecz i już wychodzę... Gdzie jest twoja mama?

– Szlaja się po Hiszpanii, Anglii, Francji i nie wiem gdzie jeszcze, szastając forszą Hiszpanola. My *mother* ma trzydzieści osiem lat, a dziadyga ze dwa tysiące...

Conde kiwnął głową i wstał. Nie był pewien, czy zdobyć się na formalny gest i uściśnąć dłoń Yovany'ego. Wiedział jednak, że ostatnie pytanie musi być strzałem prosto w serce.

– Ta rana, którą zasłaniasz... Próbowałeś popełnić samobójstwo?

Yovany spojrział na niego z nienawiścią. Najczystsza i ognista nienawiścią.

– Spierdalał stąd, gnoju! Rzygać mi się chce na twój widok! – wrzasnął i zostawił Condego w pustym salonie, z ostatnim pytaniem na końcu języka: czy twój ojciec nie nazywa się przypadkiem Abilio González i ma przydomek Kruk...?

Osamotnienie trwało tylko chwilę. Niczym zjawa z nadwagą pojawiła się Frau Berta, która ruszyła w stronę drzwi wyjściowych, by otworzyć je na oścież. Brakowało jej tylko ognistego miecza wskazującego drogę wygnańcom z ziemskiego raj.

Jedną z ulubionych tras Condego była droga prowadząca przez obsadzone drzewami i szykowne ongiś ulice El Vedado. Między domem Yovany'ego a miejscem, gdzie mógł złapać zbiorczą taksówkę, by dojechać do swojej zapuszczonej, pokrytej kurzem dzielnicy, rozciągała się magnetyczna panorama, a pośrodku niej – odkryta parę lat temu najbardziej bajeczna prywatna biblioteka, jaką mógł sobie wyobrazić, z reminiscencjami najbardziej melodramatycznego bolera, w jakie może się przemienić prawdziwe życie.

Teraz nie obchodziła go owa dekadencja kojąca panorama, nie czuł nawet przytłaczającego czerwcowego żaru, złagodzonego nieco przez szpaler topól, pseudoszlachetnych wawrzynów, kwitnących wianowłostek i akacji. W jego głowie piętrzyły się, kotłowały i zmagaly ze sobą dwie nieprzejednane, dławiące zgryzoty o kobiecych imionach: Judyta i Tamara.

Tego ranka, po rozmowie z Eliaszem Kamińskim, uciekł z domu swojej niemal narzeczonej, zanim jeszcze się obudziła. Tamara załatwiła sobie dwa dni wolnego i z niedzielałą włącznie miała do dyspozycji

cji długi, odprężający weekend, którego natarczywie domagał się jej pięćdziesięciodwuletni organizm. W przeciwieństwie do Condego potrafiła, co budziło jego zazdrość, przespiać cały poranek, gdy nie musiała zrywać się z łóżka skoro świt. Dlatego też, zaspokoiwszy potrzeby seksualne ciała i oczekiwania duszy, nakazała umysłowi przysnąć, jak długo się da, tak by jej dusza, umysł i ciało były w jak najlepszej kondycji i mogły stawić czoło temu, co przyniesie pełen emocji dzień.

Conde zastanawiał się, jak też – począwszy od tego właśnie dnia – będzie wyglądało jego życie. Coś zapewne się zmieni, kiedy wieczorem ogłoszą z Tamarą publicznie (wobec jedynej publikki, jaka ich interesowała), że przemyślują małżeństwo (tak mniej więcej należałoby to sformułować). A może się nie zmieni? W ich wieku, po tylu wspólnie przeżytych latach, nic się nie musiało zmieniać, wystarczy, że się trochę ustakują. Bo tak jest dobrze i lepiej tego nie spieprzyć. W końcu, stwierdził Conde, którego zawsze zdumiewała własna skłonność do przygód i samooszukiwania, wszystko sprowadza się do nich dwojga, do formalności i tego, co przyniesie czas. Syn Tamary i Rafaela, który miał już dwadzieścia sześć lat i podobnie jak wielu młodych ludzi z jego pokolenia postanowił szukać szczęścia poza Wyspą – od jakiegoś czasu mieszkał we Włoszech, najpierw pod skrzydłami swojej ciotki Aymary i jej włoskiego męża, a obecnie wiodł niezależne życie jako specjalista od marketingu w Emporio Armani – stał się już odległą obecnością, która materializowała się niekiedy w postaci telefonów, zdjęć przesłanych pocztą elektroniczną i czasem, choć bardzo rzadko, paczki z ubraniami dla matki (a dla Condego nic, nawet symbolicznej pary slipek od Armaniego) oraz dwustu lub trzystu euro. Resztę ludzkich potrzeb Maria Condego zaspokajała troska o losy Śmiecia II (złota klatka czy uliczna włóczęga?) i grupy przyjaciół, z którymi miał biesiadować tamtego wieczoru.

Najbardziej zagrożonym członkiem owego wiernego plemienia był chudy Carlos, którego serce, wątroba i żołądek mogły kolejno (albo wszystkie naraz) pęknąć w każdej chwili, aczkolwiek ostatnio ich właściciel trochę zwolnił tempo, mniej palił i jadł z większym umiarem. Albowiem po owdowieniu Dulcicy to, co oboje, ona i Carlos, stosując dzieciinne wybiegi, próbowali zachować w sekrecie, nie było żadną tajemnicą dla ich przyjaciół. Znów mimo fizycznych ułomności Chudzielca pieprzyli się desperacko, jak się dało i gdzie się dało, tak samo jak dawniej, kiedy studiowali razem w nieodżałowanym Instytucie Przeduniwersyteckim w La Víborze.

Co więc tak Condego martwiło? To, że kraj w oczach ulega rozpadowi i coraz szybciej przemienia się w miejsce bardziej niż kiedykolwiek przypominające arenę walki kogutów, jak zwykł nazywać świat dziadek Rufino? Z tym niewiele mógł zrobić; gorzej, na żadne zmiany nie pozwalano. Czy martwiło go, że on i wszyscy jego przyjaciele starzeją się i nie mają już nic, tak samo jak dawniej, a może nawet mają mniej niż kiedyś, bo stracili iluzje, wiarę, marzenia snute od lat, młodość? Po prawdzie już się przyzwyczaili do tej sytuacji, która naznaczyła ich piętnem pokolenia raczej ukrytego niż straconego, raczej milczącego niż niemego. Interes z książkami stawał się coraz bardziej kwestią przypadku? Ale czasem przynosił nadspodziewany zysk. Narodowa drużyna bejsbolu nigdy nie zdobędzie mistrzostwa świata? W tej dziedzinie można by sporo zdzielać: najpierw olać tych, którzy sztydzą sobie ze świętości, jaką jest dla Kubańczyków bejsbol, traktowany już nie jako rozrywka, ale coś, co płynie z głębi serca. A jeśli zdecydują się na ślub, on zaś, znudzony małżeńską rutyną, skończy z wymyślaniem coraz to nowych wykrętów i wreszcie usiądzie do pisania tej odrażającej i wzruszającej powieści, o której śni od lat? No więc powinien ją napisać, i tyle.

Wbrew jego woli historia nieugiętej Judy tylko potęgowała rozterki. W istocie każde posunięcie, które miało go do niej zbliżyć, kończyło się kolejnym, coraz większym oddaleniem, jakby na wizerunek dziewczyny opadała jakaś zasłona, skrywająca czy też rozmywająca jej rysy. Opinie Candita i doktor Cañizares, w połączeniu z jego własnymi przemyśleniami po spotkaniu z Yovanym, wzmogły obawy dawnego policjanta Maria Condego. O ile na początku był przekonany, że Judy świadomie się ukryła, gotowa żyć na jakiejś odległej planecie, gdzie znajdzie upragnioną wolność, o tyle teraz jego pewność została podana w wątpliwość. Kłębiące się w umyśle Judy idee mogły się okazać materiałem wybuchowym, czym w istocie były. Czy rzeczywiście popełniła samobójstwo? Czy nienawiść do ojca miała je-

dynie wymiar etyczny? Z własnej woli weszła do paszczy włoskiego wilka, jak sugerował Yovany? Oby się mylił, ale w każdej z tych kwestii Conde miał złe przeczucia.

Condego zaintrygował fakt, że skarżenie herezji Judy i Daniela, spotęgowane przez liczbę napotykanych przezeń ostatnio reprodukcji wielkich malarzy holenderskich oraz powrót Eliasza Kamińskiego, uświadomiło mu, iż zaginiona siostra polskiego Żyda nosiła to samo imię co poszukiwana emo. Przedstawiony mu przez Eliasza obraz tej drugiej Judyty, stworzony przez udręczony umysł jego ojca Daniela, natchniony wizją Judyty biblijnej, poruszył wyobraźnię Condego, nasycając ją światłocieniami i dramatyzmem uwiecznionym na płótnie pędzla Artemisii Gentileschi: zabójczyni Holofernesa ukazana dokładnie w chwili, gdy obcina głowę babilońskiemu wodzowi, by ocalić wolność królestwa. To piękny i pociągający wizerunek, pomyślał Conde, ale utożsamianie zaginionej w Holokauście polskiej dziewczyny z biblijną heroiną ze słynnego siedemnastowiecznego obrazu niewiele może pomóc w rozwikłaniu tajemnicy Judy, która zniknęła w swojej skwarnej i chaotycznej kubańskiej teraźniejszości, bo jako żywo nie potrafił wyobrazić sobie emo w roli egzekutorki kogokolwiek... z wyjątkiem siebie samej. A może istnieje jakaś inna nić łącząca polską dziewczynę i młodą Kubańkę, które dzielą to samo biblijne imię? Skąd w ogóle taka myśl? Nie miał pojęcia... Ale czuł, że coś w tym musi być.

Problemem dla domorośłego detektywa i zapewne również dla profesjonalnych policjantów, którzy z coraz mniejszym zapałem i zaangażowaniem tropili zaginioną dziewczynę, był brak jakiegokolwiek śladu lub wskazówki. Wątek Włochów wydawał się najbardziej obiecujący, ale ich nieobecność zablokowała tę ścieżkę. Tym bardziej frustrujący zdał mu się brak dowodów i odrzucenie hipotez, które podsunęły rozmowy z innymi emo, a nawet z profesorką, kochanką Judy.

Mario Conde wiedział jednak na pewno – wcześniej to przeczuwał, a teraz miał dowody – że Judy i jej koledzy byli najbardziej rzucającym się w oczy czubkiem góry lodowej pokolenia prawowitych heretyków. Ci młodzi ludzie urodzili się w apogeum dotkliwego kryzysu, w czasie gdy rozważano Opcję Zerową³⁴, która w szczytowym momencie klęski mogła zmusić Kubańczyków do zamieszkania na polach i w górach wzorem myśliwych i zbieraczy z okresu wyspiarskiego neolitu epoki cyfrowej i lotów kosmicznych. To pokolenie urodziło się i dorastało pozbawione wszystkiego w kraju, który stopniowo oddalał się od siebie i przemieniał w inny kraj, gdzie stare hasła stawały się coraz bardziej puste i oderwane od rzeczywistości, a z życia codziennego ubywało obietnic, przybywało za to wymogów: mieć dolary (nieważne skąd), radzić sobie na własną rękę, trzymać się z dala od spraw publicznych, oglądać świat zza wyspiarskiego muru, jak ogląda się cukierek za szybą, oraz robić wszystko, by ów mur przeskoczyć i znaleźć się po drugiej stronie. I przeskakiwali, wyzbyci romantyzmu i naiwnych opowiestek. Jak w swoim naukowym języku opisała to doktor Cañizares, brak wiary w kolektywne plany zmusił tych młodych ludzi do stworzenia własnych celów, a jedyną drogą do ich osiągnięcia było uwolnienie się od wszelkich balastów. Nie wierzyć w nic, tylko w siebie i swoje życie, jedyne, niepowtarzalne i ulotne: koniec końców Bóg umarł – ale nie tylko Bóg w niebiosach – przejadły się ideologie, zobowiązania są kulą u nogi. Konsekwencje oraz zasięg tej filozofii ukazały Condemu bolesny zarys owego świata, do którego, jak podpowiadała mu intuicja, nie miał dostępu. I tylko Yoyi Gołąb, z tym swoim pragmatycznym cynizmem i nieufnością, czasami tę rzeczywistość przed nim odsłaniał. A taka *mother Yovany*'ego gotowa była zjeść bez odruchów wymiotnych zramolałą żabę, byle tylko pławić się w luksusie. Te kilka lat dzielących generację Judy od pokolenia Yoyiego i matki błędnego emo wydawało się sięgać wieków, niemal tysiącleci. Klęski, których świadkami i ofiarami byli ci młodzi, ukształtowały jednostki zdecydowane trzymać się jak najdalej od jakiegokolwiek zaangażowania, w imię utworzenia własnych wspólnot i enklaw, gdzie mogły się odnaleźć poza zasięgiem retoryki triumfu, poświęceń i nowych programów (niezmiennie głoszących triumf i potrzebę poświęceń), retoryki, która – co oczywiste – nie brała pod uwagę ich potrzeb. To przerażające, że po obu stronach owych wąskich ścieżek rozwierały się bezdenne przepaści, śmiertelne pułapki. Na poszukiwaniach tych młodych ludzi odcisnął piętno jakiś sprzeczny z naturą czynnik, wyzwalając w nich autoagresję poprzez narkotyki, samookaleczenie, udawaną depresję, negację, zerwanie z tradycyjnymi normami etycznymi, wyrażane praktykowaniem seksu wyzbytego z wszelkich zahamowań, mechanicznego i niebezpiecznego, często bez jakichkolwiek uczuć, a nawet przerwy, i to w czasach powszechnego niedoboru odporności na choroby.

Jeśli to były drogi wolności, niewątpliwie zostały naznaczone cierpieniem, jak wiele ścieżek wiodących do zbawienia, ziemskiego i ponadziemskiego. Mimo swoich licznych uprzedzeń i przedewolucyjnej moralności Conde, gdy już poznał bliżej to pragnienie emancypacji, zaczynał odczuwać podziw dla tych młodych, którzy gotowi byli, w ślad za swoją duchową przewodniczką Judy, cisnąć wszystko w ogień – „Lepiej jest spłonąć niż przemijać”, Cobain dixit – z własnym ciałem włącznie. Ich dusze bowiem były ognioodporne, więcej – bezcenne. Przynajmniej na razie.

Zniechęcony wizją świata, który nieuchronnie nadchodził, potwierdzając złowróźbne prognozy, wrzucił monetę i wybrał bezpośredni numer do biura Manola, którego chciał poprosić, żeby przekazał specjalnym (gwiazdnym?) śledczym informację o opiewających na mnóstwo dolarów biznesowych planach Alcidesa Torresa, ale przede wszystkim – żeby zmobilizował swoich podwładnych do bardziej energicznych poszukiwań Judy, jeżeli mają one jeszcze jakiś sens. Za wszelką cenę trzeba ją odszukać, natychmiast i żywą. Ponieważ sądząc z zebranych dotąd dowodów i pomijając jej niebezpieczne związki, największym zagrożeniem dla Judy była sama Judy.

Zamiast sekretarki, jak za dawnych dobrych czasów, w słuchawce odezwał się automatyczny głos: „Słucham!”. Major Palacios był nieobecny. Jeśli naciśnie jeden, może się nagrać. Dwa – uzyska połączenie z centralą. Trzy... Naciśnął jeden. Zostaw wiadomość, ponaglił go anonimowy głos.

– Manolo, zyłol jesteś czy co? – powiedział, odłożył słuchawkę i posłał wszystkich do diabła, z Judy włącznie. Dość ma własnych problemów.

– Czego chciałbyś posłuchać?

– Beatlesów?

– Chicago?

– Fórmula V?

– Los Pasos?

– Creedence?

– Dawaj Creedence – przytaknął ponownie. Od tysiąca lat uwielbiał nosowy głos Johna Fogerty’ego i tradycyjne brzmienie gitar Creedence Clearwater Revival.

– To najlepsza wersja *Proud Mary*.

– Bez dwóch zdań.

– Śpiewa jak czarny, śpiewa, jakby był Bogiem, ja pierdzielę... To dlatego nigdy się nie ożeni!³⁵

Conde spojrział na Carlosa, ale Chudzielec bez zbędnych słów wsunął w otwór płyte, która po naciśnięciu przycisku została wchłonięta do środka, po czym włączył odtwarzanie.

To był pomysł Dulcicy: klasyczne urodziny w stylu Chi, jak twierdziła, bardzo modnym w Miami. Z wyjątkiem jubilatek i Condego pozostali goście, ze starą Josefina włącznie, zajęli wszyscy razem z jazzotem klaksonów, jedni wynajętym przez Dulcitę autem, drudzy kabrioletem Yoyiego. Wkroczyli do domu, z balonikami w rękach, papierowymi czapeczkami na głowach, bukietami kwiatów i tortem zwieńczonym pięćdziesięcioma dwiema płonącymi świeczkami. Weszli, śpiewając *Happy Birthday to You*. Urodzinowy cake składał się z dwóch części: jednej z błękitną bezą dla Tamary i drugiej z fioletowym kremem dla Aymary. Przez środek biegł nieodzowny biały napis „Wszystkiego najlepszego”, tym razem z cyfrą dwa na końcu, co oznaczało podwojenie życzeń.

Candito, Królik i Yoyi pod czujnym spojrzeniem Josefiny – również odświętnie ubranej na tę okazję, z czapeczką urodzinową i zawieszonym na szyi gwizdkiem – zajęli się wyładowaniem przygotowanego przez starszkę prowiantu: pieczonego udźca wieprzowego; potrawki z czarnej fasoli i ryżu skąpanej w aromatycznej toskańskiej oliwie; lubieżnie rozchylonych bulw manioku przyprawionych gorzką pomarańczą, czosnkiem i cebulą; sałatki z wielobarwnymi kwiatami. Na koniec zostawili butelki czerwonego wina, piwa, rumu i nawet sok – tylko jeden, cytrynowy, w guście Josefiny – „...bo to nie dzień na geriatryczne pedalstwa”, jak oznajmił Chudzielec.

Gdy już nakryto do stołu, Dulcita poleciła Królikowi i Luisie serwować dania, których jednak nikt nie tknął, nadszedł bowiem czas toastu. Z torby wyjęła dwie niewiarygodne butelki dom pérignon, a z barku Tamary dziedzictwo po przodkach – kieliszki Baccarat, najbardziej stosowne do szampana. Nawet Candito, zagorzały abstynent, nie odmówił łyka musującego napoju, gdyż wiedział, że jest świadkiem epokowego wydarzenia. Cudu niemal.

Kiedy już każdy trzymał kielich w ręce, Carlos postukał widelcem w szkło, nakazując ciszę, i wszyscy zamilkli. Poprosił, by napełniono i postawiono na stole jeszcze jeden kieliszek. Dopiero wtedy, z wyżyn wózka inwalidzkiego, na który był skazany przez ostatnie dwadzieścia lat życia, rozpoczął przemówienie.

– We wrześniu siedemdziesiątego pierwszego sześcioro spośród tu obecnych plus jeden nieobecny i to dla niego jest ten kieliszek – wskazała wytworną szampankę na stole – zaczęło podążać nieznanym szlakiem, pełnym wykrotów, a nawet przepaści, najpiękniejszą drogą, jaką może kroczyć ludzka istota: drogą przyjaźni i miłości. Trzydzieści siedem lat później fizyczne wraki, ale i niezniszczalne dusze tych siedmiu wspaniałych spotkały się tutaj, żeby świętować trwałość miłości i przyjaźni. Wiele przeszliśmy przez te lata. Jeden z nas przypatruje się nam z daleka i słucha, wiem, że tak jest. Pozostała szóstka,

jedni bardziej, inni mniej zdołowani, zebrała się tutaj, chociaż czasem pałętamy się tu i ówdzie. Jedni stali się tym, o czym marzyli, drudzy zaś tym, co narzuciło im życie i czas. Jak sekciarze, choć z tendencjami do demokracji, zgodziliśmy się nawet, zgrzytając zębami, ale jednak się zgodziliśmy, na późniejsze nabytki, które nas wzbogacają. Dlatego też dzisiaj dzielę z nami tę historię, nasze tęsknoty i nasze radości tacy przyjaciele jak Luisa i Yoyi, już nieodzowni, choć nieodwołalnie skazani na rangę szeregowców bez możliwości awansu... trudno, wybaczenie... Ponadto, chylę czoło, jest wśród nas ktoś, kto częstokroć ratował nas od śmierci głodowej i od skrętu kiszek... moja matka.

Spontaniczne oklaski, gwizdy i okrzyki na cześć Josefiny. Kolejna prośba o uwagę ze strony Carlosa.

– Jak już mówiłem, mamy to ogromne szczęście, że mogliśmy się dziś spotkać, by świętować, jeść, pić i przekonać się, żeśmy nie popełnili błędu, gdy się wzajemnie wybraliśmy, zdecydowali pokochać i poddać próbie przyjaźni. Dzisiejszy dzień jest szczególny i dlatego szczególnie jest także ten toast, który wypijemy dom pérignonem, nie wyłączając Candita, a nawet nieobecnego Andresa, który też musi wypić... i wypije, bo jest z nami duchem. Ponieważ dzisiaj, kiedy świętujemy urodziny bliźniaczek, właśnie dzisiaj, mój przyjaciel od serca Mario Conde wypowie słowa, które wymarzył sobie trzydzieści siedem lat temu i których wysłuchamy teraz, wszyscy, na szczęście, wciąż jeszcze po tej stronie...

W tym momencie zadzwonił telefon i Carlos poprosił Królika, żeby odebrał. Królik zapytał, kto mówi, i uśmiechając się szeroko, włączył tryb głośnomówiący.

– A co takiego, kurwa, powie Conde? – Głos Andresa w telefonie doprowadził Tamarę do płaczu. – Niech to zrobi szybko, bo jeszcze nie złożyłem życzeń urodzinowych bliźniaczkom i nie wspomniałem Jose o lekarstwach, które jej wysyłałem...

– Conde – rozkazał Carlos.

Mario Conde przebiegł wzrokiem po wszystkich obecnych, nie wyłączając telefonu. Odstawił kieliszek na stół i podszedł do Tamary. Ujął oburącz jej dłoń i wypowiedział tak oczekiwane słowa, starając się, by zabrzmiały jak najmniej śmiesznie.

– Tamaro, czy odważysz się wyjść za mnie?

Tamara spojrzała na niego w milczeniu.

– O matko złota! – wyrwało się Josefynie, najbardziej przejętej tą sceną rodem z telenoweli.

– Co się dzieje, co się dzieje? – dopytywał się w słuchawce głos Andresa.

– Tamara się zastanawia! – krzyknął w stronę telefonu Królik. – Każdy na jej miejscu długo by się zastanawiał.

Tamara uśmiechnęła się i wreszcie przemówiła.

– Mario, mówiąc szczerze, za nikogo nie chcę wychodzić... – Jej słowa zaskoczyły obecnych i wszyscy w napięciu czekali na jakieś wyjaśnienie albo katastrofę. – Ale skoro już o tym mówisz, sądzę, że jeśli miałabym za kogoś wyjść, to tylko za ciebie.

Wiwaty, brawa, okrzyki ja chromołą, niezła sztuka z tej Tamary. Narzeczeni całowali się z poczuciem ulgi, że wyszli z tarapatów, reszta wzniosła kieliszki, a Carlos, przewidując to, co miało nastąpić albo i nie, ciskał garście ryżu ze swojego wózka inwalidzkiego.

– Wszystkiego najlepszego, Tamaro. Wszystkiego najlepszego, Aymaro – rozległ się głos Andresa. – Jose, w najbliższym czasie prześlę ci nowe lekarstwa na krążenie, są świetne. Na karteczce napiszę, jak masz je brać...

– Dziękuję, synuś! – krzyknęła do telefonu Josefina.

– Conde – mówił dalej Andrés – Elias Kamiński kazał ci przekazać, że niedługo zadzwoni.

– Już dzwoni! – odkrzyknął Conde. – Jakiś plotkarz uprzedził go o tym, co tu się teraz dzieje...

– Ach, tak? Chyba nie myślisz, że to ja...? – Andrés parsknął śmiechem. – Jak by to powiedzieć, Conde... Dobra, zmywam się, buuuuuuuuużka – rzucił z oddali na pożegnanie, a klik w słuchawce przerwał połączenie i strumień wydawanych dolarów.

Wówczas Yoyi podszedł do Tamary.

– Takie oświadczyzny – wyjął z kieszeni małe pudzderko – zasługują na taki klejnot... Oto mój prezent ślubny.

I wręczył jej pierścionek. Spojrzała zaskoczona na ów hojny podarek, jakby go nigdy wcześniej nie widziała, a potem w typowo kobiecą przedmałżeńską dumą pokazała go wszystkim obecnym paniom. Modelowa scena w duchu najbardziej wyrafinowanej, klasycznej estetyki Chi.

– Czy mi się śni, czy cały ten śmieszny, porąbany szajs dzieje się naprawdę? – zapytał Candita Conde, obserwując kobiety w papierowych czapeczkach, kieliszki szampana, pierścionek i ceremonię składania życzeń.

– Chyba jednak naprawdę... A wiesz, co jest najgorsze?

– Może być coś gorszego? Przecież Tamara nawet nie powiedziała, że chce za mnie wyjść...

– Owszem, powiedziała... Na swój sposób. Najgorsze, Kondeuszu, że to nieodwracalne. Masz przesrane, brachu, już się nie wykręcisz...

Przebudzenie było jednym wielkim koszmarem, na który w pełni sobie zasłużył: pulsowało mu w skroniach, czuł mrowienie w karku, czaszkę rozsadał ból. Nie miał odwagi, by wymacać okolice wątroby, w obawie, że ten zdesperowany przedawkowaniem organ opuścił jego ciało. Kiedy przezwyćżając katusze, zdołał otworzyć oczy, stwierdził, że spał w butach i ubraniu. Po drugiej stronie łóżka Tamara, z pierścionkiem na palcu, sprawiała wrażenie martwej. Nawet nie chrapała. Mieszanka wybuchowa złożona z szampana, wina, rumu i likieru doprowadziła do reakcji jądrowej i totalnego spustoszenia organizmu, z ośmieszeniem jako skutkiem ubocznym. Narzeczeni płacili teraz cenę za nocne ekscesy.

Conde, niczym ciężko ranna postać z kiepskiego filmu gangsterskiego, dowlókł się do łazienki, zepijając się ścian. Sięgnął do szafki z lekarstwami, łyknął dwie pyralginy i popił wodą z kranu. Z trudem zrzucił z siebie ubranie, a potem, wspierając się o obmurowanie prysznicza, wszedł pod strumień lodowatej wody. W ciągu dziesięciu minut woda zdołała obmyć jego ciało i zmywalne części duszy.

Starannie wytarł głowę, poszperał w kieszeni rozwłóczonych spodni, wyjął słoiczek z chińską maścią i posmarował skronie, czoło i kark. Odczekał, aż ciepło balsamu zacznie wnikać w jego ciało, narzucił ręcznik na ramiona i z przyroddeniem na wierzchu udał się do kuchni, żeby przyrzędzić sobie kawę. Usiadł przy stole w oczekiwaniu, aż specyfik zadziała, choć wiedział już, że niebawem nadciągnie armia wezwana na pomoc w zwalczaniu bólu głowy. Kiedy wypił kawę, poczuł się znacznie lepiej, ale papieros wywołał atak kaszlu jak u jaskiniowca, więc Conde zgasił go natychmiast, żeby uniknąć encefalicznych zawirowań. Starzeje się, żalił się półgłosem, a utwierdził go w tym mniemaniu widok zwisającego penisa, porośniętego siwymi włoskami.

Dopiero wtedy uświadomił sobie rozmiary domowej katastrofy z poprzedniej nocy. Doprowadzenie do ładu kuchni i jadalni było zadaniem dla tytanów. Czy tu jadło i piło dziewięć czy dziewięćdziesiąt osób? Jego pierwszą i naturalną reakcją było wrócić do łazienki, ubrać się i czym prędzej wziąć nogi za pas. Przeszkodziło temu dziwne, niewypowiedziane poczucie odpowiedzialności. Mimo ospałego działania mózgu uprzytomnił sobie nieobliczalność takiego zachowania i ogarnęła go panika. Czy to możliwe, że z dnia na dzień stał się innym człowiekiem? A może teraz ma największego w życiu kaca? Czyżby to były alarmujące oznaki wkroczenia w trzeci wiek? Każda kolejna odpowiedź wydawała się gorsza. Candito jak zawsze miał rację.

Zajrzał do sypialni i stwierdził, że Tamara nadal wygląda jak nieboszczka, ale już chrapie. Z drugą filiżanką kawy w ręce spróbował raz jeszcze zapalić papierosa, którego łąknęło jego ciało. Tym razem kaszel nie wrócił i Conde wreszcie znów poczuł się jak człowiek. Inny człowiek. Włożył bowiem fartuch Tamary i z odsłoniętym tyłkiem zaczął zmywać naczynia z taką samą pasją, z jaką niektórzy wierzący odbywają pokutę, świadomi, że robią to, aby się zdołować, pokajać, ukarać. Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina... I zmywał dalej.

Dwie godziny później zmartwychwstała Tamara, zachwycona obowiązkowością swojego domniemanego męża, ucałowała go, pogłaskała po nagich pośladkach, co przeszło go dreszczem, i zapewniła, że zajmie się uporządkowaniem znów lśniących filiżanek, kieliszków i sztućców. Conde, zadziwiony samym sobą, wrócił do łazienki po rzeczy, ale przedtem przystanął przed lustrem, kontemplując własną postać w fartuchu i z zadkiem na wierzchu. Żałosne, patetyczne i nieodwracalne, skonkludował.

Poczuł nagły impuls wypływający jakby z tego samego źródła co ów niestosowny patos, podszedł do telewizora i włożył do odtwarzacza DVD kasetę z *Łowcą androidów*, którą kilka dni temu zabrał z pokoju Judy. Zajęty własnymi utrapieniami, kompletnie zapomniał o zaginionej emce i o planowanym telefonie do Manola, ale nieoczekiwana potrzeba ponownego zagłębienia się w ten mroczny, deszczowy film uzmysłowiła mu, że jego niepokój cały czas tkwił gdzieś pod powierzchnią i teraz znów wypłynął na wierzch. Choć obsesyjnie nękała go myśl, że wyczerpał już wszystkie pomysły i nie wie, w jakie jeszcze drzwi zastukać, by choć trochę zbliżyć się do Judy, śledził w napięciu historię polowania na replikantów (nieźle się prezentują, przyznał, oczarowany urodą Sean Young i Daryl Hannah), którzy odkrywają, że są żywymi istotami, i pragną zachować ów niezwykły dar, wzbroniony im przez demiurga. Kiedy pod koniec ostatni z nich zęgnął się ze światem, Conde miał wrażenie, że fragment filmowego dialogu, który zawładnął jego pamięcią, wzbudził w nim dziwny rezonans i poruszył do głębi, niczym jedno z jego bolesnych przeczuć: „Widziałem rzeczy, którym wy, ludzie, nie dalibyście wiary. Statki szturmowe w ogniu sunące nieopodal Ramion Oriona. Oglądałem promieniowanie skrzące się w ciemnościach blisko Wrót Tannhäusera. Wszystkie te chwile zostaną utracone w czasie jak łzy w deszczu. Pora umierać”.

Lament ów, posępnie dźwięczący mu w głowie, Mario Conde odniósł do siebie. Wyszedł na patio domu, który prawdopodobnie będzie niebawem także jego domem, i pod drzewem awokado, obsypanym zielonymi owocami o błyszczącej skórce, która obiecywała smakowity miąższ, usiadł i czekał, paląc papierosa. Tym razem nie myślał już o tym, że Śmieć II zdewastuje to sielskie otoczenie... Miał bowiem pewność, że jeśli przeczucie go nie myli, tak właśnie będzie. Dlatego też, kiedy Tamara wychyliła się z okna i krzyknęła, że dzwoni Manolo, ekspolicjant wiedział, że nadeszła jego godzina. *It's time to die.*

Stojąc w oknie, palił papierosa i przyglądał się panoramie, która z tego dystansu i wysokości zdała mu się nijaka. Widział zielone pasmo pseudoszlachetnych wawrzynów i wróble przemykające pojedynczo lub parami pomiędzy liśćmi. Powędrował wzrokiem dalej, ponad domy zwieńczone antenami, gołębnikami i sznurami z suszącą się pościelą, tak spraną, że aż przezroczyście. Jak przed laty czuł przedsmak morza, które w czerwcowym słońcu zapewne lśniło magnetycznym blaskiem. Chociaż widok za oknem prawie się nie zmienił, Conde wiedział, że to wrażenie jest mylące. Wszystko jest w ruchu. Nie raz ku przepaści: to także zostanie utracone w czasie jak łyż w deszczu.

Manolo wrócił do biura; w ręce miał teczkę, a na twarzy cień skrajnego wyczerpania.

– Zgaś tego cholernego papierosa, tu nie wolno palić.

– Wał się, Manolo. Będę palił dalej – odparł Conde. – Jak chcesz, możesz mnie aresztować.

Manolo pokręcił głową i usiadł za biurkiem. Otworzył teczkę i wyjął z niej zdjęcie, które podsunął Condemu.

Na trawie, u stóp splekanego pnia drzewa, leżały skotłowane czarne spodnie i bluzka, a obok coś, co Conde uznał za noszone przez emo pasiaste żarękawki, na których widać było ciemne plamy. Szkarłatne?

– Dawaj następne – zażądał Conde.

Manolo podał mu dwie czytelne fotografie. Na pierwszej widniał skrawek porośniętego chwastami pola, pośrodku którego czernił się otwór studni. Na trzeciej i ostatniej, na tym samym zachwaszczonym spłachetku ziemi, na plastikowym worku leżały rozkładające się, opuchnięte, nadgryzione przez mrówki i inne robactwo zwłoki tej, która kiedyś była Judith Torres. Conde przez kilka minut przyglądał się w milczeniu temu wizerunkowi śmierci, po czym upuścił zdjęcia na biurko. Był przybity i czuł się niepotrzebny.

– A więc nigdzie nie wyjechała... A może tak. Niech to szlag i wszyscy diabli...! Opowiadaj – zwrócił się do majora Palaciososa.

– Kilka dni temu jakiś mężczyzna, który w pobliżu uprawia ziemię, zauważył krążące sępy. Przeszukał teren, ale niezbyt dokładnie, bo przypuszczał, że znalazły jakąś padlinę, i w końcu zrezygnował.

– Gdzie to jest?

– Przy wyjeździe z Cotorro, jakieś dwa kilometry Carretera Central. To prawie bezлюдna okolica...

– Jak, do diabła, ta dziewczyna tam się dostała? Zauważyłeś, że była naga, ale na nogach miała converse'y?

Manolo przytaknął i sięgnął po paczkę papierosów Condego. Wziął jednego do ręki, przyjrzał mu się i niezapalony odłożył na miejsce.

– Wczoraj pod wieczór ten sam mężczyzna, po powrocie z pracy, poszedł tam jeszcze raz i znów zaczął szukać. Przypomnił sobie, że niedaleko jest nieużywana studnia. Kiedy tam poszedł, uderzył go smród gnijącego ciała... i znalazł ubranie. Uciekł stamtąd i zadzwonił na policję. Cholernie trudno było ją wyciągnąć. Ta studnia ma z dziesięć metrów głębokości. Zaszlepił ją wiele lat temu...

– Jakie są wyniki sekcji? Znalaziono ślady narkotyków?

– Jeszcze nie skończyli, widziałeś, w jakim stanie są zwłoki. – Manolo zdecydował się w końcu i przypalił papierosa zapalniczką ukrytą w szufladzie biurka. – Ale wiadomo już, że zmarła z upływu krwi.

– Krwotok został spowodowany upadkiem?

– I tak, i nie. Kiedy dziewczyna padła do studni, była jeszcze żywa. Ale już przedtem straciła mnóstwo krwi. Na obu ramionach miała podłużne nacięcia, podobne do okaleczeń widywanych u samobój-

ców. I bardzo głęboką ranę na potylicy, być może spowodowaną upadkiem. Niewykluczone, że też przedśmiertną.

– Od jak dawna nie żyje?

– Od dwunastu do piętnastu dni. Niełatwo będzie to ustalić. W ostatnich dniach panował upał, kilkakrotnie padało, a temperatura w studni podnosi się i opada wolniej niż na powierzchni, poziom wilgotności...

– Coś mi tu nie gra – wyszeptał Conde, ubolewając nad fatalną kondycją fizyczną swojego umysłu. – Najpierw się pocięła, a potem rzuciła do tej studni głową w dół?

– Możliwe. Jeszcze badają wszystko, co tam znaleźli. Bo na ubraniu Judy są ślady krwi dwóch osób.

– O, kurwa, Manolo...! – wykrzyknął Conde, kiedy usłyszał wiadomość, która mogła zburzyć całą jego hipotetyczną konstrukcję.

– Przecież ci mówię, stary! Jedne to...

– Jedne należą do Judy. A drugie?

– Do kogoś, kto musiał tam z nią być. Bóg raczy wiedzieć, jak ta krew znalazła się na jej ubraniu. To nie wygląda na samobójstwo.

– Ale była naga. Dlaczego...? Czym pocięła sobie ramiona?

– Skalpelem... Szukali go na dnie studni, ale znaleźli przy ubraniu. Są na nim plamy krwi, ale brak odcisków palców. Jeśli nawet tam były, zmył je deszcz.

Umysł Condego pracował na pełnych obrotach, by poskładać kolejne dowody w logiczną całość.

– Co jeszcze znaleźli?

– Tę kartkę.

Manolo otworzył teczkę i wyjął z niej plastikową koszulkę chroniącą kawałek papieru, który kiedyś był biały. Podał ją Condemu, a ten przeczytał: „Niegdyś spoglądała dusza wzgardliwie na ciało; naonczas była ta wzgarda czymś najwyższym; chciała mieć dusza ciało chudym, wstrętnym, zagłodzonym. Mniemała, iż się ciała i ziemi tak oto umknie”²⁶.

– Tako jej rzekł Zarastustra... Ale nie wiem, czy to pożegnalny list samobójcy... Cały czas robiła zapiski, notowała cytaty z książek.

– To było w kieszeni spodni, razem z dowodem osobistym, w plastikowym etui. Nie miała przy sobie nic poza tym, nawet pieniędzy...

– Nie było pieniędzy?

– Nie, na pewno. Mężczyzna, który znalazł ubranie, zobaczył, że jest poplamione krwią, i w ogóle go nie dotykał.

– Ukradła pieniądze swojej babci. Pięćset dolarów.

– Tego śledczy nie wiedzą. Nikt im o tym nie mówił...

– To już jakiś trop.

– Tak, pieniądze... – Manolo zapisał coś w swoim obskurnym notesie.

Conde z kolei próbował przemyśleć tę informację i dopasować do tego, co już wiedział.

– Ile czasu potrzebuje laboratorium na zbadanie DNA?

– Pięć dni.

– Pięć dni? Manolo, do cholery...

– Stary, to nie CSI, to Kuba, inny świat... Jak byłeś policjantem, nie robiono jeszcze badań DNA, a i tak rozwiązywano sprawy. Będą kontynuować śledztwo, czekając na wyniki. Ale u nas nie ma banków DNA, więc próbka tej drugiej krwi nie przyda się na wiele. Chyba że porównamy ją z próbką podejrzanego i będzie pasować.

Conde niechętnie kiwnął głową.

– Nie da się odszukać odcisków palców, śladów stóp, resztek krwi?
– Już ci mówiłem, że minęło sporo czasu i wszystko zmył deszcz. Nawet nie można dokładnie ustalić, od jak dawna nie żyje.

Conde sięgnął po paczkę papierosów, zapalił jednego i zapatrzył się w widok za oknem.

– Szkoda, że nie wsiadła na tratwę... Mogłaby żyć... Coś mi tu śmierdzi.

– Uważasz, że ktoś posznutował jej ramiona, zdarł ubranie i wrzucił ją do studni? Ten ktoś zabrał pieniądze, o ile miała je przy sobie tamtego dnia, ale zostawił ubranie, poplamione być może jego własną krwią, i dowód osobisty Judy?

– Tak, zastanawiam się nad tym.

– Jeżeli ktoś to sfingował, to dlaczego spartaczył robotę, zostawiając ubranie, dokument i skalpel?

– Ktoś, kto wpadł w panikę, kiedy stało się to, co się stało. Ktoś, kto nie zamierzał jej zabić, ale to zrobił... Nie wiem... Ważne, żeby lekarz sądowy sprawdził, czy Judy faktycznie była dziewicą, czy też odbyła stosunek... tuż przed śmiercią.

Manolo westchnął. Gwałtownym gestem, rozczapierzając palce, podrapał się po głowie.

– Conde... daruj sobie, lekarze sądowi znają się na swojej robocie...

– Zastanawia mnie ten Włoch Bocelli... Jakoś nie mogę pojąć, że facet jego pokroju robił za bezinteresownego przyjaciela osiemnastoletniej dziewczyny...

– Ja też nie, ale... – Ton głosu Manola nabrał twardości. – Słuchaj, zadzwoniłem do ciebie z wiadomością, że Judith Torres nie żyje. – Przerwał, spojrzawszy przez okno i powziął decyzję. – Daj mi fajkę.

Conde podsunął mu paczkę. Manolo zapalił i wypuścił kłęb dymu.

– Zadzwoniłem do ciebie, żeby ci powiedzieć, że badamy wszystkie ślady... Ale także po to, żeby cię przestrzec. Proszę, posłuchaj mnie uważnie. – Palcami wskazującymi dotknął uszu, by zaakcentować swoje żądanie. – Od tej chwili nie wolno ci się w to wtrącać. To już nie jest dziewczyna, która zaginęła, uciekła z domu czy co tam jeszcze. Teraz to denatka i dopóki nie udowodnimy, że popełniła samobójstwo, będzie trwało dochodzenie kryminalne. Każde zakłócenie śledztwa może spieprzyć sprawę, o czym świetnie wiesz. Przyjaciółka Judy poprosiła cię, żebyś odnalazł tę dziewczynę, o to samo prosiła rodzina... Zrobiłeś, co było w twojej mocy, ale się nie udało, bo zaginiona już wówczas nie żyła. Od tej chwili trzymaj się z daleka od tej sprawy dla dobra śledztwa i ujawnienia prawdy. Musimy postępować z największą ostrożnością... Dobrze wiesz, o co cię proszę, i jesteś świadomy, że na własną rękę niczego więcej nie zdziałasz.

Conde stanął przy oknie, odwrócony plecami do majora Palacios. Jako były detektyw wiedział z własnego doświadczenia, że żaden argument nie jest w stanie podważyć żądań Manola. Ale nie był zadowolony.

– Jeśli pojawi się coś nowego – ciągnął Manolo – jeśli znajdziemy jakiś ślad albo ustalimy, czy to było morderstwo, czy samobójstwo, dam ci znać. Ale dobrze wiesz, że gdy tylko włączysz się w dochodzenie, a centrala się o tym dowie, najpierw ja za to oberwę, a potem skopią tyłek tobie. Jasne? Koniec zabawy w prywatnego detektywa...

Conde odwrócił się i spojrzawszy na swojego dawnego podwładnego.

– Kto zawiadomi rodziców?

– Szef Biura Śledczego i kapitan prowadzący śledztwo. Już tam pojechali.

Conde pomyślał o Yadine, Fredericu, Yovany, nauczycielce Anie Marii. Nie, nie powie im, co się stało. W swoich policyjnych czasach nigdy nie lubił tej kłopotliwej misji.

– Będę przesłuchiwany?

– Na pewno. Zbiorą zeznania na twój temat od jej ojca, matki i babci. To, co wiesz, może pomóc w śledztwie.

– A Frederic? A Yovany? A profesorka...? A Yadine? Wszyscy będą przesłuchiwani?

- Tak. Muszą zeznawać. I mocno ich docisną...
- Co za gówno, prawda?
- Manolo zaciągnął się dymem.
- Jedno wielkie gówno – przyznał.

Śmieć II był bardzo niezadowolony, że Conde od kilku dni prawie wcale nim się nie zajmował. Żeby go udobruchać, ekspolicjant powiedział kilka słów przeprosin i podał mu miskę pełną luksusowych resztek z poprzedniego wieczoru. Ale wygłodniały pies odwrócił się tyłem do swojego pana i zajął własnymi sprawami.

Conde znów poczuł dotkliwy ból głowy, wiedział jednak, że nie jest to skutek kaca. Mimo że minęła już pora obiadowa, nie miał ochoty na jedzenie. Postanowił wzmocnić zdewastowany żołądek kolejną pyralginą, obficie natarł skronie i czoło chińską pomadą i po włączeniu wentylatora zwałił się na łóżko, przypominające raczej opuszczone gniazdo niż posłanie. Nawet nie spojrzął na usypiającą, astmatyczną powieść, którą zawsze miał pod ręką.

Głębokie zmęczenie przenikało jego ręce, ramiona, nogi. Czuł pustkę w piersi, całkowity bezwład uniemożliwiający jakikolwiek wysiłek ciała lub umysłu. Miał wyrzuty sumienia, że nie odnalazł drogi, która mogła doprowadzić go do Judy, a świadomość tego, że kiedy Yadine prosiła go o pomoc, nic już nie można było zrobić, nie przynosiła mu żadnej pociechy. Za to prześladowała go myśl o makabrycznej grze, w jakiej mimowolnie uczestniczył, kiedy zajmował się książkami, pieniędzmi, pierścionkami, słubami, urodzinami i zaginionymi obrazami, podczas gdy ciało tej dziewczyny, która tak bardzo marzyła o wolności we wszystkich jej przejawach i na wszelkie sposoby próbowała ją osiągnąć, gniło w wyschniętej studni, wcześniej zaś ona sama musiała patrzeć, jak jej krew i osiemnastoletnie życie wsiąkają w ziemię. Z jej własnej woli?

Conde nigdy nie potrafił pojąć, jak młoda osoba może targnąć się na swoje życie, chociaż wiedział, że takie rzeczy się zdarzają. Ale w wypadku Judy to, co z natury niepojęte, przybrało wymiar iście tragiczny: ciągłe rozmyślanie o śmierci, igranie z nią, nienawiść do życia i ciała, które je podtrzymywało, utworowały być może tę absurdalną drogę. Czy Judy naprawdę wierzyła w reinkarnację? Czy rzeczywiste sądziła, że to jest jakieś rozwiązanie? Nicość jako forma wyzwolenia? Nie była świadoma, że nawet replikanci nie chcieli umierać, gdy już posmakowali cudu istnienia, ulotnego, lecz przecież realnego daru myślenia, nienawidzenia, kochania? Nie. Judy, jak o sobie mówił Frederic, mogła być emo, ale nie była obłąkana. A może? Jeżeli się zabiła, musiała mieć ku temu powód, ważny powód – znacznie ważniejszy od flirtu z autodestrukcyjną filozofią albo rezygnacji z przynależności do emo. A nawet gdyby ktoś ją przywiódł do tego czynu, niczego by to nie tłumaczyło: wyjaśnieniem mogły być jedynie ukryte motywy zbrodni. Ale kto mógł podjąć ryzyko zamordowania Judy? Czemu ukrył ciało, a pozostawił na widoku zakrwawione ubranie, które mogło zdradzić sprawcę lub przynajmniej wskazać policji jakiś trop? Jeżeli winny był ten Bocelli, to w jakim celu upozorował samobójstwo...? A co z pieniędzmi? Czy tamtego dnia miała je przy sobie? Im intensywniej pracował jego nieszczyśny i zbolący umysł, tym bardziej Conde dochodził do wniosku, że jakaś część układanki nie pasuje do całości, którą z takim mozołem złożył z różnych twarzy Judy, odtworzonych w wyniku prywatnego śledztwa... Straciła życie, z własnej woli albo z ręki mordercy, a jej odejście z tego świata musiało mieć związek z tym, że chciała być wolna. I tylko to było dla Condego rzeczą pewną. A dla Judy prawdopodobnie jedyną ważną. Znaleźnienie sprawcy nie przywróci jej do życia, do rodziny, niespokojnych lektur, żarliwych poczynań. I nigdy już Judy nie osiągnie wymarzonej nirwany. Chyba że w następnym wcieleniu. A może właśnie teraz zyskała pełnię wolności?

W którymś momencie, pod wieczór, zmęczenie fizyczne i umysłowe pokonało Condego. Jak często mu się to zdarzało wcześniej, czuł, że wślizguje się w senność i w onirycznym widzeniu odnajduje obraz swojego dziadka Rufina. Jednak tym razem staruszek objawił mu się wyraziście i przekonująco, jak

żywy, jakby to nie był sen. Przybył, żeby podnieść go na duchu, przypominając ukochanemu wnukowi, że w sumie świat zawsze był i będzie areną walki kogutów.

W miarę jak starzał się nieubłaganie i w przerażającym tempie, Mario Conde miał mnóstwo okazji, by się przekonać – dzięki swoim snom, jak tego wieczoru, i za sprawą niezliczonych przykładów płynących z namacalnej rzeczywistości – że od dziadka właściwie nie nauczył się niczego. Nie mógł przy tym wytknąć owego pedagogicznego zaniedbania Rufinowi de Conde, który nie szczędził rad, praktycznych wskazówek i nauk, niekiedy wręcz metafizycznych, by przysposobić wnuka do trudnej sztuki życia. Odkąd chłopiec nauczył się korzystać z rozumu, dziadek rozpoczął skrupulatne, niemal sokratejskie szkolenie, zabierając go do zagród, w których hodował i trenował swoje zwierzęta, i na areny walki kogutów, kiedyś legalne, a teraz rewolucyjnie i socjalistycznie zakazane. Na otoczonych barierkami okrągłych placach, imitacjach cyrku rzymskiego, wysyłał w bój swoich drapieżnych podopiecznych i obstawiał zakłady.

Słuchając dziadka i odpowiadając na jego nieustające pytania, miał jedyną w swoim rodzaju sposobność, by poznać bezkompromisową filozofię praktyczną, wyznawaną przy każdej okazji przez bardzo już sędziwego Rufina de Conde. Staruszek okraszał swoje nauki chwalebnyimi sentencjami, jak „ciekawość to pierwszy stopień do piekła” (o czym wnuk przekonał się na własnej i cudzej skórze) albo „wiem tylko, że należy grać jedynie wtedy, gdy jest się pewnym wygranej, a jeśli nie, lepiej sobie odpuścić”. Tę ostatnią maksymę wygłaszał zwykle na parę minut przed rozpoczęciem walki, której wynik był niepewny. Wypowiadając ową przestrożę, nacierał najbardziej nieprawdopodobne części swojego ciała i ubrania odrobiną wazeliny z dodatkiem pieprzu lub ostrej papryki, po czym z wprawą prestidigitatora w niezauważalnych, choć skutecznych dawkach smarował tym w ostatniej chwili pióra swojego koguta, by osłabić przeciwnika i pozbawić go tchu. Grać, żeby wygrać.

– To dodatkowe wsparcie należy zastosować w ostatnim momencie, rozumiesz? – pouczał wnuka z wysokości drewnianego zydła ów syn Kanaryjczyka, który zbiegł na Kubę, gdy jeszcze trwała tak zwana epoka Hiszpanii. – Chodzi o to, żebyś sam rozwinął swoje zdolności, tak jak przygotowuje się koguta: cechy odziedziczone po rodzicach to podstawa, ale trzeba się napracować, by zrobić z niego perfekcyjną maszynę. A to znaczy, że musisz go nauczyć, żeby nie dał się wydymać innemu kogutowi... Rozumiesz, synku? Pytam, czy rozumiesz, bo to ważne, żebyś się tego nauczył: w życiu trza tak postępować, jakby się było kogutem... A wiesz ty dlaczego? – nalegał i na tym etapie przemowy słuchacz, nawet jeśli świetnie rozumiał i znał odpowiedź, bo słyszał ją już setki razy, powinien wzruszyć ramionami i pokręcić głową, gotowy na niespodziankę i objawienie. – Bo świat to pieprzona arena walki kogutów, na którą się wchodzi, żeby wykończyć tego drugiego, bo stamtąd wychodzi tylko jeden z piórami na swoim miejscu: ten, co nie dał się wydymać – kończył Rufino i dodawał: – A cała reszta to pic na wodę.

Mario Conde w roli koguta poniósł całkowitą klęskę. Być może dlatego, że choć miał takiego dziadka i pradziadka, dostały mu się jakieś wadliwe geny. Przede wszystkim brakowało mu ostróg i był zbyt delikatny, jak słusznie powiedziała przed laty pewna kobieta. A poza tym nie potrafił posługiwać się ani dziobem, ani skrzydłami, bo był sentymentalnym dupkiem, jak słusznie zwykł o sobie mówić. Nie z powodu przypadku czy fatum, lecz z winy oczywistych ułomności jego dusza nosiła liczne razy po ostrogach, dziobach i kopniakach w tyłek, które zaliczył na przestrzeni lat. Te ciągi były tak nagminne, że gdyby to widział jego dziadek Rufino de Conde, z miejsca by pozbawił go nazwiska, a może nawet skreśliłby mu kark, jak tym pisklętom, które wolał wrzucić do garnka niż wypuścić na arenę, bo już na pierwszy rzut oka wiadomo było, że są bez szans w walce, jaką jest życie.

W kraju, który z każdym dniem stawał się otoczoną wysokim murem areną, gdzie uprawiano dziwną dyscyplinę, w której wiele kogutów walczy ze sobą, a jeden usiłuje wyszarpać coś drugiemu, Conde czuł się jak marionetka nieudolnie uchylająca się od ciosów i desperacko szukająca schronienia w ja-

kiejś szparze, żeby przeżyć. Najgorsza była świadomość, że na te wady nie ma lekarstwa: jego przeznaczeniem na arenie życia było obrywanie cięgów, nawet tych całkiem przypadkowych.

Gdyby potrafił się modlić, w swojej powszedniej rzeczywistości lub w rozciągliwym świecie snów, zmówiłby pacierz za nieśmiertelną duszę Judith Torres. Ale ponieważ nie było mu to dane, życzył jej tylko szczęścia w drodze ku następnemu ziemskiemu przystankowi. Może odnajdzie się w jakimś miejscu i czasie, gdzie życia nie ogranicza opresyjne ogrodzenie areny kogucich walk.

Wyboru dokonała za niego nieprzeparta fala nostalgii: bezwiednie zdecydował się na miejsce, gdzie Paseo del Prado zatracą się niczym zwiedły kwiat i łączy z porywistym Maleconem. Dwadzieścia lat wcześniej Mario Conde, wówczas porucznik w Biurze Śledczym, umówił się na tym samym skrzyżowaniu z dramaturgiem Albertem Marquesem, aby rozpocząć fantasmagoryczną podróż przez hawańską noc homoseksualistów, podróz, która objawiła mu rozmaite strategie ocalenia i przetrwania tych ludzi, odrzuconych, zmarginalizowanych, a czasem nawet potępionych³⁷. Ów nocny obchód pozostawił w jego pamięci niezatarty ślad, co natchnęło go do wyznaczenia kolejnego spotkania w tym właśnie miejscu.

Czekając na majora Manuela Palaciosą, Conde starał się nie snuć żadnych domysłów. Fakt, że po pięciu dniach milczenia jego dawny kompan odezwał się i umówił na piwo, mógł mieć różne przyczyny. W każdym razie z przeprowadzonej parę godzin wcześniej rozmowy telefonicznej wynikało, że sześć dni po odnalezieniu zwłok Judith Torres policja nadal nie potrafi ustalić okoliczności jej śmierci.

W ciągu tych kilku dni Conde nieco odzyskał równowagę ducha. Policjny rozkaz, by trzymał się z daleka od dochodzenia w sprawie Judith Torres, oraz jego własna decyzja, żeby starać się nie myśleć o tej smutnej historii, zbiegły się ze sprzyjającymi okolicznościami, które kazały mu przerwać snucie planów wakacyjnych (w jego wypadku miało to być nieumiarkowane dolce far niente) i zamiast tego wziąć się do pracy i skupić na sprawach mniej bolesnych. Okazało się bowiem, iż Dyplomata, znajomy Yoyiego, zwiedziawszy się, że w bibliotece eksprywódcy znajduje się więcej kuszących perełek, polecił sporządzenie listy i orientacyjną wycenę książek, które starzec gotów był sprzedać. Jak było do przewidzenia, tę kłopotliwą, ale i zyskową misję, która wymagała postawienia w stan gotowości wszystkich pięciu zmysłów, Yoyi zlecił Condemu. Ten zaś, uznawszy, że wystarczy tych rozrywek, kategorycznie zakazał sobie wszelkich innych wątpliwych atrakcji, jakie przychodziły mu na myśl, choćby udziału w pogrzebie Judy albo rozmowy ze zropanzoną zapewne Yadine, a nawet odłożył na czas nieokreślony przekazanie Ricardowi Kamińskiemu wiadomości od Eliasza o procesie w sprawie obrazu Rembrandta.

Zdecydowany wytrwać w postanowieniu, że nie będzie odgadywał tego, co i tak mu powie (albo i nie powie) Manolo, Conde, przeszukując zakamarki pamięci, zajął się obserwacją otoczenia i ustaleniem, jak bardzo zmieniła się panorama dzielnicy od czasu owej odległej nocy, kiedy zdobywał gejowską wiedzę. Zniknęły resztki starego frontonu do gry w baskijską pelotę, a na jego miejscu wcale nie wyrósł nowy hotel, obiecany przez lata na reklamowym billboardzie; placyk przed starą fortecą La Punta, usytuowaną przy wejściu do zatoki, został odrestaurowany i teraz królował na nim pomnik Francisca Mirandy. Na parterze trójkątnego budynku u zbiegu Prado i odrażającej Calzada de San Lázaro otwarto bar, na który Conde zwrócił uwagę dzięki zarobionym w ostatnich dniach dolarom. Pozostałe elementy panoramy zastępyły w czasie, podobnie jak ich dramatyczne przestrogi: w pobliżu przechadzał się czatujący na kolejną zdobycz wzorcowy pedzio (który nawet nie spojrzął na Condego), przetrwały pseudoszlachetne wawrzyny niszczone przez sól i morski wiatr, dogorywające albo już martwe domy, ruiny starego hawańskiego więzienia i nieodgadniona zagadka w postaci pomnika poety Juana Clemente Zenei – na jego twarzy z brązu rzeźbiarz spróbował uwiecznić tragedię tego natchnionego barda, znieprawdzonego i uznanego za zdrajcę zarówno przez kubańskich patriotów, jak i hiszpańskie władze kolonialne, poety, który przeceniając własne siły, zuchwale zasiadł do politycznej gry w karty i skończył przed plutonem egzekucyjnym w fosie twierdzy La Cabaña po drugiej stronie zatoki.

Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy major Palacios wysiadł z samochodu i podszedł do Condego. Mając w perspektywie wypicie kilku piw, Manolo zamienił mundur na mocno sprany pulower bez rękawów nadający mu wygląd ekscentryka, jakim w istocie był.

– Co słyhać, brachu? – Podniósł dłoń na powitanie.

– Biedny facet – powiedział Conde, wskazując pomnik Zenei. – Wydawało mu się, że poeci mogą bać się w politykę. No i się przeliczył. Obrzucono go kalumniami, a potem wystawiono mu pomnik. Co za gówniany kraj...

– Widzę, że jesteś w dobrym nastroju, wręcz patriotycznym.

– Tak, na szczęście... Kiedy się wkurwię, mówię, że ten kraj to gówno do kwadratu. Chodź, usiądźmy tam w głębi.

Usadowili się przy najdalszym stoliku, na tarasie od strony Prado, gdzie swobodniej docierała morska bryza. Zamówili piwo, a na zakąskę domniemane krokiety z kurczakiem, które okazały się nawet jałdalne.

– Widać, że jesteś przy forsie – zauważył Manolo, nalewając jasne piwo do kufła.

– No, nie aż tak – zaprzeczył Conde, który zawstydził się, że ma pieniądze, choć znacznie częściej wstydził się, że ich nie ma.

– Tak czy inaczej uwzględnij mnie w testamencie.

– Masz to jak w banku. – Conde się uśmiechnął i pociągnął łyk piwa, a zaraz potem zaczął naciskać na Manola. – No i?

Ten westchnął.

– Lekarz sądowy stwierdził, że Judy prawie na pewno miała stosunek przed śmiercią. W pochwie zostały ślady po prezerwatywie. Kubańskiej.

– Co jeszcze?

– Nic. Nie ma oznak gwałtu, czyli odbyło się to za jej zgodą... W sumie jesteśmy na tym samym...

– I zadzwoniłeś do mnie tylko po to, żeby mi o tym powiedzieć?

Manolo spojrział na pomnik Zenei, jakby ten miał za chwilę przemówić.

– Nie do końca na tym samym etapie... Bocelli trzy dni temu wrócił na Kubę...

– Co? – Zdziwienie Condego miało formę majuskuły i natężenie wielu decybeli.

– Pojechał do Meksyku w interesach i wrócił... Zatrzymano go u nas na lotnisku. – Manolo przerwał na chwilę, opróżnił kufel, bardziej by ugasić pragnienie niż delektować się piwem. Gestem ręki zamówił następne. – Wyobrażasz sobie, jaki się zrobił burdel? Ambasador, włoski konsul i chuj wie kto jeszcze... Ale facet zgodził się na badanie DNA...

– To znaczy, że jest czysty? – Conde wyprzedził odpowiedź, którą już znał.

– Przed sekundą przyszły wyniki z laboratorium. Krew na ubraniu Judy nie była jego... Wygląda na to, że jest czysty.

– Co nie znaczy, że nie odbył z nią stosunku – nie dawał za wygraną Conde.

– Tego nie da się udowodnić. Pamiętaj, że użyli kondomu. Musieliśmy Włocha wypuścić. Jutro wylatuje z Kuby... mówi, że już nigdy tu nie wróci.

– No i dobrze – stwierdził Conde. – Nie będziemy za nim tęsknić.

Spojrzął na ulicę tonącą już w mroku nocy, która nadeszła zniecka. Wyeliminowanie tego tropu cofnęło śledztwo niemal do punktu wyjścia. Wszystko, co dotyczyło dziewczyny, było niejasne i skomplikowane.

– Jest coś jeszcze... Laboranci znaleźli we krwi Judy substancję halucynogenną.

– Jaką?

– W tym problem... nie są pewni. To coś dziwnego, żaden z narkotyków rozpowszechnionych na Kubie.

– Co ty mówisz, do cholery?

– To, co słyszysz: zażyła coś w rodzaju ecstazy, ale u nas tego nie sprzedają. Jakby ecstazy do kwadratu, z domieszką jakiegoś chemicznego gówna.

– Jasna dupa...

Conde podrapał się po ramieniu gestem człowieka będącego na głodzie narkotykowym.

– I ostatnia wiadomość: wczoraj aresztowano jej ojca, twojego przyjaciela Alcidesa Torresa – rzucił Manolo, jakby opowiadał o letnim upale.

– Do jasnej cholery, Manolo! Dlaczego nie powiesz wszystkiego raz, kurwa, a dobrze?

– Bo nie mogę... Mam tylko jedno usta. Zasztyją je, jak się dowiedzą, że ci kabluję...

– Co z nim?

– Przesłuchują go. Jestem przekonany, że siedzi po uszy w gównie...

Conde odczuł szczerą i głęboką radość na wieść o tym akcie sprawiedliwości dziejowej i wcale nie miał wyrzutów sumienia. Przynajmniej ten jeden raz skurwiel zapłaci za swoje winy. Próbował sobie wyobrazić, jak by zareagowała Judy, gdyby dowiedziała się o mało chwalebny koniec kariery ojca.

– Judy mówiła, że Alcides załatwia jakiś interes wart mnóstwa dolarów.

– Nie sądzę, żeby zarobili miliony na przemyśle tego baracha z Wenezueli – stwierdził Manolo, mocno zezując i marszcząc brwi. – Chociaż mieli z tego niezłą kasę.

– Bo facet miał na oku inny biznes. Za mnóstwo dolarów.

– Co to, u diabła, mogło być? – Manolo połknął haczyk, zaintrygowany tematem. – Ile to mnóstwo dolarów?

– Oto jest pytanie... Mnóstwo, czyli ile? Zapewne więcej, niż mam... Zapytaj swoich kumpli, zobaczymy, czy potwierdzą – powiedział Conde, zadowolony, że dokłada dREW do ognia, w którym już się smaży Alcides Torres. – Coś jeszcze?

– Nic. Koniec wiadomości.

– A śledztwo w sprawie śmierci Judy?

Manolo uniósł ramiona, jakby chciał sięgnąć do swoich oficerskich epoletów, lecz w porę się zorientował, że jest po cywilnemu.

– Nadal jest w toku, ale...

– Nie ma więcej tropów?

– Nie. Badanie DNA wykazało, że krew na ubraniu Judy należy do białego mężczyzny poniżej pięćdziesiątki... Niewiele nam to daje.

– Chyba że będziecie wiedzieli, czego szukać.

Manolo wstrzymał ruch ręki podnoszącej krokietę do ust i spojrział na Condego. Jego źrenice ponownie zacumowały w okolicy nasady nosa.

– O czym ty mówisz, Conde?

– O niczym. O szukaniu...

Manolo połknął krokietę w całości.

– Posłuchaj... to, co ci wcześniej mówiłem, nadal obowiązuje. Nie możesz się mieszać w śledztwo. Powiedziałem ci o Bocellim, narkotykach i tak dalej, nie pomijając Alcidesa Torresa, bo ci to byłem wienien. A wiesz dlaczego?

Conde uniósł brwi.

– Bo jesteś moim kumplem? Bo kiedyś byłem twoim szefem? Bo jestem inteligentniejszy od ciebie?

– Nie... bo zachowałeś się przyzwoicie. To nagroda za dobre sprawowanie.

Conde pokręcił głową.

– Manolo, sprawa Judy jest bardziej martwa niż ona sama. Co, do diabła, wam szkodzi, że trochę powęszę na własną rękę?

Teraz z kolei pokręcił głową Manolo.

– Prowadzone przez grupę specjalną dochodzenie przeciwko Alcidesowi Torresowi zmienia sytuację. Całkowicie zmienia. Tę sprawę śledzą tam, na górze. – Wskazał palcem ostatnie piętro budynku, ale obaj wiedzieli, że ma na myśli miejsce położone znacznie wyżej. – Więc lepiej siedź na dupie. A jeśli coś łączy sprawę ojca i śmierć tej małej?

Tym razem Conde przytaknął.

– Parę dni temu przypomniał mi się major Rangel – powiedział jakby z rozrządzeniem w głosie. – Sądzę, że wytrzymałem w policji dziesięć lat wyłącznie dlatego, że mieliśmy szefa takiego jak on. Pracując ze starym Rangelem, z kapitanem Jorrinem, a nawet z tym skorumpowanym sukinsynem Contrerasem, czegoś się nauczyłem... Po pierwsze, policjant to gówniany zawód. Sam jesteś policjantem, ale chyba się ze mną zgodzisz, nie? Po drugie, to gówno jest przygnębiająco konieczne. Zwłaszcza wtedy, kiedy dzieją się takie rzeczy jak śmierć Judy Torres... Bo jestem absolutnie przekonany, że w historii tej dziewczyny coś brzydko pachnie. Z pewnością też się ze mną zgodzisz, nie? – Manolo ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył, więc Conde ciągnął dalej. – Policjanci tacy jak major Rangel albo Jorrin, albo Grubas Contreras zawsze liczyli na swój węch. A czego ty się od nich nauczyłeś, Manolo?

Pożegnał się z Manolem, lecz zamiast udać się do jednej ze swoich świętych kryjówek, nabrał ochoty, by powłóczyć się bez celu, choć cel ów, o czym Conde dobrze wiedział, i tak był z góry wyznaczony. Szedł bulwarem Malecón w stronę El Vedado, zatopiony w myślach, których poprzednio do siebie nie dopuszczał. Teraz, kiedy już wiedział, że Bocelli, numer jeden na jego liście podejrzanych, nie ma związku z ostatecznym losem Judy, musiał poprzestawać na swojej mentalnej szachownicy nieliczne zachowane jeszcze figury, jeżeli wbrew ostrzeżeniom Manola nadal, zgodnie z wcześniejszym planem, zamierzał się dowiedzieć, co tak naprawdę wydarzyło się na pustym polu za miastem, tam, gdzie znaleziono ciało Judy, wykorzystane, nafaszerowane narkotykami, roztrzaskane i martwe.

Wszystkie te fakty – dowiedziona utrata dziewictwa, prawdopodobnie na kilka godzin przed śmiercią, ślady krwi młodego białego mężczyzny na ubraniu dziewczyny, obecność w jej organizmie jakiegoś małego znanego na Wyspie narkotyku, makabryczne okoliczności agonii na dnie wyschniętej studni, a także wątpliwość, czy rana na potylicy została zadana przed upadkiem, czy była jego skutkiem – utwierdziły ekspolicjanta w narastającym przeczuciu, że ktoś pomógł dziewczynie umrzeć. Był tego pewien. Pozostawało pytanie: kto i dlaczego?

Dzięki medytacjom Condego nad owymi faktami i możliwościami dystans między skrzyżowaniem Prado i Maleconu a wylotem Avenida de los Presidentes niezauważalnie się skracał. Jedno nie ulegało wątpliwości: Judy dobrowolnie znalazła się w tym odludnym miejscu, w którym później odkryto jej zwłoki. Chyba że zażyty przez nią narkotyk uczynił ją bezwolną. Ta ostatnia okoliczność zakładała istnienie samochodu i być może jeszcze dwóch osób, które przeniosły ją od szosy pod studnię. Ale taka zapobiegliwość nijak się miała do kryminalnego partactwa, jakim było pozostawienie zakrwawionego ubrania należącego, jak wskazuje logika, do osoby albo jednej z osób, które wywiozły dziewczynę na to pustkowie. Czy nie forsuje na siłę, przez zwykły upór, hipotezy samobójstwa? Czy nie jest przekonany, że osobowość Judy sugeruje takie rozwiązanie? Oszołomiona narkotykiem rozbiera się, dopuszcza do stosunku, podcina sobie żyły i skacze do studni? Czy pchnęła ją do tego utrata dziewictwa? Czy zapiski znalezione w kieszeniach Judy były deklaracją pryncypiów, czy zapowiedzią końca?

Skręciwszy z Maleconu w ulicę G, Conde raz po raz napotykał forpoczty młodych eksploratorów, szukających schronienia w ciemnych zakątkach sprzyjających seksualnym igraszkom, którym oddawali się z pantagruelicznym apetytem. Przeszedł przez Lina i wkroczył na tereny większej koncentracji plemiennej, zastanawiając się, czego tu właściwie szuka. A raczej co chce znaleźć. Nie zdążył rozstrzygnąć tego dylematu, gdyż zaskoczyło go inne podchwytliwe pytanie: dlaczego Manolo najpierw dwukrotnie

zakazał mu mieszania się w śledztwo, a potem uraczył go na przynętę nowymi informacjami? Było coś podejrzanego w owej niedopowiedzianej zmianie strategii.

Upał i ciemność sprzysięgły się tej nocy, by wydobyć na powierzchnię i uwidocznić setki młodych ludzi jakby wyciętych z kolorowych czasopism. Conde przypominał sobie karnawał z czasów dzieciństwa, jakże wówczas autentyczny, z udziałem osób, które spontanicznie i figlarnie wybierały śmieszne przebrania, kupowały groteskowe maski i malowały twarze. Tyle że karnawał i zabawa kiedyś się kończyły, a ta młodzieńcza uliczna maskarada nowej epoki pociągała za sobą przemianę znacznie głębszą: od zewnętrznych atrybutów po wewnętrzne procesy umysłowe młodych ludzi dążących za wszelką cenę do wyjątkowości. To widowisko było rzeczywistością. Ich zachowanie symbolizowało teraźniejszość, a nawet tylekroć obiecywaną chwalebłą przyszłość, która okazała się karnawałem bez zabawy, choć z udziałem licznych masek. Przyszłość smutną jak emo przekonany o słuszności swojej walki.

Obarczony brzemieniem wątpliwości i wniosków, skręcił w jedną z odchodzących od alei przecznic i począwszy od rogu Piętnastej Ulicy, gdzie zaczynało się terytorium Emolandii, usiłował wypatrzeć znajomą twarz pod czupryniastymi befsztykami, czarnymi ozdobami, mrocznym makijażem. Nie odnalazł Yadine, zapewne była w żałobie po śmierci dziewczyny, która doprowadzała ją do szaaalenstwa; Frederica też nie zauważył, być może w jakimś mniej widocznym miejscu oddawał się seksualnym ekscesom; nie spotkał nawet Yovany'ego, wyblakłego emo, który prawdopodobnie przeczesywał inne tubylcze terytoria w poszukiwaniu zagubionych braci. Było tu jednak dwudziestu, może trzydziestu młodych ludzi, emopodobnych od stóp do głów, którzy upajali się swoją domniemaną depresją, marzyli o muzycznych nirwanach i nirwanach religijnych, demonstrowali ciała podziurawione bezlitośnie, lecz z lubością, i czuli się częścią tego, w co wierzą i co czyni ich wolnymi... Nie mógł pojąć, jak to się stało, że Judy zamierzała zdezerterować ze świata emo, a tym bardziej że on, Mario Conde, przystał na to, by trzymać się z boku tej sprawy. Judy była krzykiem, który go przywoływał z głębi wyschniętej studni.

Siedzieli przy stole i jedli śniadanie. Tamara – posmarowane masłem herbatniki, które moczyła w kawie z mlekiem; Conde – chleb tostowy, okraszony oliwą z oliwek, ze szczyptą soli i rozgniecionym zębkiem czosnku. (Mleko było luksusem, na który mogła sobie pozwolić Tamara dzięki euro przysyłanym przez syna; oliwa z oliwek – ekscentrycznością nie do pomyślenia na Wyspie, a przywilej ów Conde zawdzięczał Aymarze, mieszkającej we Włoszech szwagierce in spe). Potem, by wypełnić rytuał porannego komfortu, wypili kolejną zaparzoną ze świeżo zmielonych ziaren kawę (oryginalną, bez dodatków – albo tylko z niewielką ich ilością – kupioną dzięki ostatnim operacjom handlowym w branży białych kruków). Wiedzieli jednak oboje, że takie luksusy nieosiągalne są dla wielu, zbyt wielu mieszkańców Wyspy.

– Smakujesz jak wampir – stwierdziła Tamara, kiedy poczuła zapach czosnku, całując Condego na pożegnanie.

– A ty pachniesz jak świeżo ścięta trawa...

– Yves Saint Laurent... Prezent od pacjenta. Jesteś zazdrosny?

Patrzył, jak Tamara wychodzi z domu, i ogarnęło go niestosowne w tej sytuacji poczucie jej nieobecności. Coś złego musiało się z nim dziać, skoro on, zatwardziały pustelnik, doświadcza z tak błędnego powodu powiewu samotności, a jednocześnie nie ma żadnych skrupułów, odprawiając ów rytuał, przyjemny sam w sobie, ale przecież rytuał, w dodatku podszyty zazdrością. Nie musiał się długo zastanawiać, by odgadnąć przyczyny tego stanu ducha: to tajemnice życia, ale nade wszystko zagadka śmierci Judy Torres.

Pół godziny później, kiedy zbierał się do wyjścia, jego rozmyślania przerwał dzwonek telefonu.

– Cześć, Conde. Tu Elias Kamiński.

Conde przywitał go serdecznie, bo naprawdę polubił tego mastodonta.

– Dzwoniłem do ciebie do domu... – ciągnął malarz. – Już mieszkasz u Tamary?

– Nie, trochę tu, trochę tam... wiesz, jak to jest, bracie... Co nowego?

– Coś interesującego. Przynajmniej tak mi się wydaje... Prawnicy odkryli, że obraz nie wyjechał z Los Angeles, tylko z Miami.

– Brzmi logicznie.

– To po co ta zabawa z ukrywaniem źródła pochodzenia? – pytał Elias Kamiński, a Conde się z nim zgodził. Po co ten kamuflaż?

– Ustalili, kto go miał? Jakiś krewny Romana Mejiasa?

– Nie wiemy, czy to jego rodzina – ciągnął Elias. – Jakaś młoda Kubanka, która przyплыnęła do Stanów Zjednoczonych na tratwie cztery lata temu. Pewnie przywiozła obraz ze sobą, a to znaczy, że zawsze był na Kubie, dopóki...

Na dźwięk słowa „tratwa” przez mózg Condego przemknęła iskra elektryczna. Dwa przewody pod napięciem, dotąd rozdzielone, teraz się zetknęły i nagła myśl poraziła go jak prąd. Nie, to niemożliwe, ponosi go wyobraźnia.

– O kurwa! Kurwa, kurwa mać! – przerwał Conde Eliaszowi, ale nie mógł wykrztusić nic więcej, bo jego myśli wirowały w chaosie, nie znajdując punktu oparcia.

– Co z tobą, Conde? – zaniepokoił się Elias.

Conde dwakroć, trzykroć uderzył się w czoło. Potrzebował dobrych kilku sekund, żeby zebrać myśli i odzyskać głos.

– Wiesz może, jak się nazywa ta Kubanka? – Zamknął oczy, jakby nie chciał zobaczyć lawiny, która za chwilę miała go porwać.

– Rodríguez – powiedział Elias. – To nazwisko po mężu...

Nie otwierając oczu, Conde zaczerpnął tchu i zapytał:

– Czy ma na imię María José?

Cisza po drugiej stronie kabla, trzy tysiące kilometrów dalej, uświadomiła Condemu, że jego słowa ugodziły Eliasza Kamińskiego prosto w twarz. On sam, ze słuchawką przylepioną do ucha, czuł, jak wali mu serce i pocą się dłonie.

– Skąd znasz jej imię? – Zdumienie malarza świadczyło o tym, że nie potrafi zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

– Znam, ponieważ... – Conde przerwał w pół zdania. – Najpierw mi coś powiedz. Mówiłeś, że z opowiadań twojego ojca wynika, iż oprócz tego Rembrandta Mejias miał inne reprodukcje malarzy holenderskich. To prawda?

– Tak... – Eliasz przeszukiwał zakamarki swojej pamięci, żeby odpowiedzieć na pytanie, które nie wiadomo dokąd miało go zaprowadzić. – *Kościół De Witte*’a...

– *Pejzaż Ruysdaela* i *Widok Delft* Vermeera – przerwał mu Conde i mówił dalej: – I miał siostrę, która została inwalidką po wypadku?

– Skąd, u diabła...?

– Otóż znam człowieka, który przywłaszczył sobie tego Rembrandta, Eliaszu... To ojciec dziewczyny, która... nieważne. Ojciec Marii José i kuzyn Romana Mejiasa. Byłem u niego w domu. A teraz wiem prawie na pewno, że oryginał był przez cały czas na Kubie, wywiózł go stąd dopiero ten sukinsyn, prawdopodobnie do Wenezueli, a potem wysłał córcę mieszkającą w Miami, żeby zajęła się sprzedażą... Liczył, że zarobi mnóstwo dolarów, naprawdę mnóstwo. Jasna cholera, teraz już wiem, co znaczy mnóstwo dolarów: ponad milion...

Przez dłuższą chwilę trwali w milczeniu po obu stronach linii telefonicznej. Pierwszy odezwał się Elias.

– Jak to możliwe, że ty...?

– Owszem, możliwe, bo ten trop podsunęła mi wnuczka Ricardita, Yadine, chociaż nie mogła wiedzieć, dokąd prowadzi... Ani ona, ani ja...

Conde w możliwie najkrótszych słowach opisał Eliaszowi sprawę, w którą wplątała go Yadine Kamińska, sprawę, która przez zaginięcie i śmierć Judy powiązała rodziny obu młodych emó tragedią zapoczątkowaną w odległej przeszłości na pokładzie transatlantyku cumującego w 1939 roku w hawańskim porcie.

– To zapewne jedna z tych kosmicznych koniunkcji, o których mówił twój ojciec, Eliaszu... – skonkludował i dodał: – Widzisz teraz, że łatwiej wierzyć w istnienie Boga?

– Powiedz mi, Conde – wykrztusił Eliasz Kamiński, głęboko poruszony jego opowieścią – czy da się udowodnić, że Alcides wywiózł obraz z Kuby?

– Tylko jeżeli sam się przyzna... ale nie sądzę, żeby to zrobił, bo brak jakichkolwiek dowodów. Nie ma nawet dowodów, że go miał... A poza tym w grze są ogromne pieniądze. Może Alcides czekał ze sprzedażą, aż umrze jego matka... Nie, nie sądzę, żeby się przyznał.

– Nieważne – stwierdził Elias. – W każdym razie przekażę to prawnikom.

– Tak. – Conde zastanawiał się nad następstwami tej nieoczekiwanej rewelacji. – Ale nie powiem nic Ricarditowi. Jego wnuczka siedzi w tym po uszy...

– W porządku. Czy już wspomniałeś mu o procesie i pieniądzach? I że sprawy idą w dobrym kierunku? Więcej nie musi wiedzieć...

– Nie, wybacz, jeszcze z nim nie rozmawiałem... Ale dzisiaj pójdę do niego i powiem o procesie... Jasne, nie musi wiedzieć...

Po kolejnej długiej, pełnej napięcia chwili milczenia Elias zapytał:

– Co masz zamiar zrobić?

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia...
– Nie przejmuj się. Sposób, w jaki obraz opuścił Kubę, niczego nie zmienia... Chociaż gdybyśmy zyskali pewność...

– Tak, zawsze lepiej wiedzieć...

– Tak, wiedzieć...

Powróciło milczenie, a Conde poczuł się wyczerpany. W rzeczywistości rozczarowany. Nawet poznanie prawdy, bez możliwości jej udowodnienia, nie gwarantowało, że sprawiedliwości stanie się zadość.

– No nic, Eliaszu, dzwoni do mnie, kiedy najdzie cię ochota... I pozdrów Aymarę.

– Jasne. Nie wiem, jak ci podziękować za to, co od ciebie usłyszałem...

Zanim odpowiedział, pomyślał przez chwilę.

– Dzisiaj wolałbym, żebyś nie musiał mi za nic dziękować. Bo to by znaczyło, że Judy wciąż żyje...

Znów zapadła cisza. Conde uprzytomnił sobie, że miał na myśli Judy, a Eliasz mógł zrozumieć, że chodzi o Judytę Kamińską, zaginioną w czasach Holokaustu dziewczynkę, która nigdy nie została jego ciotką.

– Do widzenia – powiedział Eliasz, a Conde szybko odłożył słuchawkę, żeby przerwać tę rozmowę, która spotęgowała w nim niesmak wobec świata i niektórych jego mieszkańców. Mógłby się od tego rozchorować.

Wrócił do kuchni i dopił zimną kawę. Nie poprawiło mu nastroju odkrycie, jakimi drogami wędrował obraz Rembrandta, który stary Joseph Kamiński w swoim mniemaniu zniszczył, a który przez niemal pół wieku ukrywali spadkobiercy nikczemnego Romana Mejiasa, wiedząc zapewne, jak go zdobył. A może nie wiedzieli. W każdym razie spodziewali się dostać za to płótno mnóstwo dolarów.

Oddalając się od domu Tamary, Conde w natłoku myśli kołujących się w jego nieszczęsnej głowie rozważał całkiem na poważnie, czy nie byłoby lepiej posłać do wszystkich diabłów tę historię o obrazie Rembrandta oraz Żydach, białych, czarnych i Mulatach, a potem upić się do nieprzytomności.

Łatwiej było Condemu przekazać Ricarditowi Kamińskiemu świeżo ujawnione rewelacje i opowiedzieć mu tyle co konieczne o możliwej, choć przewlekłej procedurze odzyskania obrazu Rembrandta i o zamierzeniach jego krewniaka Eliasza, niż odbyć rozmowę z Yadine.

W chwili gdy Ricardo powtarzał po raz kolejny, że nie ma żadnych praw własności do obrazu i tym samym do pieniędzy, którymi chciał się z nim podzielić Eliasz Kamiński, na ganku pojawiła się jego wnuczka i chłodno powitawszy Condego, rzuciła w przestrzeń wiadomość, zaszyfrowaną w najlepszym stylu rodu Kamińskich.

– Dziadku, pójde się przejść po Parque de Reyes.

I udała się w kierunku miejsca, gdzie ostatnio spotkała się z człowiekiem, którego wbrew oczywistym faktom uważała za detektywa. Patrząc na oddalającą się dziewczynę, ubraną całkiem zwyczajnie i uczesaną w koński ogon opadający na kark, Conde był pewien, że rozmowa będzie trudna.

– Bardzo niepokojimy się o to dziecko – powiedział Ricardo Kamiński, kiedy już nie mogła ich słyszeć.

– Młodzi w dzisiejszych czasach... – skomentował niezobowiązująco Conde.

– Od kilku dni prawie nie je, nie przebiera się za emo... Jest w prawdziwej depresji.

– Przykro mi...

Kiedy dotarł do parku, zobaczył, że Yadine czeka na tej samej zdezelowanej ławce, na której siedzieli kilka dni wcześniej. Bez makijażu i zbędnych ozdób dziewczyna jaśniała pełnią urody, którą zawdzięczała udanej mieszance krwi płynącej w jej żyłach. Lecz to olśniewające piękno gasił głęboki smutek.

– Już nie jesteś emo? – Conde liczył, że to powitanie wskaże mu najlepszy sposób na przeprowadzenie rozmowy.

- Skoro Judy nie chciała już być emo, to po co?
- Jesteś pewna, że zamierzała zrezygnować?
- Tak. Wszystkim o tym opowiadała...
- I kim miała zamiar być?
- Tego nie mówiła nikomu. Judy potrafiła być okropnie tajemnicza... kiedy miała na to ochotę.

Nagle skuliła się i zaczęła płakać. Był to głęboki, spazmatyczny szloch, ze spływającymi po twarzy strumieniami łez.

– Chyba tak. Bardziej tajemnicza od innych – odważył się skomentować Conde, zawsze gotów palnąć jakieś głupstwo, kiedy czuł się bezradny. Czy Judy wiedziała coś o źródle, z którego miała wypłynąć rzeka dolarów, na co liczył jej ojciec? Zamierzał zapytać o to Yadine, ale się powstrzymał: to, o czym wiedziała Judy, o niczym jeszcze nie świadczyło, a on nie chciał wprowadzać wnuczki Ricardita w szczegóły tej plugawej sprawy. A przy tym szloch dziewczyny wstrząsnął nim tak mocno, że były policjant gotów był się do niej przyłączyć, co skończyłoby się dziwnym chórem lamentujących płaczków.

Zapalił papierosa, żeby opanować nerwy i dać dziewczynie czas na ochłonięcie.

- Nie szukałeś jej, jak trzeba... – oskarżyła go, wciąż chlipiąc i rozmazując rękami łzy.
- Robiłem, co mogłem – bronił się, ale przemilczał najważniejszy argument: kiedy zaczął poszukiwania, Judy była już martwa.
- Ale zabili ją, *man*, zabili...
- Znów wybuchnęła płaczem.
- Policja nie wie...
- Policja niczego nie wie... Judy nie popełniła samobójstwa, na pewno nie.

Conde wahał się, czy pocieszać dziewczynę, czy wyjaśniać jej, co sam o tym myśli, powiedzieć wszystko, co wie, i podzielić się z nią swoimi podejrzeniami, nie miał bowiem wątpliwości, że spośród wszystkich ludzi na świecie to Yadine najbardziej oplakiwała śmierć Judy. Nie tylko ją kochała i dała fizyczny dowód tej miłości. Ona Judy ubóstwiała. W jej płaczu, o czym wiedział Conde, nie było śladu poczucia winy. Tylko ból, czysty i zwyczajny.

– Chodzisz nadal do szkoły? – próbował znaleźć drogę ucieczki.

Dziewczyna powstrzymała łzy i przytaknęła.

- Tak, w przyszłym tygodniu zaczynają się egzaminy...
- Twój dziadek mówi, że prawie nic nie jesz.

Wzruszyła ramionami i wydała z siebie bezgłośny szloch. Conde czuł, jak emanujący z niej smutek przenika go na wskroś.

– Przykro mi, Yadine – powiedział, odrzucając daleko niedopałek. – Muszę już iść, bo...

Yadine spojrzała na niego zaczerwienionymi i jeszcze bardziej zgnębionymi oczyma.

– Wszyscy odeszli... nikogo to nie obchodzi... zabili ją i nikogo to nie obchodzi. – Rozpłakała się znowu, po czym wstała i spojrzała na Condego wzrokiem, w którym kryło się najcięższe oskarżenie. – Nikogo to nie obchodzi – powtórzyła i puściła się biegiem w stronę swojego domu przy ulicy Zapotes, tego samego, do którego pięćdziesiąt lat wcześniej przybyli jej pradziadkowie, Caridad Sotolongo i Joseph Kamiński, wraz z małym Ricarditem, który już nosił nazwisko polskiego Żyda.

Patrzył za oddalającą się dziewczyną i czuł, że brakuje mu tchu. Dławiło go w gardle, oczy zachodziły łzami. Nie zawinił niczemu, a jednak poczuwał się do winy, bo przecież on też był częścią owego bezdusznego świata. „Tylko tego mi brakowało”, pomyślał, rozmasowując pośladki zdrętwiałe od siedzenia na połamanej ławce. I nagle pojął, że miłość Yadine do Judy już w zarania naznaczona została piętnem klasycznej, jakże oczywistej tragedii: dziedzictwem waśni Montekich i Kapuletów.

Conde wiedział, że rozmyślenia nie sprawdzają się w sytuacji, gdy musi oczyścić umysł i uwolnić się od duchowego ciężaru. Znał zdecydowanie lepszą metodę, prostą i zazwyczaj skuteczną: dwie butelki rumu, wypróbowani słuchacze i długie rozmowy. Jego stary przyjaciel, Chińczyk Juan Chión, kilka lat przed śmiercią nauczył go, że w mądrej filozofii tao owe duchowe wstrząsy noszą nazwę oczyszczenia *sin*²⁸.

Zanim Conde poświęcił się azjatyckim ablucjom, postanowił spełnić swój ostatni obowiązek: zadzwonił do majora Palaciosia i przekazał mu informację o możliwej trasie, jaką z Kuby przebył obraz Rembrandta, wyeksponowany być może przez Alcidesa Torresa. Jeżeli superpolicjantom prowadzącym dochodzenie przeciwko eksprzywódcy uda się coś wydusić z Alcidesa, tym lepiej. A jak nie, to niech się wał. I wyszedł z domu.

Ganek przy domostwie chudego Carlosa jak zawsze okazał się idealnym miejscem do oczyszczenia *sin*. Wprawdzie Conde przyszedł trochę spóźniony, ponieważ tego wieczoru nieoczekiwanie zamknięto Bar Desperatów Z POWODU FUMIGACJI!, jak głosił napis na przyklejonej do szyby kartce, wykonany mistrzowską ręką Gandingi, miłośnika wykrzykników. Conde pomyślał, że gdyby zastosowany w lokalu środek chemiczny rzeczywiście był skuteczny, to rankiem następnego dnia znaleziono by nawet truchła gatunków uważanych za wymarłe od dawien dawna. Na przykład megaterium! Tyranozaurów, to pewne! A w okolicy baru, w charakterze skutków ubocznych, kilku dzielnicowych pijacków konających z odwodnienia.

Tego wieczoru Carlos i Królik byli wyjątkowo spragnieni, ponieważ zażądali od przyjaciela, by natychmiast zaserwował pierwszy litr białego rumu Añejo z etykietką, zakupionego za wymienialne pesos. Candito, będący już na alkoholowej emeryturze, zadowolili się puszką tropi-coli, którą specjalnie dla niego przyniósł Conde.

Rozgrzewając swoje silniki stosownym do tego paliwem, rozmawiali o telefonie od Eliasza Kamińskiego, choć Conde wolała na razie przemilczeć odkryte przez siebie niezwykle powiązania obu spraw. Po kilku łykach nawiązał do tego, co właśnie dręczyło go najbardziej, i opowiedział, raz po raz przerywając z powodu pytań Carlosa, o najnowszych szczegółach zaginięcia i odnalezienia Judy Torres.

Jak było do przewidzenia, całą uwagę zgromadzonych przyciągnęła wiadomość o policyjnym śledztwie przeciwko ojcu zamordowanej dziewczyny, ponieważ wszyscy tam obecni żywiłowo nienawidzili owej rasy ciemnych typów, nosicieli chronicznej i endemicznej plagi narodowej. A przecież nie znali najbardziej niezwykle wątku tej historii!

Ryzy Candito, bardziej przejęty niż reszta, był przekonany, że Judy popełniła samobójstwo: pomyślał o tym już w chwili, gdy dowiedział się o nekających tę wybuchową dziewczynę zaburzeniach psychicznych, co jego zdaniem potwierdził rytuał związany z jej śmiercią. Carlos z kolei, wahający się pomiędzy samobójstwem a zbrodnią, twierdził, że rozziewiczenie Judy miało ścisły związek z obiema możliwościami. Natomiast Królik, idąc w ślady Condego i Yadine, przychylił się do hipotezy morderstwa, choć także uważał, że dziewczyna z własnej woli wybrała się z kimś w ustronne miejsce, wraz z nim nafaszerowała się dragami i dobrowolnie lub pod przymusem (dobrowolnie, przypomniał mu Conde) odbyła stosunek, a potem... pocięła się czy ten ktoś ją pocałował? Ale skąd się wzięła obca krew na jej ubraniu? Gdzie Judy zdobyła ten narkotyk? A pieniądze, które przepadły?

Do Tamary Conde wyruszył tuż przed północą. Chociaż wypił niewiele, czuł się pijany i sfrustrowany, bo zamiast pewników zbliżających go do rozwiązania doczekał się jedynie kolejnych wątpliwości. Rozmowa z Manolem i ta dzisiejsza, z Eliaszem i Yadine, sprawiły, że zagmatwana historia śmierci Judy powróciła w jego myślach, nabierając jakiegoś obsesyjnego, przytłaczającego ciężaru, od którego uwolniłaby go tylko jednoznaczna odpowiedź na nurtujące pytania. Ale gdzie, do cholery, i jak, do kurwy nędzy, ją znaleźć, mamrotał pod nosem, a ponieważ zmysł równowagi miał zaburzony przez alkohol, potknął się o granitowy słupek z nazwą ulicy i wyrznął tyłkiem o chodnik. Dopiero siedząc na ziemi, odkrył radośnie piękno księżycy w pełni.

Jak złodziej wkradł się do domu kobiety, którą miał kiedyś poślubić, a że nie chciał jej obudzić, postanowił spać na kanapie w salonie. Rozebrał się i legł na wznak, lecz nagły i gwałtowny zawrót głowy

kazał mu zerwać się na równe nogi. Zaniepokojony tym stanem oszołomienia, pytał sam siebie: jak mogłem się upić tak niewielką ilością rumu? Czyżbym się już zestarzał? Czy jestem alkoholikiem? Nie, nie... Kiedy wirowanie ustało, poszedł do łazienki, włożył głowę pod strumień wody i z ręcznikiem przewiązanym niczym turban Hindusa aspirującego do błogosławieństw nirwany udał się do kuchni i nastawił imbryk.

Z napełnioną do połowy filiżanką wrócił do salonu. Popijając kawę, czuł, że opuszcza go senność, a mgła w jego umyśle rozwiewa się jak chmury po deszczu. Byłem pijany, a teraz już nie? Zapalił papierosa i sięgając po popielniczkę, zobaczył leżące na wierzchu DVD z *Lowcą androidów*, zabrane z pokoju Judy. Nie miał nic lepszego do roboty, więc włączył telewizor i wsunął płytę do odtwarzacza.

Siedząc w swoim ulubionym fotelu, bezmyślnie gapił się na ekran. Jednak w miarę upływu czasu jego mózg ochłonął i Conde wreszcie skupił się na fabule. Futurystyczna akcja filmu przekazywała mu jakąś ukrytą, wręcz intymną treść. Jego sympatia do replikantów i ich desperackiego domagania się prawa do życia nabrała teraz jakiejś głęboko poruszającej wymowy, może dlatego, że męczył go kac, a może ta dramatyczna scena miała go przygotować na objawienie, zwiastując to, co dotąd było tylko niejasnym przeczuciem. Pod koniec filmu, kiedy toczy się krwawy pojedynek na śmierć i życie pomiędzy łowcą a ostatnim przedstawicielem skazanego na zagładę gatunku, Conde omal się nie rozszlochał. Czy teraz wszystko będzie skłaniało go do płaczu? Podczas gdy zasób życia replikanta zaprogramowanego przez jego perfidnego stwórcę dobiegał kresu, blada, epicka postać humanoida przeobrażała się z wolna w znajomy, choć wciąż jeszcze niesprecyzowany obraz.

Pięć godzin później, kiedy zaczęło świtać, Conde otworzył oczy i leżąc na kanapie, wpatrywał się w sufit. I nagle brutalnym kopniakiem wyrwała go z tego półsnu całkowita pewność, zrodzona gdzieś w zakamarkach umysłu. Znał już rozwiązanie zagadki śmierci Judith Torres. Zrozumiał też poniewczasie, że objawy jego przeczuć się zmieniły: zamiast klucia w lewej piersi, tuż pod sutkiem, wywołały zawroty głowy podobne do skutków pospolitego pijaństwa. Nic nie zmienia się na lepsze, pomyślał.

Nacisnął przycisk domofonu i obserwował wyraz twarzy swojego dawnego kolegi. Policjant jak urzeczony oglądał dom, który dzięki dobrze wydanym kilku tysiącom dolarów powrócił do pierwotnego splendoru. Zamiast lipcowego skwaru wszystkimi porami skóry Manuela Palacios'a parowała zawiść na widok wspaniałości, spokoju i bogactwa tej siedziby, stojącej w samym środku coraz brudniejszego i bardziej hałaśliwego miasta.

Conde z trudem przekonał Manola, żeby go wysłuchał, ale potem z łatwością nakłonił do wizyty w tym domu. Kiedy wczesnym rankiem były policjant stał się w Głównym Biurze Śledczym, domagając się spotkania z majorem Palacios'em, ten oznajmił mu przez interkom, że nie może go przyjąć, bo jest na spotkaniu. Conde, szeptem, by dialog nie dotarł do uszu dyżurującej w recepcji pani sierżant, powiedział Manolowi, żeby wziął dupę w troki i w ciągu dwóch minut zameldował się na dole: jeśli to, co ma mu do powiedzenia, go nie zainteresuje, to on zapomni o wszystkim i na zawsze pójdzie w cholerę. Manolo po chwili milczenia poprosił eksdetektywa, żeby zaczekał na niego na ulicy, pod wawrzynami. Zejdzie za dziesięć minut.

Major Palacios miał na sobie mundur z dystynkcjami, a na twarzy ślady udręki, która nie opuszczała go przez ostatnie lata.

– A co? – rzucił się na niego Conde. – Nie życzysz sobie, żeby widzieli, jak ze mną rozmawiasz?

– Wal się. Nie mam czasu na...

– Więc go znajdź – przerwał mu Conde. – Bo ja mam już absolutną pewność, że wiem, kto był z Judy, kiedy umarła albo... została zamordowana.

Manolo spojrział na byłego kolegę z wrodzoną sobie głębią i zezowatością. Zbyt dobrze go znał i wiedział, że nie rzuca słów na wiatr.

– O czym ty mówisz? – Ton policjanta złagodniał. – To ma jakiś związek z tym obrazem Rembrandta, o którym mówiłeś wczoraj?

– Nie, nie sądzę, żeby coś łączyło te sprawy... Ale zanim zacznę, coś ci powiem... Manolo, jesteś zewzaty skurwielem. Zadzwońłeś do mnie dwa dni temu i opowiedziałeś, co odkryliście i czego nie odkryliście w sprawie Judy, a zrobiłeś to tylko po to, żebym...

– Żebyś się w to wmixszał, chociaż mówiłem, żebyś się nie wmixszał. I się wmixszałeś... Zgoda, jestem trochę skurwielem. A ponieważ kiedyś mówiłem o to pytałeś, to ci powiem, że nauczyłem się tego od ciebie... A tobie się na coś przydało?

– Chyba tak – przyznał Conde i opowiedział mu o swoich przeczuciach.

Od tej chwili sprawy potoczyły się gładko. W godzinę później spocony Manuel Palacios i Mario Conde stali przed domofonem, z którego dobywał się metaliczny głos z pytaniem kto tam. Odpowiedział Manolo.

– Policja, otwierać...

Słowa te zadziały jak magiczne zaklęcie i sterowana pilotem brama otworzyła się niemal natychmiast. Na ganku, przy drzwiach z solidnego drewna, pojawiła się postać Frau Berty.

Manolo przejął inicjatywę i podszedł do gospośi, pokazując jej swoją legitymację.

– Dzień dobry. Chcemy porozmawiać z Yovany Gonzalezem.

Teutońska twarz kobiety oblała się szkarłatem.

– Co znowu nabroił?

– Zamierzamy to ustalić – padła sucha odpowiedź Manola.

– A ten pan też jest z policji? – zapytała gospośia, pokazując na Condego.

– Nie, Frau Berta... byłem kiedyś policjantem, a teraz nie jestem. Już to pani mówiłem – przypomniał jej Conde.

– Frau Berta? – zdziwiła się kobieta, ale nie nalegała na wyjaśnienia. – Ten chłopak zawsze narobił sobie kłopotów. Proszę usiąść.

Na zewnątrz major Palacios oblewał się potem, za to w domu, mimo cyklonicznych wisiłków wentylatorów, niemal się roztopiał z gorąca.

– Ile jest pieniędzy na tych ścianach, Conde? – zapytał, przyglądając się obrazom.

– Setki tysięcy, na moje oko... Mniej niż mnóstwo... – dodał.

– I naprawdę sądzisz, że ten chłopak...? Mieszkając w takim domu? Czego mu tu brakowało...?

– Takie są zagadki ludzkiej duszy, Manolo. Pozwól, że to ja je rozwiklam...

Manolo, który uwielbiał przesłuchiwać podejrzanych, przystał na to niechętnie, być może wolał nie wkraczać na teren, na którym nie czuje się zbyt pewnie.

Yovany, z befsztykiem opadającym na prawe oko, obserwowal ich od progu jadalni. Był boso, ubrany w kwieciste szorty i fioletowy T-shirt. Na szyi miał zawieszzone futrzane słuchawki, niczym narzędzie tortur epoki ponowoczesnej. Widok umundurowanego oficera policji z dystynkcjami sprawił, że zbladł jeszcze bardziej, o ile takie obniżenie skali chromatycznej było w ogóle możliwe. „Przypomina wkurzonego replikanta”, przemknęło przez myśl Condemu. Zaczekał, aż chłopak do nich podejdzie.

– Musimy z tobą pogadać, Yovany... a skoro nie ma twojej matki, prosimy, żeby ta pani była przy tym obecna. – Wskazał fotel Frau Bercie, która przyglądała się całej scenie z dystansu, okazując szacunek, ale i zaniepokojenie.

– Co znowu? – zapytał chłopak.

Conde zaczął, aż gospośia usiądzie, łamiąc zapewne nakazy swoich państwa.

– Postawmy sprawę jasno, to tylko rozmowa, wiesz, o co chodzi, prawda? Otóż od paru dni chciałem cię o coś zapytać – zaczął Conde. – Twój ojciec nazywa się Abilio González?

Gdy padło to pytanie, twarze Yovany'ego i domniemanej niemieckiej guwernantki odzyskały pierwotny kolor.

– I dlatego chciał się pan ze mną spotkać? Coś się stało zgredowi? – zapytał Yovany z uśmiechem na ustach.

– Nie odpowiedziałeś mi... Nazywa się Abilio González Mastreta?

– No... tak się nazywa. A co, umarł?

– Ja pierdzielę, wiedziałem! Umarł, jeszcze czego! – wykrzyknął zwycięsko Conde. Odprężony Yovany uśmiechnął się, Frau Berta wygodniej się usadowiła w fotelu, a Manolo spojrział na swojego byłego szefa jak na wariata i zrobił kolejnego zęza, gdy podekscytowany Conde powiedział do niego: – Jaki ten świat mały! Każdego dnia się o tym przekonuję. Yovany jest synem Kruka Abilio! – Zwrócił się do chłopaka: – Chodziłem z twoim ojcem do podstawówki... Nazywaliśmy go Kruk, bo miał białą skórę i przynudzał... Królik za cholera mi nie uwierzy.

Wszyscy się uśmiechnęli, nie wyłączając majora Palacios, przywykłego do metod człowieka, który tak bardzo pomógł mu zrozumieć „tajniki ludzkiej duszy”, jak sam się przed chwilą wyraził.

– No dobra, Yovany – ciągnął uśmiechnięty Conde – koniec zabawy. Teraz unurzamy się w gównie...

– Ton jego głosu zmienił się nieznacznie. – Może nam opowiesz, co się wydarzyło na polu pod Cotorro w nocy, kiedy zmarła Judy Torres?

Frau Berta uniosła brwi, Yovany odzyskał swoją błądź. Niemal bielszy odcień żałobnej błądź, jak śpiewała Cristina i Los Stop.

Conde, nie pytając o zgodę, zapalił papierosa. Sprawiał wrażenie zrelaksowanego.

– Żeby ci ułatwić sprawę... Mamy DNA z krwi na ubraniu Judy. Jeżeli weźmiemy od ciebie próbkę, za cztery godziny...

– Za godzinę... – poprawił go umundurowany policjant, łącz bezwstydnie.

– Za godzinę przekonamy się, czy to jest twoja krew... Tak więc... możemy to przyspieszyć, jeżeli nam powiesz?

Yovany machinalnie zdjął słuchawki z szyi i położył je obok siebie na kanapie. Kiedy odsunął za ucho grzywkę opadającą na twarz, drżały mu ręce.

– Czy nie powinna tu być mama Yovany'ego? – zaczęła Frau Berta, ale Conde jej przerwał.

– Czemu nie... tyle że dwa miesiące temu Yovany skończył osiemnaście lat... Jest już dorosły, odpowiada za swoje czyny. I co nam powiesz, Yovany?

Chłopak spojrział na Condego wzrokiem nieoczekiwanie wyzywającym.

– Nie wiem, o czym mówisz...

Condego ogarnął lęk. Czyżby jego domysły były mylne? Czy próbka DNA nie jest wystarczającym dowodem? Był tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. Trzeba przykręcić śrubę.

– Wiesz, chłopcze, wiesz... Ta bliźna na twoim lewym ramieniu, którą wtedy chciałeś przede mną ukryć... Jestem pewien, że to z tego skaleczenia wzięła się krew na ubraniu Judy... – stwierdził Conde, a po oczach Yovany'ego poznał, że dotknął otwartej rany. Postanowił skoczyć na głęboką wodę, mając nadzieję, że nie pójdzie na dno. – Pewien też jestem, że za pieniądze, które wykradasz matce, i te, które czasem przysyła ci ojciec, kupiłeś narkotyki. Zażyliście je obydwójce tamtej nocy i byliście tak naćpani, że najpierw zgwałciłeś Judy, a kiedy się zorientowałeś, że wdepnąłeś w gówno, zaproponowałeś, że się posznytujecie, żeby zawrzeć pakt emo czy diabli wiedzą co, nieważne, i najpierw ty się cięłeś, ale miałeś wszystko pod kontrolą, bo nieraz w agonii, wrzuciłeś ją do studni, która przypadkowo tam była. Albo nie przypadkowo, ale to już sam opowiesz i wyjaśnisz, dlaczego zabrałeś ją na to pustkowie, chociaż ja już się domyślam... Pojechaliście tam, bo byłeś bardzo, ale to bardzo wkurzony na Judy, bo to Judy zrobiła z ciebie emo, to ona wbiła ci do głowy te wszystkie wymysły: nirwana, ból, nienawiść do ciała, wolność za wszelką cenę... i nagle Judy już nie chciała być emo.

Frau Berta wolno zsuwała się z fotela z najprawdziwszej skóry, ryzykując, że rozbije tyłek o nieskazitelne marmurowe płyty. Z kolei Yovany, wyzbyty arogancji i pewności siebie, wyglądał, jakby w ciągu paru minut zapadł się w sobie. Conde mu się przypatrywał i nagle ogarnął go smutek, co często przydarzało się w podobnych okolicznościach. Ten chłopak, który miał w życiu takie szczęście, który mógł cieszyć się przywilejami i luksusami, o jakich nie śniło się większości jego rówieśników – jak nie śniło się Condemu ani ojcu Yovany’ego, Krukowi Abilio, w ich szkolnych latach, kiedy mieli po jednej parze połatanych butów – ten chłopak, zwerbowany do plemiennej wyzwolenczej krucjaty, przesłał sobie życie. Nieodwołalnie i na zawsze. „Ciermiste są drogi odkupienia i wolności”, pomyślał Conde.

– To ja wrzuciłem ją do studni... ale pocięła się sama. Nie zgwałciłem jej, kochaliśmy się, bo tak wyszło...

– Manolo pochylił się do przodu i zdecydował, że teraz przyszła jego kolej.

– Ale dałeś jej narkotyki...

– Nie... Kupiła je od Włocha, swojego przyjaciela... Bocellego... Ten wyjazd to był pomysł Judy. Była tam kiedyś na wycieczce młodych odkrywców i wtedy znalazła tę studnię... Lubiła to miejsce, nie mam pojęcia dlaczego, zwykłe pole. Judy miała takie pomysły... Kiedy tam dojechalśmy, zażyliśmy to świństwo... i wtedy wszystko się popieprzyło. Mieliliśmy odlot... kochaliśmy się, rozmawialiśmy o sznytowaniu, o innym życiu, takie tam pierdoły. Wtedy powiedziała, że zrywa z emo, bo odkryła inny wymiar duchowości. Odkryła, że Bóg nie umarł, a może zmartwychwstał, nie pamiętam, w każdym razie istnieje. Bóg istnieje...! A na dowód kazała mi pociąć sobie ramię. Miała skalpel, zawsze go nosiła... Przez te prochy byłem na haju i zacząłem się trochę sznytować... Ale ona cięła się na ostro, poprzecinała sobie żyły od góry do dołu. Judy była szalona, chciała się zabić, chciała zobaczyć Boga... Taki wybrała sposób, żeby skończyć z emo...

– Ale kiedy wrzuciłeś ją do studni, jeszcze żyła...

– Myślałem, że nie żyje, przysięgam... Była cała we krwi, nie ruszała się... A co miałem zrobić? Zostawić ją na pożarcie psom i sępom?

– Miałeś komórkę, dupku. Mogłeś zadzwonić na policję. Wtedy to, co mówisz, byłoby bardziej wiarygodne niż teraz.

– Musicie mi, kurwa, uwierzyć! Na tym zasranym polu nie ma zasięgu! Judy była naćpana, zachowywała się jak wariatka i sama się pocięła! Nie wiem, czy jej się ręka omsknęła, czy chciała się załatwić na amen...

Yovany krzyczał i szlochał.

– Chciałbym ci wierzyć, chłopcze, ale nie mogę – powiedział Manolo głosem tak cichym, jakby mówił o jakiejś błażej sprawie. – Poza tym uważam, że ukradłeś jej pięćset dolarów. Dlatego ją zabiłeś?

– Nie, przysięgam... Zostało jej tylko trzysta czterdzieści, resztę wydała na prochy. Mam te pieniądze na górze, nawet ich nie ruszyłem. Włożyłem je do książki, którą miała ze sobą.

Conde przypomniał sobie pewien szczegół: Alma mówiła, że tego dnia, kiedy widziała ją po raz ostatni, Judy, wychodząc z domu, niosła w ręce książkę.

– Co to była za książka? – zapytał, być może dlatego, żeby spaść kłamrą obraz Judy Torres.

– Czyściciel Dantego.

Conde zastanawiał się przez chwilę: ani postrewolucjonista, niejaki Cioran, ani nauki Buddy, ani tym bardziej Nietzsche. Nie *Piekle*, nie *Raj*, ale właśnie *Czyściciel*, zapewne miejsce, do którego się wybierała. Nie, nie da się spaść kłamrą obrazu Judy: ciągle był niedokończony.

Manolo jednak nie odpuszczał.

– Nie byłeś aż tak oszołomiony, skoro zabrałeś pieniądze, a przed stosunkiem założyłeś przerwa tywę.

– Zawsze zakładałam! Zawsze! Zakładałam, nawet jak jestem pijany albo naćpany! Musicie mi uwierzyć! Te pieniądze mam na górze!

Manolo kręcił głową. Conde skłonny był uwierzyć chłopakowi. Rozwikłał historię, która zdawała się nie mieć rozwiązania, i znów wszystko wymyka mu się z rąk. Tyle rozmyślań, poszukiwań, marzeń o wolności tylko po to, by jedno skończyło w więzieniu, a drugie w agonii na dnie studni, przemierzając Czyściec w pogoni za Bogiem. Katastrofa.

– Powiedz mi, Yovany – włączył się do rozmowy Conde – czy Judy wspominała coś o wielkim interesie, jaki zamierzał zrobić jej ojciec?

– Tak... w Wenezueli.

– Wiedziała, co to za biznes?

– Chyba coś z telewizorami i komputerami.

– Nigdy nie wspomniała o bardzo cennym obrazie?

Yovany z trudem tłumił szloch.

– Nie, nie... Nic mi nie mówiła o żadnym obrazie, a ja jej nie pociąłem, nie pociąłem...

Wybuchnął płaczem jak dziecko, którym w istocie jeszcze był. Ekspolicjanta płacz mężczyzn zawsze bardziej wzruszał niż łzy kobiet. Wyobraził sobie Yovany'ego w więziennej celi. Wieprze będą miały ucztę z tej bladej perły. Poczuł mdłości i zawroty głowy, jakby odżyło wywołane przecuciami nocne oszołomienie. Na lśniących marmurowych płytach pojawiła się ciemna, nieregularna gwiazda, złożona z plwocin, resztek kawy, alkoholu i smutku.

W sierpniu kubańskie lato może doprowadzić do rozpacz. Bezlitosny skwar, lepka wilgoć, która wzmagą pot i smród, deszczowe opary zamieniające tlen w duszący gaz są w ciągłym natarciu, siejąc dokoła spustoszenie i alergię, drażniąc skórę, mącąc spojrzenia i stan ducha.

Conde wiedział, że ten meteorologiczno-klimatyczny drapieżca nie sprzyja podejmowaniu ważnych decyzji. Zwlekał jednak już zbyt długo, więc krążąc przetartym szlakiem między domem chudego Carlosa i domem Tamary, postanowił wreszcie zabrać głos.

Pierwszą część wieczoru poświęcił na rozmowy z Chudzielcem i Królikiem, toczone w cieniu butelki rumu. Dialog stawał się coraz bardziej melancholijny i nostalgiczny, jakby żaden z przyjaciół nie chciał opuścić kojącej jaskini wspomnień, by wyjść na zewnątrz, w oślepiające światło teraźniejszości, która kojarzyła się ze starością i brakiem większych oczekiwań, a na domiar złego padła ofiarą morderczej kanikuly. W trakcie rozmowy, gdy pot zalewał mu oczy, Conde, wiedziony jakimś nieokreślonym impulsem, poczuł, że już dłużej nie zniesie ciężaru, który przytłaczał jego ducha. Wtedy zapadł w przeciągające się milczenie.

Carlos, który znał go jak nikt inny, a poza tym nigdy nie mógł się powstrzymać od rozwiązywania dylematów przyjaciół, spróbował go wy badać, najdelikatniej jak potrafił.

– W mordę jeża, co z tobą, dzikusie? Czemuś taki małowówny, co?

Mimo że kąpał się trzy albo cztery razy dziennie, polewając się na patio wodą z węża, Chudzielec wydzielał intensywny, kwaskowaty zapach wywołany nadmiarem tłuszczu w organizmie. Conde spojrzał na niego i poczuł się zdruzgotany. Ale nie miał najmniejszej ochoty na zwierzenia, chociaż wiedział, że Carlos łatwo nie ustąpi. Albo mu coś powie, albo go ukatrupi. Poszukiwał kompromisowego rozwiązania, dającego możliwość odwrotu.

– Jestem upierdzielony... chyba przez ten cholerny skwar...

– Tak, w tym roku upały są nieznosne – poparł go Królik, najbardziej trzeźwy z całej trójki. – Zmiany klimatyczne... świat schodzi na psy i jest do dupy...

– Tak, ale nie tylko to mam na myśli... – zawyrokował Carlos, ucinając możliwość wycofania się przez apokaliptyczną furtkę uchyloną przez Królika.

Conde pociągnął łyk. Ten obrzydliwy rum z pewnością był haitański.

– Mój ślub z Tamarą...

Carlos zerknął na Królika z niemym pytaniem: „A co ma piernik do wiatraka?”

– Coś ci mówiła? – zapytał.

– Nie, nic nie mówiła...

– No więc? – Carlos wykazał się brakiem zrozumienia.

Od czasu gdy Conde poruszył w rozmowie z Tamarą temat małżeństwa, to, co zawsze było marzeniem, możliwością, bliższym lub dalszym celem, przekształciło się w plan ekspresowy, wywołując napady duszności, a ostatnio dokuczliwe bóle żołądka, które niemal przyproważyły go o wymioty. Problem polegał na tym, że sam nie rozumiał przyczyn takiej reakcji. Nie był też pewien, w jakim celu stukał do tych drzwi. A teraz tym bardziej nie miał pojęcia, czy powinien wejść, czy odwrócić się na pięcie. Pragnienie, by dzielić życie z tą kobietą, pozostawało niezmiennie i trwałe. Doskonale wiedział, że ślub będzie tylko formalnością, prawną lub społeczną umową, co na jedno wychodzi, łatwą i do zawarcia, i do rozwiązania, w każdym razie w określonym czasie i miejscu. Skąd więc bierze się ten przemożny, małostkowy, zdradziecki strach? Dla siebie samego i dla innych Conde miał tylko jedną odpowiedź: bez

względu na to, czy chce się ożenić, czy nie, zaakceptować mniej lub bardziej wyzwania, jakie niesie wspólne życie, nawet przy założeniu, że Tamara przyjmie go z dobrodziejstwem inwentarza (także pieskiego inwentarza w postaci Śmiecia II), w chwili gdy zostanie jego żoną, zagrożona będzie jedna z niewielu rzeczy, które mu pozostały: wolność. Wolność do upijania się lub nie, do dzielenia łóżka z psim włóczęgą, do kupowania lub niekupowania książek, do konania z głodu lub obżerania się ponad miarę, do odmowy pisania, do życia jak parias, do przeżywania melancholii bez konieczności tłumaczenia się z tego stanu ducha, a wreszcie do poświęcenia całego swojego czasu na poszukiwanie emo, która z kolei tropiła zmartwychwstałego Boga i miała nadzieję, że go odnajdzie. Sprawy ulegną dalszej komplikacji, gdy do tych ewentualnych strat dojdzie marzenie Tamary o spokojnym życiu, czego zawsze pragnęła i z czego, dobrze to wiedział, nigdy nie zrezygnuje. A miłość? Ile jest prawdy w powiedzeniu, że miłość pokona wszystkie przeszkody? Czy on, Conde, potrafi pogodzić się z rutyną? Miał co do tego wątpliwości. Po co spieszył to, czego lepiej było nie ruszać?

– Nic takiego, Chudzielcu... Nie chcę się żenić i nie chcę stracić Tamary. A jeśli jej powiem, że w głębi ducha nie chcę się żenić, że boję się spróbować kolejny raz, to...

Carlos dopił swój rum. Spojrzał na Królika, a potem na Condego.

– Powiedzieć ci coś?

– Nie – padła natychmiastowa odpowiedź.

– I tak ci powiem: sam się w to wpakowałeś... to jeb się teraz. Ale uważaj, żebyś się za bardzo nie przejechał, bracie. I tak już jesteśmy pojebani...

Godzinę później, kiedy stał przed domem Tamary i przyglądał się podpatrzonym u Picassa i Lama postaciom z betonu, które budziły w nim niezmienny zachwyt, Conde obmyślił swoją strategię. Oby się zbyttno sam nie zająbał.

Tamara była w pracowni należącej kiedyś do jej ojca, a potem do pierwszego męża, już świętej pamięci Rafaela Morina. W miejscu, gdzie Conde mógłby cieszyć się wszelkimi wygodami i prywatnością niezbędną do podjęcia wciąż odkładanych planów literackich, czyli pisania odrażających i wzruszających historii, jak ten skurwiel Salinger, który... Klimatyzacja poskromiła temperaturę powietrza o dwieście stopni, poprawiając Condemu stan ducha.

Tamara wypełniała rubryki w dokumentach, które następnego dnia miała dostarczyć do kliniki stomatologicznej.

– Ciekawe, czy naprawią nam fotele dentystyczne, czy zainstalują lampy, czy dostaniemy mydło do mycia rąk i ręczniki do wycierania, czy zawsze będzie woda, czy nie zabraknie narzędzi, czy dowiozą rękawiczki...

– A jak wrywacie ludziom zęby? Nitkami, jak mleczaki dzieciom? – dopytywał się Conde.

– Prawie – przyznała Tamara.

Conde odetchnął głęboko i niezwłocznie przeszedł do ataku.

– Słuchaj, chciałem cię o coś zapytać... Trochę się boję, ale nie mam innego wyjścia, bo... Tamaro, czy ty naprawdę masz mnóstwo chęci i zapału do zamążpójścia?

Conde zaakcentował słowo „mnóstwo”, które od jakiegoś czasu uporczywie go prześladowało. Ile to jest mnóstwo chęci?

Ona odłożyła długopis i zdjęła okulary. On, co było do przewidzenia, poczuł dreszczę. Ze strachu.

– Dlaczego pytasz?

– Nie zaczynaj, Tamaro. Odpowiedz mi...

Teraz ona westchnęła.

– Szczerze mówiąc, wszystko mi jedno... Jak dla mnie, to i tak już żyjemy jak małżeństwo. Prawie, prawie... Ale ty się upierasz, żeby podpisać papierek... I dlatego zanim się spieszy to, co mamy, wyjdę za ciebie, skoro mnie o to prosisz, skoro tak ci na tym zależy...

Niczym świeża krew spłynęło po nim odczucie ulgi. Był niemal szczęśliwy.

- Tamaro, mam taki oto pomysł: skoro tak jest dobrze, postarajmy się tego nie spieprzyć.
- A co z pierścionkiem? – zaniepokoiła się.
- Jest twój. Noś go.
- A poranna kawa?
- To należy do mnie.

Tamara wzięła do ręki długopis i uśmiechnęła się.

- A cała reszta?
- Reszta jest twoja... A jeśli pozwolisz, będziemy tego używać wspólnie.

Tamara wstała.

– Mario Conde, dlaczego jesteś taki miękki i taki skomplikowany?
– Dupek jestem – stwierdził i pocałował ją. Był to długi, wilgotny i podniecający pocałunek, sprowokowany nie tyle przez zew hormonów, ile przez ogromną ulgę. W tym momencie Conde poczuł, że ma mnóstwo chęci, by poślubić tę kobietę, którą najlaskawszy z kosmicznych planów postawił na jego drodze. Ale jednym stanowczym kopniakiem odsunął tę chęć od siebie i skupił się na całkiem innych chęciach.

Na dworze upał wypalił miasto, jego ulice i domy. Wypalił nawet jego mieszkańców i te nieliczne marzenia, które jeszcze mieli.

Z rogu ulicy Mayía Rodríguez, oddzielony pasem jezdni, mógł ogarnąć jednym spojrzeniem dwupiętrową willę, w której przed zaledwie kilkoma tygodniami mieszkała Judy Torres, i widoczny w oddali zrujnowany budynek, gdzie Daniel Kamiński spędził najszcześniejsze lata życia i gdzie powróciło doń uczucie strachu. Conde latami unikał grzebania się w życiu innych ludzi. Na próżno. Albowiem stąd, z tego właśnie miejsca, wzięły swój początek dwie historie o śmierci i w odstępie paru miesięcy podążyły na jego spotkanie, obie wprowadzone w ruch przez tę samą siłę sprawczą: determinację polskiego Żyda, który przestał wierzyć w Boga, postanowił zostać Kubańczykiem i stojąc na najbardziej wyboistym rozstaju życia, powziął zamiar zabicia człowieka winnego skazania na zagładę jego rodziców i siostry. Te dwie historie, pozornie tak odległe, zbiegły się dokładnie w tym samym miejscu, na rogu jednej z hawańskich ulic, gdzie stał teraz Conde i ocierał twarz z potu, zmagając się z bezwstydnym sierpniowym żarem. Dumał nad tym, jak się tworzą, biegną, zakręcają, a czasem przecinają ścieżki życia różnych dalekich sobie ludzi. Ale to nie sąsiedztwo obu domów, w istocie przypadkowe, ani rola, jaką nieświadomie odegrała Yadine, stając się ogniwem łączącym obie sprawy, ani nawet powracający tak uporczywie wątek obrazu namalowanego trzy stulecia temu przez Rembrandta napawały go największym niepokojem. Najbardziej trwożyła go wspólnota pobudek, jaką wiedząc to, co teraz wie, dostrzegła w dążeniach Daniela Kamińskiego i Judith Torres, dwojga ludzkich istnień, z których każde na swój sposób, zależnie od możliwości, usiłowało odnaleźć własne, świadomie wybrane miejsce, przystań, gdzie można się schronić, móc o sobie suwerennie decydować, uwolnić się od wszystkich zewnętrznych nacisków. I oboje ponieśli konsekwencje owego pragnienia wolności.

Poczucie dezaprobaty wobec samego siebie i wobec świata, spowodowane ujawnieniem całej prawdy o Judy, nie opuszczało go przez kilka tygodni, choć z czasem, co nieuniknione, zaczęło ustępować. Aby przyspieszyć ów proces i zrzucić z siebie to lepkie brzemie, Conde postanowił pozbyć się jedynych łączących go z Judy dowodów materialnych i oddać Almie Turró, babci zamordowanej dziewczyny, notes z telefonami oraz DVD z *Lowcą androidów*, która dzięki niemal poetyckiemu skojarzeniu otworzyła mu drogę do poznania prawdy. Dlatego stał teraz na tym rogu i przyglądał się obu domom, trzymając w dłoniach notes i płytę, zapowity w myślach, nieskory do działania.

Jeżeli tam wejdzie i porozmawia z Almą Turró, to co ma jej powiedzieć? Judy nie żyje, częściowo z własnej woli, po części z powodu fundamentalistycznych idei wolnościowych, które umiała wzniesić u innych; ale była martwa, pochowana, jej babcia zaś znała już szczegóły tamtych wydarzeń. A słowa

pociechy, jak świetnie wiedział Conde, jeszcze nikomu nie przywróciły życia. Mieszkańcy tego domu, którzy mogli być zwykłą rodziną, stali się ofiarami rozpadu. Jedna córka martwa, druga na emigracji w Miami, ojciec oskarżony o korupcję, babcia i matka przytłoczone nawałą nieszczęść. Kara niebios za grzechy popełnione w przeszłości i popełniane nadal? Diabelska zapłata za oszustwa i ambicje? Boska przestroga dla Judy za jej przekonanie, że Bóg umarł, został pochowany, a na koniec poddał się recyklingowi...? Ateista, jakim pozostał w głębi ducha Conde, nie był skłonny zaakceptować transcendentnych rozwiązań rodem z Olimpu, dlatego opowiadał się jedynie za trywialnym splotem przyczyn i skutków. Nie igraj z tym, co nie należy do ciebie: ani z pieniędzmi, ani tym bardziej z iluzjami i duszą innych ludzi. Jeśli to robisz, zawsze prędzej czy później (to prawda, czasem z dużym opóźnieniem) dosięgnie cię karząca strzała, filozofował Conde.

Zdecydował się zatem na rozwiązanie w stylu kłusownika. Przeszedł przez furtkę, dotarł cichcem do pomalowanych na biało drzwi i położył na progu płytę i notesik. I uciekł jak złodziej. Musiał biec jak najszybciej, odejść jak najdalej od tej przygnębiającej historii.

Zapalił papierosa i ruszył w górę ulicy Mayía Rodríguez, w stronę domu Tamary, znów tylko narzezonej, czując się uwolniony od ciężaru. Kiedy dotarł na miejsce, zdyszany i mokry, pozdrowił posągi z betonu i otworzył drzwi. Ledwie postawił stopę za progiem, uświadomił sobie, że ten skrawek przestrzeni jest, przynajmniej dla niego, najlepszym z możliwych światów. Na co się skarżysz...? Na życie: na coś muszę się skarżyć, powiedział w myślach i zamknął za sobą drzwi.

GENESIS

Mając skończone pięćdziesiąt pięć lat, Mario Conde nigdy nie był w Amsterdamie (ani w żadnym innym miejscu poza czterema ścianami Wypsy). Najdziwniejsze było to, że w ciągu już całkiem długiego życia myśl o perspektywie takiego wyjazdu, mniej lub bardziej realnej czy też możliwej, nigdy nie przyszła mu do głowy. Ma się rozumieć, w dzieciństwie marzył o podróży na Alaskę. Tak, na Alaskę, z grupą poszukiwaczy złota. Już jako osoba dorosła, z pisarskimi aspiracjami, miał ochotę zobaczyć Paryż, lecz przede wszystkim pragnął pojechać do Włoch, o czym też marzył jego zmarły przyjaciel Iván. Ale zawsze były to tylko marzenia, niemożliwe do zrealizowania z przyczyn materialnych i z powodu przynależności do kraju o zamkniętych praktycznie granicach, obwarowanych dekretami i zakazami, o czym przypomniała mu Judy. A on wiedział, że marzenia to tylko marzenia. Stąd też, jak inni osiadli na stałe podróżnicy, przemierzał świat za pomocą książek i to mu wystarczało.

List, który właśnie skończył czytać, znów przywołał nieoczekiwane pragnienie zobaczenia Amsterdamu, miasta przepełnionego mitami czasów dzisiejszych i minionych, gdzie, jak mawiano, niegdyś panowała niezwykła atmosfera wolności i gdzie nadal rządzi tolerancja wobec przywar i cnót, wiary i niedowierzania. Miasto, w którym buntowniczy Rembrandt obnosił swoją dumę, sławę, kaprysy, lecz także wykluczenie i końcowe ubóstwo, być może dobrowolne, z którego triumfalnie się uwolni, a nawet któregoś dnia powróci do swojego domu, skąd wygnali go wierzycciele. Ten bowiem dom, który musiał opuścić jako człowiek przegrany, ze spuszczoną głową, mógłby być tylko i wyłącznie domem Rembrandta. Wzloty i upadki, zawsze poniewczasie.

Mario Conde, wieczny porucznik bez awansu, należał do osób, do których nie ma kto pisać. Dlatego też od wieków nie dostał prawdziwego listu. Nie rachunku za telefon albo notki od Andresa przesłanej niemal dwa lata temu. Nie. Prawdziwego listu: z kopertą, znaczkami, stemplami, adresem i nadawcą, oczywiście z zapisanymi w środku kartkami i... dostarczonego przez listonosza.

Nadawcą listu w żółtej kopercie był nie kto inny, tylko Eliasz Kamiński; pod jego nazwiskiem figurował adres hotelu Seven Bridges w Amsterdamie w Królestwie Niderlandów. Nie otworzywszy przesyłki, którą listonosz włożył do jego pełnej wdzięczności ręki, Conde poszedł do kuchni, nastawił imbryk z kawą i poszukał paczki papierosów. Tak bardzo zaintrygował go list w szafranowej kopercie, że świadomie opóźniał jej otwarcie, aby jak najdłużej rozkoszować się tym niezwykłym faktem. Od wyjazdu z Kuby malarz kilkakrotnie do niego dzwonił. Najpierw aby podziękować za pomoc podczas pobytu w Hawanie, który uwolnił go od tyłu trosk, a potem żeby zdać relację z podjętych przez siebie starań w sprawie prawa własności do obrazu Rembrandta, a jeszcze później – aby opowiedzieć o zmianach, jakie zaszły w procesie sądowym w wyniku informacji o peregrynacji nieszczęsnego obrazu z Hawany do brytyjskiego domu aukcyjnego.

Popijając kawę, ostrożnie rozciął kopertę i wyciągnął z niej pocztówkę oraz kilka kartek, z których część zapisana była odręcznie po obu stronach. Przez kilka minut przyglądał się pocztówce z domem, w którym długo mieszkał Rembrandt, dziś zamienionym w muzeum, przy ulicy zwanej wówczas Szeroką Ulicą Żydowską. Nabrał ogromnej chęci, by dogłębnie poznać to sanktuarium, gdzie ów niespokojny mistrz stworzył tak wiele dzieł, z głową młodego Żyda nazbyt podobną do chrześcijańskiego wizerunku Jezusa z Nazaretu włącznie, a które to płótno bezwiednie zagnieździło się w jego własnej głowie. Kilka minut później, gdy czytał zapisane kartki, jego duch, poruszony widać tym uczuciem bliskości, niemal mimowolnie wędrował między słowami, które porywały go ku światom znanym Condemu tylko z lektur i opowiadań. „Konieczność”, pomyślał, „muszę na nowo przeczytać Armię konną. Czy Izaak Babel nie był też Żydem?”

Wiosna w Amsterdamie objawia się niczym dar Stwórcy. Wszystko budzi się do życia, wyrwane z le targu lodów i chłodnych, zimowych wichrów, które przez kilka miesięcy trzymają miasto w okowach i nekają jego mieszkańców, zwierzęta i kwiaty. Choć temperatura rośnie ospale, przez znaczną część dnia świeci kwietniowe słońce, głosząc powszechne odrodzenie życia. Eliasz Kamiński znał już i doceniał te epifanie objawiane przez naturę, więc postanowił zaczekać na tę właśnie porę roku, aby pojechać do miasta, gdzie wszystko się zaczęło, nim jeszcze nastąpiła połowa XVII stulecia, a Amsterdam zaczął wykuwać chwalebłą epokę rozkwitu malarstwa holenderskiego.

Być może jeden z owych kosmicznych planów, które naznaczyły dzieje Żydów i zdeterminowały jego własne losy, wikłając w to jeszcze Condego – zapisał swoje myśli Eliasz Kamiński – zdecydował o podróży do tego miasta dokładnie w momencie, gdy nastąpiło pewne zdumiewające wydarzenie: opo- dał domu, w którym mieszkał Rembrandt, na pchlim targu nad kanałem Zwanenburgwal, gdzie sprzedawa- no stare mosiężne dzbanki, nadłamane kandelabry, podstawki do lamp z brązu, serwisy kieliszków i talerzy równie wiekowe jak zdekompletowane, kilka miesięcy wcześniej pewien kolekcjoner dawnych dokumentów kupił za śmieszne pieniądze tafelet czy też szkicownik, zapewne, sądząc po stylu rysunk- ów, należący do jakiegoś siedemnastowiecznego adepta malarstwa. Na skórzanej, mocno wypłowiałej z biegiem lat okładce wyryto inicjały E.A.

Tafelet zawierał rozmaite studia głowy jakiegoś brodatego starca, niewątpliwie Żyda, ponieważ na wielu szkicach sporządzonych piórkiem lub ołówkiem pojawia się on z jarmułką na głowie lub w blasku świec memory. Równie liczne były wizerunki mniej więcej dwudziestoletniej dziewczyny, portretowanej z rozmaitych perspektyw, nie zawsze ukończone, wszystkie jednak niezmiennie oddawały harmonię ry- sów oraz podkreślały głębię oczu i spojrzenia. Kajet zawierał również widoki, a raczej ich wstępne szkice, podmokłych pól położonych zapewne w pobliżu Amsterdamu, rysunki, które do złudzenia przy- pominały styl niektórych sztychów i rycin Rembrandta o tej samej tematyce. Jednak największe zainte- resowanie nabywcy, a później specjalistów od klasycznego malarstwa holenderskiego, którym antykwari- usz niezwłocznie przekazał szkicownik do ekspertyzy, wzbudziło dziewięć portretów młodego męż- czyzny o wyraźnie żydowskich cechach, wykazujących niepokojącą zbieżność z rysami anonimowego modelu, którym posłużył się Rembrandt w cyklu tronies Chrystusa, a także w portretach żydowskiego młodzieńca, jak alternatywnie je nazywano. Czyżby był to ten sam model, wykorzystany zarówno przez Rembrandta, jak i ucznia? Na skutek narastających wątpliwości sprawa obrała zgoła nieoczekiwany obr- ót. Wieść o istnieniu dziwnego szkicownika, zawierającego też inne zagadki i tajemnice, dotarła do uszu Eliasza Kamińskiego, gdy tylko stanął w mieście.

Kiedy specjaliści z laboratorium Rijksmuseum, poddając tafelet oględzinom, rozłożyli go na części, odkryli w środku tajemną skrytkę: pod mocno uszkodzoną skórzaną obwolutą znaleźli kilka spisanych odręcznie kartek. Było jasne, że jest to list, i choć brakowało pierwszej części, zachowała się cała reszta aż do końca. List, odznaczający się wymyślną kaligrafią, napisany w siedemnastowiecznym języku ni- derlandzkim i podpisany tymi samymi inicjałami E.A., zapewne właściciela tafeletu, opisywał jeden z epizodów masakry Żydów w Polsce w latach 1648–1653, której E.A. był naocznym świadkiem i z ja- kiegoś powodu zdał z tych wydarzeń relację swojemu „Mistrzowi”, jak nazywał adresata. Zanim Eliasz Kamiński podzielił się z Condem swoimi przemyśleniami i wnioskami, przesłał mu fragment znalezio- nego w tafelecie listu w tłumaczeniu specjalisty od kultury sefardyjskiej w siedemnastowiecznej Holan- dii... zarazem przepraszając, że każe mu to czytać. Zaintrygowany prośbą o wyrozumiałość, Conde za- brał się do lektury urywka znalezionej listu, nawet się nie domyślając, jakie mroczne zakamarki ludz- kiej duszy się przed nim odsłonią od pierwszej do ostatniej linijki tekstu.

„...nieustannie dochodzą do moich uszu krzyki ludzi ogarniętych paniczną trwogą, zmuszonych do rozpaczliwej ucieczki, by ratować życie. Ludzi przerażonych widokiem najbardziej okrutnych tortur, jakim człowiek może poddać swego bliźniego, świadomych swego losu wobec odoru spa-

lonego ludzkiego mięsa, krwi i padliny, który zawładnął tym nieszczęsnym krajem. Niebawem zrozumiecie powody, dla których uciekają ci ludzie, ale wierzcie mi, Panie, niezdolny jestem wyrazić to, co oni przeżyli, ni odmalować obrazów, jakie za sprawą ich opowieści wdarły się w moją duszę. Nawet wielki Dürer, który taką trwogą nas napawa swymi odwiecznymi w piekle, przez wielu uważanych za wytwory chorego umysłu, nie znalazłby stosownego sposobu, by pędzłem sportretować to, co działo się i nadal dzieje na tych ziemiach. Żadna imaginacja nie podolałaby tak dalekiej podróży w świat koszmaru, jaką odbyła rzeczywistość na tych ziemiach.

Idąc w ich ślady, także czym prędzej wyjechałem, ale w przeciwnym kierunku, w poszukiwaniu jakowegoś wyłomu, który doprowadzi mnie do ekspiacji za wszystkie moje grzechy, a być może do doświadczenia największego z cudów. Albo powiedzie mnie do śmierci.

Pozwól mi, Panie, że wpierym Ci antecedencję. Dzięki rozmowom, które odbyłem w ciągu pierwszych tygodni mego pobytu w tym kraju, wywiedziałem się nieco o obyczajach Izraelitów, a mieszka tu ich siła. Zdziwiło mnie, że od lat zaznają licznych korzyści, żyjąc na tych ziemiach, i z tej przyczyny w tutejszych miastach osiadło wielu aszkenazyjczyków wywodzących się ze Wschodu, także z carskiej Rosji, a niemało z nich dorobiło się ogromnych fortun. Krąży pośród nich osobliwe powiedzenie, które, jak mniemają, trafnie oddaje ich położenie: Polska, mawiają, jest rajem dla Żydów, piekłem dla włościan i czyścem dla plebsu... nad wszystkim zaś z wyżyn pieczę sprawują możni nazywani szlachtą, panowie ziem i dusz. Jak się wywiedziałem, wiara w istnienie tego żydowskiego rajku ufundowana jest na statutach politycznych, znacznie korzystniejszych niż w jakimkolwiek innym europejskim kraju. W tym królestwie synowie Izraela cieszą się całkowitą wolnością praktyk religijnych, sprawowanych przez niezliczoną rzeszę rabinów, mędrców biegłych w Torze i komentatorów kabały, i to oni są przywódcami wspólnoty. Mimo to, w przeciwieństwie do Amsterdamu, wobec Żydów utrzymuje się wrogość, zarówno pośród bizantyjskich chrześcijan zwanych ortodoksami (należą do nich najubożsi Polacy), jak i chrześcijan rzymskich, która bierze się z tego, że najpowszechniejszym zajęciem tych aszkenazyjczyków jest udzielanie pożyczek szlachcie i zarazem ściąganie podatków i trybutów od włościan. Sposób jest prosty i przemyślny: możni panowie biorą pieniądze od Hebrajczyków i spłacają je długami chłopów uprawiających ziemię, a ściąganie należności powierzają Hebrajczykom. Jak możecie sobie wyobrazić, skoro poborcami dokuczliwych trybutów są Żydzi, to wedle chłopów oni są ciemniźcielami, a nie szlachcic, który jest Polakiem, człekiem wysokiego stanu i chrześcijaninem, chociaż opłaca swoje zachcianki i wystawne życie pieniędzmi pożyczonymi od synów Izraela.

Niedawna śmierć króla Władysława IV wzbudziła niepokój aszkenazyjczyków. Wazowie, sprawujący rządzą od ponad pięćdziesięciu lat, prowadzili wobec Żydów politykę tolerancji. Władysław, nim zmarł, był władcą tak zwanej Rzeczypospolitej Obojga Narodów, polskiego i litewskiego, był królem Szwecji, a na czas jakiś został nawet carem Rosji. Mawiają Polacy, iż przez jego śmierć stali się niby trzoda bez pasterza, ale palący problem sukcesji wkrótce został rozwiązany i berło przejął brat przyrodni Władysława, Jan Kazimierz, którego moi bracia w wierze zawsze uważali za męża roztropnego i łaskawego.

Kiedy zima poczęła ustępować, wybrałem się w tak długo odwiekaną podróż na południe. Jechałem konno po pokrytej jeszcze śniegiem ziemi, mając za przewodników dwóch aszkenazyjskich Żydów, którzy wędrowali do stolicy królestwa. Po kilku dniach odpoczynku w Warszawie podjąłem podróż w kierunku niezmiennie prowadzącym ku Krymowi nad brzegami morza zwanego tu Czarnym, skąd miałem udać się do Italii, co było moim marzeniem.

Dwa tygodnie zajęło mi dotarcie do miasta, gdzie obecnie przebywam, nazywa się ono Zamość, a mój przyjazd nastąpił w przeddzień święta Purim, z wielkim ukontentowaniem obchodzonym przez liczną wspólnotę hebrajską tamże osiadłą. Gdy tylko tam przybyłem, wnet nadeszły za mną alarmujące wieści: Kozacy z południa chwycili za broń, podnieśli rokosz przeciwko polskiej szlachcie i wspierani przez hordy Tatarów krymskich zmusili do ucieczki wojska królew-

skie strzegące granicy. Zdumiało mnie wówczas ogromne poruszenie, jakie wieść ta wzbudziła zarówno wśród Polaków, jak i Hebrajczyków. Dziś już wiem, że jeśli ma się do czynienia z tymi Kozakami, ich rebelia może mieć znacznie szersze następstwa.

Wiedz, Panie, że ci Kozacy są niczym wojownicze centaury. Mówią, że na swą służbę zaciągnął ich król Zygmunt August, który przed stu laty władał Polską. Wiedział on, jak wiele fransunku dla królestwa sprawa granica z Tatarami, zatem zrobił zaciąg, wybrał spośród nich trzydzieści tysięcy wojaków i utworzył armię kozacką. Za swe usługi otrzymali przywilej zwalnający ich z trybutów dla króla i szlachty. Lecz ten przywilej wnet wywołał bunt wśród pozostałych Kozaków, żądających tych samych praw, które dane były ich towarzyszom broni.

Początki obecnej rebelii sięgają kilku lat wstecz, kiedy to doszło do zatargu między chorążym koronnym³⁹ i dowódcą wojsk polskich a niejakim Bohdanem Chmielnickim, hetmanem, czy też atamanem, jak go zwą Kozacy. On to, znany także pod imieniem Chmiel, jest wyznania bizantyjskiego, podobnie jak niemal wszyscy wieśniacy, chociaż kształcił się u jezuitów i, jak mawiają, włada językiem polskim, rosyjskim, ukraińskim i łańskim, a został atamanem dzięki swemu doświadczeniu wojennemu i zawziętości, a także bogactwu, które posiadał. Jego pomyślność tak wielką wzbudziła zazdrość księcia, że ten wystąpił przeciwko Chmielowi. Skonfiskował połowę jego bydła, a Kozak, choć nie protestował, poprzysiął mu zemstę⁴⁰. Opowiadają Żydzi z Zamościa, że ataman udał się na południe i zdradził Tatarom krymskim sekretne plany polskiego dowódcy, który, jak twierdził, zamierza wszcząć przeciw nim wojnę. Kiedy powstałi Tatarzy, chorąży musiał szybko rejterować, bo jego wojsko było mniej liczne.

Wywiedziawszy się o tym, co zrobił Chmiel, chorąży kazał go uwięzić i ściąć za zdradę. Jednak Kozakom udało się uwolnić atamana. Chmiel ogłosił rokosz i wraz ze swymi kamratami zebrał ogromne masy ubogiego chłopstwa, było ich ponad dwadzieścia tysięcy, pod sztandarem walki przeciwko despotyzmowi szlachty i nadużyciom ich żydowskich popleczników, którzy wzbogacili się znojną pracą włościan wyznania ortodoksyjnego.

Nim Chmiel ruszył przeciwko wojskom szlacheckim, wszedł w alians z władcą tatarskim – zwą go chanem – i tak utworzył z obu sił legion liczący sześćdziesiąt tysięcy zbrojnych, który rozbił w puch wojska dowodzone przez chorążego. Jak było do przewidzenia, zwycięzcy, pijani sukcesem, dali upust swej nienawiści do nieprzyjaciół, dokonując mnogich mordów, porwań, gwałtów i szabrow, zarówno na katolikach, jak i na Żydach. Aby powstrzymać masakrę, wielu spośród małopolskiej szlachty zaczęło paktować z Chmielom i poprzysięgło mu wierność, jak wcześniej przysięgali królowi.

Możecie wyobrazić sobie, Mistrzu, jaki strach padł na mieszkańców tego miasta, gdy nadeszły owe wieści, a jeszcze większy, gdy w kilka dni po święcie Purim Chmiel i jego Kozacy ogłosili wojnę świętą, jak to niektórzy z nich nazwali, która będzie trwała, zapowiedział Chmiel, dopóki nie skończy się wyzysk uprawiany przez pasożytniczą szlachtę i jej żydowskich pomagierów...

Wszystkie te zebrane dotąd informacje uzyskałem od naocznych świadków, Żydów, którzy zdołali ująć z miasta Niemirów oraz Tulczyna i Połonno, by znaleźć schronienie w Zamościu, gdzie i ja z racji wydarzeń utkwilem niczym w potrzasku. Zrazu, słuchając ich, nie dawałem wiary, by mogły dziać się takie okrucieństwa, i gotów byłem przypisać je omamieniom wynikłym z pogłosek... Horror zapanował pod koniec 20 adar, dzień Szabatu, kiedy Kozacy i Tatarzy w sile ponad stu tysięcy zbrojnych podeszli pod miasto Niemirów, gdzie, jak usłyszałem, w pomyślności żyła (nie bez przyczyny używam czasu przeszłego) liczna i bogata wspólnota żydowska, rozślana obecnością znamienitych mędrców i pisarzy. Kiedy Żydzi dowiedzieli się, że armia, a tak wielkiej dotąd jeszcze nie widziano, zbliża się do miasta, nie wiedzieli, czy jest to wojsko polskie, czy hordy Kozaków i Tatarów, niemniej postanowili schronić się w twierdzy wraz ze swymi rodzinami i majątkością. Inni zaś Hebrajczycy, bardziej niż tamci nieufni, porzucili swe domy i dobytek, by z dala obserwować bieg wypadków.

Kiedy już nie było dla nich ratunku, Żydzi z Niemirowa dowiedzieli się, że podczas gdy oni i szlachta zamknięci byli w twierdzy, ataman Chmiel wysłał kilku ludzi do miasta, aby uzyskać pomoc od mieszczan przeciwko Żydom, co byli przyczyną wszystkich ich nieszczęść. Alians został zawarty i wówczas Kozacy podnieśli polskie chorągwie i podeszli pod mury miasta, pozorując wojsko królewskie, a w ten czas mieszczanie ogłosili, że to polskie oddziały, zatem rozwarły się bramy twierdzy.

Wtedy jak jeden mąż Kozacy, Tatarzy i mieszczanie dali upust swej nienawiści i żądzy grabieży, wtargnęli do środka z wszelaką bronią w ręce i rzucili się na Żydów. Wnet dokonali masakry niezliczonych Hebrajczyków i gwałtów na kobietach, nie bacząc na ich wiek. Wiele dziewcząt, by uniknąć pohańbienia, wskoczyło do pobliskiej cysterny, która zaopatrywała twierdzę w wodę, i tam się potopiło. Ale dopiero wtedy, gdy napastnicy zdobyli główny dziedziniec, zostawwszy za sobą mnóstwo zabitych mężczyzn i zgwałconych kobiet, rozpoczęła się najstraszliwsza masakra: nieludzka, wszeteczna i wyrachowana zbrodnia... Upojeni nienawiścią, alkoholem i żądzą odwetu Kozacy imali się wszelkich możliwych sposobów, by zadać większe cierpienie i bardziej wyrafinowaną śmierć. Jednych obdzierano ze skóry i ciała rzucano psom na pożarcie; drugim obcinano ręce i nogi, a tułów rzucano na drogę pod końskie kopyta; innym kazano kopać doły, po czym wrzucano ich tam żywych i tłuczono kijami, aż wydali z siebie ostatni jęk bólu; jeszcze innych żywcem ćwiartowano albo patroszono jak ryby, po czym wywieszano na słońcu... Ale skala okrucieństw nie sięgnęła jeszcze swych wyżyn: brzemieniom kobietom rozcinanano brzuchy i wyciągano płód; innym rozpruwano brzuchy i wkładano do środka żywego kota, a następnie obcinano tym kobietom ręce, aby nie mogły tego kota wyjąć. Małe dzieci zabijali pałkami albo roztrzaskiwali o mur, a potem piekli je na ogniu, przynosili ich matkom i zmuszali je do jedzenia, mówiąc: «To koszerne mięso, już wytoczyliśmy z niego krew»... Jak mówił rabin, który przyniósł do Zamościa te potworne wieści, nie było rodzaju śmierci, której by nie zadano Żydom. Ponad sześć tysięcy synów Izraela zostało zamordowanych w Niemirowie podczas tej orgii bestialstwa i sadyzmu, a wszystko w imię wiary i sprawiedliwości. Najstraszniejsze było to, że tak masakrowane ofiary nie stawiwały oporu, uznają bowiem, że z boskiej woli popadły w niełaskę.

Wiele kobiet uprowadzili Tatarzy jako branki i powiedli je do swoich ziem jako służące albo żony czy też konkubiny, zapowiadając, że je uwolnią, jeśli ktoś zapłaci za nie okup... Podczas gdy jedni Kozacy i Tatarzy dokonywali masakr i gwałtów, drudzy rabowali i rozkrajali zwoje Tory, robiąc z nich torby i onuce. Obwiązywali sobie nogi filakteriami i nosili je jak trofea. Święte księgi rozwłóczyli po drogach i chodzili po nich jak po kładkach.

Kiedy Samuel, tak nazywa się rabin, któremu udało się zbiec do Zamościa, zdawał nam relację z tych wydarzeń, byliśmy świadomi, że masakra świętej wspólnoty w Niemirowie była ledwie początkiem rzezi, której końca nikt nie potrafi przewidzieć, albowiem naporu Kozaków i Tatarów nie powstrzymają zgoła najmocniejsze mury, a na przybycie polskiego wojska na te ziemie długo przyjdzie czekać. Tak jak przeczuwaliśmy, tragiczny los Niemirowa był tylko prologiem do dziejów okrucieństwa, nim nastąpiła druga odłona w mieście Tulczyn.

Podczas gdy Chmiel, którego nazywano teraz «Mścicielem», pustoszył osady nad brzegami Dniepru, jeden z jego watażków, niejaki Krzywonos, ruszył na Tulczyn z zamiarem zdobycia tego miasta. Gdy o tych planach wywiedziało się dwa tysiące Żydów i szlachta polska szukająca tam schronienia, zawarli przymierze i poprzysięgli, że jedni nie zdradzą drugich. Wzmocnili twierdzę i obsadzili mury zbrojnymi, rychło w czas, gdy napastnicy, wiodąc ze sobą żelazne tarany, podeszli pod miasto. Kozaków były tysiące tysięcy, jak okiem sięgnąć morze głów, i wydawali tak potężny ryk, że zatrzwożyłyby się najwaleczniejsze serca. Ale obrońcy Tulczyna, pomni, że walczą o życie, zdołali ich odeprzeć.

Krywonos, wobec tego nieoczekiwanego oporu, postanowił zmienić taktykę. Podstępni Kozacy uradzili zawrzeć pokój ze szlachtą, obiecując, że nie tylko darują jej życie, ale nadto pozwolą zatrzymać majątek Żydów⁴¹. Szlachta, widząc, że dłuższy opór jest niemożliwy, zgodziła

się na to pod warunkiem, że to ona zarządzać będzie życiem Izraelitów. Ci poznali podstęp i uradzili, że stawia zbrojny opór⁴², ale przywódca wspólnoty⁴³ zebrał ich i rzekł, że skoro decyzją Przenajświętszego miasto ma zostać zdobyte, oni muszą się z tym pogodzić, wszak nie są więcej warci niż ich bracia z Niemirowa, którzy zginęli męczeńską śmiercią... I tak, nakłonieni przez rabina, by pogodzić się ze swym losem, a może pomni, że nie ma już dla nich ocalenia, oddali Żydzi wszystkie swoje dobra. Szlachta, kontenta z tego rozwiązania, otworzyła bramy twierdzy przed Kozakami. Książę⁴⁴, naczelnik szlachty, człek tak gruby, że niemal nie był w stanie się ruszać, rzekł do zdobywców: oto macie miasto, oto nasza zapłata. Po czym szlachta zabrała to, co przypadło jej na mocy porozumienia, i uwięziła Żydów, mówiąc, że to dla ich bezpieczeństwa.

Trzy dni później napastnicy zażądali od szlachty wydania więźniów, a ta, nie zastanawiając się długo, tak uczyniła, nie chciała bowiem zadrażnień z Kozakami. Ci przywieśli Żydów do obwarowanego ogrodu i tam ich trzymali przez jakiś czas. Było pośród więźniów kilku znamienitych uczonych, którzy zachęcali ich do uświęcenia imienia Najwyższego i przestrzegali, by pod żadnym pozorem nie zmieniali religii, przypominając, że koniec czasów jest już bliski, i by zatroszczyli się o losy swej duszy. Czemuż nie wezwali ich, by kijami, kamieniami i gołymi rękami walczyli o życie? Czemuż nie opór, tylko rezygnacja i uległość...? Kozacy, słysząc przemowę mędrców, postanowili wystawić na próbę moralną siłę Izraelitów i powiedzieli im, że kto zmieni religię, zachowa życie, za to reszta umrze w niewysłowionych katuszach. Powtórzyli to po trzykroć, ale żaden z tych Żydów nie wyłamał się i nie wyrzekł swego Boga. Wtedy rozwścieczeni Kozacy wpadli do ogrodu i sprawili bezbronnym straszną rzeź... W parę godzin wymordowali tysiąc pięćset osób w bestialski sposób, a jaki, to pominię, bo są to rzeczy powszechnie znane, a i pisać o nich sprawia mi zbyt wielką boleść. Wskutek interwencji Tatarów Kozacy zachowali przy życiu dziesięciu rabinów i wycofali się z miasta, wraz z młodymi brankami, rabinami i częścią łupu, głównie w złocie i perłach, które zgromadzili Żydzi. Po kilku dniach okazało się, że rabini zachowali życie dzięki okupowi, który dostarczyła zamożna wspólnota z Połonnego.

Kozacy jednakowoż byli poirytowani, albowiem poza krwią, którą z upodobaniem wytoczyli, niewiele zyskali ze zdobycia miasta. Dlatego też, aby odzyskać łup, zerwali przymierze ze szlachtą. Dając upust swym bestialskim swawolom, puścili z dymem twierdzę, potem przejęli łup po Żydach, przechwycony uprzednio przez szlachtę, by na koniec zadać katusze szlachcie. Krzywonos i jego kompani, w czym znajdowali upodobanie, pastwili się szczególnie nad niektórymi z możnych panów, zwłaszcza nad księciem, tym samym, który otworzył przed nimi bramy miasta. Na jego oczach pohańbili mu żonę i dwie córki, a potem zabawiali się dręczeniem go, aż pewien młynarz prawosławnego wyznania przystąpił do niego i wypomnił mu, że w zniewoleniu trzymał okolicznych biedaków, po czym nagiego popędził ulicami miasta niczym tuczone na rzeź prosię, aż do znużenia okładał go batem i za pomocą kija dopuszczał się aktów sodomii, a na koniec mieczem ściął mu głowę⁴⁵.

Gdy tylko doszła nas wieść o tej masakrze, przybyli do Zamościa liczni Żydzi, którzy zdołali ująć przed Kozakami podczas ich wypadów po drugiej stronie Dniepru, gdzie powtórzyły się wypadki z Niemirowa i Tulczyna. Ci, którzy ocalili z rzezi, donieśli nam, że Mściciel Chmiel zebrał armię liczącą pięćset tysięcy dusz i de facto sprawują pełnię władzy nad Małorusią, a tam wszędzie, gdzie postępuje, idzie za nim dziesiąta plaga, nie tylko bowiem Żydów morduje, lecz także burzy kościoły i księży wydate na męki. Ta ostatnia wiadomość podziałała jak balsam na dusze Hebrajczyków, jako że szlachta postanowiła odtąd nie wchodzić w żadne układy z Chmielem ani nie ufać jego zapewnieniom o pokoju i nie powtarzać błędu z Tulczyna, jakim było wydanie Żydów w ręce wrogów i jednych, i drugich.

Wysłuchawszy doniesień polskiej strony, teraz dopiero w pełni pojąłem, dlaczego mieszkańcy tego kraju oplakiwali śmierć króla Władysława IV i czuli się niczym trzoda pozbawiona pasterza. Widać trzeba było tylu strasznych wypadków z ostatnich tygodni, aby Jan Kazimierz zarządził interwencję wojsk królewskich oraz werbunek wszystkiej szlachty⁴⁶, pod groźbą, w razie odmowy

udziału w wojnie, utraty majątku i godności. Zapewne los panów z Niemirowa i Tulczyna oraz zamordowanych ojców Kościola zaważył w ogromnej mierze na tych dyspozycjach, ale także, jak mi nie wiadomo, okoliczności, które podobnie jak w innych znanych krajach tyle złego wyrządziły synom Izraela: status pożyczkodawców królestwa. Jeśli bowiem Kozacy i Tatarzy zagarną wszystkie pieniądze Żydów, ten kraj popadnie w ruinę. Jest rzeczą pewną, iż śmierć i ucieczka Hebrajczyków, w połączeniu z rabunkiem ich mienia, nieszczęściem odbije się na życiu królestwa, a zwłaszcza jego możnych i władców. Oby pieniąż stał się źródłem naszego ocalenia, a nie przyczyną naszej zguby, jak to się stało w Hiszpanii.

Parę dni temu, gdy już dotarliśmy do nas wieści o losie Tulczyna i innych miast na zachodnim brzegu Dniepru, ocalały z Niemirowa rabin imieniem Samuel zgodził się odbyć ze mną rozmowę. Usiedliśmy opodal baszt górujących nad miastem. Krajobraz u naszych stóp jawił mi się w swej niezwykłej urodzie i spokoju pośród obrazu cierpień. Lato nadeszło w pełnej krasie do tych małopolskich ziem, z ich bezkresnymi stepami i szeroko rozlanymi rzekami, gdzie ziemia rodzi bogactwo, lecz gdzie niesprawiedliwość, nędza i głód szerzą między ludźmi nienawiść, fanatyzm i pragnienie zemsty.

Całymi godzinami konwersowałem z rabim Samuelem. Odkąd słuchałem jego mowy w synagodze, zdał mi się człowiekiem bogobożnym. Czyni sobie wyrzuty sumienia, że udało mu się ująć z życia z Niemirowa, podczas gdy jego rodzina padła ofiarą furii, która spadła na to miasto. Z tego też powodu, kiedy go słuchałem, utwierdziłem się w przekonaniu, że ten człowiek jest najodpowiedniejszą osobą, bym mógł wypełnić nagłą dla mnie powinność: wyznać prawdziwe przyczyny, dla których przybyłem na te ziemie, których, coraz bardziej nad tym ubolewam, nigdy nie będę mógł opuścić. Chyba że Przenajświętszy sprawi inaczej i pozwoli mi, gdy już poznał, co poznałem, zrealizować jedyny cel, który teraz mi przyświeca: przyłączyć się do zastępów Szabetaja Cewiego. Mistrzu, barbarzyństwo i okropności mające tu miejsce, przeważały mnie, że jak głoszą niektórzy kabaliści, kres czasów jest już blisko, Szabetaj zaś istotnie może być Pomazańcem, który zjawił się na ziemi, gdy ta jęczy z bólu jak matka patrząca na śmierć swego dziecięcia... Tylko dlatego jestem w stanie pojąć, że Bóg Izraela, Wszechmocny, dopuścił, by jego synowie padli pastwą tak strasznego okrucieństwa. Jeśli tylko kara jest częścią kosmicznego planu wiodącego ku odkupieniu... Czyż nie tak, Panie?

Gdy się zagłębiałem w moje dzieje, rabi słuchał mnie w milczeniu, a na koniec rzekł, że boleje nad moim losem, którego jednak – wedle niego – mogłem uniknąć, przyznając się do swych błędów i suplikując publicznie, by zostało mi wybaczone moje mylne rozumienie Prawa. Już miałem zamiar odeprzeć te zarzuty, ale wnet pomiarkowałem dobroć tego człowieka, ponieważ stwierdził, że wedle jego opinii mój zamiar przyłączenia się do zwolenników Cewiego w Palestynie jest ze wszech miar słuszny: dzięki owej próbie wiary mogłem uładzić osobiste sprawy z Bogiem. I aby mnie ostatecznie przekonać, dodał: po tym, co wydarzyło się w Niemirowie, w osadach nad Dnieprem i w Tulczynie, moje herezje zdają się tak znikome, że nikt nie powinien zaprzęcać sobie nimi głowy, a raczej zastanowić się nad przyczynami, dla których ludzie wyrzynają się nawzajem.

Kiedy rabi wyznał mi, że zamierza udać się w podróż na północ, zapytałem go, czy mógłby zrobić mi uprzejmość i zabrać z Zamościa, a potem nadać przez wiarygodnego kuriera, mój list do Mistrza. Rabin jednak nie wydawał się przekonany: «Dlaczego piszesz o tym wszystkim Mistrzowi, a nie profesorowi Ben Izraelowi albo jakiemuś rabinowi z twojego miasta? Oni lepiej zrozumieją to, co tutaj się dzieje, i będą mogli przekazać wspólnocie nauki płynące z tych wydarzeń». W pierwszym odruchu pomyślałem, że ma rację, a nadto zastanawiałem się, dlaczego w istocie chciałem napisać ten list i wybrałem właśnie Was, Mistrzu, a nie, dajmy na to, mego ojca albo moją ukochaną Mariam, nie wspominając już o chachamie. Wtenczas, korzystając z okoliczności, ośmieliłem się wyciągnąć z sakwy tekę, w której przechowuję Wasz obraz, i wy dobyłem z niej pejzaż podarowany mi przez Duńczyka Keila i parę swoich prac, które zatrzymałem, bo były bliskie memu sercu. Pokazałem rabiemu portret, który mi namalowałaś, Panie, i od-

rzekłem: «Mistrz bowiem zdolny jest stworzyć takie oto dzieło». Rabi wziął płótno do ręki i przyglądał mu się dłuższą chwilę. Jego milczenie przeciągało się tak bardzo, że przemknęły mi przez głowę niespokojne myśli, ta zwłaszcza, iż oskarży mnie o bałwochwalstwo, bo posłużyłem jako model do tegoż obrazu i na domiar złego obraz zachowałem przy sobie. Lecz jego słowa przyniosły mi zagadkową ulgę: «Teraz cię rozumiem». Oddał mi płótno i poprosił, bym mu pokazał własne prace. Z wielkim wstydem, ale i z dumą wyciągnąłem karton z rysunkiem mojego dziadka i płótno z portretem Mariam, ze świadomością, że narażam się na komparację, na którą nigdy nie osmieliłbym się wystawić. Trzymając w dłoniach wizerunek mojego dziadka, rabi wypytywał mnie o niego, a ja opowiedziałem to i owo o jego życiu. Potem przyglądał się portretowi Mariam Roki, a widząc moje zmieszanie, powiedział, że wie, kim ona jest, po czym zwinął płótna i kartony i przestrzegł, bym ich nikomu nie pokazywał, tym bardziej w obecnych czasach.

Dwa dni później, po porannych modlitwach w dzień Szabasu, rabi Samuel chciał ze mną porozmawiać i posłaliśmy na mały plac z ogromnym kamiennym krzyżem pośrodku. Gdy usiedliśmy na stopniach, jego pierwsze słowa wprawiły mnie w zdumienie. «Możesz jeszcze raz pokazać mi obraz swojego Mistrza?» Nie domyślając się przyczyn tej prośby, wydobylem z teki płótno, rozwinąłem i wręczyłem je rabiemu. «Długo rozmyślałem o twoim marzeniu, by zostać malarzem», powiedział, patrząc na obraz. «O czym myślałeś, rabi?», zapytałem. «Rozmyślałem o tym, jak wiele rzeczy winniśmy zmienić, my, synowie Izraela, by osiągnąć szczęśliwsze życie w naszej ziemskiej wędrówce... Gdyby usłyszeli to moi bracia, rabini z Niemirowa, zapewne pomyśleliby, że jestem niespełna rozumu albo heretykiem. Ale wiem jedno: nie powinniśmy potępiać ludzi tylko dlatego, że jedni myślą tak, a inni inaczej. Są nienaruszalne przykazania, mówiące o tym, co dobre i co złe, lecz w życiu istnieje też mnogość obszarów, które winny być wyłączną domeną jednostki, by mogła ona postępować bez nacisków, zgodnie ze swą wolną wolą, bo jest to sprawa między nią a Bogiem...», powiedział, po czym długo przyglądał się obrazowi, zanim mówił dalej: «Nie wyznaję się na tej sztuce. Nigdy nie słyszałem o twoim Mistrzu. Ale z tego, co widzę, domyślam się, że musi to być człowiek sławny, a królowie i bogacze płacą mu za jego dzieła... Pojmuję też, czemu to właśnie jemu pragniesz powierzyć swoje myśli i przeżycia z tych strasznych dni... Przekonywałeś mnie, pokazując to płótno, że to tylko podobizna twej żydowskiej głowy. Ale kiedy znów na nią patrzę, odkrywam, że jest czymś więcej, o wiele więcej, oglądając ją bowiem, człowiek daje się ogarnąć osobliwym uczuciom. Tak, być może to wizerunek Mesjasza, który Mistrz nosi w sobie... Ja, który mam inne przekonania, widzę coś innego i dlatego tak bardzo urzeka mnie ten wizerunek... Jest w nim coś osobistego i zagadkowego, jakiś niepokojący substrat zawarty w tym obliczu i w tym spojrzeniu. Połączenie tego, co ludzkie, i tego, co ponadziemskie. Tak, z pewnością twój Mistrz ma moc. Tak wielkie dokonanie tak małym nakładem. Nie mam wątpliwości, że jego ręką kierowała wola Stwórcy. Nie dziwi mnie, że chciałeś go naśladować. Jakimże brzemieniem musi być pociąg, jaki odczuwa ludzka istota do nieskończonego piękna świętości! To bowiem jest świętość», zakończył rabin i pogładził płótno.

Mój ukochany Mistrzu: ten mędrzec udzielił mi odpowiedzi, której szukałem przez lata. Gdy patrzył na Wasze dzieło, przekonał się, że w sztuce zawarta jest moc. Tylko tyle i aż tyle: moc. Ta moc nie służy temu, aby zniwalać kraje i zmieniać społeczeństwa, aby wywoływać rewolucje lub ciemiężyć lud, lecz temu, by poruszać ludzkie serca i zasiewać w nich ziarno doskonałości i szczęścia... Dlatego też, odkąd usłyszałem słowa rabina Samuela o Waszym dziele, przekonałem się, że nie ma właściwszego człowieka na świecie niż on, by wywieźć ten list z Zamościa. Prosiłem go, by wraz z listem przesłał Wam obraz, który do Was należy. Powiedziałem mu nadto, że może uczynić, co zechce, z moimi lichymi obrazami, które również mu przekazałem, na co odrzekł: «Zachowam je do naszego następnego spotkania. Na tym lub na tamtym świecie, jeśli taka będzie wola boska...».

Wczoraj rabi Samuel modlił w synagodze w górnym mieście pożegnał się z synami Izraela, którzyśmy jeszcze zostali w Zamościu. Nalegał, aby wszyscy opuścili miasto, i wielu poszło za jego radą. Wieści, które dotarły do nas w ostatnich dniach, dowodzą aż nadto, że pozostawanie na

tych ziemiach jest jeno samobójstwem, jako że kolejną drogę przez mękę przejść musiała święta wspólnota w Połonnem, gdzie dwanaście tysięcy Żydów wraz z dwoma tysiącami polskiej szlachty postanowiło stawić opór Kozakom i Tatarom. Obrońcy ufność pokładali w podwójnym obwarowaniu miasta i głębokich, wypełnionych wodą fosach, które czyniły z tego miejsca twierdzę nie do zdobycia. Niemniej prawosławna służba w szlacheckich domach ułatwiła napastnikom wejście do miasta. Donoszą o dziesięciu tysiącach Żydów wymordowanych w ciągu jednego tylko dnia...

Dowiedziawszy się o losach Polanowa i klęsce polskich wojsk, która nastąpiła wkrótce potem, Żydzi z pobliskiego Zaslavia postanowili uciec. Większość ruszyła w stronę Ostrogu, warownej twierdzy i znacznego miasta na terenie Małej Rusi, inni natomiast podążyli do Zamościa, przynosząc te hiobowe wieści, a także inną jeszcze nowinę, potwierdzającą mesjanistyczne i apokaliptyczne prorocтва: wybuch zarazy, która najsampierw wylęgła się w niepogrzebanych ciałach, a teraz przeszła na ciała żywych.

Uciekinierzy donieśli, że Żydzi uchodzili w rozsypce. Ci, co mogli, konno lub na wozach, najubożsi zaś piechotą, wraz ze swymi żonami i dziećmi. Podobnie jak już to się dzieje w Zamościu, porzucili w mieście dobytek, który zgromadzili przez całe swoje życie, poświęcone na znojną pracę i przestrzeganie Prawa. Gdy tak wędrowali w pośpiechu, ktoś podniósł alarm, że tuż za nimi następują oprawcy. W desperacji, by ująć jak najszybciej przed wrogiem, porzucali naczynia srebrne i złote, ubrania i piernaty, a żaden Żyd idący z tyłu nie zatrzymywał się ani ich nie zbierał... W obawie, że lada chwila dopadną ich Kozacy, szukali ratunku, umykając w las, zostawiali nawet swe żony i dzieci, bacząc tylko, by nie wpaść w ręce Mściciela. Lecz ów odór najstraszniejszej ze śmierci, który czuli na karku, był jeno błędym odbiciem tego, co dziś ci Żydzi uznają za karę Niebios: wszystko bowiem okazało się tylko wybuchem paniki, bo w istocie wróg był daleko i wcale na nich nie następował. Jak dotąd.

Mistrzu, gdy tylko ukończę spisywanie tej relacji, której poświęciłem ostatnich kilka dni, przekażę ją rabinowi Samuelowi wraz z Waszym płótnem i kilkoma innymi obrazami przywiezionymi tu przeze mnie. Sporządziłem skórzaną torbę, by bezpiecznie się przechowywały. Ufam, że ten święty i mądry człowiek ocali swe życie i wraz z nim skarby, które mu powierzyłem. Co mnie się tyczy, nie wiem, jaki los mnie czeka. Mam nadzieję, że Przenajświętszy, niech będzie pochwalone Jego imię, pozwoli mi przejść przez barbarzyńskie zagony i dotrzeć do celu. Rabi Samuel, wiedząc, że moje zasoby są na wyczerpaniu z winy przedłużającego się pobytu w tym kraju, zostawił mi znaczną sumę pieniędzy, bym mógł się wyżywić, a także opłacić podróż na jednym ze statków, które płyną do kraju Turków osmańskich, skąd wyruszyłbym do Palestyny, by spotkać się z wyznawcami Szabetaja Cewiego. Oby Bóg zechciał, iżbym zdołał przejść przez piekło i dotknąć stopą ziemi, którą Stworzyciel obiecał synom Izraela, tam przyłączyć się do zastępów Mesjasza i wraz z nim ogłosić odnowę świata. Wiem, że w tej wyprawie towarzyszy mi moja nieugięta wiara, wola i ambicja, by osiągać cele, które wskazywał mi mój nieodżałowanej pamięci dziadek Beniamin, od niego wszak nauczyłem się także, iż Bóg ochoczo sprzyja tym, co walczą, a nie tym, co się poddają... Z winy mej żalostnej małostkowości wciąż się zastanawiam, jak potoczyłoby się moje życie, jak powinno się było potoczyć, gdybym po fortunnym ujrzeniu światła w tym, co moi bracia w wierze nazywają Makom, dobrym miejscem, odnalazł swoją przestrzeń wolności. Gdybym mógł nadać tam memu istnieniu kształt, jaki żąda najlepsza częśćka mojej duszy. Czy żądam zbyt wiele? W majakach mego umysłu, gdy wciąż słyszę lament wygnańców, ufam jedynie, że moje przeznaczenie zostało zapisane już dawno temu. A także w to, że przepowiadany przez Pomazańca koniec świata przynajmniej temu służy, że ludzie staną się bardziej tolerancyjni wobec pragnień innych ludzi i wobec swobody ich wyborów, pod warunkiem że nie przyniesie to szkody ich bliźnim, co winno być fundamentalnym principium rodzaju ludzkiego. A jeśli nie spełni się żadne z tych pragnień, znajduję przynajmniej pociechę, pisząc do Was, w myśli, że te zapiski być może trafią w Wasze ręce, a ludzie tej i przyszłej epoki uzyskają bezpośrednie świadectwo, jak wielkie było cierpienie jednych i jak potworne było okrucieństwo dru-

gich. Jeśli tymi lub innymi drogami prawda o tym zostanie ujawniona, będzie to dla mnie wystarczająca rękojmia i wtenczas moje życie nabierze sensu, choć jakże odległego od tego, który sobie obmyśliłem, a dym marzył o pędzlach i olejach. Sensu, jak mniemam, konieczniego i użytecznego, albowiem obnaża czeluści ludzkiej kondycji, które dane mi było zobaczyć...

Mistrzu, jeszcze dziś wyruszam na południe w poszukiwaniu Mesjasza. Proszę Błogosławionego, by otoczył swą opieką Was, małego Titusa i urodziwą pannę Hendrickję, obyście zawsze cieszyli się szczęściem i zdrowiem, na co zasługujecie i o co nieustannie się modłę, jesteście bowiem częścią moich najpiękniejszych wspomnień z życia, które niegdyś prowadziłem, a od którego teraz dzieli mnie nie tylko morze...

Wasz wieczny dłużnik

E. A.”

Conde z bijącym sercem i dreszczem niepokoju długo wpatrywał się w dwie litery umieszczone na końcu listu: E.A. Skrót czyjegoś imienia i nazwiska. Inicjały, ale do kogo należały? – zastanawiał się. Do jakiegoś człowieka, który zstąpił do piekieł i stamtąd wysłał alarmujący list.

Były policjant musiał odczekać parę minut, by kontynuować lekturę listu, do którego była dołączona ta niezwykła relacja.

Dalej bowiem Eliasz Kamiński, zgodnie z zapowiedzią, snuł rozważania i spekulacje: jak można się domyślać, pisał, niejaki E.A. był sefardyjskim Żydem, który uciekł z Amsterdamu i w 1648 roku znalazł się na ziemiach polskich, pustoszonych w owym czasie przez Kozaków i Tatarów, a później zdecydował się odbyć podróż na południe, aby przyłączyć się do zwolenników Szabetaja Cewiego, tego samego, który wkrótce potem objawił swoje szalbierstwa nie zrównoważonego oszusta, kiedy ratując własną skórę, przeszedł na islam, a wcześniej próbował obalić sułtana Turcji. Sułtan, mówi historia, uwięził go i w najprostszy sposób odpowiedział na zagadkowe pytanie, czy Szabetaj był, czy też nie był mesjaszem, dając mu do wyboru: „islam czy szubienica?”, a Cewi bez wahania odpowiedział: „islam”.

Trudno się dziwić, że ów kajet wzbudził liczne wątpliwości wśród historyków i badaczy malarstwa holenderskiego tej epoki. Pierwsza kwestia dotyczyła tożsamości owego E.A., jednocześnie sefardyjskiego Żyda i malarza, a jak wiadomo, sztuka była przez Hebrajczyków wyklęta. Druga wiązała się z pochodzeniem i dalszymi losami tego tafeletu, który ostatecznie trafił jako starość na pchli targ. I kolejna niejasność: dlaczego zachował się tylko fragment listu skierowanego z pewnością do Rembrandta, o czym świadczyła wzmianka o jego synu Titusie i ówczesnej konkubinie Hendrickję, Hendrickję Stofels. Pośród wielu pytań jedno wydawało się najbardziej palące, a mianowicie sprawa cyklu rysunków twarzy w zeszycie, uderzająco podobnej do twarzy Żyda, który posłużył Rembrandtowi jako model do wizerunków głowy Chrystusa. Studiów i szkiców, które właśnie w tych dniach (przypadek czy plan kosmiczny?) po raz pierwszy w dziejach zostały wyeksponowane razem na wystawie w Luwrze... tyle że brakowało obrazu zatrzymanego w Londynie i objętego procesem sądowym.

W trakcie czytania notatki Eliasza Kamińskiego, a szczególnie listu E.A., Conde miał wrażenie, że obcuje z jakąś niezwykłą tajemnicą, i to uczucie narastało przy lekturze ostatnich fragmentów tekstu, zmuszając go do kilkakrotnego odczytania słów Eliasza Kamińskiego, które kreśliły jakiś enigmatyczny obraz, lecz znalezienie do niego klucza, jak podpowiadała mu intuicja, okaże się niemożliwe. Conde wyobraził sobie ten uliczny targ z beużytecznymi starociami przy jednym z amsterdamskich kanałów, gdy miasto cieszyło się przywilejem wiosny, i wtedy zapragnął nagle znaleźć się w tym magicznym miejscu, gdzie można odnaleźć, ot tak, ślady odległych w czasie tajemnic, nieistotne, czy dających się rozwikłać, czy też nie.

W końcowej części listu Eliasz Kamiński (pewnie szarpał wtedy swój kucyk, pomyślał Conde) dał upust własnym spekulacjom, opierając się na tym, co już wiadome, i na tym, co prawdopodobne. Najbardziej znamienny był fakt, że rzeczywiście istniał holenderski sefardyjczyk o inicjałach E.A., który wędrował po polskich ziemiach w czasie masakry Żydów i miał związek z portretem. Ilu holenderskich

sefardyjczyków, miłośników malarstwa, mogło wówczas przebywać w Polsce? Jest niemal pewne, twierdził Elias, że E.A. był, musiał być, zagadkową osobą, która przekazała trzy obrazy i pakiet listów rabinowi, a ten, zarażony dżumą, zmarł w Krakowie na rękach przodka sefardyjczyka, Mosze Kamińskiego. Skoro E.A. był tą osobą, a Rembrandt jego „Mistrzem”, to wiadomo już, dlaczego w posiadaniu E.A. znalazła się głowa Chrystusa czy też portret młodego Żyda (prawdopodobnie samego E.A.), namalowany i firmowany przez Rembrandta, a zatem jeden z olejów, które medyk Kamiński dostał od rabina na łożu śmierci.

Poznanie tych dziejów nie dowodziło niczego, co umożliwiłoby zwrot obrazu, twierdził Elias Kamiński. Ale zarazem dowodziło wszystkiego, a to wykorzystają w procesie nowojorscy prawnicy. I jeśli koniec końców nie pomogą mastodontowi z kucykiem odzyskać płótna Rembrandta, to przynajmniej będzie on pewien jego pochodzenia i autentyczności, a także tego, że prawdziwa jest rodzinna opowieść o niezwykłych okolicznościach, w jakich obraz stał się własnością Kamińskich z Krakowa trzy i pół stulecia temu.

Kolejnym dylematem było istnienie i losy, niemal nie do prześledzenia, owego tafeletu, który dał początek wszystkim tym nieoczekiwanym odkryciom. Skąd przywędrował, gdzie znajdował się kajet, który handlarz na pchlim targu nabył wraz z innymi starociami od spadkobierców pewnej staruszki, niezainteresowanych zachowaniem zakurzonych rodzinnych rupieci? Elias Kamiński miał kuszącą teorię na ten temat: zeszyt mógł pochodzić z kufrów z rzeczami Rembrandta, które zostały zlicytowane pod koniec roku 1657, kiedy malarz ogłosił bankructwo, stracił dom i niemal cały dobytek. Na pozostałe pytania (kim był E.A.? jakie były jego dalsze losy? dlaczego kajet z zapiskami trafił, jak można przypuszczać, do zajętych przez wierzycieli Rembrandtowskich archiwów?) prawdopodobnie nigdy nie będzie odpowiedzi.

A jednak na niektóre z tych pytań Elias Kamiński odpowiedział po swojemu: żydowski młodzieniec nazbyt podobny do wizerunku Chrystusa musiał być E.A., upierał się, i tym samym jego oblicze, zawsze bezimiennie, przez trzy stulecia towarzyszyło członkom rodu. Dlatego też, obiecywał, albo obiecywał sobie Elias Kamiński, zrobi wszystko, by odzyskać ten obraz, jest to bowiem prawo moralne i prawo krwi jego rodziny... A jednak kiedy odzyska obraz (ważną rolę może w tym odegrać ujawnienie przez Condego tożsamości Marii José Rodríguez, która wystawiła płótno na sprzedaż, i jej powiązań rodzinnych jako ciotecznej wnuczki Romana Mejiasa), przekaże go Muzeum Holokaustu. Po prostu, twierdził, nie chce i nie może podjąć innej decyzji: skoro Ricardo Kamiński odmawia przyjęcia pieniędzy uzyskanych z ewentualnej sprzedaży, on także ich nie chce. Ten obraz w istocie nigdy nie przyniósł jego rodzinie niczego dobrego, a kiedy nadarzyła się sposobność, stał się tylko przyczyną tragedii, która naznaczyła życie jego stryja i ojca, Josepha i Daniela. „Pewnie masz mnie za idiotę, skoro podjąłem taką decyzję?”, pytał Elias w końcowym fragmencie listu i od razu sobie odpowiadał: „Być może. Ale jestem przekonany, Conde, że ty na moim miejscu postąpiłbyś tak samo. Ten obraz i jego prawowity właściciel E.A., który być może zginął w Polsce podczas jednej z licznych w historii antyżydowskich furii, na to zasługują...”. Żegnając się, obiecywał kolejne listy, najświeższe wiadomości i oczywiście rychły powrót do Hawany.

Dopiero gdy skończył czytać list po raz drugi, Conde włożył go do żółtej koperty. Zaparzył świeżą kawę, zapalił nowego papierosa i obserwował spokojny sen Śmiecia II, który wszedł do domu, gdy on był pochłonięty lekturą. Zgasiwszy niedopałek, Conde wstał, podszedł do regału z książkami i wyjął album Rembrandta, wydany wiele lat temu przez Ediciones Nauta. Przekartkował książkę, aż doszedł do ilustracji, której szukał. Był tam, w czerwonej koszuli, z kasztanowymi włosami rozdzielonymi pośrodku czoła, kędzierzawą brodą i spojrzeniem zagubionym w nieskończoności: prawdziwy człowiek sportretowany przez Rembrandta. Conde długo przyglądał się reprodukcji dzieła, bliźniaczo podobnego do portretu na zdjęciu przedstawiającym Daniela Kamińskiego i jego matkę Esterę, które zrobiono w krakowskim domu, nim zaczęła się gehenna rodziny unicestwionej przez nienawiść jeszcze okrutniejszą niż mściwość Kozaków i Tatarów. Kiedy wpatrywał się w oblicze młodego Żyda, którego teraz dzięki inicjałom i okrucynom dziejów życia mogli przynajmniej zidentyfikować, czuł, jak przenika go

nieprzeparta wielkość i moc pewnego twórcy, atmosfera mistyki, której od zawsze ludzie potrzebowali do życia. Miał wrażenie, że cud tej fascynacji zdolnej pokonać dystans stuleci zrodził się w oczach postaci utrwalonej na wieczność potęgą sztuki. „Tak, wszystko jest w oczach”, pomyślał. A może w tym, co nieprzeniknione, ukryte w ich głębi?

Zabrał ze sobą to pytanie, wspinając się na usytuowany na dachu taras. Jak każdej nocy, gorące i natarczywe wiatry właściwe czasowi Wielkiego Postu, typowe dla kubańskiej wiosny, już ucichły i jakby się przyciszyły, zbierając siły na nadchodzący poranek. Miasto, bardziej posępne niż kuszące, rozciągało się ku morzu niewidocznemu z powodu odległości i mroku. Zza oczu Maria Condego, on sam czuł to wyraźnie, wyzierały oczy ucznia malarza, młodego Żyda o inicjałach E.A., który zmarł trzy i pół wieku temu, zapewne podążając – jak tylu innych ludzi w tylu innych miejscach na przestrzeni wieków – śladami człowieka mieniającego się kolejnym mesjaszem i zbawcą obiecującym niebo, a w istocie będącego oszustem upojonym władzą oraz panowaniem nad innymi ludźmi i ich umysłami. Dla Condego ta historia brzmiała nazbyt znajomo. Potem pomyślał, że może Judy Torres w swoich poszukiwaniach wolności znalazła się w pewnym momencie bliżej porażającej prawdy niż inni: nie ma już niczego, w co można wierzyć, nie ma już mesjaszy, za którymi można podążyć. Jedyne, co warto, to wstąpić do plemienia, które dobrowolnie sobie wybrałaś. Skoro istnieje możliwość, że nawet Bóg umarł, o ile w ogóle istniał, i pewność, że tak wielu mesjaszy okazało się manipulatorami, to jedyne, co ci pozostaje, jedyne, co w istocie ci przysługuje, to wolny wybór. Żeby sprzedać obraz albo podarować go jakiemuś muzeum. Żeby gdzieś przynależeć albo nie przynależeć nigdzie. Żeby wierzyć albo nie wierzyć. A nawet czy żyć, czy umrzeć.

Mantilla, listopad 2009 – marzec 2013

PODZIĘKOWANIA

Jak do wszystkich moich powieści, także i do tej decydujący wkład wniosły inne oczy, inne umysły, służące licznymi wskazówkami i pomocą.

Podobnie jak w latach poprzednich, rozmaite wersje *Heretyków* przejrzały wraz ze mną trzy wierne i pełne poświęcenia czytelniczki. Vivian Lechuga tu, w Hawanie, Elena Zayas w Tuluzie i Lourdes Gómez w Madrycie oddały do mojej dyspozycji swój czas i krytyczne spojrzenie – niemało im zawdzięczam. Także mój brat Alex Fleites musiał przebrnąć przez wiele stron tej książki.

W rozmaitych badaniach terenowych i w poszukiwaniu szczegółowych dat nieoceniona okazała się współpraca moich przyjaciół z Amsterdamu, Sergia Acosty, Ricarda Cuadrosa i Heleen Sittig, bez których nie potrafiłbym zgłębić tego cudownego miasta; natomiast kolega Wilfredo Cancio i stary kompan w marzeniach bejsbolowych Miguel Vasallo byli moimi przewodnikami po Miami Beach śladami Daniela Kamińskiego i po cmentarzach Miami w celu zlokalizowania grobu José Manuela Bermudeza.

Nieoceniony i nieodzowny wkład do zrozumienia tajników żydowskich dziejów i obyczajów wnieśli: profesor Maritza Corrales, największa znawczyni dawnej dzielnicy żydowskiej w Hawanie; Marcos Kerbel, kubański Żyd mieszkający w Stanach Zjednoczonych, który sporządził dla mnie znakomitą mapę żydowsko-kubańskiego Miami Beach; kolega Frank Sevilla, którego praktyczne doświadczenie i wiedza naukowa o judaizmie odegrały kluczową rolę; mój kochany Joseph Schribman vel „Pepe”, profesor Saint Louis University w Missouri, który nieraz opowiadał mi o swoich dziecięcych i młodzieżowych przygodach w hawańskiej dzielnicy żydowskiej; wreszcie mój stary, wierny przyjaciel, pisarz Jaime Sarusky, który był jednym z kół zamachowych całej tej maszyny. Z kolei mój druh od serca Stanislav Vierbov opracował dla mnie pełną i szczegółową bibliografię, która pozwoliła mi zrozumieć wiele kwestii od strony praktycznej.

Jak zawsze, wspólna lektura i dyskusje robocze z moimi hiszpańskimi wydawcami, Beatriz de Moura i Juanem Cerezo, okazały się cenne i opatrnościowe, również z uwagi na ich wsparcie moralne w obliczu moich rozterek. Niezwykle owocne były także wnioski z lektury i komentarze madame Anne-Marie Métaillé.

Na koniec, jak jest w moim zwyczaju, chcę publicznie podziękować Lucii López Coll, mojej żonie, za jej zmysł krytyczny i cierpliwość. Bez jej lektur, opinii oraz obiadów i kolacji ta książka by nie zaistniała. Ja chyba też.

L.P.

Nakładem wydawnictwa Noir sur Blanc ukazała się dotąd
jedna książka Leonarda Padury:

CZŁOWIEK, KTÓRY KOCHAŁ PSY
2021

PRZYPISY

- [1](#) Natan Hannower (zm. 1683), rabin, kabalista i pisarz żydowski. Przebywał na Wołyniu w czasie powstania Chmielnickiego, a w lipcu 1648 wyjechał do Niemiec; później mieszkał w Amsterdamie, we Włoszech, na terenie dzisiejszej Rumunii i na Morawach. Napisana po hebrajsku kronika *Jawein mecula (Bagno głębokie)* obejmująca lata 1648–1652, wydana w Wenecji w 1653, została przetłumaczona na wiele języków. Najpełniejszy polski przekład, dokonany przez Majera Balabana, ukazał się w zbiorze *Sprawy i rzeczy ukraińskie: Materjały do dziejów kozaczyzny i hajdamaczyzny*, Lwów 1914 (jeśli nie zaznaczono inaczej, przypisy pochodzą od tłumaczy).
- [2](#) Dawna nazwa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.
- [3](#) *La neblina del ayer*, Tusquets Editores, Barcelona 2005 (przyp. aut.).
- [4](#) Bolero nosi tytuł *Odjechała*: „Odjechała / by już nigdy nie wrócić / odjechała / nie żegnając się ze mną / w dalekie strony odjechała...”.
- [5](#) *Paisaje de otoño*, Tusquets Editores, Barcelona 1998 (przyp. aut.).
- [6](#) Założona w 1844 najbardziej poczytna i opiniotwórcza, zwłaszcza w latach 1902–1959, gazeta kubańska o profilu konserwatywnym.
- [7](#) Instituto de Segunda Enseñanza: instytut założony w Hawanie w 1863 roku, odpowiednik liceum, przemianowany potem na Instytut Przeduniwersytecki im. José Martí.
- [8](#) Partido Ortodoxo del Pueblo de Cuba albo Partido Ortodoxo: partia założona w 1947 roku. 5 sierpnia 1951 roku w nadawanym na żywo programie radiowym jej szef i przewodniczący Eduard Chibás postanowił w proteście przeciwko korupcji popełnić samobójstwo. Nie wiedział, że w momencie, w którym do siebie strzelił, na antenie nadawano reklamy. Zmarł w szpitalu jedenaście dni później.
- [9](#) Religia afrokubańska, której nazwa pochodzi od słowa *palo* (kij, patyk), stąd nazwa wyznawców tego kultu – *paleros*. Odbardzone magiczną mocą *palos*, a także uświęcona ziemia, kości zmarłych i inne przedmioty stanowią budulec ołtarzy (*prenda*) zamieszkanymi przez dusze zmarłych.
- [10](#) Directorio Estudiantil Universitario (DEU): komitet założony w 1927 roku przez studentów Uniwersytetu Hawańskiego; jego pierwotnym celem było niedopuszczenie do realizacji planów prezydenta Gerarda Machada, który poprzez zmianę konstytucji zamierzał przedłużyć swoją kadencję. Od roku 1933 w jego ślady poszedł wieloletni dyktator Kuby, Fulgencio Batista.
- [11](#) Nazwa producenta i typu eleganckiego lnianego białego garnituru przystosowanego do tropików; przed rewolucją był na Kubie symbolem statusu społecznego.
- [12](#) Księga Wyjścia 21, 23.
- [13](#) Chodzi o znak firmowy rumu Bacardí – godło nietoperza – podobny do emblematu umieszczonego na masce chevroleta.
- [14](#) *Pasado perfecto*, Tusquets Editores, Barcelona 2000 (przyp. aut.). Wyd. polskie: *Gorączka w Hawanie*, przeł. Tomasz Pindel, Znak, Kraków 2009.
- [15](#) Fragment poematu kubańskiego poety i prozaika Virgilia Piñery *La isla en peso* (1942): „Przekłeta okoliczność, że zewsząd jest woda, / zmusza mnie, bym usiadł przy kawiarnianym stoliku. / Gdyby nie świadomość, że woda osacza mnie niby rak, / mógłbym beztrząsco zasnąć...”.
- [16](#) Aluzja do *Życie jest snem* hiszpańskiego poety i dramaturga Calderona de la Barca.
- [17](#) *Łowca androidów*, źródło: Wikicytaty.
- [18](#) Port. naród. Tą nazwą określali się osiadli w Amsterdamie Żydzi o korzeniach portugalskich, choć często stosowano ją też w odniesieniu do wszystkich mieszkających tam Żydów pochodzenia iberyjskiego.
- [19](#) Cytat według Biblii Tysiąclecia, dostosowany do wersji autora.
- [20](#) Rada lub zgromadzenie starszyzny w społecznościach sefardyjskich Europy Zachodniej. Odpowiednik kahału we wspólnotach aszkenazyjczyków.
- [21](#) Efraim Bueno (1599–1665), medyk, poeta i tłumacz, zaprzyjaźniony z Rembrandtem, który w latach 1645–1647 namalował jego portret.

- [22](#) Salom Italia, zwany także Salomo d'Italia (ok. 1619 – ok. 1655), urodzony prawdopodobnie w Mantui, rytownik osiadły w Amsterdamie, autor ilustracji do Księgi Estery. Znanych jest zaledwie dziesięć jego podpisanych grawiur, w tym portret Menasze Ben Izraela datowany na rok 1642.
- [23](#) Łokieć flamandzki, odpowiadający 27 calom (około 68 centymetrów).
- [24](#) Aluzja do opowiadania Isaaca Asimova z 1957 roku *I'm in Marsport without Hilda*.
- [25](#) *Pasado perfecto*, dz. cyt. (przyp. aut.).
- [26](#) Cytat (nieznacznie dopasowany przez tłumacza do tekstu Nietzschego w przekładzie Wacława Berenta) pochodzi z hasła *Así habló Zaratustra* zamieszczonego w hiszpańskiej Wikipedii.
- [27](#) Cytat pochodzi z dzieła francuskiego antropologa i socjologa Davida Le Bretona *L'adieu au corps*, Éditions Métailié, Paris 1999.
- [28](#) Aluzja do powieści Leonarda Padury *Człowiek, który kochał psy*, Noir sur Blanc, Warszawa 2021, fabularyzowanej biografii Lwa Trockiego i jego zabójcy Ramona Mercadera.
- [29](#) Cytat pochodzi z recenzji hiszpańskiego przekładu dzieła Davida Le Bretona *Anthropologie de la douleur* (1995), opublikowanej przez Pilar Vegę Rodríguez w „Espéculo” (nr 15, VII–X 2000), piśmie elektronicznym Universidad Complutense w Madrycie.
- [30](#) Aluzja do łagodnego neologizmu *desmerengamiento*, którego Fidel Castro użył w jednym z przemówień z 1991 roku, żeby nie powiedzieć o rozpadzie (*derrumbamiento*) obozu socjalistycznego.
- [31](#) *Vientos de cuaresma*, Tusquets Editores, Barcelona 2001 (przyp. aut.). Wyd. polskie: *Wichura w Hawanie*, przeł. Dagny Rycerz, Znak, Kraków 2009.
- [32](#) Przeł. Kalina Wojciechowska.
- [33](#) *Paisaje de otoño*, Tusquets Editores, Barcelona 1998 (przyp. aut.).
- [34](#) Ogłoszony na Kubie w 1990 roku kryzysowy program „zerowego” zużycia energii, elektryczności i paliw.
- [35](#) Według Wikipedii John Fogerty był dwukrotnie żonaty i miał sześcioro dzieci.
- [36](#) Fryderyk Nietzsche, *Tako rzecze Zaratustra*, przeł. Wacław Berent, Zysk i S-ka, Poznań 2000.
- [37](#) *Máscaras*, Tusquets Editores, Barcelona 1977 (przyp. aut.). Wyd. polskie: *Trans w Hawanie*, przeł. Marcin Sarna, Znak, Kraków 2010.
- [38](#) *La cola de la serpiente*, Tusquets Editores, Barcelona 2011 (przyp. aut.).
- [39](#) Zapewne autor ma na myśli Aleksandra Koniecpolskiego, chorążego koronnego.
- [40](#) Opisanego czynu dopuścił się nie chorąży koronny, ale jego podwładny, rotmistrz Daniel Czapliński, który także uwiódł żonę Chmielnickiego.
- [41](#) Według *Jawein mecula*: „...i zawrzeć z nią pokój pod tym warunkiem, że szlachta wyda majątek Żydów Kozakom jako okup swej duszy”.
- [42](#) Tamże: „...i postanowili najpierw uderzyć na szlachtę i rozprawić się z nią za to, że złamała przymierze”.
- [43](#) Aron, rektor jesiwy w Tulczynie.
- [44](#) Czwtertyński.
- [45](#) Ten sam epizod według *Jawein mecula*: „I przystąpił doń parobek, który u niego w młynie pracował [...] W końcu rzekł doń: «Wstań z krzesła, a ja siądę zamiast ciebie i będę nad tobą panował!». Lecz pan nie mógł wstać [z powodu otyłości], wówczas ściągnął go sługa z krzesła [rzucił go na próg] i w straszny sposób odciął mu głowę piłą na progu”.
- [46](#) W rzeczywistości wojsko polskie interweniowało zaraz po wybuchu powstania.